ANDRZEJ SAPKOWSKI PRZEDSTAWIA

NEIL GAIMAN

Autor „Koszmarku"

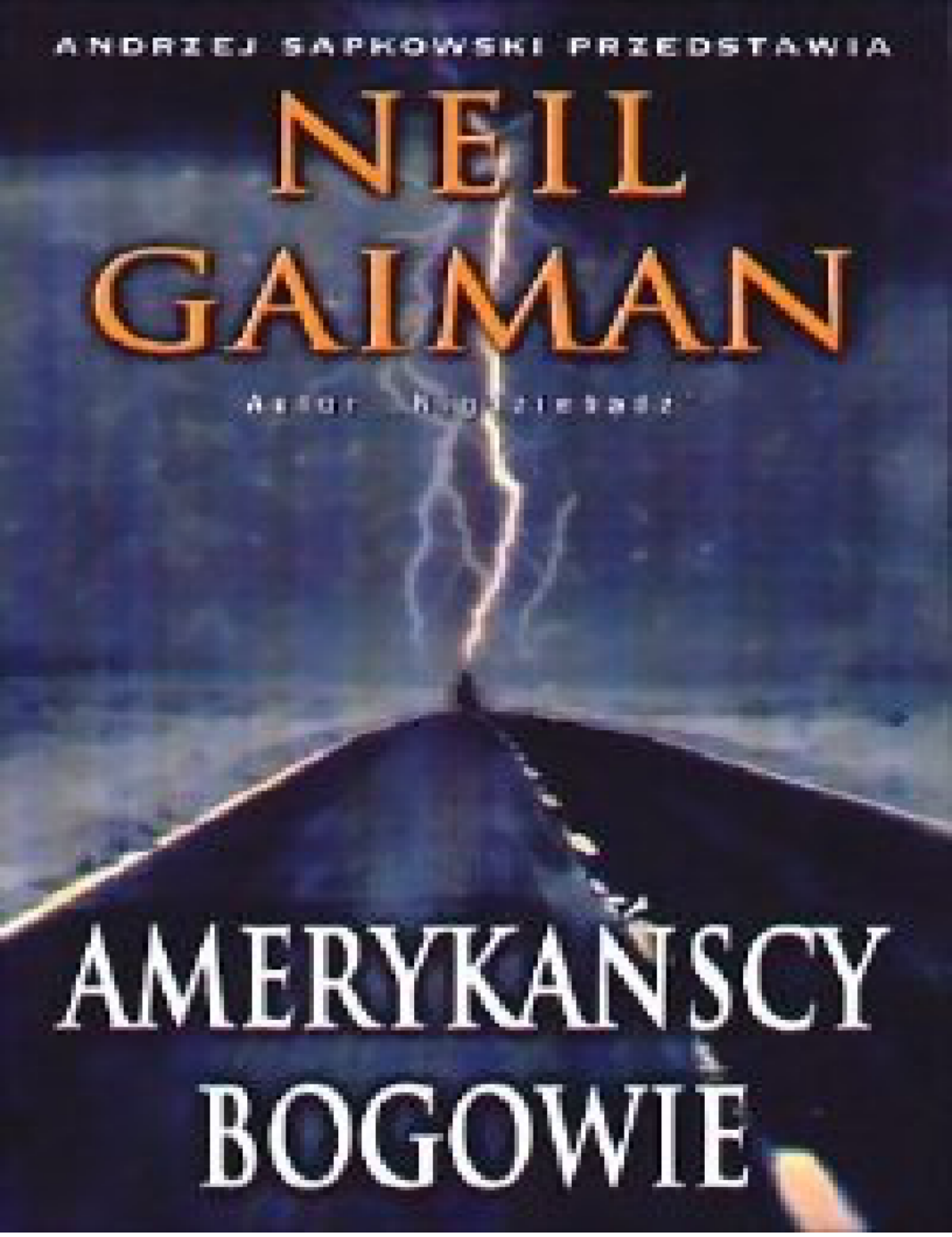

AMERYKAŃSCY BOGOWIE

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Po trzech latach spędzonych w więzieniu Cień ma wyjść na wolność. Ale w miarę jak do końca odsiadki pozostają tygodnie, godziny, minuty, sekundy, czuje narastający niepokój. Na dwa dni przed zakończeniem wyroku, jego żona, Laura, ginie w wypadku samochodowym w tajemniczych okolicznościach — wszystko wskazuje na zdradę małżeńską. Oszołomiony Cień powraca do domu, gdzie spotyka tajemniczego Pana Środę, twierdzącego, iż jest uchodźcą wojennym, byłym bogiem i królem Ameryki. Razem wyruszają oni w niesamowitą podróż przez Stany, rozwiązując zagadkę morderstw, które co zimę są dokonywane w małym Amerykańskim miasteczku. Jednak podąża za nimi ktoś, z kim Cień musi zawrzeć pokój…W swojej niepokojącej, wciągającej i bardzo osobliwej powieści Neil Gaiman, wyrusza w podróż w poszukiwaniu duszy Ameryki.

Książka otrzymała nagrodę Hugo 2002 w kategorii Najlepsza Powieść Roku.

- Neil Gaiman
  -
  - CAVEAT I OSTRZEŻENIE DLA WĘDROWCÓW
  -
  - CZĘŚĆ PIERWSZA
    - ROZDZIAŁ PIERWSZY
    - ROZDZIAŁ DRUGI
    - ROZDZIAŁ TRZECI
    - ROZDZIAŁ IV
    - ROZDZIAŁ PIĄTY
    - ROZDZIAŁ SZÓSTY
    - ROZDZIAŁ SIÓDMY
    - ROZDZIAŁ VIII
  - CZĘŚĆ DRUGA
    - ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
    - ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
    - ROZDZIAŁ JEDENASTY
    - ROZDZIAŁ DWUNASTY
    - INTERLUDIUM
    - INTERLUDIUM 2
    - INTERLUDIUM 3
    - ROZDZIAŁ TRZYNASTY
  - CZĘŚĆ TRZECIA

- ROZDZIAŁ CZTERNASTY
- ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
- ROZDZIAŁ SZESNASTY
- ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
- ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

CZĘŚĆ CZWARTA

- ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
- ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

POST SCRIPTUM

PODZIĘKOWANIE

SŁOWO OD TŁUMACZA

Neil Gaiman
Amerykańscy bogowie

Dla nieobecnych przyjaciół — Kathy Acker, Rogera Zelazny'ego i wszystkich pomiędzy nimi.

CAVEAT I OSTRZEŻENIE DLA WĘDROWCÓW

Ta książka jest powieścią, nie przewodnikiem. A choć przedstawiona w niej geografia Stanów Zjednoczonych nie jest do końca fikcyjna — można odwiedzić wiele opisanych tu miejsc, wędrować ścieżkami, nakreślić przebieg dróg — to pozwoliłem sobie na pewną swobodę. Mniejszą, niż można by sądzić, ale jednak.

Nie prosiłem o pozwolenie wykorzystania w książce prawdziwych miejsc, więc go nie otrzymałem, i przypuszczam, że właściciele Rock City i Domu na Skale czy myśliwi, do których należy motel w środkowych Stanach, zdziwią się niezmiernie, znajdując je tutaj.

Świadomie ukryłem położenie innych miejsc, choćby miasta Lakeside i farmy z jesionem, godzinę jazdy na południe od Blacksburga. Jeśli chcecie, możecie ich poszukać. Może nawet uda się wam coś znaleźć.

No i rzecz jasna wszyscy ludzie, żywi, martwi i inni obecni w tej historii są wymyśleni bądź występują w zmyślonych okolicznościach. Tylko bogowie są prawdziwi.

Jest jedno pytanie, które nie daje mi spokoju: Co dzieje się z istotami nadprzyrodzonymi, gdy imigranci porzucają swe ojczyzny i przybywają tutaj? Irlandzcy Amerykanie pamiętają wróżki, norwescy — nissery, greccy — vrykolaki, lecz tylko w powiązaniu ze starymi krajami. Gdy kiedyś spytałem, czemu w Ameryce nie widujemy podobnych demonów, moi rozmówcy zaśmiali się niemądrze i rzekli: „Boją się przepłynąć ocean; to dla nich za daleko”, po czym dodali, że Chrystus i apostołowie także nie odwiedzili Ameryki.

— Richard Dorson, „Spojrzenie teoretyczne na amerykański folklor”,

Amerykański folklor w oczach historyka,

(University of Chicago Press,

1971)

CZĘŚĆ PIERWSZA
CIENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Granice naszego kraju, panie? Na północy graniczymy z Zorzą Polarną, na wschodzie ze wschodzącym słońcem, na południu zamyka nas Równik, a na zachodzie Dzień Sądu Ostatecznego.

— Księga dowcipów amerykańskich Joe Millera

Cień odsiedział w wiezieniu trzy lata. A że był dostatecznie rosły i wyglądał dostatecznie groźnie, jego największym problemem pozostawało zabijanie czasu. Ćwiczył zatem, uczył się sztuczek z monetami i wiele rozmyślał o tym, jak bardzo kocha swą żonę.

Najlepszą — i w opinii Cienia być może jedyną dobrą — stroną pobytu w więzieniu było poczucie ulgi, świadomość, że upadł już tak nisko, że niżej się nie da. Osiągnął dno. Nie obawiał się, że go złapią, bo już go złapali. Nie lękał się, co przyniesie jutro, bo zdarzyło się to już wczoraj.

Szybko uznał, że fakt, czy popełniło się dane przestępstwo, czy nie, nie miał żadnego znaczenia. Wszyscy ludzie, których poznał w więzieniu, pielęgnowali w sobie żal do władz. Zawsze coś było nie tak. Zarzucali człowiekowi coś, czego nie zrobił, albo przynajmniej nie zrobił tego dokładnie tak, jak twierdzili. Najważniejsze jednak, że cię załapali.

Zauważył to już w ciągu pierwszych kilku dni, gdy wszystko, od więziennego slangu po kiepskie żarcie, było czymś nowym. Mimo przejmującego, wszechogarniającego przerażenia i żalu czuł też, że oddycha z ulgą.

Cień starał się nie mówić zbyt wiele. Gdzieś w połowie drugiego roku wspomniał o swej teorii Lokajowi Lyesmithowi, koledze z celi. Lokaj, oszust z Minnesoty, uśmiechnął się, wykrzywiając przecięte szramą usta.

— Ano — rzekł. — To prawda. A jeszcze lepiej, kiedy skażą cię na śmierć. To wtedy przypominasz sobie dowcipy o gościach, którzy w chwili, gdy założyli im stryczek, zrzucali buty, bo kumple stale im powtarzali, że co jak co, ale umrą w butach.

— To żart? — spytał Cień.

— Ano tak. Wisielczy humor. Najlepszy, jaki istnieje.

— Kiedy ostatnio powiesili człowieka w tym stanie?

— Skąd u diabła mam wiedzieć? — Lyesmith starannie golił

głowę, nie pozwalając odrosnąć jasnorudym włosom. Pod skórą widać było linie czaszki. — Ale powiem ci coś. Kiedy przestali wieszać ludzi, cały ten kraj poszedł w diabły. Koniec dowcipów. Koniec układów.

Cień wzruszył ramionami. Nie widział niczego romantycznego w karze śmierci.

Uznał, że jeśli nie ma się na głowie wyroku śmierci, więzienie w najlepszym razie stanowi jedynie czasowy urlop od życia. Z dwóch powodów: po pierwsze, życie zakrada się nawet do celi. Zawsze coś się dzieje. Życie trwa dalej. A po drugie, jeśli po prostu czekasz, któregoś dnia muszą cię wypuścić.

Na początku myśl o wolności była zbyt nikła, by mógł się na niej skupić. Potem stała się odległym promyczkiem nadziei i nauczył się powtarzać sobie: „to też minie", gdy coś poszło nie tak, bo w więzieniu zawsze coś szło nie tak. Któregoś dnia magiczne drzwi otworzą się szeroko i przekroczy próg. Zaczął zatem skreślać dni na kalendarzu z wizerunkami ptaków śpiewających Ameryki Północnej, jedynym kalendarzu sprzedawanym w więziennym sklepiku. Słońce zachodziło, ale on tego nie widział. Wschodziło gdzieś i także tego nie dostrzegał. Ćwiczył sztuczki z monetami, czerpiąc wiedzę z książki odkrytej na pustkowiu więziennej biblioteki. Ćwiczył i sporządzał w głowie listę rzeczy, które zrobi, gdy tylko wyjdzie z więzienia.

Z czasem lista Cienia stawała się coraz krótsza. Po dwóch latach skurczyła się do trzech punktów.

Po pierwsze, zamierzał się wykąpać. Wziąć porządną, długą, prawdziwą kąpiel w wannie. W pianie. Może przeczyta też gazetę, może nie. Czasami miał na to ochotę, czasami niekoniecznie.

Po drugie, wytrze się, włoży szlafrok, może kapcie. Podobała mu się wizja kapci. Gdyby palił, w tym momencie zapaliłby fajkę. Ale nie. Chwyci w ramiona żonę, a ona krzyknie z udanym przerażeniem i prawdziwą radością: piesku, co ty wyprawiasz!; zaniesie ją do sypialni i zamknie drzwi. Jeśli zgłodnieją, zamówią pizzę.

Po trzecie, potem, gdy wyjdą już z Laurą z sypialni, jakieś dwa dni później, będzie siedział cicho i przez resztę życia trzymał się z dala od kłopotów.

— I wtedy będziesz szczęśliwy? — spytał Lokaj Lyesmith. Pracowali razem w więziennym warsztacie, montując karmniki dla ptaków. Było to zajęcie tylko odrobinę ciekawsze od przebijania tablic samochodowych.

— Nie nazywaj człowieka szczęśliwym, póki żyje — odparł Cień.

— Herodot — mruknął Lokaj. — Hej, uczysz się!

— Kto to, kurwa, jest Herodot? — spytał Sopel, składając ścianki karmnika i podając je Cieniowi, który mocno dokręcał śruby.

— Martwy Grek — odparł Cień.

— Moja ostatnia dziewczyna była Greczynką — rzucił Sopel. —

Nie uwierzylibyście, jakie gówniane rzeczy jadała jej rodzina. Ryż zawinięty w liście i takie różne.

Sopel sylwetką i wzrostem przypominał automat do coca-coli. Miał niebieskie oczy i włosy tak jasne, że wydawały się niemal białe. Porządnie pobił faceta, który popełnił błąd i zaczął obmacywać jego dziewczynę w barze, gdzie tańczyła, a Sopel stał na bramce. Przyjaciele tamtego wezwali policję, która zaaresztowała Sopla, sprawdziła jego dane i odkryła, że osiemnaście miesięcy wcześniej urwał się z programu resocjalizacyjnego.

— To co miałem zrobić? — spytał ze złością Sopel, gdy po raz pierwszy opowiadał Cieniowi całą swą smutną historię. — Mówiłem, że to moja dziewczyna. Miałem pozwolić na taki brak szacunku? Widziałem na niej jego łapska!

— Dobrze powiedziane — odparł jedynie Cień i zostawił ten temat. Bardzo wcześnie nauczył się, że w więzieniu każdy odsiaduje własny wyrok. Nie należy przejmować się innymi.

Nie wychylać się. Dbać o własne sprawy.

Kilka miesięcy wcześniej Lyesmith pożyczył Cieniowi sfatygowany egzemplarz „Historii" Herodota.

— To nie jest wcale nudne. Bardzo fajna rzecz — rzekł, gdy Cień zaprotestował, że nie czytuje książek. — Najpierw sam zobacz, a potem też przyznasz, że fajna.

Cień wykrzywił się, ale zaczął czytać. I odkrył, że wbrew jego woli lektura go wciągnęła.

— Grecy — rzucił z niesmakiem Sopel. — A do tego to nieprawda, co o nich mówią. Próbowałem wsadzić go mojej panience w tyłek i mało nie wydrapała mi oczu.

Któregoś dnia Lyesmitha przeniesiono bez ostrzeżenia. Zostawił Cieniowi swój egzemplarz Herodota; między kartkami ukrył pięciocentówkę. W więzieniu monety były zakazane — można wyostrzyć je o kamień i w walce rozciąć komuś twarz. Cień jednak nie chciał broni. Potrzebował czegoś, by zająć ręce.

Nie był przesądny. Nie wierzył w nic, czego nie mógł zobaczyć, lecz przez ostatnich kilka tygodni wyczuwał wiszącą w powietrzu katastrofę. Tak samo czuł się w dniach przed napadem. Żołądek ściskał mu się z lęku i choć Cień powtarzał sobie, że to jedynie obawa przed powrotem do świata zewnętrznego, nie miał pewności. Ogarnęła go paranoja, jeszcze większa niż zwykle — a w więzieniu jej zwykły poziom jest bardzo wysoki. To pozwala przetrwać. Cień stał się cichszy, spokojniejszy. Odkrył, że starannie śledzi język ciała strażników i innych więźniów, szukając czegoś, co mogłoby stanowić znak, zapowiedź czekających go złych wydarzeń. Był pewien, że nadejdą.

Miesiąc przed datą zwolnienia Cień usiadł w zimnym gabinecie

naprzeciwko niskiego mężczyzny, na którego czole widniało duże ciemnoczerwone znamię. Rozdzielało ich biurko. Mężczyzna miał przed sobą otwarte akta Cienia. W dłoni trzymał długopis o paskudnie przygryzionej końcówce.

— Zimno ci, Cień?

— Tak — odparł Cień. — Odrobinę.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Witaj w krainie biurokracji. Piece włącza się pierwszego grudnia i wyłącza pierwszego marca. Nie ja ustalam zasady. — Przesunął palcem po kartce przypiętej zszywaczem do wewnętrznej części teczki. — Masz trzydzieści dwa lata?

— Tak.

— Wyglądasz młodziej.

— Zdrowe życie.

— Piszą tu, że byłeś wzorowym więźniem.

— Dostałem już nauczkę.

— Naprawdę? — Rozmówca spojrzał uważnie na Cienia. Znamię na czole obniżyło się lekko.

Cień miał ochotę zdradzić mężczyźnie część swych teorii dotyczących więzienia. Nie odezwał się jednak. Zamiast tego przytaknął i skupił się na utrzymaniu skruszonej miny.

— Piszą też, że masz żonę.

— Nazywa się Laura.

— Co u niej?

— Mmm. Nieźle. Odwiedza mnie, kiedy tylko może. To długa podróż. Pisujemy do siebie. Jeśli się da, dzwonię.

— Czym zajmuje się twoja żona?

— Pracuje w biurze podróży. Rozsyła ludzi po całym świecie.

— Jak się poznaliście?

Cień nie wiedział, czemu tamten o to pyta. Miał ochotę odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, ale…

— Była najlepszą przyjaciółką żony mojego najbliższego kumpla. Urządzili nam randkę w ciemno. Zaskoczyło.

— I czeka na ciebie praca?

— Tak, proszę pana. Mój kumpel, Robbie, ten o którym mówiłem, ma swoją własną siłownię. Byłem tam trenerem. Mówi, że ma dla mnie dawną posadę.

Uniesienie brwi.

— Tak?

— Twierdzi, że powinienem przyciągnąć klientów. Tych z dawnych czasów. I nowych. Twardzieli, którzy chcą stać się jeszcze twardsi.

Mężczyzna wydawał się usatysfakcjonowany. Przygryzł końcówkę długopisu i przewrócił kartkę.

— Co myślisz o swoim wybryku?

Cień wzruszył ramionami.

— Byłem głupi — odparł. I mówił szczerze.

Mężczyzna ze znamieniem westchnął ciężko. Odhaczył kilka punktów na liście. Potem przerzucił papiery w teczce Cienia.

— Jak chcesz się dostać do domu? Autobusem?

— Samolotem. Dobrze mieć żonę pracującą w biurze podróży.

Jego rozmówca zmarszczył czoło. Znamię zafalowało.

— Przysłała ci bilet?

— Nie musiała. Tylko numer potwierdzenia. Bilet elektroniczny. Wystarczy, że za miesiąc zjawię się na lotnisku, pokażę dokumenty i już.

Mężczyzna skinął głową, zapisał coś jeszcze, po czym zatrzasnął teczkę i odłożył długopis. Dwie dłonie spoczęły na szarym biurku niczym małe różowe zwierzątka. Po chwili uniósł je, splótł palce i spojrzał wprost na Cienia wodnistymi, brązowymi oczami.

— Szczęściarz z ciebie — rzekł. — Masz do kogo wrócić. Czeka na ciebie praca. Możesz zostawić to wszystko za sobą. Dano ci drugą szansę. Nie zmarnuj jej.

Kiedy Cień wstał, mężczyzna nie podał mu ręki. Cień zresztą wcale tego nie oczekiwał.

Ostatni tydzień był najgorszy. Pod pewnymi względami był gorszy niż całe poprzednie trzy lata. Cień zastanawiał się, czy nie wpływa na to pogoda: ciężka, nieruchoma, mroźna. Zupełnie jakby zbierało się na burzę, która jedna nie nadchodziła. Aż go nosiło. Trzęsło. Ściskało w żołądku. Czuł, że coś jest nie tak. Na podwórzu powiał wiatr i Cieniowi wydało się, że wyczuwa w powietrzu nadchodzący śnieg.

Zadzwonił do żony na jej koszt. Wiedział, że firmy telefoniczne doliczają dodatkowe trzy dolary do każdej rozmowy z więziennego telefonu. To dlatego operatorzy są tacy uprzejmi dla ludzi dzwoniących z więzienia — uznał. Wiedzą, kto im płaci.

— Mam wrażenie, że coś jest nie tak — powiedział Laurze. Nie były to jego pierwsze słowa. Pierwsze brzmiały: „kocham cię", ponieważ dobrze się to mówi, zwłaszcza gdy mówi się szczerze, tak jak Cień.

— Cześć — odparła Laura. — Ja też cię kocham. Co jest nie tak?

— Nie wiem. Może pogoda. Gdyby tylko w końcu nadeszła burza, może wszystko wróciłoby do normy.

— Tu jest ładnie — odparła. — Ostatnie liście jeszcze nie spadły. Jeśli nie będzie burzy, zobaczysz je po powrocie.

— Za pięć dni — mruknął Cień.

— Sto dwadzieścia godzin i jesteś w domu.

— U was wszystko w porządku? Nic się nie dzieje?

— Wszystko super. Dziś wieczór będę widziała się z Robbiem.

Planujemy urządzić ci przyjęcie-niespodziankę.

— Niespodziankę?

— Oczywiście. Nic o nim nie wiesz.

— Absolutnie nic.

— Grzeczny mąż. — Zaśmiała się i Cień uświadomił sobie, że także się uśmiecha. Trzy lata siedział w więzieniu, lecz ona wciąż potrafiła wywołać u niego radość.

— Kocham cię, skarbie — rzekł.

— Kocham cię, piesku — odparła Laura.

Cień odłożył słuchawkę.

Gdy się pobrali, Laura wyznała Cieniowi, że chciałaby mieć pieska, lecz właściciel domu przypomniał, że umowa najmu nie pozwala na trzymanie w mieszkaniu zwierząt.

— Hej — rzucił wówczas Cień — ja będę twoim pieskiem. Co mam robić? Gryźć ci kapcie? Sikać na podłogę w kuchni? Lizać cię po nosie? Obwąchiwać pupę? Założę się, że potrafię to robić równie dobrze, jak każdy psiak.

Podniósł ją, jakby nic nie ważyła, i zaczął lizać po nosie, nie zważając na chichoty i okrzyki, a potem zaniósł do łóżka.

W jadalni Cień ujrzał drepczącego ku niemu Sama Fetishera, który uśmiechnął się, ukazując stare zęby. Usiadł obok niego i zaczął pałaszować makaron z serem.

— Musimy pogadać — oznajmił.

Sam Fetisher był jednym z najczarniejszych Murzynów, jakich Cieniowi zdarzyło się oglądać. Na oko sądząc, mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt, jak osiemdziesiąt lat. Z drugiej strony Cień spotykał już trzydziestoletnich ćpunów wyglądających starzej niż Sam.

— Uhmm — mruknął teraz.

— Nadciąga burza — oznajmił Sam.

— Też to czuję — powiedział Cień. — Może wkrótce spadnie śnieg.

— Nie taka burza. Znacznie większa. Mówię ci, chłopcze. Kiedy nadejdzie, lepiej ci będzie tutaj niż tam, na ulicach.

— Odsiedziałem już swoje, w piątek wychodzę.

Sam Fetisher spojrzał na niego z ukosa.

— Skąd jesteś? — spytał.

— Eagle Point w Indianie.

— Pieprzony kłamca. Tak w ogóle? Skąd są twoi rodzice?

— Z Chicago — mruknął Cień. — Matka mieszkała tam, będąc dzieckiem i umarła pół życia temu.

— Jak już mówiłem, nadciąga wielka burza. Nie wychylaj się, mój chłopcze. To jak… Jak się nazywają te rzeczy, na których spoczywają kontynenty? Jakieś płyty?

— Tektoniczne? — zaryzykował Cień.

— Zgadza się. Płyty tektoniczne. To zupełnie jak wtedy, gdy się zderzają. Kiedy Ameryka Północna uderza w Południową. Nie chcesz wtedy być w środku. Kapujesz?

— Ani trochę.

Brązowe oko zamknęło się w powolnym mrugnięciu.

— Nie mów tylko, że cię nie ostrzegałem — oznajmił Sam Fetisher, unosząc do ust łyżkę trzęsącej się pomarańczowej galaretki.

— Nie powiem.

Tej nocy Cień półdrzemał, co chwila budząc się i osuwając w mrok, słuchając pomruków i pochrapywań nowego współlokatora, śpiącego na dolnej pryczy. Kilka cel dalej jakiś człowiek zawodził, skowyczał i szlochał jak zwierzę. Od czasu do czasu ktoś wrzeszczał, by się do kurwy nędzy zamknął. Cień usiłował nie słuchać. Pozwalał, by puste minuty opływały go: powolne, samotne.

Jeszcze dwa dni. Czterdzieści osiem godzin. Począwszy od owsianki i więziennej kawy, oraz strażnika nazwiskiem Wilson, który stuknął Cienia w ramię mocniej niż trzeba i rzekł:

— Cień? Tędy.

Cień pospiesznie przyjrzał się swemu sumieniu. Było czyste. Co oczywiście nie znaczyło, że nie mógł znaleźć się po uszy w gównie. Tak już bywa w więzieniu. Obaj szli obok siebie. Ich kroki odbijały się echem wśród metalu i betonu.

Cień czuł w głębi gardła strach, gorzki niczym stara kawa. Nadeszło to, czego się lękał.

Gdzieś w jego głowie odezwał się głos. Szeptał, że dołożą mu rok do wyroku. Wsadzą do karceru. Odetną ręce. Odrąbią głowę. Powtarzał sobie, że to głupie, ale serce waliło mu tak mocno, jakby lada moment miało rozsadzić pierś.

— Nie rozumiem cię, Cień — powiedział Wilson.

— Czego pan nie rozumie?

— Ciebie. Jesteś za cichy, za grzeczny. Czaisz się jak starzy, a ile masz lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia osiem?

— Trzydzieści dwa.

— I kim jesteś? Latino? Cyganem?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Może.

— Może częściowo czarnuchem? Masz w sobie czarną krew, Cień?

— Możliwe, proszę pana. — Cień szedł naprzód, patrząc wprost przed siebie. Całą uwagę skupił na tym, by nie dać się podpuścić.

— Ach, tak. Ja wiem tylko, że coś mi się w tobie nie podoba. — Wilson miał wyblakłe jasne włosy, wyblakłą jasną twarz i wyblakły jasny uśmiech. — Wkrótce nas opuszczasz?

— Taką mam nadzieję.

Przeszli przez kilka bramek. Za każdym razem Wilson pokazywał

swoją kartę. Jeszcze schody i stanęli przed gabinetem naczelnika więzienia. Na drzwiach czarnymi literami wypisano jego nazwisko — G. Patterson. Obok wisiała miniaturka drogowych świateł.

Górne światło płonęło czerwienią.

Wilson nacisnął guzik.

Kilka chwil czekali w milczeniu. Cień powtarzał sobie, że wszystko będzie dobrze, że w piątek rano będzie już siedział w samolocie do Eagle Point, ale sam w to nie wierzył.

Czerwone światło zgasło. Zapłonęło zielone. Wilson otworzył drzwi. Weszli do środka.

W ciągu ostatnich lat Cień kilka razy widział naczelnika. Raz, kiedy tamten oprowadzał po zakładzie jakiegoś polityka, raz, gdy podczas Dni Zamkniętych przemawiał do nich, stojących w grupach po sto osób, mówiąc, że więzienie jest przepełnione i, że ponieważ zostanie przepełnione, lepiej by do tego przywykli.

Z bliska Patterson wyglądał gorzej. Miał owalną twarz i siwe włosy przystrzyżone krótko po wojskowemu. Pachniał Old Spi-cem. Za jego plecami Cień widział półkę pełną książek. Każda z nich miała w tytule słowo „wiezienie". Na idealnie czystym biurku stał tylko telefon i kalendarz Far Side ze zrywanymi kartkami. W uchu mężczyzny widniał aparat słuchowy.

— Usiądź, proszę.

Cień usiadł. Wilson stanął tuż za nim.

Naczelnik otworzył szufladę biurka, wyjął teczkę i położył ją na blacie.

— Piszą tu, że zostałeś skazany na sześć lat za napaść i pobicie. Odsiedziałeś trzy lata. Miałeś zostać zwolniony w piątek.

„Miałeś?". Cień poczuł, jak ściska mu się żołądek. Zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał odsiedzieć — kolejny rok? Dwa? Całe trzy? Głośno jednak powiedział tylko:

— Tak, proszę pana.

Naczelnik oblizał wargi.

— Co powiedziałeś?

— Powiedziałem tak, proszę pana.

— Cień, wypuścimy cię dziś po południu. Zostaniesz zwolniony parę dni wcześniej. — Cień skinął głową, czekając na resztę. Naczelnik spojrzał na leżącą przed nim kartkę. — Dostaliśmy wiadomość ze szpitala Johnsona w Eagle Point. Twoja żona zmarła dziś nad ranem. Zginęła w wypadku samochodowym. Bardzo mi przykro.

Cień ponownie skinął głową.

Wilson w milczeniu odprowadził go do celi. Otworzył drzwi i wpuścił Cienia. Dopiero wtedy rzekł:

— Zupełnie jak ten dowcip z dobrą i złą wiadomością, co? Dobra wiadomość: wychodzisz wcześniej. Zła wiadomość: twoja żona nie

żyje…

Zaśmiał się, jakby powiedział coś zabawnego.

Cień milczał.

* * *

Jak odrętwiały spakował swoje rzeczy. Większość rozdał. Zostawił w celi Herodota Lokaja i książkę o sztuczkach z monetami, a także, mimo chwilowego żalu, gładkie metalowe dyski, przemycone z warsztatu, służące mu za monety. Na zewnątrz będzie miał mnóstwo prawdziwych monet. Ogolił się i przebrał. Przechodził przez kolejne drzwi, wiedząc, że nigdy więcej w nich nie stanie. Czuł tylko pustkę.

Zaczęło padać. Z szarego nieba lał się zamarzający deszcz. Grudki lodu kłuły twarz Cienia. Cienki płaszcz przemókł błyskawicznie podczas krótkiego marszu do żółtego, dawniej szkolnego autobusu, który zawiezie ich do najbliższego miasta.

Nim do niego dotarli, byli kompletnie przemoczeni. Ośmiu odjeżdżało, półtora tysiąca zostało w środku. Cień usiadł w autobusie, dygocząc, póki nie zadziałało ogrzewanie. Zastanawiał się, co teraz zrobi, dokąd pójdzie.

Jego głowę wypełniły widmowe obrazy. W wyobraźni dawno temu opuszczał inne więzienie.

Bardzo długo tkwił w pozbawionym światła pomieszczeniu: brodę miał bujną, włosy zmierzwione. Strażnicy sprowadzili go szarymi kamiennymi stopniami na plac pełen barw i kształtów, ludzi i przedmiotów. Był dzień targowy. Oszołomił go hałas i kolory. Mrużył oczy w zalewającym plac blasku słońca. W nozdrzach czuł słoną wilgoć, którą było przesycone powietrze, zapach towarów z targu. Po lewej stronie woda migotała w słońcu…

Autobus trząsł się cały podczas jazdy.

Wokół nich zawodził wiatr. Wycieraczki poruszały się ciężko tam i z powrotem na szybie, rozmazując obraz miasta, zmieniając go w plamy żółci i neonowej czerwieni. Było wczesne popołudnie, zza szyby jednak wydawało się, że zapadła noc.

— Niech to szlag — rzekł mężczyzna siedzący za Cieniem, przecierając zaparowane okno i przyglądając się mokrej postaci spieszącej chodnikiem. — Widzę tu cipki.

Cień przełknął ślinę. Nagle przyszło mu do głowy, że jeszcze się nie rozpłakał — w ogóle niczego nie czuł. Ani łez, ani żalu. Niczego.

Przypomniał sobie o znajomym gościu, Johnniem Larchu. Mieszkał z nim w jednej celi. Johnnie opowiedział Cieniowi, jak

kiedyś wyszedł po pięciu latach za kratami z setką dolarów w kieszeni i biletem do Seattle, gdzie mieszkała jego siostra.

Johnnie Larch dotarł na lotnisko, wręczył kobiecie za ladą bilet, a ona poprosiła o pokazanie prawa jazdy.

Zrobił to. Ważność prawa wygasła parę lat wcześniej. Kobieta oznajmiła, że nie jest to ważny dokument. Odparł, że może nie jako prawo jazdy, ale pozostaje dokumentem, a zresztą kim innym niby jest, jeśli nie gościem ze zdjęcia, do diabła.

Poprosiła, by zniżył ton głosu.

Odparł, żeby dała mu pieprzoną kartę pokładową, bo pożałuje. Powinna potraktować go z szacunkiem. W więzieniu nie pozwala się innym na okazywanie braku szacunku.

Wtedy kobieta nacisnęła przycisk. Kilka chwil później zjawili się ludzie z ochrony, próbując przekonać Johnniego Larcha, by spokojnie opuścił lotnisko. On jednak nie chciał i doszło do utarczki.

W rezultacie Johnnie Larch nie dotarł do Chicago. Następnych kilka dni spędził w miejskich barach, a gdy wydał już sto dolarów, napadł na stację benzynową z plastikowym pistoletem-zabawką, żeby zdobyć pieniądze na dalsze picie. W końcu został aresztowany za sikanie na ulicy. Wkrótce znów trafił za kraty, odsiadując resztę wyroku plus niewielki dodatek za napad na stację.

A morał całej tej historii, według Johnniego Larcha, brzmiał: nie należy wkurzać ludzi pracujących na lotnisku.

— Jesteś pewien, że nie chodzi raczej o to, iż „zachowanie sprawdzające się w niezwykłym otoczeniu, takim jak więzienie, nie sprawdza się, a nawet więcej, może szkodzić, gdy znajdziemy się poza podobnym środowiskiem”? — spytał Cień, gdy Johnnie Larch opowiedział mu swoją historię.

— Nie. Słuchaj mnie. Słuchaj tego, co mówię, stary — odparł Johnnie Larch. — Nie wkurzaj suk z lotniska.

Cień uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. Jego własne prawo jazdy będzie ważne jeszcze przez kilkanaście miesięcy.

— Dworzec autobusowy! Wszyscy wysiadać!

Budynek cuchnął moczem i spleśniałym piwem. Cień wgramolił się do taksówki i kazał kierowcy zawieźć się na lotnisko. Powiedział, że dorzuci pięć dolarów napiwku, jeśli tamten będzie milczał. Po dwudziestu minutach znaleźli się na miejscu. Kierowca nie odezwał się ani słowem.

A potem Cień, potykając się, wędrował już przez jasno oświetlony terminal. Martwił się trochę, co będzie z elektronicznym biletem. Wiedział, że ma miejsce na lot w piątek, ale czy uda mu się odlecieć dzisiaj? Cieniowi wszystko, co elektroniczne, przypominało magię. Obawiał się, że w każdej chwili może zniknąć.

Miał jednak swój portfel — po raz pierwszy od trzech lat trzymał

go w ręku — a w środku kilka nieważnych kart kredytowych i jedną Vise, której ważność, co odkrył z miłym zdumieniem, kończyła się dopiero w styczniu. Miał też numer rezerwacji. Nagle uświadomił sobie też, iż jest dziwnie pewien, że jeśli tylko dotrze do domu, wszystko jakoś się ułoży: Laura wróci. Może to podstęp, aby wyciągnąć go kilka dni wcześniej? Albo nastąpiła pomyłka: z wraku na autostradzie wyciągnięto ciało jakiejś innej Laury Moon.

Na zewnątrz, za oszklonymi ścianami lotniska zajaśniała błyskawica. Cień odkrył, że wstrzymuje oddech, czeka na coś. Odległy grzmot. Odetchnął głęboko. Zza lady spojrzała na niego zmęczona biała kobieta.

— Dzień dobry — powiedział Cień. *Jesteś pierwszą kobietą, z którą rozmawiam od trzech lat.* — Mam numer biletu elektronicznego. Miałem lecieć w piątek, ale muszę dzisiaj — śmierć w rodzinie.

— Mmm, bardzo mi przykro. — Wystukała coś na klawiaturze, spojrzała na ekran, znów zaczęła pisać. — Nie ma problemu. Wpisałam pana na trzecią trzydzieści. Lot może się opóźnić z powodu burzy, więc proszę uważać. Jakiś bagaż?

Uniósł torbę.

— Nie muszę tego zdawać, prawda?

— Nie — rzekła. — Nie musi pan. Ma pan dokument ze zdjęciem?

Cień pokazał jej prawo jazdy.

Lotnisko nie było duże, lecz zdumiało go, ile kręciło się po nim ludzi. Patrzył, jak od niechcenia odkładają torby, wsuwają niedbale portfele do tylnych kieszeni, zostawiają torebki pod krzesłami. I wtedy na dobre pojął, że już nie jest w więzieniu.

Zostało pół godziny do otwarcia bramki. Cień kupił sobie kawałek pizzy i oparzył wargę gorącym serem. Odebrał resztę, podszedł do telefonu. Zadzwonił do Robbiego, do siłowni. Odebrała jednak automatyczna sekretarka.

— Cześć, Robbie. Powiedzieli, że Laura nie żyje. Wypuścili mnie wcześniej. Wracam do domu.

A potem, ponieważ ludzie popełniają błędy — sam często to widywał — zadzwonił do domu i wysłuchał głosu Laury.

— Cześć — rzekła. — Nie ma mnie albo nie mogę podejść do telefonu. Zostaw wiadomość, a ja oddzwonię. Miłego dnia.

Nie mógł się zmusić, by cokolwiek powiedzieć.

Usiadł na plastikowym krześle obok bramki, ściskając torbę tak mocno, że rozbolała go dłoń.

Myślał o swym pierwszym spotkaniu z Laurą. Wtedy nie znał nawet jej imienia. Była przyjaciółką Audrey Burton. Siedzieli z Robbiem w kabinie w Chi-Chi. Laura wmaszerowała tam tuż za Audrey i Cień nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała długie kasztanowe włosy i oczy tak niebieskie, iż z początku sądził, że

założyła barwne szkła kontaktowe. Zamówiła truskawkowe daiquiri i uparła się, by go spróbował. A kiedy to zrobił, zaśmiała się radośnie.

Laura uwielbiała, gdy ludzie kosztowali tego, co ona.

Tego wieczoru pocałował ją na dobranoc. Smakowała truskawkowym daiquiri. Już nigdy nie miał ochoty pocałować kogoś innego.

Kobiecy głos oznajmił, że rozpoczyna się przyjmowanie na pokład pasażerów, i Cień znalazł się wśród pierwszych wywołanych nazwisk. Siedział na samym końcu obok pustego miejsca. Deszcz bębnił o ścianę samolotu. Cień wyobrażał sobie małe dzieci, ciskające z nieba garściami wysuszony groszek.

Tuż po starcie zasnął.

Był w mrocznym miejscu. Patrząca na niego istota miała głowę bawołu, paskudną, włochatą, o wielkich wilgotnych oczach. Głowa tkwiła na ciele mężczyzny: szczupłym i naoliwionym.

— Zbliżają się zmiany — oznajmił bawół, nie poruszając ustami. — Trzeba podjąć pewne ‘decyzje.

Na wilgotnych ścianach jaskini zalśniło odbicie błyskawicy.

— Gdzie jestem? — spytał Cień.

— W ziemi i pod ziemią — odparł człowiek-bawół. — Tam gdzie czekają zapomniani. — Jego czarne oczy lśniły niczym szklane kulki. Głos przypominał grzmot z głębin świata. Pachniał mokrym zwierzęciem. — Uwierz — rzekł bawół. — Jeśli masz przeżyć, musisz wierzyć.

— Wierzyć? W co? — spytał Cień. — W co mam uwierzyć?

Człowiek-bawół patrzył na Cienia. Wyprostował się i jakby nagle urósł. W jego oczach zapłonął ogień. Otworzył zaśliniony pysk. Jego wnętrze także było czerwone. Płonęło ogniem wnętrza ciała spod ziemi.

— We wszystko! — ryknął człowiek-bawół.

Świat pochylił się i zawirował — i Cień znów siedział w samolocie. Lecz wszystko wokół wciąż się kołysało. Na przedzie samolotu jakaś kobieta krzyknęła.

Wokół nich zajaśniały błyskawice. Przez interkom usłyszeli głos kapitana, który informował, że spróbuje nabrać wysokości, by uwolnić się od burzy.

Samolot kołysał się i dygotał. Cień zastanowił się przelotnie, czy wkrótce zginie. Uznał, że to możliwe, lecz mało prawdopodobne. Wyglądał przez okno, patrząc na horyzont rozświetlony jasnymi błyskawicami.

A potem znów zasnął. Śniło mu się, że wrócił do więzienia, a Lokaj szepcze w kolejce po żarcie, że ktoś wykupił kontrakt na jego życie. Cień jednak nie mógł się dowiedzieć kto ani dlaczego. A kiedy się obudził, podchodzili do lądowania.

Wygramolił się z samolotu, mrugając w oszołomieniu.

Wszystkie lotniska w gruncie rzeczy wyglądają tak samo — nieważne gdzie jesteś, jesteś na lotnisku. Kafelki, korytarze, toalety, bramki, kioski z gazetami, jarzeniówki. To lotnisko także wyglądało typowo; niestety, jednak nie było miejscem, do którego zmierzał. Było stanowczo za duże. Zbyt wiele ludzi, zdecydowanie zbyt wiele bramek.

— Przepraszam panią?

Kobieta spojrzała na niego znad papierów.

— Słucham?

— Co to za lotnisko?

Przyjrzała mu się, zaskoczona, jakby próbując stwierdzić, czy z niej żartuje.

— St. Louis — odparła w końcu.

— Myślałem, że samolot leci do Eagle Point.

— Bo leciał. Skierowali go tutaj z powodu burzy. Nie ogłosili tego?

— Pewnie tak. Spałem.

— Musi pan porozmawiać z tamtym człowiekiem w czerwonej kurtce.

Mężczyzna niemal dorównywał mu wzrostem. Wyglądał jak ojciec z sitkomu z lat siedemdziesiątych. Wpisał coś w komputer i kazał Cieniowi ruszyć — biegiem! — do bramki po drugiej stronie terminalu.

Cień przebiegł przez lotnisko. Gdy jednak dotarł na miejsce, drzwi już się zamykały. Patrzył przez szybę na startujący samolot.

Kobieta na stanowisku pomocy (niska, brązowoskóra, z pieprzykiem na nosie) naradziła się z jeszcze jedną kobietą, gdzieś zatelefonowała („Nie, to niemożliwe. Właśnie go odwołali”.), po czym wydrukowała kolejną kartę pokładową.

— To dla pana — oznajmiła. — Zadzwonimy na bramkę i uprzedzimy, że już pan idzie.

Cień czuł się jak groszek przerzucany między trzema kupkami. Jak karta wtasowywana w talię. Znów biegł przez lotnisko, by trafić w pobliże miejsca, w którym wysiadł.

Drobny mężczyzna przy bramce odebrał od niego kartę pokładową.

— Czekaliśmy na pana — powiedział, oddzierając pasek z numerem miejsca 17D. Cień wbiegł do samolotu. Drzwi zamknęły się tuż za nim.

Przeszedł przez przedział pierwszej klasy — zaledwie cztery fotele, trzy z nich zajęte. Brodaty człowiek w jasnym garniturze, siedzący przy pustym miejscu z przodu, uśmiechnął się szeroko, po czym uniósł rękę i gdy Cień przechodził obok, postukał w zegarek.

Tak, tak, przeze mnie się spóźnisz — pomyślał Cień. — Obyś nie miał większych zmartwień.

Wędrował między fotelami. Uznał, że samolot jest prawie pełny, kiedy jednak dotarł na koniec, odkrył jak bardzo — na miejscu 17D siedziała już kobieta w średnim wieku. Cień pokazał jej kupon z karty. Ona wyjęła swój. Były identyczne.

— Zechce pan zająć miejsce — poprosiła stewardesa.

— Niestety — odparł. — Nie mogę.

Stewardesa mlasnęła językiem, sprawdziła karty pokładowe, potem poprowadziła go na przód samolotu i wskazała pusty fotel w pierwszej klasie.

— Chyba ma pan dziś szczęście — powiedziała. — Życzy pan sobie coś do picia? Mamy dość czasu przed startem. Jestem pewna, że po tym wszystkim ma pan ochotę na drinka.

— Poproszę piwo — powiedział Cień. — Jakie państwo mają.

Stewardesa odeszła.

Mężczyzna w jasnym garniturze, siedzący obok Cienia, postu-kał paznokciem w zegarek — czarny Rolex.

— Spóźniłeś się — oznajmił i uśmiechnął się szeroko. W tym uśmiechu nie było ani krzty ciepła.

— Słucham?

— Powiedziałem, że się spóźniłeś.

Stewardesa wręczyła Cieniowi szklankę piwa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy jego sąsiad przypadkiem nie oszalał. Potem uznał, że zapewne chodzi mu o samolot czekający na ostatniego pasażera.

— Przepraszam, że was zatrzymałem — rzekł uprzejmie. — Spieszy się pan?

Samolot cofnął się od bramki. Stewardesa wróciła i odebrała Cieniowi piwo. Mężczyzna w jasnym garniturze uśmiechnął się do niej, mówiąc: „Nie martw się, moja droga, będę jej pilnował", a ona pozwoliła mu zatrzymać szklankę Jacka Danielsa, protestując bez przekonania, że stanowi to naruszenie przepisów. (Pozwól, że ja to osądzę, moja droga).

— Czas jest tu niewątpliwie istotny — oznajmił mężczyzna. — Ale nie, martwiłem się po prostu, że nie zdążysz na samolot.

— To bardzo uprzejme z pańskiej strony.

Samolot tkwił niespokojnie na ziemi, drżąc z niecierpliwości. Silniki ryczały, gotowe do startu.

— Uprzejme, akurat — mruknął mężczyzna w jasnym garniturze. — Mam dla ciebie pracę, Cień.

Głośniejszy ryk silników. Mały samolot szarpnął się naprzód, wciskając Cienia w siedzenie — a potem byli już w powietrzu. Światła lotniska gasły w dole. Cień przyjrzał się uważnie siedzącemu obok

człowiekowi.

Mężczyzna miał rudosiwe włosy, brodę bardzo krótką, siwo-rudą. Kanciasta, kwadratowa twarz, jasnoszare oczy. Garnitur wyglądał na kosztowny. Miał barwę stopionych lodów waniliowych. Do tego krawat z ciemnoszarego jedwabiu i spinka w kształcie srebrnego drzewa: pień, gałęzie, głębokie korzenie.

Podczas startu trzymał szklankę Jacka Danielsa. Nie uronił ani kropli.

— Nie spytasz, jaką pracę? — rzekł.

— Skąd pan wie, kim jestem?

Mężczyzna zaśmiał się.

— Odkrycie tego, jak nazywają się ludzie, to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Trochę wiedzy, trochę szczęścia, odrobina pamięci. Spytaj, jaką pracę.

— Nie — odparł Cień. Stewardesa przyniosła mu kolejną szklankę piwa. Pociągnął łyk.

— Czemu nie?

— Wracam do domu. Czeka tam już na mnie praca. Nie chcę innej.

Szeroki uśmiech mężczyzny w zasadzie się nie zmienił. Teraz jednak Cień dostrzegł w nim rozbawienie.

— W domu nie czeka na ciebie żadna praca. Nic tam na ciebie nie czeka. Ja tymczasem proponuję ci całkowicie legalne zajęcie — niezłą płacę, niezłe zabezpieczenie, imponujące premie. Jeśli pożyjesz dość długo, dorzucę nawet plan emerytalny. Masz na to ochotę?

— Pewnie przeczytał pan moje imię na nalepce na torbie — powiedział Cień.

Tamten milczał.

— Kimkolwiek pan jest, nie mógł pan wiedzieć, że polecę tym samolotem. Sam tego nie wiedziałem. I gdyby mój lot nie został skierowany do St. Louis, w ogóle by mnie tu nie było. Podejrzewam, że robi pan sobie dowcip. Może to jakiś numer, ale będzie lepiej, jeśli zakończymy naszą rozmowę.

Cień wziął magazyn lotniczy. Mały samolocik podskakiwał na niebie, utrudniając koncentrację. Słowa pływały w jego umyśle niczym mydlane bańki, gdy je czytał, by po sekundzie zniknąć bez śladu.

Sąsiad pił w milczeniu swojego Jacka Danielsa. Miał zamknięte oczy. Cień odczytał listę kanałów muzycznych dostępnych na pokładzie samolotów transatlantyckich. Potem obejrzał mapę świata, pokreśloną czerwonymi liniami tras linii lotniczej. Przejrzał do końca magazyn, zamknął go z wahaniem i wsunął do kieszeni.

Nieznajomy mężczyzna otworzył oczy. Jest w nich coś dziwnego — pomyślał Cień. Jedno wydawało mu się ciemniejsze niż drugie. Spojrzał na Cienia.

— A przy okazji — rzekł — przykro mi z powodu twojej żony, Cień. To wielka strata.

W tym momencie Cień o mało go nie uderzył. Zamiast tego odetchnął głęboko (gdzieś w jego umyśle odezwał się głos John-niego Larcha: „Jak już mówiłem, nie wkurzaj tych suk z lotniska, bo wrócisz tu szybciej niż zdążyłbyś splunąć"). Policzył do pięciu.

— Mnie także — odparł.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Gdyby tylko dało się coś zrobić — westchnął.

— Zginęła w wypadku samochodowym — powiedział Cień. — Istnieją gorsze rodzaje śmierci.

Tamten znów pokręcił głową. Przez chwilę Cień miał wrażenie, jakby jego sąsiad stał się niematerialny, jakby samolot nabrał rzeczywistości, podczas gdy mężczyzna ją utracił.

— Posłuchaj, Cień, to nie jest żart ani dowcip. Mogę zapłacić ci lepiej niż ktokolwiek inny. Jesteś byłym więźniem. Nie sądzisz chyba, że ustawi się do ciebie długa kolejka pracodawców?

— Panie, kimkolwiek pan jest, do diabła! — odparł Cień dostatecznie głośno, by było go słychać ponad rykiem silników. — Na całym świecie nie istnieje dość forsy.

Uśmiech tamtego stał się jeszcze szerszy. Cień przypomniał sobie oglądany kiedyś dokument o szympansach. Mówiono w nim, że małpy i szympansy uśmiechają się tylko po to, by zademonstrować zęby w grymasie agresji, przerażenia bądź nienawiści. Kiedy szympans się uśmiecha, oznacza to groźbę.

— Pracuj dla mnie. Oczywiście, istnieje pewne ryzyko, ale jeśli przeżyjesz, dostaniesz wszystko, czego tylko zapragniesz. Możesz zostać nowym królem Ameryki. Kto inny zapłaci aż tyle? Hmm?

— Kim pan jest? — spytał Cień.

— A, tak. Era informacji. Młoda damo, zechcesz nalać mi kolejną szklaneczkę Jacka Danielsa? Nie za dużo lodu. Nie, żeby oczywiście kiedykolwiek istniała inna era. Informacja i wiedza: oto dwie waluty, które nigdy nie wyjdą z mody.

— Pytałem, kim pan jest?

— Pomyślmy. Dziś mamy środę, a że to mój dzień, nazywaj mnie Wednesday, Panem Wednesday. Choć, zważywszy na pogodę, równie dobrze mógłbym nazywać się Thursday.

— A jak nazywa się pan naprawdę?

— Popracuj dla mnie dość długo i dość dobrze — odparł mężczyzna — a może nawet ci powiem. Proszę. Propozycja pracy. Zastanów się nad nią. Nie oczekuję, że zgodzisz się natychmiast. Nie wiesz w końcu, czy nie wskakujesz właśnie do zbiornika z piraniami albo klatki pełnej niedźwiedzi. Mam czas. — Zamknął oczy i odchylił się w fotelu.

— Raczej nie — powiedział Cień. — Nie podoba mi się pan. Nie chcę dla pana pracować.

— Jak już mówiłem — odparł tamten, nie otwierając oczu — nie spiesz się. Przemyśl sprawę.

Samolot wylądował z lekkim podskokiem i kilkoro pasażerów zeń wysiadło. Cień ujrzał niewielkie lotnisko na pustkowiu. Od Eagle Point dzieliły go jeszcze dwa lądowania. Zerknął na mężczyznę w jasnym garniturze — pana Wednesdaya? Zdawało się, że śpi.

Wiedziony nagłym impulsem Cień wstał, złapał torbę i zbiegł po stopniach samolotu na śliski mokry asfalt. Miarowym krokiem ruszył w stronę świateł terminalu. Na twarzy czuł krople deszczu.

Już na progu zatrzymał się i obrócił. Nikt więcej nie wysiadł z samolotu. Obsługa lotniska odsunęła już schodki, drzwi zamknęły się i samolot wystartował. Cień wszedł do środka i wynajął samochód. Na parkingu okazało się, że to mała czerwona toyota.

Rozłożył na fotelu obok mapę, którą dostał w punkcie wynajmu. Od Eagle Point dzieliło go około dwieście pięćdziesiąt mil.

Burze minęły, jeśli w ogóle dotarły tak daleko. Było zimno i jasno. Obłoki przemykały przed tarczą księżyca; przez moment Cień nie wiedział, czy to one się poruszają, czy też księżyc.

Przez półtorej godziny jechał na północ.

Robiło się późno. Poczuł głód i gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny, skręcił na następnym zjeździe do miasteczka Nottamun (1301 mieszkańców). Napełnił bak na stacji Amoco i spytał znudzoną kobietę za kasą, gdzie mógłby dostać coś do zjedzenia.

— Krokodylowy bar Jacka — oznajmiła. — Na zachód od drogi N.

— Krokodylowy bar?

— Tak. Jack twierdzi, że krokodyle dodają charakteru. — Narysowała mu mapkę na odwrocie liliowej broszurki, reklamującej zabawę z pieczeniem kurczaków i zbiórkę pieniędzy dla dziewczynki oczekującej na przeszczep nerki. — Hoduje kilka krokodyli, węża i jedną z tych wielkich jaszczurek.

— Iguanę?

— Właśnie.

Przejechał przez miasto, most, pokonał parę mil i w końcu zatrzymał się przy niskim prostokątnym budynku ze świecącym neonem Pabsta.

Parking był pusty.

Wewnątrz baru wisiał w powietrzu gęsty dym. Z szafy grającej dobiegały dźwięki „Walking After Midnight”. Cień rozejrzał się w poszukiwaniu krokodyli, ale ich nie dostrzegł. Zastanowił się przelotnie, czy kobieta ze stacji benzynowej przypadkiem go nie nabrała.

— Co pan sobie życzył — spytał barman.

— Piwo i hamburgera ze wszystkimi dodatkami. Frytki.

— Talerz chili na początek? Mamy najlepsze w stanie.

— Brzmi nieźle — rzekł Cień. — Gdzie jest toaleta?

Mężczyzna wskazał drzwi w kącie baru. Na ich środku powieszono głowę wypchanego aligatora. Cień nacisnął klamkę.

Był w jasnej czystej łazience. Najpierw rozejrzał się wiedziony przyzwyczajeniem (Pamiętaj, Cień, kiedy sikasz, nie możesz się bić", odezwał się w jego głowie Lokaj, jak zwykle cicho). Zajął pisuar po lewej, rozpiął rozporek i z ogromną ulgą sikał całą wieczność. Odczytał oprawiony w ramkę pożółkły wycinek z gazety, wiszący na ścianie na poziomie oczu, okraszony zdjęciem Jacka i dwóch aligatorów.

Znad pisuaru tuż obok rozległo się uprzejme chrząknięcie, choć Cień nie widział, by ktokolwiek wchodził do toalety.

Mężczyzna w jasnym garniturze był wyższy, niż myślał Cień, widząc go siedzącego w fotelu obok. Prawie dorównywał mu wzrostem, a Cień był naprawdę wysoki. Patrzył wprost przed siebie. Skończył sikać, strząsnął ostatnie kilka kropel i zapiął rozporek.

Potem uśmiechnął się szeroko, niczym lis wyżerający przynętę ze zwoju kolczastego drutu.

— Miałeś czas, żeby się zastanowić, Cień — powiedział pan Wednesday. — Chcesz tę pracę?

GDZIEŚ W AMERYCE

Los Angeles, 23.26

W ciemnoczerwonym pokoju — barwa ścian przywodzi na myśl surową wątróbkę — stoi wysoka kobieta ubrana w karykaturalne, zbyt ciasne jedwabne szorty. Żółta, wiązana pod piersiami bluzka, unosi je i ściska. Kobieta ma czarne włosy, zaczesane do góry i spięte w węzeł. Obok niej czeka niski mężczyzna w oliwkowym podkoszulku i drogich niebieskich dżinsach. W prawej dłoni trzyma portfel i telefon komórkowy Nokia w czerwono-biało-niebieskiej obudowie.

Głównym meblem w czerwonym pokoju jest łóżko, zasłane białą pościelą ze sztucznej satyny i krwistoczerwoną kapą. U stóp łóżka stoi mały drewniany stolik, na nim niewielki kamienny posążek kobiety o potwornie szerokich biodrach i świecznik.

Kobieta wręcza mężczyźnie wielką czerwoną świecę.

— Proszę, zapal ją.

— Ja?

— Tak. Jeśli chcesz mnie mieć.

— Trzeba było kazać ci obciągnąć w wozie.

— Może. Nie chcesz mnie? — Kobieta przesuwa dłonią po ciele, od ud po piersi, jakby demonstrowała nowy produkt.

Czerwony jedwabny szalik zarzucony na lampę w rogu nadaje barwę światłu.

Mężczyzna patrzy na nią głodnym wzrokiem, bierze świecę i wsuwa do świecznika.

— Masz czym zapalić?

Wręcza mu pudełko zapałek, a on wyjmuje jedną i zapala knot. Przez moment płomyk mruga, potem rozjarza się i uspokaja. Jego migotanie sprawia, że pozbawiona twarzy figurka, złożona z bioder i piersi, sprawia wrażenie, jakby zaczynała się poruszać.

— Wsuń pieniądze pod posążek.

— Pięćdziesiąt dolców.

— Tak. A teraz chodź, kochaj się ze mną.

Mężczyzna rozpina dżinsy i zdejmuje koszulkę, a ona masuje brązowymi palcami jego białe ramiona, po czym obraca go i zaczyna pieścić rękami, palcami i językiem.

Mężczyzna ma wrażenie, że światła w czerwonym pokoju przygasły. Jedyny blask daje płonąca jasno świeca.

— Jak się nazywasz? — pyta.

— Bilquis — odpowiada kobieta, unosząc głowę. — Przez q.

— Jak?

— Nieważne.

Mężczyzna zaczyna dyszeć.

— Chcę cię pieprzyć — mówi. — Muszę cię pieprzyć.

— W porządku, złotko, zrobimy to. Ale czy ty zechcesz przy okazji coś dla mnie zrobić?

— Hej — rzuca on z nagłą irytacją. — To ja ci płacę!

Kobieta dosiada go jednym płynnym ruchem.

— Wiem, kochanie — szepce — wiem, że mi płacisz, a przecież popatrz tylko na siebie. To ja powinnam ci zapłacić, mam takie szczęście…

On ściąga wargi, próbując pokazać, że kurewskie gadanie na niego nie działa, nie da się nabrać. Na miłość boską, to w końcu tylko uliczna dziwka, a on jest producentem filmowym. Doskonale zna się na naciąganiu. Ona jednak nie prosi o pieniądze, zamiast tego mówi:

— Złotko, kiedy mi go dasz, kiedy wsadzisz mi swego wielkiego i twardego, czy mógłbyś mnie wielbić?

— Co takiego?

Teraz podskakuje na nim; napuchnięta główka penisa trze coraz mocniej o jej mokry srom.

— Czy zechcesz nazwać mnie boginią? Modlić się do mnie? Oddawać mi cześć całym swym ciałem?

Mężczyzna uśmiecha się. Tylko tego jej potrzeba? W końcu każdy ma swoje odchylenia.

— Jasne — mówi.

Ona sięga dłonią między nogi i wsuwa go do środka.

— Dobrze ci, moja bogini? — wystękuje.

— Oddawaj mi cześć, złotko — mówi Bilquis, dziwka.

— Tak — szepcze mężczyzna. — Wielbię twoje piersi, włosy i cipę. Wielbię twoje uda, oczy i wiśniowe usta…

— Tak… — jęczy kobieta.

— Wielbię twoje sutki, z których wypływa mleko życia. Twój pocałunek to miód, twój dotyk pali niczym ogień, a ja go wielbię. — Jego słowa stają się coraz bardziej rytmiczne, podkreślają tempo, w którym kołyszą się i podskakują ich ciała. — Rankiem daj mi swą żądzę, a wieczorem ulgę i błogosławieństwo. Pozwól, bym nietknięty wędrował przez ciemność i znów przybył do ciebie, by spać u twego boku i kochać się z tobą. Wielbię cię wszystkim, co mam w sobie, wszystkim wewnątrz mego umysłu, tym gdzie byłem, czym śniłem… — Urywa, dysząc, gwałtownie. — Co ty ze mną robisz? To zdumiewające, wspaniałe… — Patrzy w dół ku biodrom miejscu, w którym są złączeni, lecz jej palec wskazujący sięga do jego brody i unosi głowę. Znów widzi wyłącznie jej twarz i sufit.

— Mów dalej, złotko. Nie przestawaj. Czy nie jest ci dobrze?

— Lepiej niż kiedykolwiek w życiu — odpowiada mężczyzna szczerze. — Twoje oczy są jak gwiazdy płonące — o żesz! — na firmamencie, twoje wargi to łagodne fale, liżące piasek, a ja je wielbię. — Teraz wchodzi w nią coraz głębiej, czuje się jak naelektryzowany, jakby całą dolną połowę jego ciała przepełniała energia seksualna; olbrzymi, napuchnięty, zachwycony.

— Obdarz mnie swym darem — mruczy, nie wiedząc już sam, co mówi — twym prawdziwym darem. I spraw, by zawsze było tak… Zawsze… Modlę się o to… Ja…

I wtedy rozkosz osiąga szczyt i przechodzi w orgazm. Jego umysł osuwa się w otchłań, głowa, myśli, cała istota pogrążają się w pustce, a on wnika coraz głębiej i głębiej, i głębiej…

Z zamkniętymi oczami, wstrząsany dreszczem, napawa się tą chwilą, a potem czuje szarpnięcie. Ma wrażenie, jakby wisiał głową w dół, choć rozkosz nie ustaje.

Otwiera oczy.

Przez sekundę rozpaczliwie poszukując logiki, myśli o narodzinach, a potem, w chwili idealnego postkoitalnego olśnienia zastanawia się, czy to, co widzi, nie jest przypadkiem złudzeniem.

Oto co widzi:

Tkwi w niej aż po pierś i gdy tak patrzy ze zdumieniem i niedowierzaniem, kobieta kładzie dłonie na jego ramionach i zaczyna popychać łagodnie.

Wsuwa się w nią głębiej.

— Jak mi to robisz? — pyta, albo przynajmniej tak mu się zdaje; być może słowa dźwięczą tylko w jego głowie.

— To ty to robisz, złotko — odpowiada szeptem kobieta.

Mężczyzna czuje wargi i pochwę zaciskające się wokół piersi i pleców, obejmujące go, pochłaniające. Zastanawia się, jaki przedstawiają sobą widok, i czemu on się nie boi. A potem już wie.

— Wielbię cię moim ciałem — szepcze w chwili, gdy ona wsuwa go w głąb siebie. Śliskie wargi sromowe przesuwają się po twarzy mężczyzny, jego oczy pochłania ciemność.

Kobieta przeciąga się na łóżku niczym wielki kot, a potem ziewa.

— Tak — mówi. — Wielbisz.

Nokia zaczyna odgrywać wysoką elektroniczną wersję „Ody do radości”. Kobieta podnosi telefon, naciska przycisk i unosi aparat do ucha.

Brzuch ma płaski, pochwę małą i zamkniętą. Jej czoło i górną wargę pokrywa lśniąca warstewka potu.

— Tak? — mówi. — Nie, złotko, nie ma go tutaj. Poszedł.

Kobieta wyłącza telefon, po czym pada na łóżko w ciemnoczerwonym pokoju. Raz jeszcze się przeciąga, zamyka oczy i zasypia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zabrali ją na cmentarz
Z paradą i łoskotem
Zabrali ją na cmentarz
Ale już nie z powrotem.

— Stara piosenka

— Pozwoliłem sobie — oznajmił pan Wednesday myjąc ręce w męskiej toalecie Krokodylowego Baru Jacka — zamówić swoje jedzenie do twojego stolika. W końcu mamy o czym pomówić.

— Nie sądzę — odparł Cień, wycierając dłonie w papierowy ręcznik. Zgniótł go i wrzucił do kosza.

— Potrzebujesz pracy — oznajmił Wednesday. — Ludzie nie zatrudniają byłych więźniów. Czują się wobec was niezręcznie.

— Czeka już na mnie praca. Dobra praca.

— Masz na myśli posadę na Farmie Siły?

— Może — rzekł Cień.

— Nie. Nie czeka. Robbie Burton nie żyje. Bez niego Farma Siły także jest martwa.

— Kłamca!

— Oczywiście. I to doskonały. Najlepszy, jakiego poznasz. Obawiam się jednak, że w tej kwestii nie kłamię. — Sięgnął do kieszeni, wyjął złożoną gazetę i wręczył ją Cieniowi. — Strona siódma. — dodał. — Chodź do baru, przeczytasz to przy stole.

Cień pchnięciem otworzył drzwi i wrócił do lokalu. Powietrze było sine od dymu. Z szafy grającej dobiegały głosy Dixie Cups śpiewających „Iko Iko". Cień uśmiechnął się lekko, poznając starą dziecięcą piosenkę.

Barman wskazał mu stolik w rogu. Po jednej stronie stał talerz pełen chili i hamburger, po drugiej krwisty stek oraz talerz frytek.

Spójrz na króla, króla czerwonego,
Iko, Iko caly dzień,
Zakład, że wkrótce z ręki zginiesz jego,
Jockamo-Feena-Deni.

Cień zajął swoje miejsce. Odłożył gazetę.

— To mój pierwszy posiłek na wolności. Przeczytam twoją stronę

siódmą, gdy skończę.

Wbił zęby w hamburgera. Był dużo lepszy niż hamburgery więzienne. Chili także jest niezłe, uznał po kilku łyżkach, choć z pewnością nie najlepsze w stanie.

Laura robiła pyszne chili. Używała do tego chudego mięsa, czerwonej fasoli, drobno posiekanej marchewki, butelki ciemnego piwa i świeżej, ostrej papryki. Jakiś czas gotowała to wszystko, po czym dodawała czerwone wino, sok z cytryny, szczyptę świeżego szczypiorku i wreszcie odmierzała własne przyprawy. Kilka razy Cień próbował namówić ją, by pokazała mu dokładnie, co robi. Obserwował każdy gest, od krojenia cebuli i wrzucania jej na oliwę, i zapisywał składnik po składniku. Kiedyś, gdy Laura wyjechała, przyrządził sobie jej chili. Smakowało nieźle — z pewnością nadawało się do jedzenia — ale to nie było chili Laury.

Notka na stronie siódmej stanowiła pierwszą relację ze śmierci żony, jaką przeczytał. Laura Moon — gazeta podała jej wiek: 27 lat — i Robbie Burton, 35, jechali autostradą samochodem Robbiego. Nagle skręcili wprost przed trzydziestodwukołową ciężarówkę, która otarła się o wóz Robbiego i zepchnęła go z drogi.

Ekipa ratunkowa wydobyła oboje z wraku. W chwili przybycia do szpitala już nie żyli.

Cień ponownie złożył gazetę i przesunął ja po blacie w stronę Wednesdaya, który zajadał się stekiem tak krwistym i ciemnym, iż było wątpliwe, żeby w ogóle tknął go kuchenny ogień.

— Proszę, zabierz ją — rzekł Cień.

Robbie prowadził. Musiał być pijany, choć w gazecie o tym nie wspominano. Cień wyobraził sobie twarz Laury, gdy ta zrozumiała, że Robbie za dużo wypił i nie może prowadzić. W jego umyśle pojawił się cały scenariusz. Cień nie mógł uwolnić się od obrazów: Laura krzycząca na Robbiego — krzycząca, by zjechał z drogi, a potem ogłuszające uderzenie. Kierownica wyrwana z rąk…

…samochód na poboczu. Stłuczone szkło połyskujące niczym odłamki lodu i brylanty w blasku reflektorów: rubiny krwi na asfalcie. Dwa ciała wyciągane z wraku, ułożone obok siebie na poboczu.

— I co? — spytał pan Wednesday. Skończył swój stek, pałaszując, jakby umierał z głodu. Teraz chrupał frytki. Kolejno nabijał je na widelec.

— Racja — odparł Cień. — Nie mam pracy.

Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę, reszką do góry. Podrzucił ją, natychmiast strącił palcem, udał, że obraca, złapał i przycisnął do wierzchu dłoni.

— Orzeł czy reszką? — spytał.

— Czemu?

— Nie chcę pracować dla kogoś, kto ma większego pecha niż ja.

Mów.

— Orzeł — oznajmił pan Wednesday.

— Przykro mi — odparł Cień, nie zerkając nawet na monetę. — Reszką, oszukałem.

— Oszukane gierki najłatwiej przejrzeć. — Wednesday skinął masywnym palcem na Cienia. — Sam zobacz.

Cień zerknął w dół i ujrzał orła.

— Musiałem się pomylić — rzekł zdumiony.

— Nie obwiniaj się. — Wednesday uśmiechnął się szeroko. — Ja po prostu mam ogromne szczęście. Uniósł wzrok. — A niech mnie, Szalony Sweeney. Napijesz się z nami?

— Southern Comfort z colą bez lodu — odparł ktoś zza pleców Cienia.

— Pójdę, pogadam z barmanem. — Wednesday wstał i zaczął przepychać się w stronę baru.

— Mnie nie spytasz, co piję? — zawołał za nim Cień.

— Już wiem, co pijesz — odparł Wednesday, stając przy barze. Z szafy grającej znów dobiegł głos Patsy Cline, śpiewającej „Walking after Midnight". Facet od Southern Comfort z colą, usiadł obok Cienia. Miał krótką rudą brodę, dżinsową kurtkę pokrytą kolorowymi łatami a pod nią poplamioną białą koszulę z napisem:

JEŚLI NIE MOŻESZ TEGO ZJEŚĆ, WYPIĆ, WYPALIĆ ALBO WCIĄGNĄĆ… TO PIEPRZ TO!

Na głowię nosił czapeczkę z hasłem:

KOCHAŁEM W ŻYCIU TYLKO JEDNĄ KOBIETĘ, ŻONĘ INNEGO — MOJA MATKĘ!

Brudnym paznokciem otworzył miękką paczkę Lucky Strike'ów. Wyjął papierosa, podsunął Cieniowi. Cień już miał odruchowo przyjąć — nie palił, lecz papierosy stanowiły doskonały towar wymienny — gdy uświadomił sobie, że przecież wyszedł z więzienia. Pokręcił głową.

— A zatem pracujesz dla niego? — spytał brodacz. Nie był trzeźwy, choć też i nie pijany.

— Na to wygląda — odparł Cień. — A ty co robisz?

— Jestem leprechaunem — oznajmił tamten z szerokim uśmiechem.

Cień nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Naprawdę? Nie powinieneś pić Guinessa?

— Stereotypy. Musisz nauczyć się wykraczać poza nie. Irlandia to znacznie więcej niż Guiness.

— Nie masz irlandzkiego akcentu.

— Zbyt długo tu już siedzę.

— Więc jednak pochodzisz z Irlandii?

— Mówiłem już, jestem leprechaunem, kurwa. My nie pochodzimy z Moskwy.

— Chyba nie.

Wednesday wrócił do stolika, niosąc w potężnych dłoniach trzy szklanki.

— Southern Comfort dla ciebie, Szalony Sweeney, mój stary. Dla mnie Jack Daniels, a to dla ciebie, Cień.

— Co to?

— Skosztuj.

Napój miał barwę ciemnego złota. Cień pociągnął łyk i poczuł na języku osobliwe połączenie kwasu i słodyczy. W głębi wyczuwał nutkę alkoholu i dziwne połączenie smaków. Przypominało to nieco więziennego bełta, robionego w worku na śmieci ze zgniłych owoców, chleba, cukru i wody, było jednak słodsze i znacznie dziwniejsze.

— W porządku — rzekł. — Skosztowałem. Co to?

— Miód — wyjaśnił Wednesday. — Miód z winem. Napój bohaterów. Napój bogów.

Cień pociągnął kolejny nieśmiały łyk. Owszem, wyczuwał w tym miód. To był jeden ze smaków.

— Trochę przypomina sos z marynaty — rzekł. — Słodki sos z marynaty z winem.

— Smakuje jak siki pijanego cukrzyka — zgodził się Wednesday. — Nienawidzę go.

— Czemu więc mi go przyniosłeś? — spytał rozsądnie Cień.

Wednesday spojrzał na niego swymi różnymi oczami. Cień pomyślał, że jedno z nich musi być szklane, ale nie potrafił zdecydować które.

— Przyniosłem ci miód, bo tak każe tradycja, a w tej chwili potrzebna nam każda szczypta tradycji. W ten sposób zapieczętujemy umowę.

— Nie zawarliśmy żadnej umowy.

— Oczywiście, że zawarliśmy. Teraz pracujesz dla mnie. Chronisz mnie. Przewozisz z miejsca na miejsce. Wykonujesz moje polecenia. W razie zagrożenia, ale tylko w wyjątkowym przypadku, robisz krzywdę ludziom, których należy skrzywdzić. Na wypadek mojej śmierci, co mało prawdopodobne, będziesz nade mną czuwał. W zamian dopilnuję zaspokojenia wszystkich twoich potrzeb.

— Oszuka cię — wtrącił Szalony Sweeney, drapiąc się po zjeżonej

rudej brodzie. — To oszust.

— Jasne, że jestem oszustem — odparł Wednesday. — Dlatego potrzebuję kogoś, kto się mną zajmie.

Piosenka dobiegła końca. Na chwilę w barze zapadła cisza. Nawet rozmowy umilkły.

— Ktoś kiedyś mi powiedział, że takie chwile ciszy następują jedynie dwadzieścia po albo za dwadzieścia. Nigdy inaczej — mruknął Cień.

Sweeney wskazał zegar na barze, tkwiący w masywnych, obojętnych szczękach głowy wypchanego aligatora. Wskazywał jedenastą dwadzieścia.

— O, proszę — dodał Cień. — Niech mnie diabli, jeśli wiem dlaczego.

— Ja wiem — odparł Wednesday. — Wypij miód.

Cień opróżnił szklankę jednym długim haustem.

— Z lodem byłby chyba lepszy — uznał.

— Albo nie — dodał Wednesday. — To paskudztwo.

— Rzeczywiście — zgodził się Szalony Sweeney. — Przepraszam na chwilę, panowie, poczułem jednak gwałtowną, naglącą potrzebę odlania się.

Wstał i odszedł — niewiarygodnie wysoki mężczyzna. Cień pomyślał, że musi mieć ponad dwa metry wzrostu.

— W każdym razie — podjął Wednesday — oto, czego oczekuję.

— Chciałbyś wiedzieć, czego ja oczekuję? — spytał Cień.

— Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej.

Kelnerka przyniosła szklankę. Lód nie pomógł — gorzej, wyostrzył jeszcze kwaśny posmak i sprawił, że dłużej pozostawał w ustach. Cień pocieszył się jednak myślą, że nie wyczuwa w trunku zbyt wiele alkoholu. Nie był jeszcze gotów, by się upić. Jeszcze nie.

Odetchnął głęboko.

— W porządku — rzekł. — Moje życie, któremu od trzech lat daleko było do najwspanialszego na świecie, właśnie gwałtownie się pogorszyło. Muszę załatwić kilka spraw. Chcę pojechać na pogrzeb Laury. Chcę się pożegnać. Powinienem uporządkować jej rzeczy. Jeśli nadal będziesz mnie potrzebował, zacznę od pięciuset dolarów tygodniowo. — Rzucił tę liczbę ot tak, z głowy. Oczy Wednesdaya pozostały nieprzeniknione. — Jeśli dobrze nam się będzie razem pracować, po sześciu miesiącach podniesiesz mi pensję do tysiąca tygodniowo. — Urwał. Od lat nie wygłosił równie długiej przemowy. — Mówisz, że może będę musiał zrobić komuś krzywdę. Zrobię to, jeśli spróbują skrzywdzić ciebie. Ale nie dla zysku bądź zabawy. Nie wrócę do więzienia. Jeden raz mi wystarczy.

— Nie będziesz musiał — wtrącił Wednesday.

— Nie — zgodził się Cień. — Nie będę.

Wysączył resztkę miodu. Gdzieś w głębi umysłu zakiełkowało podejrzenie, czy to aby nie miód tak na niego wpłynął, rozluźnił mu język. Słowa tryskały zeń niczym woda z zepsutego hydrantu i nie mógł ich powstrzymać.

— Nie lubię pana, panie Wednesday, czy jak tam się nazywasz. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie wiem, jak udało ci się wysiąść z samolotu i jak mnie znalazłeś, ale w tej chwili jestem na rozstajach. Kiedy skończymy, odejdę. Jeśli mnie wkurzysz, też odejdę. Do tego czasu pracuję dla ciebie.

— Doskonale — powiedział Wednesday. — Zawarliśmy zatem przymierze. I zgodziliśmy się.

— A co mi tam.

Po drugiej stronie sali Szalony Sweeney wpychał monety do szafy grającej. Wednesday splunął na dłoń i wyciągnął rękę. Cień wzruszył ramionami i także splunął. Uścisnęli sobie dłonie. Wednesday zaczął zaciskać palce. Cień odpowiedział tym samym. Po kilku sekundach zabolała go ręka. Tamten jeszcze przez moment ściskał mu dłoń. Potem ją wypuścił.

— Dobrze — rzekł. — Dobrze. Bardzo dobrze. Jeszcze jedna szklanka paskudnego, ohydnego, pieprzonego miodu do przypieczętowania umowy i załatwione.

— Dla mnie Southern Comfort z colą — wtrącił Sweeney, wracając na miejsce rozkołysanym krokiem.

Z szafy grającej dobiegły dźwięki Velvet Underground śpiewających „Who Loves the Sun". Cień pomyślał, że to dziwna piosenka, jak na takie miejsce, mało prawdopodobna, ale też cały ten wieczór stawał się z każdą chwilą coraz mniej prawdopodobny.

Zabrał ze stołu monetę, którą wcześniej rzucił w powietrze. Napawał się dotykiem nowiutkiej, błyszczącej ćwierćdolarówki. Wziął ją w prawą dłoń pomiędzy kciuk i palec wskazujący, udał, że przekłada do lewej jednym szybkim gestem, a tymczasem przycisnął palcem do wnętrza dłoni. Zacisnął lewą rękę wokół nieistniejącej ćwierćdolarówki. Potem wziął w prawą rękę drugą, pomiędzy palec i kciuk, i udając, że wrzucają do lewej dłoni, pozwolił, by uderzyła o poprzednią. Brzęk wzmocnił tylko złudzenie, że obie monety tkwią w lewej ręce, podczas gdy bezpiecznie trzymał je w prawej.

— Sztuczki z monetami, co? — spytał Sweeney, unosząc głowę. Rozczochrana broda zjeżyła się. — Jeśli lubisz sztuczki z monetami, to popatrz.

Wziął ze stołu pustą szklankę. Następnie wyciągnął rękę i wyjął z powietrza wielką monetę, złotą i błyszczącą. Wrzucił ją do szklanki, wyciągnął z powietrza kolejny pieniążek i posłał w ślady pierwszego. Zderzyły się z brzękiem. A potem zaczął zbierać monety z płomienia świecy w świeczniku na ścianie, z własnej brody, z pustej lewej dłoni

Cienia. Kolejno wrzucał je do szklanki. W końcu uniósł nad nią dłoń, dmuchnął mocno i kilka kolejnych monet posypało się z jego ręki. Przechylił szklankę nad kieszenią kurtki, wsypał do niej lepkie monety, a potem poklepał się po kieszeni, demonstrując, że jest pusta.

— Proszę — rzekł. — Oto prawdziwa sztuczka.

Cień, który obserwował wszystko uważnie, przechylił głowę.

— Muszę wiedzieć, jak to zrobiłeś.

— Zrobiłem to — odparł Sweeney, jakby zwierzał się z wielkiego sekretu — z klasą i wdziękiem. Oto, jak to zrobiłem. — Zaśmiał się bezgłośnie, odsłaniając szczerbate zęby, i zakołysał na piętach.

— Owszem — odparł Cień. — Tak właśnie to zrobiłeś. Musisz mnie tego nauczyć. Z tego, co czytałem o Marzeniu Biedaka, ukryłeś pewnie monety w ręce trzymającej szklankę i wrzucałeś je w chwili, gdy teoretycznie moneta była w prawej ręce.

— Brzmi strasznie skomplikowanie — rzekł Szalony Sweeney. — Łatwiej wyciągać je z powietrza.

— Dla ciebie, Cień, miód — oznajmił Wednesday. — Ja zostanę przy panu Jacku Danielsie. A dla naszego irlandzkiego amatora darmochy…

— Butelkę piwa, najlepiej ciemnego — dokończył Sweeney. — Amator darmochy, tak? — Wziął szklankę z resztką drinka i uniósł w toaście. — Oby burza przeszła bokiem, pozostawiając nas całych i zdrowych — rzekł i wypił.

— Piękny toast — mruknął Wednesday. — Ale tak nie będzie.

Przed Cieniem stanęła kolejna szklanka miodu.

— Muszę to wypić?

— Obawiam się, że tak. To przypieczętuje umowę. Do trzech razy sztuka.

— Cholera — westchnął Cień. Wysączył miód dwoma długimi łykami. Jego usta wypełnił kwaśnosłodki smak.

— Już — rzekł pan Wednesday. — Teraz jesteś mój.

— A zatem chcesz wiedzieć, jak to się robi?

— Tak — odparł Cień. — Trzymałeś je w rękawie?

— W ogóle nie były w moim rękawie. — Sweeney zachichotał pod nosem, kołysząc się i podskakując niczym chudy, brodaty wulkan, gotów wybuchnąć radością z powodu własnego geniuszu. — To najprostsza sztuczka na świecie. Będę się z tobą o nią bił.

Cień potrząsnął głową.

— Dzięki, nie skorzystam.

— To dopiero niezłe — powiedział Sweeney. — Stary Wednesday zatrudnił sobie ochroniarza, który boi się nawet podnieść pięści.

— Nie będę się z tobą bił — zgodził się Cień.

Sweeney kołysał się i pocił, bawiąc się czubkiem czapki. W końcu wyciągnął z powietrza jedną ze swych monet i położył ją na stole.

— Jeśli jesteś ciekaw, to prawdziwe złoto — oznajmił. — Wygrasz czy przegrasz — a przegrasz — będzie twoje. Tylko walcz. Duży z ciebie gość. Kto by pomyślał, że taki tchórz.

— Powiedział już, że nie będzie się z tobą bił — powiedział Wednesday. — Idź sobie, Szalony Sweeneyu. Zabierz piwo i zostaw nas w spokoju.

Sweeney zbliżył się o krok do Wednesdaya.

— Nazywasz mnie amatorem darmochy? Ty staruchu skazany na śmierć, zimnokrwisty stworze bez serca. Najlepiej, byś znów zawisł na swoim drzewie! — Jego twarz przybrała kolor głębokiej, gniewnej czerwieni.

Wednesday w uspokajającym geście uniósł dłonie przed sobą.

— Nie bądź głupi, Sweeney. Uważaj na to, co mówisz.

Sweeney posłał mu gniewne spojrzenie, a potem z powagą właściwą pijakom rzekł:

— Zatrudniłeś tchórza. Jak sądzisz, co by zrobił, gdybym cię zaatakował?

Wednesday odwrócił się do Cienia.

— Mam tego dosyć — oznajmił. — Załatw sprawę.

Cień wstał. Spojrzał prosto w twarz Szalonego Sweeneya. Jak wysoki jest ten człowiek? — zastanowił się przelotnie.

— Przeszkadzasz nam — oznajmił. — Jesteś pijany. Chyba powinieneś już iść.

Twarz tamtego rozjaśnił powolny uśmiech.

— No proszę. — Zamachnął się na Cienia wielką pięścią. Cień odskoczył. Ręka Sweeneya trafiła go pod prawe oko. Ujrzał rozbłyski światła i poczuł ból.

I tak zaczęła się bójka.

Sweeney walczył bez stylu, wiedzy, wyłącznie z entuzjazmem i energią: wielkie, zamaszyste, prymitywne ciosy, które chybiały równie często, jak trafiały.

Cień walczył defensywnie, ostrożnie, blokując ciosy Sweeneya bądź ich unikając. Doskonale zdawał sobie sprawę z obecności widzów. Goście w pośpiechu odciągali stoły, nie zważając na protesty, robiąc walczącym miejsce. Cień przez cały czas wyczuwał na sobie spojrzenie Wednesdaya, jego pozbawiony rozbawienia uśmiech. Niewątpliwie była to próba. Ale jaka?

W więzieniu Cień nauczył się, że istnieją dwa rodzaje walk: walki typu „nie podskakuj”, demonstracyjne popisówki, i walki prywatne, prawdziwe, szybkie, mocne i paskudne, które zawsze kończyły się w ciągu kilku sekund.

— Hej, Sweeney — wydyszał Cień. — Czemu właściwie się bijemy?

— Dla czystej radości — odparł Sweeney, trzeźwy, a przynajmniej

nie zdradzający objawów upojenia. — Dla czystej, pieprzonej, ożywczej radości. Nie czujesz jej w swych żyłach? Upajającej jak wiosenne soki. — Krwawiła mu warga. Podobnie kostki Cienia.

— Skąd więc bierzesz te monety? — spytał Cień. Cofnął się i obrócił. Cios wymierzony w twarz trafił go w ramię.

— Powiedziałem za pierwszym razem — mruknął Sweeney — ale ślepy jest ten — auu, dobry! — kto nie chce słuchać.

Cień zaatakował Sweeneya, zmuszając go do wskoczenia na stół. Na ziemię posypały się popielniczki i puste szklanki.

W tym momencie mógł skończyć walkę.

Zerknął na Wednesdaya, który skinął głową. Cień spojrzał w dół na Szalonego Sweeneya.

— Skończyliśmy? — spytał.

Sweeney zawahał się, potem skinął głową. Cień puścił go i cofnął się kilka kroków. Tamten, zdyszany, dźwignął się na nogi.

— Nigdy w życiu! — wrzasnął. — Nie skończy się, póki ja tak nie powiem.

A potem uśmiechnął się szeroko i rzucił naprzód, zamierzając się na Cienia. Po drodze nadepnął na kostkę lodu. Uśmiech na jego twarzy zamienił się w rozpaczliwy grymas, gdy stracił równowagę i poleciał na plecy. Jego głowa z głośnym łoskotem uderzyła o podłogę.

Cień przycisnął go kolanem do desek.

— Pytam po raz drugi: skończyliśmy walczyć?

— Równie dobrze możemy to zrobić — odparł Sweeney, unosząc głowę — bo radość wypłynęła ze mnie, tak jak siki z chłopczyka na basenie w gorący dzień. — Splunął wypełniającą usta krwią, zamknął oczy i zachrapał: głęboko, z godnością.

Ktoś klepną Cienia w ramię. Wednesday wsunął mu do ręki butelkę piwa.

Smakowało lepiej niż miód.

* * *

Cień obudził się wyciągnięty na tylnym siedzeniu samochodu. Poranne słońce świeciło oślepiająco. Bolała go głowa. Podniósł się z trudem, przecierając oczy. Wednesday prowadził. Cały czas nucił coś pod nosem. W uchwycie obok kierownicy tkwił kubek pełen kawy. Jechali autostradą międzystanową. Fotel pasażera był pusty.

— Jak się czujesz tego pięknego ranka? — spytał Wednesday, nie odwracając głowy.

— Co się stało z moim wozem? — spytał Cień. — Wynająłem go.

— Szalony Sweeney go odstawi. To część umowy, jaką ze sobą zawarliście po bójce.

W głowie Cienia pojawiły się nieprzyjemne urywki rozmów z poprzedniego wieczoru.

— Masz więcej kawy?

Mężczyzna sięgnął pod fotel obok i wyciągnął zamkniętą butelkę wody.

— Odwodniłeś się. Na razie to pomoże bardziej niż kawa. Na następnej stacji benzynowej zatrzymamy się i zjemy śniadanie. Musisz się też umyć. Wyglądasz jak coś, co kozioł przywlókł do domu z dworu.

— Kot — poprawił Cień.

— Kozioł — odparł Wednesday. — Wielki, cuchnący kozioł o ogromnych zębiskach.

Cień odkręcił butelkę z wodą mineralną i zaczął pić. Coś brzęknęło w kieszeni jego kurtki. Wsunął do niej dłoń i wyciągnął monetę wielkości półdolarówki: ciężką, ciemnozłotą.

* * *

Na stacji benzynowej Cień kupił zestaw podróżny, składający się z maszynki, miniopakowania pasty do golenia, grzebienia i jednorazowej szczoteczki do zębów wraz z maleńką tubką pasty. Poszedł do męskiej toalety i uważnie spojrzał w lustro.

Jedno oko miał podbite — gdy eksperymentalnie nacisnął powiekę palcem, odkrył, że bardzo boli — dolną wargę mocno spuchniętą.

Cień umył twarz mydłem w płynie, potem namydlił policzki i ogolił się. Umył zęby. Zmoczył włosy i zaczesał do tyłu. Nadal wyglądał kiepsko.

Zastanawiał się, co by powiedziała Laura, gdyby go teraz zobaczyła. Nagle przypomniał sobie, że Laura już nigdy nic nie powie, i ujrzał w lustrze, jak jego twarz przez moment zadrżała. Ale tylko przez chwilę.

Wyszedł.

— Wyglądam koszmarnie — oznajmił.

— Oczywiście, że tak — zgodził się Wednesday.

Wednesday zaniósł do kasy stos przekąsek. Zapłacił za nie i za benzynę, ku irytacji żującej gumę dziewczyny za ladą dwukrotnie zmieniając zdanie co do tego, czy będzie płacił kartą, czy gotówką. Cień patrzył, jak Wednesday coraz bardziej denerwuje się i tłumaczy.

Nagle wydał się niezwykle stary. Dziewczyna oddała mu gotówkę i wzięła kartę, potem oddała kwitek z karty i wzięła gotówkę. W końcu zwróciła gotówkę i zabrała inną kartę. Wednesday miał już za moment się rozpłakać: oto starzec, bezradny w obliczu nieubłaganego plastikowego postępu współczesnego świata.

W końcu wyszli z ciepłego budynku stacji. Ich oddechy zaczęły parować w mroźnym powietrzu.

Znów byli na drodze. Za sobą pozostawiali brązowiejące łąki, bezlistne, martwe drzewa. Z przewodu telegraficznego spoglądały na nich dwa czarne ptaki.

— Hej, Wednesday!

— Co?

— O ile się orientuję, w ogóle nie zapłaciłeś za benzynę.

— Ach tak?

— Tak jak ja to widzę, ta dziewczyna zapłaciła ci za przywilej goszczenia twojej osoby na stacji benzynowej. Myślisz, że już się domyśliła?

— Nigdy tego nie odgadnie.

— Kim zatem jesteś? Drobnym oszustem?

Wednesday skinął głową.

— Tak. Chyba tak. Między innymi.

Skręcił w lewo, mijając ciężarówkę. Niebo miało barwę ponurej, jednostajnej szarości.

— Zbiera się na śnieg — oznajmił Cień.

— Tak.

— Sweeney. Czy naprawdę pokazał mi, jak się robi sztuczkę ze złotymi monetami?

— O tak.

— Nie pamiętam.

— Przypomnisz sobie. To była długa noc.

Kilka małych płatków śniegu musnęło przednią szybę samochodu i roztopiło się po sekundzie.

— Ciało twojej żony wystawiono w domu pogrzebowym Wendella — oznajmił Wednesday. — Po lunchu zabiorą ją stamtąd do kaplicy cmentarnej.

— Skąd wiesz?

— Zadzwoniłem, kiedy byłeś w kiblu. Wiesz, gdzie jest dom pogrzebowy Wendella?

Cień skinął głową. Śnieżne płatki wirowały i tańczyły przed nimi.

— To nasz zjazd — rzucił Cień. Samochód zjechał z autostrady i wyminął grupkę moteli, na północ od Eagle Point.

Minęły trzy lata. O, tak. Nowe światła uliczne, nieznane witryny. Cień poprosił Wednesdaya, by zwolnił, gdy mijali Farmę Siły. ZAMKNIĘTE NA CZAS NIEOKREŚLONY, głosił ręcznie wypisany napis

na drzwiach. Z POWODU ŻAŁOBY.

W lewo, główną ulicą, obok nowego salonu tatuażu i biura rekrutacyjnego sił zbrojnych, potem Burger King i znajomy, niezmieniony sklep spożywczy Olsena. W końcu żółta ceglana fasada domu pogrzebowego Wendella. Neon w oknie głosił: DOM SPOCZYNKU. Pod nim ustawiono puste kamienie nagrobne, nie naruszone, nie ochrzczone.

Wednesday wjechał na parking.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? — spytał.

— Nieszczególnie.

— To dobrze. — Błysk pozbawionego rozbawienia uśmiechu. — Kiedy ty będziesz się żegnał, ja mogę załatwić kilka spraw. Wynajmę nam pokoje w motelu America. Znajdziesz mnie tam, gdy skończysz.

Cień wysiadł z samochodu, odprowadził go wzrokiem. Potem wszedł do domu pogrzebowego. Pogrążony w półmroku korytarz pachniał kwiatami i pastą do mebli, z lekką nutą formaldehydu. Na jego końcu czekała Kaplica Spoczynku.

Nagle Cień uświadomił sobie, że trzyma w dłoni złotą monetę, przekładając ją, przesuwając, raz po raz, bez końca. Jej ciężar dodawał mu otuchy.

Imię i nazwisko jego żony wypisano na kartce papieru obok drzwi, na końcu korytarza. Wszedł do Kaplicy Spoczynku. Cień znał większość zebranych tu ludzi: koledzy z pracy Laury, kilkoro przyjaciół.

Wszyscy go poznali. Widział to po ich twarzach. Nie dostrzegł jednak ani śladu uśmiechów czy powitań.

Pod ścianą stał niewielki katafalk, a na nim kremowa trumna, otoczona kilkoma bukietami kwiatów: szkarłatnych, żółtych, białych i ciemnofioletowych. Postąpił krok naprzód. Z miejsca, gdzie stał, widział zwłoki Laury. Nie chciał podejść bliżej. Nie odważyłby się zawrócić.

Mężczyzna w ciemnym garniturze — Cień odgadł, że to pracownik domu pogrzebowego — rzekł:

— Proszę pana, zechciałby pan wpisać się do Księgi Wspomnień i Kondolencji? — Wskazał mu oprawny w skórę tom leżący na małym stoliku.

Swym wyraźnym pismem nakreślił imię: CIEŃ i datę. Potem powoli napisał obok (PIESEK), opóźniając chwilę, gdy będzie musiał pójść na koniec pomieszczenia, gdzie czekali ludzie zebrani wokół trumny, w której leżało coś, co już nie było Laurą.

W drzwiach stanęła drobna kobieta. Zawahała się. Włosy miała miedzianorude, ubranie kosztowne i bardzo czarne. „Wdowia żałoba”, pomyślał Cień, który doskonale ją znał. Audrey Burton — żona Robbiego.

Audrey trzymała w dłoni bukiecik fiołków, owinięty od dołu srebrną folią. Coś takiego przynoszą do domu dzieci w czerwcu, pomyślał Cień. Ale nie nastał jeszcze sezon na fiołki.

Rudowłosa przeszła przez pokój, zmierzając wprost ku trumnie Laury.

Laura leżała z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi na piersi. Miała na sobie klasyczny niebieski kostium, którego Cień nie rozpoznał. Długie włosy odgarnięto tak, że nie zasłaniały twarzy. Była to jego Laura i jednocześnie nie. Uświadomił sobie, że najbardziej nienaturalny jest jej całkowity bezruch. Laura zawsze wierciła się we śnie.

Audrey złożyła na piersi Laury bukiecik letnich fiołków. Potem przez chwilę zaciskała wargi i wreszcie splunęła mocno prosto w martwą twarz przyjaciółki.

Ślina trafiła Laurę w policzek. Zaczęła spływać ku uchu.

Audrey szła już w stronę drzwi. Cień pospieszył za nią.

— Audrey? — spytał.

— Cień? Uciekłeś czy cię wypuścili?

Zastanowił się przelotnie, czy Audrey nie zażywa może środków uspokajających. Głos miała odległy, obojętny.

— Wypuścili mnie wczoraj. Jestem wolny — oznajmił. — O co w tym wszystkim chodzi?

Zatrzymała się w mrocznym korytarzu.

— Fiołki? Zawsze były jej ulubionymi kwiatami. W dzieciństwie zbierałyśmy je razem.

— Nie chodzi o fiołki.

— A, o to. — Przesunęła palcem po kąciku ust, usuwając zeń coś niewidocznego. — To chyba oczywiste.

— Nie dla mnie, Audrey.

— Nie powiedzieli ci? — Jej głos był spokojny, beznamiętny. — Twoja żona umarła z fiutem mojego męża w ustach.

Cień wrócił do domu pogrzebowego. Ktoś zdążył już zetrzeć ślinę.

* * *

Po lunchu — Cień zjadł go w Burger Kongu — odbył się pogrzeb. Kremowa trumna Laury czekała na małym, ekumenicznym cmentarzu na skraju miasta, pozbawionej ogrodzenia pagórkowatej łące, pełnej nagrobków z białego i czarnego marmuru.

Drogę na cmentarz pokonał karawanem Wendella, wraz z matką Laury. Pani McCabe zdaje się sądziła, że śmierć Laury nastąpiła

wyłącznie z winy Cienia.

— Gdybyś tu był — rzekła — nigdy by do tego nie doszło. Nie wiem, czemu za ciebie wyszła. Mówiłam jej to. Powtarzałam raz po raz, ale one nigdy nie słuchają się matek. — Na moment umilkła, przyglądając się uważnej twarzy Cienia. — Biłeś się?

— Tak.

— Barbarzyńca.

Zacisnęła wargi, uniosła głowę, tak że aż zadrżał jej podbródek, i spojrzała wprost przed siebie.

Ku zdumienia Cienia na pogrzebie zjawiła się także Audrey Burton. Stała z tyłu. Krótka ceremonia dobiegła końca. Trumnę złożono w zimnej ziemi. Ludzie odeszli.

Cień został. Stał tam z rękami w kieszeniach, dygocząc z zimna, wpatrując się w dziurę w ziemi.

Nad nim rozciągało się stalowoszare niebo — martwe, płaskie niczym zwierciadło. Wciąż padał śnieg — wielkie widmowe płatki.

Pragnął powiedzieć coś Laurze i gotów był zaczekać, póki nie odkryje, co winien rzec. Ze świata powoli znikało światło i barwy. Cień czuł, jak drętwieją mu nogi. Ręce i twarz bolały z zimna. Wepchnął głębiej dłonie do kieszeni. Jego palce natrafiły na złotą monetę.

Podszedł do grobu.

— To dla ciebie — powiedział.

Na trumnę zrzucono już kilkanaście łopat ziemi, lecz grób me był jeszcze pełny. Cień wrzucił do grobu Laury złotą monetę, a potem posłał w jej ślady kilka kolejnych łopat błota, by ukryć pieniążek przed chciwymi grabarzami. Otrzepał ziemię z palców.

— Dobranoc, Lauro — rzekł. I dodał: — Przykro mi.

Odwrócił twarz ku światłom miasta i ruszył w stronę Eagle Point.

Od motelu dzieliły go dobre dwie mile, lecz po trzech latach spędzonych w więzieniu napawał się myślą, że może po prostu iść naprzód, bez końca, jeśli tylko tego zapragnie. Mógłby maszerować na północ i skończyć na Alasce, albo też na południe, do Meksyku i jeszcze dalej. Mógł dotrzeć nawet do Patagonii czy Ziemi Ognistej. Obok niego przyhamował samochód, szyba zjechała z cichym pomrukiem.

— Podwieźć cię, Cień? — spytała Audrey Burton.

— Nie — odparł. — A już na pewno nie ty.

Szedł dalej. Audrey jechała obok niego z prędkością trzech mil na godzinę. Płatki śniegu tańczyły w promieniach reflektorów.

— Myślałam, że była moją najlepszą przyjaciółką — powiedziała Audrey. — Co dzień rozmawiałyśmy. Kiedy kłóciliśmy się z Robbiem, dowiadywała się jako pierwsza — szłyśmy razem do Chi Chi na margheritę pogadać i poplotkować o tym, jacy parszywi są mężczyźni.

I przez cały ten czas pieprzyła się z nim za moimi plecami.

— Proszę, odejdź, Audrey.

— Po prostu chcę, żebyś wiedział, że miałam powody.

Milczał.

— Hej! — krzyknęła. — Do ciebie mówię!

Cień odwrócił się.

— Chcesz, żebym ci powiedział, że miałaś rację, gdy splunęłaś Laurze w twarz? Chcesz, żebym powiedział, że mnie to nie bolało, czy że twoje słowa sprawiły, że nienawidzę jej bardziej, niż za nią tęsknię? To się nie zdarzy, Audrey.

Jeszcze minutę jechała obok niego, w milczeniu. W końcu się odezwała:

— Jak było w więzieniu, Cień?

— Świetnie — odparł. — Czułabyś się jak u siebie w domu.

W tym momencie nacisnęła pedał gazu i odjechała z rykiem silnika.

Reflektory zniknęły, świat spowiła ciemność, zmierzch zamienił się w noc. Cień oczekiwał, że rozgrzeje się w marszu, że ciepło dotrze do lodowatych dłoni i stóp, ale nie.

Jeszcze w więzieniu Lokaj Lyesmith nazwał kiedyś mały cmentarzyk obok szpitala Ogrodem Kości i wizja ta na dobre zagnieździła się w umyśle Cienia. Tamtej nocy śnił b ogrodzie skąpanym w blasku księżyca, drzewach białych niczym szkielety, gałęziach zakończonych kościstymi dłońmi, korzeniach sięgających w głąb grobów. Na drzewach w kościanym sadzie rosły owoce, przynajmniej w jego śnie, i owe senne owoce miały w sobie coś niepokojącego. Po przebudzeniu jednak nie pamiętał już, co rosło na drzewach i czemu tak bardzo go odpychało.

Inne samochody mijały go w pędzie. Cień pożałował, że na drodze nie ma chodnika. Potknął się o coś, czego nie dostrzegł w ciemności, i runął do rowu na poboczu. Prawa dłoń zanurzyła się głęboko w zimnym mule. Cień dźwignął się z ziemi, otarł dłonie o nogawkę spodni. Powoli wstał. Wystarczyło mu czasu tylko na to, by zauważyć, że ktoś zjawił się obok niego, a potem silna ręka przycisnęła mu do twarzy i nosa coś mokrego. Poczuł woń ostrych oparów chemicznych.

Tym razem rów wydał mu się ciepły i przytulny.

* * *

Skronie Cienia pulsowały, jakby ktoś przybił mu je do głowy

górskimi hakami. Ręce związano mu za plecami czymś, co sprawiało wrażenie pasków. Siedział w samochodzie w skórzanym fotelu. Przez chwilę zastanawiał się, czy coś jest nie tak z głębią jego postrzegania, a potem zrozumiał, że nie: drugie siedzenie naprawdę było daleko.

Obok niego siedzieli ludzie. Nie mógł jednak odwrócić głowy, by na nich spojrzeć.

Tłusty młodzieniec z drugiej strony limuzyny wyjął z barku puszkę dietetycznej coca-coli i otworzył z psyknięciem. Miał na sobie długi, czarny płaszcz z jedwabistego materiału. Wydawało się, że ledwie przekroczył dwudziestkę. Na jednym z policzków można było dostrzec ślady trądziku. Gdy zobaczył, że Cień się ocknął, uśmiechnął się.

— Witaj, Cieniu — rzekł. — Nie podskakuj mi.

— W porządku — odparł Cień. — Nie będę. Moglibyście mnie wysadzić pod motelem America, przy autostradzie?

— Uderz go — polecił młodzieniec człowiekowi po lewej stronie Cienia. Czyjaś pięść trafiła go w splot słoneczny. Cień zgiął się w pół, nie mogąc złapać tchu. Potem wyprostował się powoli.

— Mówiłem: nie podskakuj. To było podskakiwanie. Odpowiadaj krótko i do rzeczy, albo cię, kurwa, zabiję. A może nie. Może każę dzieciom połamać ci wszystkie kości w twym pieprzonym ciele. Jest ich dwieście sześć, więc nie podskakuj.

— Zrozumiałem — powiedział Cień.

Światło w limuzynie zmieniało barwę: z fioletu na błękit, potem zieleń i żółć.

— Pracujesz dla Wednesdaya — oznajmił młody człowiek.

— Tak — odparł Cień.

— O co mu, kurwa, chodzi? Musi mieć jakiś plan. Jaki jest jego plan gry?

— Pan Wednesday zatrudnił mnie dopiero dziś rano — odparł Cień. — Jestem jego chłopcem na posyłki.

— Twierdzisz, że nie wiesz?

— Twierdzę, że nie wiem.

Chłopak rozpiął marynarkę i wyjął z wewnętrznej kieszeni srebrną papierośnicę. Otworzył ją i podsunął Cieniowi.

— Zapalisz?

Cień zastanawiał cię, czy nie poprosić, by rozwiązano mu ręce. Zdecydował, że lepiej nie.

— Nie, dziękuję — powiedział.

Papieros wyglądał jak skręt, a gdy chłopak zapalił go matową, czarną zapalniczką Zippo, w powietrzu rozeszła się woń palących się urządzeń elektrycznych.

Młodzian odetchnął głęboko, po czym wstrzymał oddech. Pozwolił, by dym wysączył mu się z ust, i znów wciągnął go w

nozdrza. Cień podejrzewał, że tamten dłuższy czas ćwiczył to przed lustrem, nim zdecydował się publicznie zademonstrować swoje umiejętności.

— Jeśli mnie okłamałeś — oznajmił z bardzo daleka chłopak — to cię, kurwa, zabiję. — Zaciągnął się lekko papierosem. — Mówisz, że mieszkasz w motelu America. — Postukał w okienko kierowcy. Szklana przegroda opuściła się. — Hej, motel America, przy autostradzie. Musimy podwieźć gościa.

Kierowca kiwnął głową. Szyba znów się uniosła.

Migotliwy światłowodowy blask wewnątrz limuzyny wciąż ulegał zmianom, przechodząc kolejne fazy ciemnych barw. Cień odniósł wrażenie, że oczy chłopaka także połyskują zielenią starych monitorów komputerowych.

— Powtórz to Wednesdayowi, stary. Powiedz mu, że przeszedł do historii. Został zapomniany. Jest stary. Powiedz, że my jesteśmy przyszłością i nie obchodzi nas ani on, ani ktokolwiek jemu podobny, Skazano go na śmietnik historii, podczas gdy ludzie tacy jak ja jeżdżą limuzynami po superautostradach jutra.

— Przekażę — zgodził się Cień. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Miał nadzieję, że nie zwymiotuje.

— Powiedz mu, że przeprogramowaliśmy rzeczywistość, że język to wirus, religia — system operacyjny, a modlitwy to jedynie wkurzający spam. Powtórz mu to albo każę cię, kurwa, zabić — powiedział łagodnie młodzieniec, spowity w obłok dymu.

— Zrozumiałem — powiedział Cień. — Tu możecie mnie wysadzić. Resztę przejdę na piechotę.

Młody człowiek przytaknął.

— Miło się z tobą gadało — rzekł. Dym sprawił, że chłopak złagodniał. — Powinniście wiedzieć, że jeśli zdecydujemy się was, kurwa, zabić, to po prostu was skasujemy. Zrozumiałeś? Wystarczy szczęk spustu i twoje miejsce zapisują losowo zera i jedynki. Odkasowanie nie wchodzi w grę. — Postukał w szybę za plecami. — On tu wysiada — oznajmił. Potem odwrócił się do Cienia, wskazując na papierosa. — Syntetyczne skórki ropuch — rzekł. — Wiedziałeś, że potrafią już syntetyzować bufoteninę?

Samochód przystanął. Drzwi się otworzyły. Cień niezręcznie wygramolił się na zewnątrz. Przecięto mu więzy. Odwrócił się. Wnętrze samochodu stało się rozedrganą chmurą dymu, w której połyskiwały dwa światełka, miedziane niczym piękne oczy żaby.

— Chodzi o pieprzony dominujący paradygmat, Cień. Nic innego nie ma znaczenia. A przy okazji, przykro mi z powodu twojej starej.

Drzwi zatrzasnęły się, limuzyna odjechała cicho. Cienia od hotelu dzieliło zaledwie kilkaset metrów. Ruszył w tamtą stronę, wciągając w płuca zimne powietrze, mijając czerwone, żółte i niebieskie neony,

reklamujące wszelkie rodzaje jedzenia znane człowiekowi, to znaczy hamburgery. Bez dalszych przygód dotarł do motelu America.

ROZDZIAŁ TRZECI

Każda godzina rani. Ostatnia zabija.

— stare powiedzenie.

W recepcji motelu America siedziała szczupła młoda kobieta, która poinformowała Cienia, że przyjaciel już go zameldował, i wręczyła mu prostokątny plastikowy klucz. Miała bardzo jasne włosy i nieco szczurze rysy; cecha ta stawała się wyraźniejsza, gdy patrzyła podejrzliwie, i niemal znikała przy uśmiechu. Recepcjonistka odmówiła podania numeru pokoju Wednesdaya, upierając się, że musi zatelefonować i oznajmić przybycie gościa.

Wednesday wynurzył się z pokoju na końcu korytarza i gestem wezwał Cienia.

— Jak pogrzeb? — spytał.

— Skończony — odparł Cień.

— Chcesz o tym pogadać?

— Nie.

— To dobrze. — Wednesday uśmiechnął się szeroko. — W dzisiejszych czasach zbyt wiele się gada. Rozmowy, rozmowy, rozmowy. Wszystko w tym kraju układałoby się znacznie lepiej, gdyby ludzie nauczyli się cierpieć w milczeniu.

Wednesday poprowadził go do pokoju znajdującego się naprzeciwko pokoju Cienia. Wszędzie walały się mapy: rozwinięte, rozłożone na łóżku, przyklejone do ścian, pokryte śladami jaskrawych markerów — fluorescencyjnej zieleni, raniącego oczy różu i odblaskowego pomarańczowego.

— Zostałem porwany przez grubego dzieciaka — oznajmił Cień. — Kazał ci powtórzyć, że zostałeś skazany na wyrzucenie na gnojówkę historii, podczas gdy ludzie tacy jak on jeżdżą po superautostradach życia. Coś w tym stylu.

— Mały dupek — mruknął Wednesday.

— Znasz go?

Wednesday wzruszył ramionami.

— Wiem, kim jest.

Usiadł ciężko na jedynym krześle w pokoju.

— Nie wiedzą, o co chodzi — dodał. — Oni w ogóle nie wiedzą, o co chodzi. Jak długo musisz jeszcze zostać w tym mieście?

— Nie wiem. Może tydzień. Powinienem chyba pozałatwiać sprawy Laury. Załatwić kwestię mieszkania. Pozbyć się jej ubrań. Doprowadzi to do szału jej matkę, ale zasłużyła na to.

Wednesday kiwnął swą olbrzymią głową.

— Cóż, im szybciej to zrobisz, tym szybciej wyniesiemy się z Eagle Point. Dobrej nocy.

Cień przeszedł przez korytarz. Jego pokój był kalką pokoju Wednesdaya, łącznie z oleodrukiem nad łóżkiem, przedstawiającym krwawy zachód słońca. Zamówił pizzę z serem i klopsikami, a potem napełnił wannę, wlewając do wody zawartość wszystkich małych plastikowych buteleczek z szamponem. Pragnął piany.

Był zbyt wysoki, żeby wyciągnąć się w wannie. Usiadł jednak, napawając się tym uczuciem. Obiecał sobie, że kiedy wyjdzie z więzienia, weźmie kąpiel, a Cień zawsze dotrzymywał obietnic.

Pizza zjawiła się wkrótce potem, gdy wyszedł z łazienki. Zjadł, popijając puszką korzennego piwa.

Potem położył się, myśląc: pierwszy raz leżę w łóżku jako wolny człowiek. Myśl ta jednak sprawiała mu mniejszą przyjemność niż przypuszczał. Nie zaciągał zasłon. Patrzył na światła samochodów i fast foody, pocieszając się świadomością, że tam na zewnątrz jest inny świat, który on w każdej chwili może odwiedzić.

Mógł teraz leżeć w swym własnym łóżku, w domu, w mieszkaniu, które dzielił z Laurą, w ich wspólnym łóżku, lecz myśl, że miałby tam być bez niej, otoczony przez jej rzeczy, jej zapach, jej życie, zbyt bolała.

Nie myśl o tym — upomniał się w duchu. Postanowił skupić się na czymś innym. Zaczął rozmyślać o sztuczkach z monetami. Wiedział, że nie ma odpowiedniej osobowości, by zostać iluzjonistą. Nie potrafił snuć historii niezbędnych do tego, by widz uwierzył. Nie chciał robić sztuczek z kartami i papierowymi kwiatami. Pragnął po prostu manipulować monetami. Lubił to. Zaczął wymieniać w myślach sztuczki ze znikaniem monet, co przypomniało mu o monecie, którą wrzucił do grobu Laury, a potem w jego głowie odezwała się Audrey, mówiąc, że Laura umarła z fiutem Robbie-go w ustach. I znów serce ścisnął mu ból.

Każda godzina rani. Ostatnia zabija. Gdzie to słyszał? Pomyślał o komentarzu Wednesdaya i uśmiechnął się mimo woli: zbyt często słyszał, jak ludzie powtarzają, by nie tłumić uczuć, wyrażać emocje, uwolnić ból. On sam uważał, że tłumienie uczuć ma wiele zalet. Jeśli robi się to dostatecznie długo i dostatecznie głęboko, wkrótce przestaje się cokolwiek czuć.

W tym momencie ogarnął go sen, choć Cień w ogóle tego nie zauważył.

Wędrował…

Wędrował przez salę większą niż miasto i wszędzie wokół stały posągi, rzeźby, prymitywne wizerunki. Zatrzymał się obok figury istoty przypominającej kobietę. Nagie piersi, wielkie i spłaszczone,

sięgały niemal pasa. Wokół talii miała pas z odciętych dłoni. We własnych rękach trzymała ostre noże, a zamiast głowy z jej szyi wyrastały bliźniacze węże o wygiętych ciałach, patrzące na siebie, gotowe do ataku. W posągu było coś głęboko niepokojącego, absolutna, poruszająca obcość. Cień cofnął się przed nim. Ruszył naprzód przez salę. Rzeźbione oczy posągów — przynajmniej tych, które miały oczy — zdawały się śledzić każdy jego krok.

We śnie uświadomił sobie, że przed każdym posągiem na podłodze płonie imię. Mężczyzna o białych włosach z naszyjnikiem z zębów wokół szyi, trzymający w dłoni bęben, nazywał się Leucotios. Kobieta z szerokimi biodrami — z szerokiej szczeliny między jej nogami wypadały potwory — to Hubur. Mężczyzna ze złotą kulą w ręku — Hershef.

We śnie słyszał wyraźny głos — wyniosły, dokładny. Cień jednak nikogo nie widział.

— Oto bogowie, którzy zostali zapomniani. Choć kiedyś potężni, teraz są martwi. Znaleźć ich można tylko w bezdusznych kronikach. Odeszli, całkiem odeszli, lecz ich imiona i wizerunki pozostają z nami.

Cień skręcił i odkrył, że jest w innej sali, jeszcze większej niż poprzednia. Ciągnęła się dalej, niż sięgał wzrok. Tuż obok ujrzał czaszkę mamuta — brązową, wypolerowaną — i włochaty ochrowy płaszcz na ramionach drobnej kobiety o zniekształconej dłoni. Obok stały trzy kobiety, wyrzeźbione z tego samego granitowego głazu, połączone w pasie. Ich twarze wydawały się prymitywne, niedokończone, piersi i genitalia natomiast zostały wyrzeźbione starannie, z uczuciem. Dalej stał wielki ptak, którego Cień nie rozpoznał, z dziobem niczym sęp, lecz z ludzkimi rękami, i tak dalej i dalej.

Znów usłyszał głos — jakby mówił doń nauczyciel zwracający się do klasy:

— Oto bogowie, którzy odeszli z pamięci. Nawet ich imiona zaginęły. Ludzie, którzy oddawali im cześć, także zostali zapomniani. Ich totemy od dawna porzucono i zniszczono. Ostatni kapłani zmarli, nie przekazując swych tajemnic.

Bogowie umierają. A kiedy umierają naprawdę, nikt ich nie pamięta, nikt nie opłakuje. Idee trudniej zabić niż ludzi, ale w końcu daje się to zrobić.

W tym momencie w sali rozległ się szept, cichy szmer, który sprawił, że Cień poczuł we śnie nagły chłód i niewytłumaczalny strach. Ogarnęła go panika — tam, w sali bogów, o których istnieniu zapomniano, bogów o twarzach ośmiornic i tych będących jedynie zmumifikowanymi rękami, kamieniami, pożarami lasów…

Ocknął się z walącym sercem i spoconym czołem. Natychmiast powrócił do rzeczywistości. Czerwone cyfry na budziku informowały,

że nadeszła godzina pierwsza zero trzy. Przez okno wpadał do pokoju blask neonu motelu America. Zdezorientowany Cień wstał i poszedł do maleńkiej łazienki. Wysikał się po ciemku, po czym wrócił do sypialni. W jego umyśle wciąż tkwiły obrazy ze snu. Nie potrafił jednak wyjaśnić, czemu tak bardzo go przeraziły.

Światło padające z zewnątrz nie było zbyt jasne, lecz jego oczy przywykły do ciemności. Natychmiast dostrzegł, że na łóżku siedzi kobieta. Znał ją. Rozpoznałby w tłumie liczącym tysiące, setki tysięcy osób. Wciąż miała na sobie granatowy kostium, w którym ją pochowano. Jej głos, zwykły szept, także był znajomy.

— Przypuszczam — rzekła Laura — że spytasz, co tu robię?

Cień milczał.

Usiadł na jedynym krześle w pokoju. Wreszcie zapytał:

— To ty?

— Tak — odparła. — Zimno mi, piesku.

— Ty nie żyjesz, skarbie.

— Owszem, nie żyję. — Poklepała łóżko obok siebie. — Chodź, usiądź koło mnie.

— Nie — powiedział Cień. — Na razie wolę zostać tutaj. Mamy do omówienia kilka spraw.

— Na przykład to, że nie żyję.

— Może. Ale w tej chwili myślę głównie o tym, jak umarłaś. o tobie i Robbiem.

— Ach — rzekła — to.

Cień wyczuwał w powietrzu — a może, po prostu to sobie wyobraził — smród zgnilizny, woń kwiatów i środków konserwujących. Jego żona — była żona… nie, poprawił się: nieżyjąca żona — siedziała na łóżku i patrzyła na niego niemrugającymi oczami.

— Piesku, czy zechciałbyś dać mi papierosa?

— Zdawało mi się, że rzuciłaś?

— Owszem — powiedziała. — Ale nie przejmuję się już zagrożeniami dla zdrowia, a papieros mógłby mnie uspokoić. W holu stoi automat.

Cień naciągnął dżinsy i koszulkę i wyszedł do holu na bosaka. W recepcji dyżurował mężczyzna w średnim wieku, czytając powieść Johna Grishama. Cień kupił w automacie paczkę Virginia Slims.

— Jest pan w pokoju dla niepalących — powiedział tamten — więc proszę szeroko otworzyć okno. — Podał Cieniowi zapałki i popielniczkę z logo motelu America.

— Jasne — odparł Cień. Wrócił do sypialni. Laura wyciągnęła się wygodnie na pomiętej pościeli. Cień otworzył okno, po czym podał jej papierosy i zapałki. Miała zimne palce. W blasku zapałki ujrzał, że jej paznokcie, zwykle nieskazitelnie czyste, są pogryzione i połamane, ze śladami błota.

Laura zapaliła papierosa, wciągnęła dym, zdmuchnęła zapałkę, zaciągnęła się mocno.

— Nie czuję smaku. To chyba na nic.

— Przykro mi — rzekł.

— Mnie także. — Gdy wciągała dym w płuca, czubek papierosa zapłonął jaśniej i Cień ujrzał jej twarz.

— A zatem, wypuścili cię?

— Tak.

Czubek papierosa rozjarzył się lekko.

— Wciąż jestem wdzięczna. Nie powinnam była pozwolić, żebyś się do tego mieszał.

— Cóż — odparł — sam się zgodziłem. Mogłem odmówić.

Zastanawiał się, czemu się jej nie boi, czemu sen o muzeum wprawił go w panikę, podczas gdy bez lęku radzi sobie z żywym trupem.

— Owszem — potwierdziła. — Mogłeś, ty wielki frajerze. — Jej twarz spowijał wieniec dymu. W półmroku była bardzo piękna.

— Chcesz wiedzieć, jak było ze mną i Robbiem?

— Chyba tak.

Zgasiła papierosa w popielniczce.

— Siedziałeś w więzieniu, a ja potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym pomówić. Potrzebowałam ramienia, by się wypłakać. Ciebie nie było. Denerwowałam się.

— Przykro mi. — Cień uświadomił sobie, że jej głos brzmi jakoś inaczej. Próbował wychwycić różnicę.

— Wiem. Spotykaliśmy się na kawie. Opowiadaliśmy, co zrobimy, kiedy wyjdziesz, jak dobrze będzie znów cię zobaczyć. On naprawdę cię lubił, wiesz? Nie mógł się już doczekać, żeby dać ci dawną pracę.

— Tak?

— A potem Audrey wyjechała na tydzień do siostry. To było rok, nie, trzynaście miesięcy po twoim zamknięciu. — W jej głosie brakowało emocji. Każde kolejne słowo było płaskie i monotonne, niczym kamyki kolejno wrzucane do głębokiej studni. Robbie wpadł do mnie, razem się upiliśmy i zrobiliśmy to na podłodze w sypialni. Było dobrze, naprawdę dobrze.

— Nie musiałaś mi tego mówić.

— Nie? Przepraszam. Po śmierci trudniej jest dokonywać wyborów. Coś jak na fotografii. Nam to nie przeszkadza.

— A mnie tak.

Laura zapaliła kolejnego papierosa. Poruszyła się płynnie, zręcznie, nie sztywno. Cień zastanawiał się przez moment, czy naprawdę nie żyje. Może to jakiś skomplikowany podstęp?

— Tak — rzekła. — Teraz rozumiem. Kontynuowaliśmy ten romans — choć wcale go tak nie nazywaliśmy, w ogóle go nie

nazywaliśmy — przez większą część ostatnich dwóch lat.

— Zamierzałaś zostawić mnie dla niego?

— Niby czemu? Jesteś moim wielkim misiem, moim „pieskiem". To, co zrobiłeś, zrobiłeś dla mnie. Czekałam trzy lata, żebyś do mnie wrócił. Kocham cię.

Powstrzymał się, by nie odpowiedzieć „ja też cię kocham". Nie zamierzał wymówić tych słów. Już nie.

— Co zatem stało się tamtej nocy?

— Wtedy, kiedy zginęłam?

— Tak.

— Wybraliśmy się z Robbiem, żeby pomówić o twoim przyjęciu-niespodziance. Byłoby świetne. Oznajmiłam mu też, że kończę związek z nim, że teraz, po twoim powrocie, wszystko ułoży się tak, jak powinno.

— Hmm, dzięki, złotko.

— Bardzo proszę, kochany. — Jej twarz rozjaśnił cień uśmiechu. — Rozkleiliśmy się. Było słodko. Byliśmy tacy głupi. Bardzo się upiłam. On nie. Musiał prowadzić. Jechaliśmy do domu, gdy oznajmiłam, że zamierzam obciągnąć mu na pożegnanie, ostatni raz, z uczuciem. Rozpięłam mu spodnie i to zrobiłam.

— Duży błąd.

— Mnie to mówisz? Ramieniem trąciłam dźwignię zmiany biegów, a potem Robbie próbował mnie odepchnąć, żeby wrzucić bieg. Zboczyliśmy. Usłyszałam głośny trzask. Pamiętam, że świat wokół zawirował i pomyślałam, że zaraz zginę. Zupełnie obojętnie. Tyle pamiętani. Nie bałam się. Potem nie pamiętam już niczego.

W powietrzu rozeszła się woń przypominająca palony plastik. To był papieros. Dopalił się do filtra. Laura tego nie zauważyła.

— Co tu robisz, Lauro?

— Czy żona nie może odwiedzić męża?

— Ty nie żyjesz. Byłem dziś na twoim pogrzebie.

— Tak. — Umilkła, spoglądając w nicość.

Cień wstał i podszedł do niej. Wyjął spomiędzy jej palców resztę kopcącego się papierosa i wyrzucił go za okno.

— I co?

Poszukała go wzrokiem.

— Nie wiem więcej niż wtedy, gdy jeszcze żyłam. A większości z tego, czego dowiedziałam się tutaj, nie da się oblec w słowa.

— Zwykle ludzie po śmierci pozostają w grobach — zauważył Cień.

— Naprawdę? Naprawdę, piesku? Kiedyś też tak myślałam. Teraz nie jestem pewna. Może. — Zeskoczyła z łóżka i podeszła do okna. W blasku neonu jej twarz wyglądała równie pięknie, jak kiedyś: twarz kobiety, dla której poszedł do więzienia.

Serce bolało go, jakby ktoś zacisnął wokół niego pięść.

— Lauro…?

Nie patrzyła na niego.

— Wmieszałeś się w coś bardzo niedobrego, Cieniu. Schrzanisz sprawę, jeśli ktoś nie będzie się tobą opiekował. To moje zadanie. I dziękuję za prezent.

— Jaki prezent?

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła złotą monetę, którą wcześniej wrzucił do grobu. Wciąż pokrywało ją zaschnięte błoto.

— Może każę powiesić ją na łańcuszku. To bardzo słodki gest.

— Ależ proszę.

Wówczas odwróciła się i spojrzała na niego oczami, które zdawały się widzieć i jednocześnie nie dostrzegać.

— Myślę, że nasze małżeństwo ma kilka aspektów, nad którymi musimy popracować.

— Złotko — rzekł — ty nie żyjesz.

— To jedna z owych kwestii. — Urwała. — W porządku — oznajmiła. — Teraz już odejdę. Tak będzie lepiej. — Zupełnie naturalnie, z wdziękiem odwróciła się, zarzuciła Cieniowi ręce na szyję i wspinając się na palce, pocałowała go na pożegnanie, jak zawsze.

Cień niezręcznie pochylił się, pozwalając, by ucałowała go w policzek. Ona jednak w tym samym momencie przesunęła usta. Ich wargi się zetknęły. Oddech Laury pachniał kulkami na mole.

Jej język wcisnął się do ust Cienia. Był zimny, suchy, smakował papierosami i żółcią. Jeśli Cień miał wcześniej jakieś wątpliwości co do tego, czy żona umarła, teraz ostatecznie je stracił.

Odsunął się.

— Kocham cię — powiedziała z prostotą. — Będę na ciebie uważać. — Podeszła do drzwi pokoju. Cień wciąż czuł dziwny smak w ustach. — Prześpij się, piesku — dodała — i unikaj kłopotów.

Otworzyła drzwi na korytarz. Światło jarzeniówki nie było dla niej łaskawe. W jego blasku Laura wyglądała jak trup, ale też to samo czyniło z każdym.

— Mogłeś poprosić, bym została — rzekła zimnym, kamiennym głosem.

— Raczej bym nie zdołał — odparł Cień.

— Zrobisz to jeszcze, kochany. Nim to wszystko się skończy, zrobisz to. Odwróciła się od niego i ruszyła korytarzem.

Cień odprowadził ją wzrokiem. Recepcjonista wciąż czytał powieść Johna Grishama. Prawie nie podniósł wzroku, gdy Laura przeszła obok niego. Jej buty oblepiało gęste cmentarne błoto. A potem zniknęła.

Cień odetchnął powoli, wypuszczając powietrze. Serce

nierytmicznie tłukło mu się w piersi. Przeszedł przez korytarz i zapukał do drzwi Wednesdaya. Nagle odniósł wrażenie, że wokół niego uderzają czarne skrzydła, jakby olbrzymi kruk przeleciał wprost przez jego ciało na korytarz i dalej, na świat.

Wednesday otworzył. Poza białym motelowym ręcznikiem, zamotanym wokół bioder, był nagi.

— Czego chcesz, do diabła? — spytał.

— Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć — odparł Cień. — Może to sen — choć raczej nie — albo może zbyt mocno odetchnąłem dymem z syntetycznej skóry ropuchy u tego grubasa, albo po prostu zaczynam wariować…

— Tak, tak, wywal to z siebie — rzucił Wednesday. — Ja chwilowo jestem dość zajęty.

Cień zerknął do pokoju. Dostrzegł, że ktoś leży w łóżku i go obserwuje. Widział kołdrę zasłaniającą małe piersi, jasnoblond włosy, coś szczurzego w rysach twarzy. Zniżył głos.

— Właśnie widziałem moją żonę — oznajmił. — Była u mnie w pokoju.

— Chcesz powiedzieć: ducha? Widziałeś ducha?

— Nie. Nie ducha. Była cielesna. I była tutaj. Zdecydowanie nie żyje, ale to nie duch. Dotknąłem jej, a ona mnie pocałowała.

— Rozumiem. — Wednesday zerknął na kobietę w łóżku. — Zaraz wrócę, moja droga.

Wrócili do pokoju Cienia. Wednesday włączył światło. Spojrzał na niedopałek papierosa w popielniczce. Podrapał się po piersi. Sutki miał ciemne, jak u starca. Włosy na piersi posiwiały. Z jednej strony torsu widniała długa, biała szrama. Przez chwilę powęszył w powietrzu, potem wzruszył ramionami.

— W porządku — rzekł. — A zatem pokazała się tu twoja martwa żona. Boisz się?

— Odrobinę.

— Bardzo mądrze. Martwi zawsze doprowadzają mnie do szału. Coś jeszcze?

— Mogę wyjechać z Eagle Point. Matka Laury sama załatwi sprawę z mieszkaniem. I tak mnie nienawidzi. W każdej chwili jestem gotów do wyjazdu.

Wednesday uśmiechnął się.

— To dobra nowina, chłopcze. Wyjedziemy rano. A teraz powinieneś się przespać. Mam u siebie szkocką, jeśli potrzebujesz pomocy. Chcesz?

— Nie, poradzę sobie.

— Zatem nie przeszkadzaj mi więcej. Czeka mnie długa noc.

— Dobranoc — rzucił Cień.

— Właśnie — odparł Wednesday, zamykając za sobą drzwi.

Cień usiadł na łóżku. W powietrzu wciąż wisiała woń papierosów i środków konserwujących. Cień pożałował, że nie może tęsknić za Laurą: wydawało się to bardziej stosowne niż niepokój związany z jej odwiedzinami i przyznanie, że teraz, gdy odeszła, trochę się jej boi. Nadszedł czas żałoby. Zgasił światło, położył się na łóżku i zaczął myśleć o Laurze, takiej, jaką była, nim poszedł do więzienia. Przypomniał sobie ich małżeństwo. Byli młodzi i szczęśliwi, głupi, pełni entuzjazmu i namiętni.

Minęło wiele lat od dnia, gdy Cień rozpłakał się po raz ostatni. Wydawało mu się, że zapomniał, jak to się robi. Nie płakał nawet wtedy, gdy umarła matka.

Teraz jednak zapłakał, szlochając głośno, boleśnie, i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Cień zapadł w sen, płacząc.

PRZYBYCIE DO AMERYKI

A.D. 813

Żeglowali po zielonym morzu, kierując się światłem gwiazd, kształtem brzegu, a gdy brzeg pozostał jedynie wspomnieniem, a nocne niebo zasnuły ciemne chmury, żeglowali na wiarę, wzywając Wszechojca, by bezpiecznie sprowadził ich na ląd.

Ciężka to była podróż. Palce im drętwiały, a w kościach gnieździł się chłód, którego nawet wino nie zdołało z nich przegnać. Rankiem budzili się, by ujrzeć, że szron osiadł im w brodach, i póki słońce nie wstało, wyglądali jak przedwcześnie osiwieli starcy.

Chwiały się im zęby, a oczy zapadały głęboko, gdy wreszcie ujrzeli na zachodzie zielone ziemie.

— Jesteśmy daleko — rzekli — daleko od naszych domów i ognisk domowych. Daleko od mórz, które znamy, i ziem, które kochamy. Tu, na skraju świata, zapomną o nas nawet nasi bogowie.

Przywódca wdrapał się na wielką skałę i zaczął szydzić z ich braku wiary.

— Wszechojciec stworzył ten świat! — krzyknął. — Zbudował go własnymi rękami ze strzaskanych kości i ciała Imira, jego dziada. Mózg Imira umieścił na niebie, jako chmury. Jego słona krew stała się morzem, które przepłynęliśmy. Skoro stworzył świat, czyż nie pojmujecie, że te ziemie także są jego? Jeśli umrzemy tu, jak mężczyznom przystało, zostaniemy przyjęci w jego dworze.

Ludzie zaczęli wiwatować. Z nową siłą podjęli budowę dworu z pni drzew i z błota, wewnątrz palisady z zaostrzonych pni, choć, z

tego co wiedzieli, poza nimi w Nowym Świecie nie było nikogo.

W dniu, gdy skończyli budowę, rozpętała się burza. W południe niebo pociemniało niczym w nocy, a potem rozdarły je białe jęzory płomieni. Grzmoty były tak głośnie, że niemal ogłuszały. Okrętowy kot, którego przywieźli ze sobą na szczęście, ukrył się pod łodzią na plaży. Burza była tak gwałtowna i groźna, że ludzie zaśmiewali się, klepiąc się po plecach.

— Nawet tu, w odległym kraju, jest z nami Władca Piorunów.

Dziękowali zatem, radowali się i pili do upadłego.

Tej nocy w zasnutym dymem półmroku dworu bard odśpiewał stare pieśni. Śpiewał o Odynie, Wszechojcu, który oddał się sobie w ofierze, śmiało i szlachetnie, jak inni, z których ofiary mu składano. Śpiewał o dziewięciu dniach, podczas których Wszechojciec wisiał na drzewie świata, z krwawiącą raną od włóczni w boku, i o wszystkim, co poznał w swym cierpieniu: dziewięciu imionach i dziewięciu runach, i po dwakroć dziewięciu urokach. Gdy opowiadał im o włóczni przebijającej bok Odyna, bard wrzasnął z bólu, tak jak sam Wszechojciec krzyknął w męce, a ludzie zadrżeli, wyobrażając sobie jego cierpienie.

Następnego dnia, w dzień poświęcony Wszechojcu, znaleźli skraelinga. Był to drobny mężczyzna o długich włosach, czarnych niczym pióra skrzydła kruka, i skórze barwy ciemnej, czerwonej gliny. Przemawiał słowami, których nie rozumieli — nikt, nawet bard, choć żeglował na statku, który przepłynął między Kolumnami Herkulesa, i znał mowę handlarzy z Morza Śródziemnego. Obcy miał na sobie pióra i futra. W długie włosy wplótł niewielkie kości.

Zaprowadzili go do obozu, poczęstowali pieczonym mięsiwem i mocnym trunkiem. Zaśmiewali się głośno, gdy zaczął chwiać się i śpiewać, a jego głowa kołysała się bezwładnie — i wszystko to po niecałym rogu miodu. Dali mu go więcej i wkrótce zasnął pod stołem, z głową ukrytą pod ręką.

Wówczas podnieśli go — dwoje ludzi za ramiona i dwoje za nogi — i dźwigając na wysokości barków, we czwórkę, niczym ośmionogi koń, ponieśli na czele procesji do jesionu na wzgórzu, nad zatoką. Tam zarzucili mu na szyję linę i powiesili, na cześć Wszechojca, boga szubienic. Ciało skraelinga kołysało się na wietrze. Jego twarz poczerniała, język wysunął się z warg, oczy wypadły z orbit. Penis stwardniał tak, że dało się na nim powiesić skórzany hełm. A oni śmiali się i wiwatowali, dumni, że mogą posłać w niebo swą ofiarę.

Następnego dnia, gdy na ramionach trupa usiadły dwa wielkie kruki i zaczęły wydziobywać policzki i oczy, wiedzieli, że ofiara została przyjęta.

Nastała długa zima, a oni głodowali. Pocieszała ich jednak myśl,

że wiosną odeślą łódź do krajów północy, by przywiozła osadników i kobiety. A gdy dni stawały się coraz zimniejsze i krótsze, niektórzy z nich zaczęli szukać wioski skraelinga, w nadziei że będzie tam jedzenie i kobiety. Niczego jednak nie znaleźli, poza miejscami, w których palono ogniska, małymi opuszczonymi obozami.

Pewnego zimowego dnia w blasku zimnego odległego słońca, bladego niczym srebrna moneta, ujrzeli, że szczątki ciała skraelinga zniknęły z jesionu. Po południu zaczął padać śnieg — wielkie leniwe płatki. Mężczyźni z północy zamknęli bramy swego obozowiska i ukryli się za ścianami z drewna.

Tej nocy zaatakował ich oddział skraelingów: pięciuset przeciw trzydziestu. Wdrapali się na palisadę i w ciągu następnych siedmiu dni zabili wszystkich trzydziestu ludzi, na trzydzieści różnych sposobów. I historia oraz ich lud zapomnieli o żeglarzach.

Wojownicy zburzyli palisadę i spalili wioskę. Łódź stojącą na brzegu dnem do góry także spalili, w nadziei że bladoskórzy przybysze mają tylko jedną i dzięki temu ludzie z północy nie przybędą już na ich brzegi.

Minęło ponad sto lat, nim Leif Szczęśliwy, syn Eryka Czerwonego, ponownie odkrył krainę, którą nazwał Krajem Wina. Gdy tam przybył, jego bogowie już nań czekali: jednoręki Tyr, siwy Odyn, bóg szubienicy, i Thor, pan piorunów.

Już tam byli.

Czekali.

ROZDZIAŁ IV

Specjał o północy
To naprawdę coś.
Specjał o północy
to naprawdę, naprawdę coś.

— „Specjał o północy”.
Melodia tradycyjna

Cień i Wednesday zjedli śniadanie w Wiejskiej Kuchni naprzeciwko motelu. Była ósma rano. Świat zasnuła lodowata mgła.

— Wciąż jesteś gotów do wyjazdu z Eagle Point? Jeśli tak, muszę załatwić parę spraw. Dziś jest piątek. Piątek to wolny dzień. Dzień kobiet. Jutro sobota. Mamy wiele do zrobienia.

— Jestem gotów — odparł Cień. — Nic mnie tu nie trzyma.

Wednesday napełnił swój talerz wysokim stosem najróżniejszych wędlin. Cień wziął kawałek melona, precel i kostkę sera topionego. Usiedli razem przy stole z boku.

— Wczoraj miałeś niezły sen — mruknął Wednesday.

— Tak. Niezły.

Gdy wstał rano, ujrzał na wykładzinie zabłocone ślady stóp Laury, prowadzące z sypialni do holu i dalej za drzwi.

— A zatem — zagadnął Wednesday — czemu nazywają cię Cieniem?

Cień wzruszył ramionami.

— To moje imię — odparł.

Za szklanymi drzwiami zamglony świat przypominał ołówkowy szkic w kilkunastu odcieniach szarości, na którym tu i tam pojawiały się smugi ognistej czerwieni i czystej bieli.

— Jak straciłeś oko?

Wednesday wsadził do ust kilka kawałków bekonu, pogryzł je i wierzchem dłoni otarł zatłuszczone wargi.

— Nie straciłem — rzekł. — Wciąż dokładnie wiem, gdzie jest.

— Jaki mamy plan?

Jego rozmówca zastanowił się chwilę. Przełknął parę jaskraworóżowych plastrów szynki, wybrał z brody okruch mięsa i rzucił go na talerz.

— Plan wygląda następująco: jutro wieczorem spotykamy się z kilkoma osobami, niezwykle zasłużonymi w swych własnych dziedzinach — nie pozwól, by ich zachowanie cię onieśmieliło.

Spotkanie to odbędzie się w jednym z najważniejszych miejsc w całym kraju. Potem czeka nas biesiada. Muszę zapewnić sobie ich pomoc w moim przedsięwzięciu.

— A gdzie znajduje się to najważniejsze miejsce?

— Sam zobaczysz, mój chłopcze. Powiedziałem: „jedno z najważniejszych". Opinie w tej materii różnią się nieco. Posłałem wiadomość mym kolegom. Po drodze zatrzymamy się w Chicago. Potrzebuję pieniędzy. Należyte przyjęcie — a muszę podjąć ich należycie — wymaga więcej gotówki, niż mam w tej chwili. Potem ruszamy do Madison.

Wednesday zapłacił i wyszli, kierując się na parking. Rzucił Cieniowi kluczyki. Wjechali na autostradę i zostawili za sobą miasto.

— Będziesz tęsknił? — spytał Wednesday. Grzebał w teczce pełnej map.

— Za miastem? Nie. Tak naprawdę tu nie żyłem. W dzieciństwie nigdy nie przebywałem długo w jednym miejscu i dotarłem tu dopiero po dwudziestce. To miasto należało do Laury.

— Miejmy nadzieję, że Laura tu zostanie — mruknął Wednesday.

— To był sen — przypomniał Cień. — Pamiętaj.

— I dobrze. Zdrowe podejście. Pieprzyłeś się z nią wczoraj?

Cień odetchnął głęboko.

— Nie twoja cholerna sprawa. I nie.

— A chciałeś?

Nie odpowiedział. Jechał na północ w stronę Chicago. Wednesday zachichotał i pochylił się nad mapami. Rozwijał je i składał, od czasu do czasu zapisywał coś w żółtym notatniku dużym, srebrnym długopisem.

Wreszcie skończył, odłożył długopis, rzucił teczkę na tylne siedzenie.

— Najlepszą rzeczą w stanach, do których zmierzamy — oznajmił — w Minnesocie, Wisconsin i okolicach, są kobiety, dokładnie takie, jakie lubiłem, gdy byłem młodszy: jasnoskóre i niebieskookie, o włosach tak jasnych, że niemal białych, wargach barwy wina i okrągłych, pełnych piersiach, żyłkowanych niczym dobry ser.

— Tylko gdy byłeś młodszy? Wczoraj miałem wrażenie, że nieźle się zabawialiście.

— Tak. — Wednesday uśmiechnął się. — Chciałbyś poznać tajemnicę mojego powodzenia?

— Płacisz im?

— Nic tak banalnego. Nie. Tajemnicą jest urok. Zwykły urok.

— Urok, tak? Cóż, jak mówią, albo się go ma, albo nie.

— Uroków można się nauczyć — oznajmił Wednesday.

Cień nastawił radio na stację nadającą stare przeboje i zaczął

słuchać piosenek z czasów, gdy przyszedł na świat. Bob Dylan śpiewał o deszczu, który spadnie, i Cień zastanawiał się, czy ów deszcz już spadł, czy też wciąż czeka na właściwą chwilę. Droga przed nimi była pusta. Kryształki lodu na asfalcie lśniły w porannym słońcu niczym diamenty.

* * *

Chicago nadeszło powoli jak migrena. Najpierw jechali przez pustkowia, potem niedostrzegalnie miasteczka połączyły się, tworząc odległe przedmieścia, które w końcu stały się miastem.

Zaparkowali przed przysadzistą, czarną kamienicą. Z chodnika ktoś odgarnął śnieg. Weszli do holu i Wednesday nacisnął najwyższy guzik na sfatygowanym domofonie. Nic się nie stało. Przycisnął ponownie. Potem zaczął eksperymentalnie naciskać inne guziki, należące do reszty lokatorów. Bez rezultatu.

— Zepsuty — oznajmiła wysuszona stara kobieta, schodząc ku nim po schodach. — Nie działa. Dzwoniliśmy do zarządcy. Pytaliśmy, kiedy go naprawi, kiedy naprawi ogrzewanie, ale jego to nie obchodzi. Na zimę wyjeżdża do Arizony. Dla zdrowia. — Akcent miała mocny; Cień uznał, że wschodnioeuropejski. Wednesday ukłonił się nisko.

— Zoria, moja droga. Muszę rzec, że wyglądasz niewiarygodnie pięknie. Cudowna istota. W ogóle się nie postarzałaś.

Stara kobieta posłała mu nieprzychylne spojrzenie.

— On nie chce się z tobą widzieć. Ja też nie chcę się z tobą widzieć. Zawsze przynosisz złe wieści.

— To dlatego że przychodzę tylko w ważnych sprawach.

Pociągnęła nosem. W ręku miała pustą sznurkową siatkę, na sobie stary, czerwony płaszcz, zapięty pod szyję. Zerknęła podejrzliwie na Cienia.

— Co to za osiłek? — spytała Wednesdaya. — Kolejny z twoich morderców?

— Zbyt nisko mnie cenisz, pani. Nazywamy go Cieniem. Owszem, pracuje dla mnie, ale w imieniu innych. Cieniu, pozwól, że cię przedstawię uroczej pannie Zorii Wieczemej.

— Miło mi panią poznać — rzekł Cień.

Staruszka przyjrzała mu się bystrym, ptasim wzrokiem.

— Cień — rzekła. — Dobre imię. Gdy wydłużają się cienie, nastaje moja pora. A ty jesteś długim cieniem. — Zmierzyła go wzrokiem, po czym się uśmiechnęła. — Możesz ucałować mą dłoń — dodała, wyciągając zimną rękę.

Cień pochylił się i pocałował szczupłe palce. Na środkowym ujrzał wielki pierścionek z bursztynem.

— Dobry chłopiec — powiedziała. — Idę na zakupy. Widzicie, tylko ja cokolwiek zarabiam. Pozostałe dwie nie potrafią zarabiać na przepowiadaniu przyszłości. To dlatego, że mówią wyłącznie prawdę, a ludzie nie chcą słuchać prawdy. Prawda jest zła. Budzi niepokój. Więc ludzie nie wracają. Ja jednak umiem kłamać, mówić to, co chcą usłyszeć, i to ja zarabiam na chleb. Jak myślicie, zostaniecie na kolację?

— Taką mam nadzieję — rzekł Wednesday.

— Więc daj mi trochę grosza na zakupy — poleciła. — Mam swoją dumę, ale nie jestem głupia. Pozostałe są dumniejsze ode mnie, a on najdumniejszy ze wszystkich. Daj mi więc pieniądze i nie wspominaj o tym.

Wednesday otworzył portfel, sięgnął do środka, wyjął dwudziestkę. Zoria Wieczernaja wyrwała mu ją z palców i czekała dalej. Wyciągnął kolejny banknot i wręczył go jej.

— Tak jest dobrze — powiedziała. — Nakarmimy was jak hrabiów. A teraz idźcie schodami na górę. Zoria Utriennaja już wstała, ale nasza siostra jeszcze śpi, więc nie hałasujcie zbytnio.

Cień i Wednesday wdrapali się po ciemnych schodach. Na podeście dwa piętra wyżej ujrzeli stos ciemnych worków ze śmieciami. Powietrze cuchnęło zgnilizną.

— To Cyganie? — spytał Cień.

— Zoria i jej rodzina? Ależ nie. Nie są Komami. To Rosjanie. Słowianie.

— Ale skoro przepowiada przyszłość?

— Wielu ludzi przepowiada przyszłość. Sam też się tym zajmuję. — Wednesday dyszał ciężko, gdy pokonywali ostatnie schody. — Straciłem formę.

Na podeście ujrzeli tylko jedne drzwi; czerwone, z dużym judaszem pośrodku.

Wednesday zapukał, nikt nie odpowiedział. Zapukał ponownie, tym razem głośniej.

— Już dobrze, dobrze. Słyszę, słyszę.

Odgłos otwieranych zamków, odciąganych zasłon, szczęk łańcucha. Drzwi odchyliły się odrobinę.

— Kto tam? — Męski głos, stary, ochrypły od papierosów.

— Stary druh, Czernobogu, z towarzyszem.

Drzwi otwarły się na całą długość łańcucha. Cień ujrzał szarą twarz, wyglądającą na nich z mroku.

— Czego chcesz, Wotanie?

— Na początek napawać się twoim towarzystwem. Mam też pewne informacje. Jak to brzmi?… A tak, możesz dowiedzieć się

czegoś pożytecznego.

Drzwi otwarły się szeroko. Mężczyzna w przykurzonym szlafroku był niski, miał szarosiwe włosy i ostre rysy. Jego nogi okrywały prążkowane spodnie, stare i wyświecone. Na stopach miał kapcie. W kwadratowych palcach trzymał papierosa bez filtra. Zaciągał się głęboko, osłaniając płomyk ręką — jak więzień, pomyślał Cień, albo żołnierz. Lewą dłoń wyciągnął do Wednesdaya.

— A zatem witaj, Wotanie.

— Teraz nazywają mnie Wednesday — odparł tamten, ściskając rękę starca.

Wąski uśmiech, błysk żółtych zębów.

— Tak, bardzo zabawne. A to jest…?

— Mój towarzysz. Cieniu, poznaj pana Czernoboga.

— Miło mi — rzekł Czemobog, ściskając lewą dłoń Cienia. Ręce miał szorstkie, pokryte odciskami, a czubki palców żółte, jakby zanurzył je w jodynie.

— Jak się pan miewa, panie Czernobog?

— Jestem stary, bolą mnie flaki, bolą mnie plecy i co rano wy — kasłuję płuca.

— Czemu stoicie w drzwiach? — usłyszeli głos kobiety. Cień spojrzał ponad ramieniem Czernoboga i ujrzał staruszkę, drobniejszą i szczuplejszą niż siostra. Włosy miała długie i wciąż złote. — Jestem Zoria Utriennaja — oznajmiła. — Nie powinniście stać w przedpokoju. Wejdźcie, usiądźcie. Zrobię wam kawy.

Znaleźli się w mieszkaniu pachnącym rozgotowaną kapustą, kocimi sikami i zagranicznymi papierosami bez filtra. Gospodarz poprowadził ich wąskim korytarzem obok kilkorga zamkniętych drzwi do salonu, i posadził na wielkiej, starej kanapie z końskiego włosia. Przybycie gości obudziło starego, szarego kota, który przeciągnął się, wstał i sztywno odmaszerował na najdalszy skrawek kanapy. Tam ułożył się, przez moment patrzył na nich czujnie, po czym zamknął oko i zasnął. Czernobog usadowił się naprzeciwko, na fotelu.

Zoria Utriennaja znalazła pustą popielniczkę i ustawiła ją obok niego.

— Jaką kawę lubicie? — spytała gości. — My pijemy czarną jak noc i słodką jak grzech.

— Brzmi świetnie, proszę pani — odparł Cień. Wyjrzał przez okno na budynek po drugiej stronie ulicy.

Zoria Utriennaja wyszła. Czernobog odprowadził ją wzrokiem.

— Dobra kobieta — rzekł. — Nie taka jak siostry. Jedna to harpia, druga cały czas śpi.

Położył nogę w kapciu na długim, niskim stoliku, pośrodku którego stała szachownica pokryta śladami papierosów i mokrych kubków.

— To pańska żona? — spytał Cień.

— To niczyja żona. — Przez moment starzec milczał, patrząc na swe szorstkie ręce. — Wszyscy jesteśmy krewnymi. Przybyliśmy tu razem, dawno temu.

Z kieszeni szlafroka wyjął paczkę papierosów. Wednesday wyciągnął wąską, złotą popielniczkę i podał mu ogień.

— Najpierw znaleźliśmy się w Nowym Jorku — rzekł Czerno — bog. — Wszyscy nasi rodacy tam przyjechali. Potem przenieśliśmy się tu, do Chicago, i wszystko zaczęło się psuć. Nawet w starym kraju już prawie o mnie zapomnieli. Tutaj jestem tylko złym wspomnieniem. Wiesz, co robiłem, gdy przybyłem do Chicago?

— Nie — odparł Cień.

— Dostałem pracę w przemyśle mięsnym, w rzeźni. Gdy przywożą bydło, potrzebny jest młociarz. Wiesz, czemu nazywają nas młociarzami? Dlatego, że bierzemy młot i powalamy nim krowę. Buch! Wymaga to siły ramienia, tak? Potem łańcuchowy przypina krowę, podnosi i przecina jej gardło. Najpierw spuszczają krew, potem obcinają głowę. My, miociarze, byliśmy najsilniejszy. — Podciągnął rękaw szlafroka i napiął rękę, demonstrując wciąż widoczne pod starą skórą mięśnie. — Nie chodzi jednak wyłącznie o siłę. To cała sztuka zadać celny cios. W przeciwnym razie krowa jest tylko ogłuszona albo wściekła. A potem, w latach pięćdziesiątych, dostaliśmy pistolety na gwoździe. Przykładało się je do czoła, bum, bum! Pewnie myślisz, że czymś takim każdy mógł zabić krowę, ale nie. — Gestem pokazał, jak gwóźdź przebija wielką czaszkę. — Wciąż trzeba to umieć. — Uśmiechnął się na to wspomnienie, szczerząc poszarzałe zęby.

— Nie opowiadaj mi tu o zabijaniu krów.

Zoria Utriennaja dźwigała czerwoną drewnianą tacę z niewielkimi, kolorowymi filiżankami. Wręczyła im je kolejno, po czym usiadła obok Czemoboga.

— Zoria Wieczernaja poszła na zakupy — oznajmiła. — Wkrótce wróci.

— Spotkaliśmy ją na dole — rzekł Cień. — Mówiła, że przepowiada przyszłość.

— Tak — odparła siostra. — O zmierzchu. To pora jej kłamstw. Ja nie potrafię dobrze kłamać, więc kiepsko sobie radzę, a nasza siostra, Zoria Połunocznaja, w ogóle nie umie kłamać.

Kawa była słodsza i mocniejsza, niż Cień oczekiwał.

Po chwili przeprosił i poszedł do toalety — małego pomieszczenia o ścianach zawieszonych kilkunastoma zbrązowiałymi zdjęciami mężczyzn i kobiet w sztywnych, wiktoriańskich pozach. Niedawno minęło południe, lecz światło na zewnątrz zaczynało już gasnąć. W korytarzu usłyszał podniesione głosy. Umył ręce lodowatą wodą i różowym mydłem o mdlącym zapachu.

Gdy Cień wyszedł z łazienki, Czernobog stał w przedpokoju.

— Przynosisz kłopoty! — krzyczał. — Tylko kłopoty! Nie będę słuchał! Wynoś się z mojego domu!

Wednesday wciąż siedział na kanapie, sącząc kawę i głaszcząc szarego kota. Zoria Utriennaja stała na wytartym dywanie. Jedną ręką nerwowo skręcała długie, jasne włosy.

— Jakiś problem? — spytał Cień.

— To on jest problemem! — wrzasnął Czernobog. — On! Powiedz mu, że nic nie przekona mnie, abym mu pomógł. Chcę, żeby stąd poszedł, chcę, żeby się wyniósł. Odejdźcie! Obydwaj!

— Proszę — wtrąciła Zoria Utriennaja. — Proszę, ciszej. Obudzisz Zorię Połunoczną.

— Jesteś taka jak on. Chcesz, żebym wziął udział w tym szaleństwie! — krzyknął Czernobog. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozpłakać. Długi cylinder szarego popiołu posypał się z papierosa na wytartą wykładzinę.

Wednesday wstał, podszedł do Czernoboga i położył mu dłoń na ramieniu.

— Posłuchaj — rzekł pojednawczo. — Po pierwsze, to nie szaleństwo. To jedyne wyjście. Po drugie, wszyscy tam będą. Nie chciałbyś, żebyśmy o tobie zapomnieli, prawda?

— Wiesz, kim jestem — odparł Czernobog. — Wiesz, co robiły te ręce. Potrzebujesz mojego brata, nie mnie, a on odszedł.

Drzwi po drugiej stronie korytarza uchyliły się lekko. Cień usłyszał zaspany kobiecy głos:

— Coś się stało?

— Nic się nie stało, siostro — odparła Zoria Utriennaja. — Śpij dalej. — Odwróciła się do Czernoboga. — Widzisz? Widzisz, co zdziałałeś swoimi krzykami? Wracaj do środka i usiądź. Już!

Czernobog wyglądał, jakby zamierzał zaprotestować. Potem jednak stracił wolę walki. Nagle wydał się kruchy, bardzo kruchy i samotny.

Trzej mężczyźni wrócili do nieporządnego salonu o ścianach brązowych od tytoniowego dymu. Ów brązowy pierścień kończył się trzydzieści centymetrów od sufitu. Przypominał linię wodną w starej wannie.

— Nie chodzi tylko o ciebie — rzekł Wednesday do Czernobo — ga. — Skoro potrzebny mi twój brat, to i ty także. To przewaga, jaką macie nad nami wy, dualiści.

Czernobog milczał.

— A skoro już mowa o Bielebogu, mieliście od niego jakieś wieści?

Tamten potrząsnął głową. Spojrzał na Cienia.

— Masz brata?

— Nie — odparł Cień. — Nic mi o tym niewiadomo.

— Ja mam. Mówią, że kiedy jesteśmy razem, wyglądamy jak jeden człowiek. Gdy byliśmy młodsi, miał bardzo jasne włosy, bardzo złote, a oczy niebieskie. I ludzie twierdzili, że on jest dobry. A moje włosy były ciemne, ciemniejsze nawet niż twoje. Ludzie mawiali, że jestem zły. Rozumiesz? Że ja jestem zły. Teraz minęły lata. Moje włosy są szare, jego, jak sądzę, też. Gdybyś na nas spojrzał, nie wiedziałbyś, który jest który. Który jasny, który ciemny.

— Byliście sobie bliscy? — spytał Cień.

— Bliscy? — powtórzył Czernobog. — Nie. Jak mogliśmy być bliscy? Obchodziły nas zupełnie inne rzeczy.

W korytarzu rozległ się szczęk zamka i do środka weszła Zo-ria Wieczernaja.

— Kolacja za godzinę — oznajmiła i zniknęła.

Czernobog westchnął.

— Myśli, że jest dobrą kucharką. Gdy była młoda, mieliśmy służbę. Teraz już nie mamy. Nie mamy niczego.

— Nie niczego — nie zgodził się Wednesday. — Nigdy.

— Ty! — mruknął Czernobog. — Nie będę cię słuchał. Odwrócił się do Cienia. — Grasz w warcaby? — spytał.

— Tak — odparł Cień.

— To dobrze. Zagrasz ze mną. — Starzec zdjął z kominka drewniane pudełko i wyrzucił na stół piony. — Ja biorę czarne.

Wednesday dotknął ramienia Cienia.

— Wiesz, że nie musisz tego robić.

— To żaden problem. Chcę zagrać — odparł Cień.

Wednesday wzruszył ramionami. Wyciągnął ze stosu pożółkłych pism na parapecie stary numer „Reader's Digest".

Brązowe palce Czernoboga skończyły rozstawiać pionki na szachownicy i rozpoczęła się gra.

* * *

W następnych dniach Cień często wspominał ową grę. Czasami też śnił o niej w nocy. Jego okrągłe, płaskie pionki miały barwę starego, brudnego drewna; w teorii oznaczało to biały; Czernoboga — brzydkiej, wyblakłej czerni. Cień wykonał pierwszy ruch. W snach nigdy nie rozmawiali. Słyszał tylko głośny stukot stawianych pionków i szmer tarcia drewna o drewno, gdy wykonywał kolejne ruchy.

Przez pierwszych kilka tur obaj mężczyźni przesuwali piony po szachownicy bliżej środka, pozostawiając tylne szeregi nie tknięte.

Między ruchami następowały przerwy, długie szachowe przerwy. Wówczas gracze obserwowali i namyślali się.

Cień często grywał w więzieniu w warcaby. To pozwalało zabić czas. Grywał też w szachy, ale jego usposobieniu nie odpowiadało strategiczne planowanie. Wolał wybierać najlepszy ruch w danej chwili. Czasami w ten właśnie sposób da się wygrać w warcaby.

Rozległ się stuk. Czernobog podniósł czarny pion i przeskoczył nad jednym z białych pionów Cienia. Starzec zabrał zbity krążek i położył na stole obok szachownicy.

— Pierwsza krew, przegrałeś — oznajmił. — Koniec gry.

— Nie — odparł Cień. — Gra jeszcze nie jest skończona.

— Może więc chciałbyś się założyć, tak na boku, by dodać smaczku rozgrywce?

— Nie — wtrącił Wednesday, nie odrywając wzroku od rubryki „Humor w mundurze". — Nie zechciałby.

— Nie z tobą gram, starcze, tylko z nim. Chce się pan założyć, panie Cieniu?

— O co się wcześniej sprzeczaliście? — spytał Cień.

Czernobog uniósł krzaczastą brew.

— Twój pan chce, żebym poszedł za nim, pomógł mu w tej bzdurnej sprawie. Wolę umrzeć.

— Chcesz zakładu? W porządku. Jeśli wygram, pójdziesz z nami.

Stary człowiek ściągnął wargi.

— Może — odparł. — Ale tylko jeśli w zamian przyjmiesz mój warunek.

— To znaczy?

Wyraz twarzy Czernoboga nie uległ zmianie.

— Jeśli wygram, rozwalę ci czaszkę kowalskim młotem. Najpierw uklękniesz przede mną, potem wymierzę ci cios, taki że więcej się już nie podniesiesz.

Cień spojrzał na twarz starca, próbując coś w niej wyczytać. Tamten nie żartował. Bez wątpienia Cień dostrzegł w jego oczach głód czegoś: bólu, śmierci, a może zemsty…

Wednesday zamknął „Reader's Digesta".

— To śmieszne — rzekł. — Myliłem się, przyjeżdżając tutaj. Cień, jedziemy.

Szary kot wstał zdenerwowany z kanapy i wskoczył na stół obok szachownicy. Przyjrzał się uważnie pionom, po czym śmignął na podłogę i wymaszerował z pokoju, wysoko unosząc ogon.

— Nie — odparł Cień. Nie bał się śmierci. Ostatecznie i tak już nic mu nie pozostało. — W porządku, przyjmuję. Jeśli wygrasz, będziesz miał szansę rozwalenia mi głowy jednym ciosem młota. — To rzekłszy, przesunął następny pionek na kwadrat przy skraju szachownicy.

Nie padło ani jedno słowo więcej, lecz Wednesday nie sięgnął już po „Reader's Digesta". Obserwował grę szklanym okiem i okiem żywym. Jego twarz nie zdradzała niczego.

Czernobog zbił kolejny pion Cienia, Cień dwa piony Czernoboga. Z korytarza dobiegła woń obcych potraw. I choć nie pachniały zbyt apetycznie, Cień uświadomił sobie nagle, jak bardzo jest głodny. Dwaj mężczyźni na przemian przesuwali swe piony, czarne i białe. Kolejne ofiary. Dwa piony awansowały na królowe: nie ograniczone jedynie do ruchów naprzód, o jedno pole na ukos, królowe mogły wędrować w przód i w tył, co sprawiało, że były podwójnie niebezpieczne. Następne krążki dotarły do ostatniego rzędu, zdobywając swobodę. Czernobog miał trzy królowe. Cień dwie.

Starzec zaczął przesuwać jedną z nich, eliminując kolejne piony Cienia. Pozostałymi zablokował królowe przeciwnika.

A potem Czernobog dołożył czwartą królową i powrócił na szachownicę do dwóch królowych Cienia. Bez uśmiechu zbił je obie. I to był koniec.

— Zatem — rzeki Czernobog — mogę rozwalić ci czaszkę. A ty z własnej woli uklękniesz przede mną. Dobrze. — Wyciągnął starą dłoń i poklepał Cienia po ramieniu.

— Wciąż mamy czas przed kolacją — odparł Cień. — Chcesz zagrać jeszcze raz? Te same warunki.

Czernobog kuchenną zapałką zapalił kolejnego papierosa.

— Te same warunki? Jak? Chcesz, żebym zabił cię dwa razy?

— W tej chwili masz tylko jeden cios. Sam mówiłeś, że liczy się nie tylko siła, ale też umiejętności. W ten sposób, jeśli wygrasz, będziesz mógł uderzyć dwa razy.

Czernobog posłał mu gniewne spojrzenie.

— Jeden cios wystarczy. Jeden cios. Na tym polega sztuka.

Lewą ręką poklepał się po mięśniach prawego ramienia, rozsypując wokół szary popiół.

— Minęło wiele czasu. Jeśli straciłeś umiejętności, możesz jedynie mnie ogłuszyć. Ile lat minęło od dnia, gdy po raz ostatni zamachnąłeś się młotem w zagrodzie? Trzydzieści? Czterdzieści?

Starzec nie odpowiedział. Zamknięte usta szarą kreską przecinały twarz. Zabębnił palcami o drewniany blat, wybijając złożony rytm. Potem rozstawił na szachownicy dwadzieścia cztery warcaby.

— Grajmy — rzekł. — Znowu bierzesz jasne, a ja ciemne.

Cień pierwszy przesunął pion. Czernobog odpowiedział swoim ruchem. I nagle Cieniowi przyszło do głowy, że jego przeciwnik próbuje ponownie rozegrać tę samą partię, tę, w której właśnie wygrał, i to go ogranicza.

Tym razem Cień grał nieostrożnie. Wykorzystywał wszelkie nadarzające się okazje, poruszał bez namysłu, bez chwili

zastanowienia. I tym razem podczas gry uśmiechał się, a po każdym kolejnym posunięciu Czemoboga uśmiech Cienia stawał się szerszy.

Wkrótce Czernobog tłukł pionkami w szachownice i drewniany stół tak mocno, że pozostałe warcaby drżały na swych czarnych polach.

— Proszę — rzekł, z trzaskiem zbijając jeden z pionów Cienia i przygważdżając swój własny. — Proszę! Co ty na to?

Cień nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i przeskoczył postawiony przez tamtego pionek, potem następny, kolejny i czwarty, oczyszczając środek szachownicy z czarnych krążków. Zdjął jeden ze stosu białych warcabów i ukoronował swój pion.

Później pozostało już tylko sprzątanie: kilka ruchów i gra dobiegła końca.

— Do trzech razy sztuka? — spytał Cień.

Czernobog przyglądał mu się chwilę oczami niczym stalowe ostrza, a potem wybuchnął śmiechem. Z rozmachem uderzył go w plecy.

— Lubię cię! — wykrzyknął. — Masz jaja!

W tym momencie Zoria Utriennaja wsunęła głowę przez drzwi i oznajmiła, że kolacja gotowa i powinni sprzątnąć i nakryć stół obrusem.

— Nie mamy jadalni — dodała. — Przykro mi. Jadamy tutaj.

Na stole rozstawiono półmiski. Każdy z biesiadników ustawił na kolanach małą malowaną tacę, na której spoczywały zaśniedziałe sztućce.

Zoria Wieczernaja wzięła pięć drewnianych misek. W każdej umieściła gotowany ziemniak w mundurku i zalała go solidną porcją jaskrawoszkarłatnego barszczu. Dorzuciła do tego łyżkę białej, kwaśnej śmietany i wręczyła im miski.

— Sądziłem, że jest nas sześcioro — wtrącił Cień.

— Zoria Połunocznaja wciąż śpi — odparła Zoria Wieczernaja. — Jej kolację przechowujemy w lodówce. Gdy się obudzi, zje.

Barszcz był kwaśny, octowy. Smakował marynowanymi burakami. Ziemniak miał posmak mąki.

Na następne danie składała się skórzasta pieczeń otoczona zieleniną — choć ta została poddana tak długiej obróbce w garnku, że w ogóle straciła barwę i była na najlepszej drodze do stania się brązową.

Potem Zoria podała liście kapusty faszerowane mięsem i ryżem, tak twarde, że niemal nie dało się ich przeciąć, nie rozsypując farszu po dywanie. Cień grzebał bez przekonania w talerzu.

— Graliśmy w warcaby — oznajmił Czernobog, odkrawając kolejny kawał pieczeni. — Młody człowiek i ja. On wygrał, ja wygrałem. Ponieważ wygrał, zgodziłem się pojechać wraz z nim i

Wednesdayem i pomóc im w tym obłędzie, a że ja też wygrałem, kiedy skończymy, zabiję młodego człowieka uderzeniem młota.

Obie Zorie skinęły z powagą głowami.

— Co za szkoda — mruknęła Zoria Wieczernaja. — W mojej wróżbie powiedziałabym, że czeka cię długie, szczęśliwe życie, w otoczeniu wielu dzieci.

— Dlatego jesteś dobrą wróżką — dodała Zoria Utriennaja. Sprawiała wrażenie sennej, jakby z trudem wysiedziała tak długo. — Najlepiej z nas umiesz kłamać.

Pod koniec posiłku Cień wciąż był głodny. Więzienne żarcie, choć paskudne, i tak przewyższało to, co tu dostał.

— Dobry posiłek — mruknął Wednesday, który z wyraźnym apetytem opróżnił talerz. — Dziękuję, moje panie. A teraz obawiam się, iż musimy prosić was o polecenie nam jakiegoś dobrego hotelu w sąsiedztwie.

Zoria Wieczernaja zareagowała urazą.

— Czemu chcecie iść do hotelu? — spytała. — Nie jesteśmy przyjaciółmi?

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu… — zaczął Wednesday.

— To nie kłopot — odparła Zoria Utriennaja. Jedną ręką bawiła się złotymi włosami, nie pasującymi do starej twarzy. Ziewnęła.

— Ty możesz spać w pokoju Bieleboga. — Zoria Wieczernaja wskazała Wednesdaya. — Jest pusty. A co do ciebie, młodzieńcze, pościelę ci na kanapie. Będzie ci tu wygodniej niż na puchowym materacu. Daję słowo.

— To bardzo uprzejme z twojej strony — rzekł Wednesday. — Dziękujemy.

— I zapłacicie mi nie więcej niż za hotel — dodała Zoria Wieczernaja, tryumfalnie odrzucając w tył głowę. — Sto dolarów.

— Trzydzieści — odparł Wednesday.

— Pięćdziesiąt.

— Trzydzieści pięć.

— Czterdzieści pięć.

— Czterdzieści.

— Dobrze. Czterdzieści pięć dolarów.

Zoria Wieczernaja wyciągnęła rękę nad stołem i ucisnęła dłoń Wednesdaya. Potem zaczęła sprzątać garnki. Zoria Utriennaja ziewnęła tak szeroko, iż Cień z obawą pomyślał, że zaraz wywichnie sobie szczękę, i oznajmiła, że kładzie się do łóżka, nim zaśnie z głową w cieście. Powiedziała „dobranoc” i wyszła.

Cień pomógł Zorii Wieczernej zanieść talerze i półmiski do maleńkiej kuchni. Ku jego zdumieniu obok zlewu stała stara zmywarka. Napełnił ją. Zoria Wieczernaja patrzyła mu przez ramię. Zacmokała i zabrała drewniane miski po barszczu.

— Te idą do zlewu.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało. W pokoju czeka ciasto — dodała.

Ciasto — szarlotka — pochodziło ze sklepu i odgrzane w piekarniku smakowało doskonale. Cała czwórka zjadła je z lodami. A potem Zoria Wieczernaja wygoniła wszystkich z salonu i przygotowała Cieniowi wspaniałe posłanie na kanapie.

Wednesday, stojąc w korytarzu, odwrócił się do Cienia.

— To, co zrobiłeś, ta gra w warcaby… — zaczął.

— Tak?

— Dobrze zrobiłeś. Bardzo, bardzo głupio, ale dobrze. Miłej nocy.

Cień umył zęby i twarz w zimnej wodzie, a potem wrócił korytarzem do salonu, zgasił światło i zasnął, nim jego głowa dotknęła poduszki.

* * *

W jego śnie rozległy się wybuchy: kierował ciężarówką jadącą przez pole minowe. Po obu stronach eksplodowały bomby. Nagle przednia szyba pękła. Poczuł ciepłą krew spływającą po twarzy.

Ktoś do niego strzelał.

Pocisk przebił mu płuco. Drugi strzaskał kręgosłup. Kolejny trafił w ramię. Czuł uderzenie każdego z nich. Opadł na kierownicę.

Po ostatnim wybuchu nastała ciemność.

To musi być sen — pomyślał Cień, samotny w mroku. — Chyba właśnie umarłem. Przypomniał sobie, że jako dziecko usłyszał i uwierzył, że jeśli komuś przyśni się, że umarł, śmierć spotka go także w prawdziwym życiu. A jednak nie czuł się martwy. Eksperymentalnie uniósł powieki.

W małym salonie dostrzegł kobietę. Stała przy oknie, zwrócona do niego plecami. Jego serce ścisnęło się gwałtownie.

— Laura? — spytał.

Odwróciła się, skąpana w blasku księżyca.

— Przepraszam, nie chciałam cię obudzić. — Miała miękki wschodnioeuropejski akcent. — Pójdę już.

— Nie, nic się nie stało. Nie obudziłaś mnie. Miałem sen.

— Tak. Krzyczałeś i jęczałeś. Część mnie pragnęła cię obudzić. Pomyślałam jednak: nie, powinnam zostawić go w spokoju.

W słabym świetle księżyca jej włosy były jasne, bezbarwne. Miała na sobie białą bawełnianą koszulę, wykończoną koronkami i sięgającą ziemi. Cień usiadł na kanapie, całkowicie rozbudzony.

— Ty jesteś Zoria Połu… — zająknął się. — Siostra, która spała.

— Owszem, jestem Zoria Połunocznaja. A ty nazywasz się Cień, prawda? Tak mówiła Zoria Wieczernaja, kiedy wstałam.

— Zgadza się. Na co patrzyłaś?

Spojrzała na niego, po czym gestem pokazała, by dołączył do niej przy oknie. Gdy naciągał spodnie, odwróciła się. Szybko podszedł do niej. Jak na tak mały pokój była to długa droga.

Nie potrafił określić jej wieku. Skórę miała gładką, oczy ciemne, długie rzęsy, białe, sięgające pasa włosy. Światło księżyca pochłaniało kolory, zamieniało je w widmowe cienie. Była wyższa niż jej siostry.

Wskazała gwiazdy na niebie.

— Patrzyłam na to — rzekła, wskazując Wielki Wóz. — Widzisz?

— Ursa Major — odparł. — Wielka Niedźwiedzica.

— Można i tak powiedzieć — odparła. — Ale tam, skąd pochodzę, zwiemy je inaczej. Idę posiedzieć na dachu. Chcesz pójść ze mną?

Podniosła okno i boso wdrapała się na schody przeciwpożarowe. Do pokoju wpadł lodowaty powiew. Coś dręczyło Cienia, nie wiedział jednak co. Zawahał się, po czym naciągnął bluzę, skarpetki i buty i ruszył za nią pordzewiałymi schodami. Czekała na niego. Jego oddech parował w mroźnym powietrzu. Patrzył, jak bose stopy kobiety wędrują po lodowatych metalowych stopniach, i w ślad za nią wspiął się na dach.

Silne powiewy wiatru przyklejały nocną koszulę Zorii do ciała i Cień, zakłopotany, uświadomił sobie nagle, że jego towarzyszka nie ma nic pod spodem.

— Nie przeszkadza ci zimno? — spytał, gdy dotarli na szczyt schodów. Wiatr porwał gdzieś jego słowa.

— Słucham?

Pochyliła się. Miała słodki oddech.

— Pytałem, czy nie przeszkadza ci zimno.

W odpowiedzi uniosła palec:

— Zaczekaj.

Lekko przekroczyła krawędź budynku i stanęła na płaskim dachu. Cień podążył za nią trochę mniej sprawnie. Oboje stanęli w cieniu wieżyczki ciśnieniowej. Czekała tam na nich drewniana ławka. Zoria Połunocznaja usiadła, on przycupnął obok niej, odkrywając z radością, że wieża osłania ich przed wiatrem.

— Nie — odparła Zoria. — Zimno mi nie przeszkadza. To moja pora. Nocą nigdy nie czuję się źle, tak jak ryba nigdy nie czuje się źle w głębinie.

— Zapewne lubisz noc.

Cień pożałował, że nie powiedział czegoś mądrzejszego, głębszego.

— Moje siostry są związane ze swymi porami. Zoria Utrienna —

ja ze świtem. W starym kraju budziła się, by otworzyć bramy i wypuścić naszego ojca w jego… zapomniałam słowa. Coś jak samochód, ale z końmi.

— Powóz?

— W jego powozie. Nasz ojciec nim kierował. A Zoria Wieczernaja otwierała mu bramę o zmierzchu, gdy do nas powracał.

— A ty?

Przez chwilę milczała. Wargi miała pełne, lecz bardzo blade.

— Ja nigdy nie oglądałam ojca. Spałam.

— To jakaś choroba?

Nie odpowiedziała. Jeśli nawet wzruszyła ramionami, nie dostrzegł tego.

— A zatem chciałeś wiedzieć, na co patrzyłam?

— Wielki Wóz.

Uniosła rękę, wskazując konstelację. Wiatr załopotał nocną koszulą, przyciskając ją do ciała. Przez moment Cień ujrzał jej sutki, gęsią skórkę na aureolach; ciemne punkciki pośród bieli tkaniny. Zadrżał.

— Rydwan Odyna, tak go zwali. I Wielka Niedźwiedzica. Tam, skąd pochodzimy, wierzymy, że coś, nie bóg, ale podobnego do boga, coś złego, zostało uwięzione w górze, wśród tych gwiazd. Jeśli umknie, pożre wszechświat. Są też trzy siostry, które muszą strzec nieba. Cały dzień, całą noc. Jeśli on się uwolni, ów potwór w gwiazdach, nastąpi koniec świata. Pfftt! I już.

— I ludzie w to wierzą?

— Wierzyli. Dawno temu.

— A ty szukałaś wzrokiem potwora w gwiazdach?

— Coś w tym stylu. Tak.

Uśmiechnął się. Gdyby nie zimno, uznałby, że znów śni. Wszystko zdawało się takie nierzeczywiste.

— Mogę spytać, ile masz lat? Twoje siostry wyglądają na dużo starsze.

Skinęła głową.

— Ja jestem najmłodsza. Zoria Utriennaja urodziła się rankiem. Zoria Wieczernaja — wieczorem, a ja o północy. Jestem Siostrą Północną, Zoria Połunoczną. Masz żonę?

— Nie żyje. W zeszłym tygodniu zginęła w wypadku. Wczoraj był jej pogrzeb.

— Tak mi przykro.

— Zeszłej nocy złożyła mi wizytę. — Tu, w ciemności, w blasku księżyca, powiedział to z łatwością. Słowa te nie wydawały się nie do pomyślenia, jak za dnia.

— Spytałeś, czego chce?

— Nie. Raczej nie.

— Może powinieneś. To najmądrzejsza rzecz, o jaką można spytać umarłych. Czasami nawet odpowiadają. Zoria Wieczernaja mówiła, że grałeś w warcaby z Czernobogiem.

— Owszem, wygrał prawo roztrzaskania mi czaszki młotem.

— W dawnych czasach prowadzili ludzi na szczyt góry, w najwyższe miejsca. Tam rozbijali im głowy kamieniami, dla Czernoboga.

Cień rozejrzał się. Byli sami. Zoria Połunocznaja roześmiała się szczerze.

— Nie bądź niemądry, jego tu nie ma. Ty także wygrałeś. Nie zada ciosu, póki to wszystko się nie skończy. Tak powiedział. Dowiesz się kiedy, tak jak krowy, które zabijał. One zawsze wiedziały. W przeciwnym razie, jaki to ma sens?

— Mam wrażenie — powiedział Cień — jakbym znalazł się w świecie kierującym się własną logiką, własnymi prawami. Kiedy śnisz i wiesz, że są prawa, których nie wolno złamać, nawet jeśli nie wiesz jakie, po prostu się im poddajesz. Wiesz?

— Wiem. — Ujęła jego rękę lodowato zimną dłonią. — Raz już dostałeś ochronę. Dostałeś słońce, ale je straciłeś, oddałeś. Ja mogę zapewnić ci słabszą ochronę. Córkę, nie ojca. Ale wszystko się liczy. — Mroźny wiatr unosił wokół jej twarzy białe włosy.

— Mam z tobą walczyć? Grać w warcaby? — spytał.

— Nie musisz mnie nawet całować — odparła. — Po prostu weź ode mnie księżyc.

— Jak?

— Weź księżyc.

— Nie rozumiem.

— Patrz — poleciła Zoria Połunocznaja. Uniosła lewą rękę i przytrzymała ją przed księżycem, tak że jej palec wskazujący i kciuk zdawały się go chwytać. Potem jednym płynnym gestem pociągnęła. Przez moment zdawało się, że zdjęła księżyc z nieba. Później jednak Cień ujrzał, iż srebrna tarcza znów świeci. Zoria Połunocznaja rozchyliła palce, ukazując trzymaną między kciukiem i palcem wskazującym srebrną dolarówkę z głową Wolności.

— Przepięknie to zrobiłaś — powiedział. — Niczego nie zauważyłem i nie wiem, jak przemyciłaś monetę.

— Nie przemyciłam jej, wzięłam. A teraz ci ją daję. Schowaj bezpiecznie, nie oddawaj nikomu, proszę.

Włożyła mu monetę w prawą dłoń i zacisnęła palce. Pieniądz był bardzo zimny. Zoria Połunocznaja pochyliła się, zamknęła mu oczy palcami i ucałowała lekko w obie powieki.

* * *

Cień ocknął się na kanapie, w pełni ubrany. Wąski promień słońca wpadał przez okno. Tańczyły w nim drobinki kurzu.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. W świetle dnia pokój wydawał się znacznie mniejszy. Nagle uświadomił sobie, co niepokoiło go zeszłej nocy. Ponownie wyjrzał na zewnątrz, na drugą stronę ulicy. Za oknem nie było schodów przeciwpożarowych, balustrady ani zardzewiałych stopni.

Nadal jednak trzymał w dłoni jasną i lśniącą, jak w dniu, w którym ją wybito, srebrną dolarówkę z 1922 roku, ozdobioną głową Wolności.

— A, wstałeś. — Wednesday wsunął do środka głowę. — Chcesz kawy? Jedziemy napaść na bank.

PRZYBYCIE DO AMERYKI

1721

Ważną cechą amerykańskiej historii — napisał pan Ibis w swym oprawnym w skórę dzienniku — jest jej fikcyjny charakter. Ma w sobie prostotę czarno-białego rysunku dla dzieci bądź ludzi, którzy się nudzą. W większości pozostaje niezbadana, niewyobrażona, nieprzemyślana. Jest obrazem, nie samą sobą. Fikcyjna historia głosi — ciągnął dalej, przerywając na moment, by zanurzyć pióro w kałamarzu i zebrać myśli — iż Amerykę założyli pielgrzymi, poszukujący swobody i wolności wyznania, że przybyli do Ameryki, osiedli tam, rozmnażali się i napełniali pustą ziemię.

W istocie kolonie amerykańskie były nie tylko miejscem ucieczki, ale i wysypiskiem, ostoją wyrzutków. W czasach, gdy człowiek mógł zawisnąć w londyńskim Tyburn na drzewie o trzech gałęziach za kradzież dwunastu pensów, Ameryki stały się symbolem łaski, drugiej szansy. Lecz warunki zsyłki były takie, że dla niektórych łatwiej było skoczyć z bezlistnego drzewa i odtańczyć w powietrzu ostatni taniec aż do końca. Zwano to zesłaniem: na pięć lat, dziesięć, dożywotnim. Tak brzmiał wyrok.

Skazańca sprzedawano kapitanowi i wsadzano na jego statek, wypakowany ciasno, niczym statek niewolniczy, zmierzający do kolonii albo Indii Zachodnich. Po zejściu na ląd kapitan odsprzedawał go na służbę komuś, kto wielokrotnie odbierał sobie koszt jego skóry, aż do zakończenia kontraktu. Przynajmniej jednak człowiek nie czekał na powieszenie w angielskim więzieniu (w tamtych czasach bowiem

więzienia były miejscami, w których czekało się na uwolnienie, zsyłkę bądź powieszenie, a nie odsiadywało wyroki) i można było skorzystać z szansy dawanej przez Nowy Świat. Można też było przekupić kapitana i powrócić do Anglii przed zakończeniem zsyłki. Ludzie tak robili. Jeśli jednak władze schwytały kogoś takiego — jeżeli wydał go stary wróg bądź przyjaciel, mający rachunki do wyrównania — takiego delikwenta wieszano bez litości.

Przypomina mi to — ciągnął dalej po krótkiej przerwie, podczas której napełnił kałamarz na biurku ze schowanej w szafie butelki atramentu barwy umbry i ponownie zanurzył stalówkę — o życiu Essie Tregowan, pochodzącej z małej wioski na urwiskach Komwalii, na południowym wschodzie Anglii. Jej rodzina żyła tam od niepamiętnych czasów. Ojciec był rybakiem; plotkowano, iż jest jednym z korsarzy, tych którzy w burzliwe noce zawieszali lampy wysoko na niebezpiecznych skałach, zwabiając na nie statki, po to by później zrabować przywożone towary. Matka Essie służyła we dworze dziedzica jako kucharka i w wieku dwunastu lat Essie także podjęła tam pracę, w pomywalni. Była drobną dziewczynką o wielkich brązowych oczach i ciemnobrązowych włosach. Nie przykładała się zbytnio do pracy. Stale wymykała się z kuchni, by słuchać historii i opowieści, jeśli tylko ktoś zechciał ją zagadnąć: historii o skrzatach i sprigganach, o czarnych psach z wrzosowisk i kobietach-fokach z Kanału. A choć dziedzic wyśmiewał się z podobnych zabobonów, kuchenna służba zawsze wystawiała nocą porcelanowy spodek pełen najtłustsze-go mleka dla skrzatów.

Minęło kilka lat. Essie nie była już drobna i chuda. Wypełniła się i napęczniała niczym fale zielonego morza. Jej brązowe oczy śmiały się, kasztanowe loki fruwały na wietrze. Wzrok Essie spoczął na Bartholomew, osiemnastoletnim synu dziedzica, który wrócił właśnie z Rugby. Nocą poszła pod kamień na skraju lasu, złożyła na nim chleb — który Bartholomew napoczął, ale nie dokończył — owinięty kosmykiem włosów. Już następnego dnia młody panicz podszedł do niej, zagadnął i spojrzał z aprobatą oczami o niebezpieczniej barwie nieba tuż przed burzą. Essie czyściła właśnie kominek w jego sypialni.

— Ma takie groźne oczy — westchnęła Essie Tregowan.

Wkrótce potem Bartholomew wyjechał do Oksfordu, a gdy Essie nie mogła ukrywać swego stanu, została odprawiona. Dziecko jednak urodziło się martwe i na prośbę matki Essie, świetnej kucharki, żona dziedzica przekonała męża, by przywrócił posadę dawnej służącej.

Lecz miłość Essie do syna zmieniła się w nienawiść do całej rodziny. Po roku znalazła sobie kochanka, człowieka z sąsiedniej wioski, cieszącego się złą sławą, znanego jako Josiah Horner. Pewnej nocy, gdy rodzina spała, Essie wstała i odsunęła zasuwę w bocznych drzwiach, wpuszczając kochanka, który splądrował cały dwór.

Podejrzenia natychmiast padły na kogoś w domu, jasne było bowiem, iż czyjaś ręka musiała otworzyć drzwi — żona dziedzica dobrze pamiętała, że sama zasunęła rygiel. Ktoś musiał też wskazać, gdzie dziedzic przechowuje srebrną zastawę i w której szufladzie trzyma monety i papiery dłużne. Essie jednak zaprzeczyła wszystkiemu i wywinęła się — do czasu. Josiah Horn został schwytany u handlarza w Exeter. Próbował właśnie sprzedać jeden z papierów dziedzica. Dziedzic rozpoznał go i Horner i Essie stanęli przed sądem.

Horner został skazany przez miejscową ławę przysięgłych i, jak mawiano w ówczesnym slangu, okrutnie i od niechcenia „zgaszony". Sędzia jednak pożałował Essie, z powodu jej wieku bądź kasztanowych włosów, i skazał na zaledwie siedem lat zesłania. Miała popłynąć statkiem „Neptun" pod dowództwem kapitana Clarke. Essie zatem popłynęła do Karoliny. Po drodze zawiązała przymierze z poczciwym kapitanem i przekonała go, by zabrał ją z powrotem do Anglii jako swą żonę i umieścił w domu matki w Londynie, gdzie nikt jej nie zna. Podróż powrotna, po wymianie ludzkiego ładunku na tytoń i bawełnę, była szczęśliwa dla kapitana i jego wybranki. Niczym para synogarlic bądź zakochanych motyli dotykali się nieustannie, obdarzali czułymi słówkami lub podarkami.

Gdy dotarli do Londynu, kapitan Clarke umieścił Essie u swej matki, która traktowała ją niczym ślubną żonę syna. W osiem tygodni później „Neptun" wypłynął z portu. Piękna, młoda żona o kasztanowych włosach pomachała mężowi z brzegu, potem wróciła do domu teściowej, skąd pod nieobecność starszej kobiety zabrała sztukę jedwabiu, kilka złotych monet i srebrny garnek, w którym tamta przechowywała guziki. I tak Essie zniknęła na ulicach Londynu.

W ciągu następnych dwóch lat Essie stała się niezłą złodziejką. Pod-szeroką spódnicą ukrywała wiele grzechów, głównie skradzione sztuki jedwabiu i koronki. Żyła pełnią życia. Swe powodzenie i ucieczki przypisywała istotom, o których nasłuchała się jako dziecko, skrzatom (których wpływ, twierdziła z uporem, sięga nawet do Londynu). Co wieczór wystawiała na parapet drewnianą miskę mleka. I choć przyjaciółki śmiały się z niej, to ona śmiała się ostatnia. Przyjaciółki bowiem dostawały trypra bądź francy, a Essie cieszyła się doskonałym zdrowiem.

Rok przed jej dwudziestymi urodzinami los okrutnie się odwrócił. Siedziała właśnie w gospodzie Pod Skrzyżowanymi Widłami przy Fleet Street, gdy ujrzała młodzieńca siadającego obok kominka, który dopiero co przybył z uniwersytetu. Oho, obiecujący gołąbek, którego można obedrzeć z piór — pomyślała Essie, siadając obok niego i mówiąc, jaki to miły z niego młodzian. Jedną ręką zaczęła gładzić go po kolanie, a drugą ostrożnie szukać w kieszonce zegarka. A potem on spojrzał jej prosto w twarz. Serce Essie zamarło, gdy ujrzała jego oczy,

niebezpiecznie niebieskie jak letnie niebo przed burzą, a pan Bartholomew wypowiedział głośno jej imię.

Zabrano ją do Newgate i oskarżono o ucieczkę z zesłania. Uznana za winną Essie nie zadziwiła nikogo, prosząc o łaskę ze względu na swój stan, choć miejskie mężatki, oceniające podobne stwierdzenia (zwykle bezpodstawne), ze zdziwieniem musiały przyznać, iż Essie istotnie spodziewa się dziecka. Nie zgodziła się jednak zdradzić, kto jest ojcem.

Wyrok śmierci ponownie zamieniono jej na zesłanie. Tym razem dożywotnie.

Popłynęła na miejsce „Morską Dziewoją". Statek przewoził dwustu zesłańców, stłoczonych w ładowni niczym tłuste świnie wiezione na jarmark. Gorączka i choroby zbierały swe żniwo. Brakowało miejsca, by usiąść, nie mówiąc już o położeniu się do snu. Z tyłu ładowni jedna z kobiet zmarła w połogu, a że ludzie byli zbyt stłoczeni, by przenieść jej ciało, wraz z dzieckiem wyrzucono ją przez okienko wprost we wzburzone szare morze. Essie była w ósmym miesiącu ciąży. Dziw, że nie straciła dziecka.

Do końca życia dręczyły ją koszmary o owej ładowni. Budziła się wówczas z krzykiem, czując w gardle smak i smród tego miejsca. „Morska Dziewoja" wylądowała w Norfolk w stanie Wirginia. Kontrakt Essie wykupił właściciel „małej plantacji", hodowca tytoniu, John Richardson. Jego żona zmarła na gorączkę połogową tydzień po wydaniu na świat córki i potrzebował mamki oraz pomocy w gospodarstwie.

Synek Essie, którego nazwała Anthony, ponoć na pamiątkę nieżyjącego męża i ojca dziecka (wiedziała, że nikt nie zaprzeczy jej słowom, a zresztą, być może znała kiedyś jakiegoś Anthony'ego), ssał pierś matki wraz z Phyllidą Richardson. Dziecko pracodawcy zawsze pierwsze dostawało pierś, toteż rosło zdrowo, wysokie i silne, podczas gdy syn Essie był słaby i chorowity.

Dzieci, dorastając, wraz z mlekiem wchłaniały opowieści Essie o stukaczach i modrakach żyjących w kopalniach, o Bucce, najpodstępniejszym duchu ziemi, niebezpieczniejszym niż rudowłose, zadartonose skrzaty, którym zawsze pozostawia się na brzegu pierwszą schwytaną rybę, a na polu chleb z pierwszego wypieku, by uzyskać dobre plony. Opowiadała o jabłoniowych ludziach, starych jabłoniach, mówiących, gdy mają ochotę, których łaski zyskuje się porcją pierwszego cydru, wylaną na korzenie na przełomie lat. Opowiadała ze swym przeciągłym komwalijskim akcentem, których drzew należy unikać, wedle starego wierszyka.

Wiąż myśli i czeka,
A dąb zieje gniewem,

lecz wierzba wędruje
czasami pod niebem.

Opowiadała im to wszystko, a one w to wierzyły, bo i ona wierzyła.

Farma rozkwitała. Co noc Essie Tregowan wystawiała za drzwi miseczkę mleka dla skrzatów. Po ośmiu miesiącach John Richardson zapukał do drzwi jej sypialni, prosząc, by przyjęła go tak jak kobieta mężczyznę. Essie odparła, że bardzo ją zranił. Ona, biedna wdowa i służąca, niewiele lepsza od niewolnicy, miałaby się prostytuować z człowiekiem, którego darzyła tak wielkim szacunkiem — a służąca kontraktowa nie może wyjść za mąż. Czemu zatem znęca się nad nią biedną? To niebywałe! Jej orzechowe oczy napełniły się łzami i Richardson odkrył ze zdumieniem, że ją przeprasza. Ostatecznie owej gorącej letniej nocy John Richardson ukląkł w korytarzu przed Essie Tregowan, proponując zakończenie służby i ofiarując jej swoją rękę. A choć przyjęła oświadczyny, nie zgodziła się przyjąć jego samego, póki nie zalegalizowali sprawy. Wówczas przeniosła się z pokoiku na strychu do wielkiej frontowej sypialni. I jeśli nawet część przyjaciół farmera Richardsona i ich żon naśmiewała się z niego w mieście, znacznie więcej osób uważało, że nowa pani Richardson to piękna kobieta i Johnowi nieźle się poszczęściło.

Po roku Essie urodziła kolejne dziecko, znów chłopca, lecz jasnowłosego jak ojciec i przyrodnia siostra. Nazwali go John, po ojcu.

Trójka dzieci uczęszczała w niedziele do kościoła, słuchając kazań wędrownego kaznodziei. Chodziły do szkoły, poznając pismo i rachunki wraz z dziećmi innych farmerów. Essie dopilnowała też, by poznały tajemnice skrzatów, najważniejsze tajemnice świata: sekrety rudowłosych ludzi o oczach i strojach zielonych jak rzeka i zadartych nosach; zabawnych ludzików, którzy, gdy przyjdzie ich ochota, potrafią zawładnąć ludźmi i sprowadzić ich z drogi, chyba że ma się w kieszeni sól albo okruchy chleba. Gdy dzieci szły do szkoły, każde z nich skrywało w kieszeni szczyptę soli, a w drugiej okruch chleba, stare symbole życia i ziemi. Dzięki nim miały bezpiecznie wrócić do domu. I zawsze wracały.

Dzieci dorastały wśród zielonych wzgórz Wirginii; wysokie i silne (choć Anthony, jej pierworodny, na zawsze pozostał słabszy, bledszy, bardziej skłonny do chorób i kaprysów). Richardsonowie byli szczęśliwi. Essie naprawdę kochała męża. Dziesięć lat po ślubie Johna Richardsona rozbolał ząb, tak gwałtownie i mocno, że farmer spadł z konia. Zabrali go do najbliższego miasta. Tam wyrwano mu ząb, było już jednak za późno. Zatrucie krwi sprawiło, że zmarł w mękach z poczerniałą twarzą. Pogrzebali go pod ulubioną wierzbą.

Wdowa Richardson miała kierować farmą do czasu, aż dwójka dzieci Richardsona osiągnie stosowny wiek. Rozkazywała służbie i niewolnikom i co rok zbierała spory plon z plantacji tytoniu. W sylwestra podlewała cydrem korzenie jabłoni, w czasie żniw wynosiła na pole bochen chleba z pierwszego pieczenia i zawsze wystawiała skrzatom miseczkę mleka. Farma rozkwitała. Wdowa Richardson zyskała sobie opinię twardej gospodyni, która zawsze dostarcza najlepszy towar i nigdy nie oszukuje.

I tak upłynęło kolejnych dziesięć lat. Potem jednak nastał zły rok. Anthony, jej syn, zabił Johniego, swego przyrodniego brata, podczas wściekłej kłótni o przyszłość farmy i rękę Phyllidy. Niektórzy twierdzili, że nie zamierzał go zabić i że po prostu zadał zbyt mocny cios. Inni mówili inaczej. Anthony uciekł. Essie samotnie pogrzebała najmłodszego syna u boku ojca. Niektórzy powiadali, że jej pierworodny zbiegł do Bostonu, inni, że pojechał na południe. Matka uważała, że popłynął do Anglii, by zaciągnąć się do armii króla Jerzego i walczyć ze zbuntowanymi Szkotami. Lecz po odejściu obu synów na farmie zrobiło się pusto i smutno. Phyllida rozpaczała i tęskniła, jakby złamano jej serce. Nic, co by powiedziała macocha, nie mogło jej pocieszyć.

Lecz mimo złamanego serca Phyllida wiedziała, że farma potrzebuje mężczyzny, toteż poślubiła Harry'ego Soamesa, cieślę okrętowego, który miał dosyć morza i marzył o życiu na lądzie, na farmie, jak ta w hrabstwie Lincoln, gdzie się wychował. A choć farma Richardsonów niezbyt ją przypominała, Harry Soames znalazł dość podobieństw, by poczuć się tu szczęśliwy. Phyllida i Harry spłodzili pięcioro dzieci, z których trójka przeżyła.

Wdowa Richardson tęskniła za synami i mężem, choć obecnie pozostało jej po nim tylko wspomnienie miłego mężczyzny, który dobrze ją traktował. Dzieci Phyllidy często prosiły ją o bajki. Opowiadała im o czarnym psie z wrzosowisk, Trupiej Czaszce i Krwawych Kościach, o jabłoniowych ludziach. Te historie jednak ich nie interesowały. Dzieci pragnęły wyłącznie opowieści o Jacku — Jacku i łodydze fasoli, Jacku, zabójcy olbrzyma, Jacku, jego kocie i królu. Essie kochała te dzieci jak swe własne ciało i krew, czasem jednak nazywała je imionami dawno zmarłych.

Był maj. Essie wyniosła krzesło do kuchennego ogrodu. Chciała pozbierać groszek i wyłuskać go na słońcu, bowiem nawet w cieple Wirginii do jej kości zakradł się chłód, a szron musnął włosy. Lubiła napawać się ciepłem. I gdy tak wdowa Richardson łuskała groszek starymi rękami, pomyślała, jak wspaniale byłoby przejść się po wrzosowiskach i słonych skałach jej rodzinnej Komwalii. Wspomniała, jak w dzieciństwie siedziała na plaży, czekając na powrót statku ojca z szarego morza. Jej ręce, niezgrabne, powykręcane, otwierały kolejne

strączki, wrzucały ziarenka do glinianej miski i upuszczały puste łupiny na podołek. A potem wróciła — pamięcią do dawno zapomnianych czasów, straconego życia, gdy zręcznymi palcami podkradała sakiewki i sztuki jedwabiu. Wspomniała strażnika z Newgate, który mówił, iż do rozprawy zostało co najmniej trzy miesiące i że może uciec spod szubienicy, jeśli zapełni brzuch. Mówił, jak bardzo jest ładna, a ona odwróciła się do ściany i śmiało uniosła spódnicę, nienawidząc siebie i jego, lecz wiedząc, że on ma rację. A potem poczuła wewnątrz siebie życie, co oznaczało, że znowu wymknie się śmierci…

— Essie Tregowan? — spytał nieznajomy.

Wdowa Richardson uniosła wzrok, osłaniając oczy przed majowym słońcem.

— Czy ja cię znam? — spytała. Nie słyszała, jak podszedł.

Mężczyzna miał na sobie zielony strój: zakurzone, zielone spodnie, zieloną kurtkę, ciemnozielony płaszcz. Jego włosy lśniły ognistą czerwienią. Uśmiechnął się do niej, przekrzywiając głowę. Było w nim coś takiego, że poczuła nagłą radość… i coś jeszcze, ostrzegającego przed niebezpieczeństwem.

— Można powiedzieć, że mnie znasz.

Mrużąc oczy, patrzył na nią. A ona odpowiedziała tym samym, poszukując znajomych rysów w okrągłej twarzy przybysza. Wyglądał młodo, jak jedno z jej wnucząt. Nazwał ją jednak starym nazwiskiem i przemawiał z akcentem, który znała z dzieciństwa, ze skał i wrzosowisk domu.

— Jesteś z Kornwalii? — spytała.

— O, tak. Jestem kuzyn Jack — odparł rudowłosy. — A przynajmniej byłem. Teraz jednak przybyłem do Nowego Świata, gdzie nikt nie wystawia mi mleka ni piwa, ani bochna chleba w czas żniw.

Stara kobieta przytrzymała miskę na kolanach.

— Jeśli jesteś tym, o kim myślę — rzekła — to nic do ciebie nie mam.

Z domu dobiegł ją głos Phyllidy, strofującej gosposię.

— Ani ja do ciebie — odparł rudowłosy z lekkim smutkiem. — Choć to ty mnie tu sprowadziłaś. Ty i kilkoro tobie podobnych. Do krainy pozbawionej magii, w której brak miejsca dla skrzatów.

— Wiele razy mi się przysłużyłeś — rzekła.

— Na dobre i na złe — odparł nieznajomy. — Jesteśmy jak wiatr. Wiejemy we wszystkie strony.

Essie przytaknęła.

— Weź mnie za rękę, Essie Tregowan.

Wyciągnął ku niej piegowatą dłoń. I chociaż wzrok Essie nie był już taki jak kiedyś, widziała każdy pomarańczowy włosek na grzbiecie

dłoni, połyskujący złociście w popołudniowym słońcu. Przygryzła wargę, a potem z wahaniem podała mu posiniałą, wykręconą rękę. Gdy ją znaleźli, wciąż była ciepła, choć życie umknęło z jej ciała i wyłuskała zaledwie połowę groszku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pani Życie cała w kwiatach,
Śmierć śledzącym zaś ją wrogiem
Ona w domu cale lata,
A on czeka tuż za progiem.

— WE. Henley, „Pani Życie cała w kwiatach”

Sobotnim rankiem pożegnała ich tylko Zoria Utriennaja. Wzięła czterdzieści pięć dolarów Wednesdaya i uparła się, że wystawi mu pokwitowanie — co też uczyniła szerokim, krągłym pismem na odwrocie starego kuponu zniżkowego na oranżadę. W porannym świetle wyglądała jak lalka. Starą twarz pokrywał staranny makijaż; złote włosy upięła wysoko na głowie.

Wednesday ucałował jej dłoń.

— Dziękuję za gościnę, moja pani — rzekł. — Ty i twoje urocze siostry jesteście wciąż promienne, niczym samo niebo.

— Okropny z ciebie człowiek — odparła, grożąc palcem. Potem go uścisnęła. — Żyj bezpiecznie — dodała. — Nie chciałabym usłyszeć, że odszedłeś na dobre.

— Mnie także nie odpowiada ta myśl, moja droga.

Potem uścisnęła dłoń Cienia.

— Zoria Połunocznaja ma o tobie wysokie mniemanie. Ja także.

— Dziękuję — odparł Cień. — I dzięki za kolację.

Uniosła brwi.

— Smakowało? Musisz nas znów odwiedzić.

Wednesday i Cień zeszli po schodach. Cień wsunął rękę do kieszeni kurtki i poczuł dotyk zimnego metalu. Srebrna dolarówka była większa i cięższa niż monety których dotąd używał. Przycisnął ją dłonią, pozwolił, by lewa ręka wisiała swobodnie. Potem ją wyprostował i moneta przesunęła się naprzód. Tkwiła tam naturalnie, lekko ściśnięta palcami, małym i wskazującym.

— Ładnie zrobione — pogratulował Wednesday.

— Dopiero się uczę — odparł Cień. — Techniczne sztuczki już znam. Najtrudniej jest sprawić, by ludzie patrzyli nie na tę rękę.

— Naprawdę?

— Tak — odparł Cień. — Nazywamy to zmyłką.

Wsunął pod monetę środkowe palce, przycisnął ją do dłoni i w

tym momencie popełnił błąd. Moneta z brzękiem spadła na ziemię i sturlała się po schodach. Wednesday schylił się i ją podniósł.

— Nie możesz tak lekko traktować podarków — oznajmił. — Coś takiego powinieneś trzymać przy sobie, nie rzucać wokoło. — Uważnie obejrzał dolarówkę, najpierw orła, potem oblicze Wolności na odwrocie. — Ach, Wolność. Piękna, prawda? — Rzucił monetę Cieniowi, który złapał ją w powietrzu i pozornie przełożył srebrny pieniądz do lewej ręki, podczas gdy w istocie zatrzymał go w prawej, a potem wsunął lewą rękę do kieszeni. Moneta tkwiła w prawej dłoni, na widoku. Jej dotyk dodawał otuchy.

— Wolność — ciągnął Wednesday. — Podobnie jak wiele bogów, drogich sercom Amerykanów, to cudzoziemka, w tym przypadku Francuzka, choć szanując amerykańską wrażliwość, Francuzi okryli szatą wspaniałe łono jej posągu, który podarowali Nowemu Jorkowi. Wolność. — Zmarszczył nos na widok leżącej na podłodze zużytej prezerwatywy. Z niesmakiem kopnął ją na bok. — Ktoś mógł się na tym pośliznąć, skręcić kark — mruknął. — Coś jak skórka od banana, tyle że niesmaczna i ironiczna. — Pchnął drzwi i nagle uderzył w nich blask słońca. — Wolność! — zagrzmiał Wednesday, idąc do samochodu. — To suka, którą trzeba rżnąć na posłaniu z trupów!

— Ach tak? — spytał Cień.

— Cytuję — wyjaśnił Wednesday. — Cytuję jakiegoś Francuza. Oto, czyj posąg stoi w nowojorskim porcie: suki, która lubi się pieprzyć na szczątkach spod gilotyny. Nieś sobie wysoko swoją pochodnię, moja droga. W sukni wciąż masz szczury, a po nogach spływa ci zimna sperma.

Otworzył kluczykiem drzwi i wskazał Cieniowi fotel pasażera.

— Ja uważam, że jest piękna — oznajmi! Cień, unosząc do oczu monetę. Srebrna twarz Wolności przypominała mu nieco Zorię Połunoczną.

— To właśnie — odparł Wednesday, ruszając z miejsca — jest odwieczne szaleństwo człowieka. Pościg za słodkim ciałem. Choć w istocie stanowi ono jedynie piękną osłonę kości, żeru dla robaków. Nocą ocieramy się o żer dla robaków. Bez urazy.

Cień nigdy jeszcze nie widział Wednesdaya w tak wylewnym nastroju. Uznał, że jego nowy szef przechodzi przez fazy ekstrawertyzmu, przeplatane fazami głębokiego milczenia.

— A zatem nie jesteś Amerykaninem?

— Nikt nie jest Amerykaninem — odparł Wednesday. — Nie z pochodzenia. Właśnie o to chodzi. — Zerknął na zegarek. — Wciąż pozostało nam do zabicia kilka godzin, przed zamknięciem banków. A przy okazji, wczoraj wieczorem świetnie się spisałeś z Czernobogiem. W końcu namówiłbym go do współpracy, ale dzięki tobie zgodził się z zapałem.

— Tylko dlatego, że później może mnie zabić.

— Niekoniecznie. Jak sam-słusznie zauważyłeś, jest stary i cios może na przykład tylko cię sparaliżować, tak że zostaniesz bezwładnym inwalidą. Masz zatem na co czekać, jeśli rzecz jasna pan Czernobog przeżyje nadchodzące problemy.

— Istnieją co do tego wątpliwości? — spytał Cień, naśladując intonację Wednesdaya i nienawidząc się za to.

— O tak, kurwa — odparł Wednesday. Zjechał na parking przed bankiem. — Oto bank — oznajmił — który zamierzam okraść. Zamykają go za kilka godzin. Wejdźmy się przywitać.

Gestem wezwał Cienia, który z wahaniem wysiadł z samochodu. Jeśli stary zamierzał zrobić coś głupiego, Cień nie widział powodu, by pozwolić zarejestrować swoją twarz kamerze. Jednak ciekawość zwyciężyła, więc wszedł do środka. Wbijał wzrok w ziemię, pocierał ręką nos, starał się jak najlepiej ukryć twarz.

— Blankiety wpłaty, proszę pani? — spytał Wednesday samotną kasjerkę.

— Leżą tam.

— Doskonale. A gdybym chciał wpłacić w nocy…?

— Te same blankiety. — Uśmiechnęła się do niego. — Wiesz, gdzie jest trezor, mój drogi? Na lewo od głównego wejścia, na ścianie.

— Dziękuję pięknie.

Wednesday zabrał plik blankietów. Pożegnał kasjerkę uśmiechem i obaj wyszli.

Na moment Wednesday przystanął na chodniku, z namysłem drapiąc się w głowę. Wreszcie podszedł do bankomatu i skrytki w ścianie, po czym obejrzał je uważnie. Poprowadził Cienia na drugą stronę ulicy do supermarketu, gdzie kupił sobie czekoladowego loda, a Cieniowi kubek gorącej czekolady. Na ścianie w holu, pod tablicą ogłoszeniową z informacjami o pokojach do wynajęcia i kociętach i szczeniętach do oddania w dobre ręce, wisiał telefon. Wednesday zapisał numer. Ponownie przeszli przez jezdnię.

— A teraz — oznajmił nagle — potrzebny nam śnieg. Porządny, gęsty, irytujący śnieg. Pomyśl dla mnie o śniegu, dobrze?

— Słucham?

— Skup się na chmurach, tych na zachodzie. Myśl, by stały się gęściejsze, ciemniejsze. Myśl o szarym niebie i ostrym wietrze znad bieguna. Myśl o śniegu.

— Wątpię, by to cokolwiek dało.

— Bzdura. W najgorszym razie zajmiesz czymś myśli. — Wednesday przekręcił kluczyk w zamku. — Teraz ksero. Pospiesz się.

Śnieg — myślał Cień, siedząc w samochodzie i sącząc gorącą czekoladę. Wielkie, roziskrzone płaty śniegu, opadające w powietrzu, plamy bieli na tle stalowoszarego nieba, śnieg, który dotyka języka,

niosąc mróz i zimę, nieśmiało całuje ci twarz, a potem zamraża na śmierć. Dwadzieścia pięć centymetrów białej waty. Baśniowy świat, piękny, nie do poznania…

Wednesday mówił coś do niego.

— Słucham?

— Powiedziałem, że jesteśmy na miejscu — powtórzył Wednesday. — Ale ty byłeś gdzie indziej.

— Myślałem o śniegu — wyjaśnił Cień.

W punkcie ksero Wednesday zajął się odbijaniem bankowych blankietów wpłaty. Poprosił też o wydrukowanie dwóch kompletów po dziesięć wizytówek. Cień poczuł pierwszy ból głowy i dziwne napięcie między łopatkami. Zastanawiał się, czy może źle spał, czy też ów ból stanowi nieprzyjemną pamiątkę poprzedniego wieczoru.

Wednesday usiadł przy komputerze, ułożył list i z pomocą pracownika punktu przygotował kilka dużych napisów.

Śnieg — myślał Cień. Wysoko w atmosferze drobniutkie, idealne kryształki tworzące się wokół miniaturowych drobinek kurzu. Każdy to koronkowe dzieło sztuki fraktalnej. A potem śnieżne kryształki zlepiają się w duże płatki i spadają, pokrywając Chicago białym płaszczem, cal po calu…

— Proszę. — Wednesday wręczył Cieniowi kubek kawy z automatu. Pośrodku unosiła się bryłka na wpół rozpuszczonej sztucznej śmietanki. — Chyba już wystarczy, nie sądzisz?

— Wystarczy? Czego?

— Śniegu. Nie chcesz przecież sparaliżować miasta.

Niebo miało barwę wojskowej szarości. Zbierało się na śnieg; O, tak.

— Ja przecież tego nie zrobiłem? — spytał Cień. — To nie ja, prawda?

— Wypij kawę — polecił Wednesday. — Jest paskudna, ale złagodzi ból głowy. — Po czym dodał: — Dobra robota.

Wednesday zapłacił za wszystko i wyniósł na dwór napisy, listy i wizytówki. Otworzył bagażnik, wsunął papier do dużej, czarnej, metalowej walizeczki, w typie tych noszonych przez strażników, po czym zatrzasnął klapę. Wręczył Cieniowi wizytówkę.

— Kim — spytał Cień — jest A. Haddock, dyrektor Działu Ochrony w Agencji Ochrony Al?

— To ty.

— A. Haddock? — Tak.

— Co oznacza A?

— Alfreda, Alphonsa, Augustina, Ambrose'a… Twój wybór.

— Rozumiem.

— Ja jestem James O'Gorman — dodał Wednesday. — Widzisz, też mam wizytówkę.

Wsiedli do samochodu.

— Jeśli potrafisz myśleć o A. Haddocku równie dobrze jak o śniegu, wkrótce zarobimy mnóstwo ślicznych pieniążków, za które ugościmy moich przyjaciół.

— Nie zamierzam wracać do więzienia.

— Nie wrócisz.

— Sądziłem, że zgodziliśmy się, że nie będę uczestniczył w niczym nielegalnym.

— I nie uczestniczysz. Tylko udzielasz pomocy. Ukrywasz przestępcę, no i oczywiście dostajesz skradzione pieniądze. Wierz mi jednak, wyjdziesz z tego niewinny jak ptaszek.

— Przedtem czy po tym, jak twój starszawy słowiański Atlas jednym uderzeniem zmiażdży mi czaszkę?

— Zaczyna tracić wzrok — odparł Wednesday. — Prawdopodobnie w ogóle w ciebie nie trafi. No dobra, mamy jeszcze trochę czasu — w soboty bank zamykają w południe. Co powiesz na lunch?

— Chętnie — rzekł Cień. — Konam z głodu.

— Znam świetne miejsce. Wednesday ruszył naprzód, nucąc pod nosem wesołą melodię, której Cień nie potrafił rozpoznać. Z nieba posypały się płatki śniegu, dokładnie takie, jakie sobie wyobraził, i poczuł osobliwą dumę. Rozsądek podpowiadał, że nie miał nic wspólnego ze śniegiem, a srebrny dolar w kieszeni nie jest i nigdy nie był księżycem. Mimo wszystko jednak…

Zatrzymali się przed wielkim, obskurnym budynkiem. Nad drzwiami wisiał napis reklamujący Bufet Wszystko, Co Zdołasz Zjeść — Za 4,99.

— Uwielbiam to miejsce — oznajmił Wednesday.

— Dobrze karmią? — spytał Cień.

— Nieszczególnie — odrzekł tamten — Ale ta atmosfera!

Po lunchu — Cień zamówił pieczonego kurczaka, który bardzo mu smakował — okazało się, że atmosfera, którą uwielbiał Wednesday, to firma zajmująca tyły budynku. Jak głosił transparent pośrodku pomieszczenia, był to magazyn resztek serii i towarów wycofanych.

Wednesday wrócił do samochodu i po chwili wrócił z niewielką walizką, którą zaniósł do toalety. Cień uznał, że wkrótce, czy tego chce, czy nie, i tak dowie się, co tamten kombinuje. Zaczął zatem krążyć wśród półek, oglądając kolejne towary: pudełka kawy „wyłącznie do użytku linii lotniczych”, maskotki Wojowniczych Żółwi Ninja i lalki Xeny, wojowniczej księżniczki, pluszowe misie, po włączeniu do kontaktu odgrywające na ksylofonie patriotyczne melodie, puszki mielonki, kalosze i nieprzemakalne nakładki na buty, marmoladki, zegarki na rękę z podobizną Billa Clintona, sztuczne

miniaturowe choinki, solniczki i pieprzniczki w kształcie zwierząt, części ciała, owoców i zakonnic, a także coś, co spodobało mu się najbardziej: zestaw do budowy bałwana, z plastikowymi oczami z niby-węgla, fajką z kukurydzy i plastikowym kapeluszem. „Wystarczy dodać prawdziwą marchewkę — głosił napis na opakowaniu.

Cień rozmyślał o tym, jak można zdjąć z nieba księżyc i zamienić w srebrną dolarówkę i co sprawia, by kobieta opuściła grób i przeszła przez miasto, aby z kimś pomówić.

— Cudowne miejsce, prawda? — odezwał się Wednesday, wychodząc z męskiej toalety. Wciąż miał mokre ręce. Wycierał je w chusteczkę. — Skończyły im się papierowe ręczniki — wyjaśnił. Przebrał się. Teraz miał na sobie granatową kurtkę i pasujące do niej spodnie, niebieski włóczkowy krawat, gruby, niebieski sweter, białą koszulę i czarne buty. Wyglądał jak ochroniarz i Cień powiedział to głośno.

— Cóż mogę na to rzec, młody człowieku — odparł Wednesday, biorąc z pułki pudełko pływających, plastikowych rybek („Zawsze jak nowe — i nie trzeba ich karmić!!") — chyba tylko pogratulować ci niewiarygodnej spostrzegawczości. Co powiesz na Arthura Haddocka? Arthur to porządne imię.

— Zbyt przyziemne.

— Z pewnością coś wymyślisz. No dobra, wracajmy do miasta. Zjawimy się akurat w samą porę. Okradniemy bank i będę miał trochę pieniędzy na drobne wydatki.

— Większość ludzi — zauważył Cień — wybrałaby pieniądze z bankomatu.

— I, o dziwo, jest to niemal dokładnie to, co zamierzam zrobić.

Wednesday zaparkował samochód przed supermarketem naprzeciwko banku. Z bagażnika wyjął metalową walizeczkę, notatnik i parę kajdanek. Przypiął walizkę do lewego przegubu. Śnieg wciąż padał. Wednesday założył sztywną niebieską czapkę, do kieszeni na piersi przypiął naszywkę. Na obu widniał napis: AGENCJA OCHRONY Al. W notatniku ukrył blankiety wpłaty, a potem się przygarbił. Wyglądał jak zmęczony emerytowany policjant, któremu nagle wyrósł spory brzuszek.

— Zrób drobne zakupy w sklepie, a potem stań koło automatu. Jeśli ktoś spyta, czekasz na telefon od dziewczyny, której zepsuł się samochód.

— Czemu więc miałaby dzwonić tutaj?

— Skąd niby mam wiedzieć?

Wednesday założył na głowę parę spłowiałych, różowych nauszników. Zatrzasnął bagażnik. Płatki śniegu osiadały na nausznikach i granatowej czapce.

— Jak wyglądam? — spytał.

— Absurdalnie — odparł Cień.

— Absurdalnie?

— Czy może głupio — sprecyzował tamten.

— Mmm. Głupio i absurdalnie. Doskonale. — Uśmiechnął się Wednesday.

Nauszniki sprawiały, że jednocześnie wydawał się poczciwy, zabawny i uroczy. Przeszedł przez ulicę i dalej w stronę banku. Cień stanął w przedsionku supermarketu. Obserwował.

Wednesday przylepił do bankomatu duży, czerwony napis: Zepsuty. Czerwoną wstążką przesłonił szczelinę depozytową, po czym tuż nad nią nalepił kartkę. Cień odczytał ją z rozbawieniem:

DLA PAŃSTWA WYGODY WPROWADZAMY NIEUSTANNIE NOWE UDOSKONALENIA.
PRZEPRASZAMY ZA CHWILOWĄ NIEDOGODNOŚĆ.

Potem Wednesday odwrócił się i spojrzał na ulicę. Wyglądał na zmęczonego i zmarzniętego.

Młoda kobieta podeszła, by skorzystać z bankomatu. Wednesday pokręcił głową, wyjaśniając, że jest zepsuty. Dziewczyna zaklęła, przeprosiła i odeszła szybkim krokiem.

Podjechał samochód, z którego wynurzył się mężczyzna, trzymający w dłoni mały, szary worek i klucz. Cień patrzył, jak Wednesday przeprasza nieznajomego, po czym każe mu podpisać coś w notatniku, sprawdza blankiet, starannie wypisuje pokwitowanie, długo zastanawia się, którą kopię zachować, w końcu otwiera czarną metalowa walizkę i wkłada do środka worek.

Mężczyzna drżał w padającym śniegu, tupiąc nogami i czekając, aż stary strażnik załatwi administracyjne bzdury i pozwoli mu zabrać swoje rzeczy i odjechać. Bez słowa wziął pokwitowanie, wrócił do ciepłego samochodu i zniknął.

Wednesday, nie wypuszczając z dłoni metalowej walizki, przeszedł przez jezdnię i kupił sobie kawę w supermarkecie.

— Dzień dobry, młody człowieku — powiedział, mijając Cienia, i zaśmiał się gardłowo. — Dość zimno dla ciebie?

Wrócił na drugą stronę ulicy i zaczął odbierać szare worki i koperty od ludzi przychodzących złożyć w depozycie swe pensje i zarobki z soboty. Poczciwy, stary strażnik w zabawnych różowych nausznikach.

Cień kupił sobie kilka gazet — „Turkey Hunting”, „People” i, ponieważ rozczuliło go widniejące na okładce zdjęcie Yeti, „Weekly World News”, po czym stanął przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał Murzyn w średnim wieku z

bujnym, siwym wąsem. Wyglądał na kierownika.

— Dziękuję, nie. Czekam na telefon. Mojej dziewczynie zepsuł się samochód.

— To pewnie akumulator — rzekł tamten. — Ludzie zapominają, że akumulator wystarcza na trzy, może cztery lata. A przecież nie kosztuje majątku.

— Mnie pan to mówi? — odparł Cień.

— Trzymaj się, wielkoludzie — rzucił kierownik i wrócił do sklepu.

Śnieg sprawiał, że ulica zamieniała się we wnętrze śnieżnej kuli, doskonałe w najdrobniejszych szczegółach.

Cień obserwował Wednesdaya z podziwem. Nie słyszał toczonych przez niego rozmów, toteż miał wrażenie, jakby oglądał niemy film z doskonałymi aktorami, odczytując wszystko z gestów i wyrazów twarzy: stary strażnik był szorstki, uczciwy, nieco niezręczny, lecz pełen dobrych chęci. Każdy, kto oddał mu swoje pieniądze, odchodził nieco szczęśliwszy.

Nagle przed bankiem zatrzymał się radiowóz. Serce Cienia zamarło. Wednesday uchylił czapki i powoli podszedł do samochodu. Przywitał się z policjantami, uścisnął ich dłonie przez otwarte okno, potem zaczął grzebać w kieszeniach. W końcu znalazł wizytówkę i list. Wręczył je kierowcy i pociągnął łyk kawy.

Zadzwonił telefon. Cień podniósł słuchawkę i odezwał się znudzonym tonem.

— Agencja ochrony Al.

— Czy mógłbym mówić z A. Haddockiem? — poprosił policjant z drugiej strony ulicy.

— Andy Haddock przy telefonie — odparł Cień.

— Panie Haddock, mówi policja — oznajmił tamten. — Czy jeden z pańskich ludzi pracuje przy Pierwszym Banku Illinois na rogu ulic Drugiej i Market?

— Tak, zgadza się. Jimmy O'Gorman. Jakiś problem, panie władzo? Jimmy dobrze się zachowuje? Nie pił chyba?

— Nie ma żadnego problemu, proszę pana. Pański człowiek sprawuje się świetnie. Chcieliśmy tylko się upewnić, że wszystko jest w porządku.

— Proszę powiedzieć Jimowi, że jeśli znów przyłapiemy go na piciu, wyleci z pracy. Rozumie pan, wylatuje. Na zbity pysk. W naszej agencji nie tolerujemy podobnego zachowania.

— Naprawdę nie sądzę, by do mnie należało powtarzanie takich rzeczy. Zresztą, świetnie się spisuje. Martwimy się tylko, bo tak naprawdę podobne zlecenia powinny wykonywać dwie osoby. To ryzykowne. Jeden nieuzbrojony strażnik, przechowujący tak dużo gotówki…

— Mnie pan to mówi? Proszę to powiedzieć skąpiradłom z Pierwszego Banku Illinois. Narażam życie moich ludzi, panie władzo. Porządnych ludzi. Ludzi takich jak pan. — Cień odkrył, że zaczyna się rozkręcać. Czuł, jak zamienia się w Andy'ego Haddocka — tanie cygaro o przeżutej końcówce w popielniczce, stos papierów do przejrzenia na biurku, dom w Schaumburgu, kochanka w małym mieszkanku nad jeziorem. — Sprawia pan wrażenie bystrego człowieka, panie…

— Myerson.

— Panie Myerson. Jeśli będzie pan szukał pracy na weekend albo z jakichś powodów opuści policję, proszę zadzwonić. Stale potrzebujemy dobrych ludzi. Ma pan moją wizytówkę?

— Tak, proszę pana.

— Proszę jej nie zgubić — powiedział Andy Haddock — i zadzwonić.

Radiowóz odjechał. Wednesday, szurając nogami w śniegu, wrócił do bankomatu, żeby obsłużyć niewielką kolejkę ludzi, którzy ustawili się, czekając, by oddać pieniądze.

— Wszystko w porządku? — spytał kierownik, wysuwając głowę zza drzwi. — Z pańską dziewczyną?

— To był akumulator — odparł Cień. — Teraz muszę już tylko czekać.

— Kobiety. — Kierownik westchnął. — Mam nadzieję, że na tę warto czekać.

Zapadał zimowy mrok. Popołudnie powoli szarzało, przechodząc w noc. Zapalały się światła. Coraz więcej ludzi wręczało Wednesdayowi pieniądze. Nagle, jakby na niewidzialny sygnał, Wednesday podszedł do ściany, zdjął napisy i truchtem przebiegł przez mokrą drogę, zmierzając na parking.

Cień odczekał minutę, po czym ruszył jego śladem.

Wednesday siedział na tylnej kanapie. Otworzył walizkę i metodycznie układał wszystkie depozyty na siedzeniu.

— Ruszaj — polecił. — Jedziemy do Pierwszego Banku Illinois na State Street.

— Powtórka z rozrywki? — spytał Cień. — Czy to nie przesada?

— Ależ nie — odparł tamten. — Dokonamy paru wpłat.

Podczas gdy Cień prowadził, Wednesday wyciągał z worków depozytowych garści banknotów, pozostawiając nietknięte czeki i kwitki z kart kredytowych. Wyjmował też gotówkę z niektórych, choć nie wszystkich, kopert. Swoje łupy wrzucał do walizeczki. Cień skręcił i zaparkował pięćdziesiąt metrów od banku, poza zasięgiem kamer. Wednesday wysiadł i wepchnął koperty w szczelinę skrytki depozytowej. Potem otworzył klapę nocnego sejfu i wrzucił do środka szare worki. Zamknął klapę.

Po chwili siedział już w samochodzie.

— Droga I 90 — polecił. — Kieruj się znakami na zachód, na Madison.

Cień ruszył naprzód.

Wednesday obejrzał się na znikający w tyle bank.

— No proszę, chłopcze — rzekł wesoło. — To wszystko skomplikuje. Aby naprawdę się obłowić, trzeba to zrobić około wpół do piątej w niedzielę, gdy kluby i banki wpłacają sobotnie zarobki. Wybierz odpowiedni bank, odpowiedniego faceta — zwykle zlecają to uczciwym osiłkom, czasami w towarzystwie kilku bramkarzy, niekoniecznie zbyt inteligentnych — i możesz zarobić w jeden wieczór ćwierć miliona.

— Skoro to takie łatwe, to czemu inni tego nie robią?

— Trudno to nazwać bezpiecznym kawałkiem chleba — wyjaśnił. — Zwłaszcza o piątej trzydzieści rano.

— Chcesz powiedzieć, że o czwartej trzydzieści gliniarze robią się bardziej podejrzliwi?

— Ależ nie. Ale bramkarze owszem. Czasami bywa niemiło.

Przeliczył plik pięćdziesiątek. Dodał mniejszy dwudziestek. Zważył je w ręce.

— Proszę — rzekł. — Zapłata za pierwszy tydzień.

Cień bez liczenia wsunął pieniądze do kieszeni.

— Tym więc się zajmujesz? — spytał. — Tak zarabiasz na życie?

— Bardzo rzadko. Tylko kiedy potrzebuję dużo gotówki. Zwykle zdobywam pieniądze od ludzi, którzy nigdy nie wiedzą, że ich naciągnąłem. Nie skarżą się i często sami zjawiają się ponownie.

— Sweeney mówił, że jesteś oszustem.

— Ale to tylko jedna z moich ról. I nie do tego cię potrzebuję, Cień.

* * *

Jechali naprzód, w mrok. Śnieg tańczył w promieniach reflektorów. Miało to niemal hipnotyczne działanie.

— To jedyny kraj na świecie — rzekł Wednesday w ciszy — który martwi się o to, czym jest.

— Słucham?

— Inne dokładnie wiedzą, na czym stoją. Nikt nie musi szukać serca Norwegii albo duszy Mozambiku. Wiedzą, czym są.

— I co…?

— Po prostu głośno myślę.

— A zatem odwiedziłeś wiele innych krajów?

Wednesday milczał. Cień zerknął na niego.

— Nie — odparł tamten z westchnieniem. — Nigdy.

Zatrzymali się na stacji benzynowej. Wednesday poszedł do toalety w kurtce strażnika i z jego walizką, a wyszedł w odprasowanym jasnym garniturze, brązowych butach i sięgającym kolan brązowym płaszczu, który wyglądał, jakby pochodził prosto z Włoch.

— A kiedy dotrzemy do Madison, co dalej?

— Skręć w autostradę numer 14 do Spring Green. Spotkamy się ze wszystkimi w miejscu zwanym Domem na Skale. Byłeś tam kiedyś?

— Nie — odparł Cień. — Ale widziałem znaki.

Znaki, reklamujące Dom na Skale, aluzyjne, wieloznaczne tablice, można było znaleźć wszędzie w tej części świata — w Illinois, Minnesocie i Wisconsin, a pewnie nawet w Iowie. Wszystkie informowały o istnieniu Domu na Skale. Cień widział je już wcześniej i zastanawiał się, co znaczą. Czy dom wznosił się chwiejnie na wysokiej skale? Co jest tak interesującego w samej skale? W domu? Myślał o tym przelotnie, potem zapomniał. Nie miał w zwyczaju odwiedzać atrakcji turystycznych.

W Madison zjechali z autostrady międzystanowej i, wyminąwszy kopułę siedziby władz, ujrzeli kolejną idealną scenerię wprost z wnętrza kuli śnieżnej. A potem znaleźli się na wiejskich drogach. Po niecałej godzinie jazdy przez miasta o nazwach takich, jak na przykład Black Earth, skręcili w wąski podjazd między olbrzymimi, pokrytymi śniegiem donicami, ozdobionymi wizerunkami przypominających jaszczurki smoków. Trawnik wśród drzew był niemal pusty.

— Wkrótce zamykają — mruknął Wednesday.

— Co to za miejsce? — spytał Cień, gdy maszerowali razem przez parking w stronę nieciekawego drewnianego budynku.

— Atrakcja turystyczna — odparł Wednesday. — Jedna z najlepszych, co oznacza, że to miejsce magiczne.

— Słucham?

— To bardzo proste — wyjaśnił Wednesday. — W innych krajach, w miarę upływu lat ludzie dostrzegali miasta magiczne. Czasami były to formacje naturalne, czasami miejsca, które, z takich czy innych powodów, stawały się wyjątkowe. Ludzie wiedzieli, że dzieje się tam coś ważnego, że stanowią one punkt skupiający wewnętrzne siły, okienko do niezmiennego świata. Wznosili zatem w owych miejscach świątynie, katedry, kamienne kręgi i… rozumiesz.

— W całych Stanach można znaleźć kościoły — zauważył Cień.

— W każdym mieście, czasami przy każdej przecznicy. Przez co stają się równie ciekawe, jak gabinety dentystyczne. Nie, w Stanach ludzie wciąż słyszą ów zew. Przynajmniej niektórzy wyczuwają, że coś

przyciąga ich do transcendentnej otchłani, i reagują na to przyciąganie, wznosząc z butelek po piwie model budowli, której nigdy nie odwiedzili, albo olbrzymie schronisko dla nietoperzy w części kraju, której, jak sięgnąć pamięcią, nietoperze nie odwiedzają. Atrakcje turystyczne. Ludzie czują przyciąganie miejsc, w których w innych częściach świata dostrzegliby w sobie samych prawdziwą duchowość. Tu tymczasem kupują hot doga i przechadzają się wokół, zadowoleni, na poziomie, którego nie potrafią opisać, podczas gdy tuż pod nim czai się głęboki niedosyt.

— Masz dość świrnięte teorie — zauważył Cień.

— Nie ma w tym nic teoretycznego, młodzieńcze — odparł Wednesday. — Do tej pory powinieneś był już się zorientować.

Tylko jedna kasa wciąż jeszcze sprzedawała bilety.

— Za pół godziny zamykamy — oznajmiła dziewczyna. — Obejście wszystkiego wymaga co najmniej dwóch godzin.

Wednesday zapłacił gotówką.

— Gdzie jest skała? — spytał Cień.

— Pod domem — odparł Wednesday.

— A dom?

Wednesday przyłożył palec do ust. Ruszyli naprzód. Gdzieś przed nimi pianola odgrywała coś, co, jak się zdaje miało być Bolerem Ravela. Cień miał wrażenie, jakby znalazł się w rozbudowanej kawalerce z lat sześćdziesiątych — mnóstwo gołego kamienia, grubych wykładzin i monumentalnie brzydkich abażurów witrażowych w kształcie grzybów. Kręte schody wiodły do kolejnego pomieszczenia, pełnego przeróżnych bibelotów.

— Powiadają, że zbudował go zły brat bliźniaka Franka Lloyda Wrighta — odezwał się Wednesday — Frank Lloyd Wrak. — Zaśmiał się z własnego dowcipu.

— Widziałem taki tekst na koszulce.

Kolejne schody i oto znaleźli się w długim pokoju ze szkła, sterczącym niczym igła nad pozbawionym liści, czarno-białym krajobrazem setki stóp w dole. Cień zatrzymał się, patrząc na wirujące w mroku płatki śniegu.

— I to jest Dom na Skale? — spytał ze zdumieniem.

— To Pokój Nieskończoności, część domu właściwego, choć dodana później. Ale nie, mój młody przyjacielu, nie tknęliśmy jeszcze nawet tego, co ten dom ma nam do zaoferowania.

— Zatem według twojej teorii Disney World to najświętsze miejsce Ameryki? — spytał Cień.

Wednesday zmarszczył brwi i pogładził brodę.

— Walt Disney kupił gaje pomarańczowe pośrodku Florydy i zbudował w nich miasteczko turystyczne. Nie ma w tym ani śladu magii. Myślę, że pierwszy Disneyland miał w sobie coś prawdziwego,

możliwe że kryje się w nim moc, choć zniekształcona i trudno dostępna. Lecz w innych częściach Florydy można znaleźć prawdziwą magię. Wystarczy tylko mieć otwarte oczy. Ach syreny z Weeki Wachee… Tędy, za mną.

Wszędzie wokół rozbrzmiewała muzyka: brzęcząca, natrętna muzyka, lekko fałszywa, jakby rodem z innych czasów. Wednesday wyjął z kieszeni pięciodolarówkę. Włożył do automatu do rozmieniania i otrzymał garść mosiężnych, metalowych żetonów. Cisnął jeden Cieniowi, który złapał pieniążek i, uświadamiając sobie, że obserwuje go mały chłopczyk, uniósł monetę między kciukiem i palcem wskazującym, po czym sprawił, że zniknęła. Chłopiec pobiegł do matki oglądającej jednego z wszechobecnych św. Mikołajów — W SUMIE PONAD SZEŚĆ TYSIĘCY! głosił napis — i pociągnął naglące za skrawek jej płaszcza.

Po chwili Cień ruszył na zewnątrz, śladem Wednesdaya. Razem kierowali się znakami na Wczorajsze Ulice.

— Czterdzieści lat temu Alex Jordan — jego twarz widnieje na żetonie, który trzymasz w prawej ręce, Cieniu — zaczął budować dom na wysokiej skale pośrodku pola, które do niego nie należało, i nawet on nie potrafił powiedzieć dlaczego. Ludzie przychodzili patrzeć, jak pracuje — ciekawscy, zdumieni i ci, którzy w ogóle nie potrafili wyjaśnić, czemu się tu znaleźli. Zrobił zatem to, co każdy rozsądny amerykański mężczyzna z jego pokolenia: zaczął sprzedawać bilety — niedrogie — po pięć centów, dwadzieścia pięć. Nadal budował, a ludzie wciąż przybywali.

A zebrawszy ich pieniądze, stworzył coś większego i osobliwszego. Na ziemi pod domem zbudował magazyny i wypełnił je ciekawymi rzeczami, a ludzie zjawili się, by je oglądać. Co roku przybywają tu miliony.

— Czemu?

Wednesday uśmiechnął się tylko i razem weszli w pogrążone w półmroku, wysadzane drzewami Wczorajsze Ulice. Z zakurzonych witryn sklepowych spoglądały na nich wyniosłe wiktoriańskie lalki z porcelany, jakby żywcem wyjęte z szacownego horroru. Kocie łby pod stopami. Nad głowami ciemny dach. W tle brzęcząca, mechaniczna muzyka.

Minęli szklane pudło, pełne połamanych zabawek, i olbrzymią złotą pozytywkę pod szkłem. Zostawili za sobą dentystę i aptekę (lek na potencję! magnetyczny pas o'leary'ego!).

Na końcu ulicy stała wielka, szklana skrzynia z tkwiącym wewnątrz manekinem kobiety, odzianej w strój cyganki.

— Godzi się — zagrzmiał Wednesday, przekrzykując magnetyczną muzykę — na początku każdej wyprawy bądź przedsięwzięcia zasięgnąć porady Norn. Wyznaczmy zatem tę Sybillę naszą Urd.

Wrzucił do szczeliny mosiężną monetę z Domu na Skale. Cyganka uniosła rękę i opuściła ją gwałtownymi, mechanicznymi ruchami. Ze szczeliny wysunął się kawałek papieru.

Wednesday wziął go, odczytał, mruknął, złożył i wsunął do kieszeni.

— Nie pokażesz mi swojej wróżby? Ja ci pokażę swoją — powiedział Cień.

— Przyszłość mężczyzny to jego sprawa — odparł sztywno Wednesday. — Nie będę prosił o to, bym mógł przeczytać twoją.

Cień wrzucił do środka żeton. Zabrał skrawek papieru i odczytał.

KAŻDY KONIEC TO NOWY POCZĄTEK.
TWÓJ SZCZĘŚLIWY NUMER — ŻADEN.
TWÓJ SZCZĘŚLIWY KOLOR — ŚMIERCI.
Motto:
JAKI OJCIEC, TAKI SYN.

Cień wykrzywił się. Złożył wróżbę i wsunął do wewnętrznej kieszeni. Szli dalej, coraz głębiej, czerwonym korytarzem, mijając pokoje pełne pustych krzeseł, na których spoczywały skrzypce, wiolonczele, wiole, grające bez pomocy muzyków, czy też przynajmniej tak się zdawało, jeśli tylko nakarmiło się je monetą. Klawisze naciskały się same, cymbały dzwoniły, rury dmuchały sprężonym powietrzem w klarnety i oboje. Cień z cierpkim rozbawieniem zauważył, że smyczki trzymane przez mechaniczne dłonie w ogóle nie dotykają strun, po których często pozostało tylko wspomnienie. Zastanowił się, czy dźwięki, które słyszał, były dziełem wiatru i perkusji, czy może zwykłymi nagraniami.

Maszerowali dalej przez czas, który wydawał się wiecznością. W końcu dotarli do pokoju zwanego Mikado, dziewiętnastowiecznej, pseudoorientalnej zmory sennej, w której krzaczastobrewi, mechaniczni bębniarze tłukli w cymbały i bębny, wyglądając z ozdobionego smokami schronienia. Obecnie majestatycznie torturowali Danse Macabre Saint-Saensa.

Czernobog siedział na ławce pod ścianą naprzeciwko maszyny Mikado. Palcami wystukiwał rytm. Flety piszczały. Dzwonki dzwoniły.

Wednesday usiadł obok niego. Cień postanowił, że postoi. Czernobog wyciągnął lewą rękę, uścisnął dłoń Wednesdaya, a potem Cienia.

— Cóż za miłe spotkanie — rzekł i wyprostował się, najwyraźniej zachwycony muzyką.

Danse Macabre dobiegł burzliwego, fałszywego końca. Lekkie rozstrojenie wszystkich instrumentów dodawało tylko obcości temu

miejscu. Zaczął się nowy utwór.

— Jak tam napad na bank? — spytał Czernobog. — Dobrze poszedł?

Wstał niechętnie, porzucając Mikada i jego grzmiącą, brzęczącą muzykę.

— Gładko jak wężowi w beczce masła — odparł Wednesday.

— Dostaję emeryturę z rzeźni — rzekł Czernobog. — Nie proszę o więcej.

— To nie potrwa wiecznie — mruknął Wednesday. — Nic nie trwa wiecznie.

Kolejne korytarze, kolejne instrumenty. Cień zorientowała się nagle, że nie podążają ścieżką przeznaczoną dla turystów, lecz innym szlakiem, wymyślonym przez Wednesdaya. Schodzili w dół zbocza. Oszołomiony, nie potrafił orzec, czy nie odwiedzili już tego miejsca.

Czernobog chwycił ramię Cienia.

— Szybko, chodź tutaj — polecił, ciągnąc go do wielkiej szklanej gabloty przy ścianie. W środku stała diorama: włóczęga śpiący na dziedzińcu przed drzwiami kościoła. Syn pijaka — głosił podpis, wyjaśniając, że to dziewiętnastowieczna machina na monetę, pierwotnie pochodząca ze stacji kolejowej w Anglii. Otwór na monety przerobiono tak, by pasowały do niego żetony z Domu na Skale.

— Wrzuć pieniądze — polecił Czernobog.

— Czemu? — spytał Cień.

— Musisz zobaczyć. Pokażę ci.

Cień wrzucił monetę. Pijak na cmentarzu uniósł do ust butelkę. Jeden z nagrobków odchylił się, ukazując wyszczerzonego trupa. Odwrócony kamień nagrobny, kwiaty zastąpiła roześmiana czaszka. Po prawej stronie kościoła pojawił się upiór, po lewej coś dziwnego, o na wpół widocznej długiej, niepokojąco ptasiej twarzy: blady koszmar z wizji Boscha przemknął gładko od nagrobka w cień i zniknął. A wtedy drzwi kościoła się otwarły. Ze środka wymaszerował ksiądz. Duchy, upiory i trupy zniknęły i na cmentarzu pozostali jedynie pijak z duchownym. Ksiądz z pogardą spojrzał na pijaka, cofnął się przez otwarte drzwi, które zamknęły się za nim, pozostawiając włóczęgę samego.

Automatyczna opowiastka była niezwykle niepokojąca. Znacznie bardziej, niż przystoi podobnym zabawkom.

— Wiesz, czemu ci to pokazałem? — spytał Czernobog.

— Nie.

— Tak właśnie wygląda prawdziwy świat. Świat rzeczywisty. Jeśli w ogóle istnieje, to właśnie w tej gablocie.

Przeszli przez pokój barwy krwi, pełen teatralnych organów, organów piszczałkowych i czegoś, co przypominało olbrzymie miedziane kadzie, wykradzione z browarów.

— Dokąd idziemy? — spytał Cień.

— Na karuzelę — wyjaśnił Czernobog.

— Ale już kilka razy minęliśmy odpowiednie znaki.

— On idzie swoją drogą. Podróżujemy po spirali. Czasami najkrótsza podróż trwa najdłużej.

Cień, walcząc z bólem nóg, pomyślal iż stwierdzenie to jest niezwykle mało prawdopodobne.

W pokoju wysokim na kilka pięter automat odgrywał „Octopus's Garden". Środek pomieszczenia wypełniała figura wielkiego, czarnego potwora, przypominającego wieloryba, z naturalnej wielkości szalupą w ogromnej paszczy ze szklanych włókien. Stąd przeszli do Sali Podróży, gdzie ujrzeli samochód, pokryty płytkami działającego automatycznego kurczaka Rube Goldberga, i szeleszczące reklamy płynu Burma Shave na ścianach.

Życie jest ciężkie,
Pełne chaosu,
Więc wolną szczękę
Miej od zarostu
Burma Shave

— głosiła jedna. A druga:

Pogrzebał swe nadzieje
Na drodze tuż przed celem,
I teraz grabarz jeden
Jest jego przyjacielem
Burma Shave

Znaleźli się u stóp pochylni. Przed sobą mieli kiosk z lodami, teoretycznie otwarty, lecz dziewczyna myjąca ladę miała wyraźnie niezachecającą minę. Przeszli zatem do pizzerio-kafejki, w której siedział jedynie starszy, czarnoskóry mężczyzna w jasnym, kraciastym garniturze i kanarkowożołtych rękawiczkach. Był drobny — jeden z kruchych staruszków, wyglądających, jakby upływ lat pozbawił ich ciała. Pałaszował olbrzymie lody złożone z wielu gałek i sączył kawę z dużego kubka. W popielniczce kopciła czarna cygaretka.

— Trzy kawy — polecił Cieniowi Wednesday i ruszył do toalety.

Cień kupił kawy i zaniósł je do Czernoboga, który siedział obok starego Murzyna i ukradkowo palił papierosa, z miną, jakby się bał, że ktoś go przyłapie. Jego towarzysz, z apetytem wsuwający lody, ignorował swoją cygaretkę, lecz gdy Cień zbliżył się do nich, podniósł ją, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dwa kółka z dymu — pierwsze

duże, a potem drugie, mniejsze, które przeleciało dokładnie przez środek pierwszego. Uśmiechnął się szeroko, jak ktoś niezmiernie zadowolony z siebie.

— Cieniu, to jest pan Nancy — przedstawił Czernobog.

Murzyn wstał i wyciągnął prawą dłoń, okrytą żółtą rękawiczką.

— Miło mi — rzekł z oszałamiającym uśmiechem. — Wiem kim musisz być. Pracujesz dla tego jednookiego drania, prawda? — Jego głos zabrzmiał przeciągle, z lekkim akcentem z Indii Zachodnich.

— Owszem, pracuję dla pana Wednesdaya — odparł Cień. — Proszę, niech pan usiądzie.

Czernobog zaciągnął się papierosem.

— Myślę — oznajmił ponurym tonem — że my wszyscy tak bardzo lubimy papierosy, bo przypominają nam o ofiarach, które niegdyś przed nami palono, a dym unosił się wysoko, jakby poszukiwał naszej aprobaty bądź łaski.

— Mnie nigdy niczego nie dawali — mruknął Nancy. — Mogłem liczyć jedynie na stos owoców do jedzenia, może pieczonego kozła, coś zimnego, powolnego i mocnego do picia i wielką, starą, piersiastą kobietą dotrzymującą towarzystwa. — Uśmiechnął się, ukazując białe zęby, i mrugnął do Cienia.

— W dzisiejszych czasach — rzekł Czernobog, nie zmieniając wyrazu twarzy — nie mamy niczego.

— Zgadza się. Nie mam tylu owoców, co kiedyś. — Oczy pana Nancy'ego rozbłysły. — Lecz na świecie wciąż nie pojawiło się coś, co mogłoby pobić rosłą, starą, piersiastą kobietę. Niektórzy twierdzą, że najpierw trzeba sprawdzić tyłek, aleja mówię wam, że to cycki nadal mnie nakręcają w zimne poranki. — Nancy wybuchnął śmiechem: donośnym, zgrzytliwym, poczciwym śmiechem, i Cień odkrył, że wbrew sobie polubił tego starca.

Wednesday wrócił z toalety i ucisnął dłonie Nancy'emu.

— Cieniu, chcesz coś do jedzenia? Kawałek pizzy? Kanapkę?

— Nie jestem głodny — odparł Cień.

— Coś ci powiem — wtrącił pan Nancy. — Do następnego posiłku może upłynąć wiele czasu. Jeśli ktoś cię częstuje, zgódź się. Nie jestem już taki młody, jak kiedyś, ale jedno wiem: nigdy nie odmawiaj propozycji sikania, zjedzenia czegoś i półgodzinnej drzemki. Zrozumiałeś?

— Tak. Ale naprawdę nie jestem głodny.

— Rosły z ciebie gość. — Nancy spojrzał wprost w szare oczy Cienia swoimi starymi oczami barwy mahoniu. — Kawał chłopa, ale muszę rzec, że na sprytnego to mi nie wyglądasz. Mam syna, durnego jak człowiek, który kupił swoją głupotę na wyprzedaży. Przypominasz mi go.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, potraktuję to jako

komplement — odparł Cień.

— Nazwanie durnym przez człowieka, który zaspał w dzień, w którym rozdawano mózgi?

— Porównanie z członkiem pańskiej rodziny.

Pan Nancy zgasił cygaretkę i strząsnął z żółtych rękawiczek niewidoczną drobinkę popiołu.

— Może jednak stary jednooki nie dokonał najgorszego wyboru. — Zmierzył wzrokiem Wednesdaya. — Masz pojęcie, ilu nas tu dzisiaj będzie?

— Posłałem wiadomość wszystkim, których zdołałem znaleźć — odparł Wednesday. — Oczywiście nie wszyscy się wybiorą. A część z nich — spojrzał znacząco na Czernoboga — może nie chcieć w tym uczestniczyć. Myślę jednak, że możemy spodziewać się kilku tuzinów. Wieści się rozejdą.

Minęli wystawę zbroi płytowych („Wiktoriańska podróbka” — orzekł Wednesday przy kolejnych gablotach. — „Współczesna podróbka. Dwunastowieczny hełm na siedemnastowiecznej reprodukcji zbroi. Piętnastowieczna lewa rękawica…”). A potem Wednesday pchnął drzwi, poprowadził ich wokół budynku („Nie potrafię znieść wszystkich tych wejść i wyjść” — oznajmił Nancy. — „Nie jestem już taki młody, jak kiedyś. I pochodzę z cieplejszego klimatu”.) pokrytym dachem przejściem, wiodącym do kolejnych drzwi, i oto znaleźli się w Pokoju Karuzeli.

Grała automatyczna muzyka: walc Straussa, poruszający, od czasu do czasu brzmiący fałszywie. Na ścianie rozwieszono antyczne koniki z karuzeli, całe setki, niektóre pilnie potrzebujące opieki malarza, inne sprzątaczki. Nad nimi wisiały tuziny skrzydlatych aniołów, zrobionych — co dość oczywiste — z kobiecych manekinów sklepowych. Część z nich odsłaniała bezpłciowe piersi. Inne straciły peruki i łyse i ślepe wisiały w mroku.

A potem zobaczyli karuzelę.

Napis głosił, że jest największa na świecie, podawał jej wagę, liczbę żarówek w setkach kandelabrów, rozmieszczonych z iście gotyckim rozmachem. Tabliczki zabraniały też gościom wchodzenia do środka i dotykania zwierząt.

A cóż to były za zwierzęta! Cień wbrew sobie samemu gapił się na setki dorodnych stworzeń, jeżdżących na platformie karuzeli. Stworzenia prawdziwe i wymyślone, a także połączenie ich obu: każde było inne. Zobaczył trytona i syrenę; centaura i jednorożca, słonie (dwa — jednego dużego, drugiego małego), bul — doga, żabę i feniksa, zebrę, tygrysa, mantykorę i bazyliszka, łabędzie, ciągnące powóz, białego wołu, lisa, bliźniacze morsy, nawet morskiego węża — a wszystkie jaskrawo ubarwione i więcej niż rzeczywiste. Krążyły bez końca, gdy jeden walc przeszedł w drugi. Karuzela nawet nie zwolniła.

— Po co tu ona? — spytał Cień. — To znaczy rozumiem, największa karuzela świata, setki zwierząt, tysiące żarówek, kręci się bez końca i nikt na niej nie jeździ.

— Nie jest tu po to, by dosiadali jej pasażerowie. A przynajmniej nie ludzie — oznajmił Wednesday. — Jest po to, by ją podziwiać. To jej powód istnienia.

— Jak młynek modlitewny, który stale się obraca — uzupełnił pan Nancy. — Zbiera moc.

— Gdzie się zatem spotykamy? — zapytał Cień. — Wspominaliście chyba, że umówiliśmy się w tym miejscu, ale tu jest zupełnie pusto.

Wednesday błysnął swym przerażającym uśmiechem.

— Cieniu — rzekł — zadajesz zbyt wiele pytań. Nie płacę ci za to.

— Przepraszam.

— A teraz podejdź tu i pomóż nam — polecił Wednesday i podszedł z boku do platformy. Stanął tuż przy tabliczce opisującej karuzelę i zabraniającej jej dotykania.

Cień miał ochotę coś powiedzieć, zamiast tego jednak pomagał im kolejno wchodzić na półkę. Wednesday sprawiał wrażenie zdumiewająco ciężkiego. Czernobog wgramolił się bez pomocy — tylko raz wsparł się na ramieniu Cienia, by nie stracić równowagi. Nancy zdawał się w ogóle nic nie ważyć. Każdy ze starców wlazł na górę i ruszył naprzód w radosnych podskokach.

— I co?! — warknął Wednesday — Nie idziesz?

Cień nie bez wahania, rozglądając się pospiesznie w poszukiwaniu członków obsługi Domu na Skale, którzy mogliby ich obserwować, wskoczył na górę i stanął obok Największej Karuzeli Świata. Z rozbawieniem i lekkim zdumieniem zorientował się, że znacznie bardziej martwi go fakt złamania tutejszego zakazu niż wcześniejsza pomoc w okradzeniu banku.

Każdy ze starców wybrał sobie wierzchowca. Wednesday wdrapał się na grzbiet złotego wilka. Czernobog dosiadł zbrojnego centaura, którego głowę okrywał metalowy hełm. Nancy, chichocząc, wśliznął się na grzbiet olbrzymiego, spiętego do skoku lwa, uchwyconego przez rzeźbiarza w trakcie ryku. Poklepał jego bok. Walc Straussa majestatycznie porwał ich za sobą.

Wednesday uśmiechał się. Nancy, wydając mlaskające odgłosy, zmusił się do śmiechu. Nawet ponury Czernobog sprawiał wrażenie zadowolonego. Cień poczuł się nagle, jakby ktoś zdjął mu z pleców brzemię. Trzej starcy bawili się świetnie, jadąc na Największej Karuzeli Świata. Co z tego, że mogą ich stąd wyrzucić? Czy sama przejażdżka nie jest tego warta, nie jest warta wszystkiego? Czyż nie warto przejechać się na jednym z tych cudownych potworów?

Obejrzał uważnie buldoga, trytona i słonia ze złotym siodłem. W

końcu wdrapał się na grzbiet istoty o orlej głowie i ciele tygrysa, i przytrzymał mocno.

Rytm walca „Nad pięknym modrym Dunajem” pulsował w głowie Cienia. Melodia odbijała się echem. Śpiewał w jej rytm. Światła tysiąca kandelabrów mieniły się wszystkimi barwami tęczy. I przez jedno uderzenie serca Cień znów stał się małym chłopcem, z rozkoszą jadącym na karuzeli: trwał bez ruchu na grzbiecie orłotygrysa, a cały świat wirował wokół niego.

Był szczęśliwy, zupełnie jakby ostatnich trzydzieści sześć godzin nigdy się nie zdarzyło, jakby nie było ostatnich trzech lat, jakby jego życie stało się tylko snem na jawie małego dziecka, dosiadającego karuzeli w Parku Złotych Wrót w San Francisco, podczas pierwszej wyprawy do Stanów; ogromnej podróży statkiem i samochodem. Matka stała z boku, obserwując go z dumą, a on lizał topniejącego loda i trzymał się mocno z nadzieją, że muzyka nigdy nie ucichnie, karuzela nigdy nie zwolni, jazda nigdy się nie skończy. Jechał dokoła, dokoła, dokoła…

A potem światła zgasły i Cień ujrzał bogów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Otworem stoją bramy nasze, niestrzeżone,
Do środka wpada przez nie zbity tłum,
Ludzi znad Wołgi, ze stepów, znad Donu,
Ludów z Hoang-Ho głosów słychać szum,
Malaje i Celtowie, i Teutoni,
Starego Świata opuszczają brzeg,
Przynoszą z sobą wiarę z obcych błoni,
Bogów, obrzędy, pasji dziwnych bieg,
Nasze ulice obce słyszą głosy,
Obce języki strachem jeżą włosy.
Głosy, co rodem z Wieży Babel są.

— Thomas Bailey Aldrich, „Niestrzeżone bramy", 1882

W jednej chwili Cień jechał na Największej Karuzeli Świata, trzymając się mocno tygrysa o orlej głowie, w następnej czerwone i białe światła rozmazały się, zadrżały i zgasły, i runął w środek oceanu gwiazd. Mechaniczny walc umilkł, zastąpiony rytmicznym grzmotem i jakby trzaskiem talerzy bądź fal na wybrzeżu odległego oceanu.

Jedynym światłem był blask gwiazd, ukazywał on jednak wszystko chłodno i wyraźnie. Cień poczuł pod sobą ruchy wierzchowca. Lewa dłoń wyczuwała ciepłe futro, prawa pióra.

— Niezła przejażdżka, co? — głos dobiegał zza jego pleców, rozlegał się w uszach i w umyśle.

Cień odwrócił się wolno, pozostawiając za sobą obrazy samego siebie, zastygłe chwile, ułamki sekund. Każdy, nawet najmniejszy ruch trwał całą wieczność. Docierające do jego umysłu obrazy zdawały się nie mieć sensu, zupełnie jakby oglądał świat przez wielofasetkowe oczy ważki, tyle że każda fasetka dostrzegała coś zupełnie innego. Nie

potrafił połączyć rzeczy, które widział, czy też zdawało mu się, że widzi, w jedną sensowną całość.

Patrzył na pana Nancy'ego, starego Murzyna z cienkim wąsikiem, ubranego w sportową kraciastą marynarkę i cytrynowożółte rękawiczki i dosiadającego rozkołysanego lwa z karuzeli; lecz jednocześnie w tym samym miejscu ujrzał mieniącego się klejnotami pająka wielkości konia — ogromne szmaragdowe oczy patrzyły na niego z góry — a także niewiarygodnie wysokiego mężczyznę o skórze barwy drzewa lękowego, obdarzonego trzema parami rąk. Głowę ozdobił falującym pióropuszem ze strusich piór, twarz pokrywały mu pasy czerwonej farby. Dosiadał rozwścieczonego złotego lwa; dwiema z sześciu rąk przytrzymywał się mocno grzywy. Cień widział też młodego czarnoskórego chłopaka w podartych łachach, z lewą stopą spuchniętą i oblepioną muchami. I wreszcie ujrzał małego, brązowego pająka, ukrytego pod zwiędłym, zasuszonym liściem.

Cień widział te wszystkie obrazy i wiedział, że stanowią jedność.

— Jeśli nie zamkniesz ust — rzekła wielość, będąca panem Nancy — coś ci do nich wpadnie.

Cień zamknął usta i głośno przełknął ślinę.

Jakąś milę dalej ujrzał drewniany dwór na wzgórzu; zmierzali w jego stronę. Kopyta i łapy ich wierzchowców bezszelestnie uderzały w suchy piasek na skraju morza.

Czernobog podjechał do nich na centaurze. Poklepał ludzkie ramię swego wierzchowca.

— Nic z tego nie dzieje się naprawdę — poinformował Cienia nieszczęśliwym tonem — tylko w twojej głowie. Lepiej o tym nie myśl.

Owszem, Cień widział siwowłosego, starego imigranta z Europy Wschodniej, odzianego w obdarty płaszcz przeciwdeszczowy, z jednym zębem koloru żelaza. Jednocześnie jednak ujrzał przysadzistą, czarną istotę, ciemniejszą niż mrok, który ich otaczał, o oczach płonących niczym węgle. Widział też księcia z długimi, czarnymi włosami i długimi, czarnymi wąsami. Jego dłonie i twarz pokrywała krew. Okryty jedynie niedźwiedzią skórą na ramionach, dosiadał pół człowieka, pół zwierzęcia, którego oblicze i tors pokrywały błękitne tatuowane kręgi i spirale.

— Kim wy jesteście? — spytał Cień. — Czym jesteście?

Ich wierzchowce biegły brzegiem. Pośród nocy na plaży rozbijały się miarowo kolejne fale.

Wednesday skierował ku Cieniowi swego wilka — obecnie wielkiego, grafitowego zwierza o zielonych oczach. Wierzchowiec Cienia cofnął się. Cień zaczął gładzić jego szyję, powtarzając, by się nie bał. Tygrysi ogon zakołysał się agresywnie. Nagle Cień pojął, że na wydmach, tuż poza zasięgiem ich wzroku kryje się inny wilk, bliźniak tego, którego dosiadał Wednesday, i dotrzymuje im kroku.

— Znasz mnie, Cieniu? — spytał Wednesday. Jechał z wysoko uniesioną głową. Jego prawe oko lśniło i połyskiwało, lewe było mętne. Miał na sobie płaszcz z głębokim, niemal mnisim kapturem. Jego twarz wyglądała z cienia. — Mówiłem, że kiedyś zdradzę ci moje imiona. Oto, jak mnie zwą: Orędownikiem Wojny, Ponurym Jeźdźcem i Trzecim. Jestem Jednooki, zwą mnie Najwyższym i Najmędrszym. Jestem Grimnir i Zakapturzony. Jestem Wszechojcem i Gondlirem Różdżkodzierżcą. Mam tyle imion, ile jest wiatrów na świecie, tyle tytułów, na ile sposobów można umrzeć. Moje kruki to Huggin i Muninn — Myśl i Pamięć; wilki — Freki i Geri. Moim koniem jest szubienica. — Dwa upiornie szare kruki, przypominające przezroczyste ptasie skórki, wylądowały na ramionach Wednesdaya; wbiły dzioby w głąb jego głowy, jakby kosztowały umysłu, i ponownie odleciały w dal.

W co mam wierzyć? — pomyślał Cień i nagle powrócił do niego głos z głębin pod światem, grzmiąc w pamięci: „Wierz we wszystko”.

— Odyn? — spytał Cień. Wiatr porwał to imię z jego ust.

— Odyn — szepnął Wednesday. Huk wzburzonych fal na plaży pełnej czaszek nie wystarczył, by zagłuszyć ów szept. — Odyn — powtórzył Wednesday, smakując to słowo. — Odyn! — krzyknął tryumfalnie głosem, który odbił się echem od horyzontu po horyzont. Jego imię rosło, nabrzmiewało i wypełniało świat, niczym tętnienie krwi w uszach Cienia.

A potem, jakby we śnie, nie jechali już w stronę odległego dworu. Byli na miejscu. Ich wierzchowce czekały uwiązane w szopie obok.

Dwór był ogromny, lecz prymitywny; kryty strzechą, o drewnianych ścianach. Pośrodku płonął ogień. Cień poczuł, że od dymu pieką go usta.

— Powinniśmy byli wejść w mój umysł, nie w jego — wymamrotał do Cienia pan Nancy. — Tam przynajmniej jest cieplej.

— Tkwimy w jego umyśle?

— Mniej więcej. To Valaskjalf, jego dawna siedziba.

Cień z ulgą przekonał się, że Nancy znów stał się jedynie starym człowiekiem w żółtych rękawiczkach, choć jego cień kołysał się, drżał i nieustannie zmieniał w płomieniach ognia. A to, w co się zmieniał, nie zawsze przypominało człowieka.

Pod ścianami stały drewniane ławy, a na nich lub obok nich czekało w sumie może dziesięć osób. Wszyscy utrzymywali stosowny dystans. Dziwaczna zbieranina: ciemnoskóra, dostojna kobieta w czerwonym sari, kilku szemranych biznesmenów i inni, stojący zbyt blisko ognia, by Cień zdołał określić ich rysy.

— Gdzie oni są? — szepnął z desperacją Wednesday do Nancy’ego. — Powiedz, gdzie oni są? Powinny nas tu być dziesiątki, wiele tuzinów.

— To ty wszystkich zapraszałeś — odparł Nancy. — I tak cud, że ściągnąłeś aż tylu. Myślisz, że na początek powinienem opowiedzieć historię?

Wednesday pokręcił głową.

— Nie ma mowy.

— Nie wyglądają zbyt przyjaźnie — zauważył Nancy. — Historia to dobry sposób przeciągnięcia kogoś na naszą stronę. A ty nie masz barda, który mógłby zaśpiewać.

— Żadnych historii — zapowiedział Wednesday. — Nie teraz. Później nadejdzie stosowna pora. Nie teraz.

— W porządku, żadnych historii. Po prostu wystąpię pierwszy, na rozgrzewkę. Pan Nancy z wesołym uśmiechem wszedł w krąg otaczającego palenisko blasku.

— Wiem, co sobie teraz myślicie — zaczął. — Myślicie: czemu Compe Anansi wychodzi, by do nas przemówić, skoro to Wszechojciec nas tu wezwał, zresztą tak jak mnie? Widzicie, czasami potrzebny jest ktoś, kto przypomni o paru sprawach. Gdy tu wszedłem, rozejrzałem się i pomyślałem: gdzie są pozostali? Potem jednak zrozumiałem, iż tylko to, że jest nas niewielu, a ich mnóstwo, my jesteśmy słabi, a oni potężni, nie oznacza, że musimy przegrać.

Kiedyś, przy wodopoju, spotkałem tygrysa. Miał największe jądra wśród wszystkich zwierząt, i najostrzejsze szpony, a także dwa przednie zęby długie jak noże i ostre jak klingi. Powiedziałem do niego:

— Bracie tygrysie, idź popływać. Ja zaopiekuję się twoimi jądrami.

Był taki z nich dumny. Wskoczył zatem do wodopoju, a ja założyłem jego jądra i zostawiłem mu moje własne, pajęcze jąderka. A potem wiecie, co zrobiłem? Uciekłem, jak najszybciej poniosły mnie nogi.

Nie zatrzymywałem się, póki nie dotarłem do sąsiedniego miasta. Tam spotkałem Starego Małpę.

— Świetnie wyglądasz, Anansi — rzekł Stary Małpa.

— Wiesz, co śpiewają w sąsiednim miasteczku? — spytałem.

— Co śpiewają? — zapytał.

— Najzabawniejszą piosenkę, jaką słyszałem — oznajmiłem. A potem zatańczyłem i zaśpiewałem:

Jądra, tygrysie jądra.
Zjadłem tygrysie jądra.
Teraz się każdy na mnie ogląda.
Każdy mówi, jaka małpa mądra.
Bo zjadłem skarb tygrysa,
Zjadłem jego jądra.

Stary Małpa obśmiał się do rozpuku, trzymając się za boki, trzęsąc i podskakując. Potem zaczął śpiewać:

— Tygrysie jądra. Zjadłem tygrysie jądra! — pstrykając palcami, wirując na dwóch nogach. — To świetna piosenka — rzekł. — Zaśpiewam ją wszystkim moim przyjaciołom.

— Zrób to — odparłem i wróciłem do wodopoju.

Zastałem nad nim tygrysa, wędrującego tam i z powrotem. Gniewnie machał ogonem, uszy i futro na karku miał postawione. Na każdego podlatującego owada kłapał wielkimi, szablastymi zębami. Oczy płonęły mu pomarańczowym ogniem. Wyglądał groźnie i paskudnie, lecz między jego nogami kołysały się najmniejsze jądra w najmniejszym i najczarniejszym, najbardziej pomarszczonym worku, jaki kiedykolwiek widzieliście.

— Hej, Anansi! — mówi, gdy mnie widzi. — Miałeś pilnować moich jąder, gdy się kąpałem. Kiedy jednak wyszedłem z wody, na brzegu leżały jedynie te małe, czarne, skurczone, nic nie warte pajęcze jądra, które założyłem.

— Starałem się jak mogłem — odpowiadam. — Ale to wina małp. Przyszły i zjadły twoje jądra, a gdy zacząłem krzyczeć, zerwały mi także moje własne, małe. Tak bardzo się wstydziłem, że uciekłem.

— Jesteś kłamcą, Anansi — mówi tygrys. — Pożrę twoją wątrobę.

W tym momencie jednak słyszy małpy, przybywające ze swego miasta do wodopoju. Tuzin radosnych małp podskakuje na ścieżce, pstryka palcami i śpiewa donośnie.

Jądra, tygrysie jądra.
Zjadłem tygrysie jądra.
Teraz się każdy na mnie ogląda.
Każdy mówi, jaka małpa mądra.
Bo zjadłem skarb tygrysa,
Zjadłem jego jądra.

Tygrys ryknął tylko i pobiegł za nimi do lasu, małpy z wrzaskiem umknęły na najwyższe drzewa, a ja podrapałem się po moich pięknych, nowych jądrach. Dobrze się czułem, gdy tak wisiały między moimi chudymi nogami. Wróciłem do domu, a tygrys do dziś ściga małpy. Pamiętajcie zatem, fakt, że jesteście mali, nie oznacza, że brak wam sił.

Pan Nancy uśmiechnął się, skłonił głowę i szeroko rozłożył ręce, przyjmując oklaski i śmiechy jak zawodowiec. Potem odwrócił się i odmaszerował na miejsce, w którym stali Cień i Czernobog.

— Powiedziałem: żadnych historii — warknął Wednesday.

— Ty to nazywasz historią? — odparł Nancy. — Zaledwie odchrząknąłem. Tylko ich dla ciebie rozgrzałem. Idź, powal wszystkich.

Wednesday wszedł w krąg światła — rosły, stary mężczyzna o szklanym oku, w brązowym garniturze i starym płaszczu od Armaniego. Stał tak bez ruchu, patrząc na ludzi na drewnianych ławkach, i milczał długą chwilę. Cień wątpił, by komukolwiek innemu udało się tyle pomilczeć. W końcu się odezwał:

— Znacie mnie — rzekł. — Wszyscy mnie znacie. Niektórzy z was nie mają powodów, by mnie kochać, ale tak czy inaczej, znacie mnie.

Rozległ się szelest. Ludzie na ławach poruszyli się niespokojnie.

— Jestem tu dłużej niż większość z was. Tak jak i wy, sądziłem, że poradzimy sobie z tym, co mamy. Nie wystarczy, by nas uszczęśliwić, ale wystarczy, by przeżyć.

Teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Nadciąga burza. I nie my ją stworzyliśmy.

Urwał. Wystąpił naprzód, splatając ręce na piersi.

— Gdy ludzie przybyli do Ameryki, przynieśli nas ze sobą. Przywieźli mnie, Lokiego i Thora, Anansiego i Boga Lwa, leprechauny, koboldy i banshee, Kuberę i Frau Holle, Astarota, a także was. Przybyliśmy tu w ich umysłach i zapuściliśmy korzenie. Podróżowaliśmy z osadnikami do nowych krain za morzem.

Ten kraj jest ogromny. Wkrótce nasi ludzie porzucili nas, wspominając jedynie niezwykłe istoty ze starych krajów, coś co pozostawili za sobą. Nasi prawdziwi wyznawcy umarli bądź stracili wiarę. Zagubieni, przerażeni, wydziedziczeni, egzystujemy tylko dzięki odrobinie uznania i wiary; wszystkiemu, co uda nam się znaleźć. Nauczyliśmy się sobie radzić.

Oto, co zrobiliśmy. Radziliśmy sobie, trzymaliśmy się na uboczu, ukrywali w miejscach, których nikt nie obserwuje.

Przyznajmy to otwarcie: nie mamy zbyt wielkich wpływów. Wykorzystujemy ich, bierzemy od nich co trzeba i jakoś sobie radzimy. Rozbieramy się, kupczymy naszymi ciałami, za dużo pijemy, rozlewamy benzynę, kradniemy, oszukujemy. Istniejemy w szczelinach na skrajach społeczeństwa — starzy bogowie, tu, w nowym kraju, pozbawionym bogów.

Wednesday urwał. Powiódł wzrokiem po twarzach swych słuchaczy: poważny, wyniosły. Patrzyli na niego obojętnie. Ich nieprzeniknione twarze przypominały maski. Wednesday odchrząknął i splunął w płomienie, które rozbłysły jaśniej, oświetlając wnętrze dworu.

— Wszyscy z was zapewne zdołali już się przekonać, że w Ameryce powstają też nowi bogowie, przywiązani do rosnących kręgów wiary: bogowie kart kredytowych i autostrad, telefonów i

Intemetu, radia, szpitali i telewizji. Bogowie plastiku, pagerów i neonów. Dumni bogowie. Tłuste, niemądre istoty, nadęte własną młodością i ważnością.

Wiedzą, że istniejemy. Boją się nas i nienawidzą — dodał Odyn. — Oszukujecie samych siebie, jeśli myślicie inaczej. Jeśli tylko zdołają, zniszczą nas. Czas, abyśmy połączyli siły. Czas, byśmy działali.

W krąg światła wstąpiła stara kobieta w czerwonym sari. Na czole miała niewielki ciemnoniebieski klejnot.

— Wezwałeś nas tu z powodu tych bzdur? — spytała i prychnęła w połączeniu rozbawienia i irytacji.

Brwi Wednesdaya opadły lekko.

— Owszem, wezwałem was tu, ale to nie bzdury, Mamo-ji. Nawet dziecko zdołałoby to dostrzec.

— Jestem więc dzieckiem? — Pogroziła mu palcem. — Byłam stara w Karigacie, nim ciebie w ogóle wymyślono, głupcze. Dzieckiem? Dobrze zatem, jestem dzieckiem. Nie dostrzegam bowiem niczego nowego w twej niemądrej mowie.

I znów na moment obrazy przed oczami Cienia rozdwoiły się. Ujrzał starą kobietę o ciemnej twarzy, ściągniętej dezaprobatą i wiekiem. Za nią jednak widział coś wielkiego: nagą kobietę o skórze czarnej niczym karoseria limuzyny, ustach i języku czerwonych jak świeża krew. Jej szyję otaczał naszyjnik z czaszek, liczne ręce trzymały noże, miecze i odcięte głowy.

— Nie nazwałem cię dzieckiem, Mamo-ji — Wednesday wyraźnie starał się ją uspokoić. — Jednakże jest rzeczą oczywistą…

— Jedyną oczywistą rzeczą — przerwała mu kobieta (czarny palec zakończony ostrym paznokciem wskazywał kolejno kierunki: za nią, przez nią, nad nią) — jest twoje pragnienie chwały. Długi czas żyliśmy w pokoju. Niektórzy radzą sobie lepiej, inni gorzej. Owszem, ja nie narzekam. W Indiach żyje moje wcielenie, które miewa się jeszcze lepiej, ale niechaj i tak będzie. Nie zazdroszczę. Widziałam wschody nowych i obserwowałam ich upadki. — Jej ręka opadła. Cień przekonał się, że pozostali obserwują ją uważnie. Ich oczy miały różny wyraz: szacunku, rozbawienia, zakłopotania. — Zaledwie mrugnięcie oka temu oddawano tu cześć kolei. A teraz zapomniano o bogach żelaza, równie dokładnie jak o łowcach szmaragdów.

— Wróć do tematu, Mamo-ji — poprosił Wednesday.

— Tak? — Jej nozdrza rozchyliły się. Kąciki ust opadły. — Ja — a bez wątpienia jestem zaledwie dzieckiem — sądzę, że powinniśmy poczekać, nic nie robić. Nie wiemy, czy chcą nas skrzywdzić.

— A czy wciąż będziesz doradzać czekanie, gdy zjawią się nocą i zabiją cię bądź porwą?

Jej twarz miała wyraz wzgardliwego rozbawienia. Wszystko to

kryło się w ustach, wśród brwi, wokół nosa.

— Jeśli spróbują czegoś takiego — oznajmiła — przekonają się, że trudno mnie złapać, a jeszcze trudniej zabić.

Za jej plecami przysadzisty młody człowiek na ławce odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę, i rzekł donośnym głosem:

— Wszechojcze, moi ludzie są zadowoleni. Jak najlepiej wykorzystujemy wszystko, co mamy. Jeśli twoja wojna każe nam stanąć po jednej ze stron, możemy to stracić.

— Już i tak wszystko straciliście — odparł Wednesday. — Oferuję wam szansę odzyskania czegokolwiek.

Gdy tak mówił, płomienie wystrzeliwały wysoko, oświetlając twarze słuchaczy.

Tak naprawdę nie wierzę — pomyślał Cień. — Nie wierzę w to wszystko. Może wciąż mam piętnaście lat, mama nadal żyje i nie poznałem jeszcze Laury. Wszystko, co działo się dotąd, to jedynie niezwykle wyraźny sen.

W to także nie mógł uwierzyć. Wierzyć możemy tylko dzięki zmysłom, narzędziom wykorzystywanym do postrzegania świata: wzrokowi, dotykowi, pamięci. Jeśli nas okłamią, niczemu nie można ufać. A nawet, jeśli nie wierzymy, wciąż nie możemy podróżować inaczej niż szlakiem wskazywanym przez nasz rozsądek. I drogę tę musimy przejść do końca.

A potem ogień wypalił się. W Valaskjalfie, dworze Odyna, zapanował mrok.

— Co teraz? — szepnął Cień.

— Teraz wrócimy do pokoju z karuzelą — wymamrotał pan Nancy. — Tam stary jednooki kupi nam obiad, da w łapę komu trzeba, ucałuje kilkoro dzieci i nikt nie wspomni już nawet o słówku na B.

— Słówku na B?

— Bogach. Gdzie się podziewałeś, gdy rozdawali mózgi, chłopcze?

— Ktoś opowiadał historie o tym, jak ukradł tygrysowi jaja. Musiałem się zatrzymać i posłuchać do końca.

Pan Nancy zachichotał.

— Ale niczego nie rozstrzygnęliście. Nikt się na nic nie zgodził.

— Będzie nad nimi pracował. Powoli. Przekona ich po kolei. Zobaczysz. W końcu sami do niego przyjdą.

Cień poczuł wiejący skądś wiatr. Unosił mu włosy, dotykał twarzy, przyzywał.

Stali w pomieszczeniu największej karuzeli świata, słuchając Walca Cesarskiego.

Po drugiej stronie pokoju grupka ludzi, na oko turystów, rozmawiała z Wednesdayem. Było ich dokładnie tylu, ile mrocznych postaci w jego dworze.

— Tędy — zagrzmiał Wednesday i skierował się ku jedynemu wyjściu, uformowanemu tak, że przypominało rozwarte szczęki olbrzymiego potwora; ostre kły lśniły, gotowe rozedrzeć wszystkich na strzępy. Krążył wśród nich niczym polityk, zachęcając, podpuszczając, uśmiechając się, nie zgadzając uprzejmie, uspokajając.

— Czy to naprawdę się zdarzyło? — spytał Cień.

— Czy co się zdarzyło, pustomózgu? — przedrzeźniał pan Nancy.

— Dwór, ogień, jądra tygrysa, jazda na karuzeli.

— No co ty? Nikomu nie wolno jeździć na karuzeli. Nie widziałeś tabliczek? A teraz ciii.

Paszcza potwora wiodła do Pokoju Organowego, który zdumiał Cienia. Czy nie szli już tą drogą? Za drugim razem przeżycie było równie osobliwe. Wednesday poprowadził ich po schodach, mijając wiszące w powietrzu naturalnej wielkości modele czterech jeźdźców Apokalipsy. Trzymając się znaków, dotarli do otwartej bramy.

Cień i Nancy tworzyli straż tylną. A potem opuścili Dom na Skale, minęli sklep z pamiątkami i skierowali się na parking.

— Szkoda, że musieliśmy odejść przed końcem — Pan Nancy westchnął. — Miałem nadzieję obejrzeć największą sztuczną orkiestrę świata.

— Widziałem ją — odparł Czernobog. — Nic ciekawego.

* * *

Restauracja leżała przy drodze, dziesięć minut jazdy od Domu na Skale. Wednesday poinformował każdego z gości, że dziś wieczór on płaci za wszystko. Zorganizował też przewóz dla tych, którzy nie mieli własnego środka transportu.

Cień zastanawiał się, jak w ogóle dotarli do Domu na Skale bez własnych środków transportu i jak się stąd wydostaną, ale milczał. Uznał, że to najmądrzejsze wyjście.

Sam miał do przewiezienia pełen samochód gości Wednesdaya. Kobieta w czerwonym sari siedziała z przodu, obok niego. Na tylnym siedzeniu przysiadło dwóch mężczyzn: przysadzisty młodzieniec o osobliwym wyglądzie, którego nazwiska Cień nie dosłyszał, choć brzmiało podobnie do Elvisa, i drugi, w ciemnym garniturze — jego w ogóle nie pamiętał.

Stał obok tego człowieka, gdy tamten wsiadał do samochodu. Otworzył przed nim drzwi, zamknął je, a jednak wciąż nic nie pamiętał. Odwrócił się teraz w fotelu i obejrzał uważnie swego pasażera, jego twarz, włosy, ubranie, tak by znów móc go rozpoznać.

Potem odwrócił się, uruchamiając silnik i odkrył, iż tamten kompletnie wypadł mu z pamięci. Pozostało tylko wrażenie wielkiego bogactwa, nic poza tym.

Jestem zmęczony — pomyślał Cień. Zerknął w prawo, ukradkiem przyglądając się Hindusce. Zauważył wąski, srebrny naszyjnik, okalający szyję. Bransoletka z amuletami w kształcie głów i dłoni brzęczała przy każdym ruchu niczym maleńkie dzwoneczki. Na czole miała ciemnoniebieski klejnot. Pachniała korzeniami: kardamonem, gałką muszkatołową i kwiatami. Włosy miała szpakowate. Gdy dostrzegła jego wzrok, uśmiechnęła się.

— Mów mi Mama-ji — powiedziała.

— Ja jestem Cień, Mamo-ji — odparł.

— A co myślisz o planie swojego pracodawcy?

Zwolnił na widok wielkiej, czarnej ciężarówki, która ich wyprzedziła, pryskając błotem.

— Nie pytam, a on nie mówi — rzekł.

— Moim zdaniem chce stworzyć ostatni bastion. Chce, żebyśmy odeszli w blasku chwały. Oto, czego pragnie. A my jesteśmy dość starzy i dość głupi, by przynajmniej część z nas się zgodziła.

— Zadawanie pytań nie należy do moich obowiązków, Mamo-ji — wyjaśnił Cień. Jej dźwięczny śmiech wypełnił cały samochód.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu — nie ów osobliwy młodzieniec, ten drugi — powiedział coś i Cień mu odparł, jednak w sekundę później nie potrafił przypomnieć sobie ani słowa.

Tymczasem osobliwy młodzieniec milczał. Zaczął jednak nucić pod nosem głębokim, melodyjnym basem. Wnętrze samochodu wibrowało do wtóru.

Osobliwy młodzian był średniego wzrostu, lecz dziwnej postury. Cień słyszał wcześniej o piersi jak beczka, nie potrafił jednak wyobrazić sobie czegoś podobnego. Ten młodzian miał pierś jak beczka i nogi, owszem, jak pnie drzew, i ręce dokładnie jak tłuste szynki. Ubrany był w czarną parkę z kapturem, kilka warstw swetrów, grube drelichowe spodnie i, co niewiarygodne przy takim stroju i pogodzie, białe tenisówki, rozmiaru i kształtu pudełek na buty. Jego palce przypominały kiełbaski, tępe, kwadratowo zakończone.

— Niezły głos — zauważył Cień ze swego miejsca.

— Przepraszam — odparł głębokim basem niezwykły młody człowiek, wyraźnie zawstydzony. Przestał nucić.

— Nie, podobało mi się — rzekł szybko Cień. — Nie przerywaj.

Niezwykły młody człowiek zawahał się, po czym podjął przerwaną melodię, równie dźwięcznie jak przedtem. Tym razem wśród pomruków pojawiały się słowa:

— W dół, w dół, w dół — śpiewał tak nisko, że drżały szyby w oknach. — W dół, w dół, w dół, w dół, w dół.

Na dachach mijanych domów rozwieszono łańcuchy świątecznych lampek, wszelkich możliwych typów — od dyskretnych, złotych żaróweczek, migoczących w mroku po olbrzymie wzory bałwanów, misiów i wielokolorowych gwiazd.

Cień zaparkował przed restauracją, wielkim budynkiem przypominającym stodołę, i wypuścił pasażerów przednimi drzwiami. Potem podjechał na tyły, na parking. Chciał samotnie przespacerować się do wejścia, by uporządkować myśli.

Zaparkował obok czarnej ciężarówki, zastanawiając się, czy to ta sama, która wyprzedziła go wcześniej. Zatrzasnął drzwi i stanął bez ruchu na parkingu. Jego oddech parował w mroźnym powietrzu.

Wyobrażał sobie, jak w restauracji Wednesday rozsadza gości wokół wielkiego stołu, pracując nad nimi. Cień zastanawiał się, czy naprawdę na fotelu obok niego siedziała Kali, kto podróżował na tylnych siedzeniach…

— Hej, chłopie, masz zapałki? — Cień usłyszał na wpół znajomy głos. Obrócił się, by powiedzieć, że nie, nie ma, lecz lufa pistoletu wbiła mu się w głowę tuż nad lewym okiem i zaczął upadać. Zdążył jedynie wyciągnąć rękę. Ktoś wsunął mu w usta coś miękkiego, uniemożliwiając krzyk, i zamocował taśmą, gładkimi, wyćwiczonymi ruchami, niczym rzeźnik patroszący kurczaka.

Cień próbował krzyknąć, ostrzec Wednesdaya, ostrzec ich wszystkich, lecz z jego ust dobył się jedynie stłumiony jęk.

— Wszystkie ptaszki są już w środku — ponownie usłyszał ten sam głos. — Gotowi? — W głośniku krótkofalówki rozległ się ochrypły trzask. — Ruszajmy i zgarniamy ich.

— A co z tym dryblasem? — spytał ktoś inny.

— Zapakujcie go i zabierzcie — odparł pierwszy.

Narzucili Cieniowi na głowę workowaty kaptur, skrępowali taśmą przeguby i kostki, umieścili z tyłu ciężarówki i odjechali.

* * *

W małym pomieszczeniu, w którym zamknęli Cienia, nie było okien. Stało w nim jedynie plastikowe krzesło, lekki, składany stół i wiadro z przykrywą, służące jako tymczasowa toaleta. Na podłodze leżał też długi kawał żółtej pianki i cienki koc ze starą, brązową plamą pośrodku. Cień nie wiedział, czy to krew, kał czy jedzenie, i wolał tego nie sprawdzać. Pod sufitem wisiała naga żarówka, osłonięta metalowa kratą. Nie zdołał znaleźć wyłącznika; światło stale się paliło. Po jego stronie drzwi nie było klamki.

Dręczył go głód.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, gdy tamci wepchnęli go do pokoju, zerwali mu z rąk, nóg i ust taśmy i zostawili, było dokładne zbadanie całego pomieszczenia. Ostukał ściany. Odpowiedział mu metaliczny dźwięk. U góry Cień dojrzał niewielką szczelinę wentylacyjną. Drzwi były dokładnie zamknięte.

Rana nad lewą brwią krwawiła lekko. Bolała go głowa.

Podłoga była goła. Ostukał ją. Ten sam metal, co w ścianach.

Zdjął pokrywę wiadra, wysikał się i ponownie je zakrył. Według wskazania zegarka od napadu na restaurację minęły zaledwie cztery godziny.

Portfel zniknął, ale zostawili mu monety.

Usiadł na krześle przy karcianym stoliku. Stół pokrywał zielony ryps, tu i ówdzie poprzypalany papierosami. Cień zaczął ćwiczyć sztuczkę z przepychaniem monet przez stół. Potem wziął dwie ćwierćdolarówki i opracował własną Bezsensowną Sztuczkę z Monetami.

Ukrył monetę w prawej dłoni i pokazał drugą w lewej, pomiędzy palcem i kciukiem. Potem udał, że bierze ją do drugiej ręki, choć w istocie ukrył znowu w lewej. Uniósł prawą dłoń, demonstrując tkwiącą tam monetę.

Podstawową zaletą manipulacji monetami był fakt, że wymagało to zaangażowania całego umysłu. Cień nie potrafił tego robić, gdy złościł się albo martwił. Toteż samo ćwiczenie iluzji, nawet zupełnie bezsensownej — włożył bowiem wiele wysiłku i umiejętności w pozorne przełożenie monety z jednej ręki do drugiej, choć w istocie nie wymaga to żadnych starań — uspokajało go, oczyszczało umysł z lęków i niepokojów.

Zaczął kolejną, jeszcze bardziej bezsensowną sztuczkę — jednoręczną przemianę półdolarówki w centa przy użyciu dwóch ćwierćdolarówek. Na zmianę ukrywał i demonstrował obie monety. Zaczął od jednej ćwiartki, ukrywając drugą. Uniósł dłoń do ust i dmuchnął na widoczną monetę, jednocześnie ukrywając ją klasycznym gestem w dłoni, podczas gdy pierwsze dwa palce wyjęły drugą, schowaną ćwierćdolarówkę, i zademonstrowały ją światu. Efekt był następujący: pokazał ćwiartkę, uniósł do ust, dmuchnął, opuścił rękę i pokazał tę samą ćwiartkę.

Powtarzał to wiele razy.

Zastanawiał się, czy go zabiją. Jego ręka zadrżała lekko. Jedna z ćwierćdolarówek ześliznęła się z czubka palca na poplamiony, zielony ryps.

A potem, ponieważ nie był w stanie ćwiczyć dalej, schował monety, wyjął dolarówkę z głową Wolności, którą dostał od Zorii Połunocznej, ścisnął ją mocno w palcach i czekał.

* * *

O trzeciej nad ranem, według wskazań zegarka, tamci powrócili, by go przesłuchać. Dwóch ciemnowłosych mężczyzn, w ciemnych garniturach i błyszczących, czarnych butach. Zbiry. Jeden miał kwadratową szczękę, szerokie ramiona, gęste włosy; wyglądał, jakby w liceum grywał w futbol, po za tym miał poobgryzane paznokcie. Drugi, łysiejące czoło, nosił okrągłe okulary w srebrnej oprawie, miał zrobiony staranny manicure. I choć zupełnie nie przypominali się nawzajem, Cień podejrzewał, iż na pewnym poziomie, być może komórkowym, są absolutnie identyczni. Stanęli po dwóch stronach stolika, patrząc w dół na niego.

— Jak długo pracuje pan dla Cargo? — spytał jeden z nich.

— Nie wiem, o co chodzi — odparł Cień.

— Przedstawia się jako Wednesday, Grimm, Stary Ojciec, Staruch. Widywano z nim pana.

— Pracuję dla niego od kilku dni.

— Proszę nas nie okłamywać — rzeki zbir w okularach.

— W porządku — odparł Cień. — Nie będę. Ale to nadal oznacza kilka dni.

Zbir o kanciastej szczęce wyciągnął rękę i wykręcił mocno ucho Cienia, ściskając z całej siły. Ból był przejmujący.

— Mówiliśmy, żeby nas pan nie okłamywał — powiedział łagodnie i puścił.

Pod marynarkami obu Cień dostrzegał zarysy kabur. Nie próbował odpłacić pięknym za nadobne. Udał, że wrócił do więzienia. Odsiaduję własny wyrok — pomyślał Cień. — Nie mów im niczego, czego sami nie wiedzą. Nie zadawaj pytań.

— Ostatnio zadaje się pan z niebezpiecznymi ludźmi — oznajmił zbir w okularach. — Przysłużyłby się pan krajowi, składając zeznania. — Uśmiechnął się współczująco. „Jestem dobrym gliną” mówił uśmiech.

— Rozumiem — odrzekł Cień.

— A jeśli nie zechce nam pan pomóc — dodał mężczyzna o kanciastej szczęce — przekona się pan, co robimy, gdy nie jesteśmy zadowoleni. — Wymierzył mu cios w brzuch otwartą dłonią, pozbawiając Cienia tchu.

To nie tortury — pomyślał Cień. — Jedynie znak przestankowy: „Ja jestem złym gliną”. Zwymiotował.

— Bardzo chciałbym was zadowolić — powiedział, gdy tylko nabrał tchu.

— Prosimy jedynie o współpracę.

— Mógłbym spytać… — wykrztusił Cień (Nie zadawaj pytań —

pomyślał, ale było już za późno, zdążył to powiedzieć). — Mógłbym spytać, z kim miałbym współpracować?

— Chcesz poznać nasze nazwiska? — spytał kanciasty. — Odbiło ci?

— Nie, ma rację — wtrącił się okularnik. — Może w ten sposób łatwiej będzie mu dostrzec swoje położenie. — Spojrzał na Cienia i uśmiechnął się niczym facet z reklamy pasty do zębów. — Witam. Nazywam się pan Stone, mój kolega to pan Wood.

— Prawdę mówiąc — mruknął Cień — chodziło mi o to, w jakiej agencji pracujecie. CIA? FBI?

Stone pokręcił głową.

— O, rany. To nie takie proste, proszę pana. Stanowczo nie takie proste.

— Sektor prywatny — dodał Wood. — Sektor publiczny, wie pan. W dzisiejszych czasach wszystko splata się ze sobą.

— Zapewniam jednak — rzekł Stone z kolejnym przymilnym uśmiechem — że jesteśmy tymi dobrymi. — Głodny? — Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął snickersa. — Proszę. Mały prezent.

— Dziękuję — odparł Cień. Rozwinął batonik i zjadł go.

— Pewnie chciałby się pan czegoś napić. Kawy? Piwa?

— Wody, jeśli można.

Stone podszedł do drzwi i zapukał w nie. Powiedział coś do strażnika po drugiej stronie, który powrócił w minutę później z plastikowym kubkiem pełnym zimnej wody.

— CIA. — Wood z politowaniem pokręcił głową. — Ci frajerzy. Hej, Stone, słyszałem nowy dowcip o CIA. To idzie tak: Skąd wiadomo, że CIA nie uczestniczyła w zamachu na Kennedy'ego?

— Nie wiem — powiedział Stone. — Skąd wiadomo?

— Bo on nie żyje.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Lepiej już panu? — spytał Stone.

— Chyba tak.

— Może zatem opowie pan nam, co dziś zaszło.

— Trochę zwiedzaliśmy, pojechaliśmy do Domu na Skale, wybraliśmy się na kolację. Resztę znacie.

Stone westchnął ciężko. Wood pokręcił głową z zawiedzioną miną i kopnął Cienia w rzepkę kolanową. Bolało potwornie. A potem Wood powoli wepchnął mu pięść w plecy, tuż nad prawą nerką, napierając kostkami, i ból był jeszcze gorszy niż ten w kolanie.

Jestem większy od nich obu — pomyślał. — Poradziłbym sobie. Byli jednak uzbrojeni i nawet gdyby jakimś cudem udało mu się ich zabić bądź obezwładnić, wciąż pozostałby zamknięty w celi (Ale miałby broń, dwa pistolety). (Nie).

Wood trzymał się z daleka od twarzy Cienia. Nie zostawiał

śladów, nic trwałego, jedynie uderzenia pięści i nóg w kolana i tors. Bolało. Cień ściskał mocno w dłoni dolarówkę, czekając na koniec.

I wreszcie, po stanowczo zbyt długim czasie, bicie dobiegło końca.

— Do zobaczenia za kilka godzin — powiedział Stone. — Woody naprawdę nie był tym zachwycony. Jesteśmy rozsądnymi ludźmi i, jak mówiłem, gramy po właściwej stronie. Pan nie. A tymczasem proszę spróbować się przespać.

— Lepiej zacznij traktować nas poważnie — dodał Wood.

— Woody ma rację — dokończył Stone. — Proszę to przemyśleć.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Cień zastanawiał się, czy zgaszą światło. Nie zrobili tego jednak. Wciąż płonęło na suficie niczym zimne oko. Powoli przeczołgał się po podłodze aż na żółtą piankę. Wdrapał się na nią, owinął ciasno kocem, zamknął oczy i pochwycił pustkę, złapał w ręce sny.

Mijał czas.

Znów miał piętnaście lat. Matka umierała; próbowała powiedzieć mu coś ważnego, ale nie mógł jej zrozumieć. Poruszył się we śnie. Gwałtowne uczucie bólu sprawiło, że z półsnu przeniósł się do półjawy. Syknął.

Cień zadrżał pod cienkim kocem. Prawym przedramieniem zakrywał oczy przed jaskrawym światłem żarówki. Zastanawiał się, czy Wednesday i pozostali zdołali zbiec, czy w ogóle przeżyli. Miał nadzieję, że tak.

Chłodna srebrna dolarówka wciąż tkwiła w jego lewej dłoni. Czuł ją tam od początku przesłuchania. Zastanawiał się przelotnie, czemu nie rozgrzała się do temperatury ciała. I w tym stanie pół snu pół maligny moneta, idea wolności, księżyc i Zoria Połunocznaja połączyły się w jedną całość, tworząc promień srebrnego światła, padający z głębin na niebo, a on dosiadł go, oddalając się od cierpienia, smutku i strachu, coraz dalej od bólu, z powrotem w sen…

Gdzieś z daleka dobiegł go hałas. Było jednak za późno, by się nad nim zastanawiać. Sen objął go już we władanie.

Ostatnia myśl: miał nadzieję, że to nie ludzie, którzy przychodzą go obudzić, pobić albo skrzyczeć, a potem zauważył z radością, że na dobre zapadł w sen i przestał odczuwać chłód.

* * *

Gdzieś ktoś wzywał pomocy. Działo się to w snach Cienia, a może poza nimi. Cień przekręcił się na swej piance, odkrywając przy okazji

kolejne bolesne miejsca.

Ktoś szarpał go za ramię.

Pragnął poprosić, by go nie budzili, by pozwolili mu spać, zostawili w spokoju. Jednak z gardła dobiegł tylko ochrypły jęk.

— Piesku — powiedziała Laura — Musisz się obudzić. Proszę, obudź się, kochany.

Przez moment poczuł ulgę. Miał taki dziwny sen o więzieniach, oszustach, podupadłych bogach, a teraz Laura go budzi, by powiedzieć, że czas iść do pracy. Może wystarczy go, by przełknąć kawę i skraść całusa, czy nawet więcej niż całusa. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

Jej skóra była zimna jak lód i lepka. Otworzył oczy.

— Skąd ta krew? — spytał.

— Z innych ludzi — odparła. — Nie jest moja. Mnie wypełnia formaldehyd zmieszany z gliceryną i lanoliną.

— Jakich innych ludzi?

— Strażników. Wszystko w porządku, zabiłam ich. Lepiej się rusz. Wątpię, by ktokolwiek zdążył wszcząć alarm. Weź płaszcz, inaczej zamarzniesz na śmierć.

— Zabiłaś ich?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niepewnie. Jej ręce wyglądały jakby przed chwilą skończyła malować palcami obraz wyłącznie w odcieniach czerwieni. Twarz i ubranie (ten sam niebieski kostium, w którym została pochowana) pokrywały plamy i rozbryzgi, które Cieniowi skojarzyły się z Jacksonem Pollockiem. Wolał myśleć o Pollocku, niż zaakceptować inne wyjaśnienie.

— Łatwiej zabijać ludzi, kiedy samemu jest się martwym — wyjaśniła. — W końcu to nic wielkiego. Traci się uprzedzenia.

— Dla mnie to nadal duża rzecz — odparł Cień.

— Chcesz tu zaczekać na przyjście porannej zmiany? — spytała. — Jeśli tak, proszę bardzo. Sądziłam, że wolałbyś stąd wyjść.

— Pomyślą, że ja to zrobiłem — powiedział tępo.

— Może — ucięła. — Włóż płaszcz, kochany. Zamarzniesz.

Wyszedł na korytarz. Na jego końcu mieściła się wartownia. Leżały tam cztery trupy: trzech strażników i mężczyzna nazywający się Stone. Cień nie dostrzegł jego przyjaciela. Sądząc z krwawych śladów na podłodze, dwóch mężczyzn zostało przy-wleczonych do wartowni i rzuconych w kąt.

Na wieszaku dostrzegł własny płaszcz. W wewnętrznej kieszeni wciąż tkwił portfel, nietknięty. Laura otworzyła kilka kartonowych pudeł pełnych batonów.

Teraz dopiero mógł porządnie przyjrzeć się strażnikom. Mieli na sobie ciemne mundury maskujące, lecz żadnych oficjalnych naszywek, niczego, co świadczyłoby, dla kogo pracują. Równie dobrze mogli być

myśliwymi, polującymi w weekendy na kaczki.

Laura wyciągnęła zimną rękę i uścisnęła dłoń Cienia. Na jej szyi na łańcuszku wisiała złota moneta, którą jej oddał.

— Ładnie wygląda — rzekł.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się.

— A co z pozostałymi? Wednesdayem, całą resztą? Gdzie są?

Laura podała mu garść batoników. Napełnił nimi kieszenie.

— Nie było tu nikogo innego. Mnóstwo pustych cel i jedna z tobą w środku. Ach, jeden z tych ludzi poszedł ze świerszczykiem do innej celi, by sobie ulżyć. Czekał go niezły wstrząs.

— Zabiłaś go, gdy się onanizował?

Wzruszyła ramionami.

— Tak — przyznała niechętnie. — Martwiłam się, że robią ci krzywdę. Ktoś musi mieć na ciebie oko. I uprzedzałam, że to będę ja. Weź to. — Podała mu chemiczne rozgrzewacze dłoni i stóp: cienkie wkładki. Po przełamaniu pieczęci rozgrzewały się i pozostawały takie całymi godzinami. Cień wsunął je do kieszeni.

— Masz na mnie oko? O, tak — rzekł. — Rzeczywiście.

Palcem musnęła jego czoło tuż nad lewą brwią.

— Jesteś ranny — zauważyła.

— Nic mi nie jest.

Otworzył tkwiące w ścianie metalowe drzwi, które uchyliły się powoli, metr nad ziemią. Zeskoczył na coś, co przypominało żwir. Chwycił Laurę w pasie i zsadził, tak jak kiedyś, z łatwością, bez namysłu.

Księżyc wynurzył się zza ciemnej chmury. Wisiał nisko nad horyzontem, chylił się ku zachodowi. Światło rzucane na śnieg wystarczyło, by zorientować się w okolicy.

Wyszli z pomalowanych na czarno metalowych drzwi długiego wagonu towarowego, stojącego bądź porzuconego na bocznicy w lesie. Wagony ciągnęły się tak daleko, jak sięgał wzrok, i znikały wśród drzew. Trzymali go w pociągu. Powinien się był domyśleć.

— Jak mnie u diabła znalazłaś? — spytał swą martwą żonę.

Powoli, z rozbawieniem pokręciła głową.

— Świecisz niczym latarnia w mrocznym świecie — odparła. — To nie było trudne. A teraz idź. Odejdź stąd. Jak najszybciej i jak najdalej. Nie korzystaj z karty kredytowej. I wszystko powinno pójść dobrze.

— Dokąd mam iść?

Przeczesała dłonią splątane włosy i odrzuciła je z oczu.

— Droga jest tam — oznajmiła. — Postaraj się. Jeśli trzeba, ukradnij samochód. Jedź na południe.

— Lauro — zaczął i zawahał się. — Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Wiesz, kim są ci ludzie? Kogo zabiłaś?

— Tak — odparła. — Chyba wiem.

— Jestem ci coś winien — rzekł. — Gdyby nie ty, wciąż siedziałbym w zamknięciu. Nie sądzę, by mieli wobec mnie dobre zamiary.

— Nie — potwierdziła. — Raczej w to wątpię.

Oddalili się od pustych wagonów. Cień pomyślał o innych pociągach: czarnych, pozbawionych okien metalowych wagonach, ciągnących się na całe mile, z rykiem syren pokonujących noc. Zacisnął palce wokół tkwiącej w kieszeni dolarówki. Przypomniał sobie Zorię Połuoczną i to, jak patrzyła na niego w blasku księżyca. „Spytałeś, czego chce? To najmądrzejsze pytanie, jakie można zadać umarłemu. Czasami nawet odpowiadają”.

— Lauro… czego ty chcesz? — spytał.

— Naprawdę chciałbyś wiedzieć?

— Tak. Proszę.

Laura uniosła wzrok i spojrzała na niego martwymi, niebieskimi oczami.

— Chcę znów żyć — oznajmiła. — Nie tkwić uwięziona w półży — ciu. Chcę naprawdę żyć. Pragnę poczuć serce, pompujące krew w piersi, i jej ruchy w moim ciele — gorącej, słonej, prawdziwej. To niesamowite. Wydaje nam się, że nie czujemy krwi, ale uwierz, kiedy przestaje płynąć, natychmiast dostrzegasz różnicę. — Wytarła oczy, rozmazując krwawe plamy, brudząc twarz lepką czerwienią. — Posłuchaj, to trudne. Wiesz, czemu martwi pojawiają się tylko w nocy, piesku? Bo w ciemności łatwiej udawać prawdziwego człowieka. A ja nie chcę udawać. Pragnę znów żyć.

— Nie rozumiem, co miałbym zrobić.

— Załatw to, kochany. Coś wymyślisz. Wiem to.

— Zgoda — rzekł. — Spróbuję. A jeśli coś wymyślę, jak mam cię znaleźć?

Ona jednak zniknęła, pozostawiając go samego w lesie. Niebo na wschodzie zaczęło lekko szarzeć. Groźny grudniowy wiatr przyniósł krzyk ostatniego nocnego ptaka albo też pierwszego ptaka świtu.

Cień skierował twarz ku południowi i ruszył naprzód.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hinduscy bogowie są „nieśmiertelni” jedynie w bardzo szczególnym sensie tego stówa. Rodzą się bowiem i umierają, rozpatrują większość największych dylematów ludzkości i często nie zgadzają się ze śmiertelnymi w kwestii drobnych szczegółów… i jeszcze drobniejszych demonów. Hindusi uważają ich za klasę istot z definicji zupełnie odmiennych od reszty — symboli, jakimi nigdy nie stanie się żaden człowiek, nieważne jak „archetypiczny”. To aktorzy, odgrywający role, rzeczywiste wyłącznie dla nas. Tylko maski, za którymi powinniśmy dojrzeć nasze własne twarze.

— Wendy Doniger O’Flaherty,

„Wstęp do Mitologii Hinduskiej”,

(Penguin, 1975)

Cień maszerował na południe — czy też miał przynajmniej nadzieję, że na południe — już od kilku godzin. Wędrował długą, wąską, nie oznaczoną drogą przez las. Miał wrażenie, że znalazł się w południowym Wisconsin. W pewnym momencie od strony miasta nadjechały dwa jeepy z płonącymi reflektorami. Ukrył się za drzewami, póki nie zniknęły. Wczesnoporanna mgiełka sięgała mu do pasa. Samochody były czarne.

Gdy pół godziny później usłyszał daleki odgłos nadlatujących z zachodu helikopterów, skręcił ze szlaku w las. Leżał przycupnięty w jamie pod zwalonym drzewem, słuchając, jak przelatują. Gdy się oddaliły, wyjrzał, unosząc wzrok ku szaremu, zimowemu niebu. Ucieszył się, zauważywszy, że helikoptery pomalowano matową, czarną farbą. Czekał pod drzewem, póki ich hałas zupełnie nie ucichł.

Pod drzewami na ziemi leżała tylko cieniutka warstwa śniegu, trzeszczącego pod stopami. Szedł, dziękując Bogu za chemiczne rozgrzewacze rąk i stóp, które nie pozwalały im zamarznąć. Poza tym jednak czuł się odrętwiały — miał odrętwiały umysł i duszę. I owo

odrętwienie — uświadomił sobie nagle — nie było czymś nowym; czuł je od dawna.

Czego zatem chcę? — spytał samego siebie. Nie potrafił odpowiedzieć. Szedł więc dalej, krok po kroku, coraz głębiej w las. Drzewa sprawiały wrażenie znajomych, fragmenty krajobrazu rodem z deja-vu. Czyżby krążył bez celu? Może będzie tak szedł i szedł, i szedł, póki nie zabraknie ogrzewaczy i baloników, a wtedy umrze i nigdy się nie podniesie.

Dotarł do szerokiego strumienia, takiego, który miejscowi nazywają rzeczułką. Postanowił powędrować dalej wzdłuż niego. Strumienie wpadają do rzek, rzeki do Missisipi i, gdyby szedł dalej, ukradł łódź albo zbudował tratwę, w końcu dotarłby do Nowego Orleanu, a tam jest naprawdę ciepło. Myśl ta wydała mu się niezwykle pociągająca, choć wyjątkowo mało prawdopodobna.

Helikoptery już się nie zjawiły. Podejrzewał, że tamte pierwsze uczestniczyły w sprzątaniu trupów z pociągu, a nie polowały na niego. W przeciwnym razie powróciłyby wraz z psami, syrenami i całą pościgową otoczką. Ale nic z tych rzeczy się nie wydarzyło.

Czego tak naprawdę pragnął? Nie dać się schwytać. Nie zostać oskarżonym o śmierć ludzi w pociągu.

„To nie byłem ja” — usłyszał własny głos — „tylko moja martwa żona”. Wyobraził sobie miny policjantów. Posłaliby go na krzesło elektryczne, a ludzie mogliby się spierać, czy był wariatem, czy nie.

Zastanawiał się, czy w Wisconsin obowiązuje kara śmierci i czy ma to jakiekolwiek znaczenie. Chciał zrozumieć, co się dzieje i jak się to wszystko skończy, i wreszcie uśmiechnął się z rezygnacją, uświadomiwszy sobie, że tak naprawdę pragnie, by wszystko wróciło do normy. Chciał nigdy nie trafić do więzienia. Chciał, by Laura wciąż żyła. By nic z tego, co go ostatnio spotyka, się nie zdarzyło.

Obawiam się, że to raczej niemożliwe, chłopcze — pomyślał, przywołując w pamięci szorstki głos Wednesdaya, i skinął głową. — To niemożliwe, spaliłeś za sobą mosty. A zatem idź dalej. Odsiaduj własny wyrok…

W dali dzięcioł zaczął tłuc w spróchniały pień.

Cień zorientował się, że śledzą go czyjeś oczy: parka czerwonych kardynałów obserwowała go z bezlistnych gałęzi czarnego bzu, po czym wróciła do dziobania jagód. Wyglądały jak ilustracje w kalendarzu „Ptaki śpiewające Ameryki Północnej”. Usłyszał dziwnie elektroniczne piski, świergoty ptaków. Ich głosy towarzyszyły mu spory kawałek drogi, w końcu umilkły.

Martwa sama leżała na polanie, w cieniu wzgórza. Czarny ptak wielkości niewielkiego psa atakował jej bok olbrzymim, groźnym dziobem, wydzierając krwawe strzępy mięsa. Zwierzę nie miało już oczu, poza tym jednak jego głowa była nietknięta, a na zadzie wciąż

widniały białe plamki. Cień zastanawiał się, jak zginęła sarna.

Czarny ptak przekrzywił głowę i odezwał się głosem przypominającym zgrzyt uderzających o siebie kamieni.

— Ty, człowiek-cień.

— Jestem Cień.

Ptak wskoczył na zad sarny, uniósł głowę, nastroszył pióra na jej czubku i na szyi. Był olbrzymi. Jego oczy przypominały czarne koraliki. Z tak bliska sprawiał niepokojące wrażenie.

— Mówi, że spotka cię w Ka-Ir — wykrakał.

Ciekawe, który to z kruków Odyna — pomyślał Cień. Huginn czy Muninn? Pamięć czy Myśl?

— Ka-Ir? — powtórzył.

— W Egipcie.

— Jak mam się dostać do Egiptu?

— Wzdłuż Missisipi, na południe. Znajdź Szakala.

— Posłuchaj — rzekł Cień. — Nie chce, żebyś pomyślał… Jezu… — Urwał. Zebrał myśli. Było mu zimno. Stał w środku lasu i rozmawiał z wielkim, czarnym ptakiem, który właśnie pożywiał się trupem Bambi. — W porządku. Chciałem powiedzieć, że nie przepadam za tajemnicami.

— Tajemnice — zgodził się radośnie ptak.

— Potrzebuję wyjaśnień. Szakal w Ka-Ir — to mi nic nie mówi. Jest jak hasło z kiepskiego filmu szpiegowskiego.

— Szakal, przyjaciel. Tok. Ka-Ir.

— Już to powiedziałeś. Potrzebuję nieco więcej informacji.

Ptak odwrócił głowę i oddarł od żeber sarny kolejne włókno surowego mięsa. Potem odleciał w stronę drzew, a czerwony ochłap zwisał mu z dzioba niczym długi, krwawy robak.

— Hej, mógłbyś przynajmniej doprowadzić mnie do prawdziwej drogi?! — zawołał za nim Cień.

Kruk wzbił się w górę i odleciał. Cień spojrzał na trupa sarenki. Gdyby był prawdziwym twardzielem, odciąłby sobie stek i upiekł nad ogniskiem. Zamiast tego przysiadł na zwalonym drzewie i zjadł snickersa, świadom, iż daleko mu do prawdziwych ludzi lasu.

Kruk zakrakał ze skraju polany.

— Chcesz, żebym za tobą poszedł? — spytał Cień. — A może Timmy znów wpadł do studni? — Ptak zakrakał ponownie, niecierpliwie. Cień ruszył w jego stronę. Kruk odczekał chwilę, po czym ciężko przeleciał na następne drzewo, kierując się nieco na lewo od wcześniej wybranego przez niego szlaku.

— Hej! — zawołał Cień. — Huginn, Muninn, czy kim tam jesteś.

Ptak odwrócił głowę i przekrzywił, patrząc na niego podejrzliwie błyszczącymi oczami.

— Powiedz: „Nigdy już” — rzucił Cień.

— Spierdalaj — odparł kruk.

Przez resztę drogi już się nie odezwał.

Po półgodzinie dotarli do asfaltowej szosy na skraju miasta i kruk odleciał do lasu. Cień zauważył reklamę baru „Culvers — lody, kremy i butterburgery” — a obok niego stację benzynową. Ruszył do „Culversa”. Bar był zupełnie pusty. Za ladą stał bystry młody człowiek o ogolonej głowie. Cień zamówił dwa butterburgery i frytki. Potem poszedł do łazienki, by się umyć. Wyglądał okropnie. Szybko sprawdził zawartość kieszeni: miał kilka monet, w tym srebrną dolarówkę, jednorazową szczoteczkę i pastę do zębów, trzy baloniki snickers, pięć chemicznych ogrzewaczy, portfel (a w nim prawo jazdy i kartę kredytową — zastanawiał się, jak długo karta pożyje), w kieszeni płaszcza zaś tysiąc dolarów w pięćdziesiątkach i dwudziestkach, część wczorajszego łupu. Obmył w gorącej wodzie twarz i ręce, przeczesał palcami ciemne włosy, po czym wrócił do restauracji, zjadł hamburgery i frytki, popijając kawą.

Wrócił do lady.

— Może deser? — spytał bystry młody człowiek.

— Nie, nie dziękuję. Czy gdzieś tu mógłbym wypożyczyć samochód? Mój się zepsuł kawałek drogi stąd.

Młodzieniec podrapał się po odrastających włosach.

— Nie tutaj, proszę pana. Jeśli miał pan awarię, powinien pan zadzwonić po mechanika albo załatwić holowanie na stacji benzynowej.

— Świetny pomysł — rzekł Cień. — Dziękuję.

Przeszedł przez pokryty topniejącym śniegiem parking przed „Culversem” aż na stację. Tam kupił baloniki, suszone kabanosy i kolejne ogrzewacze rąk i stóp.

— Czy mógłbym tu gdzieś wypożyczyć samochód? — spytał kobietę przy kasie. Bardzo pulchna sprzedawczyni w okularach z radością przyjęła pojawienie się kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

— Pomyślmy — rzekła. — Żyjemy tu trochę na uboczu. Takie rzeczy załatwia się w Madison. Dokąd się pan wybiera?

— Do Ka-Iru — rzekł. — Gdziekolwiek to jest.

— Wiem, gdzie to jest — powiedziała. — Proszę mi podać mapę Illinois z tamtego regału.

Cień wręczył jej pokrytą plastikiem mapę. Rozwinęła ją i tryumfalnie wskazała najniższy kwadrat.

— O, proszę.

— Ka-Ir?

— Tak nazywają ten w Egipcie. Tu, w Małym Egipcie, zwą go Kair. Mają tam też Teby i tak dalej. Moja bratowa pochodzi z Teb. Spytałam ją o te w Egipcie, spojrzała na mnie, jakby brakowało mi piątej klepki-. — Kobieta zachichotała głęboko, gardłowo.

— Są tam piramidy? — Miasto leżało w odległości pięciuset mil, niemal dokładnie na południe.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nazwali to miejsce Małym Egiptem, bo jakieś sto, może sto pięćdziesiąt lat temu w okolicy wybuchła zaraza. Wybiła wszystkie plony. Ale nie tam. Więc wszyscy jeździli w to miejsce, żeby kupić żywność. Jak w Biblii, Józef i Płaszcz Snów w technikolorze. Hej, w drogę do Egiptu, ba-da-bum.

— Zatem, gdyby była pani mną i musiała tam dotrzeć, co by pani zrobiła? — spytał Cień.

— Pojechałabym.

— Kilka mil stąd padł mi wóz. Prawdziwa kupa złomu. Proszę wybaczyć określenie.

— Ka-zet — odparła. — Tak je nazywa mój szwagier. Na drobną skalę kupuje i sprzedaje samochody. Dzwoni do mnie i mówi: Mattie, właśnie sprzedałem kolejnego kazeta. Może zainteresuje go pański stary wóz. Choćby na złom.

— Należy do mojego szefa. — Cień zdumiał się, widząc, jak łatwo przychodzą mu kłamstwa. — Muszę go zawiadomić, żeby odebrał auto. — Nagle przyszło mu coś do głowy. — Ten pani szwagier mieszka tutaj?

— W Muscoda. Dziesięć minut na południe stąd, po drugiej stronie rzeki. A czemu?

— Czy ma może jakiegoś kazeta, którego zechciałby mi sprzedać za, powiedzmy, pięćset, sześćset dolarów?

Kobieta uśmiechnęła się słodko.

— Drogi panie, na jego parkingu nie znajdzie pan wozu, który wraz z pełnym bakiem kosztowałby więcej niż pięć setek… Ale proszę nie mówić, że o tym wspominałam.

— Zechce pani do niego zadzwonić? — poprosił Cień.

— Już to robię. — Kobieta podniosła słuchawkę.

— Kochanie, tu Mattie. Przyjeżdżaj tu natychmiast. Mam człowieka, który chce kupić wóz.

* * *

Wybraną przez niego kupą złomu był Chevy Nova z 1983 roku. Wraz z pełnym bakiem samochód kosztował go czterysta pięćdziesiąt dolarów. Miał na liczniku niemal ćwierć miliona mil. Pachniał lekko burbonem, tytoniem i znacznie silniej czymś, co przypominało banany. Pod warstwą brudu i śniegu trudno było dostrzec kolor, lecz ze wszystkich pojazdów na parkingu za domem szwagra Mattie tylko

on wyglądał, jakby mógł dowieźć go pięćset mil dalej.

Transakcja była gotówkowa. Szwagier Mattie nie prosił o nazwisko i numer ubezpieczeniowy Cienia — wyłącznie o pieniądze.

Cień jechał na zachód, potem na południe z pięciuset pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni, trzymając się z dala od autostrady międzystanowej. Kazet miał radio, lecz gdy Cień je włączył, okazało się że nie działa. Tablica przy drodze informowała, że opuszcza stan Wisconsin i wkracza do Illinois. Minął kopalnię odkrywkową. Wielkie, błękitne reflektory rozjaśniały zimowy półmrok.

Na obiad zatrzymał się w barze zwanym „U Mamy". Dotarł tam tuż przed zamknięciem.

Każde mijane miasto obok tablicy z nazwą, informującej, że przybywa do Naszego Miasta (720 mieszk.), miało jeszcze drugą. Tablica dodatkowa głosiła, że tutejsza drużyna w klasie do czternastu lat była trzecia poza podium w Międzystanowym Konkursie Koszykówki albo że dane miasteczko to ojczyzna półfinalistki Stanowych Mistrzostw w Zapasach dziewcząt do lat szesnastu.

Jechał dalej. Głowa chwiała mu się lekko. Z każdą minutą czuł się bardziej wyczerpany. Przejechał światło stopu i o włos uniknął zderzenia z prowadzonym przez kobietą dodgem. Gdy tylko znalazł się wśród pól, zjechał na pustą ścieżkę dla traktorów na poboczu i zaparkował obok pokrytego plamami śniegu pola, po którym wędrowała powolna procesja tłustych, czarnych, dzikich indyków. Przypominały szereg żałobników. Cień wyłączył silnik, wyciągnął się na tylnym siedzeniu i zasnął.

Ciemność, uczucie spadania, jakby niczym Alicja spadał w głąb wielkiej dziury. Leciał tak przez sto lat w mroku. Mijały go twarze wypływające z czerni, lecz nim zdążył ich dotknąć, wszystkie po kolei znikały w górze…

Nagle, bez momentu przejściowego, przestał spadać. Znów był w jaskini, i to nie sam. Spojrzał w znajome oczy: wielkie, czarne, lśniące. Zamrugały.

Był pod ziemią. Przypomniał sobie to miejsce. Zapach mokrej krowy. Na zachodnich wilgotnych ścianach odbijał się blask ognia, oświetlającego głowę bawołu i ludzkie ciało barwy gliny.

— Nie możecie dać mi spokoju? — spytał Cień. — Chcę tylko spać.

Człowiek-bawół powoli skinął głową. Jego wargi nie poruszyły się, lecz w głowie Cienia odezwał się głos.

— Dokąd jedziesz, Cieniu?

— Do Kairu.

— Czemu?

— A mam inne wyjście? Wednesday tak sobie życzy. Wypiłem

jego miód.

We śnie Cienia, wspartym na zasadach logiki snu, zobowiązanie to wydawało się czymś oczywistym: trzykrotnie wypił miód Wednesdaya, pieczętując umowę. Czy miał jakiś wybór?

Człowiek-bawół wsunął dłoń w płomienie, rozgarniając żar i poruszając niedopalone gałęzie.

— Nadchodzi burza.

Trzymał w dłoniach popiół. Otarł je o bezwłosą pierś, pozostawiając czarne smugi.

— Wciąż to powtarzacie. Mogę zadać jakieś pytanie?

Chwila ciszy. Na włochatym czole usiadła mucha. Człowiek-bawół przegnał ją.

— Pytaj.

— Czy to prawda? Wszyscy ci ludzie naprawdę są bogami? To wszystko jest takie… — Urwał. W końcu dodał: — Niemożliwe. — Choć niedokładnie tego słowa szukał. I musiał na nowo zadowolić się namiastką.

— Czym są bogowie? — spytał człowiek-bawół.

— Nie wiem — odparł Cień.

Gdzieś w dali usłyszał uporczywe stukanie w okno. Cień czekał, aż tamten się odezwie, wyjaśni, czym są bogowie, wytłumaczy reguły skomplikowanego koszmaru, w jaki zamieniło się jego życie. Było mu zimno.

Puk, puk, puk.

Cień sennie uniósł powieki i usiadł powoli. Był przemarznięty do kości. Niebo na dworze miało barwę głębokiego, rozświetlonego fioletu, oddzielającego zmierzch od nocy.

Puk, puk.

— Hej, proszę pana! — odezwał się ktoś. Cień odwrócił głowę. Ów ktoś stał obok samochodu — mroczna postać na tle ciemniejącego nieba. Cień wyciągnął rękę i odrobinę opuścił szybę. Odchrząknął kilka razy.

— Cześć.

— Wszystko w porządku? Nic panu nie jest? Pił pan? — Głos był wysoki. Należał do kobiety bądź dziecka.

— Nic mi nie jest — odparł Cień spokojnie. Otworzył drzwi i wysiadł, przeciągając po drodze obolałe kończyny i szyję. Potem zatarł ręce, by je rozgrzać i pobudzić krążenie krwi.

— Rany, spory pan jest.

— Często mi to mówią. Kim ty jesteś?

— Sam.

— Sam chłopiec czy Sam dziewczynka?

— Sam dziewczynka. Kiedyś nazywałam się Sammi, przez i. Zamiast kropki stawiałam nad i uśmieszek. Potem jednak rzygać mi

się zachciało, bo wszyscy robili coś podobnego, więc przestałam.

— W porządku, dziewczynko Sam. Przejdź tutaj i popatrz sobie na drogę.

— Czemu? Jest pan świrniętym mordercą czy czymś takim?

— Nie — odparł Cień. — Ale muszę się odlać i potrzebuję nieco prywatności.

— A, tak, jasne. Chwytam. Żaden problem. Doskonale pana rozumiem. Nie potrafię sikać, jeśli ktoś siedzi w kabinie obok. Mam blokadę.

— Już.

Przeszła na drugą stronę samochodu, a Cień postąpił kilka kroków w stronę pola, rozpiął rozporek i długo sikał pod słupkiem. W końcu wrócił na miejsce. Zmierzch w pełni przemienił się w noc.

— Jeszcze tu jesteś? — spytał.

— Tak — odparła. — Ma pan pęcherz jak jezioro Erie. Podczas tego sikania zdążyły powstać i runąć imperia, a ja wciąż pana słyszałam.

— Dziękuję. Chcesz czegoś?

— Chciałam się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Gdyby pan nie żył, albo coś w tym stylu, wezwałabym gliny. Lecz okna są zaparowane, toteż pomyślałam: hej, pewnie jednak żyje.

— Mieszkasz tutaj?

— Nie. Przyjechałam stopem z Madison.

— To niebezpieczne.

— Od trzech lat robię to pięć razy w ciągu roku. Nadal żyję. A pan dokąd?

— Jadę do Kairu.

— Dziękuję — rzekła. — Ja do El Paso. Zostanę tam u ciotki na święta.

— Nie mogę zabrać cię wprost do celu — wtrącił Cień.

— Nie El Paso w Teksasie, do tego drugiego, w Illinois. Kilka godzin jazdy na północ. Wie pan, gdzie teraz jesteśmy?

— Nie — odparł Cień. — Nie mam pojęcia. Gdzieś na autostradzie numer 52?

— Następne miasto to Peru — oznajmiła Sam. — Nie to w Peru, to w Illinois. Chciałabym pana powąchać, proszę się pochylić. — Cień schylił się i dziewczyna pociągnęła nosem tuż przy jego twarzy. — No dobrze, nie czuję alkoholu. Może pan prowadzić. Ruszajmy.

— Czemu sądzisz, że cię podwiozę?

— Bo jestem damą w opałach, a pan rycerzem w czymś tam. Nieważne. W naprawdę brudnym samochodzie. Wie pan, że ktoś napisał na tylnym oknie „brudas”?

Cień wsiadł do środka i otworzył drzwi od strony pasażera. Światełko, które zwykle zapala się w takich sytuacjach, w tym wozie

nie działało.

— Nie — rzekł. — Nie wiedziałem.

Usadowiła się w fotelu.

— To ja — oznajmiła. — Ja to napisałam, gdy było dość widno.

Cień uruchomił silnik, włączył reflektory i z powrotem zjechał na drogę.

— W lewo — podpowiedziała Sam. Skręcił w lewo i ruszył naprzód. Po kilku minutach zaczęło działać ogrzewanie, wypełniając samochód ciepłem.

— Jak dotąd jeszcze nic pan nie powiedział — zauważyła Sam. — Proszę się odezwać.

— Czy jesteś człowiekiem? — spytał Cień. — Uczciwą, żyjącą, oddychającą ludzką istotą, zrodzoną z męża i niewiasty?

— Jasne — odparła.

— W porządku. Tak tylko sprawdzałem. Co niby mam powiedzieć?

— Coś, co dodałoby mi otuchy. Nagle ogarniają mnie wątpliwości z cyklu: O cholera! Siedzę w niewłaściwym wozie obok wariata.

— Jasne — rzekł. — Też miewałem podobne myśli. Co dodałoby ci otuchy?

— Po prostu niech pan powie, że nie jest pan zbiegłym więźniem, seryjnym mordercą czy czymś w tym stylu.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Wiesz, naprawdę nie jestem.

— I musiał pan tak długo myśleć nad odpowiedzią?

— Odsiedziałem swoje. Nigdy nikogo nie zabiłem.

— Ach tak.

Wjechali do niewielkiego miasteczka rozświetlonego blaskiem latarni i mrugających dekoracji świątecznych. Cień obejrzał się w prawo. Dziewczyna miała krótkie, ciemne, splątane włosy i twarz jednocześnie atrakcyjną i, jak uznał, odrobinę męską. Ktoś mógłby wykuć coś takiego w kamieniu. Patrzyła na niego.

— Za co trafiłeś do więzienia?

— Zrobiłem krzywdę kilku ludziom. Zdenerwowałem się.

— Zasłużyli sobie?

Cień pomyślał przez moment.

— Wtedy tak sądziłem.

— Czy zrobiłbyś to ponownie?

— Do diabła, nie. Przez to straciłem trzy lata życia.

— Mmm. Masz w żyłach indiańską krew?

— Z tego co wiem, nie.

— Po prostu tak wyglądałeś, wybacz.

— Przykro mi, że sprawiłem ci zawód.

— Nie szkodzi. Głodny?

Cień kiwnął głową.

— Chętnie bym coś zjadł — przyznał.

— Tuż za następnymi światłami jest dobra knajpka. Porządne żarcie i tanie.

Cień zjechał na parking. Wysiedli z samochodu. Nie zawracał sobie głowy zamykaniem go, choć schował kluczyki do kieszeni. Wyciągnął kilka monet, by kupić gazetę.

— Stać cię na posiłek? — spytał.

— Tak — odparła, zadzierając brodę. — Mogę za siebie zapłacić.

Cień skinął głową.

— Posłuchaj, mam propozycję. Rzucę monetą — rzekł. — Orzeł, ty stawiasz mi obiad. Reszka, ja stawiam tobie.

— Najpierw pokaż mi monetę — powiedziała podejrzliwie. — Miałam kiedyś wuja, który kupił monetę z dwiema reszkami.

Obejrzała ją i stwierdziła, że ćwierćdolarówka jest zupełnie zwyczajna. Cień umieścił monetę orłem do góry na kciuku i pchnął tak, że zaledwie zakołysała się, nie wirując. Potem chwycił ją i odwrócił na grzbiecie lewej dłoni. Odsłonił prawą przed oczami dziewczyny.

— Reszka — zawołała radośnie. — Ty stawiasz.

— Owszem — odparł. — Nie wszystkie gry da się wygrać.

Cień zamówił klops, Sam lasagnię. Przejrzał gazetę, sprawdzając, czy piszą coś o trupach w pociągu towarowym, ale nie. Jedyny interesujący artykuł znalazł na pierwszej stronie: miasto nawiedziły niespotykanie liczne stada kruków. Miejscowi farmerzy chcieli wieszać martwe ptaki na budynkach publicznych, by odstraszyć pozostałe. Ornitolodzy twierdzili, że to nic nie da, że żywe kruki po prostu pożrą martwe. Miejscowi nie dawali się przekonać. „Kiedy zobaczą trupy swoich przyjaciół" — oznajmił ich rzecznik — „zrozumieją, że ich tu nie chcemy".

Po chwili przyniesiono talerze z porcjami przekraczającymi możliwości przeciętnej osoby.

— Po co zatem jedziesz do Kair? — spytała Sam z pełnymi ustami.

— Nie mam pojęcia. Dostałem wiadomość od szefa, który kazał mi się tam zgłosić.

— Czym się zajmujesz?

— Jestem chłopcem na posyłki.

Uśmiechnęła się.

— Cóż — rzekła. — Z pewnością nie pracujesz dla mafii. Nie przy takim wyglądzie i z takim gównianym samochodem. Czemu w ogóle pachnie w nim bananami?

Wzruszył ramionami, pałaszując jedzenie.

Sam zmrużyła oczy.

— Może jesteś przemytnikiem bananów? Nie spytałeś mnie jeszcze, czym się zajmuję.

— Przypuszczam, że się uczysz.

— Na uniwersytecie w Madison.

— Gdzie bez wątpienia studiujesz historię sztuki, rolę kobiet w społeczeństwie i prawdopodobnie odlewasz własne rzeźby z brązu. Pewnie też dorabiasz w kafejce, by opłacić czynsz.

Odłożyła widelec i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Jej nozdrza rozszerzyły się gwałtownie.

— Skąd to, kurwa, wiesz?

— Co? Teraz powinnaś odpowiedzieć: nie, tak naprawdę studiuję romanistykę i ornitologię.

— Twierdzisz zatem, że po prostu zgadywałeś?

— Ale co?

Patrzyła na niego ciemnymi oczami.

— Dziwny z ciebie facet, panie…

— Mówią mi Cień — rzekł.

Wykrzywiła usta z cierpką miną, jakby skosztowała czegoś, co jej bardzo nie smakowało. Umilkła. Spuściła głowę, skończyła lasagnię.

— Wiesz, czemu nazywają to miejsce Egiptem? — spytał, kiedy Sam skończyła jeść.

— Okolice Kair?

— Tak.

— Leżą w delcie rzek Ohio i Missisipi, tak jak Kair w Egipcie, w delcie Nilu.

— To ma sens.

Wyprostowała się na krześle, zamówiła kawę i ciasto czekoladowe. Rozgarnęła palcami czarne włosy.

— Jesteś żonaty, Cień? — Dostrzegając jego wahanie, dodała: — Właśnie zadałam kolejne niezręczne pytanie, prawda?

— Pogrzebali ją w czwartek — odparł, starannie dobierając słowa. — Zginęła w wypadku.

— O Boże. Chryste, tak mi przykro.

— Mnie też.

Nastąpiła chwila pełnej skrępowania ciszy.

— Moja przyrodnia siostra pod koniec zeszłego roku straciła dziecko, mojego siostrzeńca. Ciężka sprawa.

— Owszem. Jak zginął?

Pociągnęła łyk kawy.

— Nie wiemy. Tak naprawdę nie wiemy, czy w ogóle umarł. Po prostu zniknął. Miał zaledwie trzynaście lat i był środek zimy. Moja siostra kompletnie się załamała.

— Czy zostały jakieś ślady? — Uświadomił sobie, że gada jak gliniarz. Spróbował ponownie: — Podejrzewali jakąś nieczystą grę? —

To zabrzmiało jeszcze gorzej.

— Podejrzewali mojego eksszwagra, jego ojca. To taki dupek, że mógł go porwać. I pewnie to zrobił. Ale mieszkają w małym miasteczku w Północnym Lesie. To urocze, słodkie, śliczne miasteczko, gdzie nikt nie zamyka drzwi. — Westchnęła, patrząc gdzieś nad głową Cienia. Przytrzymała oburącz filiżankę. — Jesteś pewien, że nie masz w sobie indiańskiej krwi?

— Z tego, co mi wiadomo, nie, ale możliwe. Niewiele wiem o moim ojcu. Przypuszczam, że mama powiedziałaby mi, gdyby był Indianinem. Może.

I znów skrzywienie ust. Sam poddała się w połowie kawałka ciasta. Dorównywał on wielkością połówce jej głowy. Podsunęła talerz Cieniowi.

— Masz ochotę?

Uśmiechnął się i odparł:

— Jasne. — Dokończył deser.

Kelnerka wręczyła im rachunek. Cień zapłacił.

— Dzięki — rzuciła Sam.

Robiło się zimno. Wóz zakasłał kilka razy, nim w końcu zapalił. Cień wyjechał na drogę i znów ruszył na południe.

— Czytałaś kiedyś takiego gościa, Herodota?

— Jezu, kogo?

— Herodota. Czytałaś może jego „Historie”?

— Wiesz — odparła rozmarzonym tonem — nie rozumiem cię. Nie rozumiem tego, jak mówisz, słów, których używasz. W jednej chwili jesteś wielkim, tępym osiłkiem, w drugiej czytasz mi w myślach, a w trzeciej mówimy o Herodocie. Nie, nie czytałam Herodota, słyszałam o nim. Może na zajęciach. Czy to nie jego nazywają „ojcem kłamstw”?

— Sądziłem, że raczej diabła.

— Owszem, jego też. Ale wspominali, że Herodot pisał o olbrzymich mrówkach i gryfach strzegących kopalń ze złotem i że wszystko to sobie wymyślał.

— Wątpię. Opisywał to, co mu opowiadano. No wiesz, zapisywał historie, i to całkiem niezłe historie. Mnóstwo dziwacznych szczegółów. Na przykład, wiedziałaś, że w Egipcie, jeśli zmarła wyjątkowo piękna dziewczyna albo żona władcy czy kogoś ważnego, przez trzy dni nie wysyłano jej zwłok do balsamowania? Najpierw pozwalano, by jej ciało zepsuło się od gorąca.

— Czemu? A, chwileczkę, chyba wiem dlaczego. Ohyda.

— Są tam też bitwy. Mnóstwo zwyczajnych szczegółów. No i bogowie. Jakiś facet biegnie, by donieść o wyniku bitwy, biegnie tak, biegnie i biegnie i nagle widzi Pana na polanie, a Pan mówi: „Powiedz, żeby zbudowali mi tu świątynię”. „W porządku” —

odpowiada tamten. Biegnie resztę drogi, opowiada o bitwie, po czym dodaje: „A przy okazji, Pan chce, żebyście zbudowali mu świątynię.” Tak od niechcenia, łapiesz?

— Zatem są tam historie, w których występują bogowie. Co próbujesz mi powiedzieć? Że ci goście mieli halucynacje?

— Nie — odparł Cień. — Bynajmniej.

Przygryzła paznokieć.

— Czytałam kiedyś książkę o mózgu. Moja współlokatorka wciąż wymachiwała mi nią przed nosem. Pisali tam, że pięć tysięcy lat temu półkule mózgu się połączyły. Wcześniej ludzie sądzili, że gdy mówiła im coś prawa półkula, to przemawiał do nich głos boga. To tylko mózg.

— Moja teoria bardziej mi się podoba — zaprotestował Cień.

— A jak brzmi twoja teoria?

— Że w tamtych czasach ludzie od czasu do czasu natykali się na bogów.

— Ach tak. — Cisza. Jedynie skrzypienie metalu, ryk silnika, warkot tłumika, który nie brzmiał zbyt dobrze. I wreszcie: — Sądzisz, że wciąż tam są?

— Gdzie?

— W Grecji, Egipcie, na wyspach. W tamtych miejscach. Myślisz, że gdybyś znalazł się tam, gdzie tamci ludzie, zobaczyłbyś bogów?

— Może. Ale wątpię, czy ludzie zorientowaliby się, co widzą.

— Założę się, że to coś jak z przybyszami z kosmosu — mruknęła. — W dzisiejszych czasach ludzie widują kosmitów, w tamtych widywali bogów. Może kosmici także pochodzą z prawej półkuli mózgu?

— Wsadzanie ludziom sondy do tyłków niezbyt pasuje do bogów. — Cień zaśmiał się. — I raczej osobiście nie zabijali bydła. Ludzie robili to w ich imieniu.

Zachichotała. Kilka minut jechali w milczeniu, w końcu rzekła:

— Hej, to mi przypomina o moim ulubionym micie z kursu religioznawstwa. Chcesz posłuchać?

— Jasne — odparł Cień.

— W porządku. To o Odynie. Nordyckim bogu. No wiesz. Pewien król Wikingów płynął okrętem — oczywiście działo się to w czasach Wikingów. Na morzu złapała go cisza, zatem ludzie oświadczyli, że złożą jednego z siebie w ofierze Odynowi, jeśli tylko Odyn ześle im wiatr i pozwoli dopłynąć do brzegu. W porządku, wiatr się zerwał, wylądowali i na ziemi pociągnęli losy, by ustalić, kto zostanie złożony w ofierze. Padło na króla. Cóż, niespecjalnie zachwycił go ten pomysł, uznali jednak, że mogą go powiesić, nie robiąc mu krzywdy. Wzięli jelita cielaka, zarzucili mu je na szyję, a drugi koniec przywiązali do cienkiej gałęzi. Zamiast włóczni dźgnęli go trzciną mówiąc: „W

porządku, zostałeś powieszony — zawisłeś? — nieważne — zostałeś złożony w ofierze Odynowi".

Droga skręciła. Kolejne miasto (trzystu mieszkańców), dom wicemistrza stanu w łyżwiarstwie szybkim w kategorii do dwunastu lat. Po obu stronach wznosiły się dwa wielkie zakłady pogrzebowe. Ile zakładów trzeba przy trzystu osobach, zastanowił się Cień.

— No dobra. Gdy tylko wymówili imię Odyna, trzcina stała się włócznią i przebiła bok faceta, wnętrzności cielaka zamieniły się w grubą linę, gałązka w konar drzewa, drzewo nagle urosło, ziemia opadła i król zawisł, z raną w boku i poczerniałą twarzą. Koniec historii. Biali ludzie mają popieprzonych bogów, panie Cieniu.

— O tak — odparł Cień. — Ty nie jesteś biała?

— Jestem Cherokee — wyjaśniła.

— Pełnej krwi?

— Nie. Półkrwi. Moja mam była biała, tato to prawdziwy Indianin z rezerwatu. Wyprowadził się, poślubił moją mamę, spłodził mnie, a potem, gdy się rozstali, wrócił do Oklahomy.

— Do rezerwatu?

— Nie. Pożyczył trochę grosza i otworzył kopię Taco Bella nazwaną Taco Bili. Nieźle mu się wiedzie. Nie lubi mnie. Twierdzi, że jestem mieszańcem.

— Przykro mi.

— To fiut. Jestem dumna z mojej indiańskiej krwi. Dzięki niej mogę opłacić szkołę. Może któregoś dnia dostanę też pracę, jeśli nie zdołam sprzedać moich rzeźb.

— Zawsze jest szansa — przytaknął Cień.

Zatrzymał się w El Paso, w stanie Illinois (2 500 mieszkańców), wypuszczając Sam przed obskurnym domem na skraju miasta. Na podjeździe stał wielki druciany renifer, opleciony migającymi lampkami.

— Wejdziesz? — spytała. — Ciotka poczęstuje cię kawą.

— Nie — odparł. — Muszę jechać dalej.

Uśmiechnęła się. Nagle, po raz pierwszy, wydała mu się dziwnie krucha.

Poklepała go po ramieniu.

— Jesteś kompletnie popieprzony, facet. Ale w porządku.

— To się chyba nazywa natura ludzka — odparł Cień. — Dzięki za towarzystwo.

— Nie ma sprawy. Jeśli po drodze do Kairu spotkasz jakichś bogów, pamiętaj, pozdrów ich ode mnie.

Wysiadła z samochodu i podeszła do drzwi domu. Nacisnęła dzwonek i stała tak, nie oglądając się za siebie. Cień odczekał, póki drzwi się nie otwarły i nie zniknęła bezpiecznie w środku. Potem nacisnął pedał gazu i ruszył na autostradę. Przejechał przez Normal,

Bloomington i Lawndale.

O jedenastej wieczór dopadły go dreszcze. Właśnie dotarł do Middletown. Uznał, że musi się przespać, a przynajmniej wyjść zza kierownicy. Zaparkował przed motelem, zapłacił trzydzieści pięć dolarów z góry za pokój na parterze i ruszył do łazienki. Pośrodku wyłożonej płytkami podłogi leżał smutny martwy karaluch. Cień wytarł ręcznikiem wnętrze wanny, potem odkręcił wodę. W pokoju zdjął ubranie i ułożył je na łóżku. Sińce pokrywające tułów były ciemne i bardzo wyraźne. Usiadł w wannie, patrząc, jak zmienia się kolor wody. Potem nagi uprał w umywalce skarpety, slipy i koszulkę. Wykręcił je i rozwiesił na sznurze wyciągniętym ze ściany nad wanną. Karalucha pozostawił na miejscu, z szacunku dla zmarłych.

Wyciągnął się na łóżku. Miał ochotę obejrzeć film dla dorosłych, lecz terminal obok telefonu wymagał karty kredytowej i Cień uznał, że to zbyt ryzykowne. Poza tym oglądanie, jak inni ludzie uprawiają seks, niekoniecznie musiało poprawić mu nastrój. Dla towarzystwa włączył telewizor, nacisnął przycisk sleep na pilocie, co oznaczało, że odbiornik wyłączy się automatycznie za czterdzieści pięć minut. Była za kwadrans północ.

Obrazowi wiele brakowało do krystalicznej ostrości. Kolory falowały na ekranie. Cień przeskakiwał z jednego programu na drugi, nie mogąc się skupić na kolejnych śmieciach z telewizyjnego wysypiska. Ktoś demonstrował coś służącego do czegoś w kuchni i zastępującego tuzin innych utensyliów, z których Cień nie posiadał żadnego. Klik. Mężczyzna w garniturze wyjaśniał, iż nadchodzi koniec świata i że Jezus — z jego wymowy można by sądzić, iż imię to składa się z minimum czterech, pięciu sylab — sprawi że interesy Cienia rozkwitną, jeśli tylko Cień wyśle im pieniądze. Klik. Skończył się odcinek serialu MASH i rozpoczął Dick Van Dyke Show. Cień od lat nie oglądał tego serialu, jednakże w czarno-białym świecie z lat sześćdziesiątych było coś dziwnie pogodnego, odłożył zatem pilota na stolik przy łóżku i zgasił lampę. Oglądał, a jego oczy zamykały się powoli. Czuł jednak, że coś jest nie tak. Nie widział zbyt wielu odcinków serialu Dick Van Dyke Show, nie zdziwiło go zatem odkrycie, iż tego także nie zna. Zaskoczył go natomiast sam wydźwięk odcinka.

Wszyscy główni bohaterowie martwili się piciem Roba, który coraz częściej nie pojawiał się w pracy. Poszli do niego do domu, a on zamknął się w sypialni i musieli przekonywać go, by wyszedł. Był zalany w trupa, lecz wciąż zabawny. Jego przyjaciele, grani przez Maury'ego Amsterdama i Rosę Marie, wyszli po kilku dobrych gagach. A potem, gdy żona Roba pojawiła się, by z nim porozmawiać, on uderzył ją w twarz, mocno. Usiadła na podłodze i zaczęła płakać, nie zawodząc jak Mary Tyler Moore, lecz szlochając cicho, bezradnie,

kuląc się i szepcząc: „Nie bij mnie, proszę, zrobię wszystko, tylko już mnie nie bij”.

— Co to kurwa jest? — spytał głośno Cień.

Obraz rozpłynął się w miliardzie jaskrawych kropek. Gdy znów się ustabilizował, Dick Van Dyke Show zmienił się w Kocham Lucy. Lucy usiłowała przekonać Ricky’ego, by pozwolił jej zastąpić starą chłodziarkę nowiutką lodówką. Kiedy jednak wyszedł, podeszła do kanapy, usiadła, krzyżując kostki i kładąc ręce na kolanach, i patrzyła cierpliwie przed siebie, czarno-biała postać sprzed lat.

— Cień? — powiedziała. — Musimy porozmawiać.

Cień milczał. Lucy otworzyła torebkę, wyjęła papierosa, zapaliła go drogą srebrną zapalniczką, po czym ją odłożyła.

— Do ciebie mówię — rzekła. — I co?

— To wariactwo — mruknął Cień.

— A reszta twojego życia jest normalna? Nie pieprz.

— Nieważne. Lucille Ball przemawiająca do mnie z telewizora jest dziwniejsza o kilka rzędów wielkości niż wszystko, co mnie dotąd spotkało.

— Nie Lucille Ball. Lucy Ricardo. I wiesz co? Tak naprawdę wcale nią nie jestem. To po prostu łatwa postać, zważywszy na kontekst. I tyle.

Lekko poruszyła się na sofie.

— Kim jesteś? — spytał Cień.

— W porządku — rzekła. — To dobre pytanie. Jestem gadającą skrzynką, telewizją. Wszechwidzącym okiem, światem zamkniętym w kineskopie. Szklanym cyckiem. Małą świątynią, przed którą zbierają się rodziny wyznawców.

— Ty jesteś telewizją? Czy raczej kimś w telewizji?

— Telewizor to ołtarz. Ja jestem tą, której ludzie składają ofiary.

— Czyli co?

— Zwykle ich czas — odparła Lucy. — Czasami siebie nawzajem. — Uniosła dwa palce i zdmuchnęła z czubków wyimaginowany dym. Potem mrugnęła komicznie, staroświecko.

— Jesteś boginią? — spytał Cień.

Lucy uśmiechnęła się ironicznie i, niczym dama, zaciągnęła papierosem.

— Można tak powiedzieć.

— Sam kazała cię pozdrowić — mruknął Cień.

— Co takiego? Kim jest Sam? O czym ty mówisz?

Cień zerknął na zegarek. Było dwadzieścia pięć po dwunastej.

— Nieważne. A zatem, Lucy z telewizji, o czym mamy rozmawiać? Zbyt wielu ludzi chciało ostatnio ze mną rozmawiać. Zwykle kończyło się na tym, że ktoś mnie bił.

Zbliżenie. Lucy sprawiała wrażenie zatroskanej. Ściągnęła wargi.

— Nienawidzę tego. Nie podoba mi się, że ktoś robił ci krzywdę, Cień. Ja nigdy bym tego nie zrobiła, złotko. Nie, chcę ci zaproponować pracę.

— To znaczy co?

— Pracę dla mnie. Słyszałam o problemach, jakie miałeś z tamtymi, i podoba mi się, jak sobie poradziłeś. Jesteś skuteczny, sprawny, szybki. Kto by pomyślał, że tyle w sobie kryjesz? Są naprawdę wkurzeni.

— Tak?

— Nie docenili się, słonko. Ja nie popełnię tego błędu. Chcę, żebyś grał w mojej drużynie. — Wstała i ruszyła w stronę kamery. — Spójrz na to w ten sposób, Cień. My jesteśmy przyszłością. Jesteśmy centrami handlowymi — twoi przyjaciele to kiepskie atrakcje turystyczne. Do diabła, my jesteśmy sklepami internetowymi, a tamci siedzą przy drodze, sprzedając z wózka działkowe owoce. Nie, nawet gorzej. To sprzedawcy pejczy, gorsetów na fiszbinach. My jesteśmy teraźniejszością i jutrem. Twoi przyjaciele to już nawet nie wczoraj.

Wszystko to brzmiało dziwnie znajomo.

— Spotkałaś kiedyś grubego dzieciaka w limuzynie? — spytał Cień.

W odpowiedzi rozłożyła ręce i komicznie wywróciła oczami. Zabawna Lucy Ricardo, umywająca ręce w obliczu katastrofy.

— Technochłopca? Spotkałeś technochłopca? To dobry dzieciak, jeden z nas. Po prostu źle się czuje, obcując z ludźmi, których nie zna. Kiedy zaczniesz dla nas pracować, przekonasz się, że jest świetny.

— A jeśli nie zechcę dla was pracować, Kocham Lucy?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi mieszkania Lucy. Cień usłyszał dobiegający zza kulis głos Ricky'ego: „Luuucy? Czemu się tak guzdrzesz? W następnej scenie powinniśmy być w klubie". Komiksowa twarz kobiety skrzywiła się z irytacją.

— Do diabła — mruknęła Lucy. — Posłuchaj, nie wiem, ile płaci ci stary, ale mogę dać dwa razy więcej, trzy razy więcej, sto razy więcej. Cokolwiek dostajesz, mogę to przebić. — Uśmiechnęła się: idealny łobuzerski uśmiech Lucy Ricardo. — Wystarczy tylko powiedzieć, złotko. Czego potrzebujesz? — Zaczęła rozpinać guziki bluzki. — Hej. Chciałeś kiedyś obejrzeć cycki Lucy?

Ekran zgasł. Zadziałała funkcja uśpienia, odbiornik się wyłączył. Cień zerknął na zegarek. Było wpół do pierwszej.

— Raczej nie — powiedział głośno.

Przekręcił się na łóżku i zamknął oczy. Nagle pomyślał, że istnieje prosty powód, dla którego woli Wednesdaya, pana Nancy'ego i resztę, od ich przeciwników: może i byli podstępni, skąpi, a ich żarcie paskudnie smakowało, ale przynajmniej nie wygadywali banałów.

A poza tym wolał atrakcję turystyczną, choćby w najgorszym

stylu, nawet oszukaną czy żałosną, niż jakiekolwiek centrum handlowe.

* * *

Ranek zastał Cienia z powrotem w drodze pośród łagodnych brązowych wzgórz, porośniętych zimową trawą i bezlistnymi drzewami. Resztki śniegu zniknęły. Napełnił bak na stacji benzynowej w miasteczku ojczystym wicemistrzyni stanu w sprintach na trzysta metrów do szesnastego roku życia i, wiedziony nadzieją, że brud nie jest jedyną rzeczą, jaka trzyma wóz w kupie, przejechał przez myjnię. Zdumiało go odkrycie, iż po umyciu — wbrew wszelkim oczekiwaniom — samochód okazał się biały i prawie niepordzewiały.

Niebo było niewiarygodnie błękitne. Biały przemysłowy dym ulatujący z kominów fabryki zastygł na niebie niczym na fotografii. Od martwego drzewa oderwał się jastrząb i śmignął ku niemu. Jego skrzydła poruszały się w promieniach słońca niczym seria szybko puszczonych zdjęć.

W pewnym momencie Cień odkrył, że kieruje się do Wschodniego St. Louis. Próbował ominąć miasto, lecz zamiast tego trafił do dzielnicy czerwonych świateł w parku przemysłowym. Wielkie ciężarówki i osiemnastokołowce stały zaparkowane przed budynkami wyglądającymi jak tymczasowe burdele i obdarzonymi neonami 24 GODZINY — KLUB NOCNY, oraz w jednym przypadku NAJLEPSZY PEAP SHOW W MIEŚCIE. Cień potrząsnął głową i jechał dalej. Laura uwielbiała tańczyć, w ubraniu bądź nago (w kilka pamiętnych wieczorów zademonstrowała przechodzenie od jednego stanu do drugiego), a on uwielbiał ją oglądać.

Na lunch zjadł kanapkę i wypił puszkę coli w miasteczku zwanym Red Bud.

Minął dolinę z wrakami tysięcy żółtych spychaczy, traktorów i ciągników. Zastanawiał się, czy to cmentarzysko buldożerów, miejsce, do którego odchodzą, by umrzeć.

Minął knajpkę pod parasolami. Przejechał przez Chester (ojczyste miasto Popeye'a). Zauważył, że domom zaczęły wyrastać z przodu kolumny, nawet najskromniejszy najmniejszy domek miał własne białe kolumny, które dodawały mu powagi w oczach obcych, sprawiały, że stawał się dworem. Przejechał przez wielką, mulistą rzekę i wybuchnął głośnym śmiechem, gdy ujrzał jej nazwę — według drogowskazu nazywała się Wielka Mulistą Rzeka. Ujrzał grubą warstwę brązowego kudzu na zimowych martwych drzewach

przyjmujących niezwykłe, niemal ludzkie pozy: może to wiedźmy, trzy stare wiedźmy, gotowe odczytać przyszłość.

Jechał wzdłuż Missisipi. Cień nigdy nie widział Nilu, lecz oślepiające popołudniowe słońce odbijające się blaskiem na wodach brązowej rzeki skojarzyło mu się z zabłoconym majestatem Nilu: nie tego, jakim jest obecnie, lecz Nilu sprzed bardzo, bardzo dawna, płynącego niczym naczynie krwionośne pośród papirusowych moczarów ojczyzny kobry, szakala i dzikich krów…

Drogowskaz wskazywał drogę do Teb.

Zbudowano ją na trzymetrowym nasypie, toteż Cień jechał ponad mokradłami. W powietrzu krążyły stadka ptaków, skupiska czarnych kropek na tle niebieskiego nieba, wykonujące rozpaczliwe ruchy Browna.

Późnym popołudniem słońce zniżyło się nad horyzontem, złocąc świat elfim blaskiem, ciepłym, żółtym światłem, które sprawia, że wszystko staje się jednocześnie bajkowe i bardziej niż rzeczywiste. I właśnie w owym świetle Cień minął tablicę informującą, że Wjeżdża do Historycznego Kairu. Przejechał pod mostem i znalazł się w niewielkim porcie. Imponujące budynki sądu i jeszcze większych biur celnych w złocistym, miodowym świetle końca dnia wyglądały niczym olbrzymie, świeżo upieczone baby.

Zaparkował w bocznej uliczce i piechotą ruszył na nabrzeże. Sam nie wiedział, czy ma przed sobą Ohio, czy Mississipi. Niewielki brązowy kot buszował wśród kubłów z tyłu budynku. Światło sprawiało, że nawet śmietnik wydawał się magicznym miejscem.

Samotna mewa szybowała nad rzeką, poruszając jednym skrzydłem, by utrzymać kierunek.

Nagle uświadomił sobie, że nie jest sam. Trzy metry obok niego na chodniku stała dziewczynka w starych tenisówkach i szarym, męskim, wełnianym swetrze, zastępującym sukienkę. Przyglądała mu się ze śmiertelną powagą właściwą sześciolatkom. Włosy miała czarne, proste i długie, skórę brązową jak rzeka.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

Z nabrzeża dobiegł go pisk i wrzask. Mały, brązowy kot wyprysnął z wywróconego kubła, ścigany przez czarnego psa o długim pysku. Kot ukrył się pod samochodem.

— Hej — rzucił Cień do dziewczynki — widziałaś już kiedyś proszek niewidzialności?

Zawahała się, po czym pokręciła głową.

— Dobra — rzekła Cień. — No to patrz.

Wziął w lewą rękę ćwierćdolarówkę, uniósł ją, przechylił z boku na bok, po czym udał, że przerzuca do drugiej dłoni, mocno zaciskając palce i wysuwając ją naprzód.

— A teraz — oznajmił — wyjmę z kieszeni proszek niewidzialności… — Sięgnął lewą ręką do kieszeni na piersi i ukrył w niej monetę. — Nasypię go do ręki z pieniążkiem — udał, że to robi — i spójrz, moneta także zniknęła. — Otworzył pustą dłoń i po sekundzie dołączył do niej lewą.

Dziewczynka patrzyła bez słowa.

Cień wzruszył ramionami, wsunął ręce do kieszeni. Do jednej wziął ćwierćdolarówkę, do drugiej złożony pięciodolarowy banknot. Zamierzał udać, że wyciąga je z powietrza, a potem dać banknot dziewczynce. Wyglądała, jakby potrzebowała pieniędzy.

— Hej, hej — mruknął — mamy widownię.

Czarny pies i mały, brązowy kot obserwowały go uważnie, siedząc po obu stronach dziewczynki. Pies nadstawił wielkich uszu, co sprawiało, że wyglądał czujnie i komicznie. Wysoki jak żuraw mężczyzna w okularach o złotych oprawach zbliżał się chodnikiem, rozglądając się z boku na bok, jakby czegoś szukał. Może to właściciel psa — pomyślał przelotnie Cień.

— I co ty na to? — spytał zwierzęcia, próbując oswoić dziewczynkę. — Niezły numer, co?

Czarny pies oblizał długi pysk, a potem rzekł głębokim, suchym głosem:

— Kiedyś widziałem Harry'ego Houdini i wierz mi, stary, ty nim nie jesteś.

Dziewczynka spojrzała na zwierzęta, potem na Cienia, a potem uciekła, donośnie tupiąc na chodniku, jakby ścigały ją wszystkie ogary piekieł. Zwierzęta odprowadziły ją wzrokiem. Wysoki, chudy mężczyzna stanął obok psa, pochylił się i podrapał go po sterczących uszach.

— Daj spokój — rzekł. — To tylko sztuczka z monetami, nie żadne podwodne ucieczki.

— Jeszcze nie — odparł pies. — Ale daj mu czas.

Złociste światło przygasło, zastąpione szarością zmierzchu.

Cień zostawił w kieszeniach monetę i banknot.

— No dobra — rzekł. — Który z was to Szakal?

— Użyj oczu — warknął czarny pies o długim pysku. Ruszył chodnikiem u boku mężczyzny w złotych okularach. Po chwili wahania Cień podążył ich śladem. Kot gdzieś zniknął. Wkrótce dotarli do dużego, starego budynku stojącego pośród opuszczonych domów. Napis przy drzwiach głosił: IBIS I JACQUEL. FIRMA RODZINNA. ZAKŁAD POGRZEBOWY ZAŁ. 1863.

— Ja jestem pan Ibis — oznajmił mężczyzna w okularach w złotych oprawach. — Może kupię ci coś do zjedzenia. Obawiam się, że mój przyjaciel ma jeszcze trochę zajęć.

Nowy Jork przeraża Salima, który w obronnym geście ściska swą teczkę z próbkami, obiema rękami tuląc ją do piersi. Boi się Czarnych, tego jak na niego patrzą. Boi się też Żydów — tych odzianych w czerń, w kapeluszach, z brodami i pejsami potrafi przynajmniej rozpoznać. Ilu innych nie? Boi się tutejszych tłumów, wszelkich postaci i rozmiarów, wysypujących się z wysokich, jakże wysokich brudnych budynków na chodniki. Boi się chaosu ulicznego, a jeszcze bardziej boi się powietrza pachnącego brudem i słodyczą, zupełnie niepodobnego do powietrza w jego ojczystym Omanie.

Salim przebywa w Nowym Jorku od tygodnia. Co dzień odwiedza dwa, może trzy biura, otwiera walizeczkę, pokazuje miedziane drobiazgi: pierścionki i butelki, maleńkie latarki, modele Empire State Building, Statui Wolności, Wieży Eiffela, wszystkie połyskujące miedzianym blaskiem; każdego wieczoru pisze faksy do szwagra, Fuada, czekającego w Muskacie, informując, że nie dostał żadnych zamówień — albo, pewnego szczęśliwego dnia, że znalazł kilku klientów (choć, czego jest boleśnie świadom, nie wystarczy to nawet na opłacenie kosztów przelotu i hotelu).

Z powodów, których Salim nie potrafi pojąć, wspólnicy jego szwagra zarezerwowali mu pokój w hotelu Paramount na 46 Ulicy. To dziwne, kosztowne, budzące klaustrofobię, obce miejsce.

Fuad jest mężem siostry Salima. Niezbyt bogatym. Ma jednak niewielką wytwórnię pamiątek. Produkuje wyłącznie na eksport do innych krajów arabskich, Europy, Ameryki. Salim pracuje dla niego od sześciu miesięcy. Fuad budzi w nim lęk. Ton jego faksów staje się coraz mniej przyjemny. Wieczorami Salim siedzi w pokoju hotelowym, czytając Koran i wmawiając sobie, że to minie, że jego pobyt w tym dziwnym świecie wkrótce dobiegnie końca.

Szwagier dał mu tysiąc dolarów na najróżniejsze wydatki, i pieniądze, które wówczas zdawały się ogromną sumą, rozchodzą się szybciej, niż Salim potrafiłby uwierzyć. Gdy zjawił się tu po raz pierwszy, lękając się, że uznają go za skąpego Araba, wręczał wszystkim napiwki, rozdając na prawo i lewo dolarowe banknoty. Potem uznał, że ludzie go wykorzystują, może nawet śmieją się za plecami, toteż w ogóle zrezygnował z napiwków.

Podczas swej pierwszej i jedynej przejażdżki metrem zgubił się, zabłądził i spóźnił na spotkanie. Teraz, jeśli musi, zamawia taksówkę. Zwykle chodzi piechotą. Z policzkami zdrętwiałymi od zimna wpada do przegrzanych biur, pocąc się pod grubym płaszczem, w przemoczonych butach. A kiedy alejami (wiodącymi z północy na południe, podczas gdy ulice biegną z zachodu na wschód; to takie

proste i Salim zawsze wie, w którą stronę się ustawić, by stanąć twarzą do Mekki) wieje wiatr, Salim czuje na odsłoniętej skórze zimno tak mocne, że przypomina ból po uderzeniu.

Nigdy nie jada w hotelu (partnerzy biznesowi Fuada opłacają mu noclegi; za posiłki musiałby płacić sam). Zamiast tego kupuje dania na wynos w arabskich barach i małych sklepikach, przemycając je do hotelu pod płaszczem. Dopiero po kilku dniach uświadamia sobie, że nikogo to nie obchodzi, lecz nawet wtedy czuje się dziwnie, taszcząc pełne jedzenia torby do pogrążonej w półmroku windy (Salim zawsze musi schylić się i zmrużyć oczy, by odnaleźć właściwy przycisk) i do małego białego pokoju, w którym się zatrzymał.

Salim się martwi. Czekający dziś na niego faks był krótki i jednocześnie surowy, zimny i pełen wyrzutu, że zawiódł ich wszystkich — siostrę, Fuada, jego wspólników, Sułtanat Omanu, cały, świat arabski. Jeśli nie zdoła zdobyć zamówień, Fuad przestanie czuć się zobowiązany dalej go zatrudniać. Polegają na nim. Jego hotel zbyt wiele kosztuje. Co właściwie robi z pieniędzmi? Żyje w Ameryce jak sułtan? Salim przeczytał faks w swym pokoju (zawsze panowała w nim duchota i upał, toteż zeszłej nocy otworzył okno i teraz było stanowczo za zimno), po czym siedział tam dłuższy czas z twarzą wykrzywioną rozpaczą.

Teraz maszeruje ulicą w centrum, tuląc do siebie walizeczkę, jakby przechowywał w niej brylanty i rubiny. Drepcząc na mrozie, pokonuje kolejne przecznice. W końcu, na skrzyżowaniu Broadwayu i 19 Ulicy, znajduje przysadzisty budynek przy delikatesach. Po schodach wdrapuje się na trzecie piętro do biur Pan-globalu.

Biuro wygląda raczej nędznie. Salim jednak wie, że przez Pan-global przechodzi ponad połowa ozdób, sprowadzanych z Dalekiego Wschodu. Prawdziwe duże zamówienie z Panglobalu nadałoby sens wyprawie Salima, porażkę zmieniłoby w sukces, toteż Salim siedzi na niewygodnym drewnianym krześle w poczekalni, z walizeczką na kolanach, i obserwuje kobietę w średnim wieku o farbowanych, jaskrawoczerwonych włosach. Kobieta za biurkiem co chwila wydmuchuje nos w kolejną chusteczkę, wyciera go i wyrzuca chustkę do śmieci.

Salim dociera na miejsce o wpół do jedenastej — pół godziny przed umówionym spotkaniem. Czeka zarumieniony i drżący, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ma gorączki. Minuty mijają powoli.

Salim patrzy na zegarek. Odchrząkuje. Kobieta zza biurka posyła mu wrogie spojrzenie.

— Tak? — mówi. Brzmi to jak „tag".

— Jest jedenasta trzydzieści pięć — mówi Salim.

Kobieta zerka na zegar na ścianie.

— Tag — odpowiada. — Owrzem.

— Byłem umówiony na jedenastą. — Salim uśmiecha się przymilnie.

— Pan Blanding wie, że pan tu jest — informuje go z wyrzutem sekretarka (Pad Bladig wie, że bań du jezd).

Salim bierze ze stołu stary numer „New York Post". Mówi po angielsku lepiej niż czyta, toteż powoli przebija się przez artykuły, jakby rozwiązywał krzyżówkę. Czeka — pulchny, młody mężczyzna o oczach zranionego szczeniaka, bez przerwy wodząc wzrokiem od zegarka do gazety, po zegar na ścianie.

O dwunastej trzydzieści z gabinetu wychodzi kilku mężczyzn. Rozmawiają ze sobą głośno, przekomarzając się po amerykańsku. Jeden z nich, rosły człowiek o wielkim brzuchu, trzyma w ustach nie zapalone cygaro. Wychodząc, przez moment patrzy na Salima. Mówi kobiecie za biurkiem, żeby spróbowała soku z cytryny i cynku. Jego siostra zawsze stosuje cynk i witaminę C. Kobieta obiecuje, że to zrobi. Wręcza mu plik kopert, mężczyzna wsuwa je do kieszeni, po czym wraz z resztą osób wychodzi do holu. Ich głosy cichną w głębi klatki schodowej.

Jest pierwsza. Kobieta za biurkiem otwiera szufladę i wyjmuje brązową papierową torbę, z której wyciąga kilka kanapek, jabłko i balonik Milky Way, a także małą plastikową butelkę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

— Przepraszam — mówi Salim. — Czy mogłaby pani zadzwonić do pana Blandinga i przypomnieć, że wciąż czekam?

Kobieta patrzy na niego ze zdumieniem, zupełnie jakby od dwóch i pół godziny nie siedział dwa kroki od niej.

— Wyszedł na lunch — mówi (Wyżedł na laddż).

W tym momencie Salim pojmuje nagle, że Blanding to mężczyzna z cygarem.

— A kiedy wróci?

Sekretarka wzrusza ramionami. Gryzie kanapkę.

— Przez resztę dnia ma spotkania. (Brzez reżte dnia ma zpod — gania).

— Czy przyjmie mnie, kiedy wróci? — pyta Salim.

Kobieta wydmuchuje nos.

Salim czuje coraz większy głód. Jest sfrustrowany i kompletnie bezsilny.

O trzeciej kobieta podnosi wzrok i mówi:

— On nie wrodzi.

— Słucham?

— Bań Blading. Już dziż nie wrodzi.

— Czy mogłaby pani umówić mnie na jutro?

Sekretarka wyciera nos.

— Muzi bań zadelewonować. Umawiaby tylgo brzez delewon.

— Rozumiem — mówi Salim, a potem uśmiecha się szeroko. Przed wyjazdem z Muscatu Fuad powtarzał mu wielokrotnie, że sprzedawca w Ameryce jest bezbronny bez swego uśmiechu. — Jutro zatelefonuje.

Bierze walizeczkę i schodzi po wielu stopniach na ulicę. Zamarzający deszcz powoli zmienia się w śnieg. Salim rozmyśla o długiej, zimnej wędrówce na 46 Ulicę, o wadze walizeczki. W końcu staje na krawężniku, machając ręką na kolejne żółte taksówki, nie zważając na to, czy ich kogut się pali, czy nie. Każda z nich mija go, nie zwalniając.

Jedna nawet przyspiesza; koło zanurza się w pełnej wody dziurze, obryzgując spodnie i płaszcz Salima lodowatym błotem. Przez moment Salim zastanawia się, czy nie rzucić się pod jeden z samochodów. Potem jednak uświadamia sobie, że szwagier bardziej przejąłby się losem walizeczki z próbkami niż jego samego i że żałowałaby go wyłącznie ukochana siostra, żona Fua-da. (Salim zawsze stanowił powód do wstydu dla rodziców, a jego romanse z konieczności bywały krótkie i anonimowe). Wątpił też, by któryś z samochodów jechał dość szybko, by pozbawić go życia.

Poobijana żółta taksówka zatrzymuje się tuż obok. Ciesząc się, że może pomyśleć o czymś innym, Salim do niej wsiada.

Siedzenie posklejano kawałkami szarej taśmy klejącej, uchyloną przesłonę z pleksiglasu pokrywają karteczki z prośbą o nie-palenie i informujące, ile kosztuje kurs na różne lotniska. Głos z taśmy, należący do kogoś słynnego, o kim Salim nigdy nie słyszał, przypomina o zapięciu pasów.

— Poproszę do hotelu Paramount — mówi Salim.

Kierowca odchrząkuje i włącza się w ruch. Jest nieogolony. Ma na sobie gruby sweter barwy kurzu, a na nosie czarne okulary przeciwsłoneczne. Na zewnątrz zapada szary zmierzch. Salim zastanawia się, czy kierowca ma jakieś problemy z oczami. Wycieraczki rozmazują błoto na szybie, zmieniając świat zewnętrzny w plamy szarości i smugi świateł.

Nagle znikąd pojawia się ciężarówka i kierowca klnie na brodę Proroka. Salim szuka wzrokiem nazwiska na tablicy rozdzielczej. Za swego miejsca nie dostrzega go jednak.

— Od dawna prowadzisz taksówkę, przyjacielu? — pyta w swym ojczystym języku.

— Dziesięć lat — odpowiada kierowca w tej samej mowie. — Skąd pochodzisz?

— Z Muscatu — mówi Salim. — W Omanie.

— Z Omanu. Byłem kiedyś w Omanie. Bardzo dawno temu. Słyszałeś o mieście Ubar? — pyta taksówkarz.

— Owszem — mówi Salim. — Zaginione Miasto Wież. Odkryli je na pustyni jakieś dziesięć lat temu. Uczestniczyłeś w ekspedycji, która je wykopała?

— Coś w tym stylu. To było niezłe miasto — mówi taksówkarz. — Przez większość nocy obozowały tam trzy, może cztery tysiące ludzi. Każdy podróżny odpoczywał w Ubarze, rozbrzmiewała muzyka, wino lało się jak woda, a woda spływała ze studni, dzięki której powstało miasto.

— Tak właśnie słyszałem. Zostało zniszczone, ile, tysiąc lat temu? Dwa tysiące?

Taksówkarz milczy. Przystają na czerwonym świetle. Światło zmienia się na zielone, lecz kierowca nie reaguje, puszczając mimo uszu natychmiastowy fałszywy chór klaksonów. Salim z wahaniem sięga przez otwór w pleksiglasowej przesłonie i dotyka ramienia taksówkarza. Głowa tamtego unosi się nagle, stopa przyciska pedał gazu. Ruszają przez skrzyżowanie.

— Kurwakurwakurwa — mówi po angielsku szofer.

— Musisz być bardzo zmęczony, przyjacielu — zauważa od niechcenia Salim.

— Od trzydziestu godzin siedzę za kierownicą tej zapomnianej przez Allacha taksówki. To zbyt wiele. Przedtem spałem pięć godzin, a wcześniej jeździłem czternaście. Przed świętami brak nam ludzi do pracy.

— Mam nadzieję, że dużo zarobiłeś.

Kierowca wzdycha.

— Niewiele. Dziś rano zawiozłem gościa z Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy na lotnisko Newark. Tam uciekł i nie zdołałem go złapać. Straciłem pięćdziesiąt dolarów i musiałem sam zapłacić za przejazd w drodze powrotnej.

Salim kiwa głową.

— Ja spędziłem cały dzień, czekając na spotkanie z człowiekiem, który nie chciał mnie widzieć. Mój szwagier mnie nienawidzi. Od tygodnia siedzę w Ameryce i jak dotąd wyłącznie wydaje pieniądze. Niczego nie sprzedałem.

— A co sprzedajesz?

— Śmieci — mówi Salim. — Bezwartościowe koszmarki, bibelo — ty, pamiątki turystyczne. Paskudne, tanie, bezsensowne śmieci.

Taksówkarz przekręca gwałtownie kierownicę w prawo, wymija coś i jedzie dalej. Salim zastanawia się, jakim cudem tamten coś widzi — w nocy, w deszczu, przez ciemne okulary.

— Próbujesz sprzedawać śmieci?

— Tak — mówi Salim, zachwycony i przerażony tym, że wyznał komuś prawdę o próbkach towarów szwagra.

— A oni nie chcą kupić?

— Nie.

— Dziwne. Wystarczy zajrzeć do ich sklepów. Tylko to sprzedają.

Salim uśmiecha się nerwowo.

Drogę przed nimi blokuje ciężarówka. Policjant o czerwonej twarzy wymachuje rękami, wskazując najbliższą uliczkę.

— Przejedziemy do Ósmej Alei i tamtędy dotrzemy do centrum — mówi taksówkarz.

Skręcają w kompletnie zakorkowaną ulicę. Słychać wyłącznie kakofonię klaksonów. Samochody tkwią bez ruchu.

Kierowca kołysze się w fotelu, podbródek opada mu na piersi — raz, drugi, trzeci. Potem zaczyna cicho chrapać. Salim wyciąga rękę, by go obudzić, z nadzieją, że postępuje słusznie. W momencie, gdy potrząsa go za ramię, kierowca porusza się i dłoń Salima muska jego twarz, zrzucając na kolana okulary.

Taksówkarz otwiera oczy, sięga po okulary z czarnego plastiku i zakłada je. Za późno jednak. Salim zdążył już zobaczyć jego oczy.

Samochód wlecze się powoli. Suma na liczniku powiększa się z każdą chwilą.

— Zabijesz mnie? — pyta Salim.

Taksówkarz zaciska wargi. Salim obserwuje jego twarz w lusterku.

— Nie — odpowiada cicho kierowca.

Wóz znów się zatrzymuje. Deszcz bębni o dach.

— Moja babcia — zaczyna Salim — przysięgała, że któregoś wieczoru spotkała na skraju pustyni ifryta, czy może marida. Mówiliśmy, że to tylko burza piaskowa, powiew wiatru, ale ona upierała się, że nie, widziała jego twarz i jego oczy, jak twoje, oczy pełne płomieni.

Kierowca uśmiecha się, lecz czarne plastikowe szkła kryją jego źrenice i Salim nie potrafi orzec, czy uśmiech ów wyraża rozbawienie.

— Babcie także tu przybywały — mówi.

— Czy w Nowym Jorku jest wiele dżinnów? — pyta Salim.

— Nie. Nie ma nas wielu.

— Istnieją aniołowie i ludzie, których Allach stworzył z błota, a także lud ognisty, dżinny — mówi Salim.

— Tutejsi nie mają o nas pojęcia. Myślą, że spełniamy życzenia. Gdybym potrafił spełniać życzenia, siedziałbym za kierownicą?

— Nie rozumiem.

Twarz taksówkarza pochmurnieje. Salim obserwuje go w lusterku, nie spuszczając wzroku z ciemnych warg ifryta.

— Wierzą, że spełniamy życzenia. Skąd im się to wzięło? Sypiam w cuchnącym pokoiku w Brooklynie, prowadzę taksówkę, wożąc każdego dziwaka, byle tylko miał pieniądze, i wielu ich

pozbawionych. Wożę ich tam gdzie zechcą. Czasami dają mi napiwki, czasami płacą. — Jego dolna warga zadrżała. Ifryt najwyraźniej był bliski załamania. — Kiedyś jeden z nich nasrał mi na siedzenie. Nim oddałem taksówkę, musiałem posprzątać. Ale czemu? Musiałem sprzątnąć z siedzenia mokrą kupę. Czy tak powinno być?

Salim wyciąga rękę, klepie ifryta po ramieniu. Pod wełnianym swetrem czuje zwykłe materialne ciało. Ifryt odrywa rękę od kierownicy i przez moment trzyma ją na dłoni Salima.

W tym momencie Salim myśli o pustyni. Gwałtowny suchy wiatr unosi w jego umyśle kłęby czerwonego piasku. Szkarłatny jedwab namiotów zaginionego miasta Ubar łopocze i wydyma się w jego myślach.

Jadą Ósmą Aleją.

— Starzy ludzie wierzą. Nie sikają do dziur, bo Prorok powiedział, że w dziurach żyją dżinny. Wiedzą, że jeśli próbujemy podsłuchać anioły, te rzucają w nas płonącymi gwiazdami. Lecz nawet dla nich, gdy przybywają do tego kraju, jesteśmy bardzo, bardzo odlegli. W naszym kraju nie musiałem jeździć taksówką.

— Przykro mi — mówi Salim.

— To złe czasy — wzdycha kierowca. — Nadciąga burza. Ona mnie przeraża. Oddałbym wszystko, byle móc stąd uciec.

Przez resztę drogi do hotelu żaden z nich nie odzywa się ani słowem.

Kiedy Salim wysiada, wręcza ifrytowi banknot dwudziestodolarowy, mówiąc, by zatrzymał resztę. A potem, w nagłym przypływie odwagi, podaje mu swój numer pokoju. Taksówkarz nie odpowiada. Młoda kobieta otwiera drzwi, wsiada i samochód znika w chłodnym deszczu.

Szósta wieczór. Sałim nie napisał jeszcze faksu do szwagra. Wychodzi na dwór, kupuje sobie kebab i frytki. Choć jest tu dopiero tydzień, ma wrażenie, że staje się cięższy, miększy, krąglejszy, w tym kraju zwanym Nowym Jorkiem.

Kiedy wraca do hotelu, ze zdumieniem dostrzega taksówkarza stojącego z-rękami w kieszeniach w holu. Mężczyzna ogląda kolekcję czarno-białych pocztówek. Na widok Salima uśmiecha się nieśmiało.

— Dzwoniłem do pokoju — mówi — ale nikt nie odpowiedział. Pomyślałem zatem, że poczekam.

Salim także się uśmiecha i muska jego ramię.

— Jestem — mówi.

Razem wchodzą do mrocznej, skąpanej w zielonym blasku windy. Wjeżdżają na czwarte piętro, trzymając się za ręce. Ifryt pyta, czy może skorzystać z łazienki Salima.

— Czuję się bardzo brudny — mówi.

Salim kiwa głową. Siada na łóżku zajmującym większą część

niewielkiego białego pokoju i słucha szumu wody z prysznica. Powoli zdejmuje buty, skarpetki i resztę ubrania.

Taksówkarz wychodzi z łazienki mokry, przepasany ręcznikiem. Nie ma okularów; w półmroku jego oczy płoną szkarłatnym ogniem.

Salim mruga gwałtownie, powstrzymując łzy.

— Chciałbym, abyś mógł zobaczyć to, co widzę.

— Nie potrafię spełniać życzeń — szepcze ifryt odrzucając ręcznik i łagodnie, lecz nieustępliwie popychając Salima na łóżko.

Dopiero po godzinie ifryt dochodzi, wnikając przy tym głęboko w usta Salima. Salim przeżył już dwa orgazmy. Nasienie dżin-na smakuje dziwnie ogniście, pali go w gardło.

Salim idzie do łazienki, przepłukuje usta. Kiedy wraca do sypialni, taksówkarz już śpi na białym łóżku, pochrapując łagodnie. Salim kładzie się obok niego, przytula do ifryta i wyobraża sobie, że jego skóry dotyka pustynia.

Kiedy już osuwa się w sen, ogarniają go wyrzuty sumienia. Zapomniał napisać faks do Fuada. Gdzieś w głębi czuje się pusty i samotny. Sięga w dół, kładzie dłoń na nabrzmiałym penisie ifryta i pocieszony zasypia.

Obaj budzą się nad ranem, zbliżają do siebie i ponownie kochają. W pewnym momencie Salim uświadamia sobie nagle, że płacze, a ifryt płonącymi wargami scałowuje jego łzy.

— Jak masz na imię? — pyta Salim.

— Na prawie jazdy wypisano imię, ale nie należy ono do mnie — odpowiada ifryt.

Potem Salim nie potrafił sobie przypomnieć, w którym miejscu ustał seks, a zaczęły się sny. Gdy budzi go zimny blask słońca wpadający przez okno do pokoju, Salim jest sam.

Odkrywa natychmiast, że walizeczka z próbkami zniknęła, podobnie wszystkie butelki, pierścienie i pamiątkowe miedziane latarki. A także walizka, portfel, paszport i bilet lotniczy do Omanu.

Na podłodze znajduje dżinsy, podkoszulek i wełniany sweter barwy kurzu. Pod nimi leży prawo jazdy na nazwisko Ibrahim bin Irem, licencja taksówkarza na to samo nazwisko i kółko z kluczami. Na kawałku papieru przyczepionego do kluczy wypisano po angielsku adres. Zdjęcie w prawie jazdy niezbyt przypomina Salima, ale też to samo można było powiedzieć o ifrycie.

Dzwoni telefon. To ktoś z recepcji informuje, że Salim już się wymeldował i jego gość musi niedługo wyjść, by sprzątaczki mogły uprzątnąć pokój i przygotować go dla następnego klienta!

— Nie spełniam życzeń — mówi Salim, smakując każde słowo.

Ubierając się, czuje w sercu dziwną lekkość.

Topografia Nowego Jorku jest bardzo prosta. Aleje biegną z północy na południe, ulice z zachodu na wschód. To nie może być

trudne, myśli.

Podrzuca kluczyki i chwyta je. A potem zakłada znalezione w kieszeni czarne plastikowe okulary i wychodzi z pokoju poszukać swej taksówki.

ROZDZIAŁ VIII

Rzeki mi, że zmarli mieli dusze,
lecz kiedy spytałem:
— Jak to możliwe — sądziłem,
że zmarli to duchy —
On wyrwał mnie z zadumy.
Podejrzane, prawda?
Czyż martwi nie skrywają
czegoś przed żywymi?
Tak, martwi coś stale skrywają
przed żywymi.

— Robert Frost „Dwie wiedźmy”

Przy obiedzie Cień dowiedział się, że tydzień przed świętami to spokojny okres w zakładzie pogrzebowym. Siedzieli w małej restauracyjce dwie przecznice od zakładu pogrzebowego Ibisa i Jacquela. Cień zamówił sobie całodobowe śniadanie — łącznie z placuszkami. Pan Ibis rozdziobywał widelcem kawałek ciasta kawowego.

— Przewlekle chorzy — wyjaśnił — chcą przeżyć jeszcze jedne święta, może nawet Nowy Rok. Inni, w których radość i świętowanie ludzi budzą wyłącznie ból, nie ugięli się jeszcze pod ciężarem ostatniego seansu „Cudownego życia”, nie popadli w objęcia choinkowej śmierci, nie wypili ostatniej kropli z kielicha wigilijnej goryczy. — Mówiąc to, prychnął cicho, ni to pogodnie, ni to ironicznie, zupełnie jakby powtórzył starannie obmyślany tekst, z którego jest szczególnie dumny.

Ibis i Jaquel prowadzili niewielki rodzinny dom pogrzebowy. „Jeden z nielicznych, ostatnich całkowicie niezależnych zakładów w okolicy” powtarzał często pan Ibis.

— W większości dziedzin ludzie cenią sobie ogólnonarodowe marki — rzekł łagodnie i szczerze niczym profesor z college’u, którego Cień pamiętał z Farmy Mięśni. Tamten nie potrafił po prostu rozmawiać. Umiał jedynie wywodzić, rozwijać, wyjaśniać. Już po kilku minutach znajomości z panem Ibisem Cień uznał, że jego rola w rozmowach z szefem zakładu pogrzebowego winna ograniczać się do jak najkrótszych tekstów. — To chyba dlatego, że ludzie wolą z góry wiedzieć, co ich czeka. Stąd sukces McDonalda, Wal-Marta, F.W.

Woolwortha (świętej pamięci), widocznych w każdym zakątku kraju. Dokądkolwiek się udasz, zawsze znajdzie coś, co poza drobnymi, regionalnymi zmianami jest dokładnie takie samo.

— Jeśli natomiast chodzi o zakłady pogrzebowe, sytuacja wygląda siłą rzeczy inaczej. Trzeba nawiązać osobistą, bliską więź z klientem i musi to zrobić ktoś, kto ma po temu zdolności. W chwili straty ludzie pragną, by ktoś zajął się nimi i ich bliskimi. Chcą mieć pewność, że opłakuje się ich na skalę miejscową, nie ogólnokrajową. Lecz we wszystkich gałęziach przemysłu — a śmierć to przemysł, mój młody przyjacielu, nie myśl, że nie — więcej zarabia się na operacjach hurtowych, zakupach na dużą skalę, centralizacji. Tak po prostu jest. Problem w tym, że nikt nie chciałby, żeby ich zmarli bliscy byli przewożeni w ciężarówce — chłodni do wielkiego, starego magazynu, w którym jednocześnie przebywa dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto trupów. O, nie. Ludzie chcą wierzyć, że wszystko odbędzie się tak jak w rodzinie, że zostaną potraktowani z szacunkiem przez każdego, kogo spotykają na ulicy.

Pan Ibis nosił kapelusz: spokojny brązowy kapelusz, pasujący do spokojnego brązowego swetra i spokojnej brązowej twarzy; na nosie miał niewielkie okulary w złotej oprawie. W pamięci Cienia pan Ibis zapisał się jako mężczyzna drobnego wzrostu, kiedy jednak stawał obok niego, raz po raz odkrywał, iż w istocie tamten ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt i po prostu się garbi. Teraz, siedząc naprzeciwko niego, po drugiej stronie lśniącego, czerwonego stołu, Cień obserwował uważnie twarz rozmówcy.

— Kiedy zatem na rynek wkraczają wielkie firmy, wykupują nazwy mniejszych, płacą ich szefom, by dalej dla nich pracowali, tworzą złudzenie różnorodności. To jednak tylko czubek kamienia nagrobnego. W istocie są równie miejscowi, jak Burger King. My natomiast, z naszych własnych powodów, jesteśmy naprawdę niezależni. Sami zajmujemy się balsamowaniem i jesteśmy w tym najlepsi, choć tylko my o tym wiemy. Nie zajmujemy się natomiast kremacją. Zarobilibyśmy więcej, gdybyśmy mieli własne krematorium, ale jest to niezgodne z naszymi zasadami. Mój wspólnik często powtarza: skoro Pan dał nam talent czy zdolności, mamy obowiązek jak najlepiej je wykorzystywać. Zgadzasz się?

— Brzmi rozsądnie — odparł Cień.

— Pan dał mojemu wspólnikowi władzę nad światem umarłych, a mnie talent do słów. Słowa to coś wspaniałego. Spisuję opowieści. To nie żadna wielka literatura. Robię to dla zabawy. Ludzie żywoty — urwał. Nim Cień zorientował się, że powinien spytać, czy mógłby zapoznać się z którąś z nich, właściwa chwila minęła. — Zapewniamy ludziom poczucie ciągłości: od prawie dwustu lat Ibis i Jaquel doglądają zmarłych. Nie zawsze kierowaliśmy własnym zakładem.

Wcześniej byliśmy żałobnikami, jeszcze wcześniej grabarzami.

— A przedtem?

— Cóż — pan Ibis uśmiechnął się z lekką wyższością — mamy za sobą bardzo długą drogę. Oczywiście dopiero po wojnie pomiędzy Stanami znaleźliśmy sobie przytulny kąt. To wtedy stworzyliśmy zakład pogrzebowy dla kolorowych. Przedtem nikt nie uważał nas za kolorowych — może cudzoziemców, egzotycznych, ale nie kolorowych. Po wojnie jednak już wszyscy postrzegali nas jako czarnych. Mój wspólnik zawsze miał ciemniejszą skórę. Wszystko poszło bardzo szybko. Człowiek jest tym, za kogo się uważa. Dziwne tylko jest to, że nazywają nas Afroamerykanami. Kiedy słyszę „Afryka", myślę o ludziach z Puntu, Ofiru, Nubii. My nigdy nie uważaliśmy się za Afrykaninów. Byliśmy ludem znad Nilu.

— Zatem byliście Egipcjanami — zauważył Cień.

Pan Ibis wysunął dolną wargę i pokiwał głową z boku na bok, jak na sprężynie, rozważając plusy i minusy, spoglądając na zagadnienie z obu stron jednocześnie.

— Cóż, tak i nie. To słowo przywodzi mi na myśl ludzi żyjących tam teraz, tych którzy wznieśli swe miasta na naszych cmentarzach i pałacach. Czy oni są do mnie podobni?

Cień wzruszył ramionami. Widywał już Murzynów wyglądających jak pan Ibis, a także opalonych białych, którzy go przypominali.

— Jak tam ciasto kawowe? — spytała kelnerka, ponownie napełniając kubki.

— Najlepsze, jakie jadłem — odparł pan Ibis. — Pozdrów mamę.

— Dziękuję — odparła i odeszła.

— Jeśli pracuje się w zakładzie pogrzebowym, lepiej nie pytać o zdrowie. Ludzie pomyśleliby, że szukamy potencjalnych klientów — szepnął pan Ibis. — Obejrzymy twój pokój?

Ich oddechy parowały w wieczornym powietrzu. W oknach mijanych sklepów mrugały świąteczne lampki.

— Miło, że zechcieliście mnie przyjąć — powiedział Cień. — Doceniam to.

— Jesteśmy coś winni twojemu pracodawcy. A poza tym nie brak nam miejsca. To wielki stary dom. Kiedyś było nas więcej, teraz zostało tylko troje. Nie będziesz przeszkadzał.

— Wiecie może, jak długo mam tu pozostać?

Pan Ibis pokręcił głową.

— On nie powiedział. Chętnie jednak cię ugościmy i możemy znaleźć ci pracę, jeśli nie jesteś zbyt delikatny i traktujesz umarłych z szacunkiem.

— Co właściwie robicie w Kairze? — spytał Cień. — Wybraliście to miejsce ze względu na nazwę, czy jak?

— Nie. Ależ nie. Prawdę mówiąc, nazwa całego regionu pochodzi

od nas, choć ludzie o tym nie wiedzą. W dawnych czasach mieściła się tu placówka handlowa.

— W czasach Zachodu?

— Można tak rzec — odparł pan Ibis. — *Dobry wieczór, pani Simmons. I nawzajem, wesołych Świąt.* Ludzie, którzy mnie tu sprowadzili, przypłynęli w górę Missisipi bardzo dawno temu.

Cień gwałtownie zatrzymał się na środku ulicy.

— Chcesz powiedzieć, że starożytni Egipcjanie dotarli tutaj już pięć tysięcy lat temu?

Pan Ibis prychnął lekko.

— Trzy tysiące pięćset trzydzieści lat temu. Mniej więcej.

— W porządku — rzekł Cień. — Chyba to kupuję. Czym handlowali?

— Nie było tego wiele. Skórami zwierząt, jedzeniem, miedzią z kopalni, obecnie leżących w Michigan. Cała wyprawa okazała się klęską. Nie była warta zachodu. Zostali tu dość długo, by w nas wierzyć, składać nam ofiary, by kilku handlarzy zachorowało, umarło i zostało tu pogrzebanych. W ten sposób nas tu zostawili. — Przystanął na chodniku i obrócił się powoli, unosząc ręce. — Ten kraj od dziesięciu tysięcy lat stanowi jeden wielki punkt przesiadkowy. Pewnie spytasz, co z Kolumbem.

— Jasne — rzekł posłusznie Cień. — Co z nim?

— Kolumb zrobił to samo, co inni od tysięcy lat. Nie ma niczego niezwykłego w przybyciu do Ameryki. Od czasu do czasu pisuję o tym. — Znów szli naprzód.

— To prawdziwe historie?

— Do pewnego stopnia, owszem. Jeśli chcesz, pokażę ci kilka. Każdy, kto ma oczy i umie patrzeć, już dawno mógłby to dostrzec. Osobiście — i mówię to jako wierny czytelnik „Scientific American” — bardzo żałuję naukowców, za każdym razem, gdy znajdują kolejną, nie pasującą do wzorca czaszkę, coś, co należało do niewłaściwych ludzi: posążki, przedmioty, które ich zaskakują — mówią bowiem o tym, co dziwne, ale nie o tym, co niemożliwe, i dlatego właśnie mi ich — żal, bo kiedy coś staje się niemożliwe, tym samym uznaje się to za niewiarygodne, choćby nawet było najszczerszą prawdą. Istnieje czaszka, która dowodzi, że Ainowie, pierwotni mieszkańcy Japonii, dotarli do Ameryki dziewięć tysięcy lat temu. Inna świadczy o tym, że dwa tysiące lat później w Kalifornii żyli Polinezyjczycy. A tymczasem naukowcy zastanawiają się wyłącznie nad tym, kto od kogo pochodzi, i w ogóle nie dostrzegają w czym rzecz. Niebiosa tylko wiedzą, co się stanie, jeśli kiedyś odkryją tunele plemienia Hopi. Wierz mi, to będzie prawdziwy wstrząs.

Spytasz, czy Irlandczycy dotarli w średniowieczu do Ameryki? Oczywiście, że tak. Podobnie Walijczycy, Wikingowie, podczas gdy

Afrykanie z Zachodniego Wybrzeża, później zwanego Wybrzeżem Niewolników albo Kości Słoniowej, handlowali z mieszkańcami Ameryki Południowej, a Chińczycy kilkakrotnie odwiedzili Oregon — nazwali go Fu Sang. Tysiąc dwieście lat temu Baskowie ustanowili przy wybrzeżu Nowej Fundlandii święte łowiska. Powiesz pewnie: „Ależ panie Ibisie, ci ludzie byli bardzo prymitywni. Nie mieli przecież radia, witamin i odrzutowców!".

Cień milczał i wcale nie zamierzał się odzywać. Uznał jednak, że przyzwoitość nakazuje coś powiedzieć.

— A nie?

Z chrzęstem wędrował naprzód po ostatnich jesiennych liściach, sztywnych i pociemniałych od mrozu.

— Ludzie uważają błędnie, że w dawnych czasach przed Kolumbem nie odbywano długich wypraw łodziami. A przecież Nowa Zelandia, Tahiti i niezliczone wyspy na Pacyfiku zostały zasiedlone przez ludzi w łodziach, których zdolności nawigacyjne wykraczały dalece poza osiągnięcia Kolumba. Bogactwa Afryki pochodziły z handlu, choć głównie ze Wschodem, Indiami i Chinami. Mój lud, lud znad Nilu, odkrył bardzo wcześnie, że jeśli nie brak nam cierpliwości i słodkiej wody, nawet łodzią z trzciny można opłynąć świat. W dawnych czasach nie przypływano zbyt często do Ameryki wyłącznie dlatego, że nie było tu specjalnie atrakcyjnych towarów, zwłaszcza biorąc pod uwagę odległość.

Dotarli do wielkiego domu zbudowanego w stylu, który powszechnie nazywa się stylem królowej Anny. Cień zastanowił się przelotnie, kim była królowa Anna i czemu tak bardzo lubiła domy w typie rodziny Addamsów. Jako jedyny budynek w sąsiedztwie dom miał normalne okna, nie zabite deskami. Przeszli przez bramę i go okrążyli.

Pan Ibis przekręcił klucz w wielkich, podwójnych drzwiach i znaleźli się w dużym, nie ogrzanym pomieszczeniu. Było w nim dwoje ludzi: bardzo wysoki ciemnoskóry mężczyzna, trzymający w dłoni duży, metalowy skalpel, i martwa nastolatka na długim, porcelanowym stole, przypominającym skrzyżowanie lady ze zlewozmywakiem.

Na tablicy korkowej na ścianie przypięto kilka zdjęć martwej dziewczyny. Na jednym szkolnym portrecie uśmiechała się szeroko. Na drugim stała w szeregu z innymi dziewczynami ubranymi w balowe suknie. Czarne włosy miała upięte w misterny kok.

Teraz leżała na porcelanie z rozpuszczonymi włosami wokół ramion, pokrytymi zaschniętą krwią.

— Oto mój wspólnik, pan Jaquel — oznajmił Ibis.

— Już się spotkaliśmy — odparł Jaquel. — Przepraszam, że nie ściskam dłoni.

Cień spojrzał na dziewczynę na stole.

— Co się jej stało? — spytał.

— Kiepski dobór chłopaka — odparł Jaquel.

— To nie zawsze jest śmiertelne — pan Ibis westchnął — ale tym razem owszem. Był pijany, miał nóż, a ona oznajmiła, że chyba jest w ciąży. Nie uwierzył, że to jego dziecko.

— Została pchnięta… — Jaquel zaczął liczyć. Rozległ się szczęk, nacisnął stopą pedał włączający stojący na sąsiednim stole dyktafon — pięć razy, trzy rany kłute, w lewej części klatki piersiowej. Pierwsza pomiędzy czwartym i piątym żebrem, na granicy lewej piersi, 2,2 centymetra długości. Druga i trzecia w dolnej części lewej piersi w szóstej przestrzeni międzyżebrowej. Rany nachodzą na siebie. W sumie trzy centymetry szerokości. Jedna dwucentymetrowa rana w górnej lewej części klatki piersiowej, w drugiej przestrzeni międzyżebrowej, i jedna długa na pięć centymetrów i głęboka na 1,6 centymetra, przy środkowym mięśniu ramieniowym. Rana cięta. Wszystkie rany klatki piersiowej głębokie. Brak innych obrażeń zewnętrznych. — Zwolnił przycisk. Cień dostrzegł mały mikrofonik wiszący nad stołem.

— Jesteś zatem także koronerem? — spytał.

— W tym stanie koroner to stanowisko polityczne — odparł Ibis. — Jego zadaniem jest kopnięcie trupa. Jeśli trup nie odpowie, koroner podpisuje akt zgonu. Jaquel jest, jak to nazywają, prosek — torem. Współpracuje z okręgowym patologiem. Zajmuje się autopsjami, zachowuje próbki tkanek do analiz. Sfotografował już obrażenia.

Jaquel kompletnie zignorował ich obecność. Wziął wielki skalpel i dokonał głębokiego nacięcia w kształcie litery V, zaczynającej się pod obojczykami, a kończącej za mostkiem. Następnie zamienił V w Y. Kolejne cięcie od mostka aż do krocza. Wziął z półki coś, co przypominało niewielką, ciężką wiertarkę, zakończoną małą, okrągłą tarczą. Włączył ją i przeciął żebra po obu stronach mostka. Dziewczyna otwarła się niczym sakiewka.

Cień uświadomił sobie nagle, że w powietrzu unosi się słaby, lecz raczej nieprzyjemny, ostry zapach mięsa.

— Sądziłem, że to okropnie śmierdzi.

— Jest dość świeża — wyjaśnił Jaquel. — A nóż nie przeciął jelit, więc nie cuchnie gównem.

Cień mimo woli odwrócił wzrok, nie ze wstrętem, jak można by oczekiwać, lecz z dziwnej potrzeby zapewnienia dziewczynie odrobiny prywatności. Trudniej być bardziej nagim niż ona w tej chwili.

Jaquel wyciągnął jelita, połyskujące niczym mokre węże. Związał je pod żołądkiem i głęboko w miednicy. Przesunął między palcami, centymetr za centymetrem, opisał jako normalne i umieścił w kuble na

podłodze. Następnie pompą próżniową wyssał krew z piersi i zmierzył objętość. Potem zbadał wnętrze klatki piersiowej.

— Trzy przebicia osierdzia, wypełnionego skrzepami i krwią — rzekł do mikrofonu.

Jaquel chwycił jej serce, przeciął u góry, obrócił w ręce, ponownie nacisnął przycisk.

— Dwa przebicia mięśnia sercowego. Rana 1,5 centymetra w prawej komorze i l,8 centymetra w lewej komorze.

Wyjął oba płuca. Lewe zostało przebite i zapadło się w sobie. Zważył je, a także serce. Sfotografował rany. Z każdego narządu wyciął kawałek tkanki, które umieścił w słoju.

— Formaldehyd — podpowiedział szeptem pan Ibis.

Jaquel nadal przemawiał do mikrofonu, opisując, co robi, co widzi. Kolejno usuwał wątrobę dziewczyny, żołądek, śledzionę, trzustkę, obie nerki, macicę i jajniki.

Każdy organ ważył, stwierdzał, że jest normalny i nie uszkodzony. Z każdego odcinał maleńki fragment i umieszczał w słoju z formaldehydem. Z serca, wątroby i obu nerek odciął dodatkowe plastry. Te wsunął do ust i żuł powoli przy dalszej pracy.

Cieniowi, o dziwo, wydało się to zupełnie normalne — stanowiło wręcz objaw szacunku.

— Chcesz zatem zostać u nas na jakiś czas? — spytał Jaquel, przeżuwając kawałek serca dziewczyny.

— Jeśli mnie przyjmiecie — odparł Cień.

— Oczywiście, że przyjmiemy — wtrącił pan Ibis. — Nie ma przeciwwskazań, a mnóstwo za tym przemawia. Póki tu będziesz, pozostaniesz pod naszą ochroną.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci sypianie pod jednym dachem z umarłymi — dodał Jaquel.

Cień przypomniał sobie dotyk warg Laury, gorzkich, zimnych.

— Nie — odparł. — W każdym razie, póki pozostają martwi.

Jaquel obrócił się i spojrzał na niego ciemnobrązowymi oczami — zimnymi i przenikliwymi niczym oczy pustynnego psa.

— Tutaj zostają martwi — powiedział tylko.

— Mam wrażenie — rzucił Cień — że martwi bardzo łatwo powstają z grobu.

— Wręcz przeciwnie — nie zgodził się Ibis. — Nawet zombi tworzy się z ludzi żyjących. Odrobina proszku, krótka pieśń, niewielki rozgłos, i proszę, zombi. Żyją, choć wierzą, że umarli. Lecz prawdziwe ożywienie umarłych w ich własnych ciałach… o, to wymaga mocy. — Zawahał się i dodał: — W starym kraju, w dawnych czasach, było łatwiej.

— Można było wówczas na pięć tysięcy lat przywiązać ka człowieka do jego ciała — uzupełnił Jaquel. — Przywiązać albo

uwolnić. Ale to dawne czasy.

Po kolei włożył na miejsce wszystkie usunięte narządy. Czynił to sprawnie, z szacunkiem. Na końcu włożył jelita i mostek. Naciągnął skórę. Potem wziął grubą igłę i nić i zręcznymi, szybkimi ruchami zaszył zwłoki, jakby zszywał piłkę futbolową. Trup znów z kawałka mięsa stał się dziewczyną.

— Muszę się napić piwa — oznajmił Jaquel. Zdjął gumowe rękawice, wrzucił je do kubła. Ciemnobrązowy kombinezon zostawił w koszu z praniem. Wziął do rąk tekturową tacę pełną słojów z czerwonymi, brązowymi i fioletowymi próbkami tkanek. — Idziecie?

Po schodach przeszli do kuchni. Schludne brązowo-białe pomieszczenie wyglądało, jakby urządzono je w latach dwudziestych. Na jednej ze ścian stała wielka, brzęcząca chłodziarka. Jaquel otworzył ją, ustawił w środku plastikowe pojemniki z plastrami śledziony, nerek, wątroby, serca. Wyjął trzy brązowe flaszki. Ibis sięgnął do oszklonego kredensu po trzy wysokie szklanki. Potem gestem wskazał Cieniowi miejsce za stołem.

Ibis rozlał piwo i wręczył po szklance Cieniowi i Jaquelowi. Było znakomite: gorzkie i ciemne.

— Świetne piwo — mruknął Cień.

— Sami je warzymy — wyjaśnił Ibis. — W dawnych czasach zajmowały się tym kobiety. Były lepsze od nas, ale teraz została nas tylko trójka — ja, on i ona. — Gestem wskazał małą brązową kotkę, śpiącą twardo w koszyku w kącie. — Na początku było nas więcej, ale Set wyjechał — ile to już, dwieście lat temu? Chyba tak. W tysiąc dziewięćset piątym czy szóstym dostaliśmy od niego kartkę z San Francisco, a potem już nic. No, a biedny Horus… — Urwał, wzdychając ciężko i potrząsnął głową.

— Od czasu do czasu nadal go widuję — wtrącił Jaquel. — W drodze po zwłoki. — Pociągnął łyk piwa.

— Będę pracował na utrzymanie — oznajmił Cień. — Póki tu zostanę. Powiecie mi, co robić, a ja to zrobię.

— Znajdziemy ci pracę — zgodził się Jaquel.

Brązowa kotka otworzyła oczy, przeciągnęła się i wstała. Niespiesznym krokiem przecięła kuchnię i potarła łebkiem but Cienia. Cień podrapał ją po czole, za uszami i na szyi. Zachwycona, wygięła się w łuk, wskoczyła mu na kolana, wspięła na pierś i dotknęła chłodnym noskiem jego nosa. Potem zwinęła — się w kłębek i zasnęła. Pogłaskał ją. Futerko miała miękkie. Była ciepła i miła. Zachowywała się, jakby jego kolana stanowiły najbezpieczniejsze miejsce na ziemi. Cienia ogarnęła dziwna radość.

Piwo pozostawiło przyjemny szmerek w jego głowie.

— Twój pokój jest na górze, obok łazienki — powiedział Jaquel. — W szafie znajdziesz ubranie robocze. Sam zobaczysz.

Przypuszczam, że najpierw zechcesz się umyć i ogolić.

Istotnie. Stanął w żeliwnej wannie, wziął prysznic, a potem się ogolił, zdenerwowany, brzytwą, którą pożyczył mu Jaquel. Była nieprzyzwoicie ostra, miała rączkę z masy perłowej i Cień przypuszczał, że zwykle używano jej do ostatniego golenia nieboszczyków. Nigdy wcześniej nie korzystał z prawdziwej brzytwy. Nie zaciął się jednak. Zmył piankę i obejrzał siebie nagiego w upstrzonym przez muchy lustrze. Całe jego ciało pokrywały sińce: świeże na piersi i ramionach, a pod spodem blaknące pozostałości bójki z szalonym Sweeneyem. Jego odbicie spojrzało na niego nieufnie ciemnymi oczami.

A potem, jakby czynił to ktoś inny, uniósł brzytwę i przyłożył ostrze do gardła.

To jakieś wyjście — pomyślał. — Łatwe wyjście. A jeśli na świecie istnieje ktoś, kto przyjąłby to bez problemów, kto po prostu by posprzątał i wrócił do swoich spraw, to właśnie ci dwaj na dole, sączący piwo w kuchni. Koniec zmartwień. Koniec z Laurą. Koniec tajemnic, spisków i koszmarów. Cisza, spokój i odpoczynek na wieki. Jedno cięcie, od ucha do ucha. To wszystko.

Stał tak z brzytwą przy szyi. W miejscu, w którym ostrze zetknęło się ze skórą, pojawiła się wąska smużka krwi. Nawet nie zauważył, kiedy się skaleczył.

Widzisz — powiedział w myślach i wydało mu się, że słyszy własne słowa. — To nie boli. Jest za ostra, żeby bolało. Zanim się zorientuję, umrę.

I wtedy drzwi łazienki uchyliły się lekko. Brązowa kotka wsunęła głowę do środka.

— Mrrr? — mruknęła zaciekawiona.

— Hej, zdawało mi się, że zamknąłem drzwi na klucz.

Zamknął morderczą brzytwę, odłożył ją na urny walkę, osuszył skaleczenie kawałkiem papieru toaletowego. Potem okręcił się w talii ręcznikiem i przeszedł do sypialni. Jego sypialnia, podobnie jak kuchnia, sprawiała wrażenie urządzonej w latach dwudziestych. Miednica i dzbanek. Komoda i lustro. Ktoś wyłożył mu na łóżko ubranie: czarny garnitur, białą koszulę, czarny krawat, biały podkoszulek i slipy, czarne skarpety. Na wytartym perskim dywanie obok łóżka stały czarne buty.

Cień ubrał się. Wszystkie rzeczy były dobrej jakości, choć nie nowe. Zastanawiał się przelotnie, do kogo należały. Czy miał na sobie skarpety nieboszczyka? Czy włoży buty nieboszczyka? Stanął przed lustrem i wydało mu się, że odbicie uśmiecha się do niego ironicznie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógł pomyśleć o tym, by poderżnąć sobie gardło. Odbicie nadal się uśmiechało, gdy poprawiał krawat.

— Hej, ty — rzekł — wiesz coś, o czym ja nie wiem? — I

natychmiast poczuł się głupio.

Drzwi uchyliły się, skrzypiąc. Kotka wśliznęła się do pokoju, przebiegła po dywanie i wskoczyła na parapet.

— Posłuchaj — rzekł Cień — ja naprawdę zamknąłem te drzwi. Wiem, że je zamknąłem.

Spojrzała na niego. Oczy miała ciemnożółte, barwy bursztynu. Potem zeskoczyła z parapetu na łóżko, zwinęła się w kłębek i zasnęła — żywa futrzana poduszka na starej kapie.

Cień zostawił uchylone drzwi, by kotka mogła wyjść i by odrobinę przewietrzyć pokój. Zszedł na dół. Stopnie trzeszczały i jęczały mu pod stopami, jakby nie podobał im się jego ciężar i pragnęły jedynie, by zostawił je w spokoju.

— A niech mnie, świetnie wyglądasz — mruknął Jaquel. Czekał na dole, także ubrany w czarny garnitur, podobny do stroju Cienia. — Prowadziłeś kiedyś karawan?

— Nie.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz — rzekł tamten. — Stoi przed domem.

* * *

Zmarła stara kobieta. Nazywała się Lila Goodchild. Posłuszny wskazówkom pana Jacquela Cień wniósł po niskich schodach składany, aluminiowy wózek i rozłożył przy łóżku staruszki. Wyjął przezroczysty niebieski worek, położył obok martwej kobiety i rozsunął zamek. Nieboszczka miała na sobie różową nocną koszulę i pikowany szlafrok. Cień podniósł ją — kruchą, lekką jak piórko — i owinął kocem. Potem umieścił ciało w worku. Zamknął go, położył na wózku. Podczas gdy to robił, Jaquel rozmawiał z bardzo starym mężczyzną, mężem zmarłej, a ściślej mówiąc, słuchał jego monologu. Starzec opowiadał o niewdzięczności dzieci i wnuków. I choć to było winą rodziców — jabłko pada niedaleko od jabłoni — sądził, że lepiej je wychowa.

Cień i Jaquel znieśli wózek po schodach. Starzec podążał za nimi, cały czas mówiąc, przede wszystkim o pieniądzach, chciwości i niewdzięczności. Na nogach miał kapcie. Cień dźwigał cięższą, dolną część wózka. Już na ulicy postawili go na kółkach i przewieźli oblodzonym chodnikiem do karawanu. Jaquel otworzył tylne drzwi. Cień zawahał się i tamten rzekł:

— Po prostu wepchnij go do środka. Kółka się składają.

Cień pchnął wózek, podwozie złożyło się, kółka zakołysały i nosze

opadły na podłogę karawanu. Jaquel pokazał mu, jak zamocować je pasami, i Cień zamknął karawan, podczas gdy tamten słuchał nadal starca, niegdysiejszego męża Liii Good-child. Nie zważając na zimno, stary człowiek w kapciach i szlafroku, stojąc na zaśnieżonym chodniku, opowiadał, że jego dzieci to sępy, zwykłe sępy, czekające, by porwać to, co udało im się z Lilą zaoszczędzić. Mówił, jak oboje przenieśli się do St. Louis, Memphis, Miami i w końcu trafili do Kairu, i jak się cieszy, że Lila nie zmarła w domu opieki. Tak bardzo się tego bał.

Odprowadzili go do domu. W kącie sypialni mały telewizor mruczał cicho. Mijając go, Cień zauważył, że spiker na ekranie uśmiecha się i mruga do niego. Gdy był pewien, że nikt na niego nie patrzy, odpowiedział obelżywym gestem.

— Nie mają pieniędzy — oznajmił Jaquel, kiedy wrócili do karawanu. — Jutro będzie rozmawiał z Ibisem. Wybierze najtańszy pogrzeb. Jej przyjaciele przekonają go, by nie oszczędzał i wynajął najlepszą salę. Ale on będzie się opierał. Nie ma pieniędzy. W dzisiejszych czasach nikt tu nie ma pieniędzy. Za sześć miesięcy, najdalej za rok, umrze.

Płatki śniegu wirowały i tańczyły w promieniach reflektorów. Śnieg nadciągał z północy.

— Jest chory? — spytał Cień.

— Nie o to chodzi. Kobiety przeżywają swoich mężczyzn. Mężczyźni tacy jak on nie żyją długo po śmierci żony. Sam zobaczysz. Zacznie krążyć bez celu. Odkryje, że wszystko co znajome odeszło wraz z nią. Zmęczy się życiem, zacznie gasnąć, a potem podda się i umrze. Może zabije go zapalenie płuc albo rak, a może zatrzyma mu się serce. Nadchodzi starość i człowiek traci wolę walki. Wtedy umiera.

Cień zastanawiał się chwilę.

— Jaquel?

— Słucham?

— Czy ty wierzysz w duszę? — Nie było to pytanie, które pragnął zadać, i zdumiała go treść własnych słów. Chciał spytać jakoś bardziej oględnie, nie potrafił jednak ubrać tego w słowa.

— To zależy. W moich czasach wiedzieliśmy, w co gramy. Po śmierci stawałeś przed sędziami, odpowiadałeś za swe dobre i złe uczynki. Jeśli złe uczynki przeważyły pióro, oddawaliśmy twoją duszę i serce Ammetowi, Pożeraczowi Dusz.

— Musiał pożreć mnóstwo ludzi.

— Nie tak wielu, jak sądzisz. To było naprawdę ciężkie piórko. Wyjątkowe. Trzeba było paskudnego człowieka, by przeważyć szalę. Zatrzymaj się na stacji. Musimy zatankować.

Na ulicach panował spokój i cisza, która przynosi ze sobą śnieg.

— Będziemy mieli białe Boże Narodzenie. — Cień zaczął napełniać bak.

— Zgadza, się. O kurcze, szczęśliwy dziewiczy syn z niego.

— Z Jezusa?

— Szczęściarz, prawdziwy szczęściarz. Mógł wpaść w gówno i nadal pachnieć różami. To nawet nie są jego urodziny. Wiedziałeś o tym? Przejął je od Mitry. Spotkałeś już Mitrę? Czerwona peleryna. Miły chłopak.

— Nie. Chyba nie.

— Cóż…Nie widziałem go w tym kraju. Zawsze lubił zabawy w wojsko. Może jest na Bliskim Wschodzie? Wciąż się bawi? Przypuszczam jednak, że pewnie już odszedł. To się zdarza. Jednego dnia każdy żołnierz imperium musi skąpać się we krwi ofiarnego byka. Następnego nie pamiętają nawet o twoich urodzinach.

Szum. Wycieraczki odpychały na boki śnieg, zgniatając płatki w bryłki i okruchy lodu.

Światło przed nimi rozbłysło żółcią, a potem czerwienią. Cień nacisnął hamulec. Karawan zakołysał się na pustej drodze, po czym przystanął.

Światło zmieniło się na zielone. Cień przyspieszył do piętnastu kilometrów na godzinę. Na śliskich drogach nie odważyłby się na więcej. Wóz bez problemów poruszał się na drugim biegu. Cień przypuszczał, że jeździ tak przez większość czasu, hamując ruch.

— Świetnie — rzekł Jaquel. — Faktycznie, Jezus doskonale sobie radzi. Spotkałem jednak gościa, który twierdził, że widział go łapiącego okazję w Afganistanie i nikt nie chciał go nawet podrzucić. Wszystko zależy od tego, gdzie się jest.

— Chyba nadciąga burza — powiedział Cień. Miał na myśli pogodę.

Kiedy Jaquel w końcu odpowiedział, nie mówił o pogodzie.

— Spójrz tylko na mnie i na Ibisa. Za kilka lat stracimy pracę. Mamy nieco oszczędności na chude lata, lecz chude lata trwają już bardzo długo i co roku stają się chudsze. Horus oszalał. Kompletnie oszalał. Cały czas spędza pod postacią sokoła. Zjada zwierzęta zabite na drodze. Co to za życie? Widziałeś też Bast. A i tak radzimy sobie lepiej niż większość innych. Przynajmniej mamy jeszcze trochę wiary. Większości frajerów nawet to nie zostało. Zupełnie jak w przemyśle pogrzebowym. Któregoś dnia duzi nas wykupią, czy nam się to podoba, czy nie. Bo są więksi, sprawniejsi i cały czas pracują. Walka niczego nie zmieni. Przegraliśmy już tę bitwę, gdy sto, tysiąc, dziesięć tysięcy lat temu przybyliśmy do tej krainy. Przybyliśmy, ale Ameryki w ogóle to nie obeszło. Wykupują nas, wypierają, ruszamy w drogę. Tak, masz rację, nadciąga burza.

Cień skręcił w ulicę pełną martwych domów o ślepych, zabitych

deskami oknach.

— Alejka z tyłu — polecił Jaquel.

Cofnął karawan, póki jego tył niemal nie dotknął podwójnych drzwi. Ibis otworzył wóz i kostnicę. Cień odpiął wózek i wyciągnął go. Kółka zawirowały i opadły na ziemię. Podjechał do stołu sekcyjnego. Podniósł opatuloną w worek Lilę Goodchild, tuląc ją do siebie niczym śpiące dziecko, i ułożył ostrożnie na stole w lodowatej kostnicy, jakby się bał, że ją zbudzi.

— Mamy specjalną pochylnię — powiedział Jaquel. — Nie musisz jej nosić.

— To nic takiego. — Cień pomyślał, że z każdą chwilą mówi coraz bardziej podobnie do swego towarzysza. — Jestem duży, to mi nie wadzi.

Jako dzieciak Cień był drobny jak na swój wiek. Same kości, łokcie, kolana. Jego jedyne zdjęcie z tamtego okresu, które spodobało się Laurze na tyle, by je oprawić, ukazywało poważne dziecko o zmierzwionych włosach i ciemnych oczach, stojące przy stole pełnym tortów i ciastek. Miał wrażenie, że zrobiono je na przyjęciu gwiazdkowym w ambasadzie, bo miał na sobie najlepsze ubranie i muszkę.

Zbyt często przeprowadzali się z matką. Najpierw w Europie, krążąc od ambasady do ambasady. Matka pracowała w służbie zagranicznej, rozszyfrowując i wysyłając po całym świecie tajne telegramy. Potem, gdy skończył osiem lat, wrócili do Stanów Zjednoczonych. Tam matka, chorująca zbyt często, by utrzymać stałą pracę, przeprowadzała się bez ustanku z miasta do miasta, rok tu, rok tam. Gdy czuła się lepiej, pracowała na tymczasowych posadach. Nigdzie nie zostali dość długo, by Cień mógł znaleźć sobie prawdziwych przyjaciół, poczuć się jak w domu, odpocząć, a do tego był drobnym dzieckiem…

Bardzo szybko wyrósł. Wiosną trzynastego roku jego życia miejscowi chłopcy nabijali się z niego i wciągali w bójki, których, jak dobrze wiedzieli, nie mogli przegrać. Po walce Cień uciekał wściekły i często zapłakany do męskiej toalety, żeby zmyć z twarzy błoto bądź krew, nim ktokolwiek je zobaczy. A potem nadeszło lato, długie, magiczne trzynaste lato, które spędził, unikając innych dzieciaków, pływając w miejscowym basenie, czytając książki z biblioteki. Na początku lata ledwie umiał pływać. Pod koniec sierpnia przepływał kraulem basen za basenem i skakał z najwyższej trampoliny, opalony na brąz przenikającym wodę słońcem. We wrześniu wrócił do szkoły i odkrył, że chłopcy, którzy uprzykrzali mu życie, to małe, miękkie istotki, niezdolne go zirytować. Dwóm, którzy próbowali, udzielił szybkiej, ostrej i bolesnej lekcji dobrych manier. Wówczas to Cień uległ przemianie. Nie mógł już być spokojnym chłopcem trzymającym

się na uboczu. Był na to zbyt duży, zbyt widoczny. Pod koniec roku należał do drużyny pływackiej, ćwiczył podnoszenie ciężarów, a trener zachęcał go do prób w triatlonie. Podobało mu się bycie dużym i silnym. Dzięki temu zyskał własną tożsamość. Jako cichy, nieśmiały mól książkowy cierpiał. Teraz był tępym osiłkiem i nikt nie oczekiwał po nim żadnych wyczynów poza przeniesieniem kanapy do sąsiedniego pokoju.

W każdym razie nikt, póki nie pojawiła się Laura.

* * *

Pan Ibis przygotował obiad — ryż i gotowane jarzyny — dla siebie i pana Jacquela.

— Nie jadam mięsa — wyjaśnił. — A Jaquel dostaje go do woli w czasie pracy.

Obok talerza Cienia stało kartonowe pudełko kurczaka z KFC i butelka piwa. Porcja była za duża jak na jego możliwości. Podzielił się zatem resztkami z kotką, zdejmując skórę i chrupką panierkę, i rozdzierając mięso palcami.

— W więzieniu siedział pewien gość, nazwiskiem Jackson — powiedział Cień podczas jedzenia — który pracował w bibliotece więziennej. Powiedział mi kiedyś, że firma zmieniła nazwę z Kentucky Fried Chicken, Smażonego Kurczaka z Kentucky, na KFC, ponieważ nie serwują już prawdziwych kurcząt, tylko genetycznie zmodyfikowane mutanty, coś w rodzaju olbrzymiej stonogi bez głowy, segment po segmencie, nogi, piersi, skrzydełka. Wszystko karmione przez rurkę. Facet mówił, że rząd nie pozwoliłby im użyć słowa „kurczak".

Pan Ibis uniósł brwi.

— Myślisz, że to prawda?

— Nie. Mój kumpel z celi, Lokaj, twierdził, że zmienili nazwę, ponieważ słowo „smażony" zaczęło się źle kojarzyć. Może chcieli, by ludzie sądzili, że kurczak sam się upiekł.

Po obiedzie Jaquel przeprosił pozostałych i zszedł do kostnicy. Ibis udał się do gabinetu, by popisać. Cień został jeszcze w kuchni. Karmił brązową kotkę kawałkami kurzej piersi, popijając piwo. Gdy piwo i kurczak zniknęły, umył talerze i sztućce, odstawił na suszarkę i poszedł na górę.

Nim zdążył dotrzeć do sypialni, brązowa kotka już zasnęła w nogach łóżka, zwinięta w futrzasty półksiężyc. W środkowej szufladzie toaletki znalazł kilka pasiastych piżam. Wyglądały, jakby pochodziły

sprzed siedemdziesięciu lat, lecz pachniały świeżo, toteż włożył jedną. Podobnie jak czarny garnitur, leżała jak ulał.

Na stoliku przy łóżku leżał niewielki stosik „Reader's Digest". Najnowszy z nich pochodził z marca tysiąc dziewięćset sześć dziesiątego roku. Jackson, facet z biblioteki — ten sam, który przysięgał co do prawdziwości opowieści o smażonym kurzym mutancie z Kentucky i opowiedział Cieniowi o krążących nocą po kraju czarnych pociągach towarowych, którymi rząd przewozi więźniów politycznych do tajnych obozów koncentracyjnych w Północnej Kalifornii — twierdził, że CIA wykorzystuje „Reader's Digest" jako zasłonę swoich filii na całym świecie. Mówił, iż każda redakcja „Reader's Digest" w każdym kraju w istocie należy do CIA.

„Dowcip" — odezwał się w jego wspomnieniach nieżyjący już pan Wood. — „Skąd mamy pewność, że CIA nie uczestniczyła w zamachu na Kennedy'ego'?".

Cień uchylił nieco okno — dostatecznie, by do środka wpadało świeże powietrze i by kotka mogła wyjść na balkon.

Zapalił lampkę przy łóżku, położył się i trochę poczytał, próbując wyłączyć umysł, odegnać obrazy z ostatnich kilku dni. Wybierał najnudniejsze artykuły w najtrudniejszych numerach. W połowie tekstu „Jestem śledzioną Joego" poczuł, że zasypia. Zdążył zaledwie zgasić światło i złożyć głowę na poduszce, a potem jego oczy zamknęły się i odpłynął.

* * *

Później nie zdołał przypomnieć sobie kolejności wydarzeń i szczegółów owego snu. Wszelkie próby przywoływały jedynie plątaninę mrocznych wizji. Była w nich dziewczyna; spotkał ją gdzieś i teraz szli razem przez most. Most wznosił się nad niewielkim jeziorem pośrodku miasta. Wiatr marszczył taflę wody, wzbudzając fale zwieńczone białymi grzywami, które Cieniowi wydawały się rękami sięgającymi ku niemu.

— Tam, w dole — powiedziała kobieta. Miała na sobie spódnicę w lamparcie cętki, która łopotała i tańczyła na wietrze. Ciało pomiędzy szczytami pończoch i spódnicą było miękkie i kremowe. W jego śnie, na moście, na oczach Boga i świata Cień ukląkł przed nią, tuląc głowę do jej krocza i wciągając w płuca oszałamiający, zwierzęcy, kobiecy zapach. We śnie uświadomił sobie, że na żywo także ma wzwód. Jego sztywny, pulsujący penis, ogromny i nabrzmiały, był w swej twardości bolesny, jak erekcje, które miewał w

młodości, gdy dopiero stawał się mężczyzną.

Oderwał się od niej i uniósł wzrok, wciąż jednak nie widział jej twarzy, lecz ustami szukał jej warg. Znalazł je tuż obok. Rękami pieścił jej piersi, a potem przesuwał je po jedwabiście gładkiej skórze, wnikając w okrywające jej talię futro i rozdzierając je, wsuwając się w cudowną szczelinę, która rozgrzała się dla niego, zwilgotniała, otwarła, rozchyliła pod palcami niczym kwiat.

Wtulona w niego kobieta zamruczała rozkosznie. Jej dłoń powędrowała ku twardemu członkowi i ścisnęła go mocno. Cień odrzucił pościel, przekręcił się, tak że leżał na niej. Dłonią rozsunął jej uda, a ona poprowadziła go między nogi, gdzie jedno pchnięcie, jedno magiczne pchnięcie…

Nagle znalazł się w swej starej celi w więzieniu, wraz z nią, całował ją namiętnie. Mocno oplotła go ramionami i nogami, tak ciasno, że nie mógł się oderwać, nawet gdyby zechciał.

Nigdy nie całował równie miękkich ust. Nie wiedział, że na świecie istnieją takie usta. Jej język natomiast okazał się szorstki jak papier ścierny.

— Kim jesteś? — jęknął.

Nie odpowiedziała, jedynie pchnęła go na plecy i jednym gibkim ruchem dosiadła go i zaczęła ujeżdżać. Nie, nie ujeżdżać — wić się na nim, poruszać gładkimi falami, każdą silniejszą od poprzedniej. Kolejne ruchy, uderzenia, zmiany rytmu atakowały jego umysł i ciało, tak jak fale na jeziorze atakują brzeg. Paznokcie miała ostre jak szpilki. Przebijały mu boki, rozdzierały skórę. On jednak nie czuł bólu, jedynie rozkosz. Nieznana alchemia przekształcała wszystko w chwile niewiarygodnej rozkoszy.

Próbował jakoś się otrząsnąć, pozbierać myśli, przemówić. Jego głowę wypełniały wizje wydm i pustynnych wiatrów.

— Kim jesteś? — powtórzył zdyszany.

Spojrzała na niego oczami barwy ciemnego bursztynu, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała namiętnie, tak mocno, że w tym momencie niemal doszedł — na moście nad jeziorem, w celi więziennej, w łóżku, w kairskim domu pogrzebowym. Uczucie to porwało go niczym huragan latawiec. Nie chciał, by osiągnęło szczyt. Nie chciał eksplodować. Pragnął, by to nigdy się nie skończyło. W końcu się opanował. Musiał ją ostrzec.

— Moja żona, Laura. Zabije cię.

— Nie mnie — odparła kobieta.

Gdzieś w głębi jego umysłu pojawiła się bzdurna myśl. W średniowieczu powiadano, że kobieta będąca na górze podczas stosunku pocznie biskupa. Tak właśnie nazywano tę pozycję: Podejście do biskupa…

Chciał poznać jej imię, nie śmiał jednak spytać po raz trzeci, a

ona przywarła doń — czuł jej twarde sutki — i ściskała go, jakimś cudem ściskała go tam w głębi siebie. Tym razem nie mógł już opanować owego uczucia. Tym razem porwało go całkowicie. Wygiął plecy, wbijając się w nią tak głęboko, jak tylko potrafił, jakby pod pewnym względem stanowili dwie części tej samej istoty, smakującej, pijącej, objętej, pragnącej…

— Pozwól na to — powiedziała z kocim, gardłowym pomrukiem. — Daj mi to, pozwól.

I wtedy doszedł. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Myśli w jego głowie rozpłynęły się nagle, po czym znów nabrały ostrości.

Wreszcie odetchnął głęboko. Zimna fala powietrza dotarła do płuc i zrozumiał, że od dawna wstrzymywał oddech, przynajmniej trzy lata, może nawet dłużej.

— A teraz odpocznij — poleciła i ucałowała jego powieki miękkimi ustami. — Zostaw to. Zostaw to wszystko.

Sen, w który zapadł, był głęboki, pozbawiony marzeń, zdrowy. Cień zanurzył się weń i zanurkował aż do dna.

* * *

Światło wydało mu się dziwne. Zerknął na zegarek i odkrył, że jest szósta czterdzieści pięć. Na dworze jednak wciąż panowała ciemność, choć w pokoju dostrzegał błękitny półmrok. Podniósł się z łóżka. Był pewien, że kiedy się kładł, miał na sobie piżamę. Teraz jednak był nagi. Zimne powietrze kąsało mu skórę. Podszedł do okna i je zamknął.

Nocą nadeszła burza śnieżna. Spadło piętnaście centymetrów, może nawet więcej. Fragment miasta, który Cień dostrzegał ze swego okna: brudny, zniszczony, zniknął, zamieniony w coś czystego i odmiennego. Domy nie były już zapomniane i porzucone, lecz pokryte eleganckim szronem. Ulice zniknęły bez śladu pod grubą, białą kołderką.

Gdzieś w umyśle Cienia pojawiło się słowo „przemijanie”. Rozbłysło i zniknęło.

Widział wszystko dokładnie, jak za dnia.

W lustrze dostrzegł coś dziwnego. Podszedł bliżej i przyjrzał się zdumiony. Wszystkie sińce zniknęły. Dotknął boku, mocno wbijając palce w skórę, poszukując jednego z bolesnych miejsc, pamiątek po bliskim spotkaniu z panem Stone i panem Woodem, któregoś z zielonych sińców pozostawionych przez szalonego Sweeneya. Niczego jednak nie znalazł. Twarz miał czystą, nietkniętą. Natomiast jego boki

i plecy — odwrócił się, by je obejrzeć — pokrywały zadrapania. Wyglądały, jakby zadały je szpony.

A zatem nie śnił. Nie do końca.

Otworzył szufladę i włożył to, co w niej znalazł: parę niebieskich dżinsów, koszulę, gruby niebieski sweter i czarny grabarski płaszcz, który widział w szafie w kącie pokoju.

Zostawił sobie własne stare buty.

Dom był wciąż pogrążony we śnie. Cień przekradł się przez niego, nakazując w myślach deskom, by nie skrzypiały, i znalazł się na zewnątrz.

Ruszył naprzód w śniegu, pozostawiając za sobą głębokie ślady stóp. Na dworze było jaśniej, niż zdawało się ze środka domu. Śnieg odbijał padające z nieba światło.

Po piętnastu minutach wędrówki Cień dotarł do mostu. Tablica z boku ostrzegała, że opuszcza historyczne miasto Kair. Pod mostem stał wysoki i chudy mężczyzna. Palił papierosa i cały czas dygotał. Cieniowi wydało się, że go rozpoznaje.

A potem, pod mostem, w mroku zimowego poranka znalazł się dość blisko, by dostrzec fioletowy siniak otaczający jedno z jego oczu.

— Dzień dobry, Szalony Sweeneyu — rzekł.

Wokół panowała kompletna śniegowa cisza. Nawet samochody jej nie zakłócały.

— Witaj, stary — odparł Szalony Sweeney. Nie uniósł wzroku. Papieros okazał się skrętem.

— Jeśli tak dalej będziesz się chował pod mostami, Szalony Sweeneyu — rzucił Cień — ludzie wezmą cię za trolla.

Tym razem Szalony Sweeney uniósł wzrok. Cień ujrzał białka, otaczające ze wszystkich stron tęczówki. Tamten sprawiał wrażenie przerażonego.

— Szukałem cię — rzekł. — Musisz mi pomóc, stary. Spieprzyłem sprawę.

Zaciągnął się głęboko skrętem i wyjął go z ust. Bibułka przywarła do dolnej wargi i papieros rozleciał się, zasypując tytoniem rudą brodę i przód brudnego podkoszulka. Szalony Sweeney otrzepał się gwałtownie poczerniałymi rękami, jakby zaatakowały go niebezpieczne owady.

— Nie ma zbyt wielkiego pola manewru, Sweeneyu — powiedział Cień. — Ale może powiesz mi, czego potrzebujesz? Przynieść ci kawę?

Szalony Sweeney potrząsnął głową. Wyjął z kieszeni dżinsowej kurtki woreczek z tytoniem i bibułki i zaczął skręcać kolejnego papierosa. Jego broda zjeżyła się, usta poruszały lekko, choć nie wymawiał żadnych słów. Oblizał pasek kleju i przesunął skręta między palcami. Efekt jego starań tylko w przybliżeniu przypominał papierosa.

— Nie jestem trollem, cholera. Ci dranie są naprawdę popieprzeni.

— Wiem, że nie jesteś trollem, Sweeneyu — rzekł łagodnie Cień. — Jak mogę ci pomóc?

Szalony Sweeney otworzył mosiężną zapalniczkę. Pierwszy cal jego papierosa zapłonął i zamienił się w popiół.

— Pamiętasz, jak ci pokazywałem, skąd brać monety? Pamiętasz?

— Tak — odparł Cień. Oczyma duszy ujrzał złotą monetę. Widział, jak wpada do trumny Laury, lśni na jej szyi. — Pamiętam.

— Wziąłeś nie tę monetę, stary.

Mrok pod mostem rozjaśniły reflektory nadjeżdżającego samochodu. Ich blask oślepił obu mężczyzn. Mijając ich, wóz zwolnił, po czym się zatrzymał. Szyba opadła.

— Wszystko w porządku, panowie?

— W najzupełniejszym, panie władzo. Dziękuję — odparł Cień. — Wybraliśmy się tylko na spacer.

— To dobrze — powiedział gliniarz. Nie wyglądał, jakby uwierzył, że nic się nie dzieje. Czekał. Cień objął ramieniem Szalonego Sweeneya i poprowadził go naprzód za miasto, coraz dalej od radiowozu. Usłyszał pomruk zamykanego okna, lecz samochód pozostał na miejscu.

Cień szedł naprzód. Szalony Sweeney także. Od czasu do czasu chwiał się na nogach.

Radiowóz minął ich powoli, potem zawrócił i ruszył w stronę miasta, cały czas przyspieszając na ośnieżonej drodze.

— A teraz powiedz, co cię gryzie — rzekł Cień.

— Zrobiłem, jak kazał. Zrobiłem wszystko, tak jak kazał, ale dałem ci złą monetę. To nie miała być ta moneta. Ta jest przeznaczona dla królów. Rozumiesz? Nie powinienem nawet móc jej zabrać. To moneta, którą wręcza się królowi Ameryki, nie jakiemuś frajerowi, takiemu jak ty czy ja. A teraz mam poważne kłopoty. Po prostu oddaj mi tę monetę, stary. Jeśli to zrobisz, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Przysięgam na pieprzonego Brana, na lata, które spędziłem wśród pieprzonych drzew.

— Zrobiłeś, jak kto kazał?

— Grimnir. Ten, którego nazywasz Wednesday. Wiesz, kim jest? Kim tak naprawdę?

— Tak. Chyba tak.

W szalonych niebieskich oczach Irlandczyka błysnęła panika.

— To nie było nic złego. Nic, co… nic złego. Po prostu kazał mi zjawić się w barze i wywołać bójkę. Powiedział, że chce zobaczyć, do czego jesteś zdolny.

— Mówił coś jeszcze?

Sweeney zadrżał. Jego twarz wykrzywił tik. Przez chwilę Cień

sądził, że to z zimna. Potem przypomniał sobie, gdzie widział podobne dreszcze — w więzieniu; nazywano je drgawkami ćpunów. Sweeneya dręczył głód czegoś i Cień gotów był się założyć, że chodziło o heroinę. Leprechaun narkoman? Szalony Sweeney oderwał płonącą końcówkę papierosa, odrzucił ją na ziemię. Żółtą resztę schował do kieszeni. Zalań czarne od brudu palce, dmuchnął na nie, wcierając ciepło w skórę. Jego głos przypominał żałosny jęk.

— Posłuchaj. Po prostu daj mi tę pieprzona monetę, stary. Oddam ci inną, równie dobrą. Do diabła, dam ci całą kupę tego gówna.

Zdjął z głowy szmelcowaną czapeczkę baseballową, po czym prawą ręką pogładził powietrze, wyjmując zeń wielką, złotą monetę. Wrzucił ją do czapki. Potem wyjął kolejną z parującego oddechu. I jeszcze jedną, wyłapując je w nieruchomym porannym powietrzu. Po chwili czapeczka była już pełna. Sweeney musiał trzymać ją oburącz.

Wyciągnął w stronę Cienia czapkę pełną złota.

— Proszę — rzekł. — Weź je, stary. Po prostu oddaj mi monetę, którą ci wtedy dałem.

Cień spojrzał na czapkę, zastanawiając się, ile można by dostać za jej zawartość.

— Na co miałbym niby wydać te monety, Szalony Sweeneyu? — spytał. — Ile jest miejsc, w których złoto można zamienić na gotówkę?

Przez moment zdawało mu się, że Irlandczyk zaraz go uderzy. Jednakże chwila minęła, a Sweeney stał przed nim bez ruchu, trzymając oburącz wypełnioną złotem czapkę, niczym Oliver Twist. Po chwili w błękitnych oczach wezbrały łzy i zaczęły spływać po policzkach. Uniósł czapkę — obecnie pustą, jedynie z zatłuszczonym paskiem — i nasadził na rzedniejące włosy.

— Musisz, stary — rzekł. — Czy nie pokazałem ci, jak to się robi? Pokazałem, jak brać monety ze skarbu. Pokazałem, gdzie jest skarbiec. Proszę, oddaj mi pierwszą monetę. Nie należała do mnie.

— Już jej nie mam.

Łzy Szalonego Sweeneya przestały płynąć. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— Ty, ty pieprzony… — zaczął, po czym zabrakło mu słów. Jego usta otwarły się i zamknęły bezgłośnie.

— Mówię prawdę — rzekł Cień. — Przykro mi. Gdybym ją miał, oddałbym ci. Ale nie mam.

Brudne dłonie Sweeneya zacisnęły się na ramionach Cienia. Jasnobłękitne oczy spojrzały wprost w jego twarz. Łzy wyżłobiły ślady w warstwie brudu na policzkach tamtego.

— Cholera — rzekł. Cień poczuł nowe zapachy: tytoń, zwietrzałe piwo, pot cuchnący whisky. — Mówisz prawdę, fiucie. Oddałeś ją nieprzymuszony, z własnej woli. Niech diabli porwą twoje ciemne oczy. Ty ją oddałeś.

— Przykro mi. — Cień przypomniał sobie szmer i brzęk monety lądującej w trumnie Laury.

— Przykro ci czy nie, niczego to nie zmienia. Jestem skończony. — Sweeney wytarł rękawem nos i oczy. Rozmazany brud stworzył na twarzy dziwne wzory.

Cień w niezgrabnym geście męskiej solidarności uścisnął ramię towarzysza.

— Lepiej by było, gdybym nigdy się nie urodził — powiedział po dłuższej chwili Szalony Sweeney. Potem uniósł wzrok. — A ten ktoś, komu ją oddałeś, nie zechciałby zwrócić?

— To kobieta. I nie wiem gdzie jest. Wątpię jednak, by ci ją oddała.

Sweeney westchnął żałośnie.

— Gdy byłem młodym szczeniakiem — rzekł — spotkałem pewną kobietę. Pod Gwiazdami. Pozwoliła mi bawić się cycuszkami i przepowiedziała przyszłość. Oznajmiła, że stracę wszystko i zostanę porzucony na zachód od zachodu słońca, a błyskotka martwej kobiety przypieczętuje mój los. Ja zaś roześmiałem się, nalałem jej więcej wina chmielowego, pobawiłem się cycuszkami i ucałowałem ją prosto w piękne usta. To były wspaniałe czasy — pierwsi szarzy mnisi nie przybyli jeszcze do naszego kraju ani nie popłynęli zielonym morzem na zachód. A teraz… — Urwał w pół zdania. Poruszył głową, skupiając wzrok na Cieniu. — Nie powinieneś mu ufać — upomniał z wyrzutem.

— Komu?

— Wednesdayowi. W żadnym razie mu nie ufaj.

— Nie muszę mu ufać. Pracuję dla niego.

— Pamiętasz, jak to się robi?

— Co? — Cień miał wrażenie, że jednocześnie prowadzi rozmowę z kilkoma nieznanymi osobami. Samozwańczy leprechaun przeskakiwał od jednej osobowości do drugiej, z tematu na temat, jakby pozostające mu jeszcze komórki mózgowe zapalały się kolejno, rozbłyskiwały i gasły.

— Monety, stary. Monety. Pokazałem ci przecież, pamiętasz? — Uniósł dwa palce do twarzy, spojrzał na nie i wyjął z ust monetę. Cisnął ją Cieniowi, który wyciągnął rękę i złapał, lecz jego palce wyczuły tylko pustkę.

— Byłem pijany — powiedział Cień. — Nie pamiętam.

Sweeney, kołysząc się, przeszedł przez drogę, która w jasnym świetle dnia była białoszara. Cień podążył za nim. Sweeney szedł długim miarowym krokiem, jakby cały czas nieustannie upadał, lecz nogi powstrzymywały go, pozwalały przeżyć. Gdy dotarli do mostu, Sweeney oparł się ręką o cegły, po czym się odwrócił i spytał:

— Masz może kilka dolców? Niewiele potrzebuję. Tylko na bilet,

by wyjechać z tego miasta. Dwadzieścia dolarów w zupełności wystarczy. Zwykłe dwadzieścia.

— Gdzie możesz dojechać z biletem za dwadzieścia dolarów? — spytał Cień.

— Wyjechać stąd — odparł Sweeney. — Mogę wyjechać, nim rozpęta się burza. Z dala od świata, w którym opłaty stały się religią dla mas. Daleko, jak najdalej. — Urwał, wytarł nos grzbietem dłoni i otarł ją o rękaw.

Cień sięgnął do dżinsów, wyciągnął dwudziestkę i wręczył Sweeneyowi.

— Proszę.

Sweeney zwinął banknot. Wepchnął go głęboko do kieszeni na piersi poplamionej smarem kurtki, tuż pod naszytą łatę z dwoma sępami siedzącymi na gałęzi i napisem: „Cierpliwość, akurat. Muszę coś zabić!”.

— Dzięki temu stąd odejdę — rzekł.

Oparł się o ceglaną ścianę, pogrzebał w kieszeniach, wyjął peta, zapalił go ostrożnie, próbując nie poparzyć sobie palców i nie spalić brody.

— Powiem ci coś — rzekł, jakby dotąd cały czas milczał. — Wędrujesz pod szubienicą. Twoją szyję okala sznur. Na ramionach siedzą ci kruki, czekające na ucztę z oczu, a drzewo wisielców ma głębokie korzenie, sięga bowiem od nieba do piekła. Nasz świat to tylko gałąź, z której zwisa sznur. — Urwał. — Odpocznę tu odrobinę — dodał, kucając, oparty plecami o poczerniałe cegły.

— Powodzenia — rzucił Cień.

— I tak koniec ze mną — odparł Szalony Sweeney. — Co mi tam. Dziękuję.

Cień pomaszerował w stronę miasta. Była ósma rano. Kair budził się ze snu. Obejrzał się i ujrzał bladą twarz, pasy skóry i brudu. Tamten odprowadzał go wzrokiem.

Wtedy po raz ostatni widział Szalonego Sweeneya żywego.

* * *

Krótkie zimowe dni przed świętami rozbłyskiwały niczym ulotne chwile światła pomiędzy porami zimowej ciemności. Mijały szybko w Domu Umarłych.

Był 23 grudnia. Jaquel i Ibis urządzili stypę dla Liii Good-child. W kuchni zaroiło się od kobiet dźwigających kubełki, rondle, garnki, plastikowe pojemniki. Zmarłą wystawiono w trumnie, otoczoną

cieplarnianymi kwiatami w najlepszej sali domu pogrzebowego. Po bokach stały stoły, uginające się pod ciężarem sałatek, fasoli, bułeczek kukurydzianych, kurcząt, żeberek, groszku. Wczesnym popołudniem cały zakład zapełnił się ludźmi: zapłakanymi i roześmianymi, ściskającymi dłonie pastora. Wszystko odbywało się pod czujnym okiem panów Jacquela i Ibisa, odzianych w czarne garnitury. Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia.

Gdy zadzwonił telefon w holu (czarny, bakelitowy z prawdziwą tarczą do kręcenia), pan Ibis podniósł słuchawkę. Po chwili gestem wezwał Cienia na bok.

— Dzwonią z policji — rzekł. — Możesz odebrać zwłoki?

— Jasne.

— Tylko dyskretnie, proszę.

Zapisał na kartce adres, podał ją Cieniowi, który przeczytał starannie wykaligrafowane słowa, złożył karteczkę i wsunął do kieszeni.

— Radiowóz czeka — dodał Ibis.

Cień przeszedł na tył domu po karawan. Obaj, Jaquel i Ibis, wyjaśnili mu kiedyś, każdy z osobna, że tak naprawdę karawanu używa się wyłącznie do pogrzebów, a do odbioru ciał wystarczy furgonetka. Od trzech tygodni była jednak w naprawie. Czy mógłby wiec prowadzić ostrożnie? Zatem ostrożnie zjechał ulicą. Pługi śnieżne oczyściły już asfalt, dobrze się jednak czuł, jadąc powoli. Miał wrażenie, że tak wypada, choć nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział na ulicy prawdziwy karawan. Śmierć zniknęła z amerykańskich ulic — pomyślał Cień. Teraz następowała w pokojach szpitalnych i karetkach. Nie możemy straszyć żywych. Pan Ibis powiedział mu, że w niektórych szpitalach zmarłych przewozi się na dolnych półkach pozornie pustych wózków. Umarli podróżują własnymi drogami, na swój własny tajemny sposób.

Przy bocznej uliczce czekał granatowy radiowóz. Cień zaparkował tuż za nim. W środku siedziało dwóch policjantów, pijących kawę ze styropianowych kubków. Silnik wozu cały czas pracował. Cień zapukał w okno.

— Tak?

— Jestem z domu pogrzebowego — wyjaśnił.

— Czekamy na koronera — wyjaśnił policjant.

Ciekawe, czy to ten sam, który rozmawiał z nami pod mostem — pomyślał Cień. Czarnoskóry policjant wysiadł z samochodu, pozostawiając kolegę za kierownicą, i podprowadził Cienia do śmietnika, obok którego siedział w śniegu Szalony Sweeney. Na kolanach miał pustą zieloną butelkę. Twarz, czapkę i ramiona pokrywała warstewka śniegu i lodu. Nie mrugał.

— Martwy pijak — mruknął policjant.

— Na to wygląda — odparł Cień.

— Proszę na razie niczego nie dotykać — polecił tamten. — Koroner zjawi się lada moment, ale moim zdaniem facet urżnął się i zamarzł.

— Tak — zgodził się Cień. — Zdecydowanie na to wygląda.

Przykucnął i obejrzał butelkę na kolanach Szalonego Sweeneya: irlandzka whisky Jameson, dwudziestodolarowy bilet w jedną stronę. W tym momencie nadjechał mały zielony nissan, z którego wyskoczył zmęczony mężczyzna w średnim wieku o jasnych włosach i jasnych wąsach. Dotknął szyi trupa. Kopie zwłoki — pomyślał Cień — a jeśli nie odpowiedzą kopniakiem…

— Nie żyje — oznajmił koroner. — Ma jakiś dokument?

— NN — odparł policjant.

Koroner spojrzał na Cienia.

— Pracujesz dla Jacquela i Ibisa?

— Tak — powiedział Cień.

— Przekaż Jaquelowi, żeby zdjął odciski palców i zrobił zdjęcia zębów do identyfikacji. Nie musi przeprowadzać sekcji. Wystarczy pobrać krew na badania toksykologiczne. Zapamiętasz czy mam zapisać?

— Nie. W porządku, zapamiętam.

Tamten skrzywił się na moment, po czym wyciągnął z portfela wizytówkę, nabazgrał coś na niej i wręczył Cieniowi.

— Daj to Jaquelowi — polecił. Następnie życzył wszystkim wesołych świąt i odjechał. Policjanci zatrzymali pustą butelkę.

Cień pokwitował odbiór zwłok NN i umieścił je na wózku. Ciało było sztywne. Nie mógł zmienić jego pozycji. Pomajstrował przy wózku i odkrył, że może podnieść jeden koniec. Przypiął siedzącego NN i umieścił z tyłu karawanu, patrzącego naprzód. Równie dobrze może *zabrać* go na przejażdżkę. Zaciągnął zasłonki i ruszył w drogę powrotną.

Karawan zatrzymał się na światłach i nagle Cień usłyszał ochrypły głos:

— Chciałbym mieć porządną stypę, wszystko co najlepsze — piękne kobiety lejące ślozy, rozdzierające stroje, śmiałków, opłakujących mnie i snujących historie o moich czynach.

— Ty nie żyjesz, Szalony Sweeneyu. Martwi muszą zadawalać się tym, co im damy.

— Niestety — westchnął nieboszczyk z tyłu karawanu. Ślady narkotykowego głodu zniknęły z jego głosu. Teraz brzmiał on głucho, beznamiętnie, jakby słowa nadawano z bardzo, bardzo daleka. Martwe słowa, przesyłane na martwej fali.

Światło zmieniło się na zielone. Cień delikatnie nacisnął pedał gazu.

— Ale jednak urządź mi stypę — poprosił Szalony Sweeney. — Naszykuj miejsce przy stole i urżnij się dla mnie. W końcu mnie zabiłeś. Jesteś mi coś winien.

— Ja cię nie zabiłem, Sweeneyu — odparł Cień. Dwadzieścia dolarów, pomyślał. Na bilet. — To whisky i mróz, nie ja.

Brak odpowiedzi. Przez resztę drogi w karawanie panowała cisza. Cień zaparkował za domem i zabrał wózek do kostnicy. Wrzucił Sweeneya na stół sekcyjny niczym połeć mięsa.

Okrył zwłoki lnianym prześcieradłem i zostawił je tak wraz z dokumentami. A kiedy wchodził po schodach, wydało mu się, że słyszy głos — cichy, stłumiony, niczym radio w odległym pokoju.

— Jakim cudem whisky i mróz mogły zabić mnie, leprechauna czystej krwi? Nie, to przez ciebie, przez to, że straciłeś małe złote słoneczko. To ty mnie zabiłeś, Cieniu. To pewne, jak to, że woda jest mokra, dni długie, a przyjaciel zawsze w końcu cię zawiedzie.

Cień pragnął zauważyć, że to dość gorzka filozofia, podejrzewał jednak, iż po śmierci gorycz jest czymś naturalnym.

Wrócił na górę do głównych pomieszczeń. Grupa kobiet w średnim wieku oklejała folią półmiski z zapiekankami i nakładała pokrywki na plastikowe pojemniki z pieczonymi ziemniakami i makaronem z serem.

Pan Goodchild przyszpilił pana Ibisa do ściany i opowiadał mu, że dobrze wiedział, iż żadne z dzieci nie zjawi się, aby okazać szacunek matce. Jabłko pada niedaleko od jabłoni — poinformował wszystkich, którzy zechcieli słuchać. Niedaleko od jabłoni.

* * *

Tego wieczoru Cień przygotował dodatkowe miejsce przy stole. Przy każdym postawił szklankę, pośrodku butelkę złotego Jamesona, najdroższej irlandzkiej whisky sprzedawanej w miejscowym sklepie. Gdy już zjedli (wielki półmisek resztek, zostawionych przez kobiety), Cień nalał każdemu sporego drinka — sobie, Ibisowi, Jaquelowi i Szalonemu Sweeneyowi.

— Co z tego, że siedzi teraz na wózku w piwnicy — rzekł, rozlewając alkohol — i czeka go żebraczy pogrzeb. Dziś wieczór wypijemy za niego i urządzimy stypę, jakiej pragnął.

Cień uniósł szklankę w toaście, zwracając się do pustego miejsca.

— Za życia spotkałem Szalonego Sweeneya tylko dwukrotnie — powiedział. — Za pierwszym razem uznałem, że to frajer i drań, który kryje w sobie diabła. Za drugim razem pomyślałem, że totalnie

spieprzył swe życie, i dałem mu pieniądze, aby się zabił. Pokazał mi sztuczkę z monetami, której nie pamiętam, narobił sporo siniaków i twierdził, że jest leprechaunem. Spoczywaj w pokoju, Szalony Sweeneyu. — Pociągnął łyk whisky, pozwalając, by dymny smak rozszedł się w ustach. Pozostali także wypili, wraz z nim wznosząc toast w stronę pustego krzesła.

Pan Ibis sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął notatnik, przez chwilę szukał odpowiedniej strony, po czym odczytał skróconą wersję żywota Szalonego Sweeneya.

Według pana Ibisa Szalony Sweeney rozpoczął swe życie ponad trzy tysiące lat temu jako strażnik świętego kamienia na małej irlandzkiej łące. Pan Ibis opowiedział im o miłostkach Szalonego Sweeneya, jego wrogach, szaleństwie, które dawało mu moc. (, f o dziś dzień opowiada się późniejszą wersję tej opowieści, choć jej uświęcona natura i święte przesłanie zostały już zapomniane"), czci, jaką otaczano go niegdyś w ojczyźnie, powoli zamieniającej się w pełen rezerwy szacunek i w końcu w rozbawienie. Opowiedział o dziewczynie z Bantry, która przybyła do Nowego Świata i przywiozła ze sobą wiarę w Szalonego Sweeneya, leprechauna. Czyż bowiem nie spotkała go nocą nad stawem? Czyż nie uśmiechnął się do niej i nie nazwał jej własnym imieniem? Przybyła jako uciekinierka w ładowni statku, wypełnionej ludźmi, którzy patrzyli, jak ich ziemniaki zamieniają się w czarną maź, widzieli przyjaciół i kochanków umierających z głodu, marzyli o krainie pełnych brzuchów. Dziewczyna z Zatoki Bantry śniła o mieście, w którym zdołałaby zarobić dość, by sprowadzić do Nowego Świata rodzinę. Wielu Irlandczyków przybywających do Ameryki uważało się za katolików, nawet jeśli nie znali katechizmu, a jeśli religie, słyszeli tylko o Bean Sidhe, banshee zawodzących w murach domu, który wkrótce nawiedzi śmierć, i o świętej Bridge, niegdyś Bridget, jednej z trzech sióstr (pozostałe dwie także nosiły imię Bridget i były tą samą kobietą), oraz opowieści o Finnic, Osinie, Conanie Łysym — nawet o leprechaunach, małym ludku. (Czyż to nie typowy irlandzki żart? Leprechauny bowiem w swoich czasach były najwyższym ludem na wyspie…).

O wszystkim tym, i jeszcze więcej, opowiadał im pan Ibis owego wieczoru w kuchni. Jego cień na ścianie rozciągaj się coraz bardziej i po kilku łykach Cieniowi wydało się, że dostrzega głowę wielkiego wodnego ptaka — długi, zakrzywiony dziób. Gdzieś w połowie drugiej szklanki Szalony Sweeney zaczął wtrącać swoje trzy grosze do opowieści Ibisa („…cudna to była dziewczyna, o piersiach barwy śmietanki pokrytej piegami i sutkach czerwonoróżowych niczym wschód słońca w dniu, gdy przed południem lunie deszcz, a pod wieczór znów się rozjaśni…"). A potem Sweeney próbował, pomagając sobie obiema rękami, opowiedzieć dzieje bogów

irlandzkich, kolejnych fal przybywających z Galii, Hiszpanii, z całego cholernego świata. A każda kolejna fala przemieniała poprzednich bogów w trolle, wróżki i najdziwniejsze stwory. W końcu zjawił się święty Kościół i wszyscy bogowie w Irlandii stali się wróżkami, świętymi bądź martwymi królami. Nikt nawet nie pytał ich o zdanie…

Pan Ibis wytarł okulary w złotej oprawie i kiwając przed nimi palcem, wyjaśnił — wymawiając słowa jeszcze wyraźniej i dokładniej niż zwykle, toteż Cień wiedział, że tamten jest pijany (wskazywała na to wyłącznie wymowa i perlący się na czole pot, mimo zimna panującego w domu) — że jest artystą. Jego opowieści nie należy traktować jako dosłownych relacji, lecz odtworzenie wymyślonych faktów, prawdziwszych niż prawda.

— Ja ci pokażę wymyślone odtworzenie faktów — mruknął Szalony Sweeney. — Moja pięść zaraz wymyślnie odtworzy twoją pieprzoną gębę.

Pan Jaquel odsłonił zęby i warknął jak wielki pies, który nie pragnie walki, ale zawsze może ją zakończyć, rozdzierając człowiekowi gardło. Sweeney zrozumiał, usiadł i nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky.

— Pamiętasz, jak robić moją sztuczkę z monetami? — spytał Cienia z szerokim uśmiechem.

— Nie.

— Jeśli uda ci się zgadnąć — oznajmił Szalony Sweeney. Wargi miał fioletowe, błękitne oczy zasnute mgłą — powiem, gdy będziesz blisko.

— Nie ukrywasz jej w dłoni, prawda? — spytał Cień.

— Nie.

— To jakiś gadżet? Trzymasz coś w rękawie czy gdzie indziej? Coś, co wystrzeliwuje monety, które potem łapiesz?

— Ani jedno, ani drugie. Jeszcze komuś whisky?

— Czytałem kiedyś, że Sen Biedaka można wykonać dzięki lateksowi, którym powleka się dłoń, robiąc coś w rodzaju naturalnie wyglądającej kieszonki na monety.

— Cóż za smutna stypa. Wielki Sweeney, który niczym ptak fruwał po całej Irlandii w swym szaleństwie, żywiąc się rzeżuchą, umarł i opłakują go tylko ptak, pies i idiota. Nie, to nic z tych rzeczy.

— To tyle. Nie mam więcej pomysłów — mruknął Cień. — Przypuszczam, że po prostu bierzesz je znikąd. — To miał być sarkazm, nagle jednak dostrzegł wyraz twarzy Sweeneya. — Ty naprawdę to robisz — rzekł. — Bierzesz je znikąd.

— No nie do końca znikąd — odparł Szalony Sweeney — ale zaczynasz rozumieć. Monety pochodzą ze skarbu.

— Skarbu — powtórzył Cień. Coś sobie przypominał. — Tak.

— Musisz tylko widzieć go przed sobą, w umyśle, i możesz

czerpać do woli. Skarb Słońca. Pojawia się chwilach, gdy świat rodzi tęczę, w momencie zaćmienia i nadejścia burzy.

I pokazał Cieniowi, jak to zrobić. Tym razem Cień zapamiętał.

* * *

Potwornie bolała go głowa, język sprawiał wrażenie okręconego lepem na muchy. Cień zmrużył oczy, porażone blaskiem porannego słońca. Poprzedniego wieczoru zasnął z głową na kuchennym stole. Był ubrany, choć w którymś momencie ściągnął czarny krawat.

Zszedł na dół do kostnicy i z ulgą, choć bez specjalnego zdumienia, odkrył, że NN wciąż siedzi na stole sekcyjnym. Cień wyrwał z zaciśniętych palców trupa pustą butelkę po złotym Jamesonie i wyrzucił ją. Z góry dobiegły go odgłosy krzątaniny.

Kiedy wrócił do kuchni, pan Wednesday siedział przy stole i jadł plastikową łyżeczką resztki sałatki z pojemnika. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i krawat marengo. Promienie porannego słońca odbijały się w srebrnej spince w kształcie drzewa. Na widok Cienia uśmiechnął się szeroko.

— Cień, mój chłopcze, dobrze, że już wstałeś. Sądziłem, że będziesz spał wiecznie.

— Szalony Sweeney nie żyje — oznajmił.

— Tak, słyszałem o tym — odparł Wednesday. — Cóż za strata. Oczywiście, w końcu wszystkich nas to spotka. — Udał, że okręca szyję sznurem, gdzieś na poziomie uszu, a potem szarpnął głową na bok, wysuwając język i wybałuszając oczy. Była to bardzo niepokojąca pantomima. Po chwili wypuścił sznur i jego twarz rozjaśnił jakże znajomy uśmiech. — Masz ochotę na sałatkę ziemniaczaną?

— Raczej nie. — Cień rozejrzał się szybko po kuchni i holu. — Wiesz, gdzie podziali się Ibis i Jaquel?

— Oczywiście. Chowają właśnie panią Lilę Goodchild. Prawdopodobnie nie zmartwiłaby ich twoja pomoc, poprosiłem jednak, by cię nie budzili. Czeka nas długa jazda.

— Wyjeżdżamy?

— W ciągu godziny.

— Powinienem się pożegnać.

— Pożegnania są przereklamowane. Nie wątpię, że nim wszystko się skończy, jeszcze się spotkacie.

Po raz pierwszy od dnia jego przybycia brązowa kotka leżała w swym koszyku. Otwarła obojętne bursztynowe oczy, odprowadzając go wzrokiem.

I tak Cień opuścił dom umarłych. Cienka warstewka lodu pokrywała czarne, zimowe krzaki i drzewa, przemieniając je w rośliny rodem ze snu. Chodnik był niebezpiecznie śliski.

Wednesday poprowadził Cienia do białego Chevy Nova, zaparkowanego na drodze. Niedawno go umyto, tablice z Wisconsin zastąpiono tablicami z Minnesoty. Bagaż Wednesdaya leżał już na tylnym siedzeniu. Wednesday otworzył drzwi kluczykami stanowiącymi kopię tych, które wciąż tkwiły w kieszeni Cienia.

— Ja poprowadzę — rzekł. — Trzeba co najmniej godziny, żebyś nadawał się do użytku.

Pojechali na północ. Po lewej mieli Missisipi — szeroką srebrną rzekę pod szarym niebem. Nagle Cień dostrzegł na bezlistnym drzewie przy drodze wielkiego brązowo-białego sokoła, który patrzył na nich szalonymi oczami, a potem zerwał się do lotu, zataczając na niebie coraz szersze kręgi.

W tym momencie zrozumiał, iż pobyt w domu umarłych stanowił jedynie czasowy odpoczynek. Już teraz zaczynał odnosić wrażenie, jakby wszystko to spotkało kogoś innego, bardzo dawno temu.

CZĘŚĆ DRUGA
MÓJ AINSEL

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie mówiąc już o mitycznych stworach wśród rumowisk…

— Wendy Cope „Życie policjanta”

Gdy tego samego wieczoru opuścili stan Illinois, Cień zadał Wednesdayowi pierwsze pytanie. Ujrzał tablicę z napisem „Witamy w Wisconsin” i spytał:

— Kim byli ci goście, którzy porwali mnie z parkingu? Pan Wood i pan Stone. Kto to?

Reflektory wozu oświetlały zimowy krajobraz. Wednesday oznajmił, że nie będą jechali autostradą, bo nie wiadomo, po czyjej stronie są autostrady, toteż Cień trzymał się bocznych dróg. Nie miał nic przeciwko temu. Nie był nawet całkiem pewien, czy Wednesday rzeczywiście oszalał.

— Dwóch osiłków. — Wednesday mruknął głośno. — Członkowie drużyny przeciwnej. Czarne Kapelusze.

— Mam wrażenie — rzekł Cień — iż oni uważali, że noszą białe.

— Oczywiście, że tak. W całych dziejach ludzkości nie było prawdziwej wojny, w której nie walczyłyby dwa narody, każdy z nich przekonany, że racja leży po jego stronie. Najniebezpieczniejsi ludzie wierzą, że robią to, co robią, ponieważ bez dwóch zdań jest to najsłuszniejsza rzecz do zrobienia. Dlatego właśnie stają się niebezpieczni.

— A ty? — spytał Cień. — Czemu robisz to, co robisz?

— Bo tego chcę — odpowiedział Wednesday i uśmiechnął się szeroko. — Zatem wszystko w porządku.

— Jak mnie w ogóle znalazłeś? — spytał Cień. — A może im uciekłeś?

— Uciekliśmy — przytaknął Wednesday — choć było już gorąco. Gdyby nie zajęli się tobą, mogliby załatwić nas wszystkich. To przekonało kilka osób siedzących na uboczu, że nie oszalałem do końca.

— Jak się więc wydostaliście?

Wednesday pokręcił głową.

— Nie płacę ci za zadawanie pytań — oznajmił. — Już mówiłem.

Cień wzruszył ramionami.

Noc spędzili w Motelu Super 8, na południe od la Crosse.

Pierwszy dzień świąt upłynął im w drodze. Jechali na północny

wschód. Farmy przekształciły się w sosnowy las. Między kolejnymi osadami następowały coraz dłuższe kawałki pustki.

Świąteczny obiad zjedli po południu w rodzinnej restauracyjce w północno-środkowym Wisconsin. Cień bez entuzjazmu dziobał widelcem suchego indyka, słodki jak dżem sos żurawinowy, okropnie twarde pieczone ziemniaki i jadowicie zielony groszek z puszki. Sądząc po zapale, z jakim je zaatakował, i ciągłym oblizywaniu warg Wednesdayowi niezwykle smakowało. Z czasem stawał się coraz bardziej wylewny — mówił, śmiał się, żartował, a gdy tylko kelnerka znalazła się bliżej, flirtował z nią — niską, jasnowłosą dziewczyną o wyglądzie wyrzuconej ze szkoły licealistki.

— Przepraszam, moja droga, czy mógłbym prosić o jeszcze jeden kubek tej znakomitej gorącej czekolady? Ufam też, że nie uznasz mnie za natręta, gdy powiem, iż niezwykle pięknie ci w tej sukience. Świąteczna, ale z klasą.

Kelnerka, która miała na sobie jaskrawą czerwono-zieloną spódnicę, wykończoną srebrnymi foliowymi frędzlami, zachichotała, zarumieniła się i uśmiechnęła radośnie, po czym poszła po kolejny kubek czekolady dla Wednesdaya.

— Zgrabnie — rzekł Wednesday z namysłem, odprowadzając ją wzrokiem. — Stosownie — dodał.

Cień wątpił, by miał na myśli strój. Wednesday wpakował do ust ostatni plaster indyka, otarł brodę serwetką i odsunął talerz.

— Ach, jak dobrze. — Rozejrzał się po restauracji. W tle z taśmy leciały kolejne świąteczne piosenki. „Mały dobosz nie miał prezentów dla bliskich, para, pa, pam, rapa, pam, pam, rapa, pa, pam".

— Pewne rzeczy się zmieniają — powiedział nagle Wednesday. — Ale ludzie… ludzie zostają tacy sami. Niektóre oszustwa trwają wiecznie, inne giną wkrótce, pochłonięte przez świat i czas. Moje ulubione oszustwo jest już dziś niemożliwe. Jednakże mnóstwo innych okazało się ponadczasowymi — Hiszpański Więzień, Gołębi Łup, Zgrabny Chwyt — to samo co Gołębi Łup, tyle że ze złotym pierścieniem zamiast portfela, Skrzypek…

— Nigdy nie słyszałem o Skrzypku — wtrącił Cień. — O innych chyba tak. Mój stary kumpel z celi twierdził, że stosował Hiszpańskiego Więźnia. Był oszustem.

— Ach — westchnął Wednesday. Jego lewe oko zalśniło. — Skrzypek to naprawdę cudowny numer. Dwuosobowe oszustwo w najczystszej formie. Wykorzystuje chciwość i zachłanność, jak wszystkie wielkie oszustwa. Uczciwego człowieka też da się nabrać, wymaga to jednak więcej pracy. A zatem tak. Jesteśmy w hotelu, gospodzie, eleganckiej restauracji. Nagle widzimy mężczyznę w podniszczonym stroju — podniszczonym, lecz niegdyś eleganckim. To nie biedak, lecz bez wątpienia nie dopisało mu szczęście. Nazwijmy go

Abraham. Gdy nadchodzi pora uregulowania rachunku — nie jest to zbyt duży rachunek, rozumiesz: pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć dolarów — co za wstyd! Gdzie jego portfel? Dobry Boże, musiał zostawić go u przyjaciół. To niedaleko. Pójdzie i natychmiast odbierze portfel. „A oto, gospodarzu" — mówi Abraham, zanosząc tamtemu swe stare skrzypki — „oto mój skarb. Jak widzisz jest stary, lecz tak zarabiam na życie".

Gdy Wednesday dostrzegł zbliżającą się kelnerkę uśmiechnął się szeroko, drapieżnie.

— Ach, gorąca czekolada, przyniesiona przez gwiazdkowego anioła. Powiedz, moja droga, czy znajdziesz chwilę, by przynieść mi jeszcze tego doskonałego chleba?

Kelnerka (ile ma lat? — zastanawiał się Cień. Szesnaście? Siedemnaście?) wbiła wzrok w podłogę i zarumieniła się gwałtownie. Trzęsącymi się rękami odstawiła kubek i umknęła w kąt pomieszczenia, tuż obok obrotowej półki z ciastami. Tam przystanęła, patrząc na Wednesdaya. Po chwili ruszyła do kuchni, by przynieść chleb.

— A zatem skrzypce — bez wątpienia stare, może nawet nieco poobijane — trafiają z powrotem do futerału, a chwilowo pozbawiony pieniędzy Abraham wyrusza na poszukiwanie portfela. Jednakże pewien dobrze ubrany dżentelmen, który właśnie skończył jeść obiad, obserwuje z boku całą scenę. Teraz podchodzi do gospodarza. Czy mógłby — za pozwoleniem — obejrzeć skrzypce zostawione przez uczciwego Abrahama? Oczywiście, że może. Gospodarz wręcza mu je i mężczyzna w eleganckim stroju — nazwijmy go Harrington — otwiera szeroko usta, potem przypomina sobie o manierach, zamyka je, z ogromnym szacunkiem ogląda skrzypce niczym człek, którego dopuszczono do najświętszej kaplicy, aby zbadał kości świętego.

— Ależ! — mówi — to… to… muszą być… nie, niemożliwe… ale tak, owszem… Mój Boże! To niewiarygodne! — I wskazuje znak lutniarza na kawałku mocno pożółkłego papieru wewnątrz skrzypiec, dodając, że nawet bez tego poznałby je po kształcie, barwie drewna, układzie ślimaka.

Harrington sięga do kieszeni i wyjmuje elegancką wizytówkę, głoszącą, że jest znanym handlarzem rzadkich i antycznych instrumentów.

— A zatem to cenne skrzypce? — pyta gospodarz.

— O tak — odpowiada Harrington, wciąż patrząc na nie z zachwytem — i warte ponad sto tysięcy dolarów, jeśli się nie mylę. Nawet jako handlarz zapłaciłbym pięćdziesiąt — nie, siedemdziesiąt pięć tysięcy w gotówce za tak wspaniały okaz. Mam klienta na Zachodnim Wybrzeżu, który kupiłby je jutro bez oglądania. Wystarczy jeden telegram i zapłaci tyle, ile zażądam.

Nagle zerka na zegarek. Mina mu rzednie.

— Mój pociąg — mówi. — Mam już tylko tyle czasu, by go złapać. Szanowny panie, kiedy właściciel tego bezcennego instrumentu wróci, proszę przekazać mu moją wizytówkę, bo ja, niestety, muszę już iść. — Z tymi słowy Harrington wychodzi. Oto człowiek, który wie, że czas i pociągi nie czekają na nikogo.

Gospodarz ogląda skrzypce, a w jego myślach prócz ciekawości wzbiera zachłanna żądza. Powoli krystalizuje się w nich plan. Minuty jednak mijają, a Abraham nie wraca. Jest już późno, gdy drzwi otwierają się i do środka wkracza ubogi, lecz dumny skrzypek. W dłoni trzyma portfel — portfel, który oglądał już lepsze czasy, który nigdy nie krył w sobie więcej niż sto dolarów. Wyjmuje z niego pieniądze za pobyt, czy posiłek, i prosi o zwrot skrzypiec.

Gospodarz kładzie na barze skrzypce w futerale. Abraham bierze je i tuli niczym matka dziecko.

— Powiedz — rzecze gospodarz (elegancka wizytówka człowieka, który zapłaciłby gotówką pięćdziesiąt tysięcy dolarów pali go przez kieszeń) — ile warte są takie skrzypce? Moja siostrzenica bowiem bardzo pragnie uczyć się gry, a za tydzień ma urodziny.

— Miałbym sprzedać moje skrzypki? — rzecze Abraham. — Nie, nigdy! Mam je od dwudziestu lat, grałem na nich we wszystkich stanach Unii. A kiedy je kupiłem, zapłaciłem pięćset dolarów.

Gospodarz z trudem powstrzymuje uśmiech.

— Pięćset dolarów? A gdybym zaproponował tysiąc, tu i teraz?

Skrzypek uśmiecha się radośnie, potem jednak smutnieje.

— Ależ panie — rzecze — jestem skrzypkiem. Tylko to umiem. Te skrzypce znają mnie i kochają. Moje palce poznały je tak dobrze, że potrafią grać na nich nawet w ciemności. Gdzie znajdę podobne, o równie czystym tonie? Tysiąc dolarów to piękna suma, ale tu chodzi o moje utrzymanie. Nie wystarczy tysiąc, nawet pięć tysięcy.

Gospodarz dostrzega, że jego zysk maleje. To jednak tylko interes. Trzeba wydać pieniądze, by je zarobić.

— Osiem tysięcy dolarów — mówi. — Skrzypce nie są tyle warte, lecz spodobały mi się, a poza tym kocham siostrzenicę i lubię ją rozpieszczać.

Abraham ze łzami w oczach myśli o rozstaniu z ukochanymi skrzypcami. Jak jednak może odrzucić osiem tysięcy dolarów, zwłaszcza gdy gospodarz podchodzi do sejfu i wyjmuje nie osiem, lecz dziewięć tysięcy, starannie poukładanych, gotowych obciążyć pustą kieszeń skrzypka?

— Dobry z pana człowiek — mówi Abraham. — Prawdziwy święty, ale musi pan przysiąc, że zadba o moją miłą. — Z wahaniem wręcza mu skrzypce.

— Co jednak, jeśli gospodarz po prostu odda Abrahamowi

wizytówkę Barringtona i oznajmi, że mu się poszczęściło? — spytał Cień.

— Wówczas tracimy koszt dwóch obiadów — odparł Wednesday. Kawałkiem chleba zebrał z talerza resztki sosu i zjadł z apetytem.

— Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem. Abraham wychodzi z dziewięcioma tysiącami dolarów. Na parkingu przy dworcu spotyka Barringtona, dzielą się forsą, wsiadają do Forda A Barringtona i kierują się do następnego miasta. W bagażniku mają pewnie całe stosy skrzypiec po sto dolarów sztuka.

— Osobiście poczyniłem sobie za punkt honoru nigdy nie używać skrzypiec droższych niż po pięć dolców — odrzekł Wednesday i odwrócił się do czekającej obok kelnerki. — A teraz, moja droga, zaszczyć nas opisem rozkosznych deserów, które proponujecie nam w dzień narodzin Pana. — Patrzył na nią niemal lubieżnie, jakby nic, co mogła zaproponować, nie stanowiło tak apetycznego kąska jak ona sama. Cień poczuł się dziwnie niezręcznie, zupełnie jakby obserwował starego wilka osaczającego sarnę zbyt młodą, by wiedziała, że jeśli natychmiast nie zacznie uciekać, skończy na odległej polanie, a jej resztki rozdziobią kruki.

Dziewczyna zarumieniła się ponownie i oznajmiła, że na deser podają szarlotkę a la modę — „to znaczy z gałką lodów waniliowych" — ciasto świąteczne a la modę, albo czerwono-zielony pudding. Wednesday spojrzał jej prosto w oczy i oznajmił, że prosi o ciasto świąteczne a la modę. Cień podziękował.

— Numer ze skrzypcami — podjął Wednesday — ma co najmniej trzysta lat, może więcej. Jeśli dobrze wszystko skalkulujesz, wciąż możesz go wykręcić w całej Ameryce.

— Zdawało mi się, iż wspominałeś, że twoje ulubione oszustwo jest już przestarzałe — zauważył Cień.

— Istotnie. Lecz numer ze skrzypcami nie jest moim ulubionym. Mój ulubiony nazywano Biskupem. Było w nim wszystko: podstęp, podnieta, potencjał, niespodzianka. Od czasu do czasu myślę sobie, że może po wprowadzeniu małych zmian… — Zastanowił się przez moment, po czym potrząsnął głową. — Nie, jego czas minął. Powiedzmy, że jest rok tysiąc dziewięćset dwudziesty, w średnim bądź dużym mieście, Chicago, Nowym Jorku albo Filadelfii. Znajdujemy się w sklepie jubilerskim. Do środka wchodzi mężczyzna przebrany za duchownego — i to nie zwykłego duchowego, lecz biskupa, purpurata. Wybiera naszyjnik, wspaniały, kosztowny naszyjnik z brylantów i pereł i płaci za niego tuzinem nowiutkich studolarówek.

Na górnym banknocie widać smugę zielonego tuszu. Właściciel łagodnie, lecz stanowczo mówi, że musi przesłać banknoty do banku, aby je sprawdzono. Wkrótce jego pomocnik wraca z pieniędzmi. Bank twierdzi, że są prawdziwe. Właściciel ponownie przeprasza, biskup

przyjmuje to wyrozumiale, doskonale pojmuje, w czym rzecz. Po świecie kręci się tylu bezbożników, panuje gwałt i bezprawie — i te bezwstydne kobiety. A teraz, gdy świat podziemny wynurzył się z rynsztoków i ożył na ekranach kin, cóż się stanie z Ameryką? Naszyjnik trafia do futerału, a jubiler stara się nie zastanawiać, po co biskupowi klejnot wart tysiąc dwieście dolarów i czemu płaci za niego gotówką.

Biskup żegna go serdecznie i wychodzi na ulicę. W tym momencie na jego ramię spada ciężka dłoń.

— Soapy, stary draniu. Znów zaczynasz stare sztuczki? — Rosły, poczciwy policjant o uczciwej irlandzkiej twarzy wprowadza biskupa do sklepu jubilera.

— Przepraszam najmocniej, ale czy ten człowiek kupił coś właśnie u pana? — pyta policjant.

— Oczywiście, że nie — odpowiada biskup. — Proszę powiedzieć, że nie.

— Ależ tak — mówi jubiler. — Kupił ode mnie naszyjnik z pereł i brylantów. Zapłacił gotówką.

— Ma pan te banknoty? — pyta gliniarz.

Jubiler wyjmuje z kasy kilkanaście studolarówek i wręcza je policjantowi, który unosi banknoty pod światło i z podziwem kręci głową.

— Och, Soapy, Soapy, to twoja najlepsza robota. Prawdziwy z ciebie artysta, stary.

Na usta biskupa wypełza uśmieszek.

— Niczego nie udowodnisz. Bank stwierdził, że są w porządku. Prawdziwe zielone.

— Nie wątpię w to ani przez moment — zgadza się policjant. — Nie sądzę jednak, by ktoś uprzedził bank, że w mieście pojawił się Soapy Sylvester, ani wspomniał o jakości studolarówek, które rozprowadzałeś w Denver i St. Louis. — To rzekłszy, sięga do kieszeni biskupa i wyciąga naszyjnik. — Perły i brylanty za tysiąc dwieście dolców w zamian za papier i tusz za pięćdziesiąt centów! Policjant wzdycha, to niewątpliwie filozof w głębi serca. — I w dodatku udajesz człowieka Kościoła. Powinieneś się wstydzić. — Zatrzaskuje kajdanki na przegubach biskupa, który najwyraźniej nie jest biskupem, i wyprowadza go. Wcześniej wręcza jubilerowi pokwitowanie odbioru naszyjnika i tysiąca dwustu fałszywych dolarów. W końcu to dowody.

— Naprawdę były fałszywe? — spytał Cień.

— Oczywiście, że nie. Świeże banknoty prościutko z banku, jedynie ozdobione smugą zielonego tuszu i odciskiem kciuka, by wyglądały nieco bardziej interesująco.

Cień pociągnął łyk kawy. Była gorsza niż w więzieniu.

— A zatem, policjant to nie policjant. A naszyjnik?

— Dowód. — Wednesday odkręcił solniczkę, wysypał na stół stosik soli. — Jubiler dostał pokwitowanie, zapewniono go, że odzyska naszyjnik, gdy tylko Soapy stanie przed sądem. Policjant gratuluje mu postawy obywatelskiej, a on słucha z dumą, myśląc już o tym, jaką świetną historię opowie jutro kolegom w klubie. Policjant wyprowadza ze sklepu człowieka udającego biskupa, W jednej kieszeni ma tysiąc dwieście dolarów, w drugiej brylantowy naszyjnik. I razem kierują się na komisariat, do którego nigdy nie dotrą.

Kelnerka powróciła, aby wytrzeć stół.

— Powiedz, moja droga — rzekł Wednesday. — Jesteś mężatką?

Pokręciła głową.

— Zdumiewające, że nikt jeszcze nie złowił tak uroczej, młodej panny. — Paznokciem grzebał w rozsypanej soli, kreśląc szerokie, przypominające runy figury. Kelnerka stała obok niego. Teraz bardziej niż sarnę przypominała Cieniowi młodego królika, pochwyconego w światła reflektorów ogromnej ciężarówki, zastygłego w lęku i niepewności.

Wednesday zniżył głos, tak że Cień siedzący naprzeciw niego ledwie go słyszał.

— O której kończysz pracę?

— O dziewiątej — odparła i przełknęła ślinę. — Najpóźniej o dziewiątej trzydzieści.

— Jaki jest najlepszy motel w okolicy?

— Mamy tu Motel 6 — odparła. — To niewiele, ale zawsze.

Wednesday musnął palcami wierzch jej dłoni, pozostawiając na skórze ziarenka soli. Nie próbowała ich strzepnąć.

— Dla nas — rzekł niskim, niemal niesłyszalnym tonem — stanie się on pałacem rozkoszy.

Kelnerka spojrzała na niego, przygryzła wąskie wargi, zawahała się, po czym skinęła głową i umknęła do kuchni.

— Daj spokój — rzucił Cień. — Jest taka młoda. Za to wchodzi prokurator.

— Nigdy nie przejmowałem się prokuratorami — odparł Wednesday. — Poza tym jej potrzebuję. Nie jako jej samej, lecz by nieco się ożywić. Nawet król Dawid wiedział, że istnieje jeden sposób ożywienia krwi w starym ciele: weź dziewicę i wezwij mnie rano.

Cień odkrył, że zastanawia się, czy dziewczyna w recepcji w hotelu w Eagle Point była dziewicą.

— Nie boisz się chorób? — spytał — A jeśli wpadniesz? Jeśli ona ma brata?

— Nie — odparł Wednesday. — Nie boję się chorób. Ja nie choruję. Niestety, tacy jak ja zwykle-strzelają ślepakami, toteż nie ryzykuję zapłodnienia. W dawnych czasach to się zdarzało. Teraz też jest możliwe, lecz tak nieprawdopodobne, że trudno to sobie

wyobrazić, więc się nie boję. Wiele dziewczyn ma braci i ojców. To nie mój problem. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zdążę opuścić miasto.

— A zatem zostajemy tu na noc?

Wednesday podrapał się po brodzie.

— Ja nocuję w Motelu 6 — oznajmił. Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął klucz barwy brązu, z doczepioną tabliczką z adresem Northridge Rd 502, numer 3. — Na ciebie natomiast czeka mieszkanie, w miasteczku daleko stąd. — Wednesday na moment przymknął powieki, po czym na Cienia znów spojrzały szare, lśniące, odrobinę różniące się od siebie oczy. — Za dwadzieścia minut zjawi się tu autobus Greyhounda. Zatrzymuje się na stacji benzynowej. Oto bilet. — Wyciągnął złożony bilet autobusowy. Popchnął go po stole. Cień obejrzał go uważnie.

— Kto to jest Mike Ainsel? — spytał. Na bilecie widniało takie nazwisko.

— Ty. Wesołych świąt.

— A gdzie jest Lakeside?

— To twój szczęśliwy dom w nadchodzących miesiącach. A teraz, ponieważ wszystko co dobre przychodzi trójkami… — Wyciągnął z kieszeni małą, ozdobnie zapakowaną paczuszkę i pchnął w stronę Cienia. Zatrzymała się obok butelki z ketchupem, pokrytej zaschniętymi, czarnymi zaciekami.

Cień nie zareagował.

— Na co czekasz?

Powoli, z wahaniem rozdarł czerwony papier i ujrzał portfel z jasnej cielęcej skórki, wyświecony i używany. Bez wątpienia wcześniej do kogoś należał. W środku tkwiło prawo jazdy ze zdjęciem Cienia, na nazwisko Michael Ainsel, z adresem w Milwaukee, karta kredytowa Mastercard, wystawiona dla M. Ainsela i dwadzieścia świeżutkich pięćdziesięciodolarówek. Cień zamknął portfel i schował do wewnętrznej kieszeni.

— Dzięki.

— Możesz to uznać za premię gwiazdkową. Pozwól, że odprowadzę cię teraz na stację. Pomacham ci, gdy szary ogar uwiezie cię na północ.

Wyszli przed restaurację. Cień zdumiał się, czując, jak bardzo spadła temperatura w ciągu ostatnich kilku godzin. Miał wrażenie, że jest za zimno na śnieg, agresywnie zimno. Czekała ich ostra zima.

— Hej, Wednesday? Oba numery, które mi opisałeś — oszustwo ze skrzypcami i biskupem, biskupem i policjantem… — Zawahał się, próbując zebrać myśli, oblec je w słowa.

— Co z nimi?

W końcu załapał.

— Oba są dwuosobowe. Potrzeba do nich dwóch ludzi. Miałeś kiedyś wspólnika?

Oddech Cienia parował w mroźnym powietrzu. Cień poprzysiągł sobie, że gdy dotrze do Lakeside, wyda część świątecznej premii na najcieplejszy, najgrubszy zimowy płaszcz, jaki zdoła znaleźć.

— Tak — odparł Wednesday. — Tak, miałem wspólnika. Młodszego wspólnika. Niestety, te czasy już minęły. A oto stacja benzynowa i, jeśli mnie oko nie myli, autobus. — Greyhound włączył właśnie kierunkowskaz, sygnalizując skręt na parking. — Adres masz przy kluczu. Jeśli ktokolwiek spyta, jestem twoim wujem, noszącym z radością i dumą niezwykłe nazwisko Emerson Borson. Urządź się w Lakeside, siostrzeńcze Ainselu. Zjawię się w ciągu tygodnia. Będziemy razem podróżować, odwiedzać ludzi, których muszę odwiedzić. Tymczasem nie wychylaj się i trzymaj z dala od kłopotów.

— Mój wóz? — zaczął Cień.

— Zajmę się nim. Baw się dobrze w Lakeside.

Wednesday wyciągnął rękę i Cień uścisnął ją. Jego dłoń była zimniejsza niż ręka trupa.

— Jezu — westchnął Cień. — Zimny jesteś.

— Zatem im szybciej złożę się w bestię o dwóch grzbietach z gorącą panną z restauracji w pokoju w Motelu 6, tym lepiej. — Drugą ręką uścisnął ramię Cienia.

W tym momencie świat postrzegany przez Cienia rozdwoił się nagle. Widział przed sobą stojącego starszego, siwiejącego mężczyznę, ściskającego mu ramię. Jednocześnie jednak ujrzał coś innego: wiele, jakże wiele zim, setki zim, i szarego człowieka w kapeluszu z szerokim rondem, wędrującego od osady do osady, wspartego na lasce, zaglądającego przez okna, za którymi płonie ogień, panuje radość i gorące życie, którego nikt nie zdoła dotknąć, nigdy nie poczuje…

— Idź. — Głos Wednesdaya dodawał otuchy. — Wszystko jest dobrze, wszystko dobrze, i wszystko będzie dobrze.

Cień pokazał bilet kobiecie za kierownicą.

— Mamy dzień na podróż — zauważyła, a potem dodała z pewną satysfakcją: — Wesołych świąt.

Autobus był prawie pusty.

— Kiedy dotrzemy do Lakeside? — spytał Cień.

— Za dwie godziny, może trochę więcej — odparła. — Mówią, że idzie fala mrozów. Kciukiem przesunęła przełącznik i drzwi zamknęły się z sykiem.

Cień przeszedł do połowy autobusu, maksymalnie opuścił oparcie i pogrążył się w myślach. Kołysanie i ciepło zaćmiły mu umysł. Nim się zorientował, już spał.

* * *

W ziemi i pod ziemią. Znaki na ścianie miały barwę czerwonej, mokrej gliny — odciski dłoni, palców, tu i ówdzie rozrzucone prymitywne wizerunki zwierząt, ludzi i ptaków.

Ogień cały czas płonął. Człowiek-bawół wciąż siedział po drugiej stronie, patrząc na Cienia wielkimi oczami, oczami niczym studnie pełne czarnego błota. Wargi bawołu otoczone splątanymi brązowymi włosami nie poruszały się, choć rozległ się jego głos:

— I co, uwierzyłeś już?

— Nie wiem — odparł Cień. Jego usta także się nie poruszały. Choć mówili do siebie, to nie w sposób znany Cieniowi. Zupełnie nie przypominało to mowy. — Czy ty jesteś prawdziwy?

— Uwierz.

— Czy ty jesteś prawdziwy?

— Uwierz — rzekł człowiek-bawół.

— Czy ty… — Cień zawahał się i w końcu spytał: — Czy też jesteś bogiem?

Człowiek-bawół włożył dłoń w ogień i wyciągnął płonącą gałąź. Ujął ją w połowie. Błękitne i żółte płomienie lizały czerwoną rękę, ale nie parzyły.

— To nie jest kraj dla bogów — oznajmił człowiek-bawół. Lecz teraz to nie on mówił; Cień we śnie pojął, że to przemawia ogień, trzaskający, tańczący płomień, który zwraca się do niego w mrocznym miejscu pod ziemią.

— Krainę tę wydźwignął z głębin nurek — rzekł ogień. — Pająk utkał ją z własnej materii. Została wysrana przez kruka. To ciało powalonego Ojca, którego kości stały się górami, a oczy jeziorami.

— To kraina snów i ognia — rzekł płomień.

Człowiek-bawół odrzucił gałąź z powrotem do ogniska.

— Czemu mówisz mi te wszystkie rzeczy? Ja przecież nie jestem ważny. Jestem nikim. Byłem niezłym trenerem, kiepskim drobnym przestępcą i może nie tak dobrym mężem, jak sądziłem… — Urwał.

— Jak mam pomóc Laurze? — spytał po chwili człowieka-ba — wołu. — Ona chce znów żyć. Obiecałem, że jej pomogę. Jestem jej to winien.

Tamten milczał. Wskazał ręką w stronę sklepienia jaskini. Cień podążył wzrokiem za jego gestem. Przez maleńki otwór daleko w górze przebijało słabe zimowe światło.

— Na górę? — spytał Cień z nadzieją, że uzyska odpowiedź choć na jedno pytanie. — Wejść na górę? — I wówczas sen zawładnął nim bez reszty. Pomysł stał się rzeczywistością i Cienia otoczyła ciężka, kamienista ziemia. Niczym kret próbował przepychać się przez nią,

jak borsuk kopiący w ziemi, jak świstak przebijający się naprzód, niczym niedźwiedź. Lecz ziemia była zbyt twarda, zanadto ubita. Oddychał coraz ciężej i wkrótce nie mógł już iść dalej, kopać ani się wspinać. Wiedział, że umrze gdzieś w głębinach świata.

Jego własna siła nie wystarczyła, miał jej coraz mniej. Wiedział, że choć jego ciało siedzi teraz w ciepłym autobusie przejeżdżającym przez zimowe lasy, to jeśli przestanie oddychać tu, pod światem, tam także umrze. A w tej chwili dyszał już coraz ciężej.

Szarpał się i próbował pchać naprzód, coraz słabiej. Z każdym ruchem zużywał resztki bezcennego powietrza. Ugrzązł w pułapce. Nie mógł iść dalej ani wrócić tam, skąd przyszedł.

— Teraz złóż ofertę — usłyszał głos w swym umyśle.

— Co mógłbym zaoferować? — spytał Cień. — Nie mam nic. Czuł w ustach smak gliny, gęstej, zapiaszczonej.

I wtedy zrozumiał.

— Oprócz samego siebie. Mam przecież siebie, prawda?

Odniósł wrażenie, jakby wszystko wokół wstrzymało oddech.

— Proponuję siebie — powiedział.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Otaczające go kamienie i ziemia zaczęły napierać na Cienia, ściskać go tak mocno, że wypchnęły mu ostatnią drobinę powietrza z płuc. Nacisk zamienił się atakujący ze wszystkich stron w ból. Osiągnął szczyt bólu i pozostał na nim, wiedząc, że dłużej tego nie wytrzyma. W tym momencie ucisk zelżał. Cień znów mógł odetchnąć. Światło nad nim stało się większe.

Coś pchało go ku powierzchni. Gdy nadszedł następny wstrząs, Cień próbował dać się mu ponieść. Tym razem poczuł pchanie w górę.

Podczas ostatniego skurczu ból był niewiarygodny. Poczuł, jak coś go miażdży, przeciska, przepycha przez nieustępliwą szczelinę skalną. Jego kości pękały z trzaskiem, ciało zmieniało się w bezkształtny strzęp. Gdy jego usta i zmiażdżona głowa wynurzyły się z dziury, zaczął krzyczeć ze strachu i bólu.

Krzycząc, zastanawiał się, czy na jawie także krzyczy — czy wrzeszczy przez sen w ciemnym autobusie.

Gdy spazm dobiegł końca, Cień leżał na ziemi, ściskając w palcach czerwoną glinę.

Powoli dźwignął się do pozycji siedzącej. Otarł dłonią twarz i spojrzał w niebo. Był zmierzch: długi, fioletowy zmierzch. Na firmamencie rozbłyskiwały gwiazdy, jedna po drugiej, znacznie jaśniejsze i wyraźniejsze niż te, które oglądał na żywo bądź w wyobraźni.

— Wkrótce — oznajmił trzeszczący głos płomienia, dobiegający zza pleców — wszystkie spadną. Wkrótce spadną i ludzie z gwiazd spotkają ludzi z ziemi. Wśród nich przybędą bohaterowie, ludzie, którzy zabiją potwory i przyniosą ze sobą wiedzę. Lecz nie bogowie.

To kiepskie miejsce dla bogów.

Jego twarz owiała fala powietrza, szokująco zimnego. Zupełnie jakby ktoś chlusnął nań lodowatą wodą. Usłyszał głos kobiety zza kierownicy, informujący, że dotarli do Pinewood.

— Jeśli ktoś chce zapalić albo rozprostować nogi, postój trwa dziesięć minut. Potem ruszamy w dalszą drogę.

Cień wygramolił się z autobusu. Stali przed kolejną wiejską stacją benzynową, niemal identyczną z tą, z której odjeżdżał. Kobieta pomagała dwójce nastolatek wejść do środka i umieszczała walizki w luku bagażowym.

— Hej! — zawołała na widok Cienia — Wysiada pan w Lakeside, zgadza, się?

Cień skinął głową sennie.

— To naprawdę dobre miasto — oznajmiła. — Czasami myślę, że gdybym miała gdzieś się przenieść, to właśnie do Lakeside. Najładniejsze miasteczko, jakie kiedykolwiek widziałam. Od dawna pan tam mieszka?

— To moja pierwsza wizyta.

— Proszę zjeść w moim imieniu pierożek u Mabel, dobrze?

Cień postanowił nie prosić o wyjaśnienie.

— Przepraszam — rzekł. — Czy mówiłem może przez sen?

— Jeśli nawet, to nic nie usłyszałam. Wracam do autobusu. Powiem, kiedy dotrzemy do Lakeside.

Dwie dziewczynki — wątpił, by któraś mała więcej niż czternaście lat — które wsiadły w Pinewood, siedziały teraz tuż przed nim. Cień, przysłuchując się mimo woli ich rozmowie, uznał, że to przyjaciółki, nie siostry. Jedna nie miała pojęcia o seksie, wiedziała natomiast mnóstwo o zwierzętach — pomagała albo spędzała wiele czasu w schronisku. Drugiej zwierzęta nie interesowały, dysponowała natomiast arsenałem mnóstwa ciekawostek zebranych z Intemetu i telewizji i zdawało jej się, że doskonale zna się na ludzkiej seksualności. Cień ze zgrozą i rozbawieniem słuchał, jak młoda światowa dama udziela przyjaciółce instrukcji używania tabletek musujących Alka-Seltzer do zwiększania przyjemności w seksie oralnym.

Potem znów zaczął się wyłączać, obojętny na wszystko poza szumem silnika. Od czasu do czasu przez mur przebijały się strzępy rozmowy.

— Goldie to taki fajny pies. Czystej krwi retriever. Gdyby tylko mój tato się zgodził! Na mój widok zawsze merda ogonem.

— Są święta, musi mi pozwolić wziąć skuter śnieżny.

— Możesz zapisać językiem swoje imię na boku jego interesu.

— Tęsknię za Sandym.

— Tak, mnie też go brakuje.

— Dziś ma spaść dziesięć centymetrów, ale to tylko wymysły. Wymyślają te prognozy i nikt jeszcze nie przyłapał…

A potem syknęły hamulce. Kobieta za kierownicą krzyknęła:

— Lakeside! — I drzwi otwarły się z trzaskiem.

Cień podążył w ślad za dziewczynkami na oświetlony reflektorami parking przed wypożyczalnią wideo i solarium, najwyraźniej pełniący rolę dworca autobusowego w Lakeside. Było upiornie zimno, ale jednocześnie orzeźwiająco. Ów mróz obudził Cienia, który powiódł wzrokiem po światłach miasta na południu i zachodzie i po zamarzniętej tafli jeziora na wschodzie.

Dziewczynki stały na parkingu, rozpaczliwie tupiąc i chuchając w ręce. Jedna z nich, młodsza, spojrzała ukradkiem na Cienia i uśmiechnęła się zawstydzona, odkrywszy, że to zauważył.

— Wesołych świąt — powiedział Cień.

— Tak — mruknęła druga dziewczyna, starsza ‘o jakiś rok od pierwszej. — Panu także. — Miała rude, marchewkowe włosy i zadarty nos, pokryty setkami tysięcy piegów.

— Ładne miasteczko — zauważył Cień.

— Nam też się podoba — odparła młodsza. To ona lubiła zwierzęta. Obdarzyła Cienia nieśmiałym uśmiechem, ukazując niebieskie klamry na przednich zębach. — Wygląda pan jak ktoś — powiedziała z powagą. — Jest pan czyimś bratem, czyimś synem, czy coś takiego?

— Ależ z ciebie frajerka, Alison — westchnęła przyjaciółka. — Każdy jest czyimś synem, bratem czy czymś takim.

— Nie o to mi chodziło… — zaczęła Alison.

Nagle przez moment całą trójkę zalał blask reflektorów należących do furgonetki kierowanej ręką matki. Po chwili furgonetka połknęła dziewczęta i ich bagaże, pozostawiając Cienia samotnego na parkingu.

— Młody człowieku, mógłbym coś dla ciebie zrobić? — Stary mężczyzna zamykał właśnie wypożyczalnię. Wsunął do kieszeni klucze. — W święta zamknięte — oświadczył wesoło — ale zawsze wychodzę na autobus. Sprawdzam, czy wszystko w porządku. Nie potrafiłbym znieść myśli, że jakiś biedak utknął tu w święta. — Był tak blisko, że Cień widział dokładnie jego twarz, starą, lecz zadowoloną, oblicze człowieka, który niejeden raz musiał wypić ocet serwowany przez życie i odkrył, że zwykle w istocie jest to whisky, i to całkiem dobra whisky.

— No, mógłby mi pan podać numer miejscowej firmy taksówkowej — odrzekł Cień.

— Mógłbym — powiedział z powątpiewaniem starzec. — Ale Tom o tej porze leży już w łóżku. A nawet gdybyś zdołał go do — budzić, nic by to nie dało — widziałem go wcześniej w barze „Pod

ostatnim groszem", bardzo wesołego. Bardzo, bardzo wesołego. Dokąd się wybierasz?

Cień pokazał mu adres na etykietce przy kluczu.

— No cóż — mruknął starzec. — To dziesięć, może dwadzieścia minut spacerkiem przez most. Ale w taki mróz spacer to żadna przyjemność, a kiedy się nie wie, gdzie się idzie, wszystko wydaje się trwać dłużej — zauważyłeś? Pierwszy raz trwa całe wieki. Każdy następny mgnienie oka.

— Tak — przyznał Cień. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale to chyba prawda.

Stary człowiek kiwnął głową. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— A co mi tam, są święta. Zawiozę cię Tessie.

Cień ruszył w ślad za nim, w stronę drogi, gdzie czekał duży, stary samochód. Wyglądał jak wóz gangsterski z ryczących lat dwudziestych, z błotnikami itd. W blasku sodowych latarni wydawał się ciemny — może czerwony, może zielony.

— To właśnie Tessie — oznajmił przewodnik Cienia. — Czyż nie śliczna? — Poklepał ją gestem właściciela, w miejscu, gdzie maska zakrzywiała się w łuk nad przednim kołem.

— Co to za marka? — spytał Cień.

— Wendt Phoenix. Wendt zbankrutował w trzydziestym pierwszym roku. Nazwę wykupił Chrysler, ale nigdy nie produkowali wozów tej marki. Harvey Wendt, założyciel firmy pochodził właśnie stąd. Wyjechał do Kalifornii, zabił się w czterdziestym pierwszym albo czterdziestym drugim roku. Wielka tragedia.

W samochodzie pachniało skórą i starym dymem papierosowym. Najwyraźniej dostatecznie wielu ludzi wypaliło przez lata w środku dość dużo papierosów i cygar, by woń palonego tytoniu stała się integralną częścią samego samochodu. Stary człowiek przekręcił klucz w stacyjce i Tessie natychmiast zapaliła.

— Jutro — poinformował Cienia — odstawiam ją do garażu. Na — kryję pokrowcem i zostawię tam do wiosny. Prawdę mówiąc, w tej chwili też nie powinienem nią jeździć. Nie po tym, gdy spadł śnieg.

— Źle się nią jeździ w śniegu?

— Ależ nie. Chodzi o sól, którą posypują drogi. Trudno uwierzyć, jak szybko niszczy podobne ślicznotki. Chcesz od razu jechać na miejsce czy masz ochotę na wycieczkę po mieście w blasku księżyca?

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

— Żaden kłopot. Jeśli dożyjesz mojego wieku, będziesz wdzięczny za każdą chwilę snu. W dzisiejszych czasach cieszę się, gdy uda mi się przespać pięć godzin. Potem budzę się i myśli wirują mi w głowie. Ale, ale, gdzie moje maniery. Nazywam się Hinzelmann. Powiedziałbym: mów mi Richie, lecz miejscowi, którzy mnie znają,

wszyscy zwracają się do mnie Hinzelmann. Uścisnąłbym ci dłoń, ale potrzebuję obu na kierownicy. Tessie wie, kiedy ją zaniedbuję.

— Mike Ainsel — odparł Cień. — Miło mi cię poznać, Hinzelmann.

— Pojedziemy zatem dookoła jeziora. Prawdziwy objazd — oznajmił Hinzelmann.

Główna ulica, na której się znajdowali, sprawiała miłe wrażenie nawet w nocy i wyglądała staroświecko w najlepszym znaczeniu tego słowa — jakby od stu lat ludzie dbali o tę ulicę i nie chcieli tracić niczego, co polubili.

Hinzelmann wskazał kolejno dwie tutejsze restauracje (niemiecką i drugą, którą opisał jako „Częściowo grecką, częściowo norweską i bułeczka przy każdym talerzu"), a także piekarnie i księgarnię („Zawsze powtarzam, że miasto nie jest miastem, jeśli nie ma w nim księgarni. Może nazywać się miastem, ale bez księgarni nikogo nie nabierze"). Zwolnił, przejeżdżając obok biblioteki, by Cień mógł przyjrzeć się jej bliżej. Nad drzwiami migotały stare lampy gazowe — Hinzelmann pokazał mu je z dumą.

— Ufundował ją w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku John Hennig, miejscowy baron drzewny. Chciał ją nazwać Biblioteką Henniga, lecz po jego śmierci ludzie zaczęli mówić Biblioteka Lakeside i pozostanie już nią do końca swych dni. Czyż to nie cudo? — W jego głosie pobrzmiewała duma, zupełnie jakby sam zbudował cały gmach. Budynek skojarzył się Cieniowi z zamkiem i Cień powiedział to głośno.

— Zgadza się — przytaknął Hinzelmann. — Wieżyczki i tak dalej. Hennig chciał, by to tak wyglądało. Wewnątrz wciąż mają stare sosnowe regały. Miriam Schultz chce wszystko wywalić i unowocześnić, ale wciągnięto je do rejestru zabytków i nic nie może na to poradzić.

Objechali południowy brzeg jeziora. Miasto okrążało leżący dziesięć metrów w dole zbiornik wody. Cień dostrzegał białe plamy nieprzejrzystego lodu; lśniąca kałuża odbijała światła miasta.

— Zamarza — zauważył.

— Od miesiąca jest zamarznięte — odparł Hinzelmann. — Te jaśniejsze plamy to śnieżne wysepki, czyste to lód. Zamarzło tuż po Święcie Dziękczynienia, w jedną zimną noc. Gładkie jak szkło. Łowisz może ryby w przeręblі, mój panie Ainselu?

— Nigdy.

— To najlepsze zajęcie dla mężczyzny. Nie chodzi o ryby, które chwytamy, ale o spokój. Zanosimy go do domu na zakończenie dnia.

— Zapamiętam sobie. — Cień wyjrzał przez okno Tessie. — Można już po nim chodzić?

— Chodzić, jeździć też. Ale jeszcze bym nie ryzykował.

— Od sześciu tygodni mamy mróz — odparł Hinzelmann. — Jednak tu, w północnym Wisconsin, takie rzeczy dzieją się mocniej i szybciej niż gdzie indziej. Kiedyś wybrałem się na polowanie na jelenia, trzydzieści, czterdzieści lat temu. Strzeliłem do koziołka, spudłowałem i ujrzałem, jak ucieka przez las — działo się to po północnej stronie jeziora, w pobliżu twojego obecnego mieszkania, Mike. Zwierzę było piękne, najwyższej klasy. Wielkością dorównywało małemu koniowi. Byłem wtedy młodszy i pełen energii, pomyślałem: „W tym roku jeszcze przed Halloween zaczął padać śnieg, teraz mamy Święto Dziękczynienia". Warstwa śniegu pokrywała ziemię, świeża, nietknięta, widziałem odciski kopyt jelenia. Wyglądało na to, że w panice skierował się w stronę jeziora.

Tylko dureń próbuje doścignąć kozła, ale też ze mnie był cholerny głupiec. Zobaczyłem go stojącego w wodzie, głębokiej na jakieś trzydzieści centymetrów. Spojrzał na mnie. W tym momencie słońce zaszło za chmurę, nadszedł mróz — temperatura w ciągu minuty spadła o dwadzieścia stopni, słowo daję. Jeleń szykuje się do ucieczki i nie może się ruszyć. Utknął w lodzie.

Podchodzę do niego powoli. Widać, że chce zwiać, ale nic z tego. Przymarzł na dobre. Nie potrafię się jednak zmusić do zastrzelenia bezbronnego zwierzaka, który nie może uciec — co za mężczyzna byłby ze mnie. Wyjmuję więc dubeltówkę i strzelam prosto w powietrze.

Hałas i wstrząs wystarczą, by jeleń wyskoczył ze skóry — i przy przymarzniętych nogach dokładnie to zrobił. Zostawia za sobą skórę i rogi i ucieka do lasu różowiutki jak nowo narodzona mysz i drżący z zimna.

Pożałowałem wtedy jelenia i porozmawiałem z kółkiem robótek ręcznych z Lakeside i namówiłem, by panie wydziergały mu coś ciepłego. Zrobiły zatem wełniany kombinezon, by nie zamarzł na śmierć. Oczywiście, ostatecznie to on śmiał się ostatni, bo ubranko było wydziergane z jaskrawopomarańczowej wełny i żaden myśliwy nie strzeliłby w jego stronę. W tych okolicach myśliwi w czasie sezonu noszą jaskrawopomarańczowe ciuchy — dodał gwoli wyjaśnienia. — A jeśli sądzisz, że w historii tej jest choćby ziarno nieprawdy, mogę ci udowodnić. Do dziś w moim gabinecie wiszą rogi.

Cień roześmiał się. Stary człowiek odpowiedział pełnym zadowolenia uśmiechem doświadczonego gawędziarza. Zahamowali przed ceglanym budynkiem o dużej drewnianej werandzie, z której zwisały złociste lampki, mrugające zachęcająco.

— Numer pięćset dwa — oznajmił Hinzelmann. — Mieszkanie numer trzy to najwyższe piętro, wejście z drugiej strony, okna na jezioro. Jesteśmy na miejscu, Mike.

— Dziękuję, panie Hinzelmann. Czy mógłbym dorzucić się do

benzyny?

— Po prostu Hinzelmann. I nie, nie jesteś mi winien ani grosza. Wesołych świąt ode mnie i od Tessie.

— Na pewno nie przyjmie pan niczego?

Starzec podrapał się po brodzie.

— Powiem ci coś — rzekł. — W przyszłym tygodniu zjawię się u ciebie, żeby sprzedać bilety na loterię. Charytatywną. A na razie, młodzieńcze, lepiej kładź się do łóżka.

Cień uśmiechnął się.

— Wesołych świąt, Hinzelmannie.

Stary człowiek uścisnął dłoń Cienia ręką o czerwonych kostkach, twardą i sękatą niczym dębowa gałąź.

— Uważaj na ścieżce, jest ślisko. Widzę stąd twoje drzwi. Z boku, o tam. Zaczekam tu, w wozie, póki nie dotrzesz do środka. Możesz unieść kciuk, a wtedy odjadę.

Czekał z włączonym silnikiem, aż Cień wdrapie się bezpiecznie po drewnianych schodach z boku domu i otworzy kluczem drzwi mieszkania. Uchyliły się, Cień uniósł kciuki i starzec w Wendcie — w Tessie, poprawił się w myślach Cień i wizja samochodu obdarzonego imieniem sprawiła, że znów się uśmiechnął — Hinzelmann i Tessie zawrócili i odjechali mostem.

Cień zamknął drzwi. W pokoju panowało przejmujące zimno. Pachniało ludźmi, którzy odeszli wraz ze swoim życiem, wszystkim, co jedli, o czym śnili. Znalazł termostat i przekręcił na dwadzieścia stopni. Poszedł do malutkiej kuchni, sprawdził szuflady, otworzył lodówkę barwy awokado i odkrył, że jest pusta. Żadnych niespodzianek. Przynajmniej w środku pachniało czystością.

Obok kuchni znalazł niewielką sypialnię i goły materac na podłodze, dalej jeszcze mniejszą łazienkę, której większą część zajmowała kabina prysznicowa. W toalecie pływał stary niedopałek, plamiąc wodę brązem. Cień spłukał go.

W szafie znalazł pościel i koce i przygotował łóżko. Potem zdjął buty, kurtkę i zegarek i położył się w ubraniu, ciekaw, ile czasu minie, nim zdoła się ogrzać.

Leżał przy zgaszonym świetle. W mieszkaniu panowała cisza, zakłócana jedynie brzęczeniem lodówki i dobiegającym gdzieś z głębi budynku odgłosem grającego radia. Leżał tak w ciemności, zastanawiając się, czy po drzemce w autobusie w ogóle zdoła zasnąć, czy może głód, zimno, nowe łóżko i obłęd ostatnich tygodni zupełnie pozbawią go snu.

W ciszy usłyszał trzask. Gałąź, pomyślał, albo lód. Na zewnątrz panował mróz.

Ciekawe, ile będzie musiał czekać na przybycie Wednesdaya. Dzień? Tydzień? Zresztą nieważne. Wiedział, że tymczasem musi się

czymś zająć. Postanowił, że znów zacznie trenować i ćwiczyć sztuczki z monetami, póki nie osiągnie perfekcji (wszystkie sztuczki, szepnął ktoś wewnątrz jego głowy, głos nie należący do niego, wszystkie prócz jednej, tej którą pokazał ci biedny nieżyjący Szalony Sweeney, który zmarł z zimna, wyczerpania, zapomnienia i poczucia, że jest niepotrzebny. Tylko nie tę sztuczkę, o, tylko nie tę).

Ale to rzeczywiście było dobre miasto. Czuł to.

Pomyślał o swym śnie, jeśli w ogóle to był sen, owej pierwszej nocy w Kairze. Myślał o Zorii… jak się u diabła nazywała? Siostra północna.

A potem pomyślał o Laurze…

I zupełnie jakby ta myśl otworzyła okno w jego umyśle, ujrzał ją. Jakimś cudem ją widział.

Była w Eagle Point, na podwórku przed wielkim domem matki.

Stała na mrozie, którego już nie czuła, albo może czuła stale, przed domem kupionym przez matkę w 1989 roku za pieniądze z ubezpieczenia (ojciec Laury, Harvey McCabe, zmarł na atak serca, siedząc na kiblu); zaglądała do środka, przyciskając do szyby zimne dłonie, a szkło nie parowało od oddechu, ani odrobinę. Obserwowała matkę, siostrę, dzieci siostry i męża z Teksasu przy świątecznej kolacji. A Laura tkwiła w ciemności i nie mogła nie patrzeć.

Zapiekły go oczy. Cień odwrócił się na drugi bok.

Czuł się jak podglądacz, toteż odepchnął tamte myśli, przyzywając do siebie inne: widział rozciągające się w dole jezioro, wiatr wiejący z Arktyki, lodowate palce mrozu, sto razy zimniej-sze niż ręce trupa.

Jego oddech stawał się coraz płytszy. Słyszał zrywający się wiatr, gorzki skowyt na dworze. Przez sekundę — wydało mu się, że słychać w nim słowa.

Skoro już gdzieś muszę być, to czemu nie tutaj? — pomyślał, a potem zasnął.

TYMCZASEM: PEWNA ROZMOWA

Dzyńdzyń.

— Pani Wrona?

— Tak.

— Pani Samantha Czarna Wrona?

— Tak.

— Czy moglibyśmy zadać kilka pytań, proszę pani?

— Jesteście z policji? O co chodzi?

— Nazywam się Town. Mój kolega to pan Road. Badamy sprawę zniknięcia dwóch naszych współpracowników.

— Jak się nazywali?

— Słucham?

— Proszę podać ich nazwiska. Chcę wiedzieć, jak się nazywali. Wasi współpracownicy. Jeśli poda mi pan nazwiska, może pomogę.

— W porządku. Nazywali się pan Stone i pan Wood. Czy teraz możemy zadać kilka pytań?

— Stone i Wood? Kamień i Drewno? Czy wy dobieracie sobie nazwiska według tego, co akurat zobaczycie? Ty będziesz panem Chodnikiem, on panem Dywanem? Powitajcie pana Samolota?

— Bardzo zabawne, młoda damo. Pierwsze pytanie: musimy wiedzieć, czy widziała pani tego człowieka? Proszę, oto zdjęcie.

— No, no. En face i z profilu, z liczbami na dole… Duży gość, całkiem przystojny. Co zrobił?

— Był zamieszany w napad na bank w małym miasteczku, jako kierowca. Kilka lat temu. Jego dwóch kolegów postanowiło zatrzymać sobie cały łup. Zdenerwował się, znalazł ich, o mało nie zabił gołymi rękami. Prokurator zawarł umowę z tamtymi, zeznawali przeciw niemu. Widoczny tu Cień dostał sześć lat. Odsiedział trzy. Moim zdaniem takich gości powinno się zamykać na dobre.

— Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. A już z pewnością nie głośno.

— Jak, panno Wrono?

— Łup. Ludzie nie używają takich słów. Może w filmach, ale nie naprawdę.

— To nie jest film, panno Wrono.

— Czarna Wrono. Pani Czarna Wrono. Przyjaciele mówią mi Sam.

— W porządku, Sam. A teraz co do…

— Ale wy nie jesteście moimi przyjaciółmi. Możecie mi mówić: pani Czarna Wrono.

— Posłuchaj, ty bezczelna smarkulo…

— Nic nie szkodzi, panie Road. Sam, to znaczy, szanowna pani, pani Czarna Wrona chce nam pomóc. Jest praworządną obywatelką.

— Wiemy, że pomogła pani Cieniowi. Widziano panią z nim w białym Chevy Nova. Podwiózł panią, kupił obiad. Czy wspominał o czymś, co mogłoby pomóc nam w śledztwie? Zniknęło dwóch naszych najlepszych ludzi.

— Nigdy go nie spotkałam.

— Spotkała pani. Proszę nie popełniać błędu i nie zakładać, że jesteśmy głupi. Nie jesteśmy.

— Hmm, spotykam wielu ludzi. Może spotkałam go i zapomniałam.

— Naprawdę, lepiej dla pani byłoby, gdyby zgodziła się

współpracować.

— Bo w przeciwnym razie przedstawicie mnie swoim przyjaciołom, panu Śrubie i panu Pentotalowi?

— Nie ułatwia nam pani zadania.

— Jakże mi przykro. Coś jeszcze? Bo zamierzam powiedzieć pa, pa i zamknąć drzwi. Wy dwaj możecie wsiąść do pana samochodu i odjechać.

— Zapamiętamy pani brak woli współdziałania.

— Pa, pa.

Szczęk zamka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zdradzę ci me sekrety,
Lecz o przeszłości skłamię,
Więc poślij mnie do łóżka po
kres mych dni

— Tom Waits „Tango Till They're Sore”

Całe życie spędzone w ciemności, smrodzie i brudzie — oto, o *czym śnił Cień swej pierwszej nocy w Lakeside. Dziecięce życie, dawno temu, daleko stąd, w kraju za oceanem, tam gdzie wschodzi słońce. Jednakże w życiu owym słońce nigdy nie wschodziło: po półmroku dnia następowała ślepota nocy.*

Nikt się do niego nie odzywał. Słyszał dobiegające z zewnątrz ludzkie głosy, lecz nie rozumiał ich mowy, tak jak nie rozumiał pohukiwania sów ani psiego ujadania.

Pamiętał, czy też zdawało mu się, że pamięta, pewną noc, pół życia temu, gdy jeden z dużych ludzi wszedł cicho do środka, nie związał go ani nie nakarmił, lecz uniósł, przycisnął do piersi i *uścisnął. To była kobieta. Ładnie pachniała. Z jej twarzy na jego skórę upadły gorące krople wody. Bał się i płakał głośno ze strachu.*

Kobieta pospiesznie posadziła go na słomie i odeszła, starannie zamykając drzwi.

Pamiętał tę chwilę i cenił ją sobie jak skarb. Pamiętał też słodycz kapuścianego głąba, cierpki smak śliwek, soczystość jabłek, tłuszcz pieczonej ryby.

A teraz ujrzał twarze w blasku ognia — wszystkie spoglądały na niego, gdy wyprowadzano go z chaty po raz pierwszy i jedyny. A zatem tak wyglądają ludzie. Wychowany w ciemnościach nigdy nie widział ich twarzy. Wszystko było takie nowe, takie dziwne. Blask ognia ranił mu oczy. A oni ciągnęli za sznur owinięty wokół jego szyi, prowadząc go w miejsce, gdzie czekał ów człowiek.

Kiedy pierwsze ostrze uniosło się w blasku ognia, tium zakrzyknął radośnie. Dziecko z ciemności zaśmiało się wraz z innymi, radosne i wolne.

I wtedy ostrze opadło.

Cień otworzył oczy i uświadomił sobie, że jest głodny i zmarznięty. Wewnętrzną stronę szyby pokrywała warstewka lodu. Mój zamarznięty oddech, pomyślał. Wstał, ciesząc się, że nie musi się

ubierać. Poskrobał okno paznokciem; poczuł, jak lód zbiera się pod nim i zamienia w wodę.

Próbował przypomnieć sobie sen, lecz pamiętał wyłącznie smutek i ciemność.

Włożył buty. Postanowił, że dziś wybierze się do centrum. Przejdzie mostem nad południowym krańcem jeziora, jeśli dobrze zapamiętał plan miasta. Naciągnął cienką kurtkę — już wcześniej obiecał sobie, że kupi ciepły zimowy płaszcz — otworzył drzwi mieszkania i stanął na drewnianym pomoście. Mróz odebrał mu dech w piersi; Cień wciągnął powietrze i poczuł, że sztywnieją mu włoski w nosie. Ze swego miejsca doskonale widział jezioro, nieregularne plamy szarości otoczone nieskazitelną bielą.

Nadszedł mróz, bez wątpienia. Z pewnością było koło dwudziestu stopni poniżej zera i spacer nie zapowiadał się przyjemnie, Cień sądził jednak, iż bez kłopotu dotrze do miasta. Co mówił wczoraj Hinzelmann — dziesięciominutowa przechadzka? A on jest przecież duży i silny. Będzie maszerował szybko, w ten sposób się ogrzeje.

Ruszył na południe w stronę mostu.

Wkrótce zaczął kasłać, sucho, boleśnie, gdy ostre mroźne powietrze dotknęło mu płuc. Zaczęły piec go uszy, twarz, wargi, a potem stopy. Gołe ręce wepchnął głęboko do kieszeni, zaciskając palce w poszukiwaniu ciepła. Przypomniał sobie opowieści Lokaja Lyesmitha o zimach w Minnesocie — zwłaszcza o myśliwym, zagnanym przez niedźwiedzia na drzewo podczas największych mrozów; myśliwy ów wyjął fiuta i odlał się szerokim żółtym strumieniem parującego moczu, który zamarzł, nim jeszcze dotknął ziemi, a facet zsunął się po zamarzniętych szczynach i uciekł. Cień uśmiechnął się cierpko na to wspomnienie, po czym znów rozkasłał boleśnie.

Krok, następny i kolejny. Obejrzał się przez ramię. Dom nie był wcale tak daleko, jak Cień oczekiwał.

Ta wyprawa, uznał Cień, to błąd. Ale spędził już poza mieszkaniem trzy, może cztery minuty i widział przed sobą most na jeziorze. Równie dobrze może pójść dalej. To lepsze niż powrót do domu (i co wtedy? Zamówi taksówkę z nieczynnego telefonu? Zaczeka do wiosny? Nie miał przecież ani okrucha jedzenia).

Szedł dalej, z każdą chwilą zmieniając ocenę panującej na dworze temperatury. Minus dwadzieścia pięć? Minus trzydzieści? Może minus czterdzieści, ów niezwykły punkt na termometrze, w którym spotykają się skale Celsjusza i Fahrenheita. Prawdopodobnie nie było aż tak zimno, dodajmy do tego jednak wiatr, mocny i nieustępliwy, wiejący znad jeziora i dalej, przez Kanadę z Arktyki.

Wspomniał tęsknie chemiczne ogrzewacze stóp i dłoni. Pożałował, że nie ma ich teraz przy sobie.

Wedle jego oceny minęło kolejne dziesięć minut, most jednak wcale się nie przybliżył. Cień był zbyt zmarznięty, żeby drżeć. Bolały go oczy. To nie był zwykły mróz, lecz coś więcej, rodem z fantastyki naukowej. Oto historia dziejąca się po ciemnej stronie Merkurego, gdy jeszcze uważano, że Merkury ma ciemną stronę; przygoda ze skalistego Plutona, gdzie Słońce to zaledwie jedna z gwiazd świecąca nieco jaśniej w ciemności. Jeszcze trochę i znajdzie się w miejscu, gdzie powietrze dostarcza się kubłami i rozlewa jak piwo.

Mijające go od czasu do czasu samochody wydawały się nierzeczywiste — statki kosmiczne, małe konserwy z metalu i szkła, z tkwiącymi w środku ludźmi ubranymi cieplej niż on sam. W głowie zadźwięczała mu stara piosenka, którą uwielbiała matka: „Spacer wśród zimowych cudów". Zaczął nucić przez zaciśnięte wargi, maszerując w rytm.

Całkowicie stracił czucie w stopach. Popatrzył na swe czarne skórzane buty, cienkie bawełniane skarpetki i zaczął poważnie martwić się odmrożeniami.

To już nie było śmieszne. Już dawno przekroczyło granice śmieszności i idiotyzmu, wkraczając na terytorium szczerej, absolutnej, totalnej głupoty. Równie dobrze mógł mieć na sobie siatki czy koronki: wiatr przewiewał go na wylot, zamrażał krew i szpik w kościach, oczy i rzęsy, ciepłe miejsce pod jądrami, które cofały się w głąb miednicy.

Idź dalej, upominał się w duchu. Idź dalej. Kiedy wrócę do domu, będę mógł wypić cebrzyk powietrza. Gdzieś w głowie zadźwięczała mu piosenka Beatlesów i zaczął maszerować w jej rytm. Dopiero gdy dotarł do refrenu, uświadomił sobie, że nuci „Help". Pomocy.

Był już prawie przy moście. Potem będzie musiał przez niego przejść i wciąż zostanie mu dziesięć minut marszu do sklepów na tamtym brzegu — może trochę więcej…

Ciemny samochód minął go, zatrzymał się, po czym zaczął się cofać w obłoku mglistego dymu i przystanął tuż obok Cienia. Szyba w oknie opuściła się, obłok pary z wnętrza zmieszany ze spalinami spowił wóz gęstą chmurą smoczego oddechu.

— Wszystko w porządku? — spytał siedzący w środku policjant.

Pierwszy odruch nakazywał Cieniowi odpowiedzieć: „Tak, wszystko świetnie. Dziękuję bardzo, panie władzo". Było już jednak za późno, zaczął mówić. „Chyba zamarzam. Szedłem do Lakeside, żeby kupić jedzenie i ubranie, ale nie doceniłem odległości" — tyle zdążył wypowiedzieć w myślach, gdy uświadomił sobie, iż w istocie rzekł jedynie:

— Z-zz-zamarzam — po czym szczękając zębami dodał: — P — przepraszam. Zimno.

Policjant otworzył tylne drzwi samochodu.

— Proszę wsiąść i rozgrzać się. Ale już.

Cień z wdzięcznością wgramolił się do środka. Usiadł na tylnym siedzeniu, rozcierając dłonie, próbując nie myśleć o odmrożonych palcach u nóg. Policjant wrócił za kierownicę. Cień patrzył na niego przez przegrodę z siatki. Wolał nie wspominać ostatniego razu, gdy siedział z tyłu radiowozu, i zignorować fakt, że drzwi nie mają klamek. Skupił się całkowicie na przywracaniu życia rękom. Bolała go twarz, paliły czerwone palce. Teraz, w cieple, zaczął też czuć ból w palcach u nóg. Uznał, że to dobry znak.

Policjant włączył silnik i wrzucił pierwszy bieg.

— Wiesz pan — rzekł, nie odwracając się do Cienia, jedynie nieco podnosząc głos — to była, jeśli wybaczy mi pan określenie, czysta głupota. Nie słyszał pan prognoz pogody? Na dworze jest minus dwadzieścia pięć stopni. Bóg jeden wie, ile do tego dodaje wiatr. Minus pięćdziesiąt? Minus pięćdziesiąt pięć? Choć osobiście uważam, że jeśli temperatura spada poniżej dwudziestu, to wiatr jest już najmniejszym problemem.

— Dzięki — odparł Cień. — Dziękuję, że się pan zatrzymał. Jestem bardzo wdzięczny.

— Pewna kobieta z Rhinelander wyszła dziś rano w szlafroku i kapciach, by dosypać jedzenie do karmnika, i przymarzła, dosłownie przymarzła do chodnika. Jest teraz na oddziale intensywnej terapii. Dziś rano pokazywali to w telewizji. Jest pan nowy w mieście. — Zabrzmiało to jak pytanie, choć tamten znał odpowiedź.

— Przyjechałem autobusem wczoraj wieczorem. Miałem zamiar kupić dziś jedzenie, ciepłe ubranie i samochód, ale nie spodziewałem się takiego mrozu.

— Tak — odrzekł policjant. — Mnie też zaskoczył. Ostatnio martwiłem się głównie globalnym ociepleniem. Jestem Chad Mulligan, szef policji w Lakeside.

— Mike Ainsel.

— Cześć, Mike. Już ci lepiej?

— Odrobinę.

— To gdzie mam cię zabrać?

Cień wsunął dłonie w strumień gorącego powietrza. Poczuł gwałtowny ból w palcach i cofnął je szybko. Lepiej niech rozgrzewają się we własnym tempie.

— Mógłbyś po prostu podrzucić mnie do centrum?

— Nie ma mowy. O ile nie chcesz, bym pomógł ci w ucieczce po napadzie na bank, chętnie zabiorę cię wszędzie gdzie trzeba. Potraktuj to jako powitanie w mieście.

— Od czego proponujesz zacząć?

— Wprowadziłeś się wczoraj wieczorem?

— Zgadza się.

— Jadłeś już śniadanie?

— Jeszcze nie.

— Według mnie to całkiem niezły początek — mruknął Mulligan.

Przejechali już most i znaleźli się w północno-zachodniej części miasta.

— Oto Main Street — oznajmił Mulligan. — A to — dodał, przecinając Main Street i skręcając w prawo — rynek.

Nawet zimą plac sprawiał imponujące wrażenie, lecz Cień wiedział, że tak naprawdę należy oglądać go latem. Wówczas musi tu panować prawdziwa orgia barw, szaleństwo maków, żonkili i wszelkich innych kwiatów. Kępa brzóz w rogu zmienia się w zielono-srebrzysty zakątek. Teraz rynek był wyprany z barw, ale piękny na swój surowy chłodny sposób. Muszla koncertowa stała pustką, podobnie wyłączona na zimę fontanna. Ratusz z rdzawego piaskowca pokrywała warstewka białego śniegu.

— A to — zakończył Chad Mulligan zatrzymując radiowóz przed oszklonym frontem starego budynku po zachodniej stronie rynku — bar „U Mabel".

Wysiadł z samochodu i otworzył Cieniowi drzwi. Obaj skulili się pod naporem mroźnego wiatru i pospieszyli przez chodnik do ciepłego wnętrza, w którym unosił się apetyczny zapach świeżo pieczonego chleba, ciast, zupy i bekonu.

W środku było niemal zupełnie pusto. Mulligan przysiadł przy jednym ze stołów, Cień zajął miejsce naprzeciwko niego. Podejrzewał, iż policjant robi to wszystko, by lepiej poznać nowego przybysza. Z drugiej strony możliwe, że po prostu taki był, przyjacielski, skłonny do pomocy, dobry.

Do ich stołu zbliżyła się kobieta, nie gruba, lecz rosła, potężna kobieta po sześćdziesiątce, o brązowych farbowanych włosach.

— Witaj, Chad — rzekła. — Kubek gorącej czekolady? — Wręczyła im dwa laminowane jadłospisy.

— Ale bez śmietany — odparł policjant. — Mabel zbyt dobrze mnie zna — dodał, zwracając się do Cienia. — A ty czego się napijesz?

— Gorąca czekolada brzmi super — odparł Cień. — I nie przeszkadza mi wcale bita śmietana.

— To dobrze — przytaknęła Mabel. — Grunt to niebezpieczne życie. Przedstawisz mnie, Chad? Czy to nowy policjant?

— Jeszcze nie. — Chad Mulligan błysnął białymi zębami. — To jest Mike Ainsel. Wczoraj wieczorem wprowadził się do Lakeside. A teraz przepraszam. — Wstał, przeszedł na tył sali i zniknął za drzwiami podpisanymi Pionierzy. Obok widniały drugie, Osadniczki.

— A, tak, nowy lokator mieszkania przy Northridge Road, w starym domu Pilsenów — rzekła radośnie. — Już wiem. Hinzelmann wpadł rano na pierożek. Opowiedział mi wszystko o tobie. Pijecie

tylko czekoladę czy chcecie zerknąć na menu śniadaniowe?

— Ja poproszę śniadanie — powiedział Cień. — Co pani poleca?

— Wszystko — odparła Mabel. — Sama gotuję. Ale Lakeside to miejsce najdalej na południe i wschód od gupa, gdzie można dostać pierożki. Są znakomite, ciepłe i sycące. Moja specjalność.

Cień nie miał pojęcia, jak wygląda pierożek, zamówił go jednak i po kilku chwilach Mabel wróciła z talerzem, na którym leżało coś przypominającego złożony na pół placek. Dolną połówkę okręcono papierową serwetką. Cień podniósł go ostrożnie i ugryzł. W ciepłym cieście krył się farsz z mięsa, ziemniaków, marchewki i cebuli.

— Mój pierwszy pierożek — oznajmił. — Doskonały.

— To potrawa z gupa — odparła Mabel. — Żeby je dostać, trzeba dotrzeć co najmniej do Ironwood. Przywieźli je tutaj Kornwalijczycy, którzy przybyli do pracy w kopalniach żelaza.

— Gupa?

— Górny półwysep. G.P., gupa. To niewielki skrawek Michigan, wysunięty na północny wschód.

Szef policji wrócił. Wziął kubek i pociągnął łyk gorącej czekolady.

— Mabel — rzekł — czy wmuszasz w tego młodzieńca jeden ze swoich pierożków?

— Jest bardzo dobry — zaprotestował Cień.

I rzeczywiście był: smakowite nadzienie w ciepłym lekkim cieście.

— Rośnie od nich brzuch. — Chad Mulligan poklepał się znacząco. — Cóż, ostrzegałem. Potrzebujesz samochodu? — Zdjął parkę i Cień ujrzał chudego mężczyznę o okrągłym sterczącym brzuchu. Sprawiał wrażenie zatroskanego i bardzo fachowego; wyglądał bardziej na inżyniera niż na policjanta.

Cień przytaknął z pełnymi ustami.

— W porządku. Zadzwoniłem w parę miejsc. Justin Liebowitz sprzedaje swojego dżipa, chce za niego cztery tysiące. Zadowoli się trzema. Guntherowie od trzech miesięcy usiłują pozbyć się toyoty z napędem na cztery koła. Prawdziwe paskudztwo; myślę, że są gotowi zapłacić, byle tylko ktoś im ją zabrał. Jeśli nie przejmujesz się urodą wozu, to naprawdę świetny interes. Skorzystałem z telefonu w toalecie i zostawiłem wiadomość Missy Gunther w biurze obrotu nieruchomości. Jeszcze jej nie było, pewnie jest u fryzjera.

Cień nadal pałaszował pierożek, który, o dziwo, nie stracił nic ze swej apetyczności. Był też zdumiewająco sycący. „Treściwe jedzenie”, jak powiedziałaby jego matka. „Zostaje w człowieku”.

— A zatem — oznajmił szef policji Chad Mulligan, ocierając usta z czekoladowej pianki — myślę, że teraz wpadniemy do sklepu przemysłowo-gospodarczego Henningsa, sprawimy ci prawdziwą zimową garderobę, przeskoczymy do delikatesów Dave’a, żebyś mógł napełnić spiżarnię, a potem podrzucę cię do biura obrotu

nieruchomościami. Jeśli zdołasz wyskrobać tysiąc z góry za samochód, to świetnie. W przeciwnym razie pięćset miesięcznie przez cztery miesiące. Jak mówiłem, to paskudny wóz, ale gdyby dzieciak nie pomalował go na fioletowo, kosztowałby dziesięć kawałków. Solidny. A jeśli chcesz znać moje zdanie, to przyda ci się coś takiego tej zimy.

— To bardzo miłe z twej strony — odparł Cień. — Ale czy nie powinieneś raczej łapać przestępców, niż pomagać nowo przybyłym? Nie żebym narzekał.

Mabel zachichotała.

— Wszyscy mu to powtarzamy.

Mulligan wzruszył ramionami.

— To dobre miasto — rzekł z prostotą. — Niewiele się tu dzieje, prócz ludzi jeżdżących z nadmierną prędkością w granicach miasta. I dobrze, mandaty opłacają moją pensję. W piątkowe i sobotnie noce zdarzają się palanci, którzy po pijanemu biją współmałżonków — i tyczy się to obojga płci, mężczyzn i kobiet. Poza tym jednak panuje tu spokój. Ludzie wzywają mnie, gdy zatrzasną kluczyki w samochodzie i kiedy pies w sąsiedztwie szczeka. Co roku przyłapujemy kilkoro dzieciaków z liceum palących trawkę w kotłowni. Najwięcej roboty przez ostatnich pięć lat mieliśmy, gdy Dan Schwartz urżnął się, przestrzelił własną przyczepę, a potem uciekł Main Street na swym wózku, wymachując dubeltówką i wrzeszcząc, że zastrzeli każdego, kto wejdzie mu w drogę, że nikt nie powstrzyma go przed dotarciem na autostradę. Mam wrażenie, że wybierał się do Waszyngtonu, by zastrzelić prezydenta. Wciąż zbiera mi się na śmiech, gdy pomyślę o Danie jadącym autostradą w fotelu na kółkach, na którego oparciu przylepił naklejkę: „Mój młodociany przestępca pieprzy twoją najlepszą studentkę". Pamiętasz, Mabel?

Kobieta skinęła głową, ściągając wargi. Najwyraźniej wspomnienie to nie śmieszyło jej tak jak Mulligana.

— I co zrobiłeś? — spytał Cień.

— Porozmawiałem z nim. Oddał mi strzelbę i przespał się w areszcie. Dań nie jest taki zły. Był po prostu pijany i zdenerwowany.

Cień zapłacił za swe śniadanie i, mimo słabych protestów Chada Mulligana, za dwie czekolady.

Sklep przemysłowo-gospodarczy Henningsa okazał się budynkiem wielkości magazynu na południu miasta, sprzedającym wszystko — od traktorów po zabawki (zabawki wraz z ozdobami świątecznymi znalazły się na wyprzedaży). Wokół kręciło się mnóstwo poświątecznych klientów. Cień poznał młodszą z dziewczynek siedzących przed nim w autobusie. Dreptała za rodzicami. Pomachał do niej, a on odpowiedziała nieśmiałym, niebie-sko-białym uśmiechem. Zastanowił się przelotnie, jak będzie wyglądać za dziesięć lat.

Prawdopodobnie dorówna urodą dziewczynie przy kasie ze sklepu przemysłowo-gospodarczego Henningsa. Dziewczyna kolejno przeskanowała metki towarów piszczącym skanerem, zdolnym — Cień nie miał co do tego wątpliwości — wczytać nawet traktor, gdyby ktoś podjechał nim do wyjścia.

— Dziesięć par kalesonów? — spytała. — Robimy zapasy, co?

Wyglądała jak gwiazdka filmowa.

Cień poczuł się znów jak nieśmiały skrępowany czternastolatek. Milczał, podczas gdy ona wybijała kolejno ceny ocieplonych butów, rękawic, swetrów i puchowego płaszcza.

Cień nie miał ochoty sprawdzać karty kredytowej otrzymanej od Wednesdaya, nie w obecności szefa policji Mulligana, toteż zapłacił za wszystko gotówką. Następnie zabrał torby do toalety i wynurzył się przyodziany w znaczną część zakupów.

— Nieźle wyglądasz, wielkoludzie — rzucił Mulligan.

— Przynajmniej jest mi ciepło — odparł Cień.

Na zewnątrz, na parkingu, choć mroźny wiatr aż parzył skórę twarzy, Cieniowi nadal było ciepło. Na zaproszenie Mulligana złożył torby z tyłu radiowozu i usiadł z przodu, w fotelu pasażera.

— Czym się zajmujesz, Mike'u Ainsel? — spytał szef policji. — Wielki z ciebie facet. Jaki masz zawód? I czy zamierzasz pracować w nim tu, w Lakeside?

Serce Cienia zabiło mocniej, lecz jego głos pozostał spokojny.

— Pracuję dla mojego wuja, który kupuje rzeczy w całym kraju. Jestem jego tragarzem.

— Dobrze płaci?

— Jak to rodzina. Wie, że go nie oszukam, a ja przy okazji uczę się fachu, póki nie zrozumiem, czym tak naprawdę chciałbym się zajmować.

Mówił gładko, z pełnym zaangażowaniem. W tym momencie wiedział wszystko o wielkim Mike'u Ainselu i lubił go. Mike Ainsel nie miał problemów dręczących Cienia. Nigdy nie był żonaty. Panowie Wood i Stone nie przesłuchiwali go w pociągu towarowym. Do Mike'a Ainsela nie przemawiał telewizor („Chcesz zobaczyć cycki Lucy?", spytał głos w jego głowie). Mike Ainsel nie miewał złych snów i nie wierzył, że nadciąga burza.

Napełnił swój koszyk w delikatesach Dave'a. Na razie były to zakupy w stylu stacji benzynowej — mleko, chleb, jajka, jabłka, ser, herbatniki, po prostu coś do jedzenia. Postanowił, że później zrobi prawdziwe zapasy. A kiedy krążył po sklepie, Chad Mulligan witał się z kolejnymi ludźmi i przedstawiał im go.

— To jest Mike Ainsel. Zajął puste mieszkanie w starym domu Pilsenów, na tyłach — powtarzał.

Cień zrezygnował z prób zapamiętania wszystkich nazwisk. Po

prostu uściskał kolejne dłonie i uśmiechał się, lekko spocony. W rozgrzanym wnętrzu dusił się w swoim nowym wielowarstwowym ubraniu.

Chad Mulligan przewiózł Cienia przez ulicę do biura obrotu nieruchomościami. Missy Gunther, ze świeżo uczesanymi i wylakierowanymi włosami, nie czekała, aż ją przedstawi — wiedziała dokładnie, kim jest Mike Ainsel. Ależ tak, ten miły pan Borson, jego wuj, Emerson, cóż za uroczy człowiek, zjawił się tu, około sześciu ośmiu tygodni temu i wynajął mieszkanie w starym domu Pilsenów. Czyż nie piękny z niego widok? Kochaniutki, zaczekaj do wiosny, mamy ogromne szczęście, tyle jezior w tej części świata latem zarasta zielonymi wodorostami, aż człowiekowi robi się niedobrze na sam widok, lecz nasze jezioro — o, czwartego lipca wciąż jeszcze można z niego pić. Pan Borson zapłacił z góry za cały rok, a co do toyoty, niewiarygodne, że Chad Mulligan wciąż o niej pamięta, o tak, chętnie się jej pozbędzie. Prawdę mówiąc, praktycznie postanowiła już oddać ją Hinzelmannowi jako tegorocznego gruchota i zadowolić się odpisem podatkowym, nie żeby wóz był gruchotem, ależ skądże, należał do jej syna, nim tamten wyjechał do szkoły w Green Bay i, no cóż, któregoś dnia pomalował go na fioletowo, cha, cha, oby Mike Ainsel lubił fiolet. To wszystko, co chciała powiedzieć, jeśli mu się nie spodoba, nie będzie go winić…

Szef policji Mulligan pożegnał się w połowie przemowy Missy.

— Zdaje się, że potrzebują mnie w pracy. Miło cię było poznać, Mike — rzekł i przerzucił torby z zakupami Cienia do furgonetki Guntherów.

Missy zawiozła Cienia do siebie. Na podjeździe stał niezbyt nowy wóz. Śnieg naniesiony wiatrem pokrywał jego dach oślepiającą warstwą bieli; resztę pomalowano na obrzydliwy odcień fioletu, który tylko bardzo naćpany człowiek mógłby uznać za atrakcyjny dla oka.

Niemniej jednak silnik zapalił przy pierwszej próbie, ogrzewanie też działało, choć potrzeba było niemal dziesięciu minut na pełnych obrotach, by we wnętrzu samochodu nieznośny mróz został zastąpiony zwykłym chłodem. W tym czasie Missy Gun-ther zaprowadziła Cienia do kuchni — przepraszam za bałagan, ale maluchy po świętach rozrzucają wszędzie zabawki i nie mam serca ich sprzątać. Czy miałby ochotę na indyka? A zatem kawa. To tylko chwila, zaraz zaparzę świeżej. Cień zdjął z krzesła przy stole duży czerwony plastikowy samochód i usiadł, a tymczasem Missy Gunther spytała, czy poznał już swoich sąsiadów, on zaś przyznał się, że nie.

W czasie parzenia kawy został poinformowany, że w domu mieszka jeszcze czworo lokatorów — w czasach, gdy był to dom Pilsenów, Pilsenowie zajmowali parter, wynajmując górne dwa mieszkania. Teraz ich mieszkanie zajęła para młodych mężczyzn, pan

Holz i pan Neiman, którzy naprawdę tworzą parę, a kiedy mówię para, panie Ainsel, cóż, mamy tu różnych ludzi, niejedno drzewo rośnie w lesie, choć większość im podobnych trafia do Madison albo Minneapolis, szczerze mówiąc jednak, nikt się tym nie przejmuje. Zimę spędzają w Key West, ale wrócą w kwietniu, wówczas ich pan pozna. Lakeside to naprawdę dobre miasto. Tuż obok pana Ainsela mieszka Marguerite Olsen i jej synek, urocza kobieta, naprawdę urocza kobieta, ale po przejściach, lecz nadal urocza. Pracuje w „Nowinach z Lakeside", może nie najciekawszej gazecie świata, ale prawdę mówiąc, Missy Gunther uważa, że to właśnie odpowiada miejscowym.

Och, westchnęła, nalewając kawy, szkoda, że pan Ainsel nie może teraz zobaczyć miasta w lecie, albo późną wiosną, gdy kwitną bzy, jabłonie i wiśnie, nie ma niczego piękniejszego w świecie, nigdzie pod słońcem.

Cień wręczył jej zadatek w wysokości pięciuset dolarów, wsiadł do samochodu i wrzucił wsteczny bieg, wyjeżdżając na właściwy podjazd. Missy Gunther postukała w przednią szybę.

— To dla ciebie — oznajmiła. — Byłabym zapomniała. — Wręczyła mu grubą kopertę. — To taki dowcip. Kazaliśmy je wydrukować kilka lat temu. Nie musisz teraz czytać.

Podziękował i ostrożnie ruszył do miasta, skręcając na drogę wokół jeziora. On też pożałował, że nie może zobaczyć go wiosną, latem bądź jesienią — z pewnością byłby to piękny widok.

Po dziesięciu minutach był już w domu. Zaparkował na ulicy i wdrapał się po stopniach do zimnego mieszkania. Rozpakował zakupy, umieścił jedzenie w szafkach i lodówce, po czym otworzył kopertę od Missy Gunther.

W środku znalazł paszport. Niebieska laminowana okładka, a wewnątrz informacja, że Michael Ainsel (nazwisko wykaligrafowane ręcznie starannym pismem Missy Gunther) jest obywatelem Lakeside. Na następnej stronie widniała mapa miasta. Resztę paszportu wypełniały kupony zniżkowe do różnych miejscowych sklepów.

— Chyba mi się tu spodoba — powiedział głośno Cień. Przez oszronione okno wyjrzał na zamarznięte jezioro. — Jeśli kiedykolwiek zrobi się cieplej.

Około drugiej po południu ktoś zastukał głośno do drzwi. Cień ćwiczył właśnie Zniknięcie Frajera, niepostrzeżenie przerzucając ćwierćdolarówkę z jednej ręki do drugiej. Dłonie miał tak zmarznięte i zesztywniałe, że wciąż upuszczał monetę na blat. Stukanie sprawiło, że ponownie wyśliznęła mu się z palców.

Podszedł do drzwi i je otworzył.

Przez sekundę poczuł przejmujący strach. Stojący w drzwiach mężczyzna miał na twarzy czarną maskę, podobną do tych, które w

telewizji zakładają bandyci napadający na banki czy seryjni mordercy z tanich filmów, pragnący przerazić ofiary. Głowę mężczyzny okrywała czarna wełniana czapka.

Nieznajomy był jednak niższy i drobniejszy niż Cień, nie wyglądał też na uzbrojonego. Miał na sobie płaszcz w kolorową kratę, którego nie tknąłby żaden szanujący się seryjny morderca.

— Mm hihelhan — oznajmił gość.

— Słucham?

Mężczyzna ściągnął maskę i Cień ujrzał wesołą twarz Hinzelmanna.

— Powiedziałem „jestem Hinzelmann". Sam nie wiem, jak sobie radziliśmy przed wynalezieniem tych masek. Nieprawda, pamiętam: nosiliśmy grube wełniane czapki osłaniające twarze, szaliki i wolę już nie wiedzieć co jeszcze. W dzisiejszych czasach wymyślają prawdziwe cuda. Owszem, jestem stary, ale nie zamierzam uskarżać się na postęp. Nie ja.

Zakończył swą przemowę, wpychając Cieniowi w ręce kosz pełen miejscowych serów, butelek, słoików i kilku niewielkich salami zrobionych z, jak głosiły metki, letniej dziczyzny. Wszedł do środka.

— Wesołego drugiego dnia świąt — rzekł. Nos, uszy i policzki miał czerwone jak maliny. — Słyszałem, że zjadłeś już cały pierożek Mabel. Przyniosłem ci kilka rzeczy.

— To bardzo miło z twojej strony — odparł Cień.

— Miło, też mi. W następnym tygodniu przypomnę ci o loterii. Organizuje ją izba handlowa, a ja kieruję izbą handlową. W zeszłym roku zebraliśmy prawie siedemnaście tysięcy dolarów na oddział dziecięcy szpitala w Lakeside.

— Może od razu sprzedasz mi los?

— Loteria zaczyna się, gdy gruchot stanie na lodzie — oznajmił Hinzelmann. Wyjrzał przez okno w stronę jeziora. — Zimno. Zeszłej nocy temperatura spadła o trzydzieści stopni.

— Bardzo szybko — zgodził się Cień.

— W dawnych czasach modliliśmy się o podobne mrozy — oznajmił Hinzelmann. — Mówił mi mój tato.

— Modliliście się o coś takiego?

— Owszem. Tylko dzięki nim osadnicy mogli przeżyć. Jedzenia nie wystarczało dla wszystkich, a w dawnych czasach nie można było po prostu wybrać się do Dave'a i zrobić zakupów. Mój dziadunio zaczął więc kombinować i gdy nadszedł porządny mroźny dzień, taki jak dzisiaj, zabierał babunię i dzieci, mojego wuja, ciotkę i tatę — najmłodszego — a także służącą i pomocnika. Szli razem nad strumień, tam dawał im po łyku rumu z ziołami — przepis ze starego kraju — a potem polewał ich wodą. Oczywiście, w ciągu kilku sekund zamarzali, bladzi i sini, wielkie ludzkie sople. Dziadunio wlókł ich do

wykopanego wcześniej rowu pełnego słomy, układał tam kolejno niczym kawałki drewna, opatulał słomą i zakrywał rów ciężkimi deskami, żeby nie dobrał się do nich żaden zwierzak. Wówczas mieliśmy tu wilki, niedźwiedzie i inne zwierzaki, których dziś już się nie zobaczy, ale nie gadobyki, to tylko czcza gadanina, a ja nie zamierzam opowiadać czczych historyjek — więc zakrywał rów deskami, a następna śnieżyca zasypywała go bez śladu. Pozostawała tylko chorągiewka, którą dziadek wbijał w ziemię, oznaczając to miejsce.

Potem dziadunio spokojnie przeżywał zimę, nie martwiąc się o zapasy jedzenia i drewna, a gdy zbliżała się prawdziwa wiosna, znajdował flagę, przekopywał się przez śnieg, zdejmował deski, wynosił kolejno członków rodziny i ustawiał ich przed kominkiem, żeby się rozmrozili. Nikomu nigdy nic się stało, oprócz jednego pomocnika, który stracił pół ucha — rodzina myszy odgryzła mu je, bo dziadek nie dość mocno zsunął deski. Oczywiście, w tamtych czasach mieliśmy prawdziwe zimy. Wtedy można było robić coś takiego. Dziś nie ma już podobnych mrozów.

— Nie? — spytał Cień. Udawał, że we wszystko wierzy i świetnie się bawił.

— Nie, od czterdziestego dziewiątego roku. Jesteś za młody, by to pamiętać. To była zima! Widzę, że kupiłeś sobie sa-mo-chód.

— Owszem. Co o nim sądzisz?

— Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałem za chłopakiem Gun — therów. Na tyłach mojej działki płynie strumień, w którym żyją pstrągi. Jest w lesie, na terenach miejskich, ale często wrzucam tam kamienie, tworząc maleńkie stawy i płycizny, na których lubią mieszkać ryby. Złapałem w ten sposób sporo pięknych okazów — jeden z nich miał ponad trzy kilo. A ten smarkacz Gunthe — rów zniszczył wszystkie moje stawki i zagroził, że doniesie na mnie straży ochrony przyrody. Teraz studiuje w Green Bay; wkrótce wróci do miasta. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, odszedłby w świat jako jeden z zimowych uciekinierów, ale nie, trzyma się nas jak rzep psiego ogona. — Hinzelmann zaczął rozstawiać na kuchennym blacie zawartość kosza powitalnego. — To dżem z dzikich jabłek Katherine Powdermaker. Co roku dostaję od niej na gwiazdkę jeden słoik, i dzieje się to dłużej, niż ty jesteś na świecie. Zdradzę ci smutną prawdę: nigdy żadnego nie otworzyłem. Stoją wszystkie w piwnicy, czterdzieści czy pięćdziesiąt słoików. Może kiedyś sięgnę po jeden i odkryję, że mi to smakuje. Tymczasem masz, może tobie przypadnie do gustu.

— Co to jest zimowy uciekinier?

— Mmm. — Starzec podciągnął wełnianą czapkę nad uszy i potarł skronie różowym palcem. — Nie jest to zjawisko występujące

wyłącznie w Lakeside. To dobre miasto, lepsze niż większość, ale nie idealne. Czasami, w zimie, kiedy nadchodzi mróz tak wielki, że nie można wyjść z domu, a śnieg tak suchy, że nie da się z niego ulepić nawet jednej śnieżki, dzieciakom po prostu odbija.

— I uciekają?

Stary człowiek z powagą skinął głową.

— Osobiście uważam, że to wina telewizji, pokazującej dzieciom rzeczy, których nigdy nie dostaną — Dallas, Dynastie, wszystkie te bzdury. Od jesieni osiemdziesiątego trzeciego roku nie mam telewizora, poza czamo-białym odbiornikiem, który trzymam w szafie na wypadek, gdyby przyjechał ktoś spoza miasta, a w telewizji pokazywano ważny mecz.

— Mogę cię czymś poczęstować, Hinzelmannie?

— Nie kawą. Dostaję po niej zgagi. Wystarczy zwykła woda. — Hinzelmann potrząsnął głową. — Największym problemem w tej części świata jest bieda. Nie taka jak w czasie Wielkiego Kryzysu, lecz coś bardziej… Jak to nazwać? Coś takiego co, skrada się ukradkiem, niczym karaluchy.

— Podstępnego?

— Tak, podstępnego. Przemysł drzewny umarł, podobnie górnictwo. Turyści nie zapuszczają się tak daleko na północ, poza garstką myśliwych i dzieciakami obozującymi nad jeziorem, a oni nie wydają pieniędzy w miastach.

— Mam jednak wrażenie, że Lakeside prosperuje.

Starzec zamrugał.

— I wierz mi, wymaga to wiele pracy — rzekł. — Ciężkiej pracy. Ale to dobre miasto i warto się dla niego wysilać. Nie żeby moja rodzina nie była kiedyś biedna. Spytaj mnie, jacy byliśmy biedni.

Cień przybrał poważną minę.

— Jacy byliście biedni w dzieciństwie, panie Hinzelmann?

— Wystarczy sam Hinzelmann, Mike. Byliśmy tak biedni, że nie stać nas było na ogień. W Sylwestra ojciec zjadał miętówkę, a my, dzieci, otaczaliśmy go z wyciągniętymi rękami, napawając się ciepłem.

Cień prychnął. Hinzelmann nałożył maskę narciarską, narzucił obszerny kraciasty płaszcz, wygrzebał z kieszeni kluczyki i w końcu naciągnął grube rękawice.

— Jeśli będziesz się tu nudził, przyjedź do wypożyczalni i spytaj o mnie. Pokażę ci moją kolekcję ręcznie robionych much. U mnie tak bardzo się wynudzisz, że powrót do mieszkania okaże się ulgą. — Jego głos, choć stłumiony, pozostawał wyraźny.

— Zrobię tak — odparł Cień z uśmiechem. — Jak tam Tessie?

— Zapadła w sen zimowy. Wiosną opuści garaż. Uważaj na siebie, Ainsel. — Po tych słowach Hinzelmann zamknął za sobą drzwi.

W mieszkaniu zrobiło się jeszcze zimniej. Cień włożył płaszcz i

rękawiczki, potem buty. Pokrywający wewnętrzną szybę okna szron sprawił, że widok jeziora zamienił się w obraz abstrakcyjny.

Oddech Cienia parował w powietrzu.

Cień wyszedł z mieszkania na drewniany podest i zapukał do sąsiednich drzwi. Usłyszał kobiecy głos, krzyczała, by na miłość boską ktoś w mieszkaniu zamknął się i ściszył telewizor — pewnie to dziecko, pomyślał Cień. Dorośli nie krzyczą tak na innych dorosłych. Drzwi otwarły się i ze środka spojrzała na niego znużona kobieta o bardzo długich, bardzo czarnych włosach.

— Słucham?

— Dzień dobry, proszę pani. Jestem Mike Ainsel, pani sąsiad.

Jej twarz nie zmieniła wyrazu.

— I?

— Proszę pani. Zamarzam u siebie. Z wywietrznika leci gorące powietrze, ale w ogóle nie ogrzewa pokoju. Ani trochę.

Kobieta zmierzyła go czujnym spojrzeniem. Potem na jej wargach zatańczył cień uśmiechu.

— Wejdź zatem. Jeśli szybko tego nie zrobisz, nam także zabraknie ciepła.

Cień wszedł do mieszkania. Po całej podłodze walały się wielobarwne plastikowe zabawki, przy ścianie leżały stosiki podartego papieru do pakowania prezentów gwiazdkowych. Kilka kroków od telewizora siedział niewielki chłopiec oglądający na wideo disneyowskiego „Herkulesa". Na ekranie miotał się właśnie animowany satyr. Cień odwrócił się plecami do odbiornika.

— No dobrze — oznajmiła kobieta. — Oto, co musisz zrobić. Najpierw uszczelnij okna. Materiały możesz kupić u Henningsa. Przypomina to zwykłą folie spożywczą, tyle że do okien. Przylep ją do szyb. Jeśli chcesz, możesz podmuchać suszarką; wówczas zostanie tam całą zimę. To nie pozwala ciepłu uciekać przez okna. Dokup do tego jeszcze parę dmuchaw. Tutejszy piec jest stary, nie radzi sobie z prawdziwym mrozem. Ostatnio mieliśmy kilka lekkich zim, chyba powinniśmy się cieszyć. — Nagle wyciągnęła do niego dłonie. — Marguerite Olsen.

— Miło mi poznać — odparł Cień. Zdjął rękawiczkę i uścisnęli sobie ręce. — Jeśli mogę coś powiedzieć, zawsze wyobrażałem sobie Olsenów jako bardziej… no, jasnowłosych.

— Mój były mąż miał tak jasne włosy, że jaśniejszych już mieć nie można. Jasne włosy, różową cerę. W życiu nie zdołał się opalić.

— Missy Gunther wspominała, że pisujesz do miejscowej gazety.

— Missy Gunther opowiada wszystko o wszystkich. Gazeta nie jest dla niej żadną konkurencją. — Skinęła głową. — Tak. Od czasu do czasu zajmuję się najnowszymi wiadomościami, lecz większość pisze mój redaktor. Do mnie należy dział przyrodniczy, dział ogrodniczy,

coniedzielny dział opinii i dział wieści lokalnych, który opisuje z oszałamiającymi szczegółami, kto w promieniu piętnastu mil zaprosił kogo na obiad. Czy lepiej kto kogo zaprosił?

— To drugie — odparł Cień, nie zdoławszy się powstrzymać. — Tak brzmi lepiej.

Spojrzała na niego czarnymi oczami i Cień nagle odniósł silne wrażenie deja vu. Już to przeżyłem, pomyślał.

Nie, po prostu mi kogoś przypomina.

— W każdym razie tak oto można ogrzać mieszkanie.

— Dziękuję — powiedział Cień. — Kiedy już je rozgrzeję, musicie z małym mnie odwiedzić.

— Nazywa się Leon — odparła. — Miło mi pana poznać, panie… Przepraszam…

— Ainsel — powtórzył Cień. — Mike Ainsel.

— Co to za nazwisko Ainsel?

Cień nie miał pojęcia.

— Moje — odrzekł. — Niestety, nie interesowałem się zbytnio historią mojej rodziny.

— Może norweskie? — zasugerowała.

— Nie mieliśmy nic wspólnego z Norwegią — odparł. Potem jednak przypomniał sobie wuja Emersona Borsona i dodał: — Przynajmniej z tej strony.

* * *

Gdy zjawił się u niego Wednesday, Cień zdążył już okleić wszystkie okna warstwami folii. W sypialni działała jedna dmuchawa, w salonie druga. Powoli robiło się ciepło i przytulnie.

— Co to do diabła za fioletowy złom? — spytał Wednesday na powitanie.

— Cóż — odparł Cień — mój biały złom mi zabrałeś. A przy okazji, gdzie jest teraz?

— Przehandlowałem go w Duluth — oznajmił Wednesday. — Ostrożności nigdy dosyć. Nie martw się, po wszystkim dostaniesz swoją działkę.

— Co ja tu robię? — spytał Cień. — To znaczy w Lakeside, nie na tym świecie.

Wednesday uśmiechnął się, jak to on. Ów uśmiech sprawiał, że Cień zawsze miał ochotę go uderzyć.

— Mieszkasz tu, bo to ostatnie miejsce, w którym by cię szukali. Tu mogę cię ukryć.

— Szukali? Oni? Czarne kapelusze?

— Właśnie. Niestety Dom na Skale jest dla nas w tej chwili niedostępny. Będzie trudno, ale poradzimy sobie. Teraz możemy tylko tupać, wymachiwać flagą, pysznić się i harcować, póki się nie zacznie — nieco później niż oczekiwaliśmy. Myślę, że przetrzymają nas do wiosny. Do tego czasu nie dojdzie do niczego ważnego.

— Czemu?

— Bo mogą sobie bredzić do woli o mikromilisekundach, światach wirtualnych i zmianach paradygmatów, ale nadal mieszkają na tej planecie i są uzależnieni od pór roku. Teraz mamy martwe miesiące. Zwycięstwo w tym czasie to martwe zwycięstwo.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — przyznał Cień, nie do końca zgodnie z prawdą. Miał pojęcie, wolałby jednak się mylić.

— Czeka nas ciężka zima. Musimy jak najmądrzej wykorzystać dany nam czas. Sami zgromadzimy wojska i wybierzemy pole bitwy.

— W porządku. — Cień wiedział, że Wednesday mówi prawdę, czy raczej część prawdy. Zbliżała się wojna. Nie, nie tak. Wojna już się zaczęła. Zbliżała się bitwa. — Szalony Sweeney mówił, że kiedy spotkaliśmy go tamtego dnia, pracował dla ciebie. Powiedział mi o tym przed śmiercią.

— A po cóż miałbym zatrudniać kogoś, kto nie potrafiłby pokonać równie żałosnego osobnika w barowej bójce? Nie lękaj się jednak, wiele razy udowodniłeś, że słusznie w ciebie wierzyłem. Byłeś kiedyś w Las Vegas?

— Las Vegas w stanie Nevada?

— Zgadza się.

— Nie.

— Lecimy tam dziś z „Madison, jak przystało na dżentelmenów, samolotem czarterowym dla klas wyższych. Przekonałem ich, że powinniśmy się w nim znaleźć.

— Czy te kłamstwa nigdy cię nie męczą? — spytał Cień, szczerze zaciekawiony. — Ani trochę. Zresztą to prawda. Gramy w końcu o najwyższą stawkę. Dotarcie do Madison powinno nam zająć najwyżej dwie godziny. Zamknij zatem drzwi i wyłącz dmuchawy, lepiej nie myśleć, co by było, gdyby pod twoją nieobecność spalił się cały dom.

— Kogo mamy spotkać w Las Vegas?

Wednesday mu powiedział.

Cień wyłączył dmuchawy, spakował do torby kilka ubrań, odwrócił się do Wednesdaya i rzekł:

— Posłuchaj, czuję się głupio. Wiem, że właśnie powiedziałeś mi, z kim się spotykamy, ale mózg mi pierdnął czy coś, wszystko zniknęło. O kim mówimy?

Wednesday znów odpowiedział.

Tym razem Cień już prawie usłyszał, miał to imię na czubku

umysłu. Pożałował, że nie zwracał pilniejszej uwagi na słowa Wednesdaya.

— Kto prowadzi? — spytał.

— Ty — odparł Wednesday.

Wyszli z domu, po drewnianych schodach i oblodzonej ścieżce doszli do miejsca, gdzie stał zaparkowany czarny Lincoln.

Cień usiadł za kierownicą.

* * *

Po wejściu do kasyna otaczają nas pokusy — pokusy tak potężne, że trzeba człowieka z kamienia, pozbawionego serca, umysłu i nawet odrobiny skąpstwa, by im się oparł. ***Posłuchajcie*** *tylko: oto ogłuszający łoskot srebrnych monet, sypiących się — z odgłosem przypominającym szczęk karabinu maszynowego — przez szczelinę na tacę automatu i dalej, na ozdobione monogramami wykładziny, cichnie, zastąpiony syrenim szczękiem maszyn, brzęczącym, rozedrganym chórem, który rozpływa się w ogromnych salach i, gdy docieramy do stołów karcianych, przeradza w miły szmer, odległą falę dźwięków, utrzymującą poziom adrenaliny w żyłach hazardzisty.*

Kasyna kryją w sobie pewien sekret, tajemnicę, której strzegą ponad wszystko, najświętsze z ich misteriów. Większość ludzi nie gra po to, by wygrać, choć to właśnie wmawiają im reklamy, to się sprzedaje, o tym śnią. Wygrana jest jedynie zwykłym prostym kłamstwem, sprawiającym, że przekraczają ogromne, zawsze otwarte, zapraszające drzwi.

Oto prawdziwy sekret: ludzie grają po to, by stracić pieniądze. Przychodzą do kasyn dla chwil, w których czują się żywi, gdy krążą wraz z wirującą ruletką, obracają się z kartami i wraz z monetami wpadają do szczelin automatów. I choć przechwalają się swoimi wygranymi, pieniędzmi wyrwanymi kasynom, w głębi duszy nade wszystko cenią sobie chwile, gdy przegrali. To w pewnym sensie ich ofiara.

Pieniądze płyną przez kasyna nieprzerwanym strumieniem srebra i zieleni, z ręki do ręki, od gracza do krupiera, kasjera, kierownika ochrony, by w końcu wylądować w najświętszym ze świętych miejsc, wewnętrznym sanktuarium, Pokoju Rozliczeń. Tu właśnie, w Pokoju Rozliczeń kasyna, zatrzymajmy się na chwilę. To miejsce, w którym przelicza się banknoty, sortuje, układa w stosy, spisuje. Miejsce coraz bardziej zbędne, bo coraz więcej pieniędzy przepływających przez kasyno jest czysto umownych: elektryczne sekwencje impulsów, wędrujące przewodami telefonicznymi.

W pokoju rozliczeń widzimy trzech mężczyzn, liczących pieniądze pod czujnym szklanym wzrokiem kamer, które są widziane, a także pod

owadzimi spojrzeniami maleńkich kamer ukrytych przed ich wzrokiem. W czasie jednej zmiany każdy przelicza więcej pieniędzy, niż zarobi przez cale życie. Każdy z nich śni o liczeniu pieniędzy, o stosach i paczkach banknotów, banderolach i liczbach, które cały czas rosną w ustalonym porządku. Każdy z tej trójki zastanawia! się wielokrotnie, co najmniej raz w tygodniu, jak przechytrzyć zabezpieczenia kasyna i uciec z możliwie największą liczbą pieniędzy, i każdy z wahaniem przyglądał się swym marzeniom, po czym uznawał je za niepraktyczne, zadowalając się stałą pensją wolną od dwóch upiorów: więzienia i anonimowego grobu.

Tu właśnie, w sanctum sanctorum, widzimy trzech mężczyzn liczących pieniądze, a także strażników obserwujących ich, znoszących kolejne stosy banknotów i zabierających poprzednie. Jest też jeszcze jedna osoba, mężczyzna w nienagannym grafitowym garniturze, o ciemnych włosach i gładko wygolonych policzkach. Jego twarz i całe zachowanie dziwnie umykają pamięci. Żaden z pozostałych ludzi nigdy go nie dostrzegł, a jeśli nawet, natychmiast o nim zapomniał.

Pod koniec zmiany drzwi się otwierają. Mężczyzna w grafitowym garniturze wychodzi z pokoju i maszeruje korytarzem wraz ze strażnikami. Ich stopy szurają po ozdobionym monogramem dywanie. Zamknięte pieniądze w kasetkach trafiają na wewnętrzną pochylnię załadowczą, gdzie pakuje się je do opancerzonych pojazdów. Gdy drzwi garażu się otwierają, wypuszczając pancerny samochód na poranne ulice Las Vegas, mężczyzna w grafitowym garniturze wychodzi przez nie niepostrzeżenie i wspina się po pochylni na chodnik. Nie unosi nawet wzroku, aby spojrzeć na widoczną po lewej stronie imitację Nowego Jorku.

Las Vegas przypomina miasto z sennych dziecięcych marzeń, rodem z kart książeczki obrazkowej — tu bajkowy zamek, tam czarna piramida pomiędzy dwoma sfinksami, z której wierzchołka strzela w górę promień białego światła niczym sygnał dla latających spodków. Wszędzie wokół błyszczą neonowe wyrocznie i migoczące ekrany, opisujące szczęście i powodzenie, reklamujące najnowszych piosenkarzy, komików i magików, obecne i przyszłe atrakcje. Światła stale migają, wzywają, nawołują. Co godzina wulkan wybucha w blasku płomieni, co godzina statek piracki zatapia okręt wojenny.

Mężczyzna w grafitowym garniturze wędruje swobodnie ulicą, czując przepływ pieniędzy krążących po mieście. Latem panuje tu potworny upał, z każdych drzwi mijanych sklepów bucha chłodne klimatyzowane powietrze, mrożąc pot na twarzy. Teraz jednak na pustyni panuje zima, suchy chłód, który bardziej mu odpowiada. W jego umyśle trasy wędrujących pieniędzy tworzą gęstą sieć, trójwymiarową kocią kołyskę świateł i ruchów. W tym pustynnym mieście pociąga go ich szybkość, to, jak pieniądze przechodzą z miejsca na miejsce, z ręki do ręki. Syci go to, upaja, ściąga na ulicę niczym narkomana.

Jego śladem podąża wolno taksówka, utrzymując bezpieczny dystans.

Mężczyzna jej nie dostrzega; nawet nie przychodzi mu to do głowy. Tak rzadko ktokolwiek go zauważa, iż sam pomysł, że można by go śledzić, wydaje mu się niewiarygodny.

Jest czwarta rano i mężczyzna czuje, jak przyciąga go hotel i kasyno, niemodne od trzydziestu lat, lecz wciąż działające. Jutro czy za sześć miesięcy robotnicy wysadzą budynek, na jego miejscu postawią nowy pałac rozkoszy i wszyscy zapomną o starym. Nikt go nie zna, nikt nie pamięta, lecz bar w holu jest spokojny i pretensjonalny, powietrze błękitne od starego papierosowego dymu, a w jednym z prywatnych pokoi na górze ktoś, grając w pokera, ma właśnie postawić kilka milionów dolarów. Mężczyzna w grafitowym garniturze siada w barze, kilka pięter poniżej. Kelnerka kompletnie go ignoruje. Z głośników dobywa się niemal podprogowa wersja „Why Can't He Be You". Pięciu naśladowców Elvisa Presleya, każdy w innym kombinezonie, ogląda powtórkę meczu.

Rosły mężczyzna w jasnoszarym garniturze siada przy jego stoliku. Kelnerka, która go dostrzega, choć wciąż nie widzi człowieka w graficie, podchodzi do nich i uśmiecha się szeroko. Jest zbyt chuda, by nazwać ją ładną, zbyt anorektyczna, by pracować w Luksorze czy Tropicanie. W myślach liczy minuty do końca pracy. Mężczyzna w jasnym garniturze uśmiecha się szeroko.

— Wyglądasz dziś doprawdy rozkosznie, moja droga. Cóż za widok dla biednych starych oczu — mówi. Wyczuwając duży napiwek, kelnerka odpowiada uśmiechem. Mężczyzna w jasnoszarym garniturze zamawia dla siebie Jacka Danielsa oraz Laphroaiga i wodę dla siedzącego obok towarzysza w grafitowym stroju.

— Wiesz — mówi pierwszy, gdy kelnerka przynosi im drinki — że najpiękniejszy tekst poetycki w dziejach tego cholernego kraju wypowiedział Canada Bill Jones w 1853 roku w Baton Rouge, gdy oskubano go do gołego w oszukańczej grze w faro? George Devol, który, podobnie jak Canada Bill, nie miał nic przeciwko temu, by od czasu do czasu naciągnąć frajera, zawołał Billa na bok i spytał, czy nie widział, że przeciwnicy oszukują. Canada Bill westchnął w odpowiedzi i wzruszył ramionami. „Wiem, ale to jedyna gra w mieście", rzeki i wrócił do stołu.

Ciemne oczy spoglądają nieufnie na mężczyznę w jasnoszarym garniturze. Mężczyzna w grafitowym garniturze mówi coś w odpowiedzi. Jego towarzysz o twarzy porośniętej siwiejącą rudą brodą kręci głową.

— Posłuchaj — mówi. — Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło się w Wisconsin, ale wyciągnąłem was w bezpieczne miejsce. Nikomu nic się nie stało.

Mężczyzna w ciemnym garniturze sączy Laphroaiga i wodę, napawając się ostrym torfowym smakiem śmierci i moczarów. Zadaje pytanie.

— Nie wiem. Wszystko dzieje się szybciej, niż oczekiwałem. I wszyscy dziwnie interesują się dzieciakiem, którego ostatnio zatrudniłem. Teraz

czeka w taksówce na zewnątrz. Nadal mogę na ciebie liczyć?

Mężczyzna w ciemnym garniturze odpowiada.

Brodacz kręci głową.

— Nie widziano jej od dwustu lat. Jeśli wciąż żyje, to całkowicie usunęła się na ubocze.

Coś jeszcze.

— Posłuchaj. — Brodaty mężczyzna jednym haustem opróżnia szklankę. — Przybądź na miejsce, kiedy będziemy cię potrzebowali, a ja zajmę się tobą. Czego chcesz? Somy? Mogę ci załatwić butelkę Somy. Prawdziwej.

Mężczyzna w ciemnym garniturze patrzy na niego. Potem z wahaniem kiwa głową i mówi kilka słów.

— Oczywiście, że tak. — Brodacz uśmiecha się ostro, drapieżnie. — A czego oczekiwałeś? Ale spójrz na to inaczej: to jedyna gra w mieście. — Wyciąga szponiastą dłoń i ściska wymanikiurowaną rękę tamtego. Potem odchodzi.

Chuda kelnerka podchodzi zdumiona do stolika w rogu. Siedzi przy nim teraz tylko jeden człowiek, elegancko ubrany mężczyzna o ciemnych włosach, w grafitowym garniturze.

— Wszystko w porządku? — pyta kobieta. — Czy pański przyjaciel jeszcze wróci?

Mężczyzna o ciemnych włosach wzdycha i wyjaśnia, że jego przyjaciel nie wróci, co oznacza, iż kelnerka nie otrzyma zapłaty za jej czas i uprzejmość. A potem, dostrzegając ból w jej oczach i czując litość, mężczyzna bada złociste nitki jej umysłu, obserwując wzór, podążając śladem pieniędzy, póki nie dostrzeże węzła, i dodaje, że jeśli o szóstej rano stanie przed kasynem Treasure Island, trzydzieści minut po skończeniu pracy, pozna onkologa z Denver, który wygrał właśnie czterdzieści tysięcy dolarów i będzie potrzebował nauczycielki, partnerki, kogoś, kto pomoże mu je wszystkie wydać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jakie pozostały do jego odlotu do domu.

Słowa znikają bez śladu w umyśle kelnerki, sprawiają jednak, że nagle czuje się szczęśliwa. Wzdycha, odkrywszy, iż mężczyźni siedzący w rogu zniknęli, nie zostawiając napiwku. Przychodzi jej do głowy, że po zejściu ze zmiany, zamiast jechać wprost do domu, powinna podjechać pod Treasure Island. Gdybyście jednak ją spytali, nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego.

* * *

— Kim był facet, z którym się spotkałeś? — spytał Cień, gdy

razem wędrowali przez lotnisko w Las Vegas. Nawet tutaj wszędzie stały automaty i mimo późnej pory ludzie wciąż karmili je monetami. Cień zastawiał się, czy to ci, którzy nigdy nie opuszczają lotnisk, ludzie, którzy wysiedli z samolotów, przeszli do terminalu i już tam zostali, oszołomieni wirującymi obrazami i migającymi światłami, do czasu aż wrzucą do maszyn ostatnie ćwierć dolara. A potem, gdy nic już im nie zostaje, odwracają się na pięcie i wsiadają do lecącego do domu samolotu.

Nagle uświadomił sobie, że się wyłączył, dokładnie w chwili, gdy Wednesday wyjaśniał, kim jest mężczyzna w ciemnym garniturze, którego śledzili taksówką. Cień nie usłyszał ani słowa.

— No i proszę — powiedział Wednesday. — Będzie mnie to jednak kosztowało butelkę Somy.

— Co to jest Soma?

— Taki napój.

Wsiedli do czarterowego samolotu. W środku było prawie pusto; oprócz nich dwóch leciała tylko trójka firmowych rozrzutników, którzy musieli wrócić do Chicago przed pierwszym dniem roboczym…

Wednesday rozsiadł się wygodnie, zamówił Jacka Danielsa.

— Dla moich pobratymców wy, ludzie, jesteście jak… — Zawahał się. — To coś jak pszczoły i miód. Każda pszczoła robi tylko maleńką kropelkę miodu. Potrzeba tysięcy, może nawet milionów współpracujących zgodnie, by stworzyć słój miodu, stojący teraz na stole przy śniadaniu. A teraz wyobraź sobie, że mógłbyś żywić się wyłącznie miodem. Tak to właśnie wygląda… karmimy się wiarą, modlitwami, miłością.

— A Soma to…

— Żeby kontynuować analogię, to miodowe wino. Coś takiego, jak piłeś — zachichotał. — Stężone modlitwy i wiara, po destylacji zamienione w mocny trunek.

Przelatywali gdzieś nad Nebraska i pożywiali się nieciekawym lotniczym śniadaniem, gdy Cień powiedział:

— Moja żona.

— Nieżywa.

— Laura. Nie chce być nieżywa. Powiedziała mi to, gdy już mnie uwolniła z tamtego pociągu.

— Jak przystało na dobrą żonę. Uwalnia z poważnych tarapatów, morduje tych, którzy robią ci krzywdę. Dbaj o nią, siostrzeńcze Ainselu.

— Ona chce znów żyć. Czy możemy to zrobić? Czy to w ogóle możliwe?

Wednesday milczał tak długo, że Cień zaczął się zastanawiać, czy jego towarzysz usłyszał pytanie, czy też może zasnął z otwartymi oczami. Potem, patrząc przed siebie, powiedział:

— Znam urok, który potrafi uleczyć ból i chorobę i uwolnić od smutku pogrążone w żałobie serce.

Znam urok leczenia dotykiem.

Znam urok odwracający ciosy wroga.

Znam kolejny urok pozwalający uwolnić się z wszelkich więzów i zamków.

Piąty urok: mogę złapać strzałę w locie i nie ucierpieć.

Jego słowa były ciche, przejmujące. Rubaszny ton zniknął, podobnie szeroki uśmiech. Wednesday przemawiał, jakby recytował słowa religijnego rytuału bądź obrzędu, albo wspominał coś mrocznego i bolesnego.

— Szósty: zaklęcia, które mają mnie zranić, zranią jedynie rzucającego.

Siódmy urok, który znam: potrafię zgasić ogień samym wzrokiem.

Ósmy: nawet gdy ktoś mnie nienawidzi, umiem zdobyć jego przyjaźń.

Dziewiąty: potrafię uciszyć wiatr, uspokoić burzę, na dość długo, by doprowadzić statek do brzegu.

Oto pierwszych dziewięć uroków, jakie poznałem. Dziewięć nocy wisiałem na nagim drzewie z bokiem przebitym ostrzem włóczni. Kołysałem się w powiewach mroźnych wiatrów i gorących wiatrów, bez jedzenia bez wody, samemu sobie złożony w ofierze, i świat otworzył się przede mną.

Oto dziesiąty urok: nauczyłem się przeganiać wiedźmy, przesuwać je po niebie tak, by już nigdy nie odnalazły drogi do domu.

Jedenasty: jeśli wyśpiewam go w ogniu bitwy, przeprowadzę przez nią wojowników nietkniętych i odeślę całych i zdrowych do domowych ognisk.

Dwunasty znany mi urok: gdy zobaczę wisielca, mogę ściągnąć go z szubienicy, a on wyszepcze mi wszystko, co tylko pamięta.

Trzynasty: jeśli pokropię wodą głowę dziecka, dziecko to nie zginie w bitwie.

Czternasty: znam imiona wszystkich bogów. Wszystkich cholernych bogów.

Piętnasty: śnię o władzy, chwale i mądrości i umiem sprawić, by ludzie uwierzyli w mój sen.

Jego głos opadł tak nisko, że Cień musiał wytężać słuch, by usłyszeć cokolwiek poza szumem silników.

— Szesnasty znany mi urok: jeśli potrzebuję miłości, umiem zawrócić w głowie i sercu każdej kobiety.

Siedemnasty: żadna kobieta, której zapragnę, nigdy nie zechce innego.

Znam też osiemnasty urok, największy ze wszystkich, lecz nie mogę nikomu wyjawić na czym polega, albowiem tajemnica znana

nam tylko to najpotężniejsza tajemnica świata.

Westchnął i umilkł.

Cień czuł dziwny dreszcz, zupełnie jakby tuż przed nim otwarły się nagle drzwi wiodące do innego miejsca, odległego o wiele światów, w którym na każdych rozstajach kołysali się wisielcy, a wiedźmy wrzeszczały na niebie.

— Laura — powiedział tylko.

Wednesday odwrócił głowę i spojrzał wprost w jasnoszare oczy Cienia.

— Nie potrafię jej ożywić — oznajmił. — Nie wiem nawet, czemu nie umarła, tak jak powinna.

— Chyba to przeze mnie — mruknął Cień. — To moja wina.

Wednesday uniósł brwi.

— Szalony Sweeney dał mi złotą monetę, wtedy gdy uczył mnie swojej sztuczki. Z tego, co mówił, była to niewłaściwa moneta. Coś znacznie potężniejszego, niż sądził. Przekazałem ją Laurze.

Wednesday odchrząknął i opuścił głowę na piersi, marszcząc czoło. Potem wyprostował się.

— To możliwe — rzekł. — I nie, nie potrafię ci pomóc. Oczywiście po pracy możesz zająć się własnymi sprawami.

— Co to dokładnie miało znaczyć? — spytał Cień.

— To znaczy, że nie mogę cię powstrzymać, jeśli zechcesz polować na ptaki gromu i orle kamienie, wolałbym jednak, byś siedział cicho w Lakeside, nie rzucając się w oczy i nie wchodząc nikomu w drogę. Kiedy zrobi się kiepsko, będziemy potrzebowali każdej pomocnej dłoni.

Mówiąc to, wyglądał bardzo staro i krucho; jego skóra była niemal przejrzysta, a ciało pod nią szare. Cień zapragnął nagle sięgnąć ku niemu i położyć dłoń na poszarzałej ręce Wednesdaya. Chciał mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze — choć sam w to nie wierzył, wiedział, że to właściwe słowa. Gdzieś w świecie czaili się ludzie w czarnych pociągach, tłusty dzieciak w wielkiej limuzynie i postaci telewizyjne nie życzące im dobrze.

Nie dotknął Wednesdaya. Nic nie powiedział.

Później zastanawiał się, czy gdyby wykonał wówczas ów gest, mógłby cokolwiek zmienić, odwrócić zbliżające się zło. Powtarzał sobie, że nie. Wiedział, że nic by to nie dało, lecz mimo wszystko żałował, iż podczas owego lotu nawet przez moment nie dotknął dłoni Wednesdaya.

* * *

Zimowe słońce przygasało już, gdy Wednesday wysadził Cienia przed mieszkaniem. Gdy Cień otworzył drzwi, mróz panujący w środku wydał mu się jeszcze bardziej nierzeczywisty w porównaniu z klimatem Las Vegas.

— Trzymaj się z dala od kłopotów — polecił Wednesday. — Nie wychylaj się, siedź cicho.

— Wszystko naraz?

— Nie wymądrzaj się, chłopcze. Możesz się przyczaić w Lakeside. Żeby cię tu umieścić, musiałem przywołać stare długi. Gdybyś trafił do zwykłego miasta, po kilku chwilach wpadliby na twój trop.

— Będę siedział cicho, z dala od kłopotów. — Cień mówił szczerze. Całe jego życie wypełniały kłopoty. Najchętniej pozbyłby się wszystkich.

— Kiedy wrócisz? — spytał.

— Wkrótce. — Wednesday uruchomił silnik Lincolna, zamknął okno i odjechał w mroźną noc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Trzech ludzi może zachować sekret,
pod warunkiem, że dwóch z nich nie żyje.

Ben Franklin „Almanach biednego Ryszarda”

Minęły trzy zimne dni. Termometr ani razu, nawet w południe, nie wskazał minus dwudziestu stopni. Cień zastanawiał się, jak ludzie przeżywali w czasach przed wynalezieniem elektryczności, ochronnych masek na twarzy i lekkiej, ciepłej bielizny, przed czasami łatwych podróży.

Był właśnie w wypożyczalni wideo, połączonej z solarium i sklepem wędkarskim, i oglądał ręcznie robione muchy Hinzelmanna. Okazały się znacznie ciekawsze, niż sądził: barwne imitacje życia zrobione z piór i nici, każda z ukrytym wewnątrz haczykiem.

Zapytał więc o to Hinzelmanna.

— Serio? — rzucił tamten.

— Serio — odparł Cień.

— No cóż — powiedział starzec. — Czasami nie przeżywali i ginęli. Nieszczelne kominy i kuchenki oraz piece zabijały równie wielu ludzi, co mróz. Lecz tamte czasy w ogóle były ciężkie — całe lato i jesień gromadzili zapasy i drewno na zimę. Ale najgorsze było szaleństwo. Słyszałem w radiu, że miało to coś wspólnego ze światłem i z tym, że w zimie jest go za mało. Mój tato mówił, że ludzie dostawali prawdziwego świra — nazywali to zimowym obłędem. W Lakeside znoszono to całkiem nieźle, ale w niektórych innych miastach w tej okolicy bywało ciężko. Za moich chłopięcych czasów mieliśmy takie powiedzonko, że jeśli do lutego służąca nie próbuje cię zabić, to znaczy, że miękka z niej sztuka.

Książki były niczym złoto — nim w mieście powstała biblioteka, ceniono wszystko, co dawało się czytać. Kiedy dziadek dostał książkę od brata z Bawarii, wszyscy Niemcy w mieście spotkali się w Ratuszu, by posłuchać, jak czyta. A Finowie, Irlandczycy i reszta prosili, by im tłumaczyć.

Dwadzieścia mil na południe stąd, w Jibway, znaleźli kiedyś kobietę. Szła nago, jak ją Pan Bóg stworzył, w środku zimy z martwym dzieckiem u piersi i nie pozwoliła go sobie odebrać. — Z namysłem pokręcił głową i zamknął szafkę z muchami. Szczęknęły drzwiczki. — Kiepska sprawa. Chcesz kartę wypożyczalni wideo? W końcu otworzą tu Blockbustera i stracimy pracę. Na razie jednak mamy całkiem

niezły wybór.

Cień przypomniał Hinzelmannowi, że nie ma telewizora ani magnetowidu. Lubił towarzystwo starca — wspomnienia, niestworzone historie, chochlikowaty uśmiech. Wyznanie, że czuje się nieswojo w towarzystwie telewizora, od czasu gdy jeden z nich zaczął do niego mówić, mogłoby pogorszyć nieco ich stosunki.

Hinzelmann pogrzebał w szufladzie, wyjął blaszane pudełko — sądząc z wyglądu niegdyś świąteczną bombonierkę z czekoladkami czy ciastkami. Z pokrywki uśmiechał się do nich szeroko poplamiony Święty Mikołaj, trzymający tacę butelek z coca-colą. Hinzelmann zdjął wieczko, odsłaniając notes i książeczkę pustych losów.

— Na ile cię zapisać? — spytał.

— Ile czego?

— Losów na gruchota. Dziś stawiamy go na lód, więc zacząłem sprzedaż losów. Każdy kosztuje pięć dolarów, dziesięć za czterdzieści, dwadzieścia za siedemdziesiąt pięć. Jeden los to pięć minut. Oczywiście nie możemy przyrzec, że gruchot zatonie akurat w trakcie twoich pięciu minut, lecz osoba najbliższa właściwej pory wygrywa pięćset dolców, a jeśli wrak rzeczywiście zatonie w wyznaczonym czasie, wygrywa się tysiąc. Im wcześniej kupisz losy, tym więcej nie zarezerwowanych godzin. Chcesz obejrzeć statystyki?

— Jasne.

Hinzelmann wręczył mu odbitą na ksero notatkę. Cień dowiedział się, że gruchot to stary samochód z usuniętym silnikiem i bakiem. Na zimę stawiano go na lodzie. Wiosną lód na jeziorze zaczynał topnieć i gdy stawał się zbyt cienki, by unieść ciężar samochodu, gruchot wpadał do jeziora. Najwcześniej zdarzyło się to dwudziestego siódmego lutego („To była zima 1998 roku. Wątpię, by w ogóle można ją było nazwać zimą"), najpóźniej pierwszego maja („To był 1950. Mieliśmy wtedy wrażenie, że zima skończy się dopiero wtedy, gdy ktoś przebije jej kołkiem serce"). Najpopularniejszymi datami były te w okolicach początku kwietnia — zwykle po południu.

Wszystkie popołudnia w kwietniu zostały już zajęte, zakreślone w notatniku Hinzelmanna. Cień kupił trzydzieści minut rankiem dwudziestego trzeciego marca, od dziewiątej do dziewiątej trzydzieści. Wręczył Hinzelmannowi trzydzieści dolarów.

— Oby wszyscy w miasteczku tak chętnie kupowali losy — westchnął Hinzelmann.

— To podziękowanie za przejażdżkę pierwszego dnia, gdy przybyłem do miasta.

— Nie, Mike — odparł Hinzelmann. — Tu chodzi o dzieci. — Na chwilę z jego pomarszczonej, starej twarzy zniknęła wesołość. Wyglądał śmiertelnie poważnie. — Przyjdź nad jezioro po południu. Pomożesz wepchnąć gruchota na lód.

Wręczył Cieniowi sześć niebieskich karteczek — każdą z datą i godziną, wypisaną starannie staroświeckim charakterem pisma. Potem zanotował wszystko w zeszycie.

— Hinzelmannie? — spytał Cień. — Słyszałeś kiedyś o orlich kamieniach?

— Tu? Na północ od Rhinelander? Nie. Mamy tylko Orlą Rzekę. Nie mam pojęcia.

— A o ptakach gromu?

— Na 5. Ulicy mieliśmy galerię Ptak Gromu, ale już ją zamknięto. Nie pomogłem ci, prawda?

— Nie.

— Posłuchaj, może przejdziesz się do biblioteki? Jest tam parę mądrych osób, choć mogą być nieco rozkojarzone. Mają w tym tygodniu wyprzedaż. Pokazałem ci chyba, gdzie jest biblioteka?

Cień skinął głową i pożegnał się, żałując, że sam nie wpadł na ten pomysł. Wsiadł do fioletowego wozu i ruszył na południe Main Street, dookoła jeziora. Po chwili dotarł do przypominającego zamczysko budynku, w którym mieściła się miejska biblioteka. Wszedł do środka. Strzałka z napisem: WYPRZEDAŻ BIBLIOTECZNA wskazywała drogę do piwnicy. Sama biblioteka mieściła się na parterze. Cień otrzepał buty ze śniegu.

Surowa kobieta o ściągniętych, szkarłatnych ustach spytała niezbyt uprzejmie, w czym może pomóc.

— Chyba najpierw muszę się zapisać — odparł. — I chcę dowiedzieć się wszystkiego o ptakach gromu.

Dział Wierzeń i Tradycji Indian Amerykańskich zajmował jedną półkę w bibliotecznej wieżyczce. Cień wybrał kilka książek i usiadł przy oknie. Po kilkunastu minutach dowiedział się, że ptaki gromu to mityczne olbrzymie ptaki, żyjące na szczytach gór. Sprowadzały błyskawice, a trzepot ich skrzydeł brzmiał jak grzmot. Niektóre plemiona wierzyły, że ptaki gromu stworzyły świat. Kolejne pół godziny lektury nie przyniosło nic nowego. Nie znalazł też żadnej wzmianki o orlich kamieniach.

Odkładał właśnie na półkę ostatnią książkę, gdy uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje. Ktoś mały i poważny śledził go zza ciężkiego regału. Gdy Cień odwrócił się, maleńka twarz zniknęła. Obrócił się plecami do chłopca i ponownie zerknął przez ramię.

W kieszeni miał dolarówkę z głową Wolności. Wyjął ją teraz, uniósł w prawej dłoni, tak by chłopiec na pewno zobaczył, co robi. Ukrył monetę w lewej ręce, zademonstrował obie dłonie puste, potem uniósł lewą do ust i zakasłał, pozwalając, by moneta wyleciała do prawej ręki.

Chłopiec patrzył na niego oszołomiony, potem odbiegł. Kilka chwil później wrócił, ciągnąc za sobą ponurą Marguerite Olsen, która

spojrzała na Cienia podejrzliwie.

— Dzień dobry, panie Ainsel. Leon mówi, że pokazał mu pan magiczną sztuczkę.

— To tylko iluzja, proszę pani. A przy okazji, nie podziękowałem za rady co do mieszkania. W tej chwili jest tam cieplutko jak w uchu.

— To dobrze. — Jej lodowata mina bynajmniej nie złagodniała.

— Śliczna biblioteka — zauważył Cień.

— Tak, to piękny budynek, lecz miasto potrzebuje czegoś wygodniejszego, choć niekoniecznie tak urodziwego. Wybiera się pan na wyprzedaż?

— Nie zamierzałem.

— Powinien pan. Zbieramy na szczytny cel.

— W takim razie oczywiście.

— Prosto na korytarz i w dół schodami. Miło było pana widzieć, panie Ainsel.

— Proszę mi mówić Mike.

Nie odpowiedziała. Chwyciła tylko Leona za rękę i poprowadziła do działu dziecięcego.

— Ale mamo — Cień usłyszał jeszcze głos chłopca — to nie była żadna iluzja. Widziałem, jak pieniądz znika i wylatuje mu z nosa. Widziałem.

Ze ściany spojrzał na niego olejny portret Abrahama Lincolna. Cień zszedł po marmurowych i dębowych stopniach do piwnicy, otworzył drzwi i znalazł się w dużej sali pełnej stolików, na których leżały stosy książek: książek wszelkiego rodzaju, pomieszanych, ułożonych bez ładu i składu: miękkie okładki, twarde okładki, beletrystyka, literatura faktu, pisma, encyklopedie, grzbietami do góry bądź do dołu.

Ruszył w głąb sali, gdzie dostrzegł stolik pełen starych książek w skórzanych oprawach. Na grzbiecie każdej z nich białymi cyframi wypisano numer katalogowy.

— Jest pan pierwszą osobą, która dziś zajrzała aż tutaj — powiedział mężczyzna siedzący obok stosu pustych pudeł i worków, przy małej metalowej kasetce. — Większość bierze jakiś thriller, książki dla dzieci, Harlequiny, Jenny Kerton, Danielle Steel, coś w tym guście. — Mężczyzna czytał „Zabójstwo Rogera Ackroyda" Agathy Christie. — Wszystkie książki na stołach są po pięćdziesiąt centów albo trzy za dolara.

Cień podziękował i zaczął grzebać wśród tomów. Znalazł „Historie" Herodota w zniszczonej skórzanej oprawie i przypomniał sobie swój egzemplarz pozostawiony w więzieniu. Niedaleko leżała książka zatytułowana „Niewiarygodne iluzje". Może opisywali w niej sztuczki z monetami? Zaniósł je obie do mężczyzny przy kasie.

— Niech pan weźmie jeszcze jedną, to wciąż tylko dolar —

zaproponował tamten — a my się ucieszymy, mogąc się czegoś pozbyć. Potrzebujemy miejsca.

Cień wrócił do starych, oprawnych w skórę tomów. Postanowił uwolnić książkę, której raczej nikt nie kupi, ale nie mógł się zdecydować, czy wybrać „Pospolite Choroby Układu Moczowego Z Ilustracjami, Pióra Doktora Medycyny", czy „Dokumenty z posiedzeń Rady Miejskiej Lakeside 1872-1884". Obejrzał ilustracje w książce medycznej i uznał, że gdzieś w mieście z pewnością znajdzie się nastolatek, który chętnie nastraszy kolegów podobnymi rysunkami. Zaniósł zatem „Dokumenty" mężczyźnie przy drzwiach, który przyjął dolara i włożył książki do brązowej, papierowej torby z delikatesów Dave'a.

Cień wyszedł z biblioteki. Przed sobą widział wyraźnie jezioro. Dostrzegał nawet swój dom, przypominający domek dla lalek, daleko za mostem. Tuż przy nim, na lodzie, zauważył kilka osób, cztery czy pięć. Mężczyźni pchali przed sobą ciemnozielony samochód.

— Dwudziestego trzeciego marca — mruknął cicho Cień, zwracając się do jeziora. — Od dziewiątej do dziewiątej trzydzieści rano.

Zastanawiał się, czy jezioro bądź Gruchot w ogóle go usłyszały, a jeśli tak, czy zwrócą uwagę na jego słowa. Poważnie wątpił.

Mroźny wiatr kąsał odsłoniętą twarz.

Gdy Cień wrócił do domu, Chad Mulligan już na niego czekał. Na widok radiowozu Cieniowi mocniej zabiło serce. Uspokoił się jednak, stwierdziwszy, że policjant siedzi za kierownicą i grzebie w papierach.

Podszedł do wozu, niosąc pod pachą torbę z książkami.

Mulligan opuścił szybę.

— Wyprzedaż biblioteczna? — spytał.

— Tak.

— Dwa czy trzy lata temu kupiłem tam pudło powieści Roberta Ludluma. Wciąż mam zamiar kiedyś je przeczytać. Mój kuzyn go uwielbia. Jeśli kiedyś wyląduję samotnie na bezludnej wyspie i będę miał przy sobie pudło książek Ludluma, to może w końcu do nich sięgnę.

— Mogę w czymś pomóc, szefie?

— Ależ nie, stary. Po prostu pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak sobie radzisz. Pamiętasz takie chińskie przysłowie? Jeśli ocalisz komuś życie, jesteś za niego odpowiedzialny. Nie twierdze, że w zeszłym tygodniu uratowałem ci życie, ale uznałem, że powinienem zajrzeć. Jak się sprawuje fioletowy Guntheromobil?

— Dobrze — odparł Cień. — Całkiem dobrze. Jeździ bez zarzutu.

— Miło mi to słyszeć.

— W bibliotece spotkałem moją sąsiadkę — rzekł Cień. — Panią Olsen. Zastanawiałem się…

— Co ugryzło ją w tyłek?

— Delikatnie to ująłeś.

— To długa historia. Przejedź się ze mną, to ci ją opowiem.

Cień zastanowił się przez moment.

— Zgoda — rzekł w końcu. Wsiadł do radiowozu na fotel pasażera. Mulligan wyjechał z miasta, kierując się na północ, potem zgasił światła i zaparkował przy drodze.

— Darren Olsen poznał Margie na uniwersytecie w Stevens Point i sprowadził ją ze sobą do Lakeside. Studiowała dziennikarstwo, a on, do diabła, hotelarstwo czy coś w tym stylu. Gdy tu przyjechali, ludziom opadły szczęki. To było, zaraz… trzynaście, czternaście lat temu. Była taka piękna… te czarne włosy… — Urwał. — Darren zarządzał motelem America w Camden, dwadzieścia mil na zachód stąd, tyle że nikt się tam nie zatrzymywał i w końcu motel zamknięto. Mieli dwóch synów. W tym czasie Sandy skończył jedenaście lat, a młodszy — Leon, prawda? — był jeszcze niemowlęciem.

Darren Olsen nie należał do najodważniejszych ludzi. W szkole nieźle grał w piłkę, ale później już niczym się nie popisał. Nie odważył się przyznać Margie, że stracił pracę, i przez miesiąc, może dwa, wyjeżdżał z domu co rano i wracał późnym wieczorem, narzekając na ciężki dzień w motelu.

— Co wtedy robił? — spytał Cień.

— Mmm, trudno orzec. Przypuszczam, że jechał do Ironwood, może do Green Bay. Z początku szukał pracy. Wkrótce zaczął pić, ćpać, a pewnie także zażywać rozrywek w towarzystwie miejscowych panienek. Może grał? Wiem tylko, że w ciągu dziesięciu tygodni kompletnie opróżnił konto w banku. W końcu Margie dowiedziała się o wszystkim; to było tylko kwestią czasu. No, proszę!

Gwałtownie skręcił na drogę, włączając światła i syreny, i śmiertelnie przestraszył drobnego mężczyznę w samochodzie z rejestracją stanu Iowa, który wynurzył się właśnie ze wzgórza, jadąc z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę.

Po wręczeniu mandatu Mulligan wrócił do przerwanej opowieści.

— Gdzie to ja skończyłem? A tak. Margie go wykopała. Wystąpiła o rozwód. Doszło do zaciętej walki o dzieci. Tak to nazywają w magazynie „People” — zacięta walka o dzieci. Margie wygrała. Darrenowi przyznano prawo do odwiedzin i niewiele więcej. W tych czasach Leon był jeszcze malutki. Sandy, starszy, dobry dzieciak, z tych chłopców, którzy uwielbiają ojców, nie pozwalał Margie powiedzieć na niego złego słowa. Stracili dom — przytulny domek przy Daniels Street. Margie przeprowadziła się do wynajętego mieszkania, on wyjechał z miasta. Wracał co sześć miesięcy, by uprzykrzać wszystkim życie.

I tak ciągnęło się to przez kilka lat. Wracał, wydawał pieniądze na

dzieci, doprowadzał Margie do płaczu. Większość z nas zaczęła marzyć o tym, by już nigdy się nie zjawił. Jego rodzice przenieśli się na Florydę, twierdząc, że nie zniosą kolejnej zimy w Wisconsin. W zeszłym roku pojawił się, mówiąc, że chce zabrać chłopców na święta na Florydę. Margie posłała go do wszystkich diabłów. Zrobiło się nieprzyjemnie. W pewnym momencie musiałem się tam wybrać — kłótnia rodzinna. Gdy dotarłem na miejsce, Darren stał przed domem i wrzeszczał, chłopcy nie wiedzieli, co się dzieje, a Margie płakała.

Powiedziałem Darrenowi, że jeśli tak dalej pójdzie, wyląduje w celi. Przez chwilę zdawało mi się, że mnie uderzy, ale był dość trzeźwy, by się powstrzymać. Podrzuciłem go do osiedla przyczep na południe od miasta. Powiedziałem, żeby coś ze sobą zrobił, że dostatecznie ją skrzywdził…

Następnego dnia wyjechał.

Dwa tygodnie później Sandy zniknął — nie wsiadł do szkolnego autobusu. Najlepszemu koledze powiedział, że wkrótce zobaczy się z ojcem, że Darren ma dla niego wyjątkowy prezent, bo nie mógł spędzić świąt na Florydzie. Od tego czasu nikt go nie widział. Rodzinne porwania są najgorsze. Trudno znaleźć dzieciaka, który nie chce zostać znaleziony, chwytasz?

Cień odpowiedział, że tak. Dostrzegł też coś jeszcze. Chad Mulligan kochał się w Marguerite Olsen. Cień zastanawiał się, czy policjant zdaje sobie sprawę z tego, że widać to jak na dłoni.

Mulligan ponownie włączył syrenę i zatrzymał nastolatków jadących ponad dziewięćdziesiątką. Nie dał im mandatu, a jedynie „zasiał w sercach lęk boży”.

* * *

Tego wieczoru Cień siedział przy stole w kuchni, próbując przemienić srebrną dolarówkę w centa. Sztuczkę tę znalazł w „Niesamowitych iluzjach”, lecz instrukcje okazały się irytująco mętne i wyjątkowo mało pomocne. Określenia takie jak „znikanie centa zwykłą metodą” pojawiały się w tekście co chwila. Ciekawe, co to za „zwykła metoda”. Francuska? Ukrycie w rękawie? Okrzyk: „O Boże, patrzcie, puma!” i szybkie wsunięcie monety do kieszeni?

Rzucił w powietrze dolarówkę. Łapiąc ją, przypomniał sobie księżyc i kobietę, która mu go podarowała. Potem spróbował wykonać sztuczkę. Nic z tego nie wyszło. Przeszedł do łazienki i spróbował ponownie przed lustrem.

Miał rację. Sztuczka wykonywana według opisu nie mogła się

udać. Westchnął, schował monety do kieszeni i usiadł na kanapie. Okrył nogi tanią kapą i otworzył „Dokumenty z posiedzeń Rady Miejskiej Lakeside 1872-1884". Druk w dwóch kolumnach był tak mały, że niemal nieczytelny. Cień przeglądał książkę, oglądając reprodukcje starych zdjęć, kolejne wcielenia Rady Miejskiej: długie bokobrody, gliniane fajeczki, sfatygowane i wyświecone kapelusze, a pod nimi twarze, które jakże często zdawały się dziwnie znajome. Bez specjalnego zaskoczenia odkrył, iż przysadzisty sekretarz Rady z 1882 roku nazywał się Patrick Mulligan: wystarczyłoby go ogolić, odchudzić o dziesięć kilogramów i byłby sobowtórem Chada Mulligana, swego — chyba — praprawnuka. Zaciekawiło go, czy na zdjęciach nie ma też dziadka Hinzelmanna, wyglądało jednak na to, że ów stary pionier nie załapał się do Rady Miejskiej. Cieniowi wydało się, że dostrzegł gdzieś w tekście wzmiankę o jakimś Hinzelmannie, nie zdołał jej jednak odszukać, a od małego druku rozbolały go oczy.

Wyciągnął się i położył otwartą książkę na piersi. Nagle uświadomił sobie, że głowa ciąży mu coraz bardziej. Uznał, że głupio byłoby usnąć na kanapie, skoro od sypialni dzieli go zaledwie kilka kroków. Z drugiej strony sypialnia i łóżko nie uciekną, a zresztą on przecież nie zaśnie, jedynie na chwilę przymknie oczy…

Ciemność ryknęła.

Stal na równinie obok miejsca, z którego kiedyś wynurzył się, wypchnięty przez samą ziemię. Z nieba wciąż spadały gwiazdy; każda z nich, dotykając czerwonej ziemi, zamieniała się w mężczyznę bądź kobietę. Mężczyźni mieli długie, czarne włosy i wysokie kości policzkowe. Kobiety wyglądały jak Marguerite Olsen. Gwiezdni ludzie.

Patrzyli na niego ciemnymi, pełnymi dumy oczami.

— Opowiedzcie mi o ptakach gromu — powiedział Cień. — Proszę. Nie dla mnie. Dla mojej żony.

Kolejno odwracali się do niego plecami i gdy przestał widzieć ich twarze, zniknęli, stając się jednością z ziemią. Ostatnia, w której włosach dostrzegł pasma bieli bądź szarości, na odchodnym wskazała niebo barwy wina.

— Sam ich spytaj — rzekła. W tym momencie w górze zalśniła letnia błyskawica, na sekundę oświetlając okolicę, od horyzontu po horyzont.

Tuż obok wznosiły się wysokie skały, szczyty i iglice z piaskowca. Cień zaczął wdrapywać się na najwyższą. Iglica miała barwę starej kości słoniowej. Chwycił ją i poczuł, jak rozcina mu dłoń. To kości — pomyślał Cień. — Nie kamień. Stara, sucha kość.

To był sen, a we śnie nie mamy wyboru. Nie podejmujemy decyzji, bądź zostają one podjęte na długo przedtem, nim sen się rozpocznie. Cień wdrapywał się dalej. Bolały go ręce. Pod bosymi stopami kości pękały z trzaskiem. Wiatr napierał na niego, toteż Cień przywarł do iglicy i wspinał się coraz wyżej.

Wieżę zbudowano tylko z jednego rodzaju kości, uświadomił sobie, wyczuwając powtarzające się kształty. Każda z nich była sucha, okrągła jak piłka. Może to skorupy jaj olbrzymiego ptaka? Lecz kolejny rozbłysk pokazał, że jest inaczej. Cień dostrzegł dziury po oczach i zęby wyszczerzone w pozbawionych wesołości uśmiechach.

Gdzieś w dali krzyczały ptaki. Na twarzy poczuł krople deszczu.

Wisiał setki stóp nad ziemią, przywierając do wieży czaszek. Wokół widział światła błyskawic, płonące w skrzydłach mrocznych ptaków okrążających iglicę — olbrzymich, czarnych, przypominających kondory ptaków z białymi piórami wokół szyi. Były wielkie, wdzięczne i przerażające. Odgłos uderzeń ich skrzydeł rozlegał się w nocnym powietrzu niczym grzmot.

Krążyły wokół wieży.

Ich skrzydła mają co najmniej pięć metrów rozpiętości — pomyślał Cień.

I wtedy pierwszy ptak zmienił kierunek i śmignął ku niemu. W jego skrzydłach lśniły błękitne błyskawice. Cień wcisnął się między czaszki; puste oczodoły spoglądały na niego, pożółkłe zęby uśmiechały się złowrogo, a on wspinał się dalej, coraz wyżej i wyżej na górze czaszek. Ostre kości cięły mu skórę, lecz wdrapywał się, czując wstręt, przerażenie i podziw.

Kolejny ptak runął ku niemu. Szpony wielkości dłoni wbiły się w ramię Cienia.

Cień wyciągnął rękę, próbując chwycić pióro w skrzydle ptaka — jeśli bowiem wróci do swego plemienia bez pióra ptaka gromu, okryje się hańbą; nigdy już nie zostanie mężczyzną — lecz ptak umknął w górę i poszybował z wiatrem. Cień wspinał się dalej.

Tych czaszek muszą być tysiące — pomyślał. — Tysiące tysięcy. I nie wszystkie należały do ludzi. W końcu stanął na szczycie iglicy. Wielkie ptaki, ptaki gromu, powoli krążyły wokół, szybując na falach burzy, lekko kołysząc skrzydłami.

Usłyszał głos, głos człowieka-bawołu, nawołujący w szumie wiatru, mówiący, do kogo należały czaszki…

Wieża zakołysała się. Największy ptak, o oczach oślepiających, błękitnobiałych niczym błyskawica, runął ku niemu z ogłuszającym grzmotem. Cień zaczął spadać. Spadać w dół do stóp wieży czaszek…

Zadźwięczał telefon. Cień nie miał nawet pojęcia, że go podłączył. Oszołomiony podniósł słuchawkę.

— Co do kurwy?! — krzyknął Wednesday; Cień nigdy jeszcze nie słyszał w jego głosie podobnej wściekłości. — Co do pieprzonej kurwy nędzy wyprawiasz?!

— Spałem — odparł Cień.

— Jak myślisz, czemu do jasnej cholery upchnąłem cię w tej dziurze Lakeside, skoro robisz tyle zamieszania, że nawet trup to usłyszał?

— Śniłem o ptakach gromu… — powiedział Cień. — I wieży, czaszkach… — Czuł, że powinien przypomnieć sobie ów sen, że to bardzo ważne.

— Wiem, o czym śniłeś. Do diabła, wszyscy doskonale wiedzą, o czym śniłeś. Chryste Panie! I po co ja cię ukrywam, skoro wszem i wobec ogłaszasz swą obecność.

Cień milczał.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Będę u ciebie rano — oznajmił Wednesday zmęczonym głosem, jakby uszedł z niego cały gniew. — Jedziemy do San Francisco. Kwiaty we włosach nie są wymagane. Odłożył słuchawkę.

Cień odstawił telefon na dywan i usiadł sztywno. Była szósta rano. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność. Wstrząsany dreszczami wstał z kanapy. Słyszał wiatr, pędzący ze skowytem po zamarzniętym jeziorze, i czyjś bliski płacz, oddalony zaledwie o grubość ściany. Był pewien, że to Marguerite Olsen. Płakała cicho, boleśnie, bez końca.

Cień poszedł do łazienki, wysikał się, po czym wrócił do sypialni i zamknął drzwi, odcinając się od pobliskiego płaczu kobiety. Na dworze wiatr wył i zawodził, jakby on także szukał straconego dziecka.

* * *

San Francisco w styczniu okazało się niezwykle ciepłe, tak ciepłe, że na karku Cienia zebrał się pot. Wednesday miał na sobie granatowy garnitur i okulary w złotej oprawie. Wyglądał w nich jak prawnik z przemysłu rozrywkowego.

Szli razem Haight Street. Uliczni ludzie — żebracy, oszuści — obserwowali ich uważnie. Nikt nie wystawił w ich stronę papierowego kubka z monetami. Nikt o nic nie prosił.

Wednesday zaciskał szczęki. Cień natychmiast dostrzegł, że tamten wciąż się wścieka. Nie zadawał zatem pytań, gdy rano pod jego dom podjechał czarny Lincoln. W drodze na lotnisko nie rozmawiali. Potem z ulgą odkrył, że Wednesday ma miejsce w pierwszej klasie, a on z tyłu, w ekonomicznej.

Było późne popołudnie. Cień, który od czasów dzieciństwa nie odwiedzał San Francisco i oglądał je tylko jako tło akcji filmów, ze zdumieniem odkrył, że miasto wydaje mu się niezwykle znajome. Zachwycała go barwa i wyjątkowe kształty drewnianych domów, stromizna wzgórz, wrażenie niezwykłości.

— Trudno uwierzyć, że to ten sam kraj, w którym leży

Lakeside — powiedział głośno.

Wednesday spojrzał na niego nieprzychylnie.

— Bo tak nie jest. San Francisco nie leży w tym samym kraju, co Lakeside. Podobnie jak Nowy Orlean i Nowy Jork, czy Miami i Minneapolis.

— Naprawdę? — spytał łagodnie Cień.

— O, tak. Mają pewne wspólne elementy kulturowe — pieniądze, rząd federalny, rozrywkę — to bez wątpienia ta sama ziemia — lecz jedyną rzeczą dającą złudzenie wspólnoty są dolary, The Tonight Show i Mc Donald's. — Zbliżali się do parku. — Bądź miły dla damy, której składamy wizytę. Ale nie nazbyt miły.

— Spokojnie — rzucił Cień.

Weszli na trawę.

Młoda dziewczyna, mająca najwyżej czternaście lat, o włosach ufarbowanych na zielono, pomarańczowo i różowo, wpatrywała się w nich uważnie. Siedziała obok psa — kundla — zamiast na smyczy uwiązanego na kawałku sznurka. Wyglądała na jeszcze głodniejszą niż jej pies, który szczeknął na nich i zamachał ogonem.

Cień dał dziewczynie dolara. Przez chwilę przyglądała mu się, jakby nie wiedziała, co to.

— Kup za to żarcie dla psa — zaproponował. Skinęła głową i uśmiechnęła się promiennie.

— Powiem brutalnie — ciągnął Wednesday. — Musisz bardzo uważać na swe zachowanie przy owej damie. Mógłbyś jej się spodobać, a to by było bardzo niedobrze.

— To twoja dziewczyna czy coś w tym stylu?

— Nie, na wszystkie plastikowe zabawki w Chinach — odparł tamten pogodnie. Jego gniew zniknął. A może Wednesday zainwestował go na przyszłość? Cień podejrzewał, że to właśnie gniew napędza jego silnik.

Na trawie pod drzewem siedziała kobieta. Rozłożyła przed sobą papierowy obrus i rozstawiła liczne plastikowe pojemniki.

Była… nie gruba, nie, bynajmniej. Raczej — pomyślał Cień, szukając właściwego określenia — miała kształty klepsydry i włosy tak jasne, że niemal białe. Platynowy blond, jak u dawno zmarłej filmowej gwiazdki. Usta pociągnięte szkarłatną szminką. Na oko liczyła sobie od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat.

Gdy się zbliżyli, sięgała właśnie do talerza jajek w papryce.

Uniosła wzrok, spojrzała na Wednesdaya, odłożyła wybrane jajko i otarła dłoń.

— Witaj, stary oszuście — powiedziała. Uśmiechała się jednak i Wednesday skłonił się nisko, po czym ujął jej dłoń, uniósł do ust.

— Wyglądasz bosko — rzekł.

— Jak inaczej miałabym wyglądać? — spytała słodko. — A

zresztą kłamiesz. Nowy Orlean okazał się błędem — przybyło mi tam prawie piętnaście kilo, przysięgam. Kiedy zaczęłam się kołysać, zrozumiałam, że muszę wyjechać. Wyobrażasz sobie, że moje uda ocierają się o siebie, kiedy chodzę? — To ostatnie zdanie skierowane było do Cienia. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Poczuł falę gorąca zalewającą twarz. Kobieta zaśmiała się radośnie.

— On się rumieni. Wednesday, mój drogi, przyprowadziłeś mi skromnisia! Jakież to cudowne. Jak go nazywają?

— To jest Cień. — Wednesday wyraźnie napawał się zawstydzeniem swego towarzysza. — Cieniu, przywitaj się z Wielkanocą.

Cień powiedział coś, co zabrzmiało jak „Witam" i kobieta znów się uśmiechnęła. Czuł się tak, jakby ktoś schwytał go w promień światła, oślepiające światło reflektora, używane przez kłusowników do oszałamiania saren, nim inni je zastrzelą. Z miejsca, w którym stał, czuł zapach jej perfum — oszałamiającą mieszankę jaśminu i koniczyny, słodkiego mleka i kobiecej skóry.

— Jak tam klienci? — spytał Wednesday.

Kobieta — Wielkanoc — zaśmiała się głęboko, gardłowo, radośnie, całym ciałem. Jak można nie lubić kogoś, kto się tak śmieje?

— Wszystko w porządku — odparła. — A u ciebie, stary wilku?

— Miałem nadzieję, że namówię cię do pomocy.

— Marnujesz tylko czas.

— Przynajmniej wysłuchaj mnie, nim mnie odprawisz.

— Nie ma po co. Nie trudź się. — Spojrzała na Cienia. — Proszę, usiądź, poczęstuj się. Weź talerz. Nie krępuj się, śmiało. Wszystko jest bardzo dobre: jajka, pieczony kurczak, curry z kurczaka, sałatka z kurczaka, a tu trusia, to znaczy królik. Królik na zimno smakuje cudownie. W tamtej misce znajdziesz potrawkę z zająca. Może po prostu sama ci nałożę? — Tak też zrobiła, wyładowując plastikowy talerz po brzegi kolejnymi potrawami. Wręczyła mu go i zerknęła na Wednesdaya. — Zjesz coś? — spytała.

— Jestem do usług, moja droga — odparł Wednesday.

— Ty i twoje gówniane kłamstwa. — Westchnęła. — Dziwne, że oczy jeszcze ci nie zbrązowiały. — Wręczyła mu pusty talerz. — Częstuj się.

Popołudniowe słońce za plecami rozświetlało jej włosy, zmieniając je w platynową aureolę wokół twarzy.

— Cień — mruknęła między jednym kęsem kurczaka a drugim. — Urocze imię. Czemu nazywają cię Cieniem?

Zwilżył językiem wargi.

— Gdy byłem mały, mieszkaliśmy wraz z matką, to znaczy byliśmy, no, ona była czymś w rodzaju sekretarki w kilku kolejnych ambasadach Stanów Zjednoczonych. Podróżowaliśmy od miasta do

miasta w Północnej Europie. Potem matka rozchorowała się, musiała przejść na wcześniejszą emeryturę i wróciliśmy do Stanów. Nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć innym dzieciakom. Znajdowałem sobie zatem dorosłych i chodziłem w ślad za nimi, nie mówiąc ani słowa. Pewnie po prostu potrzebowałem ich towarzystwa. Sam nie wiem, byłem bardzo mały.

— Wyrosłeś — zauważyła.

— Tak — odparł Cień. — Wyrosłem.

Kobieta odwróciła się z powrotem do Wednesdaya, wcinającego z apetytem coś, co przypominało zimną potrawkę na gęsto.

— Czy to właśnie chłopiec, którym wszyscy tak bardzo się przejmują?

— Słyszałaś?

— Zawsze nadstawiam uszu. — Zwracając się do Cienia, dodała: — Nie wchodź im w drogę. Na świecie jest zbyt wiele tajnych stowarzyszeń, które nie znają miłości ani lojalności — związki handlowe, niezależne, rządowe. Wszystkie siedzą w tej samej łodzi — od ledwie sprawnych, po niezwykle niebezpieczne. Hej, stary wilku, słyszałam ostatnio dowcip, który mógłby ci się spodobać. Skąd wiadomo, że CIA nie uczestniczyła w zamachu na Kennedy'ego?

— Słyszałem go — odparł Wednesday.

— Szkoda. — Ponownie skupiła wzrok na Cieniu. — Ale te zbiry, których poznałeś, to coś zupełnie innego. Istnieją, bo wszyscy wiedzą, że muszą istnieć. — Opróżniła papierowy kubek czegoś, co wyglądało jak białe wino i wstała. — Cień to dobre imię — oznajmiła. — Mam ochotę na cappuccino. Chodźcie.

Ruszyła naprzód.

— A co z jedzeniem? — spytał Wednesday. — Nie możesz go tu zostawić.

Kobieta uśmiechnęła się do niego i wskazała dziewczynę z psem siedzącą nieopodal. Potem wyciągnęła ręce, jakby chciała objąć całą ulicę Haight i świat.

— Niechaj się pożywią — rzekła i odeszła. Cień i Wednesday dreptali w ślad za nią.

— Pamiętaj — powiedziała po drodze — jestem bogata. Świetnie sobie radzę. Czemu miałabym ci pomóc?

— Jesteś jedną z nas — odparł Wednesday. — Równie niekochaną, zapomnianą, nie wspominaną, jak my. To jasne, po której powinnaś stanąć stronie.

Dotarli do przydrożnej kafejki, weszli do środka, usiedli. Samotna kelnerka nosiła w brwi kolczyk jako oznakę kastową. Druga kobieta stała za ladą, obsługując ekspres. Kelnerka podeszła do nich z wystudiowanym uśmiechem, wskazała miejsca, przyjęła zamówienia.

Wielkanoc położyła szczupłą dłoń na grzbiecie kanciastej, szarej

ręki Wednesdaya.

— Mówię przecież, że świetnie sobie radzę. W dni mojego święta ludzie wciąż ucztują, jedzą jajka i króliki, mięso i słodkości — symbole odrodzenia i kopulacji. Na czepkach noszą kwiaty; wręczają je sobie nawzajem. Czynią to wszystko w moim imieniu. Każdego roku jest ich coraz więcej. W moim imieniu, stary wilku.

— A ty pławisz się w ich miłości i wierze? — spytał cierpko.

— Nie bądź dupkiem. — Nagle w jej głosie zabrzmiało ogromne zmęczenie. Pociągnęła łyk cappuccino.

— To poważne pytanie, moja droga. Owszem, zgadzam się, że miliony ludzi wymieniają się drobiazgami w twoim imieniu, wciąż obchodzą rytuały twojego święta, łącznie z poszukiwaniem ukrytego jajka. Ale ilu z nich wie, kim jesteś? Co? Przepraszam panienko — ostatnie słowa padły pod adresem kelnerki.

— Jeszcze jedna kawa? — spytała.

— Nie, moja droga. Zastanawiałem się tylko, czy zechciałabyś rozstrzygnąć pewien spór między nami. Nie zgadzam się z przyjaciółką co do znaczenia słowa „Wielkanoc". Może ty wiesz?

Dziewczyna spojrzała na niego, jakby spomiędzy jego warg zaczęły wyłazić zielone ropuchy.

— Nie znam się na chrześcijańskich świętach — oznajmiła w końcu. — Jestem poganką.

— To chyba z łaciny — wtrąciła kobieta zza lady. — Chodzi o zmartwychwstanie Chrystusa.

— Naprawdę? — spytał Wednesday.

— Jasne — odparła kobieta. — Wielkanoc, bo po jego śmierci nastała noc.

— Ofiara z syna. Oczywiście, logiczne założenie. — Kobieta uśmiechnęła się i wróciła do młynka do kawy. Wednesday spojrzał na kelnerkę. — Chyba rzeczywiście poproszę jeszcze jedną, jeśli to nie kłopot. Powiedz mi też, jako poganka, komu oddajesz cześć?

— Cześć?

— Zgadza się. Przypuszczam, że masz ich do wyboru, do koloru. Komu zatem poświęcony jest twój domowy ołtarz? Przed kim się korzysz, do kogo modlisz o świcie i zmroku?

Jej usta poruszyły się kilkakrotnie, nie wypowiadając ani jednego słowa.

— Pierwiastek żeński — oznajmiła w końcu. — To dodaje mocy, nam, kobietom. Rozumie pan?

— Istotnie. A ten twój pierwiastek żeński, czy on ma imię?

— To bogini wewnątrz nas wszystkich — odparła dziewczyna z kolczykiem we brwi. Jej policzki poróżowiały. — Nie potrzebuje imienia.

— Ach! — Wednesday westchnął, uśmiechając się drwiąco. —

Czy zatem urządzacie sobie szalone bachanalia, pijecie czerwone jak krew wino o pełni księżyca, gdy szkarłatne świece płoną w srebrnych lichtarzach? Wchodzicie nago w morską pianę, nucąc ekstatyczne pieśni poświęcone bezimiennej bogini, podczas gdy fale liżą wam nogi i uda niczym języki tysiąca lampartów?

— Pan ze mnie szydzi — rzekła. — Nie robimy niczego podobnego. — Odetchnęła głęboko. Cień przypuszczał, że w duchu liczy do dziesięciu. — Jeszcze jakieś zamówienia? Kolejne cappuccino dla pani?

Jej uśmiech do złudzenia przypominał ten, którym obdarzyła ich na powitanie.

Pokręcili głowami. Kelnerka odwróciła się i zajęła następnym klientem.

— Oto — rzekł Wednesday — jedna z tych, którzy „nie mają wiary, więc nie dostąpią zabawy". Chesterton. Poganka, akurat. A zatem, co? Wyjdziemy na ulicę, moja droga, i powtórzymy naszą próbę? Sprawdzimy, ilu przechodniów wie, że święta Wielkiej Nocy biorą swą nazwę od Eostre, Pogromczyni Nocy? Dobrze. Mam. Spytamy stu osób. Za każdą, która zna prawdę, będziesz mogła obciąć mi jeden z palców u rąk, a kiedy ich zabraknie, u nóg. Za każde dwadzieścia, które nie będą wiedziały, spędzisz noc, kochając się ze mną. Przyznasz, że masz spore szansę. Ostatecznie jesteśmy w San Francisco. Na tych stromych ulicach kręci się wielu niewiernych, pogan i wikkan.

Zielone oczy spojrzały na Wednesdaya. Cień uznał, że mają dokładnie ten odcień, co wiosenny liść, przez który prześwieca słońce. Wielkanoc milczała.

— Moglibyśmy spróbować — ciągnął Wednesday — ale skończyłbym z dziesięcioma palcami u rąk i nóg, i pięcioma nocami w twoim łóżku. Nie twierdź zatem, że oddają ci cześć i świętują twój dzień. Wymawiają twoje imię, ale nic ono dla nich nie znaczy. Absolutnie nic.

W jej oczach zakręciły się łzy.

— Wiem o tym — odparł cicho. — Nie jestem głupia.

— Nie — przyznał Wednesday. — Nie jesteś.

Za bardzo na nią naciska — pomyślał Cień.

Wednesday ze wstydem spuścił wzrok.

— Przepraszam.

Cień usłyszał w jego głosie prawdziwą szczerość.

— Potrzebujemy cię. Potrzebujemy twojej energii, twojej mocy. Zechcesz walczyć u naszego boku, gdy nadciągnie burza?

Kobieta zawahała się. Wokół lewego przegubu miała wytatuowany wianuszek niebieskich niezapominajek.

— Tak — powiedziała w końcu. — Chyba tak.

Wygląda na to, że jest wiele prawdy w starym powiedzonku — pomyślał Cień. — Jeśli potrafisz udawać szczerość, możesz dokonać wszystkiego. Nagle poczuł się winny, że to pomyślał.

Wednesday ucałował koniuszek palca i musnął nim policzek Wielkanocy. Wezwał kelnerkę, zapłacił za kawy, starannie odliczył pieniądze, składając je razem z rachunkiem, i wręczył dziewczynie.

Kelnerka odeszła, Cień jednak zawołał za nią.

— Proszę pani! Przepraszam. Chyba to pani upuściła.

Podniósł z podłogi dziesięciodolarowy banknot.

— Nie — odparła, patrząc na pieniądze w dłoni.

— Widziałem, jak upada — rzekł uprzejmie Cień. — Powinna pani przeliczyć.

Kelnerka policzyła trzymane w dłoni pieniądze i ze zdumieniem uniosła wzrok.

— Jezu, ma pan rację, przepraszam.

Wzięła dziesięciodolarówkę i odeszła.

Wielkanoc szła obok nich chodnikiem. Światło dnia zaczynało przygasać. Skinęła głową Wednesdayowi, po czym dotknęła ręki Cienia.

— O czym śniłeś zeszłej nocy?

— O ptakach gromu — odparł. — I górze z czaszek.

Skinęła głową.

— Wiesz, do kogo należały?

— Słyszałem głos — rzekł. — W mojej głowie. Powiedział mi… — Ponownie skinęła głową, czekając. — Twierdził, że są moje. Moje stare czaszki. Tysiące. Tysiące tysięcy.

Wielkanoc spojrzała na Wednesdaya.

— Powinieneś go zatrzymać. — Uśmiechnęła się promiennie. Potem poklepała Cienia po ramieniu i odeszła. Odprowadził ją wzrokiem, próbując — bez powodzenia — nie myśleć o jej ocierających się o siebie udach.

W taksówce w drodze na lotnisko Wednesday odwrócił się do Cienia.

— Co to było, ta dziesięciodolarówka?

— Nie dopłaciłeś. Musiałaby pokryć różnicę z własnej pensji.

— Co to cię, do diabła, obchodzi? — Wednesday sprawiał wrażenie naprawdę rozdrażnionego.

Cień zastanawiał się przez chwilę. W końcu rzekł:

— Nie chciałbym, żeby ktoś wyciął mi taki numer. Nie zrobiła przecież nic złego.

— Nie? — Wednesday spojrzał przed siebie. — Gdy miała siedem lat, zamknęła w szafie kociaka. Kilka dni słuchała, jak miauczał. Kiedy umilkł, wyciągnęła go z szafy, wsadziła do pudełka po butach i pogrzebała na podwórku. Chciała coś pogrzebać. Stale kradnie w

każdym miejscu pracy. Zwykle to drobne sumy. W zeszłym roku odwiedziła babcię w domu opieki, do którego kazała ją oddać. Z jej stolika zabrała stary, złoty zegarek, a potem ruszyła na wyprawę po sąsiednich pokojach, kradnąc drobne sumki pieniędzy i osobiste pamiątki chorym starszym ludziom. Gdy wróciła do domu, nie wiedziała, co zrobić ze swymi łupami. Przerażona, że ktoś zacznie ich szukać, wyrzuciła wszystko, prócz gotówki.

— Już łapię — wtrącił Cień.

— Ma też bezobjawową rzeżączkę — ciągnął Wednesday. — Podejrzewa, że może być chora, ale nic z tym nie robi. Gdy ostatni chłopak oskarżył ją o to, że go zaraziła, zareagowała urazą, oburzeniem i więcej się z nim nie spotkała.

— To naprawdę niepotrzebne — powiedział Cień. — Mówiłem, że już chwytam. Możesz to zrobić z każdym? Opowiedzieć mi o nim same złe rzeczy?

— Oczywiście — zgodził się Wednesday. — Wszyscy postępują tak samo. Sądzą, że ich grzechy są oryginalne i wyjątkowe. Zwykle powtarzają się bez końca.

— I dlatego możesz jej ukraść dziesięć dolców?

Wednesday zapłacił taksówkarzowi. Obaj weszli do budynku lotniska i skierowali się do swojej bramki. Jeszcze nie wpuszczano na pokład.

— A co innego mogę robić? — spytał Wednesday. — Nie składają mi już w ofierze baranów ani byków, nie przysyłają mi dusz zabójców, niewolników, powieszonych na szubienicy, rozdziobanych przez kruki. To oni mnie stworzyli, a potem zapomnieli. Teraz odbieram im, co się da. Czyż to nie sprawiedliwe?

— Moja mama mawiała: „Życie nie jest sprawiedliwe” — zauważył Cień.

— Oczywiście, że tak — odparł Wednesday. — To jedno z mami — nych powiedzonek, podobnie jak: „Gdyby wszyscy twoi przyjaciele zeskoczyli z mostu, czy zrobiłbyś to samo?”.

— Oszukałeś dziewczynę na dziesięć dolców. Ja dałem jej dziesięć dolców — powiedział z uporem Cień. — Postąpiłem słusznie.

Obojętny głos oznajmił, że pasażerowie mogą wchodzić na pokład. Wednesday wstał.

— Obyś zawsze miał przed sobą równie jasny wybór.

* * *

Gdy Wednesday wysadził Cienia w Lakeside w środku nocy, mróz

nieco zelżał. Wciąż było przyzwoicie zimno, ale już nie nieznośnie. Podświetlona tablica na ścianie banku M I pokazywała na przemian trzecią trzydzieści rano i minus dwadzieścia pięć stopni.

Była dziewiąta trzydzieści, gdy do drzwi mieszkania zastukał szef policji, Chad Mulligan, i spytał Cienia, czy znał dziewczynę nazwiskiem Alison McGovern.

— Nie sądzę — odparł Cień sennie.

— Oto jej zdjęcie — oznajmił Mulligan, demonstrując szkolną fotografię. Cień natychmiast rozpoznał, kogo przedstawia: dziewczynę z niebieskimi klamrami na zębach, tę, która dowiadywała się od przyjaciółki o wszelkich oralnych zastosowaniach tabletek Alka-Seltzer.

— A, tak, zgadza się. Jechała ze mną autobusem, kiedy tu przybyłem.

— Gdzie pan był wczoraj, panie Ainsel?

Cień poczuł, jak świat wiruje wokół niego. Wiedział, że nie ma nic na sumieniu (Jesteś skazańcem, łamiącym warunki zwolnienia, i żyjącym pod przybranym nazwiskiem — usłyszał spokojny szept w swym umyśle. — Czy to nie wystarczy?).

— W San Francisco — odparł — w Kalifornii. Pomagałem wujowi w transporcie łóżka z baldachimem.

— Masz może kupony biletów, coś w tym stylu?

— Jasne. — W kieszeni wciąż tkwiły odcinki kart pokładowych. Wyciągnął je. — Co się dzieje?

Chad Mulligan uważnie obejrzał kupony.

— Alison McGovern zniknęła. Pomagała ochotniczo w Towarzystwie Opieki nad zwierzętami. Karmiła je, wyprowadzała psy na spacer. Przychodziła na kilka godzin po szkole. Dolly Knopf, kierująca oddziałem Towarzystwa, zawsze odwoziła ją do domu, gdy zamykali. Wczoraj Alison nie dotarła na miejsce.

— Zniknęła?

— Tak. Jej rodzice zadzwonili do mnie wieczorem. Głupia mała jeździła czasami autostopem do siedziby Towarzystwa. Schronisko leży w Okręgu W, na uboczu. Rodzice zabraniali jej tego, ale tu u nas nie dzieje się nic złego… Ludzie nie zamykają nawet drzwi na noc, a dzieciaki i tak robią swoje. Spójrz więc jeszcze raz na zdjęcie.

Alison McGovern uśmiechała się. Na fotografii klamry na jej zębach były czerwone, nie niebieskie.

— Możesz powiedzieć z ręką na sercu, że jej nie porwałeś, nie zgwałciłeś i nie zamordowałeś?

— Byłem w San Francisco. I w życiu nie zrobiłbym czegoś takiego.

— Tak właśnie sądziłem, stary. To co, pomożesz nam jej szukać?

— Ja?

— Ty. Dziś rano zawiadomiliśmy oddziały poszukiwawcze. Jak dotąd, nic. — Westchnął. — Cholera, Mike, mam nadzieje, że zjawi się wkrótce w Minneapolis w objęciach młodego ćpuna.

— Myślisz, że to prawdopodobne?

— Na pewno możliwe. Dołączysz do grupy?

Cień przypomniał sobie spotkanie z dziewczyną w sklepie przemysłowo-gospodarczym Henningsa. Błysk nieśmiałego, niebieskiego uśmiechu, dostrzeżoną w jej twarzy zapowiedź przyszłej urody.

— Tak — rzekł.

W sieni remizy czekało ze dwadzieścia osób — mężczyzn i kobiet. Cień rozpoznał Hinzelmanna. Kilka innych twarzy także wydało mu się znajomych. Byli wśród nich policjanci i ludzie w brązowych mundurach biura szeryfa okręgowego. Chad Mulligan poinformował ich, co miała na sobie Alison w chwili zniknięcia (czerwony kombinezon, zielone rękawiczki, pod kapturem niebieską, wełnianą czapkę), i rozdzielił ochotników na trzyosobowe grupki — jedną z nich stanowili Cień, Hinzelmann i mężczyzna nazwiskiem Brogan. Przypomniał im, jak krótko trwa dzień, i że jeśli, nie daj Boże, znajdą ciało Alison, nie wolno im, absolutnie nie wolno, niczego ruszać, jedynie wezwać pomoc przez radio. Gdyby jednak wciąż żyła, mają ją ogrzać do chwili nadejścia pomocy.

Wkrótce znaleźli się w Okręgu W.

Hinzelmann, Brogan i Cień wędrowali brzegiem zamarzniętego strumienia. Przed odejściem każdej trójce wręczono małą krótkofalówkę.

Chmury wisiały nisko nad ziemią. Cały świat spowijała szarość. Przez ostatnich trzydzieści sześć godzin nie spadł ani płatek śniegu. W migotliwej śnieżnej pokrywie wyraźnie dostrzegali ślady stóp.

Brogan sprawiał wrażenie emerytowanego pułkownika — krótki wąs, posiwiałe skronie. Poinformował Cienia, że do niedawna pracował jako dyrektor liceum.

— Ale nie robiłem się młodszy. W dzisiejszych czasach wciąż uczę i reżyseruję szkolne przedstawienie. To zwykle najważniejsze wydarzenie sezonu. Trochę poluję, mam chatę nad Pike Lake. Spędzam tam stanowczo zbyt wiele czasu. — Gdy ruszali w drogę, Brogan rzekł: — Z jednej strony mam nadzieję, że ją znajdziemy. Z drugiej, jeśli w ogóle ktoś mają znaleźć, zdecydowanie wolałbym, żeby to był ktoś inny, nie my. Rozumiesz, co mam na myśli?

Cień dokładnie wiedział, co tamten ma na myśli.

Trzej mężczyźni niewiele rozmawiali. Szli naprzód, szukając czerwonego kombinezonu, zielonych rękawiczek, niebieskiej czapki, białego ciała. Od czasu do czasu Brogan, opiekujący się krótkofalówką, porozumiewał się z Chadem Mulliganem.

Na lunch zebrali się wszyscy w przejętym na tę okazję szkolnym autobusie. Szybko zjedli hot dogi, popijając gorącą zupą. Ktoś wskazał siedzącego na pobliskim drzewie sokoła, ktoś inny odparł, że bardziej przypomina jastrzębia. Ptak jednak odleciał i dyskusja skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Hinzelmann opowiedział im historię o trąbce dziadka, o tym, jak grał na niej podczas wielkich mrozów, lecz na zewnątrz było tak zimno, że ze stodoły, w której ćwiczył dziadek, nie wydobywał się żaden dźwięk.

— Potem, gdy wrócił do domu, odłożył trąbkę na miejsce przy piecu, by odtajała. Tej nocy rodzina leżała już w łóżkach, gdy nagle z trąbki wydobyły się dźwięki. Tak bardzo przeraziły moją babkę, że omal nie urodziła na miejscu.

Popołudnie ciągnęło się bez końca, przygnębiające, bezowocne. Światło powoli gasło, odległości malały, świat ciemniał, fioletowiał, a wiatr był tak zimny, że palił skórę twarzy. Gdy było już zbyt ciemno, by kontynuować poszukiwania, Mulligan wezwał wszystkich przez radio. Autobus odwiózł całą grupę z powrotem do remizy.

Przecznicę dalej znajdował się pub „Pod Ostatnim Groszem". Tam właśnie wylądowała większość wyczerpanych i zniechęconych poszukiwaczy. Rozmawiali ze sobą o tym, jak bardzo jest zimno i że Alison zapewne zjawi się sama za dzień czy dwa, nie mając pojęcia, ile wywołała zamieszania.

— Nie powinieneś z tego powodu źle myśleć o naszym mieście — powiedział Brogan. — To dobre miasto.

— Lakeside — wtrąciła kobieta, której nazwisko umknęło pamięci Cienia, jeśli w ogóle ich sobie przedstawiono — to najlepsze miasto w Północnych Lasach. Wiesz, ilu mamy tu bezrobotnych?

— Nie — odparł Cień.

— Mniej niż dwudziestu, choć w mieście i wokół niego mieszka płeć tysięcy ludzi. Może nie jesteśmy bogaci, ale wszyscy pracują. Nie przypomina to górniczych miast na północnym wschodzie — z większości z nich pozostały już tylko duchy. Spadek cen mleka i świń zabił całe miasteczka rolnicze. Wiesz, jaki jest najczęstszy powód nienaturalnej śmierci wśród rolników na Środkowym Zachodzie?

— Samobójstwo? — zaryzykował Cień.

Kobieta sprawiała wrażenie zawiedzionej.

— Tak, zgadza się. Dokładnie. Oni się zabijają. — Potrząsnęła głową. — W tych okolicach mamy zbyt wiele miast utrzymujących się wyłącznie z myśliwych i turystów, miast przyjmujących pieniądze i odsyłających ludzi z trofeami i śladami ukąszeń owadów. Są jeszcze miasta należące do wielkich koncernów, gdzie wszystko idzie pięknie, póki Wal-Mart nie przeniesie swego centrum dystrybucji albo 3M nie przestanie produkować opakowań do kompaktów. Nagle mamy całą kupę ludzi, których nie stać na spłatę kredytu. Przepraszam, nie

dosłyszałam nazwiska.

— Ainsel — oznajmił Cień. — Mike Ainsel.

Piwo w jego kuflu pochodziło z miejscowego browaru, woda z miejscowego źródła. Było świetne.

— Ja jestem Gallic Knopf, siostra Dolly. — Twarz miała wciąż rumianą od mrozu. — Mówię więc, że Lakeside się poszczęściło. Mamy tu odrobinę wszystkiego: rolnictwa, przemysłu lekkiego, turystyki, rzemiosła, dobre szkoły.

Cień spojrzał na nią ze zdumieniem. W jej słowach kryła się dziwna pustka — zupełnie jakby słuchał sprzedawcy, dobrego sprzedawcy, który wierzy w swój produkt, nadal jednak pragnie, abyś wrócił do domu z zestawem pędzli bądź kompletem encyklopedii. Być może kobieta dostrzegła to w jego twarzy.

— Przepraszam — rzekła. — Kiedy coś się kocha, człowiek cały czas o tym gada. Czym się pan zajmuje, panie Ainsel?

— Mój wuj kupuje i sprzedaje antyki, w całym kraju. Pomagam mu w przewożeniu dużych, ciężkich rzeczy. To dobra praca, ale nieregularna.

Czarny kot, barowa maskotka, wykręcił ósemkę między nogami Cienia, ocierając się łebkiem o jego but. Potem wskoczył na ławę obok i zasnął.

— Przynajmniej dużo podróżujesz — wtrącił Brogan. — Robisz coś jeszcze?

— Masz może osiem ćwierćdolarówek? — spytał Cień.

Brogan pogrzebał w kieszeni, znalazł pięć. Przesunął je po stole w stronę Cienia. Gallic Knopf dołożyła jeszcze trzy.

Cień rozłożył monety, po cztery w rzędzie. A potem całkiem zręcznie zademonstrował sztuczkę pod nazwą „Monety przelatujące przez stół", udając, że przepycha połowę drobnych przez drewniany blat, z lewej ręki do prawej.

Następnie zebrał osiem monet w prawej dłoni, w lewą wziął pustą szklankę, zakrył ją serwetką i sprawił, że pieniądze kolejno znikały z ręki, lądując z brzękiem w szklance. W końcu otworzył prawą dłoń, pokazując, że jest pusta, i szybko zdjął serwetkę, demonstrując pieniądze w szklance.

Zwrócił monety — trzy Callie, pięć Broganowi. Potem wziął z ręki Brogana jedną ćwiartkę, pozostawiając cztery. Dmuchnął na nią i zmienił w centa, którego oddał Broganowi. Ten przeliczył ćwiartki i oszołomiony odkrył, że wciąż trzyma ich w dłoni pięć.

— Houdini. — Hinzelmann zaśmiał się radośnie. — Prawdziwy z ciebie Houdini.

— Tylko amator — odparł skromnie Cień. — Czeka mnie jeszcze dużo pracy. — Poczuł jednak ukłucie dumy. Po raz pierwszy wystąpił przed dorosłą widownią.

W drodze do domu przystanął w sklepie, żeby kupić karton mleka. Rudowłosa dziewczyna przy kasie wydała mu się znajoma. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, twarz pokrytą niezliczonymi piegami.

— Znam cię — powiedział. — Jesteś… — Już miał powiedzieć „dziewczyną od Alka-Seltzeru", ale ugryzł się w język. — Jesteś przyjaciółką Alison, z autobusu. Mam nadzieję, że nic jej nie będzie.

Pociągnęła nosem i przytaknęła.

— Ja też. — Mocno wydmuchnęła nos w chusteczkę i wsunęła ją do rękawa.

Na piersi miała znaczek z napisem: „Cześć, jestem Sophie. Spytaj mnie, jak możesz stracić dziesięć kilo w ciągu trzydziestu dni".

— Szukałem jej dzisiaj cały dzień. Jak dotąd, nic.

Sophie skinęła głową i zamrugała, powstrzymując łzy. Przesunęła kartę nad skanerem, który pisnął, rejestrując cenę. Cień wręczył jej dwa dolary.

— Wyjeżdżam z tego pieprzonego miasta — powiedziała nagle głośno, zdławionym głosem. — Zamieszkam z mamą w Ashland. Alison zniknęła. W zeszłym roku zniknął Sandy Olsen. Rok wcześniej Jo Ming. A co, jeśli w przyszłym roku przyjdzie kolej na mnie?

— Sądziłem, że Sandy'ego Olsena zabrał ojciec.

— Tak — odparła z goryczą dziewczyna. — Na pewno. A Jo Ming wyjechała do Kalifornii, a Sarah Lindquist zabłądziła na szlaku i nigdy jej nie znaleźli. Jasne. Chcę jechać do Ashland.

Odetchnęła głęboko. Przez moment zatrzymała powietrze w płucach. Potem niespodziewanie uśmiechnęła się do niego. W tym uśmiechu nie było nic nieszczerego; pewnie po prostu nauczono ją, że gdy wydaje resztę, powinna się uśmiechać. Życzyła mu miłego dnia. Potem odwróciła się do kobiety z pełnym wózkiem i zaczęła wyładowywać zakupy.

Cień zabrał mleko i odjechał, mijając stację benzynową i gruchota na lodzie. Przeszedł most i znalazł się w domu.

PRZYBYCIE DO AMERYKI

1778

Była sobie dziewczyna i jej wuj sprzedał ją w niewolę — starannie wykaligrafował pan Ibis.

Oto opowieść, reszta to szczegóły.

Istnieją historie, które, jeśli otworzymy przed nimi nasze serca,

ranią zbyt mocno. Spójrzmy, oto dobry człowiek, naprawdę dobry, we własnych oczach i oczach przyjaciół: uczciwy, wiemy żonie. Uwielbia dzieci i zawsze znajduje dla nich czas. Kocha swoją ojczyznę. Skrupulatnie wykonuje swą pracę, dokładając wszelkich starań. Zatem pogodnie i bardzo skutecznie eksterminuje Żydów. Zachwyca się grającą w tle muzyką. Przypomina, by wchodząc pod prysznice, nie zapominali numerów identyfikacyjnych — wielu ludzi, informuje ich, zapomina o swych numerach i przy wyjściu pobiera niewłaściwą odzież. To uspokaja Żydów. Po prysznicu wciąż będą żyli, powtarzają sobie w duchu. Nasz człowiek dogląda wszystkich szczegółów palenia zwłok. Jeśli czegoś żałuje, to tylko tego, że gazowanie szkodników wciąż budzi w nim niepokój. Gdyby był naprawdę dobrym człowiekiem, nie czułby niczego poza radością, że oczyszcza z nich ziemię.

Była sobie dziewczyna i jej wuj sprzedał ją w niewolę. Jakże prosto to brzmi, prawda?

Żaden człowiek nie jest wyspą — twierdził Donne i mylił się. Gdybyśmy nie byli wyspami, zginęlibyśmy, utonęli w otchłaniach obcych tragedii. Jesteśmy odizolowani (odcięci jak wyspy) od tragedii innych, dzięki naszej naturze wysp i powtarzalności kolejnych historii. Ich kształt się nie zmienia. Oto ludzka istota, która urodziła się, żyła, a potem w taki czy inny sposób umarła. Proszę. Szczegóły uzupełniamy z własnego doświadczenia. Banalne, jak każda historia; wyjątkowe, jak każde życie. Żywoty są niczym płatki śniegu. Tworzą wzory, które już oglądaliśmy, równie podobne do siebie, jak groszki w strączku (Czy kiedykolwiek tak naprawdę przyglądaliście się groszkom w strączku? Naprawdę się przyglądaliście? Nie ma mowy, by pomylić je ze sobą. Wystarczy minuta), lecz wciąż unikalne.

Bez jednostek dostrzegamy tylko liczby: tysiąc zmarłych, sto tysięcy. „Liczba ofiar może sięgnąć miliona". Dzięki jednostkom statystyki stają się ludźmi — lecz nawet to pozostaje kłamstwem, bo ludzie wciąż cierpią, ogromne ilości ludzi, same w sobie oszałamiające i pozbawione znaczenia. Spójrzcie na spuchnięty z głodu brzuch dziecka i muchy łażące w kącikach oczu; wychudzone kończyny: czy będzie wam łatwiej, jeśli poznacie jego imię, wiek, marzenia, lęki, ujrzycie to dzieło od środka? A jeśli tak, czyż w ten sposób nie krzywdzimy jego siostry, która leży obok na rozpalonym piachu, zniekształcona, powykręcana karykatura ludzkiego dziecka? Jeśli zaś poczujemy współczucie, czy staną się tym samym ważniejsze niż tysiąc innych dzieci, cierpiących z powodu tego samego głodu, tysiąc innych, młodych żywotów, które wkrótce padną ofiarą milionów tłustych larw much.

Odrzucamy od siebie owe chwile bólu i pozostajemy na naszych wyspach, tam gdzie nas nie zranią. Spowija je gładka, bezpieczna

otoczka, pozwalająca, by niczym perły wyśliznęły się z naszych dusz, nie czyniąc nam bólu.

Fikcja literacka sprawia, że możemy wniknąć w cudze głowy, w cudze miejsca i spojrzeć na świat obcymi oczami. A potem historia kończy się, nim zginiemy, albo też umieramy w niej — śmiało i na niby, by w świecie poza opowieścią obrócić stronę, zamknąć książkę i wrócić do własnego życia.

Życia podobnego i niepodobnego do innych.

Prosta prawda brzmi tak. Była sobie dziewczyna i jej wuj sprzedał ją w niewolę.

Oto, co mawiano w kraju, z którego pochodziła dziewczyna: Mężczyzna nigdy nie może być pewien, kto jest ojcem dziecka, lecz matka — o, tego można być pewnym. Majątki i rodowody przechodziły po linii macierzystej, lecz władza pozostawała w rękach mężczyzn. Mężczyzna był władcą i właścicielem dzieci i siostry.

W owym kraju wybuchła wojna — niewielka wojna, zaledwie potyczka pomiędzy mieszkańcami dwóch sąsiednich wiosek. Niewiele więcej niż kłótnia. Jedna wioska zwyciężyła, druga przegrała.

Życie to towar, ludzie to własność. Niewolnictwo od tysięcy lat stanowiło część tamtejszej kultury. Arabscy handlarze niewolników zniszczyli ostatnie wielkie królestwa Wschodniej Afryki. Narody Afryki Zachodniej wyniszczyły siebie nawzajem.

W fakcie sprzedaży przez wuja bliźniąt nie było niczego zdrożnego ani niezwykłego, choć bliźnięta uważano za istoty magiczne, i wuj bał się ich, bał tak bardzo, że nie powiedział, iż je sprzedaje, by nie zraniły jego cienia i go nie zabiły. Bliźnięta miały dwanaście lat. Dziewczynkę nazywano Wututu, ptakiem przynoszącym wieści, chłopca Agasu na pamiątkę zmarłego króla. Oboje byli zdrowi. Ponieważ urodzili się jako bliźnięta, chłopiec i dziewczynka, opowiadano im liczne historie o bogach, a że byli bliźniętami, słuchali wszystkiego i zapamiętywali.

Ich wuj był tłusty i leniwy. Gdyby miał więcej krów, może zamiast dzieci sprzedałby jedną z nich. Ale nie miał, sprzedał zatem bliźnięta. Wystarczy; więcej o nim nie wspomnimy. Nie pojawi się w naszej opowieści. My podążymy śladem bliźniąt.

Wraz z kilkunastoma innymi niewolnikami, schwytanymi bądź sprzedanymi po wojnie, poprowadzono je kilkanaście mil dalej do niewielkiej placówki handlowej. Tu odbywał się targ i bliźnięta wraz trzynastoma innymi niewolnikami trafiły do sześciu mężczyzn uzbrojonych w noże i włócznie. Mężczyźni zaprowadzili je na zachód, ku morzu, a potem wiele mil wzdłuż wybrzeża. W sumie niewolników było piętnaścioro. Mieli luźno skrępowane ręce i byli związani szyja w szyję.

Wututu spytała swego brata, Agasu, co się z nimi stanie.

— Nie wiem — odparł.

Agasu często się uśmiechał. — Zęby miał białe i doskonałe i lubił je pokazywać. Radosny uśmiech brata sprawiał, że Wututu także czuła radość. Teraz jednak nie uśmiechał się; próbował pocieszyć siostrę, zachowywać się odważnie. Unosił głowę, prostował ramiona — dumnie, groźnie i komicznie jak najeżony szczeniak.

Idący tuż za nią mężczyzna o pokrytych bliznami policzkach rzekł:

— Zostaniemy sprzedani białym diabłom, które zabiorą nas do swych domów po drugiej stronie Wielkiej Wody.

— I co z nami zrobią? — spytała Wututu.

Tamten milczał.

— Co? — powtórzyła Wututu.

Agasu próbował obejrzeć się przez ramię. Nie wolno im było rozmawiać ani śpiewać podczas marszu.

— Możliwe, że nas zjedzą — odparł w końcu mężczyzna. — Tak przynajmniej słyszałem. To dlatego potrzebują aż tylu niewolników. Są stale głodni.

Wututu rozpłakała się.

— Nie płacz, siostro — powiedział Agasu. — Oni cię nie zjedzą. Będę cię chronił. Nasi bogowie cię obronią.

Wututu jednak płakała dalej. Szła naprzód z ciężkim sercem, czując ból, gniew i strach, takie jakie potrafi odczuwać jedynie dziecko: potężne, przejmujące. Nie potrafiła wyjaśnić Agasu, że nie martwi jej to, iż mogą ją zjeść białe diabły. Była pewna, że przeżyje. Płakała, bo lękała się, że pożrą jej brata, i nie miała pewności, czy zdoła go ochronić.

Dotarli do kolejnej placówki handlowej i zostali tam dziesięć dni. Rankiem dziesiątego dnia zabrano ich z chaty, w której tkwili uwięzieni (w ciągu ostatnich dni zrobiło się tam tłoczno, bo wciąż przybywali nowi handlarze, prowadzący własne łańcuchy niewolników), a potem wyprowadzono na brzeg i Wututu ujrzała statek, który miał ich stamtąd zabrać.

Jej pierwszą myślą było, że statek jest bardzo wielki, drugą, że wciąż za mały, by ich pomieścić. Unosił się lekko na wodzie, a szalupa krążyła tam i z powrotem, przewożąc jeńców na pokład, gdzie zakuwano ich w kajdany i umieszczano na dolnych pokładach. Część marynarzy miała ogniście czerwoną bądź brązowawą skórę, dziwne szpiczaste nosy i brody, które upodabniały ich do zwierząt. Inni przypominali jej ludzi, którzy przyprowadzili ją na wybrzeże. Marynarze rozdzielili mężczyzn, kobiety i dzieci, przydzielając im różne miejsca w ładowniach. Niewolników było zbyt wielu, by się normalnie pomieścili, toteż kolejny tuzin ludzi przykuto na pokładzie pod otwartym niebem, w miejscu gdzie załoga rozwieszała swe

hamaki.

Wututu umieszczono nie z kobietami, lecz z dziećmi, nie miała też kajdan; po prostu siedziała zamknięta w ładowni. Agasu, jej brat, trafił zakuty w łańcuchy między mężczyzn, upakowanych jak śledzie w beczce. Pod pokładem śmierdziało, choć załoga umyła ładownie po ostatnim ładunku. Smród ów jednak wsiąkł w drewno: woń strachu, żółci, biegunki i śmierci, gorączki, obłędu i nienawiści. Wututu siedziała w rozgrzanej ładowni wraz z innymi dziećmi. Czuła, jak wszystkie się pocą. Fala cisnęła jednego z chłopców wprost na nią. Maluch przeprosił w języku, którego nie rozpoznała. Próbowała uśmiechnąć się do niego w półmroku.

Statek wypłynął. Teraz ciężko zanurzał się w wodę.

Wututu zastanawiała się, skąd przybywają biali ludzie (choć żaden z nich nie był do końca biały — ogorzali od słońca i morza skórę mieli ciemną). Czy tak bardzo brakuje im żywności, że muszą posyłać statki daleko do jej kraju, po ludzi do zjedzenia? A może stanowiła przysmak, rarytas, dla ludzi, którzy jedli tak wiele rzeczy, iż jedynie czarnoskóre ciało w garnkach odnawiało ich apetyt?

Drugiego dnia po wyjściu z portu nadciągnął szkwał, niezbyt groźny, lecz cały statek podskakiwał i kołysał się, a do mieszaniny smrodu moczu, płynnych odchodów, strachu i potu, dołączyła woń wymiocin. Deszcz lał się na nich całymi wiadrami, z powietrznych szczelin w suficie ładowni.

Po tygodniu, gdy ląd na dobre zniknął im z oczu, niewolników uwolniono z kajdan, ostrzegając wcześniej, że każde nieposłuszeństwo, każdy kłopot, prowadzi do kary tak ciężkiej jak nigdy.

Rankiem jeńców karmiono fasolą i sucharami; każdy z nich dostawał też łyk zepsutego soku cytrynowego, tak ostrego, że wykrzywiał im twarze. Kasłali po nim i prychali; część jęczała i zawodziła, przyjmując sok, nie wypluwali go jednak. Przyłapanych na wypluwaniu karano chłostą.

Nocą dawano im soloną wołowinę. Nie smakowała dobrze, a szara powierzchnia mięsa połyskiwała tęczowo. Tak było już na początku podróży, z czasem mięso stawało się coraz gorsze.

Gdy tylko mogli, Wututu i Agasu tulili się do siebie, rozmawiając o matce, domu i towarzyszach zabaw. Czasami Wututu opowiadała bratu historie zasłyszane od matki, tak jak te o Elegbie, najsprytniejszym z bogów, oczach i uszach wielkiego Mawu, Elegbie, który zanosił Mawu wiadomości i przynosił jego odpowiedzi.

Wieczorami, by przerwać monotonię podróży, marynarze rozkazywali niewolnikom śpiewać i tańczyć tańce z ojczyzn.

Wututu miała szczęście, że umieszczono ją z dziećmi. Stłoczone w ładowni dzieci ignorowano; sytuacja kobiet wyglądała zgoła inaczej. Na niektórych statkach niewolniczych załoga regularnie gwałciła

kobiety, traktując to jak coś oczywistego. Nie był to jeden z owych statków, co nie znaczy, że nie dochodziło do gwałtów.

W drodze zmarła setka kobiet, mężczyzn i dzieci. Wszyscy zostali wyrzuceni za burtę. Część z nich nie była wtedy jeszcze martwa, lecz zielony chłód oceanu ostudził ostatnią gorączkę. Wymachując rękami, tonęli, tracąc dech.

Wututu i Agasu podróżowali duńskim statkiem, nie mieli jednak o tym pojęcia. Równie dobrze statek mógł być brytyjski, portugalski, hiszpański czy francuski.

Czarni członkowie załogi, o skórze ciemniejszej niż Wututu, informowali jeńców, gdzie mają iść, co robić, kiedy tańczyć. Pewnego ranka Wututu dostrzegła, iż jeden z nich patrzy na nią. Kiedy jadła, mężczyzna zbliżył się i zaczął gapić bez słowa.

— Czemu to robisz? — spytała. — Czemu służysz białym diabłom?

Uśmiechnął się szeroko, jakby jej pytanie było najzabawniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszał. Potem pochylił się, jego usta niemal musnęły czoło Wututu. Gorący oddech na skórze sprawił, że zrobiło jej się niedobrze.

— Gdybyś była starsza — rzekł — sprawiłbym, że krzyczałabyś z radości przez mojego penisa. Może zrobię to dziś w nocy. Widziałem, jak dobrze tańczysz.

Spojrzała na niego orzechowobrązowymi oczami i odparła z uśmiechem, nie spuszczając wzroku:

— Jeśli mi go włożysz, odgryzę go moimi zębami tam w dole. Jestem czarownicą i mam bardzo ostre zęby.

Z przyjemnością patrzyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Nie odpowiedział. Odszedł.

Słowa padające z jej ust nie były jej słowami. Nie ona je wymyśliła ani nie ona wypowiedziała. Nie, uświadomiła sobie, to słowa Elegby Podstępnego. Mawu stworzył świat, a potem, dzięki podstępom Elegby, przestał się nim interesować. To mądrość i twarda jak żelazo erekcja Elegby Mędrca przemówiły przez nią, na moment się w nią wcieliły. Tej nocy przed snem podziękowała swemu bogu.

Kilku niewolników odmówiło jedzenia. Wychłostano ich, póki sami nie włożyli w usta żywności i jej nie przełknęli. Chłosta była tak surowa, że dwóch z nich zmarło, lecz nikt więcej na statku nie próbował się zagłodzić. Mężczyzna i kobieta usiłowali się zabić, wyskakując za burtę. Kobiecie się udało; mężczyznę uratowano, przywiązano do masztu i chłostano cały dzień, aż jego plecy spłynęły krwią. Pozostał tam, gdy dzień zmienił się w noc, nie dostał nic do jedzenia ani do picia, poza własnym moczem. Trzeciego dnia oszalał. Głowa spuchła mu i zmiękła niczym stary melon. Gdy przestał bredzić, wrzucili go do morza. Do tego, na pięć dni po próbie ucieczki

wszystkich jeńców z powrotem zakuto w łańcuchy.

To była długa podróż — niezwykle ciężka dla niewolników i nieprzyjemna dla załogi, choć marynarze nauczyli się przyjmować wszystko obojętnie, udawać, że są jak farmerzy wiozący zwierzęta na targ.

W piękny pogodny dzień rzucili kotwicę w Bridgeport na Barbados. Przesłane z portu łodzie przewiozły niewolników na ląd. Następnie zaprowadzono ich na targ, a tam, do wtóru wrzasków handlarzy i ciosów pałek, ustawiono w szeregi. Zadźwięczał gwizdek i na targu zaroiło się od ludzi obmacujących, kłujących, ludzi o czerwonych twarzach, którzy wrzeszczeli, oglądali, nawoływali, oceniali, mamrotali.

Wówczas to rozdzielono Wututu i Agasu. Wszystko stało się bardzo szybko — wielki mężczyzna siłą otworzył Agasu usta, obejrzał zęby, obmacał mięśnie ramion, skinął głową i dwaj inni odciągnęli go na bok. Brat Wututu nie walczył, spojrzał tylko na nią, krzycząc: „Bądź dzielna!”. Skinęła głową, a potem świat przed jej oczami rozpłynął się za zasłoną łez. Zaczęła zawodzić. Razem byli bliźniętami, magicznymi, potężnymi, osobno dwójką cierpiących dzieci.

Później widziała go już tylko raz i nigdy żywego.

Oto, co stało się z Agasu: najpierw zabrano go na farmę przystosowawczą, gdzie codziennie poddawano chłoście za rzeczy, które robił i których nie robił. Poznał tam odrobinę angielskiego i otrzymał imię Inkaust Jack, z powodu wyjątkowo ciemnej skóry. Gdy uciekł, polowali na niego z psami i sprowadzili z powrotem. Potem odcięli mu kilofem palec u nogi, zdając lekcję, której nigdy nie zapomniał. Zagłodziłby się na śmierć, gdy jednak odmówił przyjmowania pokarmu, wybili mu przednie zęby i siłą wlali do ust rozrzedzoną owsiankę. Nie miał wyboru, musiał przełknąć albo się udusić.

Nawet w tamtych czasach ludzie woleli niewolników zrodzonych w niewoli od tych sprowadzanych z Afryki. Niegdyś wolni niewolnicy stale próbowali uciekać albo się zabić. Jedno i drugie kosztowało pieniądze.

Gdy Inkaust Jack skończył szesnaście lat, został sprzedany z kilkoma innymi niewolnikami na plantację trzciny cukrowej na wyspie Santo Domingo. Nazwano go tam Hiacynt — wielki niewolnik o wybitych zębach. Na plantacji spotkał starą kobietę ze swej wioski — wcześniej służyła w domu, lecz reumatyzm powykręcał jej pałce — która twierdziła, iż biali z rozmysłem rozdzielają niewolników z tych samych miast, wiosek i okolic, by uniknąć buntu i rewolty. Nie podobało im się, że niewolnicy rozmawiają w swych własnych językach.

Hiacynt poznał nieco język francuski i nauki kościoła

katolickiego. Co dzień wycinał trzcinę cukrową — zaczynał przed świtem, kończył po zachodzie słońca.

Spłodził kilkoro dzieci. Nad ranem mimo zakazu wraz z kilkoma niewolnikami znikał w lesie, aby tańczyć calindę, śpiewać do Damballi-Wedo, boga węża pod postacią czarnego gada. Śpiewał pieśni Elegby, Ogu, Shango, Żaki i wielu innych, wszystkich bogów, których niewolnicy sprowadzili na tę wyspę, w umysłach i w głębi serc.

Niewolnicy z plantacji trzciny cukrowej na Santo Domingo rzadko przeżywali tam dłużej niż dziesięć lat. Ich wolne chwile — dwie godziny w najgorszym południowym skwarze i pięć w mroku nocy (od jedenastej do czwartej) — stanowiły jedyną porę, gdy mogli hodować i uprawiać swoje jedzenie (właściciele bowiem nie karmili ich, jedynie przydzielali małe spłachetki ziemi, na których mogli hodować co trzeba). Tylko wtedy mogli sypiać i śnić. Oni jednak poświęcali część czasu na gromadzenie się, śpiewanie, tańce, oddawanie czci bogom. Ziemia Santo Domingo była żyzna; bogowie Dahomeju, Kongo i Nigerii szybko zapuścili grube korzenie, rozwijali się bujnie i przyrzekli wolność odwiedzającym ich w nocy wśród drzew wyznawcom.

Hiacynt miał dwadzieścia pięć lat, gdy pająk ukąsił go w grzbiet prawej dłoni. Doszło do infekcji. Ciało na grzbiecie dłoni zaczęło obumierać. Wkrótce miał spuchnięte całe ramię, jego dłoń gniła, pulsowała i piekła.

Napoili go cuchnącym surowym rumem, potem rozgrzali w ogniu klingę maczety do czerwoności, piłą obcięli mu rękę przy ramieniu, po czym przypalili ranę rozgrzaną klingą. Tydzień walczył z chorobą, by w końcu wrócić do pracy.

Jednoręki niewolnik imieniem Hiacynt uczestniczył w buncie niewolników w 1791 roku.

Sam Elegba opanował Hiacynta w lesie, dosiadał go tak, jak biały dosiada konia, przemawiał jego ustami. Hiacynt nie pamiętał, co się wtedy działo, lecz jego towarzysze poinformowali go, że przyrzekł im wolność. Pamiętał wyłącznie erekcję, twardą jak skała, bolesną, i to, że uniósł obie ręce — tę którą miał i tę której nie miał — do księżyca.

Zabito świnię. Mężczyźni i kobiety z plantacji wypili gorącą świńską krew, składając przysięgę, tworząc bractwo. Przysięgali, że staną się armią wolności, wierną bogom wszystkich krain, z których wyrwano ich przemocą.

Jeśli zginiemy w bitwie z białymi, powtarzali sobie, odrodzimy się w Afryce, w naszych domach, w naszych szczepach.

W powstaniu uczestniczył jeszcze jeden Hiacynt, toteż towarzysze nazwali Agasu Wielkim Jednorękim. Walczył, oddawał cześć bogom, składał ofiary, planował. Widział, jak jego przyjaciele i kochanki giną,

i walczył dalej.

Walczyli tak dwanaście lat, tocząc szaleńczą krwawą wojnę z właścicielami plantacji i z wojskami ściągniętymi z Francji. Walczyli i walczyli i, co niewiarygodne, zwyciężyli.

Pierwszego stycznia 1804 roku ogłoszono niepodległość Santo Domingo, które świat poznał wkrótce jako republikę Haiti. Wielki Jednoręki nie dożył tego dnia. Zginął w sierpniu 1802 roku zadźgany bagnetem przez francuskiego żołnierza.

Dokładnie w chwili śmierci Jednorękiego (którego kiedyś nazywano Hiacyntem, wcześniej Inkaust Jackiem, lecz który w sercu na zawsze pozostał Agasu) jego siostra, którą znał jako Wututu, a którą na pierwszej plantacji w Karolinie nazwano Mary, potem, gdy stała się niewolnicą domową, Daisy, a gdy sprzedano ją rodzinie Lavere w Nowym Orleanie, Sukey, poczuła, jak zimna stal bagnetu wbija się jej miedzy żebra, i zaczęła krzyczeć i płakać wniebogłosy. Jej córki bliźniaczki obudziły się i zapłakały. Były koloru kawy z mlekiem, niepodobne do czarnych dzieci, które rodziła na plantacji jeszcze jako dziewczynka — tych dzieci nie widziała, odkąd skończyły piętnaście i dziesięć lat. Gdy ją sprzedano, średnia dziewczynka nie żyła od roku.

Od zejścia na ląd Sukey wiele razy karano chłostą — raz w rany wtarto sól, innym razem wybatożono ją tak mocno, że przez kilkanaście dni nie mogła siadać ani nie pozwoliła, by cokolwiek dotknęło jej pleców. Za młodu została wielokrotnie zgwałcona: przez czarnych, którym rozkazano dzielić z nią drewnianą pryczę, i przez białych. Zakuwano ją też w łańcuchy, wtedy jednak nie płakała. Odkąd odebrano jej brata, zapłakała tylko raz, w Karolinie Północnej, gdy ujrzała, jak jedzenie dla dzieci niewolników i psów wlewają do tego samego koryta, i zobaczyła własne dzieci walczące z psami o ochłapy. Któregoś dnia zobaczyła to — tak jak wcześniej na plantacji i wiele razy przed odejściem — i widok ten złamał jej serce.

Przez jakiś czas była piękna. Potem lata bólu odcisnęły na niej swe piętno i straciła urodę. Twarz miała pomarszczoną, w brązowych oczach odbijało się cierpienie.

Jedenaście lat wcześniej, gdy miała dwadzieścia pięć lat, jej prawa ręka uschła. Nikt z białych nie wiedział, co się dzieje, ciało zdawało się spływać z kości. Teraz prawa ręka wisiała u boku — suchy kikut pokryty skórą, praktycznie nieruchomy. Po tym wypadku zaczęła pracować w domu.

Rodzina Castertonów, właścicieli plantacji, zachwyciła się tym, jak gotuje, i zdolnościami gospodarskimi, lecz pani Casterton nie podobała się uschnięta ręka, toteż niewolnicę sprzedano rodzinie Lavere, świeżo przybyłej z Luizjany. Pan Lavere, gruby, wesoły mężczyzna, potrzebował kucharki i służącej, a ręka niewolnicy Daisy

w ogóle mu nie przeszkadzała. Gdy w rok później Lavere'owie wrócili do Luizjany, niewolnica Sukey pojechała wraz z nimi.

W Nowym Orleanie zaczęli odwiedzać ją mężczyźni i kobiety. Kupowali przekleństwa, uroki miłosne i małe fetysze. Oczywiście byli czarni, ale biali też się zdarzali. Rodzina Lavere udawała, że niczego nie dostrzega. Może podobało im się, iż mają u siebie niewolnicę, która budzi szacunek i lęk. Nie zgadzali się jednak sprzedać jej wolności.

Nocą Sukey chodziła na moczary, tańczyła calindę i bamboulę. Tak jak tancerze z Santo Domingo i ich ojczyzn, tak i ci z moczarów jako swój voudon przyjęli czarnego węża. Jednakże bogowie z ojczyzny Sukey i innych afrykańskich krain nie brali ludzi w posiadanie, tak jak czynili to z jej bratem i wojownikami z Santo Domingo. Wciąż jednak przyzywała ich, wykrzykiwała ich imiona, błagając o pomoc.

Słuchała białych, opowiadających o rewolcie na Santo Domingo (jak ją nazywali) i twierdzących, że jest skazana na porażkę — „Pomyślcie tylko, kraina kanibali!". Wkrótce miała wrażenie, iż biali udają, że wyspa Santo Domingo nigdy nie istniała.

Nikt nawet nie wspominał nazwy Haiti, zupełnie jakby naród amerykański uznał, że samą wiarą może sprawić, by spora wyspa na Karaibach zniknęła z powierzchni świata.

Całe pokolenie dzieci Lavere'ow dorastało pod czujnym okiem Sukey. Najmłodsza, nie potrafiąca w dzieciństwie wymówić jej imienia, nazwała niewolnicę Mamą Zouzou i imię to przylgnęło do niej na dobre. Teraz był rok 1821. Sukey już dawno przekroczyła pięćdziesiątkę, a wyglądała znacznie starzej.

Znała więcej tajemnic niż stara Sanite Dede, sprzedająca słodycze przed Cabildo, więcej niż Marie Saloppe, zwąca się królową wudu. Obie były wolnymi kobietami, podczas gdy Mama Zouzou wciąż pozostawała niewolnicą i miała umrzeć jako niewolnica — tak często powtarzał jej pan.

Młoda kobieta, która przyszła do niej, aby się dowiedzieć, co stało się z jej mężem, nazwała się wdową Paris. Była dumna i wysoka, o wyniosłych piersiach. Miała w sobie krew afrykańską, europejską i indiańską, czerwonawą skórę, lśniące czarne włosy, czarne, pełne pychy oczy. Jej mąż, Jacques Paris, być może już nie żył. W trzech czwartych biały, bękart, niegdyś dumnego rodu, jeden z wielu imigrantów, którzy uciekli z Santo Domingo, urodzony na swobodzie, podobnie jak jego piękna młoda żona.

— Mój Jacques. Czy nie żyje? — spytała wdowa Paris.

Pracowała jako fryzjerka; krążyła od domu do domu, układając fryzury eleganckich nowoorleańskich dam przed kolejnymi spotkaniami towarzyskimi.

Mama Zouzou zasięgnęła rady kości i potrząsnęła głową.

— Jest z białą kobietą, gdzieś na północ stąd — oznajmiła. — Białą kobietą o złotych włosach. Żyje.

Nie była to magia. W Nowym Orleanie powszechnie wiedziano, z kim uciekł Jacques Paris i jaki kolor włosów miała jego kochanka. Mama Zouzou ze zdumieniem odkryła, że wdowa Paris nie miała pojęcia, iż jej Jacques wtyka co noc swego kwarterońskiego *pipi* różowoskórej dziewczynie z Colfax, no, tylko w te noce, gdy nie był zbyt pijany. Kiedy indziej stać go było wyłącznie na sikanie. A może wiedziała, może miała inny powód, by do niej przyjść?

Wdowa Paris odwiedzała starą niewolnicę raz czy dwa razy w tygodniu. Po miesiącu przyniosła jej podarki: wstążkę do włosów, ciasto z makiem i czarnego koguta.

— Mamo Zouzou — powiedziała dziewczyna. — Czas, abyś nauczyła mnie tego, co wiesz.

— Tak — odparła Mama Zouzou, która wiedziała, skąd wieje wiatr. A poza tym, wdowa Paris wyznała, iż urodziła się ze zrośniętymi palcami u nóg, co oznaczało, że była bliźniaczką i zabiła drugie dziecko w łonie matki. Jaki wybór miała Mama Zouzou?

Nauczyła dziewczynę, że dwie gałki muszkatołowe zawieszone na sznurku wokół szyi, póki sznurek nie pęknie, uleczą szmery w sercu, a gołąb, który nigdy nie latał, rozcięty nożem i ułożony na głowie pacjenta sprowadzi gorączkę. Pokazała, jak przygotować woreczek życzeń: małą skórzaną sakiewkę, zawierającą trzynaście groszy, dziewięć nasion bawełny i szczecinę czarnego wieprza, i jak pocierać woreczek, by życzenia się spełniały.

Wdowa Paris uczyła się wszystkiego, o czym mówiła jej Mama Zouzou, nie interesowali jej jednak bogowie, nie tak naprawdę. Wolała sprawy praktyczne. Z radością dowiadywała się, że jeżeli zanurzyć żywą żabę w miodzie i umieścić w mrowisku, wśród oczyszczonych białych kości znajdzie się płaską kostkę w kształcie serca i drugą, zakończoną haczykiem. Kość z haczykiem trzeba wpiąć w ubranie osoby, która ma nas pokochać, tę w kształcie serca ukryć w bezpiecznym miejscu (jeśli bowiem zginie, kochanek odwróci się od nas niczym wściekły pies). Jeżeli zrobi się to jak należy, ukochana osoba stanie się nasza.

Dowiadywała się, że proszek z wysuszonego węża dosypany po pudru nieprzyjaciółki wywołuje ślepotę i że nieprzyjaciółkę można zmusić, by się utopiła, jeżeli zabierze się jej sztukę bielizny, odwróci na lewą stronę i o północy pogrzebie pod cegłą.

Mama Zouzou pokazała wdowie Paris cudowny Korzeń Świata, wielkie i małe korzenie Jana Zdobywcy. Pokazała jej smoczą krew, walerianę, pięciopalczastą trawę. Pokazała jak parzyć herbatkę śmierci, przygotowywać wodę „idź za mną” i magiczną wodę shingo.

Wszystkiego tego uczyła wdowę Paris, która jednak sprawiła zawód starej kobiecie. Mama Zouzou dokładała wszelkich starań, by wpoić jej ukryte prawdy, głęboką wiedzę, opowiedzieć o Papie Legbie, o Mawu, o Aido-Hwedo, o wężu *voudon* i pozostałych. Lecz wdowy Paris (teraz zdradzę wam nazwisko, pod którym się urodziła i które później rozsławiła; brzmiało ono Marie Laveau, ale nie ta wielka Marie Laveau, o której słyszeliście; to była jej matka, która później została wdową Glapion) nie interesowali bogowie odległych krain. Santo Domingo było żyzną glebą dla afrykańskich bogów; ta ziemia, z jej kukurydzą i melonami, langustami i bawełną, okazała się nieprzyjazna i jałowa.

— Ona nie chce wiedzieć — skarży się Mama Zouzou Clementine, swej powiernicy, która zbiera pranie z wielu domów w sąsiedztwie, zasłony i kapy na łóżka. Policzek Clementine pokrywają blizny po oparzeniach; jedno z jej dzieci ugotowało się żywcem, gdy przewrócił się miedziany kocioł z wrzątkiem.

— Zatem jej nie ucz — mówi Clementine.

— Uczę ją, lecz ona nie dostrzega tego, co najcenniejsze — widzi tylko, co może osiągnąć. Daję jej diamenty, a ją pociągają wyłącznie śliczne szkiełka. Daję jej flaszkę najlepszego Clareta, a ona pije wodę z rzeki; daję jej przepiórki, a ona chce jeść pieczonego szczura.

— Czemu zatem upierasz się przy niej? — pyta Clementine.

Mama Zouzou wzrusza szczupłymi ramionami, uschnięta ręka kołysze się lekko.

Nie potrafi odpowiedzieć. Mogłaby rzec, że uczy, bo jest wdzięczna za to, że żyje. I tak jest w istocie. Widziała zbyt wiele śmierci. Mogłaby też powiedzieć, że śniła, iż pewnego dnia niewolnicy powstaną, tak jak powstali (i zostali pokonani) w La-Place. Wie jednak w głębi serca, że bez afrykańskich bogów, bez pomocy Legby i Mawu, nigdy nie pokonają swych białych panów. Nie powrócą do ojczyzny.

Kiedy ocknęła się owej straszliwej nocy niemal dwadzieścia lat wcześniej i poczuła zimną stal między żebrami, w tym momencie życie Mamy Zouzou dobiegło kresu. Teraz była kimś, kto już nie żyje, kto jedynie nienawidzi. Gdyby spytać ją o nienawiść, nie potrafiłaby opowiedzieć o dwunastoletniej dziewczynce na śmierdzącym statku. Wydarzenia te zatarły się w jej wspomnieniach. Przeżyła zbyt wiele chłost i bicia, zbyt wiele nocy w kajdanach, zbyt wiele rozstań, zbyt wiele bólu. Mogłaby opowiedzieć o swym synu, o tym, jak odcięto mu kciuk, gdy pan odkrył, że chłopiec potrafi czytać i pisać. Mogłaby opowiedzieć o córce, dwunastoletniej i już w ósmym miesiącu ciąży z nadzorcą, o tym, jak wykopali w czerwonej ziemi dziurę na ciężarny brzuch córki i wychłostali ją aż do krwi. Mimo starannie wykopanego otworu córka straciła dziecko i umarła w sobotni ranek, gdy biali siedzieli w kościele…

Zbyt wiele bólu.

— Czcij ich — powiedziała Mama Zouzou do młodej wdowy Paris na moczarach, w godzinę po północy. Nagie do pasa stały obok siebie, pocąc się w wilgotnym nocnym powietrzu; ich skóra połyskiwała w blasku białego księżyca.

Mąż wdowy Paris, Jacques (którego śmierć trzy lata później wywołała sporo komentarzy), opowiedział Marie o bogach z Santo Domingo. Jej jednak to nie obchodziło. Moc czerpie się z rytuałów, nie od bogów.

Mama Zouzou i wdowa Paris zawodziły, tupały i kołysały się na bagnach. Śpiewały pieśń czarnych węży — wolna kolorowa kobieta i niewolnica o uschniętej ręce.

— Jest w tym coś więcej niż zapewnienie sobie dobrobytu i pokonywanie wrogów — powtarzała Mama Zouzou.

Wiele słów ceremonii, słów, które niegdyś znała i które znał jej brat, umknęło już z jej pamięci. Powiedziała ślicznej Marie Laveau, że słowa nie mają znaczenia, jedynie melodie, rytmy. I gdy tak śpiewa i tańczy na bagnach, nawiedza ją niezwykła wizja. Widzi przed sobą rytmy pieśni, rytm calindy, bambouli, wszystkie rytmy Afryki Równikowej rozchodzące się po ziemi. Wkrótce cały kraj drży i kołysze się w rytm starych bogów, których krainę opuściła. I w głębi serca, tam na bagnach, rozumie, że nawet to nie wystarczy.

Obraca się do ślicznej Marie i dostrzega siebie jej oczami: starą czarnoskórą kobietę o pomarszczonej twarzy i kościstej ręce, sztywno wiszącej u boku, o oczach, które widziały dzieci walczące z psami o jedzenie. Ogląda samą siebie i po raz pierwszy doświadcza wstrętu i lęku, jaki czuje młoda kobieta.

A potem śmieje się, kuca i podnosi zdrową ręką węża, długiego jak młode drzewko, grubego niczym lina.

— Proszę — mówi. — Oto nasz *voudon*.

Wrzuca nie stawiającego oporu węża do koszyka trzymanego w dłoni przez żółtą Marie.

I wówczas w blasku księżyca po raz ostatni nawiedziła ją wizja. Mama Zouzou ujrzała swego brata Agasu — nie dwunastolatka z targu w Bridgeport, lecz rosłego mężczyznę, łysego, ukazującego w uśmiechu wybite zęby, o plecach pokrytych głębokimi bliznami. W jednej ręce trzymał maczetę, z prawej pozostał tylko kikut.

Sięgnęła ku niemu zdrową lewą ręką.

— Zostań jeszcze chwilę — szepnęła. — Wkrótce przybędę. Wkrótce będę z tobą.

A Marie Paris pomyślała, że stara kobieta mówi do niej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ameryka zainwestowała swoje wierzenia, podobnie jak moralność, w solidne, bezpieczne obligacje. Przyjęta postawę narodu błogosławionego, bo zasługującego na błogosławieństwo. A jej synowie, niezależnie od uznawanych, bądź nie, teologii, bez wahania podpisują się pod owym narodowym wyznaniem wiary.

— Agnes Rentier, „Czasy i Trendy”

Cień jechał na zachód przez Wisconsin i Minnesotę do Północnej Dakoty. Pokryte śniegiem wzgórza wyglądały jak wielkie, śpiące bizony. Całymi milami wraz Wednesdayem nie widzieli niczego — i było go wyjątkowo dużo. Potem ruszyli na południe, do Południowej Dakoty, kierując się w stronę rezerwatów.

Wednesday wymienił Lincolna, którego Cień lubił prowadzić, na ciężki, nieruchawy wóz kempingowy Winnebago, przesiąknięty łatwym do rozpoznania zapachem dorosłego kocura. Prowadzenie tego samochodu zupełnie Cienia nie cieszyło.

Gdy minęli pierwszy drogowskaz, wskazując górę Rushmore, nadal odległą od nich o kilkaset mil, Wednesday chrząknął głośno.

— To dopiero święte miejsce — rzekł.

Cień myślał dotąd, że jego towarzysz śpi.

— Wiem, że dla Indian było święte — rzekł.

— To święte miejsce uparł się Wednesday. — Tak właśnie wygląda amerykańskie życie — musicie dawać ludziom pretekst do przybycia i oddawania czci. W dzisiejszych czasach ludzie nie oglądają tak po prostu góry. Stąd właśnie olbrzymie oblicza prezydenckie pana Gutzona Borgluma. Ich wyrzeźbienie stało się pretekstem. Teraz ludzie przyjeżdżają tu całymi tłumami, by obejrzeć na własne oczy coś, co widzieli już na tysiącach pocztówek.

— Znałem kiedyś pewnego faceta. Ćwiczył na Farmie Mięśni kilka lat temu. Mówił, że młodzi Indianie Dakota wdrapują się na górę i tworzą nieprawdopodobne ludzkie łańcuchy, zwisające z wierzchołka tylko po to, by gość na końcu mógł odlać się na nos prezydenta.

Wednesday zaśmiał się donośnie.

— Dobre! Bardzo dobre. Czy któryś szczególny prezydent zasłużył

sobie u niego na te niezwykłe względy?

Cień wzruszył ramionami.

— Nie mówił.

Pod kołami Winnebago znikały kolejne mile. Cień wyobrażał sobie, że tkwi nieruchomo, podczas gdy amerykański krajobraz mija ich z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zimowa mgiełka zacierała kontury świata.

W południe drugiego dnia jazdy niemal dotarli już na miejsce.

— W zeszłym tygodniu w Lakeside zniknęła dziewczyna — powiedział Cień, wyrwawszy się z zamyślenia. — Wtedy gdy byliśmy w San Francisco.

— Mmm. — W głosie Wednesdaya nie dosłyszał zbytniego zainteresowania.

— Nastolatka, Alison McGovern. I to nie ona pierwsza zniknęła. Byli też inni. Odchodzą zimą.

Wednesday zmarszczył brwi.

— Prawdziwa tragedia, co? Małe twarze na kartonach mleka — choć nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem zdjęcie dziecka na kartonie mleka — i na ścianach barów przy autostradzie. „Widzieliście mnie?" pytają napisy. To niezwykle egzystencjalne pytanie. Widzieliście mnie? Skręć w następny zjazd.

Cieniowi wydało się, że usłyszał przelatujący w górze helikopter, lecz chmury wisiały zbyt nisko, żeby cokolwiek dostrzec.

— Czemu wybrałeś akurat Lakeside? — spytał.

— Już mówiłem. To miłe, ciche miejsce. Świetnie nadaje się na kryjówkę. Tam znikasz z widoku. Znikasz z ich radarów.

— Czemu?

— Bo tak już jest. Skręcaj w lewo — polecił Wednesday.

Cień posłuchał.

— Coś jest nie tak — rzekł Wednesday. — Kurwa. Ja pierdole. Zwolnij, ale nie zatrzymuj się.

— Rozwiniesz temat?

— Mamy kłopoty. Znasz jakąś inną drogę?

— Raczej nie. Pierwszy raz jestem w Południowej Dakocie i nie mam pojęcia, dokąd jedziemy.

Po drugiej stronie wzgórza coś błysnęło czerwonym światłem, rozmazanym we mgle.

— Blokada — oznajmił Wednesday. Wsunął rękę głęboko najpierw do jednej kieszeni marynarki, potem do drugiej. Wyraźnie czegoś szukał.

— Mogę się zatrzymać i zawrócić.

— Nie możemy zawrócić. Za nami też jadą — odparł Wednesday. — Zwolnij do dwudziestu paru kilometrów na godzinę.

Cień zerknął w lusterko. Ponad kilometr dalej dostrzegł

reflektory.

— Jesteś pewien? — spytał.

— Pewien, jak tego, że jajko jest jajkiem — prychnął Wednesday — jak powiedział hodowca indyków po wykluciu się pierwszego żółwia. No, wreszcie! — Z samego dna kieszeni wyciągnął mały kawałek kredy.

Zaczął pisać nią na desce rozdzielczej samochodu, stawiając znaki, jakby rozwiązywał zagadkę matematyczną — albo może, pomyślał Cień, niczym włóczęga pozostawiający długie wiadomości innym włóczęgom w ich własnym kodzie: zły pies, niebezpieczne miasto, miła kobieta, wygodne więzienie, w którym można nocować…

— W porządku — powiedział Wednesday. — Teraz przyspiesz do czterdziestu. I nie schodź poniżej.

Jeden z samochodów za ich plecami włączył koguta i syrenę.

— Nie zwalniaj — powtórzył Wednesday. — Chcą, żebyśmy zwolnili przed dotarciem do blokady.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp.

Pokonali szczyt wzgórza. Od blokady dzieliło ich niecałe pół kilometra. Dwanaście samochodów stało na jezdni, a na poboczach czekały radiowozy i kilka wielkich, czarnych terenówek.

— Już. — Wednesday schował kredę.

Całą deskę rozdzielczą Winnebago pokrywały znaki przypominające runy.

Radiowóz na sygnale jechał tuż za nimi. Zwolnił do ich prędkości. W głośniku rozległ się głos:

— Zjedź na pobocze.

Cień spojrzał na Wednesdaya.

— Skręć szybko w prawo — polecił Wednesday. — Po prostu zjedź z drogi.

— Nie mogę! Przewrócimy się.

— Nic nam nie będzie. W prawo, już!

Cień pociągnął prawą ręką kierownicę. Winnebago szarpnął się i skoczył naprzód. Przez moment Cieniowi wydawało się, że ma rację, że wóz kempingowy przewróci się na bok, a potem świat widoczny za szybą rozpłynął się i zamigotał niczym odbicie na tafli jeziora, gdy wiatr muska powierzchnię.

Chmury, mgła, śnieg i cienie zniknęły.

Teraz nad ich głowami lśniły gwiazdy, wiszące na nocnym niebie niczym zamarznięte świetlne włócznie, przeszywające ciemność.

— Zaparkuj tutaj — polecił Wednesday. — Resztę drogi przejdziemy piechotą.

Cień wyłączył silnik. Przeszedł na tył wozu, włożył płaszcz, wysokie buty i rękawiczki. Potem wyskoczył na dwór.

— W porządku, ruszajmy.

Wednesday spojrzał na niego z rozbawieniem i czymś jeszcze — być może irytacją albo dumą.

— Czemu nie protestujesz? — spytał. — Czemu nie krzyczysz, że to niemożliwe? Dlaczego po prostu robisz to, co ci każę, i przyjmujesz jak coś kurewsko oczywistego?

— Bo nie płacisz mi za zadawanie pytań — odparł Cień, a potem dodał, uświadamiając sobie, że mówi prawdę w chwili, gdy słowa opuściły jego usta: — A poza tym, od czasu Laury nic nie zdołało mnie już zaskoczyć.

— Odkąd wyszła z grobu?

— Odkąd się dowiedziałem, że rżnęła się z Robbiem. To bolało. Wszystko inne spływa po wierzchu. Dokąd teraz?

Wednesday wskazał kierunek i ruszyli naprzód. Pod stopami mieli skałę — śliską, wulkaniczną, od czasu do czasu pokrytą warstewką szkliwa. Powietrze było chłodne, ale nie mroźne. Powoli, ostrożnie schodzili w dół zbocza, podążając ledwo przetartą ścieżką. Cień spojrzał w dół.

— Co to jest, do diabła? — spytał. Wednesday jednak przytknął palec do ust, gwałtownie potrząsając głową: Cisza!

To coś wyglądało jak mechaniczny pająk — błękitny metal, połyskujące światełka wyświetlaczy. Wielkością dorównywało traktorowi. Przycupnęło u stóp wzgórza, wśród rozrzuconych wokół kości. Obok każdej płonął migotliwy ogieniek, niewiele większy od płomyka świecy.

Wednesday nakazał gestem Cieniowi trzymać się jak najdalej od owych przedmiotów. Cień odsunął się na bok, co okazało się błędem: pośliznął się na szklistej ścieżce, powinęła mu się noga i runął w dół zbocza, turlając się, ślizgając, obijając. Po drodze chwycił obsydianową iglicę. Krawędź rozdarła skórzaną rękawicę, jakby zrobiono ją z papieru.

Zatrzymał się na dole — pomiędzy mechanicznym pająkiem a kośćmi.

Wyciągnął rękę, próbując odepchnąć się od ziemi, i odkrył, że dotyka czegoś, co przypomina kość udową, i nagle…

…stał w blasku dnia, paląc papierosa i zerkając na zegarek. Otaczały go samochody — niektóre puste, inne nie. Żałował, że wypił ostatnią filiżankę kawy, bo strasznie chciało mu się siku i pełny pęcherz doskwierał coraz bardziej.

Jeden z miejscowych policjantów podszedł do niego — wielki mężczyzna o sumiastych, przyprószonych siwizną wąsach. Zdążył już zapomnieć jego nazwisko.

— Nie wiem, jakim cudem ich zgubiliśmy — mówi Miejscowy Policjant przepraszającym tonem.

— To było złudzenie optyczne — odpowiada. — Zdarzają się przy

niezwykłych warunkach pogodowych, mgle i tak dalej. Miraż. Jechali inną drogą. A nam zdawało się, że są na tej.

Miejscowy Policjant patrzy na niego rozczarowany.

— Och, myślałem, że to może coś jak z Archiwum X.

— Niestety, nic tak pasjonującego.

Dolegają mu hemoroidy. Zaczyna czuć pierwsze swędzenie w tyłku i wie, że wkrótce zacznie go piec. Bardzo chciałby wrócić do Waszyngtonu. Żałuje, że nie może schować się za jakimś drzewem, bo coraz bardziej chce mu się sikać. Odrzuca papierosa i przydeptuje go nogą.

Miejscowy Policjant podchodzi do jednego z radiowozów i mówi coś do kierowcy. Obaj kręcą głowami.

On sięga po telefon, przyciska Menu i znajduje hasło „Pralnia", które, gdy je wpisywał, wydało mu się niezwykle śmieszne — aluzja do serialu „Człowiek z U.N.C.L.E". Patrząc na nie, uświadamia sobie, że się pomylił, że w serialu był krawiec. Chodziło mu o „Get Smart". Po tych wszystkich latach wciąż czuje się dziwnie i nieco niezręcznie, ponieważ jako dzieciak nie zdawał sobie sprawy, że to komedia; brał wszystko na serio…

Kobiecy głos w telefonie:

— Tak?

— Mówi pan Town. Do pana Worlda.

— Chwileczkę. Zobaczę, czy może odebrać.

Cisza. Town krzyżuje nogi, podciąga pasek spodni — musi zrzucić pięć kilo — tak by nie uciskał pęcherza. Po chwili w słuchawce odzywa się uprzejmy głos:

— Słucham, panie Town.

— Zgubiliśmy ich — mówi Town. Czuje nagły ucisk w żołądku. — To byli oni. Dranie. Cholerne skurwysyny. Ci sami, którzy zabili Woody'ego i Stone'a, takich dobrych, porządnych ludzi.

Town bardzo chce zerżnąć panią Stone, ale wie, że jest jeszcze za wcześnie, by zacząć działać. Na razie więc zaprasza ją co parę tygodni na obiad, inwestując w przyszłość, a ona przyjmuje to z wdzięcznością…

— Jak?

— Nie wiem. Zorganizowaliśmy blokadę. Nie mieli gdzie skręcić, ale i tak zniknęli.

— Jeszcze jedna z tajemnic życia. Nie przejmujcie się. Uspokoiłeś miejscowych?

— Powiedziałem, że to złudzenie optyczne.

— Kupili to?

— Prawdopodobnie.

Głos pana Worlda brzmiał niezwykle znajomo — co za dziwna myśl; pracuje z nim przecież od dwóch lat, rozmawia co dzień.

Oczywiście, że zna jego głos.

— Do tej pory zdążyli już uciec.

— Czy mam posłać ludzi do rezerwatu i spróbować ich przechwycić?

— Gra niewarta świeczki. Zbyt wiele problemów z jurysdykcją, a ja nie zdążę pociągnąć za wszystkie niezbędne sznurki. Mamy mnóstwo czasu. Po prostu wracaj tutaj. Cały czas próbuję zorganizować spotkanie.

— Kłopoty?

— Mnóstwo urażonych ambicji. Zaproponowałem, żeby zorganizować je tutaj. Techniczni chcą się spotkać w Austin, czy może w St. Jose. Gracze w Hollywood. Niematerialni na Wall Street. Każdy chce urządzić spotkanie na swoim podwórku. Nikt nie zamierza ustąpić.

— Mam coś zrobić?

— Na razie nie. Powarczę na jednych, pogłaszczę drugich. Znasz to.

— Tak, proszę pana.

— Powodzenia, Town.

Koniec rozmowy.

Town myśli, że powinien był zamówić oddział SWAT i zaatakować pieprzonego Winnebago, albo zaminować drogę, albo walnąć w nich taktycznym pociskiem jądrowym, żeby pokazać skurwielom, że nie żartuje. Pan World powiedział mu kiedyś: „Piszemy przyszłość ognistymi literami", a pan Town myśli: Jezu, jeśli zaraz się nie odleję, stracę nerkę, pęknie mi na kawałki. Zupełnie jak mawiał jego ojciec, gdy podróżowali razem, kiedy Town był jeszcze dzieckiem. Na autostradzie ojciec powtarzał zawsze: „Zaczynają mi pływać zęby". Pan Town jeszcze teraz słyszał jego głos w uszach: ostry jankeski akcent. „Będę musiał się odlać, synu. Zaczynają mi pływać zęby"…

…w tym momencie Cień poczuł dłoń, rozginającą kolejno jego palce, zaciśnięte wokół kości. Nie musiał już się załatwić. To był ktoś inny. Stał pod gwiazdami na szklistej, skalnej równinie.

Wednesday ponownie nakazał mu gestem milczenie. Ruszył naprzód. Cień podążył jego śladem.

Mechaniczny pająk poruszył się ze zgrzytem i Wednesday zamarł. Cień zatrzymał się, czekając. Po bokach pająka przebiegły migotliwe serie zielonych światełek. Cień starał się nie oddychać zbyt głośno.

Myślał o tym, co zdarzyło się przed chwilą — zupełnie, jakby spojrzał przez okno do wnętrza czyjegoś umysłu. A potem zrozumiał. Pan World. To mnie jego głos wydał się znajomy. To była moja myśl, nie Towna, dlatego wydawała się taka dziwna. Próbował zidentyfikować ów głos, przypisać do jakiejś kategorii. Nie potrafił

jednak.

W końcu to do mnie dotrze — pomyślał Cień. — Wcześniej czy później.

Zielone światełka zmieniły barwę; stały się niebieskie, potem czerwone, przygasły i pająk przysiadł na swych metalowych nogach. Wednesday znów ruszył naprzód: samotna postać pod gwiazdami, w szerokim kapeluszu. Postrzępiony czarny płaszcz łopotał, unoszony porywami wiatru znikąd. Laska postukiwała w szklisty kamień.

Gdy metalowy pająk stał się już tylko odległym błyskiem w świetle gwiazd, daleko na równinie, Wednesday odezwał się cicho:

— Możemy już bezpiecznie rozmawiać.

— Gdzie jesteśmy?

— Za kulisami.

— Słucham?

— Potraktuj to jako kulisy, drugą stronę, coś jak w teatrze. Po prostu zabrałem nas z widowni za kulisty. To taki skrót.

— Kiedy dotknąłem tamtej kości, znalazłem się w umyśle faceta nazwiskiem Town. Współpracuje z resztą drani. Nienawidzi nas.

— Tak.

— Ma szefa, pana Worlda, który kogoś mi przypomina, ale nie wiem kogo. Zaglądałem do głowy Towna — a może znalazłem się w niej? Nie mam pewności.

— Czy wiedzą, dokąd się kierujemy?

— Myślę, że w tej chwili odwołują poszukiwania. Nie chcą jechać za nami do rezerwatu. Idziemy do rezerwatu?

— Może.

Wednesday na moment wsparł się na lasce, po czym podjął przerwaną wędrówkę.

— Co to było, ten pająk?

— Materializacja wzorca. Wyszukiwarka.

— Czy one są niebezpieczne?

— Dożyłem mojego wieku, bo zawsze zakładam najgorsze.

Cień uśmiechnął się.

— A ile właściwie masz lat?

— Tyle co mój język — odparł Wednesday — i kilka miesięcy więcej niż moje zęby.

— Trzymasz karty tak blisko przy orderach — zauważył Cień — że czasami nie jestem nawet pewien, czy to naprawdę karty.

Wednesday jedynie mruknął coś w odpowiedzi.

Każde kolejne wzgórze okazywało się trudniejsze do pokonania.

Cień poczuł pierwszy ból głowy. Światło gwiazd pulsowało i jego rytm odbijał się echem w skroniach i piersi Cienia. U stóp następnego wzgórza Cień potknął się, otworzył usta, by coś powiedzieć, i bez ostrzeżenia zwymiotował.

Wednesday sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął małą piersiówkę.

— Napij się — polecił. — Ale tylko łyk.

Płyn w środku był ostry, cuchnący, parował w ustach niczym dobry koniak, choć nie smakował alkoholem. Wednesday zabrał piersiówkę i ją schował.

— Niedobrze jest, gdy widzowie znajdują się nagle za kulisami. To dlatego źle się czujesz. Musimy się pospieszyć i zabrać cię stąd.

Dalej poszli szybciej. Wednesday maszerował miarowo, Cień potykał się od czasu do czasu, lecz po lekarstwie czuł się lepiej. W ustach pozostał mu smak skórki pomarańczowej, olejku rozmarynowego, mięty i goździków.

Nagle towarzysz chwycił go za rękę.

— Tam! — Wskazał dwa identyczne pagórki ze zwykłej, szklistej skały, po lewej stronie. — Przejdź między nimi, obok mnie.

Zrobili tak. Zimne powietrze i jasne dzienne światło jednocześnie uderzyły Cienia w twarz.

Stali w połowie zbocza łagodnego wzgórza. Mgła zniknęła. Dzień był słoneczny i mroźny, niebo miało barwę doskonałego błękitu. U stóp wzgórza dostrzegł żwirową drogę, na której podskakiwała czerwona furgonetka — maleńka jak dziecięcy samochodzik. Z pobliskiego budynku ulatywał drzewny dym, unoszony porywami wiatru. Wyglądało to, jakby ktoś wziął starą przyczepę i trzydzieści lat temu upuścił ją na zbocze. Dom był wielokrotnie naprawiany, połatany, a w niektórych miejscach także rozbudowany.

Gdy się zbliżyli, drzwi się otwarły i ze środka spojrzał na nich mężczyzna w średnim wieku o bystrych oczach i ustach niczym szrama po nożu.

— A niech mnie! Słyszałem, że wybiera się do mnie dwóch białych. Dwóch białych w Winnebago. Słyszałem też, że zabłądzili, jak to zwykle biali, jeśli nie mają swoich drogowskazów. I spójrzcie tylko na tych dwóch nieszczęśników na progu. Wiecie, że jesteście na ziemi Lakotów? — Włosy miał siwe i długie.

— Od kiedy to jesteś Lakotą, stary oszuście? — Wednesday miał na sobie płaszcz i czapkę z nausznikami i Cieniowi wydało się nagle nieprawdopodobne, że zaledwie kilka chwil temu pod gwiazdami jego towarzysz był ubrany w postrzępioną pelerynę i szerokoskrzydły kapelusz. — Witaj, Whiskey Jacku. Umieram z głodu, a mój przyjaciel przed chwilą wyrzygał śniadanie. Zaprosisz nas do środka?

Whiskey Jack podrapał się pod pachą. Odziany w niebieskie dżinsy, podkoszulkę szarą jak włosy i mokasyny, zdawał się nie dostrzegać zimna.

— Tu mi się podoba. Wejdźcie do środka, biali ludzie, którzy zgubiliście swego Winnebago.

Wewnątrz przyczepy w powietrzu unosił się gęściejszy dym. Dostrzegli drugiego człowieka, siedzącego przy stole. Ten mężczyzna był bosy, odziany w skóry zwierząt. Jego własna skóra miała kolor kory.

Wednesday uśmiechnął się radośnie.

— No, no — rzekł. — Wygląda na to, że nasze spóźnienie okazało się owocne. Whiskey Jack i Johnny Jabłko. Dwa ptaszki w garści.

Mężczyzna przy stole, Johnny Jabłko, popatrzył na Wednesdaya. Potem sięgnął dłonią do kroku, pomacał i rzekł:

— I znów się mylisz. Mojego ptaszka nie masz w garści. Jest tam, gdzie być powinien. — Zerknął na Cienia i uniósł rękę w powitalnym geście. — Jestem John Chapman. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi o mnie twój szef. Jest dupkiem, był dupkiem i zawsze nim będzie. Niektórzy ludzie tak po prostu mają. Nic nie poradzisz.

— Mike Ainsel — przedstawił się Cień.

Chapman potarł palcami zarośnięty podbródek.

— Ainsel — powtórzył. — To nie nazwisko, ale może być. Jak cię zwą?

— Cień.

— Zatem ja też będę ci mówił Cień. Hej, Whiskey Jacku. — Tak naprawdę jednak nie mówi wcale „Whiskey Jack", uświadomił sobie Cień. Wymawiał zbyt wiele sylab. — Jak tam żarcie?

Whiskey Jack wziął drewnianą łyżkę i podniósł pokrywkę czarnego, żelaznego garnka, w którym coś bulgotało na kuchni.

— Gotowe — oznajmił.

Wziął z półki cztery plastikowe miski, rozłożył do nich łyżką zawartość garnka i ustawił na stole. Potem otworzył drzwi, wyszedł na śnieg i wyciągnął z zaspy plastikowy kanisterek. Przyniósł go do środka i nalał cztery duże szklanki mętnego, żółtobrą-zowego płynu. Ustawił je obok misek. W końcu znalazł cztery łyżki i usiadł przy stole, zapraszając gości.

Wednesday podejrzliwie podniósł szklankę.

— Wygląda jak szczyny.

— Wciąż je pijesz? — spytał Whiskey Jack. — Wy, biali, naprawdę macie świra. To jest znacznie lepsze. — A potem dodał, zwracając się do Cienia: — To gulasz z dzikiego indyka, a Johnny przyniósł jabcoka.

— Słaby jabłkowy cydr. Nie lubię mocnych alkoholi. Mieszają ludziom w głowach.

Gulasz okazał się doskonały. Podobnie cydr. Cień zmusił się, by jeść powoli, dokładnie przeżuwać mięso, nie przełykać zachłannie. Był głodniejszy, niż przypuszczał. Dołożył sobie gulaszu, dolał cydru.

— Dotarły do mnie plotki, że rozmawiasz z różnymi ludźmi i proponujesz im najróżniejsze rzeczy. Ponoć namawiasz staruszków do

wstąpienia na ścieżkę wojenną — zagadnął John Chapman.

Cień i John Chapman zmywali. Resztę gulaszu schowali do plastikowych pojemników. Whiskey Jack ustawił je w śniegu i nakrył pustą skrzynką, by wiedzieć, gdzie są.

— To całkiem trafne podsumowanie.

— Oni zwyciężą — oznajmił Whiskey Jack tonem nie dopuszczającym dyskusji. — Już zwyciężyli, wy przegraliście. Tak jak to było z białymi i z moim ludem. Zwykle wygrywali, a gdy przegrywali, zawierali układy, potem je łamali, i znów zwyciężali. Nie zamierzam walczyć w kolejnej przegranej sprawie.

— I nie patrz też na mnie — dodał John Chapman. — Bo gdybym nawet stanął po waszej stronie — a tego nie zrobię — i tak na nic się nie przydam. Te cholerne szczury odrzuciły mnie, kompletnie zapomniały — urwał, po czym dodał: — Paul Bunyan. — Powoli pokręcił głową i powtórzył: — Paul Bunyan.

Cień nigdy nie słyszał tak głębokiej nienawiści w dwóch równie prostych słowach.

— Paul Bunyan? A co on zrobił?

— Zajął miejsce w ich głowach — wtrącił Whiskey Jack. Wyżebrał od Wednesdaya papierosa i obaj zapalili.

— To tak jak z tymi idiotami, którzy uważają, że kolibry przejmują się swoją linią, próchnicą zębów czy innymi bzdurami, i chcą im oszczędzić kontaktu z cukrem, białą śmiercią — wyjaśnił Wednesday. — Wypełniają zatem karmniki dla kolibrów pieprzonym słodzikiem. Ptaki piją płyn i umierają, bo w ich jedzeniu brakuje kalorii, choć brzuszki mają pełne. Tak samo wygląda sprawa z Paulem Bunyanem. Nikt nigdy nie opowiadał historii o Paulu Bunyanie. Nikt nie wierzył w Paula Bunyana. Paul Bunyan to produkt nowojorskiej agencji reklamowej. Wyszedł z niej w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku i napełnił mityczny brzuch narodu pustymi kaloriami.

— Lubię Paula Bunyana — wtrącił Whiskey Jack. — Kilka lat temu wybrałem się na Przejażdżkę z Panem Bunyanem w centrum handlowym America. Widać stojącego na górze wielkiego, starego Paula Bunyana, a potem siup, jazda w dół i plusk. Nic do niego nie mam. Nie przeszkadza mi, że nie istniał, bo to znaczy, że tak naprawdę nie wyciął żadnych drzew. Nie jest to jednak tak dobre, jak sadzenie drzew. Co fakt, to fakt.

— Sporo gadasz — zauważył Johnny Chapman. Wednesday wydmuchnął kółko z dymu, które zawisło w powietrzu, rozpływając się powoli drobnymi smużkami.

— Do diabła, Whiskey Jacku, nie o to tu chodzi i dobrze o tym wiesz!

— Ja ci nie pomogę — oznajmił Whiskey Jack. — Kiedy nakopią ci w tyłek, możesz wrócić, i jeśli nadal tu będę, znów cię nakarmię.

Najlepsze żarcie dostaniesz na jesieni.

— Wszystkie inne wyjścia są gorsze — rzekł Wednesday.

— Nie masz pojęcia o wyjściach — odrzekł Whiskey Jack i spojrzał na Cienia. — Ty polujesz — rzekł głosem ochrypłym od dymu i papierosów.

— Pracuję — poprawił Cień.

Whiskey Jack potrząsnął głową.

— Nie tylko. Także na coś polujesz. Masz dług, który pragniesz spłacić.

Cień przypomniał sobie sine wargi Laury i krew na jej rękach.

— Posłuchaj. Lis był tu pierwszy. Miał brata Wilka. Lis oznajmił, że ludzie będą żyli wiecznie. Jeśli umrą, to na krótko. Wilk odparł: „Nie, ludzie będą umierać, muszą umierać. Wszystko, co żyje, musi umierać. W przeciwnym razie rozmnożą się, zajmą cały świat, zjedzą wszystkie łososie, karibu i bizony, wszystkie dynie, całą kukurydze". Pewnego dnia Wilk umarł i powiedział do Lisa: „Szybko, ożyw mnie", a Lis na to: „Martwi muszą pozostać martwi. Przekonałeś mnie". Płakał, gdy to mówił, ale tak powiedział i tak zrobił. Teraz wilk włada światem umarłych, a Lis żyje na wieki pod słońcem i księżycem i wciąż opłakuje swego brata.

— Skoro nie chcecie grać, to nie chcecie — wtrącił Wednesday. — Ruszamy w drogę.

Twarz Whiskey Jacka nawet nie drgnęła.

— Mówię do tego młodzieńca. Tobie nie da się już pomóc, jemu owszem. — Z powrotem odwrócił się do Cienia. — Opowiedz mi swój sen.

— Wspinałem się na wieżę z czaszek. Wokół krążyły olbrzymie ptaki. W skrzydłach miały pioruny. Atakowały mnie. Wieża runęła.

— Wszyscy śnią — mruknął Wednesday. — Możemy już iść?

— Nie wszyscy śnią o Wakinyau, ptakach gromu — powiedział Whiskey Jack. — Nawet tu czuliśmy echa.

— Mówiłem — warknął Wednesday. — Jezu.

— W zachodniej Wirginii żyje stadko ptaków gromu — wtrącił beztrosko Chapman. — Kilka kur i stary kogut. Jest też młodsza parka, w okolicy, którą kiedyś nazywano Stanem Franklina, lecz stary Ben nigdy nie dostał swojego stanu, pomiędzy Kentucky i Tennessee. Oczywiście nigdy, nawet w najlepszych czasach, nie było ich zbyt wielu.

Whiskey Jack wyciągnął rękę barwy czerwonej gliny i delikatnie dotknął twarzy Cienia.

— Eyah — rzekł. — To prawda. Jeśli upolujesz ptaka gromu, możesz ożywić swoją kobietę. Ale jej miejsce jest u wilka, w świecie umarłych, nie na ziemi żywych.

— Skąd wiesz? — spytał Cień.

Wargi Whiskey Jacka nie poruszyły się.

— Co ci powiedział bawół?

— Żebym wierzył.

— Dobra rada. Zamierzasz jej posłuchać?

— Tak sądzę.

Rozmawiali bez słów, bez ruchu warg, bez dźwięku. Cień zastanawiał się, czy ich towarzysze widzą tylko dwie nieruchome postaci — zastygłe na czas jednego uderzenia serca, ułamka owego uderzenia.

— Kiedy znajdziesz swój szczep, odwiedź mnie znowu — powiedział Whiskey Jack. — Pomogę ci.

— Tak zrobię.

Whiskey Jack spuścił głowę i odwrócił się do Wednesday a.

— Zamierzasz zabrać swojego Ho Chunka?

— Mojego co?

— Ho Chunka. Tak nazywają się Winnebago.

Wednesday potrząsnął głową.

— Zbyt ryzykowne. Odzyskanie wozu mogłoby stanowić problem. Będą go szukać.

— Jest kradziony?

Wednesday popatrzył na niego z urazą.

— W żadnym razie. Dokumenty są w schowku na rękawiczki.

— A kluczyki?

— Ja je mam — oznajmił Cień.

— Mój siostrzeniec, Harry Sójka, ma buicka z osiemdziesiątego pierwszego. Dajcie mi kluczyki do swojego wozu kempingowego. Możecie wziąć jego wóz.

Wednesday wyraźnie się najeżył.

— Co to za wymiana?

Whiskey Jack wzruszył ramionami.

— Wiesz, jak trudno będzie ci sprowadzić tamten samochód z miejsca, w którym go porzuciliście. Robię wam przysługę. Możecie się zgodzić albo nie. Mnie to nie obchodzi. — Zacisnął wąskie wargi.

Wednesday przez chwilę milczał z gniewną miną. Potem gniew zamienił się w żal.

— Cieniu — polecił. — Daj mu kluczyki do Winnebago.

Cień podał je Whiskey Jackowi.

— Johnny — poprosił Whiskey Jack — zabierz ich do Harry'ego Sójki. Powiedz, że kazałem mu oddać im samochód.

— Z przyjemnością — odparł Jack Chapman.

Wstał, podszedł do drzwi, podniósł leżący obok niewielki worek, nacisnął klamkę i wyszedł na zewnątrz. Cień i Wednesday podążyli w ślad za nim. Whiskey Jack został na progu.

— Hej! — rzucił w stronę Wednesdaya. — Nie wracaj tu więcej.

Nie jesteś mile widziany.

Wednesday uniósł palec, celując nim w niebo.

— Nabij się na niego — odparł pogodnie.

Zeszli na dół w śniegu, przebijając się przez zaspy. Chapman maszerował z przodu. Jego bose stopy odcinały się ostrą czerwienią na tle zamarzniętego śniegu.

— Nie zimno ci? — spytał Cień.

— Moja żona była z plemienia Choctaw — odparł Chapman.

— I nauczyła cię mistycznych metod unikania mrozu?

— Nie. Uważała, że jestem wariatem. Stale powtarzała: „Johnny, czemu po prostu nie włożysz butów?".

Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Musieli przerwać rozmowę. Cała trójka schodziła, potykając się i ślizgając, przytrzymując pni rosnących wokół brzóz, aby nie upaść. Gdy pokonali najgorszy odcinek, Chapman odezwał się znowu:

— Oczywiście już nie żyje. Kiedy zmarła, trochę oszalałem. Coś takiego może spotkać każdego, nawet ciebie. — Klepnął Cienia w ramię. — Jezu i Jozefacie, z ciebie to kawał chłopa.

— Tak powiadają — odparł Cień.

Maszerowali około pół godziny. W końcu dotarli do okrążającej wzgórze żwirowej drogi i ruszyli w stronę widocznych z góry budynków.

Mijający ich samochód zwolnił i przystanął. Kobieta za kierownicą pochyliła się, opuściła szybę i spytała:

— Hej, frajerzy, podwieźć was?

— To bardzo uprzejme z pani strony — odparł Wednesday. — Szukamy pana Harry'ego Sójki.

— Jest pewnie w klubie — mruknęła kobieta. Na oko sądząc, skończyła już czterdziestkę. — Wskakujcie.

Wsiedli. Wednesday zajął miejsce obok niej, John Chapman i Cień usiedli z tyłu. Cień miał trochę za długie nogi, by móc usadowić się wygodnie, ale postarał się jak mógł. Samochód szarpnął i ruszył naprzód, podskakując na żwirowej drodze.

— Skąd przyszliście, wy trzej? — spytała kobieta.

— Odwiedziliśmy przyjaciela — odparł Wednesday.

— Mieszka na wzgórzu — dodał Cień.

— Na jakim wzgórzu?

Cień obejrzał się przez zakurzone tylne okno, lecz za sobą nie dostrzegł wysokiego wzgórza, jedynie chmury nad równiną.

— To Whiskey Jack — powiedział.

— Aaa — odparła. — Tu nazywamy go Inktomi. Myślę, że to ten sam facet. Dziadek opowiadał mi o nim niezłe historie. Oczywiście te najlepsze były dość nieprzyzwoite. — Natrafili na wybój. Kobieta zaklęła. — Wszystko w porządku?

— Tak, proszę pani — rzekł Johnny Chapman. Obiema rękami przytrzymywał się siedzenia.

— Drogi w rezerwatach — westchnęła. — Można do nich przywyknąć.

— Wszystkie są takie? — spytał Cień.

— Mniej więcej. Wszystkie w tych okolicach. I nie pytajcie o forsę z kasyn, bo jaki człowiek o zdrowych zmysłach przybyłby tutaj, żeby zagrać w kasynie? My nie oglądamy tych słynnych pieniędzy.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. — Z donośnym zgrzytem zmieniła bieg. — Wiedzieliście, że tutejsi biali odchodzą? Wystarczy przejechać się kawałek i natraficie na puste widmowe miasta. Jak zatrzymać ludzi na farmie, skoro na ekranach telewizorów oglądają cały świat, a na Złych Ziemiach i tak nie da się niczego wyhodować. Zabrali nam te tereny, osiedli tutaj, a teraz odchodzą, przenoszą się na południe, zachód. Może, jeśli poczekamy jeszcze trochę, dostatecznie wielu z nich przeniesie się do Nowego Jorku, Miami i Los Angeles, i bez walki odzyskamy to co nasze.

— Powodzenia — rzucił Cień.

Harry'ego Sójkę znaleźli w klubie, przy stole bilardowym. Popisywał się właśnie strzałami przed grupką dziewcząt. Na wierzchu prawej dłoni miał wytatuowaną niebieską sójkę, w prawym uchu kilka kolczyków.

— Ho hoka, Harry Sójko — pozdrowił go John Chapman.

— Spierdalaj, świrnięty biały duchu — odparł pogodnie Harry. — Boję się ciebie.

Po drugiej stronie pomieszczenia siedziało kilku starszych mężczyzn. Niektórzy grali w karty, inni rozmawiali. Byli też inni, młodsi, mniej więcej w wieku Harry'ego Sójki, czekający na swoją kolejkę przy stole bilardowym. Rozdarcie w przykrywającym stół zielonym rypsie naprawiono srebrnoszarą taśmą klejącą.

— Mam wiadomość od twojego wuja — oznajmił spokojnie Chapman. — Każe ci oddać tym dwóm samochód.

W klubie musiało być w sumie jakieś trzydzieści, czterdzieści osób. W tej chwili wszyscy wpatrywali się uważnie w swoje karty, stopy bądź palce, udając z całych sił, że nie słyszą ani słowa.

— On nie jest moim wujem.

W powietrzu unosił się dym papierosowy. Chapman uśmiechnął się szeroko, demonstrując najpaskudniejsze zęby, jakie Cieniowi zdarzyło się oglądać u ludzkiej istoty.

— Chcesz mu to powiedzieć osobiście? Twierdzi, że tylko dla ciebie został wśród Lakotów.

— Whiskey Jack gada mnóstwo rzeczy — odparł potulnie Harry Sójka. On jednak także nie powiedział „Whiskey Jack". To, co mówił

brzmiał niemal tak samo, lecz nie do końca.

Wisakedjak — pomyślał Cień. — Oto co mówią. Nie Whiskey Jack.

— Właśnie — wtrącił głośno. — Między innymi powiedział, że wymienimy naszego Winnebago na twojego buicka.

— Nie widzę tu Winnebago.

— On ci go przyprowadzi — oznajmił John Chapman. — Doskonale o tym wiesz.

Harry Sójka próbował wykonać trudny strzał. Chybił. Zanadto trzęsły mu się ręce.

— Nie jestem siostrzeńcem tego starego lisa — oznajmił. — Chciałbym, żeby nie wmawiał ludziom takich rzeczy.

— Lepszy żywy lis niż martwy wilk — powiedział Wednesday głosem tak niskim, że niemal przypominającym warknięcie. — I co, sprzedasz nam swój wóz?

Mężczyzna zadrżał — wyraźnie, gwałtownie.

— Jasne — rzekł. — Jasne. Tak tylko żartowałem. Lubię sobie po — żartować. — Odłożył kij bilardowy i spośród licznych grubych kurtek wiszących przy drzwiach, wybrał tę właściwą. — Pozwólcie tylko, że zabiorę z niego moje śmieci.

Cały czas zerkał na Wednesdaya, jakby lękał się, że stary człowiek lada moment eksploduje.

Samochód Harry'ego Sójki stał zaparkowany sto metrów dalej. Po drodze minęli mały biały kościółek katolicki, z którego drzwi obserwował ich mężczyzna w koloratce. Palił papierosa z miną, jakby okropnie mu nie smakował.

— Dzień dobry, ojcze! — zawołał Johnny Chapman, lecz mężczyzna w koloratce nie odpowiedział. Zgniótł obcasem papierosa, podniósł niedopałek, wrzucił do stojącego obok kubła i zniknął w środku.

Samochód Harry'ego Sójki nie miał bocznych lusterek, miał za to najbardziej łyse opony, jakie Cieniowi zdarzyło się oglądać: idealnie gładką, czarną gumę. Właściciel oznajmił, że wóz wypija olej. Jeśli jednak będą go stale dolewać, będzie jeździł jak marzenie, dopóki nie przestanie.

Harry Sójka napełnił śmieciami czarny plastikowy worek (wśród wzmiankowanych śmieci znalazło się kilka zakręcanych butelek taniego piwa z resztkami płynu w środku, mała paczuszka żywicy cannabisowej, owinięta w srebrną folię i kiepsko ukryta w popielniczce, ogon skunksa, dwa tuziny kaset z muzyką country i zaczytany pożółkły egzemplarz „Obcego w obcym kraju").

— Przepraszam za moje żarty — powiedział do Wednesdaya, wręczając mu kluczyki. — Wiecie może, kiedy dostanę Winnebago?

— Spytaj wuja. To on tu handluje pieprzonymi używanymi

samochodami — warknął Wednesday.

— Wisakedjak nie jest moim wujem — podkreślił Harry Sójka. Zabrał swój czarny worek, skierował się do najbliższego domu i zamknął za sobą drzwi.

Johnny'ego Chapmana wysadzili w Sioux Falls, pod sklepem ze zdrową żywnością.

Podczas jazdy Wednesday milczał. Był w ponurym nastroju, który nie opuszczał go od chwili pożegnania z Whiskey Jackiem.

W rodzinnej restauracji na przedmieściach St. Paul Cień znalazł zostawioną przez kogoś gazetę. Zerknął na nią, spojrzał ponownie i pokazał Wednesdayowi.

— Spójrz tylko — poprosił.

Wednesday westchnął i popatrzył na gazetę.

— Jestem zachwycony — oznajmił — że kontrolerzy lotów zgodzili się na ugodę, nie podejmując akcji strajkowej.

— Nie o to chodzi — mruknął Cień. — Spójrz, tu jest data: 14 lutego.

— Szczęśliwych walentynek.

— Wyjechaliśmy w drogę w styczniu, dwudziestego? Dwudziestego pierwszego? Nie pamiętam dokładnie, ale w trzecim tygodniu stycznia. Spędziliśmy w trasie trzy dni, jak w pysk strzelił. Jakim cudem mamy dziś czternastego lutego?

— Bo maszerowaliśmy prawie przez miesiąc — wyjaśnił Wednesday. — Na Złych Ziemiach. Na tyłach.

— Też mi skrót — rzucił Cień.

Wednesday odsunął gazetę.

— Pieprzony Johnny Jabłoń, stale tylko gada o Paulu Bunyanie. W rzeczywistości Chapman był właścicielem czternastu sadów jabłkowych. Uprawiał tysiące akrów. Owszem, dotrzymywał kroku granicy na zachodzie, ale żadna z opowiadanych o nim historii nie ma w sobie ani krzty prawdy, poza tym, że na jakiś czas oszalał. Zresztą nieważne. Kiedyś w gazetach mawiano, że jeśli prawda nie jest dość imponująca, należy drukować legendy. Ten kraj potrzebuje legend. Ale nawet legendy w nic już nie wierzą.

— Ty jednak widzisz wszystko.

— Ja należę do przeszłości. Kogo niby obchodzę?

— Jesteś bogiem — powiedział cicho Cień.

Wednesday spojrzał na niego ostro. Zdawało się, że chce coś rzec, potem jednak opadł na krzesło, wbijając wzrok w jadłospis.

— Co z tego?

— Dobrze jest być bogiem.

— Rzeczywiście? — spytał Wednesday.

Tym razem to Cień odwrócił wzrok.

Na stacji benzynowej czterdzieści kilometrów od Lakeside na

ścianie obok toalet Cień ujrzał plakat domowej roboty: czarno-białe zdjęcie Alison McGovern i ręcznie wypisane słowa „Czy ktoś mnie widział?”. To samo zdjęcie szkolne. Pełen otuchy uśmiech dziewczynki w klamrach na zębach, która, gdy dorośnie, pragnie pracować ze zwierzętami.

Czy ktoś mnie widział?

Cień kupił sobie snickersa, butelkę wody i egzemplarz „Nowin z Lakeside”. Główny tekst numeru, autorstwa Marguerite Olsen, naszej reporterki z Lakeside, zilustrowano zdjęciem chłopca i starszego mężczyzny, trzymających w rękach wielką rybę. Obaj uśmiechali się szeroko. „Ojciec i syn łapią rekordowego szczupaka. Czytaj w środku”.

Wednesday prowadził.

— Jeśli znajdziesz coś ciekawego w gazecie, przeczytaj na głos — polecił.

Cień uważnie przeglądał kolejne strony, niczego jednak nie znalazł.

Wednesday wysadził go na podjeździe przed domem. Z drogi patrzył na Cienia kot barwy dymu. Kiedy jednak Cień pochylił się, by go pogłaskać, zwierze uciekło.

Cień zatrzymał się na drewnianym podeście przed drzwiami mieszkania i spojrzał na jezioro, tu i tam pokryte zielonymi i brązowymi plamkami namiotów. Obok wielu z nich stały zaparkowane samochody. Tuż przy moście tkwił stary, zielony gruchot, dokładnie taki jak w gazecie.

— Dwudziestego trzeciego marca — rzucił zachęcająco Cień. — Około dziewiątej piętnaście. Możesz to zrobić.

— Nie ma szans. — Głos należał do kobiety. — Trzeciego kwietnia. Szósta po południu. Po całym dniu lód będzie rozgrzany.

Cień uśmiechnął się.

Marguerite Olsen miała na sobie kombinezon narciarski. Stała po drugiej stronie podestu, dosypując ziarna do karmnika.

— Czytałem twój artykuł w „Nowinach Lakeside”, ten o rekordowym szczupaku.

— Zajmująca historia, prawda?

— Cóż, może pouczająca.

— Już myślałam, że do nas nie wrócisz — rzekła. — Długo cię nie było, co?

— Wuj mnie potrzebował — wyjaśnił Cień. — Straciliśmy rachubę czasu.

Umieściła w karmniku ostatnią sprasowaną kostkę ziarna i zaczęła napełniać siatkę nasionami ostu, trzymanymi w plastikowym dzbanku na mleko. Kilka szczygłów o oliwkowych zimowych piórach świergotało niecierpliwie na pobliskim drzewie.

— Nie znalazłem w gazecie niczego o Alison McGovem.

— Bo nie ma o czym pisać. Wciąż jest uważana za zaginioną. Krążyły plotki, że widziano ją w Detroit, ale to fałszywy alarm.

— Biedna mała.

Marguerite Olsen zakręciła plastikowy pojemnik.

— Mam nadzieję, że nie żyje — powiedziała spokojnie.

Cień spojrzał na nią oszołomiony.

— Czemu?

— Bo alternatywa jest znacznie gorsza.

Szczygły przeskakiwały desperacko z gałęzi na gałąź świerku, niecierpliwie czekając, aż ludzie w końcu sobie pójdą.

Ty nie myślisz o Alison, stwierdził w duchu Cień. Myślisz o swoim synu, o Sandym.

Przypomniał sobie, jak ktoś mówił „Tęsknię za Sandym". Kto to był?

— Miło się rozmawiało — rzekł.

— Tak — odparła. — Mnie też.

* * *

Luty minął w serii krótkich szarych dni. Czasami padał śnieg. Powoli się ocieplało. W pogodne dni temperatura przekraczała zero. Cień tkwił w swoim mieszkaniu, póki nie zaczął czuć się w nim jak w więziennej celi. Potem, w dni, kiedy Wednesday go nie potrzebował, zaczął się wyprawiać na piesze wędrówki.

Spacerował przez większość dnia, daleko za miasto. Szedł sam, póki nie dotarł do lasu, parku narodowego na północy i zachodzie, albo pastwisk i pól kukurydzy na południu. Pokonał leśny szlak Okręgu Drwali, maszerował wzdłuż starych torów kolejowych, krążył po bocznych drogach. Kilka razy przeszedł się nawet z północy na południe wzdłuż zamarzniętego jeziora. Czasami widywał miejscowych, zimowych turystów, miłośników joggingu; machał do nich i pozdrawiał. Zwykle nie spotykał nikogo, tylko wrony i zięby. Od czasu do czasu dostrzegał sokoła, szarpiącego trupa oposa czy szopa, który wpadł pod samochód, a raz, pewnego pamiętnego dnia, ujrzał orła wyławiającego srebrną rybę ze środka rzeki White Pine. Przy brzegach woda zamarzła, lecz środkiem wciąż rwał mocny nurt. Ryba szarpała się w szponach orła, połyskując w południowym słońcu. Cień wyobraził sobie, że ryba uwalnia się i odpływa w głąb nieba. Uśmiechnął się ponuro.

Odkrył, że kiedy tak chodzi, nie musi myśleć, i to mu odpowiadało. Gdy zaczynał rozmyślać, jego umysł wędrował w

miejsca, których nie potrafił kontrolować, miejsca gdzie czuł się nieswojo. Najbardziej pomagało wyczerpanie. Gdy był zmęczony, nie myślał o Laurze, o dziwnych snach, o istotach, które nie istnieją, bo nie mogą istnieć. Wracał do domu i zasypiał bez problemów, bez snów.

W zakładzie fryzjerskim George'a w rynku Cień natknął się na szefa policji Mulligana. Cień zawsze podchodził z nadzieją do kolejnej wizyty, lecz rezultat pracy fryzjera nigdy nie dorównywał oczekiwaniom. Po każdym strzyżeniu wyglądał dokładnie tak samo, tyle że miał krótsze włosy. Chad siedzący obok Cienia dziwnie przejmował się własnym wyglądem. Gdy fryzjer skończył go strzyc, policjant spojrzał ponuro na swe odbicie, jakby zamierzał zaraz wlepić mu mandat.

— Wygląda nieźle — rzucił Cień.

— Czy wyglądałoby nieźle, gdybyś był kobietą?

— Chyba tak.

Razem przeszli przez rynek do Mabel i zamówili gorącą czekoladę.

— Hej, Mike — powiedział Chad — zastanawiałeś się kiedyś nad pracą w organach ścigania?

Cień wzruszył ramionami.

— Raczej nie — odparł. — Mam wrażenie, że w takiej pracy trzeba wiedzieć mnóstwo rzeczy.

Chad pokręcił głową.

— Wiesz, na czym głównie polega praca policjanta w takim miejscu jak to? Na nie traceniu głowy. Coś się dzieje, ktoś na ciebie krzyczy, wymyśla niestworzone historie, a ty musisz po prostu móc powiedzieć, że to z pewnością nieporozumienie i wszystko załatwisz, jeśli tylko ten ktoś spokojnie wyjdzie na zewnątrz. I musisz mówić poważnie.

— A później to załatwiasz?

— Później zwykle zakładasz mu kajdanki. Ale owszem, starasz się jednak wszystko załatwić. Daj mi znać, jeśli cię to zainteresuje. Potrzebujemy nowych ludzi, a ty jesteś właściwym typem.

— Jeśli interes z wujem nie wyjdzie, będę o tym pamiętał.

Popijali gorącą czekoladę.

— Hej, Mike — odezwał się w końcu Mulligan. — Co byś zrobił, gdybyś miał kuzynkę-wdowę, a ona zaczęłaby do ciebie dzwonić?

— Dzwonić? Jak?

— No, przez telefon. Rozmowy zamiejscowe. Mieszka w innym stanie. — Jego twarz poczerwieniała gwałtownie. — W zeszłym roku widziałem ją na ślubie w rodzinie. Była wtedy mężatką, to znaczy jej mąż wtedy żył. No i należy do rodziny. Ale nie jest bliską kuzynką. Dość odległą.

— Podoba ci się?

Rumieniec.

— No nie wiem.

— Dobra, ujmijmy to inaczej. Czy ty jej się podobasz?

— No, kiedy ostatnio dzwoniła, powiedziała kilka rzeczy. To bardzo piękna kobieta.

— A zatem… co masz zamiar zrobić?

— Mógłbym ją tu zaprosić. Mógłbym, prawda? Wspomniała, że chętnie by mnie jad wiedziła.

— Oboje jesteście dorośli. Do dzieła.

Chad skinął głową, spiekł raka.

Telefon w mieszkaniu Cienia był głuchy i martwy. Cień myślał nad tym, by kazać go podłączyć, ale nie miał nikogo, do kogo chciałby dzwonić. Pewnej nocy podniósł słuchawkę i wydało mu się, że słyszy szum wiatru oraz odgłosy odległej rozmowy między grupą ludzi mówiących zbyt cicho, by cokolwiek zrozumiał.

— Halo? — powiedział. — Kto tam?

Nikt nie odpowiedział. W słuchawce zapadła nagła cisza, potem rozległ się słaby śmiech, tak słaby, że Cień nie miał pewności, czy go sobie nie wyobraził.

* * *

W ciągu następnych tygodni odbył kilka kolejnych wypraw z Wednesdayem.

Czekał w kuchni domku na Rhode Island, nasłuchując, podczas gdy Wednesday sprzeczał się w zaciemnionej sypialni z kobietą, która nie chciała wyjść z łóżka. Nie pozwalała też Wednesdayowi ani Cieniowi spojrzeć sobie w twarz. W lodówce trzymała foliową torbę pełną świerszczy i drugą, z truchłami małych myszek.

W klubie rockowym w Seattle Cień patrzył, jak Wednesday, przekrzykując zespół, wita młodą kobietę o krótkich rudych włosach i skórze pokrytej niebieskimi tatuowanymi spiralami. Rozmowa musiała pójść nieźle, bo Wednesday rozstał się z kobietą, mając szeroki uśmiech na twarzy.

W pięć dni później Cień czekał w wynajętym wozie. Wednesday wyszedł skrzywiony z holu biurowca w Dallas, wsiadł do środka, trzasnął drzwiami i przez chwilę siedział w milczeniu.

— Jedź — polecił w końcu, po czym dodał: — Pieprzeni Albań — czycy. Jakby kogokolwiek interesowali.

Po trzech dniach polecieli do Boulder i w miłej atmosferze zjedli

lunch z pięcioma młodymi Japonkami. Był to posiłek pełen wzajemnych grzeczności. Cień wstał od niego niepewny, czy cokolwiek ustalono, Wednesday jednak sprawiał wrażenie zadowolonego.

Cień zaczynał tęsknić za powrotami do Lakeside. Miał tu spokój i czuł się mile widziany.

Każdego ranka, gdy nie przebywał w rozjazdach, przejeżdżał przez most na rynek. Kupował dwa pierożki u Mabel, jednego jadł na miejscu, popijając kawą. Jeśli ktoś zostawił gazetę, czytał ją, choć nie interesował się nowinami na tyle, by samemu za nie płacić.

Drugi pierożek zabierał ze sobą w papierowej torebce i zjadał na lunch.

Pewnego ranka czytał „USA Today", gdy Mabel odezwała się do niego:

— Hej, Mike. Dokąd się dziś wybierasz?

Niebo miało barwę jasnego błękitu. Poranna mgła pozostawiła na drzewach grubą warstwę szronu.

— Sam nie wiem — przyznał Cień. — Może znów przejdę się leśnym szlakiem.

Dolała mu kawy.

— Byłeś kiedyś na wschodzie, w Okręgu Q? Jest tam całkiem ładnie. Wystarczy pójść dróżką naprzeciwko sklepu z dywanami na Dwudziestej Alei.

— Nie. Nigdy tam nie byłem.

— Cóż — odparła. — To całkiem ładne miejsce.

Było niezwykle ładne. Cień zaparkował samochód na skraju miasta i ruszył poboczem krętej wiejskiej drogi, okrążającej wzgórza na wschód od Lakeside. Każde ze wzgórz porastały bez-listne klony, białe jak kość brzozy, ciemne świerki i sosny.

Przez jakiś czas dotrzymywał mu towarzystwa mały ciemny kot barwy ziemi, o białych przednich łapkach. Cień podszedł do niego. Zwierzę nie uciekło.

— Hej, kocie — pozdrowił go Cień.

Kot przechylił głowę i spojrzał na niego szmaragdowymi oczami. A potem syknął — nie na niego, lecz na coś po drugiej stronie drogi, coś, czego Cień nie widział.

— Spokojnie — rzucił Cień.

Kot umknął pospiesznie i zniknął na polu starej niezebranej kukurydzy.

Za następnym zakrętem Cień ujrzał niewielki cmentarz, pełen zwietrzałych nagrobków. Na kilku z nich spoczywały wiązanki świeżych kwiatów. Cmentarza nie otaczał płot ani ogrodzenie, jedynie rząd niskich drzew morwowych, pochylonych pod ciężarem lodu i wieku. Cień przekroczył pryzmę śniegu na poboczu. Wejścia na

cmentarz strzegły dwa kamienne słupy, których nie łączyła brama. Przeszedł między nimi i znalazł się pośród nagrobków.

Długą chwilę spacerował po cmentarzu, oglądając groby. Nie znalazł żadnej inskrypcji nowszej niż z 1969 roku. Oczyścił ze śniegu solidnego granitowego anioła i oparł się o niego.

Wyjął z kieszeni papierową torebkę, odwinął pierożek i odła-mał czubek. W zimowym powietrzu rozszedł się obłoczek pary. Pachniała bardzo zachęcająco. Cień odgryzł duży kęs.

Coś zaszeleściło za jego plecami. Przez moment wydało mu się, że to kot, potem jednak poczuł perfumy, a pod nimi smród rozkładu i zgnilizny.

— Proszę, nie patrz na mnie — powiedziała zza jego pleców.

— Witaj, Lauro — rzekł Cień.

W jej głosie pobrzmiewało wahanie, może nawet nuta lęku.

— Cześć, piesku.

Odłamał kawałek pierożka.

— Spróbujesz?

Teraz stała tuż za nim.

— Nie — rzekła. — Zjedz sam. Ja już nie jadam.

Schrupał pierożek. Był bardzo dobry.

— Chcę na ciebie spojrzeć — oznajmił.

— Nie spodobam ci się.

— Proszę.

Okrążyła kamiennego anioła i Cień ujrzał ją w blasku dnia. Niektóre rzeczy się zmieniły, inne pozostały takie same. Jej oczy ani przekrzywiony, pełen nadziei uśmiech, nie uległy zmianie. Była tez niewątpliwie, bezdyskusyjnie martwa. Cień skończył pierożek, wyprostował się, wysypał okruchy z torebki, po czym złożył ją i schował do kieszeni.

Czas spędzony w zakładzie pogrzebowym w Kairze sprawił, że czuł się przy niej nieco mniej skrępowany. Nie wiedział jednak, co powiedzieć.

Zimne palce musnęły jego dłoń. Uścisnął je lekko. Poczuł, jak serce tłucze mu się w piersi. Bał się, najbardziej obawiał się normalności tej chwili. Czuł się tak dobrze z Laurą u boku, że chętnie pozostałby tu na wieki.

— Tęsknię za tobą — przyznał.

— Jestem tu — odparła.

— Wtedy właśnie najbardziej tęsknię. Kiedy tu jesteś. Gdy cię nie ma, gdy pozostajesz tylko duchem z przeszłości, marzeniem z innego życia, jest łatwiej.

Uścisnęła mu rękę.

— Jak tam śmierć? — spytał.

— Ciężka — odparła. — Trwam tak i trwam.

Oparła mu głowę na ramieniu i to niemal go załamało.

— Chcesz się przejść?

— Jasne. — Uśmiechnęła się do niego: nerwowy przekrzywiony uśmiech na martwej twarzy.

Wyszli z cmentarza, zmierzając drogą w stronę miasta. Trzymali się za ręce.

— Gdzie się podziewałeś? — spytała.

— Głównie tutaj.

— Od świąt zupełnie jakbym cię zgubiła. Czasami wiedziałam, gdzie jesteś, przez kilka godzin, kilka dni. Kręciłeś się w różnych miejscach. Potem znów mi znikałeś.

— Byłem w tym mieście — wyjaśnił. — W Lakeside. To poczciwe miasteczko.

— Ach tak.

Nie miała już na sobie niebieskiego kostiumu, w którym ją pochowano. Zamiast tego była opatulona w kilka swetrów, długą ciemną spódnicę i wysokie bordowe buty. Cień pogratulował jej wyboru.

Laura pochyliła głowę i uśmiechnęła się.

— Czyż nie są wspaniałe? Znalazłam je w świetnym sklepie w Chicago.

— Czemu zatem przyjechałaś tu z Chicago?

— Już jakiś czas temu wyjechałam z Chicago, piesku. Zmierzałam na południe. Zimno mnie męczy. Można by sądzić, że powinnam czuć się w nim dobrze, ale nie. To ma chyba coś wspólnego ze śmiercią. Nie czuję zimna jak zimno, tylko jak nicość. A po śmierci jedyną rzeczą, jakiej naprawdę się boimy, jest właśnie nicość. Wybierałam się do Teksasu. Zamierzałam spędzić zimę w Galveston. W dzieciństwie też tam zimowałam.

— Chyba nie — wtrącił Cień. — Nigdy o tym nie wspominałaś.

— Nie? Może więc chodziło o kogoś innego. Pamiętam mewy — rzucanie w powietrze okruchów chleba dla mew, setek mew. Całe niebo wypełniało się mewami, które trzepotały skrzydłami i porywały okruchy z powietrza. — Urwała. — Jeśli ja tego nie widziałam, to chyba ktoś inny.

Zza zakrętu wynurzył się samochód. Kierowca pomachał im. Cień odpowiedział pozdrowieniem. Czuł się cudownie, mogąc spacerować z żoną.

— To miłe — powiedziała Laura, jakby czytała mu w myślach.

— Tak — odparł Cień.

— Kiedy nadeszło wezwanie, musiałam się pospieszyć. Właśnie przekroczyłam granicę Teksasu.

— Wezwanie?

Uniosła wzrok. Wisząca na szyi złota moneta zalśniła.

— Miałam wrażenie, jakby coś mnie wzywało. Zaczęłam o tobie myśleć, o tym, jak bardzo pragnę cię zobaczyć. Zupełnie jakby ogarnął mnie głód.

— I wiedziałaś, że tu jestem?

— Tak. — Zatrzymała się. Zmarszczyła brwi. Górne zęby nacisnęły dolną siną wargę, przygryzając ją lekko. Z namysłem przekrzywiła głowę. — Tak. Nagle już wiedziałam. Sądziłam, że to ty mnie przyzywasz, ale się myliłam, prawda?

— Tak.

— Nie chciałeś mnie widzieć.

— Nie o to chodzi. — Zawahał się. — Nie, nie chciałem cię widzieć. To za bardzo boli.

Śnieg chrzęścił im pod stopami. W promieniach słońca lśnił niczym brylanty.

— To musi być trudne — zauważyła Laura — nie żyć.

— Chcesz powiedzieć, że śmierć jest dla ciebie trudna? Posłuchaj, wciąż próbuję się dowiedzieć, jak cię ożywić. Chyba jestem na dobrym tropie.

— Nie — zaprotestowała. — To znaczy jestem wdzięczna i mam nadzieję, że ci się uda. Zrobiłam mnóstwo złych rzeczy. — Potrząsnęła głową. — Ale mówiłam o tobie.

— Ja żyję — powiedział Cień. — Nie jestem martwy, pamiętasz?

— Nie jesteś martwy — zgodziła się. — Ale nie mam pewności, czy jesteś też do końca żywy. Niezupełnie.

Nie tak powinna potoczyć się ta rozmowa, pomyślał Cień. Wszystko wygląda nie tak.

— Kocham cię — oznajmiła Laura obojętnie. — Jesteś moim pieskiem, ale po śmierci pewne rzeczy widać wyraźniej. Zupełnie jakby nikogo nie było. Wiesz, jesteś niczym wielka, przypominająca mężczyznę dziura w materii świata. — Zmarszczyła czoło. — Nawet gdy byliśmy razem. Uwielbiałam twoje towarzystwo. Kochałeś mnie, zrobiłbyś dla mnie wszystko. Czasami jednak wchodziłam do pokoju i zdawało mi się, że nikogo tam nie ma. Potem zapalałam albo gasiłam światło i uświadamiałam sobie, że tam jesteś: siedzisz samotnie, nie czytasz, nie oglądasz telewizji, niczego nie robisz.

Nagle uścisnęła go, jakby chciała złagodzić swe słowa.

— Najlepszą rzeczą w Robbiem było to, że on kimś był. Czasami palantem, czasami frajerem, uwielbiał też kochać się przed lustrem, żeby mógł patrzeć, jak mnie pieprzy, ale on żył, piesku. Pragnął różnych rzeczy. Zapełniał przestrzeń. — Umilkła. Spojrzała na niego, lekko przechyliła głowę. — Przepraszam. Zraniłam twoje uczucia?

Cień nie ufał własnemu głosowi, więc jedynie potrząsnął głową.

— To dobrze — rzekła. — Dobrze.

Zbliżali się do miejsca, w którym zaparkował samochód. Cień

czuł, że powinien coś powiedzieć — „kocham cię” albo „proszę, nie odchodź”, albo „przykro mi”, słowa, które zwykle łatają rozmowy, skręcające bez ostrzeżenia w mrok. Zamiast tego rzekł:

— Ja nie jestem martwy.

— Może nie — zgodziła się. — Ale czy na pewno jesteś żywy?

— Spójrz na mnie.

— To nie jest odpowiedź — odparła jego martwa żona. — Gdybyś był żywy, wiedziałbyś o tym.

— I co teraz?

— Cóż — rzekła — spotkałam się z tobą. Znów ruszam na południe.

— Z powrotem do Teksasu?

— Gdzieś, gdzie jest ciepło. Nieważne gdzie.

— Ja muszę tu czekać — oznajmił Cień. — Na wezwanie szefa.

— To nie jest życie — powiedziała Laura.

Westchnęła, po czym uśmiechnęła się tym samym uśmiechem, który nieodmiennie poruszał mu serce. Za każdym razem, gdy tak się uśmiechała, czuł się jak podczas pierwszego spotkania.

Spróbował ją objąć, ona jednak pokręciła głową i cofnęła się. Usiadła na skraju zasypanego śniegiem stołu piknikowego, odprowadzając go wzrokiem.

INTERLUDIUM

Zaczęła się wojna i nikt się nie zorientował. Zbliżała się burza i nikt o tym nie wiedział.

Opadająca stalowa belka na Manhattanie na dwa dni zablokowała ulicę. Zabiła dwoje pieszych, arabskiego taksówkarza i pasażera taksówki.

Kierowca ciężarówki z Denver został znaleziony martwy w domu. Obok trupa leżało narzędzie mordu: zakrzywiony młotek o gumowej rękojeści. Mężczyzna miał nietkniętą twarz, lecz tył głowy zmiażdżony. Na lustrze w łazience brązową szminką wypisano kilka słów w obcym alfabecie.

W sortowni pocztowej w Phoenix, w stanie Arizona, pewien człowiek oszalał, wpadł w szał, jak to powiedziano w dzienniku, i zastrzelił Terry'ego „Trolla" Evensena, upiornie otyłego niezgrabnego mężczyznę, który samotnie mieszkał w przyczepie. Strzelał też do kilku innych osób w sortowni, lecz zginął wyłącznie Evensen. Sam strzelec — z początku uważano, że to niezadowolony pracownik poczty — nigdy nie został schwytany ani zidentyfikowany.

— Szczerze mówiąc — powiedział w dzienniku o piątej przełożony Terry'ego „Trolla" Evensona — jeśli ktokolwiek u nas miał dostać świra, stawiałbym na samego Trolla. Facet w porządku, ale dość dziwny. Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Kiedy później w dzienniku powtórzono wiadomość o śmierci Evensena, fragment ten został z niej wycięty.

W Montanie znaleziono zwłoki dziewięciu anachoretów. Reporterzy zastanawiali się, czy to nie przypadek zbiorowego samobójstwa, wkrótce jednak ogłoszono przyczynę śmierci — zatrucie czadem ze starego piecyka.

Na cmentarzu w Key West zbezczeszczono kryptę.

W Idaho pociąg pasażerski uderzył w ciężarówkę UPS, zabijając kierowcę. Żaden z pasażerów nie ucierpiał.

Na tym etapie była to jeszcze zwykła zimna wojna, niby-wojna, w której nie da się zwyciężyć ani przegrać.

Wiatr poruszał gałęziami drzew. Z ogniska wzlatywały skry. Nadciągała burza.

* * *

Królowa Saby, półkrwi demon ze strony ojca — tak przynajmniej

powiadali ludzie — czarownica, mądra kobieta, królowa rządząca Sabą, gdy Saba była najbogatszą krainą świata, kiedy korzenie, klejnoty i pachnące drewno zabierano stamtąd łodziami i karawanami wielbłądów i rozwożono do wszystkich zakątków świata, królowa, której już za życia oddawano cześć, a najmędrsi królowie uznawali ją za boginię, stoi na chodniku Bulwaru Zachodzącego Słońca o drugiej nad ranem, patrząc tępo na przejeżdżające samochody, niczym wulgarna plastikowa panna młoda na czamo-białym neonowym torcie. Soi tak, jakby chodnik należał do niej, podobnie jak noc, która ją otacza.

Gdy ktoś patrzy wprost na nią, jej usta poruszają się, jak gdyby mówiła do siebie. Kiedy obok przejeżdżają mężczyźni w samochodach, ona patrzy im w oczy i uśmiecha się lekko.

To była długa noc.

To był długi tydzień i długie cztery tysiące lat.

Bilquis szczyci się faktem, że nikomu niczego nie zawdzięcza. Pozostałe dziewczęta na ulicy mają swoich alfonsów, mają nałogi, dzieci, ludzi, którzy zabierają im pieniądze. Ale nie ona.

W jej zawodzie nie pozostała już ani odrobina świętości. Ani odrobinka.

Tydzień temu w Los Angeles zaczęły padać deszcze, zamieniając ulice w tory przeszkód, zmywając błoto ze zboczy wzgórz i zwalając domy w kaniony, spłukując świat do rynsztoków i odpływów, topiąc włóczęgów i bezdomnych obozujących w betonowym korycie rzeki. Gdy w Los Angeles pada deszcz, jego nadejście zawsze zaskakuje ludzi.

Ostatni tydzień Bilquis spędziła pod dachem. Niezdolna stać na chodniku, zwinęła się w kłębek na łóżku w pokoju barwy surowej wątróbki, słuchając deszczu bębniącego o metalową skrzynkę naokiennego klimatyzatora. Cały czas zamieszczała ogłoszenia w Internecie. Zostawiła słówko zachęty w adult-friendfinder.com, LA-escorts.com, Classyhollywoodbabes.com, zarejestrowała anonimowy adres poczty elektronicznej. Z dumą myśli o zdobywaniu nowych terytoriów, lecz denerwuje się — długi czas unikała pozostawiania po sobie śladów. Nigdy nie zamieściła nawet najmniejszego ogłoszenia na tylnych stronach L.A. Weekly. Próbowała sama dobierać sobie klientów, znaleźć wzrokiem, węchem, dotykiem tych, którzy oddadzą jej cześć, tak jak tego pragnie, którzy pozwolą jej porwać się bez reszty…

Nagle, gdy tak stoi, drżąc, na rogu ulicy (późnolutowe deszcze już minęły, lecz przyniesiony z nimi chłód pozostał w mieście), przychodzi jej do głowy, że ma jednak nałóg, równie potężny jak uzależnienie dziwek od kokainy czy cracku. To ją niepokoi. Jej wargi znów się poruszają. Gdybyśmy byli dość blisko owych rubinowych ust,

usłyszelibyśmy:

„Stanę, a obieżę miasto. Po ulicach i po rynkach szukać będę, którego miłuje dusza moja", szepcze do siebie kobieta. „Na łóżku moim w nocy szukałam tego, którego miłuje dusza moja. Niech mnie pocałuje pocałowaniem ust swoich. Miły mój mnie, a ja jemu".

Bilquis ma nadzieję, że koniec deszczów sprowadzi z powrotem klientów. Przez większą część roku krąży po tych samych dwóch czy trzech przecznicach na Bulwarze Zachodzącego Słońca, napawając się chłodnym nocnym powietrzem. Raz na miesiąc opłaca funkcjonariusza LAPD, który zastąpił poprzedniego faceta biorącego łapówki. Tamten zniknął. Nazywał się Jerry LeBec, jego zniknięcie pozostało tajemnicą. Miał obsesję na punkcie Bilquis. Zaczął ją śledzić. Pewnego popołudnia ocknęła się, zaskoczona hałasem. Otworzyła drzwi mieszkania i znalazła Jer-ry'ego LeBeca w cywilnym stroju, klęczącego i kołyszącego się na przetartej wykładzinie. Kłaniał się nisko, czekając, by wyszła. Hałasem, który usłyszała, było tłuczenie głowy mężczyzny o jej drzwi. LeBec zakołysał się na kolanach.

Pogładziła jego włosy, poleciła, żeby wszedł do środka. Później włożyła jego ubranie do plastikowego czarnego worka na śmieci i cisnęła do zsypu za hotelem kilka przecznic dalej. Jego broń i portfel umieściła w torbie na zakupy, obsypała fusami po kawie i zgniłym jedzeniem. Podwinęła górną część torby i wrzuciła ją do kosza na śmieci na przystanku autobusowym.

Nie zachowywała pamiątek.

Pomarańczowe nocne niebo migocze na zachodzie w rytm odległych błyskawic, szalejących nad morzem, i Bilquis wie, że wkrótce znów zacznie padać. Wzdycha. Nie chce dać się złapać deszczowi. Wróci do mieszkania, postanawia. Wykąpie się, ogoli nogi — ma wrażenie, że nieustannie nie robi nic, tylko goli nogi — i zaśnie.

Rusza zatem chodnikiem w stronę szczytu wzgórza, gdzie czeka jej samochód.

Za jej plecami rozbłyskują reflektory. Bilquis odwraca się i uśmiecha, lecz uśmiech zastyga jej na twarzy, gdy widzi zbliżającą się długą białą limuzynę. Ludzie w limuzynach chcą się pieprzyć w limuzynach, a nie w prywatności pokoju Bilquis. Ale może to inwestycja na przyszłość?

Przyciemnione okno opada z szumem. Bilquis, uśmiechnięta, podchodzi do limuzyny.

— Hej, złotko — mówi. — Szukasz czegoś?

— Słodkiej miłości — słyszy głos dobiegający z tylnej kanapy. Bilquis zagląda do środka, tyle ile może przez uchylone okno. Zna dziewczynę, która wsiadła do limuzyny z pięcioma pijanymi futbolistami i trafiła do szpitala. Tu jednak siedzi tylko jeden facet, i

to dość młody. Nie sprawia wrażenia wyznawcy, lecz pieniądze, dobre pieniądze, przechodzące z jego dłoni do jej, także mają w sobie energię — kiedyś nazywano ją baraką — która może się przydać, a w dzisiejszych czasach niczego nie można marnować.

— Ile? — pyta mężczyzna.

— Zależy, czego chcesz i jak długo to ma potrwać — mówi Bilquis. — A także czy cię na to stać. — Czuje sączący się przez okno zapach dymu, woń płonących obwodów i rozgrzanych mechanizmów. Drzwi otwierają się od wewnątrz.

— Mogę zapłacić za wszystko, czego zapragnę — oznajmia klient.

Bilquis pochyla się i rozgląda. W wozie nie ma nikogo więcej, tylko klient, pulchny dzieciak o nalanej twarzy, który jest jeszcze zbyt młody na drinka. Nie widzi nikogo innego, toteż wsiada do środka.

— Bogaty dzieciak, co? — rzuca.

— Jeszcze bogatszy. — Grubas powoli podnosi się ze skórzanego siedzenia. Ona uśmiecha się.

— Mmm, rozgrzewasz mnie, złotko — mówi. — Pracujesz pewnie w jednym z tych dotcomów, o których tyle czytałam.

On sapie z zadowolenia, dyszy niczym ropucha.

— Tak. Między innymi. Jestem techniczny.

Samochód rusza.

— Powiedz mi zatem — ciągnie facet — Bilquis, czy chciałabyś ssać mi fiuta?

— Jak mnie nazwałeś?

— Bilquis — powtarza. A potem śpiewa głosem nie stworzonym do śpiewania. — Jesteś niematerialną dziewczyną, żyjącą w materialnym świecie. — W jego słowach jest coś sztucznego, wyćwiczonego, jakby trenował tę scenę co dzień przed lustrem.

Ona przestaje się uśmiechać. Jej twarz się zmienia, staje się czujniejsza, ostrzejsza, twardsza.

— Czego chcesz?

— Już mówiłem, słodkiej miłości.

— Dam ci wszystko, czego zapragniesz. — Bilquis wie, że musi wydostać się z limuzyny. Wóz jedzie zbyt szybko, by mogła wyskoczyć, zrobi to jednak, jeśli nie zdoła się wykręcić. Nie podoba jej się to wszystko.

— Czego chcę. O tak. — Tłusty chłopak urywa, lubieżnie oblizuje wargi. — Pragnę czystego świata, chcę, aby jutro należało do mnie. Pragnę ewolucji, dewolucji i rewolucji. Chcę, by nasi pobratymcy przeszli z pogranicza do głównego nurtu. Twoi kryją się pod ziemią. Niesłusznie. Musimy zająć należne nam miejsce, świecić. Sam przód. Wy od tak dawna tkwicie pod ziemią, że nie potraficie posługiwać się oczami.

— Nazywam się Ayesha — mówi Bilquis. — Nie mam pojęcia, o

co ci chodzi. Przy tej ulicy pracuje druga dziewczyna, to ona nazywa się Bilquis. Możemy wrócić na Bulwar Zachodzącego Słońca, znajdziemy ją, możemy zrobić trójkąt…

— Och, Bilquis. — Chłopak wzdycha teatralnie. — Na świecie jest ograniczona ilość wiary. Oni nie dadzą nam już jej więcej. To przepaść wierzeniowa. — A potem znów zaczyna śpiewać fałszywym nosowym głosem Jesteś analogową dziewczyną, żyjącą w cyfrowym świecie". Limuzyna skręca zbyt szybko i młodzieniec leci wprost na nią. Kierowca jest ukryty za przyciemnioną szybą. Bilquis ogarnia irracjonalne przekonanie, że nikt nie kieruje wozem, że biała limuzyna słucha samej siebie, krążąc po Beverly Hills niczym wielki metalowy żuk.

A potem mężczyzna wyciąga rękę i stuka w przyciemnioną szybę.

Samochód zwalnia. Nim jeszcze zupełnie się zatrzymuje, Bilquis otwiera drzwi i ni to wyskakuje, ni wypada na asfalt. Znajduje się na jezdni na zboczu, po lewej ma strome wzgórze, po prawej krawędź jaru.

Limuzyna stoi bez ruchu.

Zaczyna padać. Wysokie obcasy Bilquis ślizgają się pod nią i uginają. Kopnięciem zrzuca buty i biegnie przemoknięta do suchej nitki, szukając miejsca, gdzie mogłaby zejść z drogi. Boi się. Owszem, ma moc, ale to moc głodu, moc cipy. Od bardzo dawna utrzymywała ją przy życiu, do innych celów jednak muszą jej wystarczyć bystre oczy i umysł, wzrost i siła.

Po prawej, na wysokości kolan, wznosi się metalowa barierka, nie pozwalająca samochodom spaść ze zbocza wzgórza. Deszcz płynie ze szczytu, przemieniając szosę w rzekę. Stopy Bilquis zaczynają krwawić.

Przed nią, w dole, rozciągają się światła Los Angeles, elektryczna migotliwa mapa wymyślonego królestwa, niebiosa na ziemi. Bilquis wie, że jeśli zdoła zejść z drogi, będzie bezpieczna. „Czarnam, ale piękna", powtarza w myślach, zwracając się do nocy i deszczu. „Różą jestem Szarona, jako lilia między cierniem. Obłóżcie mię kwieciem, osypcie mię jabłkami, boć mdleję od miłości".

Na nocnym niebie płonie zielonkawa błyskawica. Bilquis potyka się, ześlizguje kilka kroków, obdzierając ze skóry łokieć i nogę. Zrywa się z ziemi i dostrzega światła jadącego w jej stronę samochodu. Wóz zbliża się zbyt szybko, niebezpiecznie, i Bilquis zastanawia się, czy skoczyć na prawo, gdzie mógłby przygnieść ją do zbocza, czy też w lewo, w dół. Biegnie przez drogę, zamierzając wdrapać się na górę po mokrej ziemi, a biała limuzyna pędzi ku niej z prędkością stu kilometrów na godzinę, może ślizga się po mokrej nawierzchni, a ona wyciąga ręce, chwytając ziemię i kępy chwastów. Wie, że wdrapie się na górę i ucieknie, i w tym momencie mokra ziemia ustępuje i Bilquis

leci z powrotem na drogę.

Samochód uderza w nią z siłą, która zgniata mu maskę z przodu i wyrzuca kobietę w powietrze niczym lalkę. Bilquis ląduje na jezdni za wozem. Uderzenie miażdży jej miednicę, uszkadza czaszkę. Po twarzy spływają zimne krople deszczu.

Zaczyna przeklinać swego zabójcę: przeklinać bezgłośnie, bo nie może poruszyć ustami. Przeklina jego jawę i sen, życie i śmierć. Przeklina, jak tylko potrafi przeklinać ktoś mający ojca demona.

Trzask drzwi. Ktoś zbliża się do niej.

— Byłaś analogową dziewczyną — śpiewa młodzieniec, fałszując — żyjącą w cyfrowym świecie — po czym mówi: — wy pieprzone Madonny. Same pieprzone Madonny.

Odchodzi.

Trzask drzwi.

Limuzyna cofa się i powoli przejeżdża po niej po raz pierwszy. Koła miażdżą jej kości. A potem wóz wraca.

Gdy w końcu odjeżdża i znika w dole zbocza, pozostawia na jezdni ochłap czerwonego mięsa, ledwie przypominający człowieka. Wkrótce deszcz spłukuje resztę śladów.

INTERLUDIUM 2

— Cześć, Samantho.

— Mags? To ty?

— A któżby inny? Leon mówił, że kiedy brałam prysznic, dzwoniła ciocia Sammy.

— Pogadaliśmy sobie. Słodki z niego dzieciak.

— Owszem, chyba go sobie zatrzymam.

Chwila pełnej skrępowania ciszy, szmer na linii. A potem:

— Sammy, jak tam w szkole?

— Dają nam tydzień wolnego. Problemy z ogrzewaniem. A jak tam życie w Północnych Lasach?

— Mam nowego sąsiada. Umie robić sztuczki z monetami. W kolumnie listów „Nowin z Lakeside" toczy się ostra dyskusja na temat propozycji nowego podziału gruntów miejskich przy starym cmentarzu na południowo-wschodnim brzegu jeziora. Twoja rozmówczyni musi napisać stanowczy tekst od redakcji, podsumowujący zdanie gazety tak, by nikogo nie urazić i w ogóle nie ujawnić, co o tym myślimy.

— Brzmi nieźle.

— Ale takie nie jest. W zeszłym tygodniu zniknęła Alison Mc — Govern — najstarsza córka Jilly i Staną McGovemow. Kilka razy opiekowała się Leonem.

Usta otwierają się, by coś powiedzieć, i zamykają bezdźwięcznie.

— To okropne.

— Tak.

— A co… — Wszystko, co mogłaby powiedzieć, musiałoby ranić, toteż pyta: — Ładny jest?

— Kto?

— Sąsiad.

— Nazywa się Ainsel. Mike Ainsel. Jest w porządku. Dla mnie za młody. Wielki facet, wygląda… jak brzmi to słowo? Na „m".

— Mięśniak? Mistyk? Męski? Mąż?

Krótki śmiech.

— Owszem, wygląda mi na męża. To znaczy, żonaci faceci zachowują się nieco inaczej. I on ma w sobie coś z tego. Ale tak naprawdę chodziło mi o melancholię. Wygląda melancholijnie.

— I mrocznie?

— Nieszczególnie. Gdy się wprowadził, sprawiał wrażenie bezradnego. Nie wiedział nawet, jak uszczelnić okna przed mrozem. Teraz też wydaje się, że nie do końca wie, co tu robi. Gdy tu jest, to jest. Potem znów go nie ma. Od czasu do czasu widuję go, jak spaceruje.

— Może szykuje się do napadu na bank?

— Tak właśnie myślałam.

— Nieprawda. To mój pomysł. Posłuchaj, Mags, jak ty się czujesz? W porządku?

— Tak.

— Naprawdę?

— Nie.

Długa cisza.

— Wybieram się do ciebie.

— Sammy, nie.

— Po tym weekendzie, nim uruchomią ogrzewanie i szkoła znów się zacznie. Będziemy się świetnie bawić. Pościelisz mi na kanapie i któregoś wieczoru zaprosisz na obiad tajemniczego sąsiada.

— Sam, nie baw się w swatkę.

— Kto tu się bawi w swatkę? Po Claudine, piekielnej suce, może na jakiś czas wrócę do chłopców. Kiedy jechałam stopem do El Paso na święta, poznałam miłego faceta.

— Sam, musisz przestać jeździć autostopem.

— A jak inaczej dotrę do Lakeside?

— Alison McGovern też jeździła stopem. Nawet w tak spokojnym mieście to niebezpieczne. Prześlę ci pieniądze. Przyjedź autobusem.

— Nic mi nie będzie.

— Sammy…

— W porządku, Mags. Wyślij mi pieniądze, jeśli dzięki temu będziesz lepiej sypiać.

— Wiesz, że będę.

— Zgoda, szefowo. Uściśnij ode mnie Leona. Powiedz, że przyjeżdża ciocia Sammy i tym razem nie wolno mu chować zabawek w jej łóżku.

— Powiem. Nie obiecuję, że to coś da. Kiedy więc cię oczekiwać?

— Jutro wieczorem. Nie musisz wychodzić po mnie na stację. Poproszę Hinzelmanna, by podwiózł mnie Tessie.

— Za późno. Tessie tkwi już w naftalinie. Ale Hinzelmann i tak cię podrzuci. Lubi cię. Słuchasz jego historii.

— Może to on powinien napisać za ciebie tekst. Pomyślmy… o nowym podziale ziemi przy starym cmentarzu. Tak się składa, że wiosną 1902 roku mój dziadunio zastrzelił przy starym cmentarzu jelenia. Brakowało mu pocisków, użył więc pestki z wiśni, którą zapakowała mu na obiad moja babcia. Pestka wbiła się w czaszkę jelenia, a ten uciekł jak ścigany przez piekielną sforę. Dwa lata później dziadunio odwiedził tamtą okolicę i ujrzał rosłego jelenia, któremu między rogami wyrastało wiśniowe drzewko. Zastrzelił go i babcia narobiła dość placków z wiśniami, by wystarczyło ich do następnego czwartego lipca…

Obie się roześmiały.

INTERLUDIUM 3

Jacksonville, stan Floryda, 2 rano

— W ogłoszeniu piszą, że szukacie ludzi.

— Zawsze kogoś szukamy.

— Mogę pracować tylko nocą. Czy to problem?

— Raczej nie. Dam pani papiery. Pracowała już pani na stacji benzynowej?

— Nie, ale to chyba nie może być trudne?

— Nie jest to fizyka kwantowa. Przepraszam, że to mówię, proszę pani, ale nie wygląda pani najlepiej.

— Wiem. To choroba. Wygląda gorzej, niż jest w istocie. Nie zagraża życiu.

— W porządku. Może pani zostawić papiery tutaj. Naprawdę brakuje nam ludzi na nocnej zmianie. Nazywamy ją zmianą zombi, bo gdy pracuje się na niej zbyt długo, tak właśnie człowiek się czuje. Dobrze… Lamo?

— Lauro.

— Lauro. W porządku. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają ci kontakty ze świrami, bo oni przyjeżdżają głównie nocą.

— Nie wątpię. Dam sobie radę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Część, stary druhu.
Co powiesz, stary druhu?
W porządku, stary druhu.
Niech przyjaźń dalej trwa.
Czemuś taki ponury?
Pozostaniemy razem.
Ty, ja i on, mój druhu
To o nas toczy się gra…

— Stephen Sondheim, „Starzy przyjaciele”

Był sobotni ranek. Cień otworzył drzwi.

Na progu stała Marguerite Olsen. Nie weszła do środka; czekała skąpana w blasku słońca, minę miała poważną.

— Panie Ainsel…?

— Proszę mi mówić Mike — wtrącił Cień.

— Dobrze, Mike. Zechciałbyś wpaść dzisiaj do mnie na kolację? Około szóstej? Nic wielkiego, spaghetti i klopsiki.

— Lubię spaghetti i klopsiki.

— Oczywiście, jeśli masz inne plany…

— Nie mam innych planów.

— O szóstej.

— Mam przynieść kwiaty?

— Jeśli chcesz, ale to zwykłe spotkanie towarzyskie, nic romantycznego.

Wziął prysznic. Wybrał się na krótki spacer, do mostu i z powrotem. Słońce świeciło na niebie niczym zaśniedziały miedziak i nim dotarł do domu, oblał się potem. Pojechał swym wozem do delikatesów Dave’a i kupił butelkę wina za dwadzieścia dolarów. Cień uznał, że to gwarantuje stosowną jakość. Nie znał się na winach, więc kupił kalifornijski cabernet. Widział kiedyś naklejkę na zderzaku, gdy jeszcze był młodszy, a ludzie naklejali na zderzaki cokolwiek, głoszącą „Bo życie cabernetem jest”. Wówczas go rozśmieszyła.

Wybrał roślinę w doniczce, zielone liście, żadnych kwiatów. Zdecydowanie nic romantycznego.

Kupił też karton mleka, którego nie wypije, i różne przekąski, których nie skosztuje. A potem pojechał do Mabel i zamówił jeden pierożek na lunch. Na jego widok oblicze gospodyni rozjaśnił szeroki

uśmiech.

— Hinzelmann skontaktował się już z tobą?

— Nie wiedziałem, że mnie szukał.

— Owszem. Chce cię zabrać na ryby. A Chad Mulligan pytał, czy cię nie widziałam. Przyjechała jego kuzynka. Daleka kuzynka, którą nazywaliśmy kuzynką od całusków. Słodka dziewczyna, spodoba ci się.

Wrzuciła pierożek do brązowej papierowej torebki i szczelnie zamknęła, żeby zachować ciepło.

Cień ruszył do domu okrężną drogą. Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą podnosił do ust pierożek. Okruchy posypały się na jego dżinsy i podłogę samochodu. Minął bibliotekę na południowym brzegu jeziora. Miasto w okowach śniegu i lodu wyglądało jak czarno-białe. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie nadejścia wiosny — gruchot na zawsze pozostanie na lodzie, otoczony namiotami wędkarzy, półciężarówkami, śladami śniegołazów.

Dotarł do domu, zaparkował i po drewnianych schodach wspiął się do mieszkania. Siedzące w karmniku szczygły i kowaliki zlekceważyły go całkowicie. Wszedł do środka, podlał roślinkę, zastanawiając się, czy nie powinien włożyć wina do lodówki.

Do szóstej pozostało mnóstwo czasu.

Cień pożałował, że nie może spokojnie oglądać telewizji. Pragnął rozrywki. Chciał móc nie myśleć, pozwolić porwać się obrazom i dźwiękom. „Chcesz zobaczyć cycki Lucy?" — odezwał się w pamięci znajomy głos. Pokręcił głową, choć w pokoju nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć.

Uświadomił sobie, że się denerwuje. Wkrótce czekało go pierwsze towarzyskie spotkanie z innymi ludźmi — zwykłymi ludźmi, nie więźniami, bogami, bohaterami kulturowymi czy snami. Pierwsze od czasu aresztowania ponad trzy lata temu. Będzie musiał toczyć normalne rozmowy jako Mike Ainsel.

Zerknął na zegarek: wpół do trzeciej. Marguerite Olsen prosiła, by przyszedł o szóstej. Czy powinien zjawić się dokładnie o szóstej? Odrobinę wcześniej? Odrobinę później? W końcu postanowił, że wyjdzie pięć po.

Zadzwonił telefon.

— Tak? — rzucił Cień.

— To niezbyt uprzejmy sposób odbierania telefonu — warknął Wednesday.

— Kiedy go podłączę, zacznę odpowiadać grzecznie — rzekł Cień. — Mogę w czymś pomóc?

— Nie wiem. — Chwila ciszy. W końcu Wednesday powiedział: — Organizowanie bogów przypomina tresurę kotów: nie przychodzi im to łatwo. — W jego głosie brzmiało tępe krańcowe wyczerpanie. Cień

nigdy wcześniej nie słyszał u niego podobnego tonu.

— Co się stało?

— To trudne. Kurewsko trudne. Nie mam pojęcia, czy się uda. Równie dobrze moglibyśmy od razu poderżnąć sobie gardła. Ciach i już.

— Nie wolno ci tak mówić.

— Tak. Jasne.

— Jeśli rzeczywiście poderżniesz sobie gardło — Cień próbował zażartować, wyrwać Wednesdaya z objęć mrocznych myśli — może nawet nie zaboli.

— Zaboli. Nawet my odczuwamy ból. Jeśli działamy w świecie materialnym, świat materialny oddziałuje na nas. Ból wciąż boli, chciwość oszałamia, żądza pali. Nie umieramy łatwo i z pewnością nie wdzięcznie, ale umieramy. Jeśli wciąż jesteśmy kochani i wspominani, coś innego, bardzo do nas podobnego, zjawia się i zajmuje nasze miejsce, i wszystko zaczyna się od początku. Jeżeli jednak zostaliśmy zapomniani, to koniec.

Cień nie wiedział, co powiedzieć.

— Skąd właściwie dzwonisz?

— Nie twoja sprawa.

— Jesteś pijany?

— Jeszcze nie. Ale cały czas myślę o Thorze. Nie poznałeś go. Wielki facet, coś jak ty. Miał dobre serce. Niezbyt bystry, ale gdybyś go poprosił, oddałby ci ostatnią pieprzoną koszulę. I wiesz co? On się zabił. W 1932 roku w Filadelfii. Wsadził sobie do ust lufę pistoletu i rozwalił głowę. Co to za śmierć dla boga?

— Przykro mi.

— W ogóle cię to nie obchodzi, synu. Był bardzo podobny do ciebie, wielki i głupi. — Wednesday umilkł, zakasłał.

— Co się dzieje? — spytał Cień po raz drugi.

— Skontaktowali się z nami.

— Kto?

— Przeciwnik.

— I?

— Chcą rozmawiać o rozejmie. Rozmowy pokojowe. Żyj i pozwól żyć innym.

— I co teraz?

— Teraz pojadę na spotkanie i będę pić kiepską kawę w towarzystwie współczesnych dupków w Masońskim Dworze w Kansas City.

— W porządku. Wpadniesz po mnie czy spotkamy się na miejscu?

— Ty zostajesz. Nie wychylaj się, do niczego nie mieszaj. Słyszałeś?

— Ale…

Rozległo się szczęknięcie i w słuchawce zapadła cisza. Nie słyszał nawet sygnału, ale też nigdy go tam nie było.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zabijać czas. Rozmowa z Wednesdayem zbudziła niepokój w sercu Cienia. Wstał z zamiarem wyjścia na przechadzkę, lecz na zewnątrz robiło się ciemno, toteż usiadł z powrotem. Wziął ze stołu „Dokumenty z posiedzeń Rady Miejskiej Lakeside 1872-1884" i zaczął przewracać kartki, przebiegając wzrokiem drobny druk. Tak właściwie to nie czytał. Od czasu do czasu przeglądał tylko fragment, który przyciągnął jego uwagę.

Dowiedział się, że w lipcu 1874 Rada Miejska dyskutowała o rosnącej liczbie wędrownych drwali z zagranicy, przybywających do miasta. Na rogu Trzeciej Ulicy i Broadwayu planowano wybudować operę. Spodziewano się, że problemy związane z przegrodzeniem tamą Strumyka Młynarskiego znikną, gdy staw zostanie zamieniony w jezioro. Rada zatwierdziła wypłatę siedemdziesięciu dolarów panu Samuelowi Samuelsowi i osiemdziesięciu pięciu dolarów panu Heikki Salminenowi w zamian za ich ziemię i wydatki związane z przeniesieniem domu z terenów, które miały zostać zalane.

Cieniowi nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że tutejsze jezioro zostało stworzone rękami człowieka. Czemu nazwano miasto Lakeside, skoro jezioro było z początku jedynie stawem przy młynie? Czytał dalej i odkrył, że projektem stworzenia jeziora kierował pan Hinzelmann, pochodzący z Hiidemuhlen w Bawarii. Rada Miejska przyznała mu trzysta siedemdziesiąt dolarów na koszta projektu. Resztę miano uzupełnić z datków publicznych.

Cień oddarł kawałek papierowego ręcznika i wsunął go między kartki, jako zakładkę. Wyobrażał sobie radość Hinzelmanna ze wzmianki o dziadku. Zastanawiał się, czy starzec wiedział, jaką rolę jego rodzina odegrała w stworzeniu jeziora. Zaczął przerzucać kartki, szukając kolejnych wzmianek na ten temat.

Wiosną 1876 roku jezioru nadano nazwę. Stanowiło to początek obchodów stulecia miasta. Rada przegłosowała wystosowanie oficjalnego podziękowania panu Hinzelmannowi.

Cień spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Poszedł do łazienki, wziął prysznic, uczesał się, przebrał. Ostatni kwadrans upłynął niepostrzeżenie. Cień zabrał wino i roślinkę, po czym zastukał do sąsiednich drzwi.

Otwarły się natychmiast. Marguerite Olsen sprawiała wrażenie niemal tak zdenerwowanej jak on sam. Wzięła od niego butelkę i doniczkę, podziękowała. Na ekranie telewizora zaczynał się właśnie „Czarnoksiężnik z krainy Oz". Obraz wciąż miał barwę sepii, Dorota nadal przebywała w Kansas. Siedziała z zamkniętymi oczami w wozie Profesora Cudotwórcy, a stary oszust udawał, że czyta jej w myślach,

gdy tymczasem do miasta zbliżała się trąba powietrzna, która miała odmienić jej życie. Leon siedział przed telewizorem i bawił się wozem strażackim. Na widok Cienia jego mała twarz się rozpromieniła. Chłopiec wstał i pobiegł do sypialni, potykając się z podniecenia. Po chwili wypadł stamtąd, tryumfalnie wymachując trzymaną w ręce ćwierćdolarówką.

— Patrz, Mike'u Ainselu! — krzyknął. Zacisnął obie dłonie i udał, że bierze monetę do prawej ręki. Wyprostował palce. — Sprawiłem, że zniknęła, Mike'u Ainselu!

— Owszem — zgodził się Cień. — A po obiedzie, jeśli mama się zgodzi, pokażę ci, jak zrobić to jeszcze zręczniej.

— Jeśli chcesz, zrób to teraz — wtrąciła Marguerite. — Wciąż czekamy na Samanthę. Posłałam ją do sklepu po kwaśną śmietanę. Nie mam pojęcia, czemu tak długo nie wraca.

W tym momencie, jak na zawołanie, na drewnianym podeście rozległ się odgłos kroków. Ktoś otworzył drzwi mieszkania. Z początku Cień jej nie poznał. Potem jednak powiedziała:

— Nie wiedziałam, czy chodziło ci o śmietanę z kaloriami, czy też taką, która smakuje jak pasta papierowa, więc wybrałam tę z kaloriami. — Wreszcie ją rozpoznał: dziewczyna z drogi do Kairu.

— Świetnie — odparła Marguerite. — Sam, to jest mój sąsiad Mike Ainsel. Mike, to jest Samantha Czarna Wrona, moja siostra.

Nie znam cię — pomyślał desperacko Cień. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Jesteśmy sobie obcy. Próbował sobie przypomnieć, jak myślał o śniegu, jak łatwo mu to przyszło. Teraz czuł rosnącą desperację. Wyciągnął rękę.

— Miło mi — rzekł.

Dziewczyna zamrugała, spojrzała mu prosto w twarz. Chwila wahania, po czym jej oczy błysnęły. Kąciki ust uniosły się w uśmiechu.

— Witaj — rzekła.

— Zobaczę jak tam obiad — oznajmiła Marguerite pełnym napięcia tonem kogoś, kto potrafi wszystko przypalić, jeśli tylko na moment spuści z tego oko.

Sam zdjęła puchowy płaszcz i czapkę.

— A zatem ty jesteś melancholijnym, tajemniczym sąsiadem — powiedziała. — Kto by pomyślał. — Mówiła bardzo cicho.

— A ty — odparł — jesteś dziewczyną Sam. Możemy porozmawiać o tym później?

— Jeśli obiecasz, że wyjaśnisz, co się dzieje.

— Słowo.

Leon pociągnął Cienia za nogawkę.

— Pokażesz mi teraz? — spytał, unosząc monetę.

— Jasne — odparł Cień. — Ale jeśli to zrobię, pamiętaj, że mistrz magii nigdy nie zdradza swoich sekretów.

— Obiecuję — oznajmił z powagą Leon. Cień wziął monetę w lewą rękę, potem przesunął prawą dłoń Leona, pokazując mu jak udawać, że przekłada pieniążek, tak naprawdę pozostawiając go na miejscu. Kazał Leonowi powtórzyć wszystko samodzielnie.

Po kilku próbach chłopiec opanował sztuczkę.

— Teraz poznałeś połowę triku — oznajmił Cień. — Druga połowa wygląda następująco: skup się na miejscu, w którym powinna być moneta. Patrz tylko na nie. Jeśli będziesz się zachowywał, jakbyś trzymał ją w prawej ręce, nikt nawet nie spojrzy na lewą, nieważne, jak niezręcznie ci poszło.

Sam obserwowała to wszystko, lekko przechylając głowę. Milczała.

— Obiad! — zawołała Marguerite i wynurzyła się z kuchni, dźwigając w dłoniach miskę parującego spaghetti.

— Leon, idź umyj ręce.

Posiłek składał się z chrupiącego chleba czosnkowego, gęstego, czerwonego sosu i pikantnych klopsików. Cień pogratulował ich Marguerite.

— Stary, rodzinny przepis — odparła. — Z korsykańskiej strony rodziny.

— Sądziłem, że jesteś Indianką.

— Ojciec jest Czirokezem — wtrąciła Sam. — Ojciec mamy Meg pochodzi z Korsyki. — Sam jako jedyna w pokoju piła wino. — Tato zostawił ją, gdy Mag miała dziesięć lat. Przeniósł się na drugą stronę miasta. Urodziłam się sześć miesięcy później. Kiedy ojciec dostał rozwód, ożenił się z mamą. Gdy skończyłam dziesięć lat, odszedł. Najwyraźniej potrafił skupić uwagę tylko na dziesięć lat.

— Od dziesięciu lat siedzi w Oklahomie — dodała Marguerite.

— Rodzina mojej matki to europejscy Żydzi — ciągnęła Sam — pochodzący z jednego z tych krajów, w których komunizm zastąpił chaos. Myślę, że spodobała jej się wizja małżeństwa z Czirokezem. Pieczenie chleba, siekana wątróbka… — Pociągnęła kolejny łyk czerwonego wina.

— Mama Sam to szalona kobieta. — W głosie Marguerite zadźwięczała nutka dezaprobaty.

— Wiesz, gdzie jest teraz? — Cień pokręcił głową. — W Australii — odparła Sam. — W Internecie poznała faceta z Hobart. Gdy spotkali się na żywo, uznała, że jest obleśny, ale spodobała jej się Tasmania, więc zamieszkała tam wraz z grupą kobiet. Uczy je ba — tikowania i podobnych bzdur. Odlotowe, prawda? W jej wieku?

Cień zgodził się i poprosił o dokładkę klopsików. Sam opowiedziała im o tym, jak Brytyjczycy wymordowali pierwotnych mieszkańców Tasmanii i o stworzonym przez nich ludzkim łańcuchu, który miał schwytać Aborygenów, a doprowadził jedynie do ujęcia

starca i chorego chłopca. Opowiedziała też o diabłach tasmańskich — wilkach workowatych — wybitych przez bojących się o owce farmerów, i o tym, jak politycy z lat trzydziestych zauważyli, że warto chronić zwierzęta, gdy wszystkie już nie żyły. Opróżniła drugi kieliszek, nalała sobie trzeci.

— Teraz ty, Mike — powiedziała nagle. Jej policzki zarumieniły się gwałtownie. — Opowiedz nam o swojej rodzinie. Jacy są Ainselowie? — Uśmiechała się kpiąco, złośliwie.

— Jesteśmy strasznie nudni — odparł Cień. — Żaden z nas nie dotarł nigdy do Tasmanii. Słyszałem, że uczysz się w Madison. Jak tam jest?

— No wiesz — mruknęła. — Historia sztuki, studia kobiece. Odlewam też własne rzeźby w brązie.

— Kiedy dorosnę — wtrącił Leon — zostanę czarodziejem. Puf! Nauczysz mnie, Mike'u Ainselu?

— Jasne — odparł Cień. — Jeśli mama się zgodzi.

— Kiedy skończymy — oznajmiła Sam — i będziesz kładła Leona do łóżka, chyba zabiorę Mike'a na godzinkę do Ostatniego Grosza.

Marguerite nie wzruszyła ramionami. Jej głowa poruszyła się lekko. Uniosła brwi.

— Uważam, że jest interesujący, i mamy sobie wiele do opowiedzenia.

Marguerite spojrzała na Cienia, który udawał, że wyciera serwetką nieistniejącą plamę sosu na brodzie.

— No cóż, w końcu jesteście dorośli — odparła tonem sugerującym, że wcale nie są, a jeśli nawet, to nie powinni być.

Po obiedzie Cień pomógł Sam w zmywaniu — wycierał — a potem zademonstrował specjalną sztuczkę — wkładał monety do ręki Leona. Za każdym razem, gdy Leon otwierał dłoń i przeliczał pieniądze, znajdował o jedną monetę mniej. A co do ostatniego centa — „ściskasz go, mocno?" — to gdy Leon rozchylił palce, odkrył, iż zamienił się w dziesięciocentówkę. Do wyjścia odprowadziły ich okrzyki chłopca:

— Jak to zrobiłeś? Mamo, jak on to zrobił?

Sam wręczyła mu płaszcz.

— Chodź — powiedziała. Jej twarz pokrywał rumieniec, pamiątka po winie. Na zewnątrz panował mróz.

Cień zajrzał do swego mieszkania, wrzucił do reklamówki „Dokumenty z Posiedzeń Rady Miejskiej Lakeside" i zabrał ze sobą. Może w barze spotka Hinzelmanna. Chciał mu pokazać wzmiankę o dziadku.

Ręka w rękę ruszyli na podjazd.

Otworzył drzwi garażu i Sam wybuchnęła śmiechem.

— O mój Boże! — jęknęła na widok toyoty. — Samochód Paula

Gunthera. Kupiłeś samochód Paula Gunthera. O mój Boże!

Cień otworzył przed nią drzwi. Potem sam wsiadł do środka.

— Znasz go?

— Gdy dwa czy trzy lata temu odwiedziłam Mag, namówiłam Paula, by pomalował wóz na fioletowo.

— Ach, tak — mruknął Cień. — Dobrze wiedzieć, kogo za to winić.

Wyjechał na ulicę. Wysiadł, zamknął garaż, z powrotem usiadł za kierownicą. Sam patrzyła na niego dziwnym wzrokiem, z każdą chwila tracąc pewność siebie. Zapiął pas i wtedy się odezwała:

— No dobra. To głupie z mojej strony, prawda? Wsiadać do samochodu z maniakalnym mordercą.

— Ostatnio bezpiecznie dowiozłem cię do domu — przypomniał!

— Zabiłeś dwóch ludzi, szukają cię federalni, a teraz dowiaduję się, że mieszkasz tu pod przybranym nazwiskiem, tuż obok mojej siostry. Chyba że naprawdę nazywasz się Mike Ainsel?

— Nie. — Cień westchnął. — Nie nazywam się. — Bardzo nie chciał tego mówić. Zupełnie jakby rezygnował z czegoś ważnego, porzucał Mike'a Ainsela, wypierał się go, jakby rozstawał się z przyjacielem.

— Zabiłeś tych ludzi?

— Nie.

— Przyszli do mnie. Oznajmili, że widziano was razem. Jeden z nich pokazał mi twoje zdjęcia. Jak się nazywał? Pan Hat? Nie, pan Town. Prosto ze „Ściganego". Powiedziałam jednak, że cię nie znam.

— Dziękuję.

— A zatem opowiedz mi, co się dzieje. Dotrzymam twojej tajemnicy, jeśli ty dotrzymasz mojej.

— Nie znam żadnych twoich tajemnic — zauważył Cień.

— Wiesz, że to ja wpadłam na pomysł pomalowania tego wozu na fioletowo. Przeze mnie Paul Gunther stał się przedmiotem drwin w kilku okręgach i musiał opuścić miasto. Byliśmy trochę naćpani — przyznała.

— Wątpię, by stanowiło to sekret — zauważył Cień. — Wszyscy w Lakeside zapewne o tym wiedzą. To bardzo naćpany fioletowy.

I wtedy Sam powiedziała — bardzo cicho, bardzo szybko:

— Jeśli zamierzasz mnie zabić, proszę, tylko bez bólu. Nie powinnam tu być. Jestem taka głupia, strasznie głupia. Mogę cię zidentyfikować. Jeezu!

Cień westchnął.

— Nigdy nikogo nie zabiłem. Słowo. Teraz zawiozę cię do baru — dodał. — Wypijemy po drinku. Albo, jeśli wolisz, zawrócę i wrócimy do domu. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nie wezwiesz glin.

W milczeniu pokonali most.

— Kto zabił tych ludzi? — spytała.

— Gdybym ci powiedział, nie uwierzyłabyś.

— Uwierzyłabym. — W jej głosie dźwięczał gniew. Cień zastanowił się, czy wino do obiadu stanowiło dobry pomysł. W tej chwili jego życie z pewnością nie było cabernetem.

— Niełatwo w to uwierzyć.

— Ja potrafię uwierzyć we wszystko — oznajmiła. — Nie masz pojęcia, w co wierzę.

— Naprawdę?

— Wierzę w rzeczy prawdziwe i w rzeczy nieprawdziwe. Wierzę też w rzeczy, których prawdziwości nikt nie potrafi określić. Wierzę w Świętego Mikołaja, zajączka wielkanocnego, Marilyn Monroe, Beatlesów, Elvisa i pana Eda. Posłuchaj, wierzę, że ludzie mogą osiągnąć doskonałość, że wiedza jest nieskończona, światem kieruje tajny kartel bankierów i że regularnie odwiedzają nas obcy przybysze: mili, wyglądający jak pomarszczone lemury, i źli, raniący bydło, pragnący naszej wody i naszych kobiet. Wierzę, że w przyszłości może być tylko gorzej i… że może być lepiej. I wierzę, że pewnego dnia powróci do nas biała kobieta-ba — wół i skopie wszystkim tyłki. Wierzę, że mężczyźni to wyrośnięci chłopcy, nie potrafiący się porozumieć, i że upadek seksu w Ameryce wiąże się z bankructwami kin dla zmotoryzowanych. Wierzę, że wszyscy politycy to bezwzględni kłamcy, ale i tak lepsze to niż alternatywa. Wierzę, że pewnego dnia Kalifornia zatonie w morzu, a Florydą zawładnie szaleństwo, aligatory i odpadki toksyczne. Wierzę, że mydło antybakteryjne niszczy naszą odporność na brud i choroby i pewnego dnia wszystkich nas zaatakuje zwykłe przeziębienie, jak Marsjan w „Wojnie światów". Wierzę, że największymi poetami zeszłego wieku byli Edith Sitwell i Don Marquis. Wierzę, że jaspis to wysuszona smocza sperma i że tysiące lat temu w poprzednim życiu byłam jednoręką syberyjską szamanką. Wierzę, że ludzkość zmierza do gwiazd. Wierzę, że cukierki naprawdę smakują lepiej w dzieciństwie. Wierzę, że prawa aerodynamiki nie pozwalają trzmielowi latać, że światło to jednocześnie fala i cząsteczka, że gdzieś w pudełku siedzi kot jednocześnie żywy i martwy (choć jeśli nie otworzą pudełka i nie nakarmią go, w końcu będzie martwy na dwa różne sposoby) i że we wszechświecie można znaleźć gwiazdy starsze o miliardy lat od samego wszechświata. Wierzę w mojego osobistego boga, który o mnie dba; martwi się i pilnuje wszystkiego, co robię. Wierzę w boginię uniwersalną, która stworzyła wszechświat, a potem odeszła zabawiać się ze swoimi dziewczynami i nie wie nawet, że żyje. Wierzę w pusty, pozbawiony Boga wszechświat, którym kieruje chaos, szum i ślepe szczęście. Wierzę, że każdy, kto twierdzi, iż przeceniamy znaczenie seksu, po prostu nigdy porządnie się nie kochał, a ci, którzy twierdzą, że

wiedzą, co się dzieje, kłamią, choćby w drobnych sprawach. Wierzę w absolutną szczerość i małe kłamstewka. Wierzę w prawo kobiety do wyboru, prawo dziecka do życia i w to, że choć ludzkie życie jest rzeczą świętą, nie ma nic złego w karze śmierci, o ile można zaufać bez reszty wymiarowi sprawiedliwości. Wierzę też, że jedynie kretyn mógłby zaufać wymiarowi sprawiedliwości. Wierzę, że życie to gra, okrutny żart, to co dzieje się, gdy żyjemy, toteż równie dobrze możemy się nim cieszyć.

Umilkła i odetchnęła głęboko.

Cień miał ochotę nagrodzić ją oklaskami. Zamiast tego rzekł tylko:

— W porządku. Jeśli więc opowiem ci o tym, czego się dowiedziałem, nie uznasz mnie za świra.

— Może — rzekła. — Spróbuj.

— Czy uwierzyłabyś, że wszyscy bogowie, których wyobrażali sobie ludzie, wciąż żyją wśród nas?

— Może.

— I że istnieją też nowi bogowie, bogowie komputerów, telefonów i innych takich, i jedni i drudzy uważają, że dla nich wszystkich nie wystarczy miejsca, więc szykują się do wojny.

— I ci bogowie zabili tamtych dwóch facetów?

— Nie. Zrobiła to moja żona.

— Zdawało mi się, że mówiłeś, że ona nie żyje.

— Bo nie żyje.

— Zabiła ich przed śmiercią?

— Po. Nie pytaj.

Sam uniosła rękę i odrzuciła z czoła kosmyk włosów. Wjechali w Main Street i zatrzymali się przed barem. Na szyldzie wymalowano pijaczka: w jednej ręce trzymał kufel piwa, w drugiej lśniącą monetę. Cień zabrał torbę z książką i wysiadł.

— Czemu mieliby walczyć? — spytała Sam. — To jedno wydaje mi się bez sensu. Co mogliby wygrać?

— Nie wiem — przyznał Cień.

— Łatwiej wierzyć w obcych niż w bogów — oznajmiła. — Może pan Town i pan jakiś tam to naprawdę faceci w czerni pracujący dla obcych.

Stali na chodniku przed „Ostatnim Groszem". Sam zatrzymała się nagle. Spojrzała na Cienia. Z jej ust uleciał obłoczek pary.

— Powiedz po prostu, że grasz po stronie dobrych.

— Żałuję, ale nie mogę. Choć naprawdę się staram.

Zmierzyła go wzrokiem i przygryzła dolną wargę. W końcu skinęła głową.

— To mi wystarczy. Nie zdradzę cię. Możesz mi kupić piwo.

Cień otworzył przed nią drzwi. Nagle zalała ich fala gorąca i

muzyki. Weszli do środka. Sam pomachała do znajomych. Cień pozdrowił skinieniem głowy ludzi, których twarze — choć nie nazwiska — zapamiętał z poszukiwań Alison McGovern, albo których spotkał rankiem u Mabel. Chad Mulligan stał przy barze, otaczając ramieniem plecy drobnej, rudowłosej kobiety — pewnie dalekiej kuzynki — pomyślał Cień. Ciekaw był, jak wygląda, stała jednak do niego tyłem. Na widok Cienia Chad uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Cień uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką. Rozejrzał się w poszukiwaniu Hinzelmanna, lecz tego wieczoru stary najwyraźniej nie odwiedził baru. Dostrzegł pusty stolik i ruszył ku niemu. I wtedy ktoś zaczął krzyczeć.

Był to przejmujący, rozpaczliwy krzyk — krzyk histeryczny, z rodzaju „zobaczyłem ducha!". Wszyscy umilkli. Cień rozejrzał się, pewien, że ktoś kogoś morduje. I nagle uświadomił sobie, że wszystkie twarze zwracają się w jego stronę. Nawet czarny kot, za dnia śpiący w oknie, stał na szafie grającej, unosząc ogon i wyginając grzbiet, i patrzył na Cienia. Czas zwolnił bieg.

— Łapcie go! — wrzeszczała kobieta na granicy histerii. — Na miłość boską, niech ktoś go zatrzyma. Nie pozwólcie mu uciec, proszę!

Znał ten głos.

Nikt nawet nie drgnął. Patrzyli na Cienia. On odpowiedział im spojrzeniem.

Chad Mulligan wystąpił naprzód, przeciskając się przez tłum. Obok niego stąpała ostrożnie drobna kobieta. Szeroko otwierała oczy, jakby szykowała się do kolejnego krzyku. Cień ją znał. Oczywiście, że ją znał. Policjant wciąż trzymał w dłoni szklankę z piwem. Odstawił ją na najbliższy stolik.

— Mike — powiedział.

— Chad — odparł Cień.

Audrey Burton chwyciła Chada za rękaw. Twarz miała białą. W jej oczach lśniły łzy.

— Cień — rzuciła. — Ty draniu!

— Jesteś pewna, że znasz tego człowieka, kochanie? — Chad sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Audrey Burton spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Oszalałeś?! Od lat pracował dla Robbiego. Ta dziwka, jego żona, była moją najlepszą przyjaciółką. Ścigają go za morderstwo. Musiałam odpowiadać na pytania. To były więzień.

Zachowywała się przesadnie. Jej głos drżał od tłumionej histerii. Wyrzucała z siebie słowa jak aktorka telewizyjna, próbująca zdobyć nagrodę Emmy. Kuzynka od całusków — pomyślał z pogardą Cień.

Nikt w barze nie odezwał się ani słowem. Chad spojrzał na Cienia.

— To pewnie pomyłka. Jestem pewien, że z łatwością wszystko wyjaśnimy. — I zwracając się do ludzi, dodał: — Wszystko w

porządku. Nie ma się czym przejmować. Załatwimy tę sprawę. Nic się nie stało. — I znów do Cienia: — Wyjdź na dwór, Mike. — Spokój i fachowość. Cień był pod wrażeniem.

— Jasne — odparł.

Poczuł, jak czyjaś dłoń dotyka jego ręki. Odwróciwszy się, ujrzał patrzącą na niego Sam. Uśmiechnął się do niej pocieszająco.

Sam zadarła głowę, patrząc na Cienia. Potem rozejrzała się po barze i wpatrzonych w nich ludziach.

— Nie wiem, kim jesteś — powiedziała, zwracając się do Audrey Burton — Ale. Jesteś. Taką. Straszną. Cipą.

Wspięła się na palce, pociągnęła ku sobie Cienia i pocałowała go mocno w usta, napierając na nie z całych sił. Cień miał wrażenie, że trwa to kilka minut. W rzeczywistości było to może pięć sekund.

Dziwny pocałunek — pomyślał Cień, czując na ustach jej wargi. Jakby nie był przeznaczony dla niego, lecz dla innych ludzi w barze, by im pokazać, że Sam wybrała, po czyjej stronie stoi. Pocałunek poparcia. Czuł przecież, że tak naprawdę wcale jej się nie podoba — no, nie w ten sposób.

Kiedyś, dawno temu, jako dzieciak przeczytał pewną historię. Opowieść o podróżniku, który spadł ze skały. Na górze czekały tygrysy-ludożercy, na dole śmierć w przepaści. On zaś zatrzymał się w połowie urwiska, wisząc na rękach. Obok siebie miał krzaczek truskawek, w górze i w dole pewną śmierć. Co miał zrobić? — brzmiało pytanie. A odpowiedź? Zjeść truskawki.

W dzieciństwie nie dostrzegał sensu historii. Teraz owszem. Zamknął zatem oczy i skupił się wyłącznie na pocałunku. Czuł jedynie wargi Sam, jej miękką skórę, słodką niczym letnia truskawka.

— Chodź już, Mike — rzucił stanowczo Chad Mulligan — proszę. Wyjdźmy na zewnątrz.

Sam cofnęła się. Oblizała wargi i uśmiechnęła się szeroko, tak że uśmiech odbił się w jej oczach.

— Nieźle — powiedziała. — Całkiem dobrze całujesz jak na faceta. No dobra, idźcie bawić się na dwór. — Odwróciła się do Audrey Burton. — Ale ty — dodała — ciągle jesteś cipą.

Cień rzucił Sam swoje kluczyki. Złapała je jedną ręką. Przeszedł przez bar i przekroczył próg. Tuż za nim podążał Chad Mulligan. Na zewnątrz zaczął padać śnieg; płatki wirowały i tańczyły w blasku neonu.

— Chcesz o tym pogadać? — spytał Chad.

Audrey wyszła za nimi na chodnik. Wyglądała, jakby lada moment miała znów zacząć krzyczeć.

— On zabił dwóch ludzi, Chad — oznajmiła. — Przyszło do mnie FBI. To wariat. Jeśli chcesz, pójdę z wami na komisariat.

— Dość już sprawiła pani kłopotu. — W głosie Cienia brzmiało

znużenie. — Proszę odejść.

— Chad, słyszałeś? On mi grozi!

— Wracaj do środka — polecił Chad Mulligan. Przez moment wyglądała, jakby zamierzała protestować. Potem zacisnęła wargi tak mocno, że zbielały, i weszła do baru.

— Chciałbyś coś dodać do tego, co powiedziała? — spytał Chad.

— Nigdy nikogo nie zabiłem.

Chad skinął głową.

— Wierzę ci — rzekł. — Jestem pewien, że z łatwością odeprzemy te zarzuty. Nie będziesz sprawiał kłopotów, prawda, Mike?

— Pewnie, że nie. To jedna wielka pomyłka.

— Właśnie — zgodził się Chad. — Chodźmy zatem do mnie i załatwmy to.

— Jestem aresztowany? — spytał Cień.

— Nie, chyba że chcesz. Po prostu chodź ze mną w ramach obowiązku obywatelskiego i załatwmy sprawę.

Chad obszukał Cienia. Nie znalazł broni. Wsiedli do samochodu Mulligana. I znów Cień usiadł z tyłu, wyglądając przez metalową kratę. W myślach powtarzał: SOS, Mayday, Ratunku. Próbował wpływać na Mulligana swym umysłem, tak jak kiedyś na gliniarza w Chicago. To twój stary kumpel, Mike Ainsel. Uratowałeś mu życie. Nie wiesz, jakie to wszystko głupie? Czemu po prostu nie dasz sobie siana?

— Pomyślałem, że lepiej będzie cię stamtąd zabrać — oznajmił Chad. — Wystarczyło tylko, by jakiś krzykacz uznał, że to ty zabiłeś Alison McGovem, i mogłoby dojść do linczu.

— Racja.

Przez resztę drogi na komisariat w Lakeside milczeli. Gdy zajechali przed posterunek, Chad wyjaśnił, że w istocie należy on do Departamentu Szeryfa Okręgowego. Miejscowa policja zadowalała się kilkoma pomieszczeniami. Wkrótce okręg zbuduje im nowoczesną siedzibę. Na razie musiało im wystarczyć to, co mają.

Weszli do środka.

— Powinienem zadzwonić do adwokata? — spytał Cień.

— O nic cię nie oskarżamy — odparł Mulligan. — Sam zdecyduj. — Przecisnęli się przez wahadłowe drzwi. — Usiądź. Tam.

Cień przysiadł na drewnianym krześle, z boku pokrytym śladami po papierosach. Czuł się odrętwiały, ogłupiały. Na tablicy ogłoszeń, obok wielkiego napisu: ZAKAZ PALENIA, widniała ulotka ze zdjęciem Alison McGovern. Napis nad nią głosił: ZAGINIONA.

Na drewnianym stole leżały stare numery „Sports Illustrated” i „Newsweeka”. Lampa świeciła słabo. Pożółkła farba na ścianach kiedyś, być może, była biała.

Po dziesięciu minutach Chad przyniósł mu kubek wodnistej czekolady z automatu.

— Co masz w siatce? — spytał i dopiero wtedy Cień uświadomił sobie, że wciąż trzyma w dłoni plastikową torbę z „Dokumentami z Posiedzeń Rady Miejskiej Lakeside".

— Starą książkę — odparł. — Jest tam zdjęcie twojego dziadka, czy może pradziadka.

— Tak?

Cień przerzucił kartki i w końcu znalazł portret członków rady miejskiej. Wskazał mężczyznę nazwiskiem Mulligan. Chad zachichotał.

— A niech mnie.

Minuty zamieniały się w godziny. Cień przeczytał dwa numery „Sports Illustrated" i zabrał się za „Newsweeka". Od czasu do czasu w pomieszczeniu zjawiał się Chad. Raz spytał, czy Cień nie chce skorzystać z toalety, innym razem zaproponował mu bułkę z szynką i małą paczkę chipsów.

— Dzięki — odparł Cień. — Już jestem aresztowany?

Chad ze świstem wciągnął powietrze.

— Cóż — odparł — jeszcze nie. Nie wygląda na to, żebyś naprawdę nazywał się Mike Ainsel. Z drugiej strony, w tym stanie, jeśli chcesz, możesz przedstawiać się jak dusza zapragnie, o ile nie czynisz tego w celach przestępczych. Na razie zaczekaj.

— Mogę zadzwonić?

— To rozmowa miejscowa?

— Zamiejscowa.

— Zadzwoń na moją kartę, będzie taniej. W przeciwnym razie cały czas będziesz wrzucał monety do automatu.

Jasne — pomyślał Cień. No i w ten sposób dowiesz się, pod jaki numer dzwonię, a pewnie także podsłuchasz wszystko z drugiej linii.

— Dzięki — rzekł głośno.

Przeszli do pustego biura. Numer, który Cień podał Chadowi, należał do zakładu pogrzebowego w Kairze, w stanie Illinois. Chad wybrał kolejne cyfry, wręczył Cieniowi słuchawkę.

— Zostawię cię tu — oznajmił i wyszedł.

Telefon zadzwonił kilka razy. Potem ktoś podniósł słuchawkę.

— Jaquel i Ibis. Słucham.

— Dzień dobry, panie Ibis. Mówi Mike Ainsel. Pomagałem wam kilka dni w okolicy świąt.

Chwila wahania.

— Oczywiście, Mike. Co u ciebie?

— Nie najlepiej, panie Ibis. Mam kłopoty. Chyba mnie aresztują. Mam nadzieję, że widzieliście może mojego wuja albo zdołacie przekazać mu wiadomość.

— Mogę popytać. Zaczekaj, Mike. Ktoś chciałby zamienić z tobą parę słów.

Chwila ciszy, a potem w słuchawce odezwał się zmysłowy,

kobiecy głos:

— Cześć, złotko. Tęsknię za tobą.

Był pewien, że nigdy go nie słyszał, ale znał ją. Wiedział, że ją zna…

Zostaw to — szepnął w jego umyśle zmysłowy głos, we śnie. Zostaw to wszystko.

— Co to za dziewczyna, z którą się całowałeś, złotko? Chcesz, żebym była zazdrosna?

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi — odparł Cień. — Myślę, że próbowała tym coś udowodnić. Skąd wiesz, że mnie pocałowała?

— Mam oczy wszędzie, gdzie mieszka ktoś z naszych. Uważaj na siebie, złotko.

Znów cisza i ponownie pan Ibis.

— Mike?

— Tak.

— Nie mogę skontaktować się z twoim wujem. Jest w tej chwili zajęty. Ale próbuję przekazać wiadomość twojej ciotce Nancy. Powodzenia.

Jego rozmówca rozłączył się. Cień usiadł, czekając na powrót Chada. Siedział w pustym biurze, żałując, że nie ma czym zająć myśli. W końcu raz jeszcze sięgnął z wahaniem po „Dokumenty", otworzył i zaczął czytać.

Uchwała zabraniająca spluwania na chodniki i podłogi budynków użyteczności publicznej, a także wyrzucania na nie tytoniu w jakiekolwiek postaci została przegłosowana stosunkiem głosów osiem do czterech w grudniu 1876 roku.

Lemmi Hautala miał dwanaście lat, gdy „jak się obawiano, odszedł gdzieś w ataku gorączki" 13 grudnia 1876. „Natychmiast zorganizowano poszukiwania. Odwołano je jednak z powodu oślepiającej śnieżycy". Rada jednogłośnie postanowiła przesłać kondolencje rodzinie Hautala.

W następnym tygodniu wybuchł pożar w stajni Olsenów. Ugaszono go jednak bez żadnych strat w ludziach czy koniach.

Cień przebiegał wzrokiem drobny druk. Nie znalazł więcej żadnej wzmianki o Lemmim Hautali.

A potem, kierując się czymś więcej niż kaprysem, przerzucił kartki aż do zimy 1877. W notkach styczniowych znalazł to, czego szukał: Jessie Lovat, nie podano wiejcu, „mała Murzynka" zniknęła nocą 28 grudnia. Uważano, że mogli porwać ją „tak zwani wędrowni handlarze". Rodzinie Lovatow nie posłano kondolencji.

Cień przeglądał sprawy z zimy 1878, gdy do drzwi zapukał Chad Mulligan. Wszedł do środka z miną winowajcy, niczym dziecko, które przyniosło ze szkoły zły stopień.

— Panie Ainsel — rzekł. — Naprawdę bardzo mi przykro.

Osobiście cię lubię, ale to niczego nie zmienia. Wiesz o tym?

Cień odparł, że wie.

— Nie mam wyboru — oznajmił Chad. — Muszę cię aresztować za naruszenie warunków zwolnienia.

Mulligan odczytał Cieniowi jego prawa. Wypełnił dokumenty, pobrał odciski i odprowadził Cienia do więzienia okręgowego, po drugiej stronie budynku.

W pomieszczeniu Cień ujrzał długą ladę oraz kilkoro drzwi, dwie oszklone cele przechodnie i przejście do kolejnych. Jedna z cel była zajęta. Na betonowym łóżku pod cienkim kocem spał jakiś mężczyzna. Druga cela stała pusta.

Za ladą siedziała zaspana kobieta w brązowym mundurze i oglądała Jaya Leno w małym, przenośnym czarno-białym telewizorku. Wzięła do Chada papiery, podpisała przyjęcie więźnia. Chad kręcił się obok, wypełniając kolejne formularze. Kobieta wyszła zza lady, obmacała Cienia, odebrała mu wszystko — portfel, monety, klucz do drzwi frontowych, książkę, zegarek — i położyła na blacie. Następnie wręczyła mu foliowy worek z pomarańczowym kombinezonem i poleciła iść do otwartej celi, przebrać się. Mógł zatrzymać własną bieliznę i skarpety. Posłusznie włożył pomarańczowy strój i klapki. W celi okropnie cuchnęło. Na plecach bluzy wielkimi, czarnymi literami wypisano: WIĘZIENIE OKRĘGOWE.

Metalowa toaleta najwyraźniej się zapchała. Aż po brzeg wypełniała ją mieszanina płynnych brązowych odchodów i kwaśnego, cuchnącego piwem moczu.

Cień wyszedł na zewnątrz, wręczył kobiecie swoje ubranie — schowała je do worka wraz z resztą rzeczy — i nim oddał portfel, pogrzebał w nim chwilę.

— Proszę go nie zgubić — rzekł. — W środku jest całe moje życie.

Kobieta odebrała mu portfel i zapewniła, że będzie bezpieczny. Poprosiła Chada o potwierdzenie. Chad, unosząc głowę znad ostatniego dokumentu, oznajmił, że Liz mówi prawdę. Nigdy jeszcze nie zgubiła niczego, co należało do więźnia.

Cień, przebierając się, wsunął do skarpetki cztery banknoty studolarowe, które wyciągnął wcześniej z portfela, a także srebrną dolarówkę z głową Wolności, którą ukrył w dłoni, opróżniając kieszenie.

— Przepraszam — spytał grzecznie — czy mógłbym skończyć czytać książkę?

— Przykro mi, Mike. Takie są przepisy — odparł Chad.

Liz zaniosła rzeczy Cienia do pokoju z tyłu. Chad oznajmił, że zostawi go w fachowych rękach funkcjonariusz Butę. Liz słuchała ze znużoną, obojętną miną. Chad wyszedł. Zadzwonił telefon i Liz — funkcjonariusz Butę — podniosła słuchawkę.

— W porządku — powiedziała. — W porządku. Żaden problem. Dobrze. Nie ma sprawy. Dobrze.

Odłożyła słuchawkę i skrzywiła się.

— Jakiś problem? — spytał Cień.

— Tak. Nie. W pewnym sensie. Przysyłają po ciebie kogoś z Milwaukee.

— To w czym rzecz?

— Muszę trzymać cię tu przez trzy godziny — oznajmiła. — A tamta cela — wskazała pomieszczenie przy drzwiach ze śpiącym mężczyzną — jest zajęta. Pilnujemy go, bo groził samobójstwem. Nie powinnam cię wsadzać razem z nim. Nie ma jednak sensu odsyłać cię do więzienia, a potem wypisywać. — Pokręciła głową. — No i chyba nie chcesz siedzieć tam. — Pokazała pustą celkę, w której się przebierał. — Ma zepsuty kibel. Potwornie śmierdzi, prawda?

— Tak. Obrzydliwie.

— To kwestia humanitaryzmu. Im szybciej dostaniemy nowy budynek, tym lepiej. Nie mogę się już doczekać. Jedna z kobiet, które były tu wczoraj, musiała spuścić tampon, chociaż mówiłam, żeby tego nie robić. Do tego służą kosze na śmieci. Tampony i podpaski zatykają rury. Każdy spuszczony tampon kosztuje okręg setki dolarów opłat hydraulicznych. Mogę więc zostawić cię tutaj, ale w kajdankach, albo idziesz do celi. — Spojrzała na niego. — Wybieraj.

— Nie przepadam za kajdankami, ale dobrze.

Liz odpięła od paska parę kajdanek i poprawiła tkwiący w kaburze pistolet, jakby chciała przypomnieć Cieniowi, że jest uzbrojona.

— Ręce za plecy — poleciła. Kajdanki były bardzo ciasne. Cień miał szerokie przeguby. Potem policjantka założyła mu łańcuchy na kostki i posadziła na ławce po drugiej stronie lady, przy ścianie. — Jeśli nie będziesz mi przeszkadzać, to ja nie będę przeszkadzać tobie — oznajmiła. Przekręciła telewizor tak, by Cień mógł patrzeć na ekran.

— Dzięki — rzekł.

— Gdy dostaniemy już nową siedzibę — odparła — nie będę musiała robić takich rzeczy.

„Tonight Show” dobiegł końca i zaczął się odcinek serialu „Zdrówko”. Cień nigdy nie oglądał „Zdrówka”. Widział w życiu tylko jeden odcinek — w którym córka Trenera przychodzi do baru — i to kilka razy. Już wcześniej zauważył, że jeśli nie ogląda się jakiegoś serialu, to przypadkowo stale natrafia się na ten sam odcinek. To pewnie jakieś prawo kosmiczne.

Funkcjonariusz Liz Butę przeciągnęła się wygodnie. Nie spała, ale z pewnością też nie czuwała. Nie dostrzegła zatem, że obsada „Zdrówka” nagle przestaje mówić i przerzucać się przycinkami, i

spogląda z ekranu wprost na Cienia.

Diane, jasnowłosa barmanka, uważająca się za intelektualistkę, odezwała się pierwsza.

— Cień — powiedziała — tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. Zupełnie jakbyś zniknął z powierzchni ziemi. Dobrze znów cię widzieć — mimo kajdan i pomarańczowej kreacji.

— Masz proste wyjście — wtrącił barowy nudziarz Cliff. — Uciec w sezonie szczytu łowieckiego. Wtedy wszyscy i tak ubierają się na pomarańczowo.

Cień milczał.

— Widzę, że odjęło ci mowę. — Dianę uśmiechnęła się. — Nieźle się ciebie naszukaliśmy.

Cień odwrócił wzrok. Funkcjonariusz Liz zaczęła cicho pochrapywać.

— Hej, frajerze! — warknęła Carla, drobna kelnereczka. — Przerywamy program, by pokazać ci coś, co sprawi, że zsikasz się w gacie. Gotowy?

Ekran zamigotał, poczerniał; na dole zaczął pulsować napis: PRZEKAZ NA ŻYWO. Cień usłyszał cichy, kobiecy głos:

— Nie jest jeszcze za późno, by przejść na stronę zwycięzcy. Masz jednak swobodę wyboru. Możesz pozostać tam, gdzie jesteś. To właśnie oznacza bycie Amerykaninem. Oto amerykański cud. Wolność i swoboda poglądów oznacza także swobodę wierzenia w niewłaściwe rzeczy, tak jak swoboda wypowiedzi daje prawo, by zachować milczenie.

Na ekranie pojawiła się ulica. Kamera ruszyła naprzód tak, jak ręczne kamery w filmach dokumentalnych.

Cały ekran wypełniła postać opalonego mężczyzny o rzednących włosach i nieco cierpiącym wyrazie twarzy. Mężczyzna stał pod ścianą, popijając kawę z plastikowego kubka. Spojrzał wprost do kamery.

— Terroryści ukrywają się pod zgrabnymi słówkami. Nazywają się bojownikami o wolność, lecz wy i ja dobrze wiemy, iż w istocie to zwykli mordercy. Stawiamy na szalę swoje życie, żeby coś zmienić.

Cień poznał ten głos. Kiedyś przebywał w głowie tego mężczyzny. Z wewnątrz pan Town brzmiał nieco inaczej — głos miał głębszy, dźwięczniejszy — ale bez wątpienia był to ten sam człowiek.

Kamera cofnęła się, pokazując, że pan Town stoi przed ceglanym budynkiem na zwykłej amerykańskiej ulicy. Nad drzwiami widniał cyrkiel i kompas z literą G.

— Wszyscy na miejsca — powiedział ktoś spoza kadru.

— Zobaczmy, co z kamerami wewnątrz — odezwała się spikerka.

Słowa NA ŻYWO nadal mrugały na dole ekranu. Teraz obraz ukazywał wnętrze niewielkiej sali, pogrążonej w półmroku. Na końcu

siedziało dwóch mężczyzn, jeden z nich zwrócony plecami do kamery. Kamera dokonała chwiejnego najazdu. Na moment obraz rozmazał się, potem znów wyostrzył. Mężczyzna siedzący przodem do kamery wstał i zaczął krążyć tam i z powrotem niczym niedźwiedź na łańcuchu. To był Wednesday. Wyglądał, jakby w pewnym sensie nieźle się bawił. Sekundę później w głośniku pojawił się dźwięk.

To mówił człowiek zwrócony plecami do kamery:

— Dajemy wam szansę zakończenia wszystkiego. Tu i teraz. Koniec z rozlewem krwi, z agresją, bólem, utratą życia. Czy to nie warte poczynienia pewnych ustępstw?

Wednesday zatrzymał się i odwrócił. Jego nozdrza rozszerzyły się gwałtownie.

— Po pierwsze — warknął — musicie zrozumieć, że żądacie, bym przemawiał w imieniu nas wszystkich, co jest kompletną bzdurą. Po drugie, czemu w ogóle miałbym wierzyć, że dotrzymacie słowa?

Jego rozmówca poruszył głową.

— Nie doceniasz się — oznajmił. — Niewątpliwie wasza grupa nie ma przywódcy, ale ciebie przynajmniej słuchają. Zwracają uwagę na to, co mówisz. A co do mojego słowa, cóż, nasze rozmowy są filmowane i przekazywane na żywo. — Machnął ręką w stronę kamery. — Część waszych ogląda nas w tej chwili. Inni zobaczą nagranie. Kamera nie kłamie.

— Wszyscy kłamią — odparł Wednesday.

Cień rozpoznał głos mężczyzny zwróconego plecami do ekranu. To był pan World. Ten, który rozmawiał z Townem przez telefon, gdy Cień nawiedził głowę tamtego.

— Nie wierzysz, że dotrzymamy słowa? — spytał pan World.

— Wierze, że wasze obietnice stworzono, by je łamać, a przysięgi, by ich nie dotrzymywać. Ja natomiast dotrzymam słowa.

— Bezpieczeństwo to bezpieczeństwo — oznajmił pan World. — My zgodziliśmy się na rozejm. A przy okazji powinienem dodać, że twój młody protegowany znów znalazł się w naszych rękach.

Wednesday prychnął.

— Nieprawda.

— Nie musimy przecież być wrogami.

Wednesday sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

— Zrobię, co w mojej mocy…

W tym momencie Cień dostrzegł w wizerunku Wednesdaya na ekranie telewizora coś dziwnego. W jego lewym oku, tym szklanym, połyskiwało czerwone światełko, pozostawiając za sobą barwną smużkę, gdy się poruszał. Wednesday wyraźnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

— To wielki kraj — mówił, zbierając myśli. Poruszył głową i czerwony wskaźnik laserowy przesunął mu się na policzek. Potem

znów powędrował do szklanego oka. — Wystarczy miejsca dla…

Rozległ się huk, stłumiony przez głośniki telewizora, i bok głowy Wednesdaya eksplodował. Jego ciało runęło do tyłu. Pan World wstał, wciąż zwrócony plecami do kamery, i wyszedł za kadr.

— Obejrzyjmy to ponownie, tym razem w zwolnionym tempie — powiedziała spikerka.

Słowa NA ŻYWO zniknęły zastąpione słowem REPLAY. Tym razem czerwony wskaźnik powoli wędrował ku szklanemu oko Wednesdaya i znów bok jego twarzy zniknął w rozbryzgu krwi. Stop-klatka.

— O tak, to nadal kraj boga — powiedział spiker, niczym reporter kończący relację. Jest tylko jedno pytanie: którego boga?

Kolejny głos — Cieniowi wydawało się, że to pan World, brzmiał bowiem dziwnie znajomo — oznajmił:

— Wracamy do przerwanego programu.

Na planie „Zdrówka" Trener zapewnił córkę, że jest piękna, tak jak jej matka.

Zadzwonił telefon. Funkcjonariusz Liz wyprostowała się gwałtownie. Podniosła słuchawkę.

— Dobrze, dobrze, tak, dobrze — powiedziała i odłożyła słuchawkę. Wstała zza lady i podeszła do Cienia. — Umieszczę cię w celi. Nie korzystaj z kibla. Niedługo zjawią się ludzie z Departamentu Szeryfa w Lafayette.

Zdjęła mu kajdanki i łańcuchy i zaprowadziła do celi. Teraz, przy zamkniętych drzwiach, śmierdziało tu jeszcze gorzej.

Cień usiadł na betonowym łóżku, wyciągnął ze skarpetki dolarówkę i zaczął przekładać ją w dłoniach, z jednej pozycji w drugą, z ręki do ręki, starając się wyłącznie, by nikt jej nie zobaczył. Zabijał czas. Był jak odrętwiały.

Nagle poczuł gwałtowną, głęboką tęsknotę za Wednesdayem. Brakowało mu pewności siebie starszego mężczyzny, jego zapału, jego przekonania.

Otworzył dłoń i spojrzał na panią Wolność, srebrny profil na awersie. Ponownie zacisnął palce, mocno ściskając monetę.

Zastanawiał się, czy będzie jednym z gości, którzy dostają dożywocie za coś, czego nie zrobili. Jeśli w ogóle dożyje procesu. Z tego, co zdążył dowiedzieć się o panu Worldzie i panu Townie, bez problemu zdołają go usunąć. Może w drodze do następnego więzienia spotka go nieszczęśliwy wypadek, zostanie zastrzelony przy próbie ucieczki? Wcale nie wydawało się to takie nieprawdopodobne.

W pomieszczeniu po drugiej stronie szyby zapanowało poruszenie. Do środka wróciła funkcjonariusz Liz. Nacisnęła przycisk. Drzwi, których Cień nie widział, otwarły się. Do środka wmaszerował czarny zastępca szeryfa w brązowym mundurze i energicznie podszedł

do biurka.

Cień wsunął dolarówkę z powrotem do skarpetki.

Przybysz wręczył Liz plik papierów. Kobieta przebiegła je wzrokiem i podpisała. W tym momencie pojawił się Chad Mulligan. Powiedział kilka słów do przybysza, otworzył drzwi celi i wmaszerował do środka.

— W porządku, przyjechali po ciebie. Najwyraźniej to kwestia bezpieczeństwa narodowego. Wiedziałeś o tym?

— W sam raz do artykułu na pierwszą stronę „Nowin z Lakeside" — odparł Cień.

Chad spojrzał na niego beznamiętnie.

— Aresztowanie włóczęgi, który naruszył warunki zwolnienia? Też mi historia.

— A zatem tak to wygląda?

— Tyle mi powiedzieli.

Cień wysunął ręce przed siebie. Chad założył mu kajdanki, potem łańcuchy na kostki i pręt łączący jedne z drugimi.

Zabiorą mnie na zewnątrz — pomyślał Cień. — Może uda mi się uciec. Jasne, w łańcuchach, kajdankach i lekkim pomarańczowym ubraniu na śniegu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. Chad wyprowadził go na zewnątrz. Liz wyłączyła telewizor. Czarny zastępca szeryfa zmierzył go uważnym wzrokiem.

— Spory gość — rzekł. Liz wręczyła mu papierową torbę z rzeczami Cienia. Mężczyzna pokwitował. Chad powiódł wzrokiem od zastępcy szeryfa do Cienia i powiedział, cicho, ale na tyle głośno, by Cień usłyszał:

— Posłuchaj, chcę tylko powiedzieć, że nie podoba mi się to wszystko.

Tamten skinął głową.

— Będzie pan musiał pomówić o tym z właściwymi władzami. My mamy tylko go przewieźć.

Chad skrzywił się cierpko i odwrócił do Cienia.

— W porządku. Przez te drzwi i za bramę.

— Co?

— Na zewnątrz. Samochód już czeka.

Liz otworzyła drzwi.

— Dopilnujcie, by odesłano nam jego strój. Kiedy ostatnio przekazaliśmy faceta do Lafayette, nie dostaliśmy zwrotu. To kosztowało okręg sporą sumę.

Wyprowadzili Cienia na podjazd, gdzie czekał już samochód. Nie był to radiowóz departamentu szeryfa, lecz zwykły czarny wóz. Obok niego stał drugi zastępca, starszy biały wąsacz. Palił papierosa. Gdy się zbliżyli, zgniótł go stopą i otworzył przed Cieniem tylne drzwi.

Cień usiadł niezgrabnie, plącząc się w łańcuchach i kajdankach.

Tylnego siedzenia nie oddzielała krata.

Obaj zastępcy szeryfa zajęli miejsca z przodu. Czarnoskóry włączył silnik. Czekali na otwarcie bramy.

— No, dalej, dalej — powtarzał czarny mężczyzna, bębniąc palcami po kierownicy.

Chad Mulligan postukał w okno. Biały strażnik zerknął na kierowcę, po czym opuścił szybę.

— Nie powinno tak być — oznajmił Chad. — Po prostu chciałem to powiedzieć.

— Zapamiętamy pańskie uwagi i przekażemy właściwym władzom — odparł kierowca.

Drzwi do świata zewnętrznego otwarły się. Płatki wciąż padającego śniegu połyskiwały oślepiającą bielą w promieniach reflektorów. Kierowca nacisnął pedał gazu. Samochód ruszył, kierując się na Main Street.

— Słyszałeś o Wednesdayu? — spytał kierowca. Jego głos brzmiał teraz inaczej, starzej, znajomo. — Nie żyje.

— Tak, wiem — odparł Cień. — Widziałem w telewizji.

— Skurwiele — wtrącił biały funkcjonariusz. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział. Głos miał szorstki, z cudzoziemskim akcentem i, podobnie jak kierowca, zdecydowanie znajomy. — Mówię ci, to dranie, pieprzone dranie.

— Dzięki, że po mnie przyjechaliście — mruknął Cień.

— Nie ma sprawy — odparł kierowca. W świetle mijanego samochodu jego twarz także wydawała się starsza, a on sam drobniejszy. Gdy Cień widział go ostatnio, mężczyzna miał na sobie kraciastą marynarkę i cytrynowożółte rękawiczki. — Byliśmy w Milwaukee, gdy zadzwonił Ibis. Musieliśmy jechać jak wariaci.

— Myślałeś, że pozwolimy im cię zamknąć i posłać na krzesło elektryczne, podczas gdy ja wciąż czekam, by rozwalić ci głowę moim młotem? — spytał ponuro biały zastępca szeryfa, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Jego akcent pochodził ze Wschodniej Europy.

— Za niecałą godzinę zacznie się zabawa — oznajmił pan Nancy, z każdą chwilą coraz bardziej podobny do siebie. — Gdy naprawdę po ciebie przyjadą. Przed skrętem na autostradę 53 zjedziemy na bok, zdejmiemy ci kajdanki i włożysz własne ubranie.

Czernobog uniósł kluczyk i uśmiechnął się szeroko.

— Ładne wąsy — zauważył Cień. — Pasują ci.

Czernobog pogładził je pożółkłym palcem.

— Dziękuję.

— Wednesday — powiedział Cień. — Naprawdę nie żyje? To nie był jakiś podstęp, prawda?

Uświadomił sobie, że choć wiedział, że to głupie, w głębi serca

wciąż żywił nadzieję. Lecz teraz twarz Nancy'ego powiedziała mu wszystko, co musiał wiedzieć. Nadzieja zniknęła.

PRZYBYCIE DO AMERYKI

14 000 lat p.n.e.

Zimno było i ciemno, gdy nawiedziła ją wizja, albowiem na najdalszej północy dzień pozostawał jedynie szarym półmrokiem w południe. Nadchodził i mijał, i znów nadchodził, krótka przerwa pomiędzy ciemnością.

Nawet wedle ówczesnych standardów nie byli zbyt dużym plemieniem: grupa wędrowców z północnych równin. Mieli własnego boga, czaszkę i skórę mamuta, z której skrojono prymitywny płaszcz. Nazywali go Nunyunnini. Gdy nie wędrowali, ich bóg spoczywał na drewnianym piedestale na wysokości głowy człowieka.

Ona była świętą kobietą szczepu, powiernicą sekretów. Nazywała się Atsula, lisica. Atsula wędrowała pomiędzy dwoma mężczyznami dźwigającymi na długich tykach boga, owiniętego w niedźwiedzie skóry, by nie mogły go ujrzeć oczy zwykłych śmiertelników. Nie wtedy, gdy nie był święty.

Włóczyli się po tundrze, rozbijając wszędzie namioty. Najpiękniejszy z nich, ze skóry karibu, także uważano za święty. W środku siedziało ich czworo: kapłanka Atsula, starszy szczepu Gugwei, przywódca wojenny Yanu i zwiadowczyni Kalanu. Atsula zwołała ich tam w dzień po tym, jak miała wizję.

Wcześniej zebrała nieco porostów, cisnęła je w ogień, potem uschniętą lewą ręką wrzuciła do ognia garść liści. Spłonęły, wydzielając palący szary dym. W powietrzu rozeszła się przenikliwa woń. Następnie kapłanka wzięła z półki drewniany kubek i podała go Gugweiowi. Kubek do połowy wypełniała ciemnożółta ciecz.

Atsula znalazła grzyby *pungh* — każdy z siedmioma kropkami; tylko prawdziwa święta kobieta mogła znaleźć grzyb o siedmiu kropkach — zebrała je w porze bezksiężycowej ciemności i wysuszyła, nawleczone na chrząstkę jelenia.

Wczoraj przed snem zjadła trzy suche kapelusze i nawiedziły ją sny pełne chaosu i strachu, białych świateł i szybkich ruchów, kamiennych gór pełnych światła strzelającego w górę niczym sople lodu. Nocą ocknęła się spocona, z brzuchem rozdętym od wody. Przykucnęła nad drewnianym kubkiem i napełniła go moczem. Potem wystawiła kubek przed namiot w śnieg i wróciła na posłanie.

Gdy się obudziła, zebrała kawałki lodu z drewnianego kubka, zostawiając wewnątrz ciemniejszy, bardziej skoncentrowany płyn.

I właśnie kubek z tym płynem podała teraz najpierw Gugweiowi, potem Yanu i Kalanu. Każde z nich pociągnęło długi łyk płynu. Jako ostatnia zrobiła to Atsula. Przełknęła, resztę wylała przed sobą na ziemię przed ich bogiem jako ofiarę dla Nunyunniego.

Siedzieli w zadymionym namiocie, czekając, by ich bóg przemówił. Na zewnątrz w ciemności wiatr skowyczał i zawodził.

Kalanu, zwiadowca, była kobietą, która ubierała się i poruszała jak mężczyzna. Wzięła sobie za żonę czternastoletnią Dalani. Teraz szybko zamrugała, wstała i podeszła do czaszki mamuta. Narzuciła na siebie płaszcz z mamuciej skóry, stanęła tak, że jej głowa znalazła się wewnątrz czaszki.

— W naszym kraju żyje zło — oznajmił Nunyunnini głosem Kalanu. — Ogromne zło. I jeśli pozostaniecie tutaj, w krainie waszych matek i matek waszych matek, wszyscy zginiecie.

Pozostała trójka słuchała.

— Czy to łowcy niewolników? Wielkie wilki? — spytał Gugwei o długich siwych włosach i twarzy pomarszczonej niczym szara kora drzewa cierniowego.

— To nie łowcy niewolników — odparł Nunyunnini, stara czaszka i skóra. — Nie wielkie wilki.

— Czy to głód? Czyżby nadciągał wielki głód? — dopytywał się Gugwei.

Nunyunnini milczał. Kałanu wynurzyła się z czaszki, czekając na pozostałych.

Gugwei narzucił płaszcz z mamuciej skóry i wsunął głowę do czaszki.

— To nie głód, jaki znacie — rzekł Nunyunnini ustami Gugwei — ego — choć będzie też głód.

— A zatem co to? — pytał Yanu. — Nie boję się, wszystkiemu stawię czoło. Mamy włócznie, mamy kamienie. Niechaj zjawi się setka wspaniałych wojowników, a my i tak wygramy. Zagonimy ich na bagna i roztrzaskamy czaszki naszymi krzemieniami.

— To nie człowiek — oznajmił Nunyunnini głosem Gugweiego. — Przybędzie z nieba i żadna z waszych włóczni, żaden kamień was nie ochroni.

— Jak możemy się bronić? — spytała Atsula. — Widziałam ogień na niebie, słyszałam hałas głośniejszy niż grzmot. Widziałam powalone lasy i wrzącą rzekę.

— Ai… — zaczął Nunyunnini i umilkł. Gugwei wynurzył się z czaszki sztywno pochylony, był bowiem starym mężczyzną, a jego kostki były zapuchnięte i poodgniatane.

Zapadła cisza. Atsula wrzuciła do ognia kolejne liście i dym zakłuł

ich w oczy.

Po tym Yanu podszedł do czaszki, na szerokie ramiona nałożył płaszcz i wsunął głowę do środka.

— Musicie wyruszyć w drogę — oznajmił głośno Nunyunnini — i ruszyć w stronę słońca. Tam, gdzie wstaje słońce, odkryjecie nową ziemię, będziecie na niej bezpieczni. Czeka was długa podróż. Księżyc urośnie i zmaleje, umrze i ożyje dwa razy. Po drodze napotkacie łowców niewolników i wszelkiego zwierza, ja jednak poprowadzę was bezpiecznie, jeśli ruszycie w stronę wschodu słońca.

Atsula splunęła na glinianą ziemię.

— Nie — powiedziała. Czuła, że bóg na nią patrzy. — Nie — powtórzyła. — Jesteś złym bogiem, skoro mówisz nam takie rzeczy. Umrzemy. Wszyscy umrzemy, a wtedy kto będzie przenosił cię z jednego wzgórza na drugie, rozbijał twój namiot, namaszczał wielkie kły tłuszczem?

Bóg milczał. Atsula i Yanu zamienili się miejscami. Twarz Atsuli wyglądała na nich spod pożółkłej kości mamuta.

— Atsuli brak wiary — oznajmił Nunyunnini głosem kapłanki. — Atsula umrze, nim reszta z was dotrze do nowej ziemi, lecz pozostali przeżyją. Wierzcie mi, na wschodzie rozciąga się bezludna ziemia. Ta ziemia stanie się waszą ziemią, ziemią waszych dzieci i dzieci waszych dzieci do siódmego pokolenia i siedmiu siódmych pokoleń. Gdyby nie brak wiary Atsuli, zatrzymalibyście ją dla siebie na zawsze. Rankiem spakujcie namioty i dobytek i ruszajcie w stronę wschodu słońca.

Gugwei, Yanu i Kałanu skłonili głowy i okrzykami sławili moc i mądrość Nunyunniniego.

Księżyc urósł i zmalał, znów urósł i zmalał. Członkowie szczepu wędrowali na wschód, w stronę wschodu słońca. Lodowate wiatry mroziły im skórę. Nunyunnini dotrzymał słowa, w drodze nie stracili nikogo oprócz kobiety rodzącej dziecko, a kobiety w połogu należą do księżyca, nie do Nunyunniniego.

Przeprawili się przez lądowy most.

O pierwszym blasku Kałanu ruszyła na zwiady. Teraz niebo było ciemne, a ona nie wracała. Nocne niebo ożyło, przepełnione światłami, splatającymi się, migoczącymi, pulsującymi i tańczącymi, białymi, zielonymi, fioletowymi i czerwonymi. Atsula i jej lud oglądali już wcześniej zorzę polarną, nadal jednak się jej obawiali, a czegoś takiego nie widzieli nigdy.

Kałanu powróciła do nich w blasku świateł rozkwitających na niebie.

— Czasami — rzekła do Atsuli — czuję, że mogłabym rozłożyć ręce i upaść w głębinę nieba.

— To dlatego, że jesteś zwiadowcą — odparła Atsula, kapłanka. — Kiedy umrzesz, runiesz w głąb nieba i staniesz się

gwiazdą wskazującą nam drogę po śmierci, tak jak wcześniej za życia.

— Na wschodzie są lodowate szczyty, wielkie, wysokie urwiska. — Kałanu odgarnęła kruczoczarne włosy, długie jak u mężczyzny. — Możemy się na nie wdrapać, ale potrwa to wiele dni.

— Poprowadzisz nas bezpiecznie — odparł Atsula. — Ja umrę u stóp urwiska i stanę się ofiarą, która jest potrzebna, by doprowadzić was na nowe ziemie.

Na zachodzie, w krainie, z której przybyli, gdzie kilka godzin temu zaszło słońce, rozbłysło paskudne żółtawe światło, jaśniejsze niż błyskawice, jaśniejsze niż światło dnia. Rozbłysk ów sprawił, że ludzie na lądowym moście zakryli dłońmi oczy, spluwając i wykrzykując. Dzieci zaczęły płakać.

— Oto los, przed którym ostrzegł nas Nunyunnini — oznajmił stary Gugwei. — To mądry bóg i potężny.

— Najlepszy ze wszystkich bogów — zgodziła się Kalanu. — W nowej krainie wyniesiemy go wysoko, wypolerujemy mu kły, namaścimy rybim olejem i smalcem i powiemy naszym dzieciom i dzieciom ich dzieci, i dzieciom siódmych dzieci, że Nunyunnini to najpotężniejszy ze wszystkich bogów. Nigdy nie zostanie zapomniany.

— Bogowie są wielcy — powiedziała powoli Atsula, jakby zdradzała im ogromny sekret — lecz serce jest jeszcze większe, bo właśnie z niego przychodzą i do naszych serc powrócą.

Nie wiadomo jakie jeszcze bluźnierstwa wypowiedziałyby jej usta, gdyby nie przeszkodziło jej coś, co nie dopuszczało żadnych sprzeciwów.

Huk, który dobiegł z zachodu, był tak głośny, że krwawiły uszy. Jakiś czas ludzie niczego nie słyszeli, oślepieni, ogłuszeni, ale wciąż żywi. Wiedzieli, że mieli więcej szczęścia niż szczepy z zachodu.

— Dobrze — oznajmiła Atsula, sama jednak nie słyszała w głowie tego, co mówi.

Atsula zginęła u stóp urwiska, gdy wiosenne słońce stało w zenicie. Nie zobaczyła nowego świata i szczep przybył tam bez świętej kobiety.

Wdrapali się na skały i ruszyli na zachód i południe, póki nie znaleźli doliny ze źródlaną wodą, rzeką pełną srebrnych ryb, jeleniami nie bojącymi się człowieka i tak ufnymi, iż przed ich zabiciem trzeba było splunąć i przeprosić ich ducha.

Dalani urodziła trzech chłopców. Niektórzy twierdzili, że Kalanu dokonała ostatniego rytuału magicznego i mogła zająć się swą żoną jak mężczyzna, inni twierdzili, że Gugwei nie jest tak stary, by nie mógł dotrzymywać towarzystwa młodej żonie pod nieobecność męża. I rzeczywiście, po śmierci Gugweiego Dalani nie urodziła więcej dzieci.

Pory lodu przychodziły i odchodziły, ludzie mnożyli się na

rozległych ziemiach, tworząc nowe szczepy, wybierając nowe totemy: kruki, lisy, naziemne leniwce, wielkie koty, bizony. Każdy zwierz określał tożsamość szczepu, każdy z nich był bogiem.

Mamuty w nowym świecie były większe, wolniejsze i głupsze niż mamuty z równiny syberyjskiej, a grzyby *pungh* z siedmioma kropkami odeszły w zapomnienie. W nowej krainie grzyby *pungh* nie rosły i Nunyunnini nie przemawiał więcej do swego szczepu.

A w dniach wnuków Dalani i Kalanu grupka wojowników członków wielkiego bogatego klanu, powracających z polowania na niewolników na północy, znalazła dolinę i pierwszych ludzi. Zabili większość mężczyzn, kobiety i dzieci zabrali w niewolę.

Jedno z dzieci, licząc na ich litość, zabrało najeźdźców do jaskini na wzgórzach, w której znaleźli czaszkę mamuta, postrzępione resztki płaszcza z jego skóry, drewniany kubek i zasuszoną głowę wyroczni, Atsuli.

Część wojowników chciała zabrać ze sobą święte przedmioty, ukraść bogów pierwszych ludzi i ich moc. Inni odradzali to, twierdząc, że niczego nie osiągną, przyniosą jedynie pecha i okażą złość własnemu bogu. Ci ludzie bowiem należeli do szczepu kruka, a kruki to zazdrośni bogowie.

Cisnęli zatem przedmioty w dół zbocza do głębokiego jaru i zabrali ze sobą resztki pierwszego ludu w długą drogę na południe. Szczepy kruka i lisa rozrastały się, zyskiwały coraz większą władzę, podczas gdy Nunyunnini został wkrótce zapomniany.

CZĘŚĆ TRZECIA
NASTANIE BURZY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Błąkają się w ciemnościach, nie wiedzą co i jak,
Ja mam przy sobie lampę, lecz zdmuchnę ją i tak.
Wyciągam zatem rękę. I liczę, że ty też.
Chcę pobyć z tobą razem, gdy ciemność wokół jest.

— Greg Brown, „Z tobą, gdy ciemność jest”

O piątej rano w Minneapolis na parkingu lotniskowym zmienili samochody. Wjechali na górny poziom, gdzie wozy stały pod gołym niebem.

Cień wrzucił pomarańczowy kombinezon, kajdanki i łańcuchy do brązowej papierowej torby, w której jakże krótko spoczywały jego rzeczy, zwinął wszystko i wyrzucił do kubła. Czekali dziesięć minut, gdy w drzwiach pojawił się młodzieniec o piersi pękatej jak beczka i podszedł do nich, zajadając frytki z Burger Kinga. Cień natychmiast go poznał. Gdy wyjeżdżali z Domu na Skale, młodzieniec siedział na tylnym siedzeniu i nucił tak głębokim głosem, że cały samochód wibrował w rytm pieśni. Teraz jego twarz okalała zimowa broda z pasmami siwizny. Postarzała go.

Mężczyzna wytarł w dżinsy zatłuszczone palce i wyciągnął potężną dłoń w stronę Cienia.

— Słyszałem o śmierci Wszechojca — rzekł. — Zapłacą za nią. I to drogo.

— Wednesday był twoim ojcem? — spytał Cień.

— Był Wszechojcem — wyjaśnił mężczyzna. Głęboki głos wibrował mu w gardle. — Powiedzcie im, powiedzcie wszystkim, że gdy będziemy potrzebni, przyjdziemy.

Czernobog wydłubał spomiędzy zębów kawałek tytoniu i wypluł na zmarzniętą śniegową breję.

— A ilu was jest? Dziesięciu? Dwudziestu?

Potężny młodzieniec wzdrygnął się, jeżąc brodę.

— A czy dziesięciu z nas nie jest wartych ich setki? Kto zdołałby stanąć przeciw nam w bitwie? A zresztą jest nas więcej. Żyjemy na skraju miast. Kilkoro ukrywa się w górach. Inni w Catskillach, kilku w

cyrkowych miasteczkach na Florydzie. Wszyscy mają topory w pogotowiu. Przybędą na wezwanie.

— Dobra, Elvis — wtrącił pan Nancy. Przynajmniej Cieniowi wydało się, że mówił „Elvis". Nancy zamienił mundur zastępcy szeryfa na gruby brązowy rozpinany sweter, sztruksy i brązowe buty. — Wezwij ich. Stary drań pragnąłby tego.

— Oni go zdradzili. Zabili. Wyśmiewałem się z Wednesdaya, ale nie miałem racji. Nikt z nas nie jest już bezpieczny — rzekł mężczyzna, którego imię brzmiało jak Elvis. — Możecie jednak na nas polegać. — Lekko poklepał Cienia po plecach, niemal posyłając go na ziemię, zupełnie jakby rąbnęła go kula do burzenia budynków.

Czernobog rozglądał się po parkingu.

— Przepraszam za pytanie — rzekł w końcu — ale nasz nowy pojazd to który?

Rosły młodzian wskazał ręką.

— Tam — rzekł.

Czernobog prychnął.

— Co takiego?

To był volkswagen bus rocznik 1970. Jego tylną szybę pomalowano we wszystkie barwy tęczy.

— To świetny wóz. I ostatnia rzecz, jakiej będą się spodziewać.

Czernobog okrążył furgonetkę. Zaczął kasłać ostrym starczym kaszlem palacza. Zachłysnął się i splunął. Uniósł dłoń do piersi, rozmasowując ból.

— Tak. Ostatnia rzecz, jakiej będą się spodziewać. A co się stanie, jeśli zatrzyma nas policja, szukając hipisów i prochów? Nie jesteśmy tu po to, by jeździć magicznym autobusem. Mamy wtopić się w tłum.

Brodaty mężczyzna otworzył drzwiczki busa.

— Spojrzą na was, zobaczą, że nie jesteście hipisami, i pożegnają. Idealny kamuflaż. Jedyny, który zdołałem zdobyć w tak krótkim czasie.

Czernobog był wyraźnie skłonny do dalszej dyskusji, lecz pan Nancy zainterweniował szybko.

— Elvis, spisałeś się. Jesteśmy bardzo wdzięczni. Ten wóz musi trafić do Chicago.

— Zostawimy go w Bloomington — odparł brodacz. — Wilki się nim zajmą. Nie przejmujcie się. — Odwrócił się do Cienia. — Współczuję ci i podzielam twój ból. Przyjmij wyrazy podziwu i współczucia. — Uścisnął dłoń Cienia swą ogromną ręką. — Powodzenia. A jeśli przypadkiem przypadnie ci czuwanie, przyjmij wyrazy podziwu i współczucia. Powtórz to jego zwłokom, gdy je ujrzysz. Powiedz, że Alviss, syn Vindalfa, dochowa wiary.

W volkswagenie pachniało olejkiem paczuli, starymi kadzidełkami i tytoniem do skrętów. Podłogę i ściany oklejono

wyblakłą różową wykładziną.

— Kto to był? — spytał Cień, zjeżdżając ze zgrzytem biegów po pochylni.

— Tak, jak powiedział. Alviss, syn Vindalfa, król krasnali. Największy, najsilniejszy, najpotężniejszy z nich.

— Ale to przecież nie krasnal — zauważył Cień. — Ma… ile to? Metr siedemdziesiąt pięć? Metr osiemdziesiąt?

— Co czyni go olbrzymem wśród krasnali — odparł z tyłu Czernobog. — Najwyższym krasnalem w Ameryce.

— O co chodziło z tym czuwaniem? — dociekał Cień.

Starcy nie odpowiedzieli. Cień zerknął na pana Nancy'ego, który wyglądał przez okno.

— I co? Mówił coś o czuwaniu. Słyszeliście.

— Nie będziesz musiał tego robić — przemówił z tyłu Czernobog.

— Czego?

— Czuwać. On za dużo gada. Wszystkie krasnale gadają i gadają. Nie ma się czym przejmować. Lepiej zapomnij o tym wszystkim.

* * *

Jazda na południe przypominała podróż w czasie. Śniegi znikały powoli. Następnego ranka, gdy dotarli do Kentucky, nie pozostał po nich ślad. W Kentucky zima już minęła i nadciągała wiosna. Cień zastanawiał się, czy istnieje jakieś równanie wyjaśniające to zjawisko — być może każde sto kilometrów na południe oznaczało przeskoczenie o jeden dzień w przyszłość.

Chętnie wspomniałby komuś o tym, ale pan Nancy spał w fotelu obok, a Czernobog chrapał donośnie z tyłu.

W tym momencie czas wydawał mu się czymś płynnym, złudzeniem, subiektywnym wymysłem. Zaczął dostrzegać obecność ptaków i zwierząt: widział wrony na poboczu i na drodze dziobiące rozjechane stworzenia, stadka ptaków krążyły po niebie, tworząc wzory, które z czymś mu się kojarzyły; z trawników i ogrodzeń obserwowały ich koty.

Czernobog zachrapał i ocknął się. Powoli usiadł na kanapie.

— Śniło mi się coś dziwnego — oznajmił. — Śniłem, że jestem Bielebogiem, że choć świat sądzi, iż jest nas dwóch, bóg światła i bóg mroku, teraz, gdy się postarzeliśmy, istnieję tylko ja, sam daję im dary, a potem odbieram. — Oderwał filtr od lucky strike'a, wsunął papierosa do ust i zapalił.

Cień spuścił szybę w oknie.

— Nie boisz się raka płuc? — spytał.

— Ja jestem rakiem — odparł Czernobog. — Nie boję się siebie.

— Tacy jak my nie dostają raka — wtrącił Nancy. — Nie chorujemy na arteriosklerozę, chorobę Parkinsona czy syfilis. Trudno nas zabić.

— Wednesdaya zabili — przypomniał Cień.

Skręcił na stację benzynową. Potem zaparkował przy restauracji na wczesne śniadanie. Gdy przekroczyli próg, zadźwięczał telefon w przejściu.

Starsza kobieta o zatroskanym uśmiechu, siedząca za ladą i czytająca „Czego pragnie me serce" Jenny Kerton, przyjęła zamówienie. Potem westchnęła, ruszyła do telefonu i podniosła słuchawkę.

— Tak. — Zerknęła na nich, po czym dodała: — Zgadza się. Już tu są. Jedną chwileczkę. — Podbiegła do pana Nancy'ego. — Do pana — oznajmiła.

— Dobrze — odparł pan Nancy. — Czy może pani dopilnować, by frytki były mocno przypieczone? A jeszcze lepiej przypalone. — Pomaszerował do telefonu. — Tu on.

— A czemu sądzicie, że jestem dość głupi, by wam uwierzyć? — spytał.

— Mogę sprawdzić — dodał. — Wiem, gdzie to jest.

— Tak — rzekł. — Oczywiście, że chcemy. Dobrze o tym wiecie. A ja wiem, że chcecie się go pozbyć, więc skończcie z tymi bzdurami.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do stołu.

— Kto to był? — spytał Cień.

— Nie powiedzieli.

— Czego chcieli?

— Proponowali nam rozejm na czas zwrotu ciała.

— Oni kłamią — wtrącił Czernobog. — Chcą nas do siebie zwabić, a potem pozabijać. To właśnie zrobili z Wednesdayem. Ja też zawsze tak postępowałem — dodał z ponurą dumą.

— To będzie teren neutralny — wyjaśnił Nancy. — Naprawdę neutralny.

Czernobog zachichotał, zupełnie jakby w suchej czaszce zagrzechotała metalowa kula.

— To też mówiłem. Przyjdźcie w miejsce neutralne, powtarzałem. A potem nocą zjawialiśmy się i zabijaliśmy ich wszystkich. To były czasy.

Pan Nancy wzruszył ramionami. Zaczął chrupać ciemnobrązowe frytki, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Mmm, pyszne — rzekł.

— Nie możemy ufać tym ludziom — wtrącił Cień.

— Posłuchaj, jestem starszy od ciebie, mądrzejszy od ciebie i

przystojniejszy od ciebie. — Pan Nancy zaczął klepać w dno odwróconej butelki z ketchupem, polewając nim spieczone frytki. — W jeden dzień mogę zdobyć więcej cipek, niż ty przez cały rok. Umiem tańczyć jak anioł, walczyć jak zagoniony do kąta niedźwiedź, planować lepiej niż lis, śpiewać jak słowik…

— I mówisz mi to, bo…?

Brązowe oczy Nancy'ego spojrzały na Cienia.

— A oni muszą pozbyć się ciała. Zależy im na tym tak bardzo, jak nam na jego odzyskaniu.

— Nie istnieje neutralne miejsce — podkreślił Czernobog.

— Jedno istnieje — nie zgodził się pan Nancy. — Środek.

* * *

Ustalenie dokładnego środka danej rzeczy zwykle sprawia problemy, a jeśli mamy do czynienia z istotą żywą — na przykład ludźmi albo kontynentami — problemem staje się sama odpowiedź na pytanie: „Czymże jest środek człowieka, środek snu?". W przypadku kontynentalnych Stanów Zjednoczonych dochodzi jeszcze pytanie, czy należy uwzględniać Alaskę i Hawaje.

Na początku dwudziestego wieku sporządzono z kartonu model kontynentalnych Stanów Zjednoczonych, czterdziestu ośmiu stanów. Aby znaleźć środek, ustawiali model na szpilce, póki nie znaleźli jednego miejsca, w którym utrzymywał się w równowadze.

O ile można stwierdzić, dokładny środek kontynentalnych Stanów Zjednoczonych mieści się kilka mil od miasteczka Lebanon, w stanie Kansas, na świńskiej farmie Johnny'ego Griba. W latach trzydziestych mieszkańcy Lebanon byli gotowi wznieść pomnik pośrodku owej farmy, lecz Johnny Grib oświadczył, że nie życzy sobie milionów turystów, którzy będą niepokoić jego świnie, toteż pomnik upamiętniający geograficzny środek USA ustawiono trzy kilometry na północ od miasta. Zbudowano tam park, kamienny pomnik z mosiężną tablicą, wylano asfaltem drogę z miasta i, w oczekiwaniu gwałtownego napływu turystów, nawet motel obok pomnika. I zaczęło się czekanie.

Turyści nie przybyli. Nikt się nie zjawił.

Obecnie to żałosny park, w którym mieści się ruchoma kaplica, niezdolna pomieścić nawet niewielkiego orszaku pogrzebowego, i motel o oknach niczym martwe oczy.

— I właśnie dlatego — zakończył pan Nancy, gdy wjeżdżali do Humansville w stanie Missouri (1084 mieszkańców) — dokładny

środek Ameryki to mały zaniedbany park, pusty kościół, stos kamieni i opuszczony motel.

— Świńska farma — wtrącił Czernobog. — Powiedziałeś przed chwilą, że prawdziwy środek Ameryki to świńska farma.

— Nie chodzi o to, czym jest — odparł pan Nancy — lecz o to, za co uważają go ludzie. I tak jest rzeczą czysto wymyśloną. Dlatego właśnie stał się ważny. Ludzie walczą wyłącznie o wymyślone rzeczy.

— Ludzie tacy jak ja? — spytał Cień. — Czy ludzie tacy jak wy?

Nancy nie odpowiedział. Czernobog wydał z siebie odgłos, który mógł być równie dobrze śmiechem, jak i pogardliwym prychnięciem.

Cień usiłował usadowić się wygodnie z tyłu minibusu. Niewiele spał. Coś ściskało go w żołądku. Było to gorsze niż to, co czuł w więzieniu, gorsze niż wrażenie w chwili, gdy Laura przyszła do niego i opowiedziała o napadzie. Włosy na karku jeżyły mu się lekko, czuł mdłości, a kilka razy ogarnęła go fala strachu.

Pan Nancy zjechał na pobocze w Humansville i zaparkował przed supermarketem. Wszedł do środka. Cień podążył za nim. Czernobog czekał na parkingu, paląc papierosa.

Po sklepie kręcił się młody jasnowłosy mężczyzna, niemalże chłopiec. Uzupełniał właśnie zapasy płatków śniadaniowych na regałach.

— Cześć — rzucił pan Nancy.

— Cześć — odparł młodzieniec. — A zatem to prawda? Zabili go?

— Tak — odparł pan Nancy. — Zabili.

Młodzieniec z trzaskiem postawił na półce kilka pudełek płatków.

— Myślą, że mogą nas zgnieść jak karaluchy. — Na jego przegubie połyskiwała bransoleta z poczerniałego srebra. — Ale nas nie tak łatwo zmiażdżyć, prawda?

— Nie — zgodził się pan Nancy. — Niełatwo.

— Przybędę, panie. — Jasnoniebieskie oczy młodzieńca płonęły.

— Wiem, Gwydionie — odparł pan Nancy.

Pan Nancy kupił kilka dużych butelek RC coli, sześć rolek papieru toaletowego, paczkę niesympatycznych czarnych cygaretek, kiść bananów i opakowanie miętowej gumy do żucia.

— To dobry chłopiec. Przybył tu w siódmym stuleciu z Walii.

Minibus pokonywał kręte drogi, wiodące najpierw na zachód, a potem na północ. Wiosna ustąpiła znów miejsca martwej zimie. Kansas miało barwę ponurej szarości, samotnych chmur, pustych okien, zagubionych serc. Cień nabrał ogromnej wprawy w wyszukiwaniu stacji radiowych i negocjacjach pomiędzy panem Nancym, lubiącym audycje słowne i muzykę taneczną, i Czernobogiem, preferującym muzykę klasyczną, im bardziej ponurą, tym lepiej, na zmianę z co bardziej ekstremistycznymi stacjami religijnymi. Co do Cienia, najbardziej lubił stare hity.

Późnym popołudniem zatrzymali się na prośbę Czernoboga na peryferiach Cherryvale, w stanie Kansas (2464 mieszkańców). Czemobog poprowadził ich na łąkę przed miastem. W cieniu drzew wciąż pozostały ślady śniegu. Trawa miała barwę brązu.

— Zaczekajcie tutaj — polecił Czernobog.

Samotnie przeszedł na środek łąki i jakiś czas stał tam, nie zwracając uwagi na porywy lutowego wiatru. Z początku zwiesił głowę, potem zaczął gestykulować.

— Wygląda, jakby z kimś rozmawiał — zauważył Cień.

— Z duchami — wyjaśnił pan Nancy. — Ponad sto lat temu oddawano mu tu cześć. Ludzie składali mu krwawe ofiary, krew rozlaną uderzeniem młota. Po jakimś czasie mieszkańcy miasta odgadli, jakim cudem tak wielu przejeżdżających przez miasto nieznajomych znika bez śladu. Tu właśnie ukryli część ciał.

Czemobog zbliżył się do nich. Wąsy miał teraz ciemniejsze, w siwych włosach pojawiły się czarne pasma. Uśmiechnął się, odsłaniając żelazny ząb.

— Dobrze się czuję. Ach! Pewne rzeczy nie znikają, a krew trwa najdłużej.

Przeszli przez łąkę do miejsca, gdzie zaparkowali busa. Czernobog zapalił papierosa, nie zakasłał.

— Zrobili to młotem — rzekł. — Wotan cały czas gadał o szubienicach i włóczniach, ale dla mnie młot to podstawa. — Wyciągnął palec zabarwiony nikotyną i postukał nim mocno w środek czoła Cienia.

— Nie rób tego, proszę — rzekł uprzejmie Cień.

— Nie rób tego, proszę — naśladował Czernobog. — Któregoś dnia wezmę mój młot i zrobię z tobą coś znacznie gorszego. Pamiętaj.

— Tak — odparł Cień. — Ale jeśli jeszcze raz pukniesz mnie w głowę, złamię ci rękę.

Czernobog prychnął.

— Tutejsi ludzie powinni być wdzięczni. Wyzwolili wielką moc. Nawet trzydzieści lat po tym, jak zmuszono ich do ukrycia się, tutejsza ziemia, ta właśnie ziemia zrodziła największą gwiazdę filmową wszech czasów.

— Judy Garland? — spytał Cień.

Czernobog pokręcił głową.

— On ma na myśli Louise Brooks — powiedział pan Nancy.

Cień postanowił nie pytać, kim była Louise Brooks. Zamiast tego rzekł:

— Posłuchaj, kiedy Wednesday wybrał się na naradę, zrobił to, bo zawarł rozejm.

— Tak.

— A teraz my jedziemy po jego ciało, bo uzgodniliśmy rozejm.

— Tak.

— Wiemy też, że tamci ludzie chcą się mnie pozbyć, najlepiej na dobre.

— Wszystkich nas chcą zabić.

— Zupełnie nie rozumiem zatem, czemu zakładamy, że tym razem zagrają fair.

— To dlatego — odparł Czemobog — spotykamy się w środku. To… — Urwał, marszcząc brwi. — Chodzi o odwrotność świętości.

— Profanum? — odparł Cień.

— Nie. Chodzi mi o miejsca mniej święte niż każde inne. O ujemnej świętości. Miejsca, w których nie da się postawić żadnej świątyni, których ludzie unikają, a jeśli już je odwiedzą, znikają jak najszybciej mogą. Jedynie bogowie mogą stąpać po tych miejscach, jeśli oczywiście ktoś ich do tego zmusi.

— Nie wiem — rzekł Cień. — Nie sądzę, by istniało takie słowo.

— Cała Ameryka jest trochę taka — wyjaśnił Czernobog. — To dlatego nie jesteśmy tu mile widziani. Ale środek… on jest najgorszy. Zupełnie jak pole minowe. Wszyscy stąpamy tam zbyt ostrożnie, by odważyć się naruszyć rozejm.

Dotarli do minibusu. Czernobog poklepał Cienia po ramieniu.

— Nie bój się — powiedział ponurym tonem, mającym w zamierzeniu dodać otuchy. — Nikt cię nie zabije. Nikt poza mną.

* * *

Cień znalazł środek Ameryki wieczorem tego samego dnia, nim jeszcze zapadły ciemności. Mieścił się on na niewielkim wzgórzu na północny zachód od Lebanon. Przejechali przez mały park, mijając niewielką kaplicę-przyczepę i kamienny pomnik, a gdy Cień ujrzał stojący na skraju parku jednopiętrowy motel z lat pięćdziesiątych, jego serce ścisnęło się nieprzyjemnie. Przed motelem parkował czarny hummer — wyglądał jak dżip odbity w krzywym zwierciadle, kanciasty, bezsensowny i przysadzisty, niczym samochód opancerzony. Wewnątrz budynku nie płonęło ani jedno światło.

Zaparkowali obok motelu, a gdy to uczynili, z budynku wymaszerował mężczyzna w stroju i czapce szofera. Przez moment zalał go blask reflektorów. Mężczyzna uprzejmie dotknął czapki, wsiadł do hummera i odjechał.

— Wielki wóz, mały fiut — mruknął pan Nancy.

— Myślicie, że w ogóle mają tu łóżka? — spytał Cień. — Od wieków nie spałem w łóżku. To miejsce wygląda, jakby czekało na

ekipę rozbiórkową.

— Należy do myśliwych z Teksasu — wyjaśnił pan Nancy. — Przyjeżdżają tu raz do roku. Nie mam pojęcia, na co polują. Dzięki nim motel jeszcze stoi.

Wygramolili się z minibusu. Ktoś już na nich czekał: nieznana Cieniowi kobieta. Miała idealny makijaż i doskonałą fryzurę. Przypominała mu wszystkie dziennikarki oglądane w telewizji śniadaniowej, siedzące w studio nie przypominającym żadnego normalnego salonu.

— Jak miło jest was widzieć powiedziała. — Ty musisz być Czemobog. Wiele o tobie słyszałam. A ty to Anansi, zawsze gotowy do psot, prawda? Wesoły człowiek, nie ma co. A ty… ty musisz być Cień. Długo się nam wymykałeś, czyż nie? — Kobieta uścisnęła dłoń Cienia i spojrzała mu prosto w oczy. — Ja jestem Media. Miło mi. Mam nadzieję, że załatwimy nasze sprawy bez żadnych trudności.

Główne drzwi otwarły się powoli.

— Wiesz, Toto — powiedział tłusty dzieciak, którego Cień oglądał ostatnio w limuzynie — wątpię, abyśmy wciąż byli w Kansas.

— Jesteśmy w Kansas — odparł pan Nancy. — Prawie cały dzień jechaliśmy przez ten stan. Cholernie płaski, bez dwóch zdań.

— W tym miejscu nie ma światła, prądu ani gorącej wody — oznajmił dzieciak. — A, bez urazy, wam naprawdę przydałaby się gorąca woda. Śmierdzicie, jakbyście od tygodnia siedzieli w tym busie.

— Wolałabym nie poruszać tego tematu — wtrąciła gładko kobieta. — Wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi. Chodźcie, zobaczycie pokoje. My zajęliśmy pierwsze cztery. Wasz nieżyjący przyjaciel jest w piątym. Pokoje z numerami powyżej pięciu są puste — sami możecie wybrać. Obawiam się, że to nie Cztery Pory Roku, ale też cóż mogłoby im dorównać?

Otworzyła przed nimi drzwi do holu motelowego. Pachniało w nim pleśnią, wilgocią, kurzem i rozkładem.

W pogrążonym w głębokiej ciemności holu siedział mężczyzna.

— Jesteście głodni? — spytał.

— Zawsze mógłbym coś zjeść — odparł pan Nancy.

— Kierowca pojechał po hamburgery — oznajmił tamten. — Wkrótce wróci. — Uniósł wzrok. Było zbyt ciemno, by dało się dostrzec twarze, on jednak powiedział: — Hej ty! Ty jesteś Cień? Dupek, który zabił Woody'ego i Stone'a?

— Nie — odparł Cień. — Zrobił to ktoś inny. Ale wiem, kim ty jesteś. — I rzeczywiście. Kiedyś znalazł się wewnątrz głowy swego rozmówcy. — Jesteś Town. Przespałeś się już z wdową po Woodym?

Pan Town spadł z krzesła. W filmie byłoby to zabawne, w życiu okazało się jedynie niezgrabne. Wstał szybko i ruszył w stronę Cienia.

Cień spojrzał na niego z góry.

— Nie zaczynaj czegoś, czego nie jesteś gotów skończyć.

Pan Nancy położył mu dłoń na ramieniu.

— Zawieszenie broni, pamiętasz? — rzekł. — Jesteśmy w środku.

Pan Town odwrócił się, przechylił przez kontuar i wyjął trzy klucze.

— Mieszkacie na końcu korytarza — oznajmił. — Proszę.

Wręczył klucze panu Nancy'emu i odszedł w cień. Usłyszeli odgłos otwieranych i zatrzaskiwanych motelowych drzwi.

Pan Nancy wręczył jeden z kluczy Cieniowi, drugi Czernobogowi.

— Czy w busie mamy może latarkę? — spytał Cień.

— Nie — odparł pan Nancy. — Ale to tylko ciemność. Nie powinieneś bać się ciemności.

— Nie boję się — odrzekł Cień. — Lękam się ludzi w ciemności.

— Ciemność jest dobra — wtrącił Czernobog. Bez problemów orientując się, dokąd idzie, poprowadził ich w głąb mrocznego korytarza i z łatwością wsunął klucze w zamki. — Będę w pokoju numer dziesięć — oznajmił, po czym dodał: — Media? Chyba o niej słyszałem. Czy to nie ona zabiła swoje dzieci?

— Inna kobieta — odparł pan Nancy. — Ten sam charakter.

Pan Nancy mieszkał w pokoju numer osiem, a Cień naprzeciwko, w dziewiątce. W pokoju unosiła się woń kurzu, wilgoci i opuszczenia. Pośrodku stała rama łóżka z materacem, lecz bez pościeli. Zza okna, ze spowitego w płaszcz zmierzchu świata, wpadała odrobina światła. Cień usiadł na materacu, zdjął buty i wyciągnął się wygodnie. W ciągu ostatnich dni zbyt wiele jeździł.

Może nawet zasnął.

* * *

Szedł naprzód.

Zimny wiatr szarpał mu ubranie. Maleńkie płatki śniegu, niewiele większe niż kryształowy pył, wirowały i tańczyły w powietrzu.

Wokół siebie widział drzewa, nagie, zimowe drzewa. Otaczały go wysokie wzgórza. Było późne zimowe popołudnie, niebo i śnieg przybrały ten sam odcień głębokiego fioletu. Gdzieś z przodu — w tym świetle nie dało się ocenić odległości — mrugały płomienie ogniska, żółte i pomarańczowe.

Obok niego po śniegu biegł szary wilk.

Cień przystanął. Wilk także się zatrzymał, odwrócił i wyraźnie czekał. Jedno z jego oczu połyskiwało żółtawą zielenią. Cień wzruszył ramionami i

znów skierował się ku płomieniom. Wilk szedł spokojnie przed nim.

Ognisko płonęło pośrodku zagajnika drzew. Musiała być ich setka, zasadzonych w dwóch rzędach. Na drzewach kołysały się niewyraźne postaci. W oddali wznosił się budynek przypominający nieco obróconą do góry dnem łódź. Wyrzeźbiono go z drewna. Wokół roiło się od drewnianych istot i twarzy — smoków, gryfów, trolli — tańczących w migotliwym blasku ognia.

Ognisko płonęło tak jasno, że Cień nie mógł podejść bliżej. Wilk okrążył je ostrożnie.

W miejsce wilka, z drugiej strony, zbliżył się mężczyzna wsparty na wysokiej lasce.

— Jesteś w Uppsali, w Szwecji — oznajmił mężczyzna znajomym głębokim głosem. — Jakiś tysiąc lat temu.

— Wednesday? — spytał Cień.

Mężczyzna wciąż mówił, jakby Cienia w ogóle tam nie było.

— Najpierw co roku, a później, gdy dotknęła ich zaraza lenistwa, co dziewięć lat, składali tu ofiary. Ofiary z dziewięciu. Każdego dnia, przez dziewięć dni, wieszali dziewięć stworzeń na drzewach w gaju. Jednym z nich zawsze był człowiek.

Odszedł od ognia w stronę drzew. Cień ruszył za nim. Po chwili wiszące na gałęziach postaci nabrały kształtów; dostrzegł nogi, oczy, języki, szyje. Cień potrząsnął głową. W widoku byka powieszonego na drzewie było coś mrocznego i smutnego, a jednocześnie na tyle surrealistycznego, że wydawał się niemal zabawny. Minął wiszącego jelenia, ogara, brunatnego niedźwiedzia, kasztanowego konia o białej grzywie, niewiele większego od kucyka. Pies wciąż żył, co kilka sekund szarpał się spazmatycznie i skomlał cicho, dyndając na końcu sznura.

Mężczyzna ujął w dłoń długą laskę, która, jak sobie uświadomił Cień, w istocie była włócznią i jednym cięciem rozpruł brzuch psa. Parujące wnętrzności wypłynęły na śnieg.

— Śmierć tę poświęcam Odynowi — powiedział uroczyście tamten. — To tylko gest — dodał, odwracając się do Cienia — lecz gesty znaczą wszystko. Śmierć jednego psa symbolizuje śmierć wszystkich psów. Oddali mi dziewięciu ludzi, są oni jednak wszystkimi ludźmi, całą krwią i mocą. Tyle że to nie wystarczyło. Pewnego dnia krew przestała płynąć. Wiara bez krwi nie przetrwa wiecznie. Krew musi płynąć.

— Widziałem twoją śmierć — wtrącił Cień.

— W świecie bogów — odparła postać; teraz Cień był już pewien, że to Wednesday; nikt inny nie potrafił mówić równie ochryple, z podobną cyniczną radością — nie śmierć się liczy, lecz szansa zmartwychwstania. A kiedy popłynie krew… — Wskazał zwierzęta i ludzi wiszących na drzewach.

Cień nie potrafił zdecydować, czy mijani martwi ludzie są bardziej czy mniej straszni niż zwierzęta. Ludzie przynajmniej z góry znali swój los.

Otaczała ich ciężka woń alkoholu, co sugerowało, że pozwolono im się znieczulić w drodze na szubienicę. Zwierzęta tymczasem po prostu zamordowano, podciągnięto w górę całkiem żywe i przerażone. Oblicza mężczyzn były takie młode, żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat.

— A kim ja jestem? — spytał Cień.

— Ty? — odparł mężczyzna. — Ty byłeś pewną sposobnością, częścią odwiecznej tradycji. Choć obaj zaangażowaliśmy się w sprawę tak mocno, że gotowiśmy oddać za nią życie. Prawda?

— Kim ty jesteś? — spytał Cień.

— Najtrudniejszą rzeczą jest zwykle przetrwanie — odparł tamten.

Ognisko — Cień uświadomił sobie ze zgrozą, że nie płoną w nim drwa, tylko kości, żebra i piszczele, ognistookie czaszki spoglądały na niego z płomieni, wyrzucając w mrok barwy pierwiastków śladowych, zielenie, błękity i żółcie — trzeszczało, płonęło gorąco.

— Trzy dni na drzewie, trzy dni w świecie podziemi, trzy dni na odnalezienie drogi powrotnej.

Płomienie zamigotały i zapłonęły zbyt jasno, by Cień mógł spojrzeć wprost w ogień. Popatrzył zatem w mrok pod drzewami.

Stukanie do drzwi — przez okno wpadały promienie księżyca. Cień wstał gwałtownie.

— Podano do stołu — oznajmiła z korytarza Media.

Włożył buty, podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Ktoś znalazł kilka świec, recepcje oświetlał słaby żółtawy blask. Kierowca hummera wmaszerował do środka, dźwigając tekturową tacę i papierowy worek. Był ubrany w długi czarny płaszcz i spiczastą szoferską czapkę.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział ochryple. — Wszystkim kupiłem to samo: parę burgerów, duże frytki, dużą cole i szarlotkę. Zjem w samochodzie. — Postawił tace na ladzie i wyszedł. Całe pomieszczenie wypełniła woń fast foodu. Cień wziął worek i zaczął rozdawać jedzenie, serwetki, porcyjki ketchupu.

Jedli w milczeniu. Świece migotały, płonący wosk syczał lekko.

Cień zauważył, że Town patrzy na niego gniewnie. Odwrócił się z krzesłem tak, by mieć za sobą ścianę. Media zjadła swego hamburgera i unosząc do ust serwetkę, strzepnęła okruszki.

— No świetnie, te hamburgery są prawie zimne — oznajmił tłusty dzieciak. Wciąż miał na nosie ciemne okulary. Cieniowi wydało się to głupie i bezsensowne, zważywszy na panujący wokół mrok.

— Przepraszam — odparł Town. — Najbliższy McDonald mieści się w Nebrasce.

Skończyli ledwo letnie hamburgery i zimne frytki. Gruby dzieciak wgryzł się w ciastko i nadzienie popłynęło mu po brodzie. o dziwo,

wciąż było gorące.

— Auu! — Westchnął, starł je ręką i oblizał. — To piecze — dodał. — Ktoś ich zaskarży, jak dwa razy dwa.

Cień miał ochotę uderzyć dzieciaka. Pragnął go uderzyć, odkąd tamten kazał swym gangsterom porwać go do limuzyny po pogrzebie Laury. Odpędził te myśli.

— Nie możemy po prostu zabrać ciała Wednesdaya i wynieść się stąd?

— O północy — odparli jednocześnie pan Nancy i tłusty dzieciak.

— Trzeba postępować według reguł — wtrącił Czemobog.

— Owszem — odparł Cień — ale nikt nie powiedział mi, jakie są reguły. Cały czas o nich gadacie, a ja nie wiem nawet, na czym polega wasza gra.

— To jak wyznaczona z góry data — powiedziała radośnie Media. — No wiesz, od tego i tego można urządzać wyprzedaże.

— Osobiście uważam, że to czysta bzdura — dodał Town. — Lecz jeśli reguły ich cieszą, moja agencja także się cieszy i wszyscy są szczęśliwi. — Z głośnym siorbnięciem pociągnął łyk coli. — Byle do północy. Wy zabierzecie trupa i wszyscy odjadą. Będziemy sobie pić z dzióbków jak pieprzone gołąbki, pożegnamy się i znów zaczniemy na was polować jak na szczury, którymi jesteście.

— Hej — rzucił dzieciak, zwracając się do Cienia. — To mi o czymś przypomina. Kazałem ci powtórzyć twojemu szefowi, że jest już tylko historią. Powiedziałeś mu to?

— Owszem — odparł Cień. — I wiesz, co mi odpowiedział? Żebym powiedział gówniarzowi, jeśli kiedykolwiek go jeszcze spotkam, by pamiętał, że dzisiejsza przyszłość to jutrzejsze wczoraj. — Wednesday nigdy nie powiedział niczego podobnego, ale ci ludzie zdawali się lubić banały. W skierowanych nań ciemnych okularach odbiły się migotliwe płomyki świec, żywe jak oczy.

— Co za koszmarna dziura — Dzieciak westchnął. — Nie ma prądu ani zasięgu komórek. Kiedy trzeba sięgać po przewody, to jak powrót do epoki kamienia łupanego. — Wypił resztkę coli przez słomkę, upuścił kubek na stół i odszedł w głąb korytarza.

Cień umieścił śmieci w torbie.

— Idę obejrzeć środek Ameryki — oznajmił. Wstał i wyszedł na dwór, w noc. Pan Nancy podążył za nim.

Wędrowali razem przez niewielki park. Milczeli, póki nie dotarli do kamiennego pomnika. Wiatr uderzał w nich kapryśnie, najpierw z jednej, a potem z drugiej strony.

— I co teraz? — spytał Cień.

Blady półksiężyc wisiał na ciemnym niebie.

— Teraz — odparł Nancy — powinieneś wrócić do pokoju. Zamknij drzwi na klucz, spróbuj się przespać. O północy oddadzą nam

ciało, a wtedy wyniesiemy się stąd w diabły. Środek nie jest najlepszym miejscem dla nikogo.

— Skoro tak twierdzisz.

Pan Nancy zaciągnął się dymem z cygaretki.

— Nigdy nie powinno było do tego dojść — powiedział. — Nic z tego nie powinno się zdarzyć. Ja i nasi jesteśmy… — pomachał cygaretką jakby szukał właściwego określenia, po czym dźgnął nią naprzód — …wyjątkowi. Nietowarzyscy. Nawet ja. Nawet Bachus. Nie na długo. Wędrujemy własnymi drogami bądź trzymamy się własnych grupek. Niezbyt dobrze radzimy sobie z innymi. Chcemy, by nas uwielbiano, szanowano, oddawano nam cześć. Osobiście lubię, by opowiadali historie o moim sprycie i przebiegłości. Wiem, to wada, ale taki jestem. Lubimy być wielcy, lecz w tych marnych czasach zmaleliśmy. Nowi bogowie powstają, upadają i znów powstają. Lecz ten kraj nie na długo znosi bogów. Brahma tworzy, Wisznu chroni, Sziwa niszczy i Brahma znów może wziąć się za dzieło stworzenia.

— Co zatem chcesz powiedzieć? — spytał Cień. — Walka się skończyła? Koniec z bitwą?

Pan Nancy prychnął.

— Oszalałeś? Zabili Wednesdaya. Zabili go i przechwalali się tym. Sami wszystkich zawiadomili. Pokazali to na wszystkich kanałach, każdemu, kto ma oczy i widzi. Nie, Cieniu. To dopiero początek.

Schylił się u stóp kamiennego pomnika, zgasił cygaretkę, wbijając ją w ziemię, i pozostawił niczym ofiarę.

— Kiedyś żartowałeś — zauważył Cień. — Teraz już nie.

— W dzisiejszych czasach trudniej o żarty. Wednesday nie żyje. Wracasz do środka?

— Za moment.

Nancy odszedł w stronę motelu. Cień wyciągnął rękę i dotknął kamieni pomnika. Przesunął wielkimi palcami po zimnej mosiężnej tablicy. Potem odwrócił się i podszedł do małej białej kaplicy. Przekroczył próg i znalazł się w ciemności. Usiadł na ławce, zamknął oczy, opuścił głowę i zaczął myśleć o Laurze, Wednes-dayu, o tym, co oznacza życie.

Za plecami usłyszał szczęk, ciche plaśnięcie buta o ziemię. Cień wyprostował się, odwrócił głowę. Ktoś stał w otwartych drzwiach, ciemna postać na tle gwiazd.

Promienie księżyca odbijały się w czymś metalowym.

— Zamierzasz mnie zastrzelić? — spytał Cień.

— Bardzo bym chciał — odparł pan Town. — To w końcu tylko samoobrona. Modlisz się? Czyżby wmówili ci, że są bogami? Nie są bogami.

— Nie modliłem się — odparł Cień. — Po prostu myślałem.

— Osobiście uważam, że to mutanci. Eksperymenty ewolucji.

Trochę zdolności hipnotycznych, mały hokus-pokus i sprawiają, że ludzie wierzą we wszystko. Nie ma się czym ekscytować. I tyle. Ostatecznie umierają jak ludzie.

— Zawsze umierali. — Cień wstał. Town cofnął się o krok i Cień wyszedł z kapliczki. Tamten utrzymywał dystans. — Hej — rzucił Cień. — Słyszałeś o Louise Brooks?

— To twoja przyjaciółka?

— Nie. Była gwiazdą filmową. Pochodziła z tych okolic.

Town przystanął.

— Może zmieniła nazwisko i teraz nazywa się Liz Taylor, Sharon Stone czy coś w tym stylu? — podsunął.

— Może. — Cień skierował się do motelu. Town dotrzymywał mu kroku.

— Powinieneś wrócić do więzienia — oznajmił. — Powinieneś siedzieć w pieprzonej celi śmierci.

— Nie zabiłem twoich kolegów, ale powiem ci coś, co kiedyś usłyszałem od jednego faceta, gdy jeszcze siedziałem w więzieniu. Coś, czego nigdy nie zapomniałem.

— To znaczy?

— W Biblii pojawia się tylko jeden człowiek, któremu Jezus osobiście przyrzekł miejsce u swego boku w raju. Nie jest to Piotr, Paweł ani żaden z apostołów. Był złodziejem skazanym na śmierć. Nie obgaduj zatem facetów z celi śmierci. Może wiedzą coś, czego ty nie wiesz.

Kierowca stał obok hummera.

— Dobry wieczór, panowie — rzekł, gdy go mijali.

— Dobry wieczór — odparł pan Town, a potem zwrócił się do Cienia: — Osobiście nic mnie to nie obchodzi. Robię to, co każe pan World. Tak jest łatwiej.

Cień przeszedł korytarzem do pokoju numer dziewięć.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Przepraszam. Sądziłem, że to mój pokój.

— Słusznie — odparła Media. — Czekałam na ciebie. — W blasku księżyca widział jej włosy i bladą twarz. Siedziała sztywno na łóżku.

— Znajdę sobie inny.

— Nie zostanę długo — powiedziała. — Po prostu uznałam, że to właściwa chwila, by złożyć ci propozycję.

— W porządku. Składaj.

— Spokojnie. — W jej głosie brzmiało rozbawienie. — Jesteś potwornie sztywny. Posłuchaj, Wednesday nie żyje. Nie jesteś nic nikomu winien. Pracuj dla nas. Czas przejść na stronę zwycięzcy.

Cień milczał.

— Możemy dać ci sławę, Cień. Władzę nad tym, w co wierzą ludzie, co mówią, noszą, o czym marzą. Chcesz zostać następnym

Carym Grantem? Możemy to sprawić. Możemy z ciebie zrobić następnych Beatlesów.

— Chyba wolałem, kiedy proponowałaś, że pokażesz mi cycki Lucy — mruknął Cień. — Jeśli to byłaś ty.

— Ach tak.

— Chciałbym zostać sam. Dobranoc.

— Oczywiście — odparła, nie poruszając się, jakby w ogóle nic nie powiedział — możemy też odwrócić sytuację. Możemy uprzykrzyć ci życie. Na zawsze stałbyś się tematem żartów, Cień. Albo może zapamiętano by cię jako potwora. Pozostałbyś na zawsze w ludzkiej pamięci jako Manson, Hitler. Jakby ci się to spodobało?

— Przepraszam, ale jestem bardzo zmęczony — oznajmił Cień. — Byłbym wdzięczny, gdyby pani wyszła.

— Ofiarowałam ci świat — oznajmiła. — Kiedy będziesz umierał w rynsztoku, przypomnij to sobie.

— Będę pamiętał — rzekł.

Odeszła, pozostawiając za sobą smugę woni perfum. Położył się na gołym materacu, myśląc o Laurze. Lecz każdy obraz — Laura grająca w ringo, Laura jedząca bez łyżeczki lody z piwem imbirowym, Laura śmiejąca się, pozująca w erotycznej bieliźnie, którą kupiła na zjeździe pracowników biur podróży w Anaheim — zawsze zmieniał się w jego umyśle w obraz Laury obciągającej Robbiemu, podczas gdy ciężarówka spycha ich z drogi w objęcia śmierci. A potem słyszał jej słowa, nieodmiennie wzbudzające ból.

„Nie jesteś martwy", mówiła Laura cichym głosem. „Ale nie mam pewności, czy jesteś też do końca żywy".

Nagle ktoś zapukał do drzwi. To był tłusty dzieciak.

— Te hamburgery — rzekł. — Paskudztwo. Wyobrażasz sobie? Osiemdziesiąt kilometrów od najbliższego McDonalda. Nie sądziłem, że na świecie można znaleźć miejsce, które jest aż osiemdziesiąt kilometrów od McDonalda.

— Mój pokój powoli zamienia się w ruchliwy dworzec. W porządku, zgaduję, że przyszedłeś tu, aby zaproponować mi wolność Internetu, jeśli przejdę na waszą stronę. Tak?

Gruby dzieciak zadrżał.

— Nie. Ty jesteś już martwy. Martwe mięso — rzekł. — Jesteś pieprzonym gotyckim rękopisem. Nawet gdybyś próbował, nie zamieniłbyś się w hypertekst. Ja… wywodzę się od synaps, ty jesteś szympans.

Cień uświadomił sobie, że tamten dziwnie pachnie. W więzieniu, w celi po drugiej stronie korytarza siedział gość, którego nazwiska nigdy nie poznał. Pewnego dnia zdjął z siebie wszystkie ciuchy, oznajmił wszem i wobec, że przysłano go, by ich stamtąd zabrał, tych naprawdę dobrych, srebrnym statkiem kosmicznym wprost do raju.

Wówczas Cień widział go po raz ostatni. Gruby dzieciak pachniał dokładnie tak samo.

— Jesteś tu z jakiegoś powodu?

— Po prostu chciałem porozmawiać — odparł dzieciak. W jego głosie zabrzmiała płaczliwa nuta. — W moim pokoju jest okropnie. To wszystko. Naprawdę okropnie. Osiemdziesiąt kilometrów do McDonalda, uwierzyłbyś? Może mógłbym tu zostać z tobą?

— A co z twoimi przyjaciółmi z limuzyny? Tymi, którzy mnie uderzyli? Czy nie lepiej by było, gdybyś ich zaprosił?

— Dzieci tu nie działają. Jesteśmy w martwej strefie.

— Do północy zostało jeszcze wiele czasu — oznajmił Cień. — A jeszcze więcej do świtu. Chyba potrzebujesz odpoczynku. Ja na pewno.

Przez chwilę gruby dzieciak milczał, potem skinął głową i wyszedł z pokoju.

Cień zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku. Położył się na materacu.

Po kilku chwilach zaczęły się hałasy. Potrzebował kilku minut, by zidentyfikować źródło dźwięku. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. To był tłusty dzieciak, zamknięty w swym pokoju. Wyglądało na to, że rzucał o ścianę czymś ciężkim. Z dźwięków Cień odgadł, iż owym czymś był on sam.

— To tylko ja — szlochał. Czy może: — To tylko ciało. — Cień nie potrafił określić.

— Cisza! — ryknął Czernobog ze swego pokoju w głębi korytarza.

Cień wrócił do holu i wyszedł na zewnątrz. Był zmęczony.

Kierowca wciąż stał obok hummera, ciemna postać w szpiczastej czapce.

— Nie może pan spać? — spytał.

— Nie — odparł Cień.

— Papierosa?

— Nie, dziękuję.

— A ja mogę zapalić?

— Proszę bardzo.

Kierowca sięgnął po jednorazową zapalniczkę i w żółtym blasku płomyka Cień po raz pierwszy ujrzał jego twarz, tak naprawdę zobaczył, rozpoznał go i zaczął rozumieć.

Znał owo szczupłe oblicze. Wiedział, że pod czarną czapką kryją się krótko ostrzyżone pomarańczowe włosy. Wiedział, że gdy wargi mężczyzny wygną się w uśmiechu, ukaże się sieć wyraźnych blizn.

— Dobrze wyglądasz, wielkoludzie — rzucił kierowca.

— Lokaj? — Cień nie spuszczał czujnego wzroku ze swego niegdysiejszego towarzysza.

Więzienne przyjaźnie nie są złe, pozwalają przetrwać pobyt w

mrocznym miejscu, nie oszaleć z upływu lat. Lecz więzienna przyjaźń kończy się za progiem więzienia i przyjaciel pojawiający się później w życiu w najlepszym przypadku wywołuje mieszane uczucia.

— Jezu. Lokaj Lyesmith — westchnął Cień. Nagle usłyszał własne słowa i zrozumiał. — Loki — rzekł. — Loki Lie-Smith.

— Wolno kojarzysz — mruknął Loki. — Ale w końcu dochodzisz do sedna. — Jego wargi rozciągnęły się w pokrytym bliznami uśmiechu, w ciemnych oczach zapłonął żar.

* * *

Siedzieli w pokoju Cienia w opuszczonym motelu, na łóżku, po przeciwnych stronach materaca. Odgłosy dobiegające wcześniej z pokoju tłustego dzieciaka ucichły.

— Miałeś szczęście, że wsadzili nas razem — powiedział Loki. — Beze mnie nie przeżyłbyś pierwszego roku.

— Nie mogłeś wyjść w dowolnej chwili?

— Łatwiej jest odsiedzieć swoje. — Urwał. — Musisz zrozumieć, jak to jest z bogami. Tu nie chodzi o magię, lecz o bycie sobą, ale sobą takim, w jakiego wierzą ludzie. Wówczas stajesz się skoncentrowaną, powiększoną esencją własnej istoty. Stajesz się gromem, siłą biegnącego konia, mądrością, chłoniesz ich wiarę i stajesz się większy, potężniejszy, jesteś nadczłowiekiem. To jak krystalizacja. — Umilkł. — A potem, pewnego dnia zapominają tobie. Już w ciebie nie wierzą, nie składają ofiar, nie obchodzisz ich i nim się obejrzysz, grasz w trzy karty na rogu Broadwayu Czterdziestej Trzeciej Ulicy.

— Czemu siedziałeś w mojej celi?

— Przypadek. Czysty przypadek.

— A teraz pracujesz jako kierowca przeciwnika.

— Jeśli tak chcesz ich nazwać. To zależy od punktu widzenia. Według mnie pracuję dla zwycięzcy.

— Ale przecież ty i Wednesday pochodziliście z tego samego, no…

— Panteonu bogów nordyckich. Owszem, obaj pochodzimy z nordyckiego panteonu. Czy to próbowałeś powiedzieć?

— Tak.

— I co z tego?

Cień zawahał się.

— Musieliście się przyjaźnić. Kiedyś.

— Nie, nigdy się nie przyjaźniliśmy. Nie jest mi przykro z powodu jego śmierci. Nie pozwalał nam się rozwijać. Bez niego reszta będzie

musiała stawić czoło faktom. Muszą się zmienić albo umrzeć, ewoluować bądź wyginąć. On odszedł, wojna się skończyła.

Cień spojrzał na niego zdumiony.

— Nie jesteś przecież aż tak głupi. Zawsze byłeś bardzo bystry. Śmierć Wednesdaya niczego nie zmieniła. Wciągnęła tylko do gry tych, którzy balansują między owsem i sianem.

— Mieszasz przenośnie, Cień. To niedobry nawyk.

— Nieważne — odparł Cień. — Po prostu mówię prawdę. Jezu, jego śmierć w jednej chwili dokonała tego, czego nie udało mu się osiągnąć przez ostatnich kilka miesięcy. Zjednoczyła ich. Dała im coś, w co mogli uwierzyć.

— Możliwe. — Loki wzruszył ramionami. — Z tego, co wiem, po mojej stronie uznano, że kiedy pozbędą się krzykacza, pozbędą się kłopotów. Ale to już nie moja sprawa. Ja po prostu prowadzę.

— Powiedz mi więc — rzekł Cień — czemu wszyscy się tak mną interesują? Zachowują się jakbym był ważny. Co ich to obchodzi?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Dla nas byłeś ważny, bo Wednesday przykładał wielką wagę do twojej osoby. Natomiast czemu… To jeszcze jedna tajemnica życia.

— Zmęczyły mnie już tajemnice.

— Tak? Ja uważam, że dodają światu smaku, tak jak sól w gulaszu.

— Jesteś więc ich kierowcą? Jeździsz ze wszystkimi?

— Z każdym, kto mnie potrzebuje — odparł Loki. — Można przeżyć.

Uniósł do twarzy zegarek, nacisnął przycisk. Tarcza zalśniła łagodnym błękitem, który zalał mu twarz, nadając jej znękany, zaskoczony wyraz.

— Za pięć minut północ. Już czas — powiedział Loki. — Idziesz?

Cień odetchnął głęboko.

— Idę.

Szli naprzód ciemnym hotelowym korytarzem, póki nie dotarli do pokoju numer pięć.

Loki wyjął z kieszeni paczkę zapałek i potarł jedną z nich o paznokieć kciuka. Nagły błysk poraził oczy Cienia. Knot świecy zajął się i zapłonął, po nim kolejne. Loki wziął następną zapałkę i zapalał kolejne ogarki na parapetach, ramie łóżka, w zlewie, w kącie.

Łóżko przesunięto spod ściany na środek pokoju i okryto pościelą, starą hotelową pościelą, poplamioną i podziurawioną przez mole. Na niej leżał Wednesday, całkowicie nieruchomy.

Miał na sobie jasny garnitur, w który był ubrany w chwili śmierci. Prawa strona twarzy pozostała nietknięta, doskonała, nie splamiona krwią. Lewa była jedną wielką raną. Lewe ramię i przód marynarki pokrywały ciemne plamy. Ręce spoczywały po bokach.

Zmasakrowanej twarzy daleko było do spokoju, wyglądała na udręczoną, przepełniała ją nienawiść, gniew i szaleństwo, na pewnym poziomie zaś także satysfakcja.

Cień wyobraził sobie doświadczone ręce pana Jacquela, zacierające ślady bólu i nienawiści, odtwarzające oblicze Wednesdaya w wosku i kosmetykach, nadające mu wyraz spokoju i godności, którego nie przyniosła nawet śmierć.

Jednak ciało nawet po śmierci nie wydawało się mniejsze i wciąż lekko pachniało Jackiem Danielsem.

Na zewnątrz wiatr znad równin przybierał na sile. Cień słyszał, jak ze skowytem mija stary motel w teoretycznym środku Ameryki. Świece na parapecie zamrugały gwałtownie.

Słyszał dobiegające z korytarza kroki. Ktoś zapukał do drzwi.

— Pospieszcie się! Już czas.

Zaczęli kolejno wchodzić do środka, spuszczając głowy.

Pierwszy wszedł Town, po nim Media, pan Nancy i Czerno-bog. Jako ostatni stąpał tłusty dzieciak. Jego twarz pokrywały świeże czerwone siniaki, a wargi poruszały się stale, jakby bezgłośnie coś recytował. Cień odkrył, że jest mu go żal.

Bez jednego słowa ustawili się wokół ciała, każdy o długość ręki od następnego. Atmosfera panująca w pokoju była religijna — głęboko religijna. Cień nigdy nie doświadczył niczego podobnego. Słyszał jedynie wycie wiatru i cichy trzask świeczek.

— Spotykamy się tu, w pozbawionym bogów miejscu — rzekł Loki — by przekazać ciało tego człowieka tym, którzy właściwie się nim zajmą i dopełnią rytuałów. Jeśli ktoś chce coś powiedzieć, niech przemówi teraz.

— Nie ja — wtrącił Town. — Tak naprawdę w ogóle go nie poznałem. A przez to wszystko czuję się nieswojo.

— Każde działanie ma swoje konsekwencje — oznajmił Czernobog. — Wiecie, że to dopiero początek.

Gruby dzieciak zaczął chichotać wysokim histerycznym dziewczęcym głosikiem.

— Już dobra, dobra, chwytam — rzekł. A potem, jednym tchem wyrecytował:

> Wszystko się kręci w przeogromnym wirze
> Sokół nie słyszy swego sokolnika;
> Wszystko się wali; środek nie trzyma…

Urwał, marszcząc brwi.

Cholera, kiedyś znałem na pamięć cały wiersz. — Wytarł dłońmi skroń, skrzywił się i odszedł na bok.

Nagle wzrok wszystkich wbił się w Cienia. Wiatr na zewnątrz

krzyczał. Cień nie wiedział, co powiedzieć.

— To wszystko jest żałosne. Połowa z was go zabiła albo przyczyniła się do jego śmierci, a teraz oddajecie nam ciało. Świetnie. Był niepoprawnym starym skurwielem, ale wypiłem jego miód i wciąż dla niego pracuję. To wszystko.

— W świecie, gdzie codziennie giną ludzie — odparła Media — musimy wszyscy pamiętać, że każdej chwili, w której ludzie codziennie opuszczają ten padół, towarzyszy chwila, gdy wkracza do niego nowe dziecko. Pierwszy płacz to — magia; trudno to wyrazić, ale miłość i smutek są niczym mleko i ciasteczka. Oto jak świetnie do siebie pasują. Wszyscy powinniśmy pomyśleć o tym przez chwilę.

Pan Nancy odchrząknął.

— A zatem ja to powiem, bo nikt inny nie chce. Jesteśmy w samym środku tego miejsca, kraju, któremu brak cierpliwości dla bogów, a tu, w środku, ma jej jeszcze mniej niż gdziekolwiek indziej. To ziemia niczyja, miejsce neutralne, a my dotrzymujemy tu rozejmow. Nie mamy wyboru: wy oddajecie nam ciało przyjaciela, my je przyjmujemy. Zapłacicie za to, morderstwo za morderstwo, krew za krew.

— Tak, jasne — wtrącił Town. — Oszczędzilibyście sobie wiele czasu i wysiłku, gdybyście po prostu wrócili do domu i strzelili sobie w łeb. To wyklucza pośrednika.

— Pieprz się — odparł Czemobog. — Niech szlag trafi ciebie, twoją matkę i pieprzonego konia, na którym tu, kurwa, przyjechałeś. Nie zginiesz nawet w bitwie, żaden wojownik nie skosztuje twojej krwi, żywy człowiek nie odbierze ci życia. Umrzesz żałosną śmiercią mięczaka, zginiesz z pocałunkiem na wargach i kłamstwem w sercu.

— Uspokój się, starcze — rzucił Town.

— Wzbiera krwawy przypływ — powiedział dzieciak. — Tak to chyba idzie.

Wiatr skowyczał.

— W porządku — oznajmił Loki. — Jest wasz. Skończyliśmy. Bierzcie drania.

Pstryknął palcami. Town, Media i grubas wyszli z pokoju. Loki uśmiechnął się do Cienia.

— Nie nazywaj nikogo szczęśliwym, co, mały? — Z tymi słowy także przekroczył próg.

— I co teraz? — spytał Cień.

— Teraz go zawiniemy — powiedział Anansi. — I zabierzemy stąd.

Owinęli ciało motelowymi prześcieradłami, okręcili zaimprowizowanym całunem tak, by nikt go nie dostrzegł i by mogli go zabrać. Dwaj starsi mężczyźni ustawili się po bokach, Cień jednak rzekł:

— Tylko coś sprawdzę. — Ugiął kolana, wsunął ręce pod spowitą w biel postać, pociągnął ją i zarzucił na ramię. Wyprostował się i stanął dość pewnie na nogach. — W porządku — rzekł. — Mam go. Zanieśmy go do samochodu.

Czernobog wyglądał, jakby miał ochotę się kłócić, zamknął jednak usta. Splunął na palec wskazujący i kciuk i zaczął gasić nimi świece. Opuszczając mroczny pokój, Cień słyszał za plecami syk.

Wednesday był ciężki, ale Cień poradził sobie z ciężarem. Maszerował miarowo. Nie miał wyboru. Przy każdym kroku w jego głowie dźwięczały słowa Wednesdaya, w gardle czuł kwaśną słodycz miodu. „Chronisz mnie. Przewozisz z miejsca na miejsce. Wykonujesz moje polecenia. W razie zagrożenia, ale tylko w wyjątkowym przypadku, robisz krzywdę ludziom, których należy skrzywdzić. Na wypadek mojej śmierci, co mało prawdopodobne, będziesz nade mną czuwał…".

Pan Nancy otworzył przed nim drzwi wyjściowe, potem poszedł naprzód i podniósł klapę z tyłu busa. Pozostała czwórka stała już przy swym dżipie, obserwując ich, jakby nie mogli się doczekać chwili odjazdu. Loki z powrotem włożył czapkę kierowcy. Wiatr atakował Cienia, szarpał prześcieradłami.

Cień możliwie najdelikatniej ułożył Wednesdaya z tyłu mini-busu.

Ktoś klepnął go w ramię. Cień odwrócił się. Tuż za nim stał Town z wyciągniętą ręką.

— Proszę — rzekł. — Pan World chciał ci to przekazać.

To było szklane oko, nadpęknięte pośrodku. Z przodu brakowało odłamka szkła.

— Znaleźliśmy je we Dworze Masońskim podczas sprzątania. Zatrzymaj je na szczęście. Bóg jeden wie, że będziesz go potrzebował.

Cień zacisnął palce wokół oka. Pożałował, że nie potrafi odciąć się czymś zjadliwym i błyskotliwym, Town zdążył już dotrzeć do dżipa i wsiąść do niego, a Cień wciąż szukał właściwej riposty.

* * *

Jechali na wschód. Świt zastał ich w Princeton, w stanie Missouri. Cień nie zdrzemnął się jeszcze ani chwili.

— Gdzie mam cię podrzucić? — spytał Nancy. — Na twoim miejscu załatwiłbym sobie lewe papiery i wyjechał do Kanady. Albo do Meksyku.

— Zostaję z wami — odparł Cień. — Tego właśnie pragnąłby Wednesday.

— Już dla niego nie pracujesz. On nie żyje. Kiedy pozbędziemy się jego ciała, będziesz wolny.

— I co mam robić?

— Nie wchodzić nikomu w drogę podczas wojny. — Nancy włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo.

— Schowaj się, młody przyjacielu — powiedział Czernobog. — Kiedy wszystko się skończy, wrócisz do mnie, a ja zakończę sprawę.

— Dokąd zabieramy ciało? — spytał Cień.

— Do Wirginii. Tam jest drzewo — odparł Nancy.

— Drzewo świata — uzupełnił z ponurą satysfakcją Czernobog. — Kiedyś mieliśmy takie w naszej części świata, ale nasze rosło pod ziemią, nie nad nią.

— Złożymy go u stóp drzewa — ciągnął pan Nancy — i zostawimy tam. Wypuścimy ciebie i pojedziemy na południe. Czeka nas bitwa. Rozlew krwi. Wielu zginie. Świat zmieni się nieco.

— Nie chcecie, żebym wziął udział w bitwie? Jestem dość duży i dobrze sobie radzę w bójkach.

Nancy odwrócił głowę i uśmiechnął się do Cienia — był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Cień oglądał na jego twarzy od chwili wyciągnięcia go z okręgowego więzienia.

— Bitwa ta zostanie stoczona w miejscu, do którego nie możesz się udać. Którego nie zdołasz dotknąć…

— W sercach i umysłach ludzi — dokończył Czemobog. — Jak na tamtej wielkiej zabawce.

— Gdzie?

— Na karuzeli — przetłumaczył pan Nancy.

— Ach tak, na tyłach. Rozumiem. Coś jak ta pustynia z kośćmi.

Pan Nancy uniósł głowę.

— Za każdym razem, gdy uznaje, że brak ci rozsądku, by wykonać najprostszą czynność, zaskakujesz mnie. Owszem, tam właśnie rozegra się bitwa. Dla innych pozostanie tylko rozbłysk i grzmot.

— Opowiedz mi o czuwaniu — poprosił Cień.

— Ktoś musi zostać przy ciele. Tak każe tradycja. Znajdziemy kogoś.

— Chciał, żebym ja to zrobił.

— Nie — uciął Czernobog. — To cię zabije. Zły, zły, zły pomysł.

— Ach tak? Zabije mnie? Czuwanie przy ciele?

— Nie tego chciałbym podczas mojego pogrzebu — oznajmił pan Nancy. — Gdy umrę, chcę, aby pochowali mnie gdzieś, gdzie jest ciepło. A gdy ładne dziewczyny będą przechodzić nad moim grobem, będę łapał je za kostki. Jak w tamtym filmie.

— Nigdy go nie oglądałem — odparł Czernobog.

— Oczywiście, że oglądałeś. Scena na samym końcu. To szkolny

film. Dzieci idące na bal maturalny.

Czernobog pokręcił głową.

— Nazywa się „Carrie", panie Czemobog — wtrącił Cień. — No dobrze, niech któryś z was opowie mi o czuwaniu.

— Ty mu opowiedz — polecił pan Nancy. — Ja prowadzę.

— Nigdy nie słyszałem o filmie „Carrie". Ty mu powiedz.

W końcu Nancy rzekł:

— Osoba wybrana do czuwania zostaje przywiązana do drzewa, tak jak kiedyś Wednesday. A potem wisi na nim przez dziewięć dni i dziewięć nocy, bez jedzenia, bez snu. Zupełnie sama. W końcu odcinają ją, jeśli przeżyje… no, to możliwe. Teoretycznie. A Wednesday będzie miał swoje czuwanie.

— Może Alviss przyśle nam kogoś ze swoich — mruknął Czernobog. — Krasnal zdołałby to przeżyć.

— Ja to zrobię — oznajmił Cień.

— Nie — powiedział pan Nancy.

— Tak — odparł Cień.

Obaj starcy umilkli. W końcu Nancy spytał:

— Czemu?

— Bo coś takiego zrobiłby żywy człowiek — wyjaśnił Cień.

— Oszalałeś! — mruknął Czernobog.

— Możliwe. Lecz zamierzam czuwać przy zwłokach Wednesdaya.

Gdy zatrzymali się na stacji benzynowej, Czernobog oświadczył, że jest mu niedobrze i chce jechać z przodu. Cień nie miał nic przeciwko przejściu na tylne siedzenia. Wyciągnął się na nich i zasnął.

Jechali w milczeniu. Cień miał wrażenie, że podjął decyzję ważną i dziwną zarazem.

— Hej, Czernobogu — odezwał się w końcu pan Nancy. — Widziałeś technicznego chłopca w motelu? Nie był szczęśliwy. Dostał pierdolca, i to ostrego. To właśnie największy problem z tymi nowymi. Uważają, że zjedli wszystkie rozumy i wszystkiego muszą doświadczyć na własnej skórze.

— I dobrze — rzekł Czernobog.

Cień leżał na tylnym siedzeniu. Czuł się dziwnie rozdwojony, może nawet więcej niż rozdwojony. Jakaś część jego myślała z radością i zachwytem: w końcu coś zrobił. Wykonał własny ruch. Nie miałoby to znaczenia, gdyby nie chciał żyć, ale on tego pragnął. Oto różnica. Miał nadzieję, że przeżyje. Był jednak gotów umrzeć, jeśli wymagało tego życie. Przez chwilę wydawało mu się, że wszystko to jest zabawne, najzabawniejsze na świecie. Zastanawiał się, czy Laura doceniłaby komizm sytuacji.

Inna część jego — może to Mike Ainsel, unicestwiony jednym naciśnięciem guzika na komisariacie w Lakeside? — wciąż próbowała wszystko zrozumieć, dostrzec ogólny wzór.

— Ukryci Indianie — powiedział głośno.

— Co? — z przodu dobiegł go poirytowany skrzeczący głos Czemoboga.

— Obrazki, które kolorowaliśmy w dzieciństwie. „Czy widzisz ukrytych Indian? Na tym obrazku jest ich dziesięciu, znajdziesz wszystkich?”. Na pierwszy rzut oka było widać wyłącznie wodospad, skały i drzewa; potem dostrzegaliśmy, że jeśli przekręcić obrazek, cień zamienia się w Indianina… — Ziewnął.

— Idź spać — poradził Czernobog.

— Ale wzór — zaprotestował Cień. Potem zasnął, śniąc o ukrytych Indianach.

* * *

Drzewo rosło w Wirginii, na tyłach starej farmy. Aby na nią dotrzeć, musieli jechać niemal godzinę na południe od Blacksburga, pokonując drogi o nazwach takich jak Gałązka Pennywinkle’a i Koguci Grzebień. Dwa razy musieli zawracać. Pan Nancy i Czernobog wściekli się na Cienia i siebie nawzajem. Zatrzymali się i poprosili o wskazówki w małym sklepiku u stóp wzgórza, w miejscu gdzie droga się rozwidlała.

Z zaplecza wyszedł stary człowiek i spojrzał na nich. Miał na sobie dżinsowe ogrodniczki i nic poza tym, nawet butów. Czernobog wyjął ze słoja na ladzie marynowaną wieprzową nóżkę i wyszedł na zewnątrz, żeby ją zjeść, gdy tymczasem mężczyzna w ogrodniczkach narysował panu Nancy’emu mapki na serwetkach, zaznaczając właściwe zakręty i punkty charakterystyczne.

Znów ruszyli w drogę. Pan Nancy prowadził. Po dziesięciu minutach dotarli na miejsce. Napis nad bramą głosił JESION.

Cień wysiadł z minibusu i otworzył bramę. Wóz przejechał przez nią, podskakując na wyboistej łące. Potem zamknął bramę, kawałek szedł za busem, aby rozprostować nogi. Od czasu do czasu podbiegał, gdy wóz oddalał się zbytnio. Cieszył się, że może poruszać własnym ciałem.

Podczas jazdy z Kansas stracił poczucie czasu. Ile jechali? Dwa dni? Trzy? Nie wiedział.

Ciało z tyłu minibusu nie ulegało rozkładowi. Wciąż czuł jego zapach — lekką woń Jacka Danielsa połączoną z czymś, co przypominało skwaśniały miód. Nie była jednak nieprzyjemna. Od czasu do czasu Cień wyciągał z kieszeni szklane oko i przyglądał mu się. Było mocno pęknięte, przypuszczał, że od uderzenia pocisku, lecz

prócz odpryśniętego kawałka z boku tęczówki, powierzchnię miało nietkniętą. Cień przekładał je z ręki do ręki, ukrywał w dłoniach, przesuwał palcami. Upiorna pamiątka, lecz dziwnie dodająca otuchy. Podejrzewał, że Wednesday nieźle by się uśmiał, gdyby się dowiedział, że jego oko wylądowało w kieszeni Cienia.

Farma była opuszczona. Na pozostawionych odłogiem łąkach rosła wysoka trawa. Z tyłu dach budynku zaczynał się walić. Pokrywały go płachty czarnego plastiku. A potem przejechali przez szczyty wzgórza i Cień ujrzał drzewo.

Było srebrzystoszare, wyższe niż dom na farmie. Najpiękniejsze drzewo, jakie zdarzyło mu się oglądać — widmowe, a przecież absolutnie rzeczywiste i niemal idealnie symetryczne. Natychmiast też wydało mu się znajome; zastanawiał się, czy o nim śnił, a potem zrozumiał, że nie, po prostu widział je wcześniej, czy raczej jego wizerunek, i to wielokrotnie — srebrną spinkę do krawata Wednesdaya.

Volkswagen jechał naprzód, podskakując na wybojach. W końcu zatrzymał się jakieś pięć metrów od pnia.

Obok drzewa stały trzy kobiety. Na pierwszy rzut oka Cień pomyślał, że to Zorie, ale nie, nie znał ich. Sprawiały wrażenie zmęczonych i znudzonych, jakby stały tam od bardzo dawna. Każda z nich trzymała drewnianą drabinę, najwyższa dodatkowo brązowy worek. Wyglądały jak zestaw rosyjskich lalek babuszek: wysoka była wzrostu Cienia, czy nawet wyższa, druga średniego wzrostu i trzecia kobieta tak drobna i zgarbiona, że na pierwszy rzut oka Cień błędnie wziął ją za dziecko. Były do siebie tak podobne, iż uznał, że to z pewnością siostry.

Najdrobniejsza z kobiet przykucnęła i dygnęła przed hamującym wozem. Pozostałe dwie patrzyły bez słowa. Wszystkie trzy paliły jednego papierosa, aż do filtra. W końcu jedna z nich zgasiła go o korzeń.

Czernobog otworzył tył samochodu. Największa z kobiet przecisnęła się obok niego i bez trudu, jakby miała do czynienia z workiem mąki, zabrała ciało Wednesdaya i zaniosła je pod drzewo. Ułożyła zwłoki na ziemi tuż przed drzewem, jakieś trzy metry od pnia. Wraz z siostrami odwinęła ciało Wednesdaya. W blasku dnia wyglądał gorzej niż w świetle świec w pokoju motelowym. Po jednym szybkim spojrzeniu Cień odwrócił wzrok. Kobiety uporządkowały jego strój, wyprostowały krawat, potem położyły Wednesdaya na skraju prześcieradła i z powrotem go owinęły.

A później podeszły do Cienia.

— Ty nim jesteś? — spytała największa z sióstr.

— Tym, który będzie opłakiwał Wszechojca? — spytała środkowa.

— Postanowiłeś czuwać? — spytała najdrobniejsza.

Cień skinął głową. Potem nie potrafił już sobie przypomnieć, czy rzeczywiście usłyszał ich głosy. Może po prostu zrozumiał, co mówiły, dzięki ich wyglądowi i wyrazowi oczu.

Pan Nancy, który odszedł do domu, żeby skorzystać z toalety, wrócił pod drzewo. Palił cygaretkę. Sprawiał wrażenie zamyślonego.

— Cieniu! — zawołał. — Naprawdę nie musisz tego robić. Znajdziemy kogoś, kto lepiej nada się do tej roli.

— Ale to zrobię — odparł z prostotą Cień.

— A jeśli umrzesz? — spytał z prostotą pan Nancy. — Jeśli to cię zabije?

— Wówczas — odparł Cień — zabije mnie.

Pan Nancy gniewnym gestem odrzucił cygaretkę w głąb łąki.

— Mówiłem, że masz w głowie gówno nie mózg, i to wciąż prawda. Nie dostrzegasz, gdy ktoś proponuje ci honorowe wyjście?

— Przykro mi. — Cień nie odezwał się więcej. Nancy wrócił do minibusu.

Do Cienia podszedł Czernobog. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Musisz przez to przejść i przeżyć — powiedział. — Zrób to dla mnie. — Łagodnie postukał zgiętymi palcami w czoło Cienia, mówiąc: — Bam! — Ścisnął mu ramię, poklepał po ręce i dołączył do pana Nancy'ego.

Najwyższa z kobiet, której imię brzmiało Urtha czy może Urder — Cień nie potrafił powtórzyć tego prawidłowo — poleciła mu gestami, aby zdjął ubranie.

— Wszystko?

Wysoka kobieta wzruszyła ramionami. Cień rozebrał się do slipów i podkoszulka. Kobiety oparły drabiny o pień drzewa. Jedną z nich — pomalowaną ręcznie w małe kwiatki i listki wokół szczebli — wskazały jemu.

Wdrapał się na dziewięć szczebli, po czym, na ich nalegania, przeszedł na niski konar.

Kobieta niskiego wzrostu wyrzuciła na trawę zawartość worka. Wypełniała go plątanina cienkich lin, brązowych ze starości i brudu. Kobieta zaczęła je sortować, rozkładać według długości i ostrożnie układać na ziemi obok ciała Wednesdaya.

Następnie wdrapały się na własne drabiny i zaczęły wiązać węzły, eleganckie, skomplikowane węzły. Najpierw okręcały linami pień drzewa, a potem ciało Cienia. Beznamiętnie niczym położne, pielęgniarki czy ludzie szykujący zwłoki do pogrzebów zdjęły mu koszulkę i slipy, a potem przywiązały, nie za ciasno, lecz mocno, stanowczo. Ze zdumieniem przekonał się, że sznury i węzły spokojnie znoszą jego ciężar. Liny biegły mu pod pachami, między nogami, wokół pasa, kostek, piersi, łączyły go z drzewem.

Ostatni sznur kobiety obwiązały Cieniowi luźno wokół szyi. Z

początku nie było mu zbyt wygodnie, jednakże ciężar ciała został właściwie rozłożony i żadna z lin nie kaleczyła skóry.

Stopy miał półtora metra nad ziemią. Olbrzymie bezlistne drzewo wyciągało w górę gałęzie, czarne na tle szarego nieba. Jego pień miał barwę gładkiej srebrzystej szarości.

Kobiety zabrały drabiny. Przez sekundę, gdy sznury przejęły na siebie cały ciężar ciała, Cień poczuł panikę. Opadł o kilka centymetrów. Jednak nie wydał z siebie żadnego odgłosu.

Kobiety umieściły owinięte w motelowy całun ciało u stóp drzewa i zostawiły je tam.

Zostawiły go samego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powieś mnie, powieś, a ja odejdę wnet,
Powieś mnie, powieś, a ja odejdę wnet,
Bo sznur mi nie przeszkadza,
lecz w grobie leżeć wiek?
Mam leżeć cały wiek.

— stara piosenka

Pierwszego dnia wiszenia na drzewie Cień czuł jedynie dziwny dyskomfort, powoli przeradzający się w ból, a także strach i od czasu do czasu coś pomiędzy nudą a apatią: szarą bezbarwną akceptację.

Czekał.

Wisiał.

Powietrze trwało nieruchomo.

Po kilkunastu godzinach zaczęły mu rozbłyskiwać przed oczyma kolory, rozkwitać czerwienią i złotem, drżeć i pulsować własnym życiem.

Ból w rękach i nogach powoli stawał się nie do zniesienia. Kiedy Cień odprężał mięśnie, pozwalał ciału zawisnąć, przesuwał się naprzód, wówczas cały ciężar przyjmowała na siebie lina wokół szyi i świat zaczynał wirować mu przed oczami, toteż Cień napierał z powrotem na pień drzewa. Czuł, jak serce tłucze mu się w piersi, tętniący, nierytmiczny dźwięk krwi przepływającej przez ciało…

Przed jego oczami krystalizowały się i eksplodowały szmaragdy, szafiry, rubiny. Oddychał płytko, z trudem. Na plecach czuł szorstką korę drzewa. Chłód popołudnia na nagim ciele sprawił, że Cień zadrżał. Pokryła go gęsia skórka.

To łatwe, rzekł ktoś w głębi jego umysłu. *Kryje się w tym pewne sztuczka. Zrobisz to albo umrzesz.*

Spodobała mu się ta myśl, toteż powtarzał ją raz po raz, gdzieś w głębi umysłu, niczym mantrę i dziecinny wierszyk, w rytm wewnętrznego werbla serca.

To łatwe, kryje się w tym pewna sztuczka, zrobisz to albo umrzesz.
To łatwe, kryje się w tym pewna sztuczka, zrobisz to albo umrzesz.

To łatwe, kryje się w tym pewna sztuczka, zrobisz to albo umrzesz.
To łatwe, kryje się w tym pewna sztuczka, zrobisz to albo umrzesz.

Czas płynął. Zaśpiew trwał dalej. Cień słyszał go wyraźnie. Ktoś powtarzał słowa i przerwał tylko, gdy Cieniowi zaschło w ustach i jego język stwardniał niczym kawałek skóry. Uniósł się i odepchnął stopami od drzewa, próbując podtrzymać swój ciężar tak, by wciąż móc oddychać.

Oddychał, aż w końcu zabrakło mu sił i z powrotem opadł w więzach, wisząc na drzewie.

Gdy usłyszał szczebiot — gniewny drwiący szczebiot — zamknął usta, zaniepokojony, że to on sam, ale nie, dźwięk trwał dalej. To świat się ze mnie śmieje, pomyślał Cień. Głowa opadła mu na bok. Coś zbiegło po pniu obok niego, zatrzymało się przy głowie Cienia, zaświergotało głośno wprost do ucha jedno słowo, brzmiące jak „ratatosk". Cień próbował je powtórzyć, lecz język przywarł mu do podniebienia. Obrócił się powoli i spojrzał wprost w szarobrązowy pyszczek i szpiczaste uszy wiewiórki.

Odkrył, że z tak bliska wiewiórka wygląda znacznie mniej uroczo niż z daleka. Nie była słodka i wdzięczna, lecz niebezpieczna niczym groźny szczur. I miała ostre zęby. Oby nie uznała go za zagrożenie albo źródło pokarmu. Nie sądził, by wiewiórki były mięsożerne… ale też wiele rzeczy okazało się innymi, niż myślał z początku.

Zasnął.

W ciągu następnych kilku godzin parę razy obudził go ból, wyrywając z długiego mrocznego snu, w którym martwe dzieci powstawały i przychodziły do niego, patrząc oczami wybałuszonymi i opuchniętymi, niczym perły. Czyniły mu wyrzuty za to, że je zawiódł. Pająk przebiegł mu po twarzy i Cień ocknął się. Potrząsnął głową, zrzucając bądź płosząc intruza, i powrócił do krainy snów. Teraz mężczyzna o głowie słonia z jednym złamanym kłem jechał ku niemu na grzbiecie ogromnej myszy. Czło-wiek-słoń uniósł trąbę, wskazując Cienia.

— Gdybyś mnie przywołał przed rozpoczęciem tej podróży, może zdołałbyś uniknąć części kłopotów — rzekł.

Następnie słoń wziął mysz, która w jakiś niezrozumiały dla Cienia sposób stała się maleńka, a przecież nie zmieniła wielkości, i zaczął przekładać ją z ręki do ręki, zaginając palce. Małe zwierzątko przebiegało z jednej dłoni na drugą i Cień nie zdumiał się nawet wtedy, gdy bóg o głowie słonia w końcu otworzył cztery ręce, ukazując, że są puste. Kolejno płynnie wzruszył ramionami, patrząc na

Cienia z nieodgadnioną miną.

— Magiczny kufer — powiedział Cień. W głębi pnia widział przed chwilą znikający ruchomy ogon.

Człowiek-słoń skinął olbrzymią głową.

— Tak. W kufrze. Zapomnisz o wielu rzeczach, wiele innych oddasz i stracisz, ale nie zapomnij o tym.

A potem zaczął padać deszcz, wyrywając drżącego i mokrego Cienia z głębin snu wprost na jawę. Dreszcze stawały się coraz mocniejsze, przerażając Cienia. Trząsł się gwałtowniej, niż zdawało mu się to możliwe, w serii konwulsji narastających potężną falą. Nakazywał swemu ciału przestać, wciąż jednak dygotał, szczękając zębami. Jego kończyny drżały i kurczyły się. Czuł też prawdziwy ból, głęboki kłujący ból, pokrywający ciało małymi niewidzialnymi ranami, nieznośnymi i intymnymi niczym dotyk kochanki.

* * *

Otworzył usta, próbując chwytać krople deszczu, który zwilżył popękane wargi i suchy język Cienia, a także liny łączące go z pniem drzewa. Nagle zalśniła błyskawica tak jasna, iż poczuł się, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w oczy. Świat stał się rozległą panoramą obrazów i powidoków, a potem nadszedł grzmot, trzask, huk i łoskot. Wraz z nadejściem echa rozpadało się na dobre. W deszczu i mroku dreszcze ustały, ostrza noży zniknęły. Cień nie czuł już zimna, czy raczej czuł tylko zimno, które jednak stało się częścią jego samego.

Wisiał na drzewie, podczas gdy błyskawice rozorywały nocne niebo, a grzmoty zlewały się, tworząc wszechobecny łoskot, od czasu do czasu wznoszący się falami dźwięku odległych wybuchających bomb. Wiatr szarpał ciało Cienia, próbując oderwać go od drzewa, chłoszcząc, tnąc do kości, i Cień w głębi duszy wiedział, że zaczęła się prawdziwa burza.

Wówczas wezbrała w nim dziwna radość, zaczął się śmiać, a deszcz zmywał jego nagą skórę. Błyskawice lśniły, grzmoty rozbrzmiewały tak głośno, że prawie nie słyszał własnego śmiechu. Rozkoszował się wszystkim.

Żył. Nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego. Nigdy.

Jeśli nawet ma umrzeć, pomyślał, jeśli umrze tu na drzewie, warto było przeżyć to wszystko dla tej jednej szalonej doskonałej chwili.

— Hej! — krzyknął, zwracając się do burzy. — Hej, to ja! Tu jestem!

Schwytał odrobinę wody pomiędzy nagie ramię i pień drzewa, przekręcił głowę i mlaskając i siorbiąc, wypił deszczówkę. A potem znów wybuchnął radosnym śmiechem, pełnym zachwytu, nie obłędu, póki w końcu nie mógł się już śmiać i zawisł zbyt wyczerpany, by się poruszyć.

U stóp drzewa deszcz przemoczył prześcieradło, które stało się nieco przejrzyste, uniósł je i odsunął, toteż Cień widział martwą dłoń Wednesdaya, bladą, woskowatą, a także kształt jego głowy. Pomyślał o Całunie Turyńskim; przypomniał sobie dziewczynę leżącą na stole Jacquela w Kairze. Nagle, jakby rzucając wyzwanie chłodowi, pojął, że jest mu ciepło i wygodnie, a kora wabi swą miękkością. Znów zasnął i jeśli nawet o czymś śnił, tym razem niczego nie pamiętał.

* * *

Następnego ranka ból nie był już umiejscowiony, nie ograniczał się do miejsc, w których sznury zagłębiały się w ciało albo kora drapała skórę. Teraz czuł go wszędzie.

Poza tym był głodny, żołądek zaciskał się w kolejnych skurczach, Cieniowi dudniło w głowie. Czasami wyobrażał sobie, że przestaje oddychać, że jego serce już nie bije. Wówczas wstrzymywał oddech, póki nie usłyszał w uszach potężnego bicia serca, miarowego niczym szum oceanu. Wówczas wciągał w płuca powietrze, niczym nurek wynurzający się z głębiny.

Miał wrażenie, że drzewo sięga od piekła ku niebu, a on wisi na nim od zawsze.

Brązowy sokół okrążył drzewo, wylądował na złamanej gałęzi obok Cienia i znów wzleciał w powietrze, kierując się na zachód.

Burza, która ustała o świcie, w miarę upływu dnia zbliżała się ponownie. Szare skłębione chmury rozciągały się od horyzontu po horyzont, tworząc lekką mżawkę. Ciało u stóp drzewa zdawało się kurczyć, owinięte w poplamione prześcieradło motelowe, zapadało się w sobie niczym zostawiony na deszczu beżowy tort.

Ciało Cienia raz płonęło, raz zamarzało.

Gdy grzmoty powróciły, wyobraził sobie, że słyszy bębny i kotły ukryte w odgłosach gromów i biciu własnego serca, wewnątrz głowy i na zewnątrz. Nieważne.

Postrzegał ból jako barwy: czerwień barowego neonu, zieleń świateł ulicznych w deszczową noc, błękit pustego ekranu.

Wiewiórka zeskoczyła z pnia na ramię Cienia, wbijając mu w skórę ostre pazurki. „Ratatosk”, zaświergotała. Zimny nos dotknął jego

ust…Ratatosk”. Z powrotem wskoczyła na drzewo.

Na całym ciele czuł ukłucia, mrowienie, jakby przebiegały po nim tysiące mrówek. To było nieznośne uczucie.

W dole, na motelowym prześcieradle, ujrzał całe swoje życie: wydarzenia rozłożone niczym dadaistyczny piknik, surrealistyczne tableau. Widział zdumione spojrzenie matki, Ambasadę Amerykańską w Norwegii, oczy Laury w dzień ślubu…

Zachichotał, rozciągając zeschnięte usta.

— Co cię tak bawi, piesku? — spytała Laura.

— Nasz ślub — odparł. — Przekupiłaś organistę, żeby zamiast marsza weselnego zagrał w chwili twojego wejścia temat z serialu „Scooby Doo”. Pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam, kochany. I udałoby się, gdyby nie te wścibskie dzieciaki.

— Tak bardzo cię kochałem — rzekł Cień.

Czuł na swych wargach jej usta, ciepłe, żywe, wilgotne, nie zimne i martwe, dlatego wiedział, że to kolejna halucynacja.

— Tak naprawdę cię tu nie ma, prawda?

— Nie — odparła. — Ale wzywasz mnie po raz ostatni. Przybędę.

Oddychanie przychodziło mu coraz trudniej, sznury zagłębiające się w ciało były czymś abstrakcyjnym, jak wolna wola czy wieczność.

— Śpij, piesku — powiedziała, choć wydało mu się, że tak naprawdę słyszy własny głos. I zasnął.

* * *

Słońce lśniło niczym cynowa moneta na ołowianym niebie. Cień powoli uświadomił sobie, że już się przebudził i że jest mu zimno. Lecz część jego umysłu, rozumiejąca sytuację, oddaliła się od całej reszty. Gdzieś z dali pojmował, że usta i gardło pieką go boleśnie, wysuszone, popękane. Czasami w blasku dnia widział spadające gwiazdy. Innym razem dostrzegał lecące ku niemu olbrzymie ptaki wielkości ciężarówek dostawczych. Żaden do niego nie dotarł, nic go nie dotknęło.

„Ratatosk. Ratatosk”. Świergot zamienił się w wyrzuty.

Wiewiórka wylądowała ciężko na jego ramieniu, wbijając weń ostre pazurki, i spojrzała mu prosto w twarz. Zastanawiał się, czy to także halucynacja: zwierzątko trzymało w przednich łapkach skorupkę orzecha włoskiego niczym filiżankę z domu dla lalek. Przycisnęło ją do ust Cienia. Cień poczuł wodę; odruchowo wciągnął ją w usta, pijąc z maleńkiego kielicha. Zwilżył spękane wargi, suchy język, przepłukał

zaschnięte usta i przełknął resztę, maleńki łyk wody.

Wiewiórka wróciła na drzewo, zbiegła ku korzeniom, a potem, po kilku sekundach, minutach czy może godzinach, Cień nie potrafił określić (pomyślał, że wszystkie zegary w jego umyśle już się zepsuły, ich koła zębate, łańcuchy i połamane sprężyny tworzyły stos złomu w falującej trawie), zwierzę powróciło z orzechowym kubkiem, ostrożnie wspinając się na pień. Cień wypił przyniesioną mu wodę.

Jego usta wypełnił smak błota i żelaza. Woda ochłodziła wysuszone gardło, złagodziła zmęczenie i szaleństwo.

Po trzeciej porcji przestało go dręczyć pragnienie.

I wtedy zaczął walczyć, szarpać liny, kołysać ciałem, próbując zejść, uwolnić się, uciec. Jęczał.

Węzły okazały się mocne, sznury wytrzymałe i wkrótce Cień znów wyczerpał wszystkie siły.

* * *

W swym delirium Cień stał się drzewem. Jego korzenie sięgały daleko w głąb gliniastej ziemi, w głąb czasu, do ukrytych źródeł. Poczuł źródło kobiety zwanej Urd, co oznacza przeszłość. Była wielka niczym olbrzymka — podziemna góra o kształtach niewiasty, a wody, których strzegła, były wodami czasu. Inne korzenie sięgały ku innym miejscom, niektóre z nich skrywała tajemnica. Teraz, gdy czuł pragnienie, czerpał wodę z korzeni, wciągał ją do swego jestestwa.

Miał sto rąk rozdzielających się na setki tysięcy palców, a wszystkie palce sięgały ku niebu. Przytłaczający ciężar firmamentu spoczywał na jego ramionach.

Jego cierpienie nie zmalało, lecz ból przynależał do postaci wiszącej na drzewie, nie do samego drzewa. Cień w swym obłędzie stał się kimś więcej niż człowiekiem na drzewie. Był drzewem, wiatrem kołyszącym nagimi gałęziami drzewa świata, szarym niebem, skłębionymi chmurami, wiewiórką Ratatosk przebiegającą od najgłębszych korzeni ku najwyższym gałęziom, sokołem o szalonych oczach, siedzącym na złamanym konarze u stóp drzewa i oglądającym stamtąd świat, robakiem w rdzeniu pnia.

Gwiazdy krążyły mu nad głową, a on wyciągał ku nim setkę rąk, chwytając je, ukrywając, przekładając…

* * *

Chwila jasności w morzu bólu i obłędu: Cień miał wrażenie, jakby wypłynął na powierzchnię. Wiedział, że to nie potrwa długo. Poranne słońce go oślepiało. Zamknął oczy, żałując, że nie może ich osłonić.

Nie zostało mu wiele czasu. To także wiedział.

Gdy otworzył oczy, przekonał się, że obok niego na drzewie siedzi młody mężczyzna. Skórę miał ciemnobrązową, czoło wysokie, ciemne włosy mocno skręcone. Przycupnął na wysokiej gałęzi nad głową Cienia. Cień widział go wyraźnie, unosząc głowę. Widział też, że mężczyzna jest kompletnie szalony. Dostrzegł to na pierwszy rzut oka.

— Jesteś nagi — powiedział szaleniec załamującym się głosem, jakby zdradzał mu największy sekret świata. — Ja też jestem nagi.

— Widzę — wychrypiał Cień.

Szaleniec spojrzał na niego, przytaknął i pokręcił głową w dół i dookoła, jakby próbował rozluźnić zdrętwiały kark. W końcu spytał:

— Znasz mnie?

— Nie — odparł Cień.

— Ja ciebie znam. Obserwowałem cię w Kairze. I potem. Moja siostra cię lubi.

— Ty jesteś… — nie mógł przypomnieć sobie imienia. *Zjada zwierzęta z drogi.* Tak. — Jesteś Horus.

Szaleniec skinął głową.

— Horus — powtórzył. — Jestem jastrzębiem poranka, sokołem popołudnia, jestem słońcem. Tak jak ty. I znam prawdziwe imię Ra. Matka mi powiedziała.

— To świetnie — odrzekł uprzejmie Cień.

Szaleniec długą chwilę wpatrywał się uważnie w trawę pod nimi. Milczał. A potem zeskoczył z drzewa.

Sokół runął jak kamień ku ziemi. W ostatniej chwili wyszedł z lotu koszącego, ciężko zatrzepotał skrzydłami i wrócił na drzewo, trzymając w szponach małego królika. Wylądował na gałęzi bliżej Cienia.

— Jesteś głodny? — spytał szaleniec.

— Nie — odparł Cień. — Chyba powinienem być, ale nie jestem.

— Ja jestem głodny — oznajmił tamten.

Pospiesznie zjadł królika, rozszarpując go, wysysając, rozdzierając na strzępy. Skończywszy posiłek, upuścił na ziemię obgryzione kości i futro. Przeszedł po gałęzi, zbliżając się do Cienia na odległość ręki, i zaczął oglądać go z ciekawością, uważnie, ostrożnie, od stóp do głów. Na brodzie i piersi miał plamy króliczej krwi. Starł je grzbietem dłoni.

Cień poczuł, że musi coś powiedzieć.

— Hej — rzucił.

— Hej — odparł szaleniec. Wyprostował się na gałęzi, odwrócił od Cienia i wypuścił na łąkę w dole strumień ciemnego moczu. Sikał

bardzo długo. Gdy skończył, znów przykucnął.

— Jak cię zwą? — spytał Horus.

— Cień — odparł Cień.

Szaleniec skinął głową.

— Ty jesteś cieniem, ja światłem. Wszystko, co istnieje, rzuca cień. — Po czym dodał: — Wkrótce zaczną walczyć. Obserwowałem ich, gdy się zjeżdżali.

— Ty umierasz — powiedział po chwili milczenia. — Prawda?

Cień jednak nie mógł już mówić. Sokół wzleciał w powietrze i zataczając kręgi, powoli uniósł się ku niebu, szybując na prądach wznoszących.

* * *

Blask księżyca.

Atak kaszlu wstrząsnął ciałem Cienia. Głęboki bolesny kaszel raniący gardło i płuca. Cień, krztusząc się, chwycił powietrze.

— Witaj, piesku — usłyszał znajomy głos.

Spojrzał w dół.

Białe światło księżyca przeświecało przez gałęzie drzewa, jasne jak w dzień. W dole, u stóp drzewa, stała kobieta o owalnej bladej twarzy. Wiatr kołysał gałęziami.

— Cześć, piesku — powtórzyła.

Próbował coś powiedzieć, zamiast tego z jego piersi wydobył się kaszel i długo go męczył.

— Wiesz — rzuciła wesoło. — To nie brzmi dobrze.

— Witaj, Lauro — wychrypiał.

Spojrzała na niego ciemnymi oczami i uśmiechnęła się.

— Jak mnie znalazłaś?

Przez chwilę milczała w blasku księżyca.

— Ze wszystkiego, co mam, ty jesteś najbliższy życia. Tylko ty mi pozostałeś. Tylko ty nie jesteś ponury, płaski, szary. Nawet z zasłoniętymi oczami, ciśnięta na dno najgłębszego oceanu, wiedziałabym gdzie cię szukać. Mogliby mnie pogrzebać sto mil pod ziemią, a nadal potrafiłabym cię znaleźć.

Spojrzał w dół na kobietę w blasku księżyca i oczy zapiekły go od łez.

— Odetnę cię — oznajmiła po chwili. — Zbyt wiele czasu poświęcam na ratowanie ci życia, prawda?

Znów zakasłał.

— Nie, zostaw mnie. Muszę to zrobić.

Uniosła głowę i pokręciła nią.

— Oszalałeś. Ty przecież umierasz. W najlepszym razie zostaniesz kaleką, jeśli już nim nie jesteś.

— Może — odparł. — Ale teraz żyję.

— Tak — powiedziała po chwili. — Chyba tak.

— Mówiłaś mi wtedy, na cmentarzu.

— Wydaje się, że minęło tyle czasu, piesku. Tu czuję się lepiej. Tak bardzo nie boli. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć? Ale bardzo chce mi się pić.

Wiatr nieco zelżał i Cień poczuł jej woń: smród gnijącego mięsa, choroby i rozkładu, mdlący, przenikliwy.

— Straciłam pracę — oznajmiła. — Pracowałam w nocy, ale mi oznajmili, że ludzie skarżyli się na mnie. Mówiłam, że jestem chora, ich to jednak nie obeszło. Jestem taka spragniona.

— Kobiety — rzekł. — Mają wodę. W domu.

— Piesku… — w jej głosie zabrzmiał lęk.

— Powiedz im… powiedz, że prosiłem, by dały ci wodę…

Biała twarz zwróciła się ku niemu.

— Powinnam już iść — oznajmiła. Potem zakrztusiła się, skrzywiła i wypluła na trawę coś białego. To coś wylądowało na ziemi i odpełzło.

Cień oddychał z największym trudem. Pierś miał ciężką, kręciło mu się w głowie.

— Zostań — rzekł głosem cichszym od szeptu. Nie wiedział, czy go usłyszała. — Proszę, nie odchodź. — Znów zaczął kaszleć. — Zostań do rana.

— Trochę zostanę — odparła. A potem, niczym matka do dziecka, dodała: — Póki tu jestem, nic cię nie skrzywdzi. Wiesz o tym?

Cień znów się zakrztusił. Zamknął oczy — tylko na chwilkę, pomyślał — gdy jednak znów uniósł powieki, księżyc zaszedł, a on znów był sam.

* * *

Łoskot i ogłuszające pulsowanie w głowie, wykraczające poza ból migrenowy, poza wszelki ból. Wszystko rozpadało się na maleńkie motylki krążące wokół niego niczym wielobarwna burza piaskowa i znikające w mroku nocy.

Białe prześcieradło wokół ciała u stóp drzewa łopotało głośno, poruszane porannym wiatrem.

Rytmiczny łoskot ucichł, wszystko zwolniło bieg. Nie zostało już

nic, co zmuszałoby go do dalszego oddychania. Serce przestało bić w piersi.

Ciemność, w którą tym razem wkroczył, była głęboka, rozświetlona blaskiem samotnej gwiazdy i ostateczna.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wiem, że to oszustwo, ale to jedyna gra w mieście.

— Canada Bill Jones.

Drzewo zniknęło. Świat zniknął, szare poranne niebo nad głową także. Teraz niebo miało kolor północy. Wysoko w górze świeciła samotna, zimna gwiazda — jasny, mrugający punkcik. Nic poza tym. Cień postąpił krok naprzód i o mało się nie przewrócił.

Spojrzał w dół. W skale wycięto stopnie, tak wielkie, iż zdawało się, że to olbrzymy je wykuły i używały dawno, dawno temu.

Zaczął gramolić się w dół; na pół zeskakując, na pół zsuwając się z kolejnych stopni. Bolało go całe ciało. Był to ból wynikający z zastania mięśni, nie cierpienia umęczonego ciała, które aż do śmierci wisiało na drzewie.

Bez zdumienia zauważył, że jest teraz ubrany: w dżinsy i biały podkoszulek. Stopy miał bose. Nagle przeżył gwałtowne deja vu: dokładnie w tym samym stroju stał nocą w mieszkaniu Czernoboga, gdy przyszła do niego Zoria Połunocznaja i opowiedziała o gwiazdozbiorze zwanym Rydwanem Odyna. Wtedy zdjęła dla niego księżyc z nieba.

I nagle wiedział już, co się zaraz stanie: pojawi się Zoria Połunocznaja.

Czekała na niego u stóp schodów. Na niebie nie świecił księżyc, ją jednak nadal otaczała księżycowa poświata. Włosy miała białe, srebrzyste, na sobie tę samą bawełniano-koronkową nocną koszulę, co wówczas w Chicago.

Na jego widok uśmiechnęła się i spuściła wzrok, jakby zakłopotana.

— Witaj — rzekła.

— Cześć — odparł Cień.

— Co u ciebie?

— Sam nie wiem. Może to kolejny dziwny sen na drzewie. Od wyjścia z wiezienia nawiedzały mnie szalone sny.

Jej twarz była skąpana w srebrnym świetle księżyca (choć na czarnym jak śliwka niebie nie lśnił żaden księżyc, a teraz u stóp schodów stracili z oczu nawet samotną gwiazdę). Wyglądała krucho i poważnie.

— Jeśli chcesz, możesz otrzymać odpowiedzi na wszystkie twoje pytania. Gdy jednak raz je poznasz, już nigdy nie zapomnisz.

Za jej plecami ścieżka się rozdzielała. Wiedział, że będzie musiał postanowić, którędy pójść dalej, ale czuł, że najpierw powinien zrobić coś jeszcze. Sięgnął do kieszeni dżinsów i z ulgą poczuł na jej dnie znajomy ciężar monety. Wyciągnął ją, przytrzymał między kciukiem i palcem wskazującym: dolarówka z głową Wolności z 1922 roku.

— To należy do ciebie — rzekł.

W tym momencie przypomniał sobie, że tak naprawdę jego ubranie leży u stóp drzewa. Kobiety umieściły je w płóciennym worku, z którego wyjęły liny. Zawiązały koniec worka, a najwyższa z nich przygniotła go kamieniem, by ochronić przed wiatrem. Wiedział, iż w rzeczywistości dolarówka spoczywa w kieszeni, w worku, pod kamieniem. Wciąż czuł jednak jej ciężar w dłoni, tu, u wrót podziemnego świata.

Zoria Połunocznaja wzięła monetę smukłymi palcami.

— Dziękuję. Dwa razy kupiła ci wolność — oznajmiła — a teraz oświetli twą drogę w mroku.

Ścisnęła monetę w dłoni. Potem sięgnęła w górę i umieściła ją w powietrzu, najwyżej jak zdołała. Wtedy wypuściła dolarówkę. Miast spaść, moneta uleciała w górę, póki nie znalazła się trzydzieści centymetrów nad głową Cienia. Jednakże nie była to już srebrna dolarówka. Twarz Wolności otoczona ostrą koroną zniknęła. Na monecie ujrzał tajemnicze oblicze księżyca na letnim niebie.

Cień nie potrafił stwierdzić, czy patrzy na księżyc wielkości dolara, wiszący tuż nad jego głową, czy też na księżyc wielkości Oceanu Spokojnego, wiele tysięcy mil dalej. Nie żeby czyniło to jakąkolwiek różnicę. Może wszystko jest kwestią odpowiedniego spojrzenia?

Zerknął na rozwidlającą się ścieżkę.

— Którędy powinienem pójść? — spytał. — Która z dróg jest bezpieczna?

— Jeśli wybierzesz jedną, nie zdołasz pójść drugą — odparła. — Lecz żadna ze ścieżek nie jest bezpieczna. Którędy wolisz iść? Drogą trudnych prawd czy też drogą krzepiących kłamstw?

— Prawd — odparł. — Zbyt wiele już kłamstw usłyszałem.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

— Będziesz musiał za to zapłacić.

— Zapłacę. Jaja jest cena?

— Twoje imię — rzekła. — Twoje prawdziwe imię. Musisz mi je oddać.

— Jak?

— O tak.

Sięgnęła idealnie piękną ręką ku jego głowie. Poczuł palce muskające skórę, przebijające ją, wnikające w głąb czaszki, głęboko, do środka głowy. Nagle coś go załaskotało w głowie i wzdłuż

kręgosłupa. Zoria wyciągnęła rękę. Na czubku palca wskazującego tańczył płomyk, podobny do płomienia świecy, tyle że jasny, oślepiająco biały.

— To jest moje imię? — spytał Cień.

Zacisnęła palce. Płomyk zniknął.

— To było twoje imię — odparła. Wyciągnęła rękę i wskazała prawą odnogę ścieżki. — Tamtędy — oznajmiła — na razie.

Bezimienny Cień ruszył w blasku księżyca prawą ścieżką. Gdy się odwrócił, by jej podziękować, ujrzał jedynie ciemność. Miał wrażenie, że znajduje się głęboko pod ziemią. Kiedy jednak uniósł wzrok i spojrzał w mrok nad głową, wciąż widział maleńki księżyc.

Skręcił za róg.

Jeśli to jest życie po życiu — pomyślał — to bardzo przypomina Dom na Skale: częściowo diorama, częściowo nocny koszmar.

Widział samego siebie w niebieskim, więziennym stroju, w biurze naczelnika, gdy ten mówił mu o śmierci Laury w wypadku samochodowym. Ujrzał wyraz własnej twarzy — wyglądał jak człowiek, którego porzucił cały świat. Ów nagi strach i cierpienie sprawiały mu ból. Pospieszył naprzód, mijając szary gabinet naczelnika, i nagle odkrył, że zagląda do warsztatu naprawy magnetowidów na przedmieściach Eagle Point, trzy lata temu. O, tak.

Wiedział, że w środku bije na miazgę Larry'ego Powersa i B.J. Westa, rozwalając sobie kostki: wkrótce wyjdzie, dźwigając brązową torbę z supermarketu, wypełnioną dwudziestodolarówkami. Nigdy nie zdołali dowieść, że wziął te pieniądze: jego część łupu i nieco więcej, bo nie powinni byli próbować oszukać jego i Laury. Był tylko kierowcą, ale swoje zrobił. Zrobił wszystko, o co go prosiła…

Podczas procesu nikt nie wspominał o napadzie na bank, choć wszyscy bardzo tego chcieli. Niczego nie mogli dowieść, póki nikt się nie wygadał, toteż nic nie mówili. Oskarżyciel musiał skupić się na uszkodzeniach ciała Powersa i Westa. Zademonstrował zdjęcia obu mężczyzn w chwili przyjęcia do miejscowego szpitala. Cień prawie się nie bronił. Tak było łatwiej. Power i West nie potrafili sobie przypomnieć, o co poszło, przyznali jednak, że to Cień ich zaatakował.

Nikt nie wspominał o pieniądzach.

Nikt nie wspomniał imienia Laury, a Cieniowi tylko o to chodziło.

Zastanawiał się, czy ścieżka krzepiących kłamstw byłaby łatwiejsza. Odszedł stamtąd, podążając skalistą dróżką do pomieszczenia przypominającego szpitalny pokój, w szpitalu publicznym w Chicago. Poczuł, jak w gardle wzbiera mu żółć. Zatrzymał się. Nie chciał patrzeć. Nie chciał iść dalej.

W szpitalnym łóżku umierała jego matka, tak jak wtedy, gdy miał szesnaście lat. I owszem, był tutaj — wielki, niezgrabny szesnastolatek o policzkach barwy kawy ze śmietanką, pokrytych młodzieńczym

trądzikiem. Siedział przy łóżku, nie mogąc na nią patrzeć, i czytał grubą książkę. Cień, zaciekawiony, co to za książka, okrążył łóżko i przyjrzał się uważniej. Stanął między oboma meblami, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Wielki chłopak, który siedział zgarbiony na krześle, z nosem ukrytym w „Tęczy grawitacji", próbował uciec przed śmiercią matki do dręczonego nalotami Londynu, lecz fikcyjne szaleństwo książki nie ofiarowało schronienia.

Matka leżała z zamkniętymi oczami, pogrążona w morfinowym spokoju. Coś, co uznała za kolejny atak anemii sierpowatej, jeszcze jedno bolesne przesilenie, okazało się, co odkryto zbyt późno, chłoniakiem. Jej skóra miała szarożółtą barwę. Matka niedawno przekroczyła trzydziestkę, lecz wyglądała o wiele starzej.

Cień pragnął potrząsnąć samym sobą, niezgrabnym chłopakiem, którym kiedyś był; zmusić go, by wziął ją za rękę, przemówił do niej, zrobił cokolwiek, nim odejdzie, co, jak wiedział, nastąpi szybko. Nie mógł jednak się dotknąć, toteż czytał dalej. I tak jego matka umarła, gdy on siedział przy łóżku, pogrążony w lekturze.

Potem praktycznie przestał czytać. Literaturze nie można ufać. Na co komu książki, jeśli nie mogą obronić przed czymś takim?

Cień wyszedł z pokoju szpitalnego i ruszył naprzód krętym korytarzem, głęboko we wnętrznościach ziemi.

Najpierw widzi swą matkę. Nie może uwierzyć, jak młodo wygląda. Nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat, nie odeszła z pracy z powodów zdrowotnych. Są w mieszkaniu wynajętym przez ambasadę, gdzieś w północnej Europie. Rozgląda się w poszukiwaniu jakiejkolwiek wskazówki i widzi siebie — małego dzieciaka o wielkich, szarych oczach i ciemnych włosach. Kłócą się. Cień nie musi słuchać, by wiedzieć, o co się kłócą. Ostatecznie, nigdy nie spierali się o nic innego.

— Opowiedz mi o moim ojcu.

— On nie żyje. Nie pytaj o niego.

— Ale kim był?

— Zapomnij o nim. Umarł. Odszedł. Niczego nie straciłeś.

— Chcę zobaczyć zdjęcie.

— Nie mam żadnego zdjęcia. — Jej głos opada w groźnej ciszy.

Cień wiedział, że jeśli nie przestanie pytać, ona zacznie krzyczeć, czy nawet go uderzy. Wiedział też, że nie zdoła się powstrzymać, toteż odwrócił się plecami i ruszył dalej tunelem.

Ścieżka, którą podążał, skręcała, zawracała, zataczała kręgi. Przypominała mu odrzucone wężowe skóry, wnętrzności, głębokie korzenie drzew. Po drugiej stronie dostrzegł jezioro. Usłyszał ciche kap, kap wody w głębi tunelu. Spadająca woda niemal nie naruszała gładkiej tafli. Osunął się na kolana i zaczął pić, oburącz unosząc wodę do ust. Potem ruszył dalej i nagle znalazł się wśród roztańczonych,

dyskotekowych błysków lustrzanej kuli, zupełnie jakby trafił w sam środek wszechświata; wszystkie gwiazdy i planety krążyły wokół niego. Niczego nie słyszał, muzyki ani krzyków. Patrzył na kobietę, która nie jest wcale podobna do matki, jaką znał. Teraz jest ledwie dzieckiem…

I tańczy.

Cień odkrył, że zupełnie nie zdumiał go widok tańczącego z nią mężczyzny. Mężczyzna ów nie zmienił się specjalnie przez ostatnie trzydzieści trzy lata.

Dziewczyna jest pijana. Cień dostrzegł to natychmiast. Nie bardzo pijana, ale nieprzywykła do alkoholu. Za jakiś tydzień popłynie statkiem do Norwegii. Oboje pili margaritę; na wargach i grzbiecie dłoni pozostały jej kryształki soli.

Wednesday nie ma na sobie garnituru i krawata, lecz zapinka w kształcie srebrnego drzewa, przypięta do kieszeni koszuli, migocze i połyskuje w świetle lusterek. Tworzą piękną parę, zważywszy na dzielącą ich różnicę wieku. Wednesday porusza się z wilczą gracją.

Powolny taniec. Przyciąga ją do siebie. Jego potężna dłoń gestem właściciela otacza pośladki dziewczyny, przyciągając ją bliżej. Drugą ręką Wednesday ujmuje ją pod brodę. Unosi głowę i całują się na parkiecie, a blask lusterek otacza ich, wciąga w serce wszechświata.

Wkrótce potem wychodzą. Ona kołysze się lekko, a on wyprowadza ją na zewnątrz.

Cień ukrywa głowę w dłoniach. Nie idzie za nimi, nie chcąc lub nie mogąc stać się świadkiem własnego poczęcia.

Światełka zniknęły. Jedyny blask padał z maleńkiego księżyca, płonącego wysoko nad głową.

Cień ruszył naprzód. Za zakrętem przystanął na moment, by odetchnąć.

Poczuł dłoń muskającą lekko jego plecy, palce łagodnie rozgarniające włosy na karku.

— Witaj — zza ramienia dobiegł go zmysłowy, koci szept.

— Witaj — odparł i odwrócił się do niej.

Miała brązowe włosy i brązową skórę. Jej oczy były bursztynowozłote niczym najlepszy miód, przecięte pionowymi szczelinami źrenic.

— Czy ja cię znam? — spytał zdumiony.

— I to bardzo blisko — odparła z uśmiechem. — Sypiałam na twoim łóżku, a moi poddani mieli na ciebie oko.

Odwróciła się do ścieżki, wskazując trzy kierunki, w których mógł się udać.

— W porządku — rzekła. — Jedna z nich da ci mądrość. Jedna sprawi, że staniesz się cały, a jedna cię zabije.

— Ja chyba już nie żyję. Umarłem na tamtym drzewie.

Kobieta wydęła wargi.

— Istnieje śmierć — rzekła — i śmierć, i śmierć. Wszystko jest rzeczą względną. — Potem znów się uśmiechnęła. — Mogłabym nawet zażartować o śmiertelnej względności śmierci.

— Nie — odparł Cień — nie trzeba.

— A zatem którędy chcesz pójść? — spytała.

— Nie wiem — przyznał.

Przechyliła głowę w doskonale kocim geście. Nagle Cień przypomniał sobie ślady pazurów na ramionach. Poczuł, że się rumieni.

— Jeśli mi zaufasz — oznajmiła Bast — mogę wybrać za ciebie.

— Ufam ci — rzekł bez wahania.

— Chcesz wiedzieć, czym za to zapłacisz?

— Straciłem już imię — odparł.

— Imiona przychodzą i odchodzą. Było warto?

— Tak. Może. Nie było łatwo. To dość osobiste objawienie.

— Wszystkie objawienia są osobiste — rzekła. — I dlatego są też podejrzane.

— Nie rozumiem.

— Nie, nie rozumiesz — zgodziła się. — Wezmę twoje serce. Przyda nam się później.

Wsunęła dłoń głęboko w jego pierś i wyciągnęła coś rubinowego i pulsującego w jej ostrych paznokciach, coś barwy gołębiej krwi, zrobionego z czystego światła. Bryła światła rozszerzała się i kurczyła rytmicznie.

Bast zacisnęła palce; światło zniknęło.

— Idź środkową drogą — poleciła.

Cień skinął głową i ruszył naprzód.

Ścieżka stawała się śliska, kamienie pokrywała warstwa szronu. Księżyc nad jego głową migotał w kryształkach lodu w powietrzu. Otaczało go halo, poświata rozpraszająca blask. Było to piękne, ale utrudniało marsz niepewną ścieżką.

W końcu dotarł do rozstajów.

Spojrzał na pierwszą ścieżkę i odniósł dziwne wrażenie, że ogląda coś znajomego. Prowadziła do olbrzymiej komnaty, czy też serii komnat przypominających mroczne muzeum. Już je znał. Słyszał długie echa nawet najsłabszych odgłosów. Słyszał dźwięk opadającego kurzu.

To było miejsce, które widział we śnie owej pierwszej nocy w motelu, gdy odwiedziła go Laura, jakże dawno temu. Nieskończona sala pamięci zapomnianych bogów, i tych, których samo istnienie zostało zapomniane.

Cofnął się o krok. Przeszedł na drugą stronę i spojrzał przed siebie. Ten korytarz kojarzył się z Disneylandem — czarne ściany z

pleksiglasu, wysadzane światełkami. Kolorowe lampki mrugały i rozbłyskiwały, tworząc złudzenie porządku, choć w istocie nie kierował nimi żaden wyższy sens. Były jak konsola telewizyjnego statku kosmicznego.

Tam także coś słyszał — głębokie basowe wibracje, które poczuł w głębi żołądka.

Przystanął i rozejrzał się. Żaden ze szlaków nie wydawał mu się tym właściwym. Już nie. Miał dosyć ścieżek. Na niego czekała środkowa droga, ta, którą wskazała mu kobieta-kot. Ruszył ku niej.

Księżyc zaczął gasnąć. Jego krawędź poróżowiała, jakby zbliżało się zaćmienie. Ścieżkę zamykały potężne drzwi.

Cień przeszedł przez łukowate wrota w ciemność. Ciepłe powietrze pachniało wilgotnym kurzem, jak miejska ulica po pierwszym letnim deszczu.

Nie bał się.

Już nie. Strach zmarł wraz z nim na drzewie. Nie czuł już lęku, nienawiści, bólu. Pozostało jedynie samo jądro istnienia.

Coś wielkiego poruszało się z pluskiem w dali i ów plusk odbijał się echem w rozległych komnatach. Cień zmrużył oczy, niczego jednak nie widział. Było zbyt ciemno. A potem ze strony, z której dobiegały pluski, zapłonęło widmowe światło. Świat nabrał kształtów: Cień znajdował się w jaskini, a przed sobą widział gładką jak lustro taflę wody.

Pluski zbliżyły się. Światło pojaśniało. Cień czekał na brzegu. Wkrótce jego oczom ukazała się długa, płaska łódź. Na uniesionym dziobie płonęła biała latarnia, odbijając się w szklistoczarnej wodzie parę metrów niżej. Łódź odpychała od dna wysoka postać. Pluski, które słyszał Cień, towarzyszyły poruszeniom tyczki, napędzającej łódkę na wodach podziemnego jeziora.

— Hej, tam! — zawołał Cień. Nagle otoczyły go echa własnych słów. Miał wrażenie, jakby cały chór ludzi witał go tutaj i przyzywał, a każdy z nich miał jego głos.

Istota w łodzi nie odpowiedziała.

Sternik był wysoki i bardzo chudy. On — jeśli w ogóle to był on — miał na sobie prostą, białą szatę, a sterczącą nad nią jasna głowa była tak całkowicie nieludzka, że Cień święcie wierzył, że to maska — ptasia głowa; maleńka na długiej szyi, z długim, wygiętym dziobem. Cień był pewien, że widział już gdzieś tę upiorną postać. Zaczął szukać w pamięci i z nagłym uczuciem zawodu uświadomił sobie, że wspomina automat oglądany w Domu na Skale i bladą, dziwnie ptasią, ledwie dostrzeżoną figurkę, wynurzającą się zza krypty po duszę pijaka.

Woda kapała z pluskiem z tyczki i dziobu. Łódź pozostawiała po sobie fale na szklistoczarnej wodzie. Zrobiono ją ze związanych,

splecionych trzcin.

Powoli zbliżała się do brzegu. Sternik oparł się na tyczce. Wolno odwrócił głowę, aż w końcu spojrzał wprost na Cienia.

— Witaj — rzekł, nie poruszając dziobem. Głos należał do mężczyzny i, jak wszystko inne w tym życiu po śmierci, brzmiał znajomo. — Wejdź na pokład. Lękam się, że musisz zmoczyć stopy, ale nic nie da się na to poradzić. To stare łodzie. Gdybym podpłynął bliżej, przedziurawiłbym dno.

Cień zdjął buty i wszedł do wody. Sięgała mu do połowy łydek i po pierwszym szoku okazała się zdumiewająco ciepła. Dotarł do łodzi, sternik podał mu rękę i wciągnął go na pokład. Trzcinowa łódka zakołysała się lekko. Przez niskie burty polało się do środka trochę wody. Potem wszystko się uspokoiło.

Sternik odepchnął łódź drągiem i odpłynęli od brzegu. Cień stał obok. Nogawki jego spodni ociekały wodą.

— Ja cię znam — rzekł do istoty na dziobie.

— Istotnie — odparł przewoźnik. Lampa oliwna na dziobie zaczęła mrugać. Dym drapał Cienia w gardle. — Pracowałeś dla mnie. Niestety, musieliśmy pogrzebać panią Lilę Goodchild bez ciebie. — Jego głos był spokojny, precyzyjny.

Cienia zapiekły oczy. Otarł dłonią łzy i przez moment wydało mu się, że pośród dymu widzi wysokiego mężczyznę w garniturze i okularach w złotej oprawie. Potem dym się rozwiał. Przewoźnik znów stał się półludzką istotą z głową rzecznego ptaka.

— Pan Ibis?

— Miło znów cię widzieć — odparła istota głosem pana Ibisa. — Wiesz, czym jest psychopomp?

Cieniowi wydało się, że zna to słowo, ale minęło zbyt wiele czasu, odkąd je słyszał. Pokręcił głową.

— To wymyślne określenie towarzysza — wyjaśnił pan Ibis. — Wszyscy mamy tak wiele funkcji, tak wiele powodów istnienia. W mojej własnej wizji jestem uczonym, wiodącym spokojne życie, zapisującym opowieści i śniącym o przeszłości, która być może istniała, a być może nie. I w pewnym sensie jest to prawda. Oprócz tego jednak, podobnie jak wielu spotkanych przez ciebie ludzi, pełni inne funkcje. Jestem też psychopompem. Towarzyszę żywym w drodze do świata umarłych.

— Sądziłem, że już jesteśmy w świecie umarłych — zauważył Cień.

— Nie. Nie *per se.* To bardziej przedsionek. — Łódź ślizgała się na lustrzanej powierzchni podziemnego jeziora. A potem pan Ibis powiedział, nie poruszając dziobem:

— Wy, ludzie, mówicie o życiu i śmierci, jakby to były dwie rzeczy wzajemnie się wykluczające, jakby nie istniała rzeka, będąca

również drogą, czy pieśń, będąca kolorem.

— Bo nie istnieją — odparł Cień. — Prawda? — Echa znad wody powtarzały szeptem jego słowa.

— Musisz pamiętać — rzekł cierpko pan Ibis — że życie i śmierć to dwie strony tej samej monety, jak orzeł i reszka na ćwierćdolarówce.

— A gdybym miał ćwierćdolarówkę o dwóch orłach?

— Ale nie masz.

I wtedy, gdy tak płynęli po mrocznych wodach jeziora, Cień poczuł nagły dreszcz. Wyobraził sobie, że dostrzega twarze dzieci patrzące na niego z wyrzutem spod szklistej powierzchni. Ich oblicza były miękkie, nasiąknięte wodą, ślepe oczy zamglone. W podziemnej jaskini powietrze trwało nieruchomo, nic nie naruszało czarnej tafli jeziora.

— A zatem nie żyję — powiedział Cień. Powoli przywykał do tej myśli. — Albo wkrótce umrę.

— Zmierzamy do Pałacu Umarłych. Prosiłem, bym to ja mógł po ciebie przybyć.

— Czemu?

— Dobrze pracowałeś. Czemu nie?

— Bo… — Cień zebrał myśli. — Bo ja nigdy w was nie wierzyłem. W ogóle nie znałem egipskiej mitologii, nie spodziewałem się tego. Co się stało ze św. Piotrem i Perłową Bramą?

Biała głowa o długim dziobie poruszyła się z powagą z boku na bok.

— Nieważne, że w nas nie wierzyłeś — oznajmił pan Ibis. — My wierzyliśmy w ciebie.

Łódź dotknęła dna. Pan Ibis przekroczył burtę i stanął w jeziorze. Polecił, by Cień uczynił to samo. Pan Ibis wyjął z dziobu linę, podał Cieniowi latarnię w kształcie półksiężyca. Weszli na brzeg i pan Ibis przywiązał łódź do metalowego pierścienia osadzonego w kamiennym podłożu. Potem odebrał swemu towarzyszowi lampę i ruszył szybko naprzód, unosząc ją wysoko. Na kamiennej podłodze i kamiennych murach tańczyły cienie.

— Boisz się? — spytał pan Ibis.

— Raczej nie.

— Spróbuj po drodze wzbudzić w sobie uczucie lęku i nabożnej grozy. Przydadzą się w obecnej sytuacji.

Cień nie czuł strachu, jedynie zaciekawienie i lekką obawę. Nie bał się ciemności ani śmierci, ani nawet istoty o psiej głowie, wielkiej niczym silos zbożowy, która patrzyła na nich uważnie. Gdy się zbliżyli, istota warknęła z głębi gardła i Cień poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

— Cień — powiedziała — nadszedł czas Sądu.

Cień uniósł wzrok.

— Pan Jaquel? — spytał.

Ręce Anubisa opadły. Ogromne, ciemne dłonie chwyciły Cienia i uniosły go wysoko.

Głowa szakala patrzyła nań jasnymi, migoczącymi oczami. Obserwowała go równie beznamiętnie, jak pan Jaquel badający martwą dziewczynę na stole. Cień wiedział, iż tamten dostrzega wszystkie jego wady, klęski, niepowodzenia i słabości, mierzy je i waży. Że pod pewnym względem bada go niczym ciało podczas sekcji, rozcina, smakuje.

Nie zawsze pamiętamy rzeczy, które nie przynoszą nam chwały. Usprawiedliwiamy je, opatulamy w pogodne kłamstwa lub grubą warstwę niepamięci. Wszystkie rzeczy, których Cień dokonał w życiu i z których nie był dumny, wszystko, czego żałował, o czym wolałby zapomnieć, powróciło do niego w straszliwym wirze żalu, smutku, wstydu i poczucia winy, a on nie miał się jak ukryć. Był nagi i otwarty niczym trup na stole sekcyjnym, a czarny Anubis, Bóg Szakal, stał się jego śledczym, oskarżycielem i katem.

— Proszę — rzekł Cień. — Proszę, przestań!

Lecz badanie trwało dalej. Każde kłamstwo, które tylko wypowiedział, każdy ukradziony przedmiot, każdy ból, jaki sprawił innej osobie, wszystkie maleńkie zbrodnie i drobne morderstwa, składające się na każdy kolejny dzień — to wszystko, i jeszcze więcej, zostało wydobyte z zapomnienia i ujawnione przez sędziego umarłych o głowie szakala.

I wówczas na dłoni ciemnego boga Cień rozpłakał się boleśnie. Znów był małym dzieckiem, bezradnym i bezsilnym.

A potem, bez ostrzeżenia, wszystko się skończyło. Cień dyszał i szlochał. Ciekło mu z nosa. Wciąż czuł się bezradny, lecz ręce postawiły go ostrożnie, niemal czule na ziemi.

— Kto ma jego serce? — warknął Anubis.

— Ja — zamruczał kobiecy głos.

Cień uniósł wzrok. Bast stała obok istoty, która nie była już panem Ibisem. W prawej dłoni trzymała serce Cienia. Rubinowy blask oświetlał jej twarz.

— Oddaj mi je — polecił Thoth, bóg o głowie ibisa. Wziął w swe nieludzkie dłonie serce i ruszył naprzód.

Anubis postawił przed sobą złotą wagę.

— Teraz dowiemy się dokąd trafię? — szepnął Cień do Bast. — Do nieba, piekła, czyśćca?

— Jeśli szale się wyrównają — odparła — będziesz mógł sam dokonać wyboru.

— A jeśli nie?

Wzruszyła ramionami, jakby wolała nie rozmawiać na ten temat.

— Wówczas oddamy twoje serce i duszę Ammetowi, pożeraczowi dusz.

— Może — zaczął — może jednak czeka mnie szczęśliwe zakończenie?

— Nie ma czegoś takiego, jak szczęśliwe zakończenia — powiedziała. — Gorzej, w ogóle nie ma zakończeń.

Na jednej z szal Anubis złożył z szacunkiem pióro.

Serce Cienia umieścił na drugiej. Coś poruszyło się w mroku pod wagą, coś, czemu Cień wolał nie przyglądać się bliżej.

To było ciężkie pióro, lecz Cień miał ciężkie serce. Szalki zakołysały się niebezpiecznie.

W końcu jednak zrównoważyły się i istota w mroku umknęła, nie zaspokoiwszy głodu.

— A zatem tak to wygląda — Bast westchnęła. — Kolejna czaszka na stosie. Szkoda. Miałam nadzieję, że przydasz się do czegoś w obecnej sytuacji. Zupełnie jakbym wyglądała zdjęcia z wypadku na zwolnionym filmie i nie mogła mu zapobiec.

— Nie będzie cię tam?

Pokręciła głową.

— Nie lubię, gdy inni ludzie wybierają za mnie moje bitwy.

I wtedy w olbrzymim pałacu Śmierci, pomiędzy wodą i mrokiem, zapadła cisza.

— Teraz mogę wybrać, dokąd pójdę? — spytał Cień.

— Wybieraj — rzucił Thoth. — Albo my wybierzemy za ciebie.

— Nie — odparł Cień. — W porządku, sam to zrobię.

— I co?! — ryknął Anubis.

— Teraz chcę odpocząć — oznajmił Cień. — Tego właśnie pragnę: niczego. Nie nieba, piekła. Niczego. Po prostu niech wszystko się skończy.

— Jesteś pewien? — spytał Thoth.

— Tak — odparł Cień.

Pan Jaquel otworzył przed Cieniem ostatnie drzwi. Za nimi była tylko nicość. Nie ciemność czy nawet zapomnienie. Nic.

Cień poczuł dziwną, gwałtowną radość. Bez wahania spokojnie przekroczył próg, wkraczając w nicość.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na tym kontynencie wszystko dzieje się w większej skali. Tutejsze rzeki są ogromne, klimat gwałtowny, zimny i gorący, perspektywy niewiarygodne, błyskawice jakich jeszcze nie widziano. Każdy występek sprawia, że chwieją się same podstawy prawa. Tu nasze biedy, pomyłki i klęski także urastają do ogromnych rozmiarów.

— Lord Carlisle do George'a Selwyna, 1778

Najważniejsze miejsce w południowo-wschodnich Stanach Zjednoczonych reklamuje się na setkach dachów starych stodół w stanach Georgia, Tennessee, a nawet Kentucky. Jadący krętą leśną drogą kierowca mija zrujnowaną, czerwoną stodołę i widzi na dachu wymalowane słowa:

ODWIEDŹ SKALNE MIASTO
ÓSMY CUD ŚWIATA

Zaś na dachu pobliskiej obory białe litery głoszą:

OBEJRZYJ SIEDEM STANÓW ZE SKALNEGO MIASTA
PRAWDZIWEGO CUDU ŚWIATA

Kierowca może sądzić, że Skalne Miasto znajduje się gdzieś za najbliższym zakrętem, tymczasem wciąż jest od niego oddalone o cały dzień jazdy. Tuż za granicą stanu Georgia, na południowy zachód od Chattanoogi w stanie Tenneessee stoi Góra Czatów.

Góra Czatów tak naprawdę nie jest zbyt imponującą górą. Przypomina raczej niezwykle wysokie wzgórze. Gdy przybyli tam biali, wokół góry mieszkali Indianie Chickmauga ze szczepu Czirokezów. Nazywali ją Chattotonoogee, co oznaczało Góra Wznosząca się aż po Szpic.

W latach trzydziestych XIX w. Ustawa o Przesiedleniu Indian

Adrew Jacksona wygnała Indian z ich ziem — Choctawów, Chickamaugów, Czirokezów i Chickasawów. Amerykańscy żołnierze zmusili wszystkich do liczącego sobie prawie półtora tysiąca kilometrów marszu Szlakiem Łez na nowe indiańskie terytoria, które w przyszłości zostaną nazwane Oklahoma. Był to akt zwykłego ludobójstwa. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zginęło w owym marszu. Zwycięzcy mają zawsze rację. Nikt nie słucha przegranych.

Ktokolwiek bowiem panował nad Górą Czatów, panował nad całą ziemią. Tak głosiła legenda. Było to w końcu święte miejsce. Podczas wojny secesyjnej stoczono tu bitwę: Bitwę nad Chmurami. A potem siły Unii dokonały niemożliwego i bez rozkazu wtargnęły na szczyt. Północ zdobyła Górę Czatów. Północ zwyciężyła.

Pod Górą Czatów rozciąga się sieć tuneli i jaskiń, niektórych bardzo starych. Obecnie większość z nich jest zasypana, choć miejscowy biznesmen odkopał podwodny wodospad, który nazwał Rubinową Kaskadą. Można do niego dotrzeć windą. To atrakcja turystyczna, choć znacznie większa atrakcja mieści się na szczycie Góry Czatów. To właśnie Skalne Miasto.

Skalne Miasto okala ozdobny ogród na zboczu góry. Goście wędrują ścieżką wiodącą między skałami, nad skałami, przez skały. Rzucają kukurydzę do zagrody jeleni, przechodzą przez wiszący most i korzystają z lornetek na monety, przez które w rzadki, pogodny dzień, gdy powietrze jest idealnie czyste, widać siedem stanów. Stamtąd zaś, niczym szlak skręcający wprost do kamiennego piekła, ścieżka prowadzi miliony turystów do jaskiń, gdzie czekają podświetlone lalki, ustawione w dioramy rodem z wierszyków dla dzieci i z bajek?

Opuszczając Skalne Miasto, turyści czują rozbawienie. Nie są pewni, po co tu przybyli i co zobaczyli ani czy bawili się dobrze, czy też nie.

* * *

Przybywali na Górę Czatów z całych Stanów Zjednoczonych. Nie byli turystami. Przybywali samochodami, samolotami, autobusami, koleją, pieszo. Niektórzy potrafili latać, nisko i tylko w nocnych ciemnościach. Kilku wybrało własną drogę pod ziemią. Wielu jechało autostopem, korzystając z uprzejmości szoferów i kierowców ciężarówek. Ci, którzy mieli własne samochody bądź ciężarówki, dostrzegali innych na poboczach, zjazdach bądź w barach po drodze i rozpoznając ich, proponowali podwiezienie.

Zjawiali się u stóp Góry Czatów zmęczeni i zakurzeni i, unosząc

wzrok ku porośniętym lasem zboczom, dostrzegali — czy też zdawało im się, że dostrzegają — ścieżki, ogrody i kaskady Skalnego Miasta.

Pierwsi zjawili się wczesnym rankiem. Druga fala przybyła o zmierzchu. I działo się tak od kilku dni.

Poobijana półciężarówka zatrzymała się na parkingu. Ze środka wysypała się grupka zmęczonych wił i rusałek — rozmazany makijaż, oczka w pończochach, zaspane, opuchnięte oczy.

W kępie drzew u stóp wzgórza starszy wampir poczęstował marlboro nagą, podobną do małpy istotę, porośniętą gęstym pomarańczowym futrem. Istota przyjęła papierosa i zapalili w milczeniu.

Na poboczu zatrzymała się toyota previa, z której wysiadło siedmioro Chinek i Chińczyków. Sprawiali wrażenie czystych i schludnych. Mieli na sobie ciemne garnitury i kostiumy, które w pewnych krajach kojarzą się ze służbami rządowymi. Jeden z nich trzymał w dłoni notatnik. Sprawdzał po kolei wyładowywane z bagażnika worki golfowe, w których kryły się ozdobne miecze o rękojeściach z laki, rzeźbione kije i lusterka. Chińczycy rozdzielili między siebie broń, podpisali jej odbiór, pokwitowali.

Słynny niegdyś komik, który teoretycznie zmarł w latach dwudziestych, wygramolił się z zardzewiałego samochodu i zaczął zdejmować ubranie: miał nogi kozła, ogon krótki, ciemny.

Po nim zjawiło się czterech Meksykanów o uśmiechniętych twarzach i czarnych, błyszczących włosach. Podawali sobie butelkę, ukrytą w brązowej papierowej torebce. Flaszka zawierała gorzką mieszankę czekolady w proszku, alkoholu i krwi.

Drobny ciemnobrody mężczyzna w tałesie i zakurzonym, czarnym kapeluszu, spod którego wypływały kręcone pejsy, zbliżył się ku nim, maszerując przez pole. O kilka kroków wyprzedzał swego towarzysza — dwukrotnie roślejszego olbrzyma o skórze barwy szarej polskiej gliny. Na czole wypisano mu słowo oznaczające życie.

Wciąż przybywali. Z taksówki wysypała się grupka kilku Rakszasów, demonów subkontynentu indyjskiego. Zaczęli krążyć wokół, przyglądając się bez słowa ludziom zebranym u stóp wzgórza. W końcu znaleźli Mamę-Ji, modlącą się z zamkniętymi oczami. Ze wszystkich obecnych znali tylko ją, lękali się jednak podejść, pamiętając o dawnych bitwach. Dłonie Mamy-Ji pocierały okalający szyję naszyjnik z czaszek. Jej brązowa skóra powoli stawała się czarna — lśniąca i czarna niczym dżet i obsydian. Wargi uniosły się, ukazując ostre, białe zęby. W końcu otworzyła wszystkie oczy, wezwała gestem Rakszasów i powitała ich niczym własne zaginione dzieci.

Burze szalejące w ciągu kilku ostatnich dni na południu i wschodzie nie oczyściły wcale ciężkiego, dusznego powietrza.

Miejscowi meteorolodzy zaczęli ostrzegać przed możliwymi trąbami powietrznymi, nieruchomymi frontami wysokiego ciśnienia. Za dnia było tu ciemno, nocą panował ziąb.

Zbierali się w nieformalne grupki, czasami połączeni narodowością, czasem rasą, temperamentem czy nawet gatunkiem. Rozglądali się z lękiem. Byli zmęczeni.

Niektórzy z nich rozmawiali; od czasu do czasu skądś dobiegał śmiech, ale zawsze stłumiony. Wokół krążyły sześciopaki piwa.

Kilkoro miejscowych mężczyzn i kobiet zjawiło się na łąkach. Ich ciała poruszały się w niezwykły, obcy sposób. Gdy przemawiali, głosy należały do władających nimi Loa: wysoki czarnoskóry mężczyzna przemawiał głosem Papy Legby, który otwiera bramy, a Baron Samedi, władca śmierci wudu wybrał sobie ciało nastoletniej fanki gotyckiego rocka z Chattanooga, być może dlatego, że miała już na głowie czarny, jedwabny cylinder, tkwiący zawadiacko na ciemnych włosach. Dziewczyna przemawiała głębokim głosem Barona, paliła olbrzymie cygaro i rozkazywała trzem Gede — Loa Śmierci. Gede zasiedlili ciała trzech braci w średnim wieku. Na ramionach nieśli strzelby i opowiadali dowcipy tak sprośne, że tylko oni sami byli zdolni się z nich śmiać, co też czynili donośnie.

Dwie jakby pozbawione wieku kobiety Chickamaugów, w poplamionych smarem dżinsach i wyświeconych skórzanych kurtkach krążyły dokoła, obserwując zgromadzonych, szykujących się do bitwy. Czasami pokazywały kogoś palcem i kręciły głowami. Nie zamierzały brać udziału w nadciągającym konflikcie.

Księżyc wynurzył się zza wschodniego horyzontu. Tylko dzień dzielił go od pełni. Czerwonopomarańczowa tarcza wisząca nad wzgórzami wydawała się przesłaniać pół nieba. Gdy się wznosił, powoli malał i bladł. W końcu zawisł wysoko niczym latarnia.

A oni, cały tłum, czekali w blasku księżyca u stóp Góry Czatów.

* * *

Laura czuła pragnienie.

Czasami żywi ludzie lśnili w jej umyśle niczym świece, czasami palili się jak pochodnie. Dzięki temu łatwo było ich unikać, a nieraz równie łatwo znaleźć. Cień, wiszący na drzewie, płonął niezwykłym, własnym ogniem.

Kiedyś, gdy spacerowali, trzymając się za ręce, wyrzuciła mu, że nie jest żywy. Miała wówczas nadzieję dostrzec iskrę emocji; zobaczyć cokolwiek.

Pamiętała, jak szła obok niego. Tak bardzo chciała sprawić, by zrozumiał, co próbowała mu powiedzieć.

Lecz Cień, umierający na drzewie, był całkowicie, absolutnie żywy. Obserwowała, jak umykało z niego życie, i widziała wszystko wyraźnie. Był taki rzeczywisty. Prosił, by z nim została, spędziła noc. Wybaczył jej… Może jej wybaczył. Nieważne. Zmienił się. Tyle wiedziała na pewno.

Cień kazał jej pójść na farmę; obiecał, że dostanie tam wodę. Dom był pusty. W oknach nie paliły się światła. Nie czuła niczyjej obecności. Przyrzekł jej jednak, że się nią zaopiekują. Pchnęła drzwi, które otwarły się z głośnym zgrzytem protestujących, zardzewiałych zawiasów.

Coś poruszyło się w jej lewym płucu, coś, co wiło się i wierciło. Zakasłała.

Znalazła się w wąskiej sieni, niemal całkowicie zablokowanej przez zakurzony fortepian. Wewnątrz budynku śmierdziało wilgocią i zgnilizną. Przecisnęła się obok instrumentu, otworzyła drzwi i ujrzała ubogi salon, pełen przypadkowych mebli. Na kominku stała lampa olejna. Niżej płonął ogień, choć przed domem Laura nie wyczuła dymu. Mimo ognia w pokoju czuła chłód. Ale też być może, przyznała w duchu, nie było to winą samego pomieszczenia.

Śmierć bolała, choć ból wiązał się głównie z rzeczami, których jej brakowało: potwornym pragnieniem, wysuszającym wszystkie komórki ciała, nieobecnością ciepła w kościach. Czasami przyłapywała się na myślach, czy płonący stos zdołałby ją ogrzać, czy miękka brązowa kołderka ziemi dałaby trochę ciepła, czy zimne morze zaspokoiłoby pragnienie…

Nagle uświadomiła sobie, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

Na starej kanapie siedziały trzy kobiety, pasujące do siebie niczym składowe eksponaty z niezwykłej wystawy. Kanapę pokryto wytartym aksamitem, obecnie brązowym, który kiedyś, sto lat temu, mógł być kanarkowożółty. Kobiety podążały za nią wzrokiem. Milczały.

Laura nie spodziewała się ich tutaj.

Coś poruszyło się w jej nosie. Sięgnęła do rękawa po chusteczkę i dmuchnęła. Zgniotła chustkę, ciskając ją wraz z zawartością na rozżarzone węgle. Patrzyła, jak zwija się, czernieje i zamienia w ognistą koronkę, a tkwiące w środku robaki kurczą się i płoną.

Potem odwróciła się do kobiet na kanapie. Odkąd tam weszła, nawet nie drgnęły, nie poruszył się ani jeden włos czy mięsień. Patrzyły na nią.

— Witani. To wasza farma? — spytała.

Najwyższa z kobiet skinęła głową. Ręce miała czerwone, twarz obojętną.

— Cień — to ten facet wiszący na drzewie, mój mąż — powiedział, że mam wam powtórzyć, iż chce, abyście dały mi wody.

Coś dużego poruszyło się w jej wnętrznościach. Przez chwilę wiło się, po czym znieruchomiało.

Najdrobniejsza z kobiet podniosła się z kanapy. Wcześniej jej stopy nie sięgały ziemi. Szybkim krokiem umknęła z pokoju.

Laura usłyszała odgłosy kolejnych otwieranych i zamykanych drzwi. Potem z zewnątrz dobiegła ją seria głośnych skrzypnięć. Każdemu z nich towarzyszył plusk wody.

Wkrótce drobna kobieta powróciła. W dłoniach dźwigała brązowy kamionkowy dzban. Ostrożnie postawiła go na stole i wycofała się na kanapę. Jej drobną postacią wstrząsnął dreszcz, gdy znów usiadła koło sióstr.

— Dziękuję.

Laura podeszła do stołu, rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś kubka bądź szklanki. Niczego jednak nie dostrzegła. Podniosła dzban. Okazał się cięższy niż na to wyglądał. Wypełniająca go woda była idealnie czysta.

Laura uniosła dzban do ust i zaczęła pić.

Woda była zimniejsza niż jakakolwiek woda świata. Mroziła jej język, zęby, gardło. Mimo to jednak Laura piła dalej. Nie potrafiła przestać. Czuła, jak woda mroźną falą dociera do żołądka, wnętrzności, serca, żył.

Wypełniała ją niczym płynny lód.

Nagle Laura zorientowała się, że dzban jest pusty. Zdumiona odstawiła go na stół.

Kobiety obserwowały ją beznamiętnie. Od chwili śmierci Laura nie uciekała się do przenośni. Rzeczy były takie, jakie były, albo nie. Teraz jednak, patrząc na kobiety na kanapie, pomyślała nagle o ławie przysięgłych, naukowcach obserwujących laboratoryjne zwierzę.

Nagle zatrzęsła się w ataku konwulsji. Wyciągnęła rękę, by oprzeć się o stół, on jednak ślizgał się, kołysał, jakby unikał jej dłoni. Oparta na nim zaczęła wymiotować, wyrzucając z siebie żółć i formaline, stonogi i robaki, a potem poczuła, że się wypróżnia, oddaje mocz. Jej ciało gwałtownie pozbywało się wszystkiego. Krzyknęłaby, gdyby mogła, nagle jednak zakurzone deski podłogi skoczyły jej na spotkanie tak szybko i mocno, że gdyby oddychała, pozbawiłyby ją tchu.

Opływał ją czas, porywał w swój wir niczym trąba powietrzna. Jej umysł jednocześnie odtwarzał tysiące wspomnień: tydzień przed świętami zabłądziła w supermarkecie, tracąc z oczu ojca; siedziała w barze Chi-Chi, zamawiając truskawkowe daiquiri i oglądając ukradkiem mężczyznę, z którym umówiono ją na randkę — wysokiego, poważnego mężczyznę-dziecko. Zastanawiała się, jak on całuje; tkwiła w samochodzie, który kołysał się i szarpał, Robbie

wrzeszczał na nią, aż w końcu metalowy słupek zatrzymał wóz, choć nie jego zawartość…

Woda czasu, pochodząca ze źródła losu, studni Urd, nie jest wodą życia, niezupełnie. Odżywia jednak korzenie drzewa świata. I nie ma innej, jej podobnej.

Gdy Laura ocknęła się w pustym domu, drżała. Jej oddech parował w porannym powietrzu. Na grzbiecie dłoni dostrzegła zadrapanie i rozmazaną wilgotną plamę — jaskrawoczerwoną plamę świeżej krwi.

Wiedziała, dokąd musi się udać. Wypiła wodę czasu, pochodzącą ze źródła losu. W myślach widziała górę.

Oblizała krew z grzbietu ręki, zachwycając się widokiem własnej śliny, i ruszyła w drogę.

* * *

Był mokry marcowy dzień, nietypowo zimny. Burze szalejące nad południowymi stanami zniechęciły turystów, zwykle odwiedzających tłumnie Skalne Miasto i Górę Czatów. Zdjęto już gwiazdkowe lampki, letni goście jeszcze się nie zjawili.

Mimo wszystko jednak wokół kręcili się ludzie. Rankiem na parkingu zjawił się nawet autobus wycieczkowy, z którego wysypał się tuzin mężczyzn i kobiet o idealnie opalonych, promiennie uśmiechniętych twarzach. Wyglądali jak spikerzy z dzienników i zdawało się, że mają coś w sobie z obrazu na ekranie telewizora. Gdy się poruszali, kontury ich postaci rozmazywały się lekko. Przed wejściem do Skalnego Miasta zaparkował czarny hummer.

Ludzie z telewizji krążyli po Skalnym Mieście, rozglądając się z uwagą. W końcu zajęli pozycje w pobliżu Chwiejnej Skały, gdzie zaczęli rozmawiać między sobą w miłej atmosferze.

Nie oni jedni przybyli w tej fali gości. Gdybyście tego dnia wędrowali ścieżkami Skalnego Miasta, być może dostrzeglibyście ludzi wyglądających jak gwiazdy filmowe i innych, przypominających obcych. A także całkiem sporo osób wyglądających jak czysta idea człowieka, nie zwykła rzeczywistość. Być może byście ich dostrzegli, najprawdopodobniej jednak niczego byście nie zauważyli.

Przybywali do Skalnego Miasta długimi limuzynami, małymi wozami sportowymi i wielkimi terenówkami. Większość nosiła ciemne okulary z nonszalancją ludzi, którzy zakładają je w domu i na dworze i z własnej woli nigdy nie zdejmują. Sztuczna opalenizna, słoneczne okulary, szykowna odzież, słodkie okrzyki, do wyboru do koloru,

wszelkich maści, rozmiarów i stylów.

I wszystkich łączyło coś jeszcze, coś w wyglądzie, mówiącego „znasz mnie", czy może „powinieneś mnie znać", natychmiastowa poufałość, pozwalająca jednocześnie utrzymać dystans, sposób zachowania, podejście do życia — pewność, że świat istnieje wyłącznie dla nich i że wszyscy ich uwielbiają.

Gruby dzieciak krążył wokół nich, krocząc niezgrabnie jak ktoś, kto mimo braku talentów towarzyskich odniósł niewiarygodny sukces. Jego czarny płaszcz łopotał na wietrze.

Coś stojącego obok budki z napojami na dziedzińcu Matki Gąski zakasłało, by przyciągnąć jego uwagę. Istota była ogromna. Z jej twarzy i palców sterczały ostrza skalpeli, twarz zżerał rak.

— To będzie wielka bitwa — oznajmiła istota lepkim, obleśnym głosem.

— Nie będzie żadnej bitwy — odparł dzieciak. — Mamy tu do czynienia z pieprzoną zmianą paradygmatów, ze wstrząsem. Modalności takie jakie bitwa pozostawmy pieprzonemu Lao Tzu.

Rakowata istota zamrugała.

— Czekam — powiedziała.

— Nieważne — rzekł tłuścioch. — Szukam pana Worlda. Widziałeś go?

Stwór podrapał się ostrzem skalpela, wysuwając w skupieniu pokrytą guzami dolną wargę. W końcu skinął głową.

— Tam — rzekł.

Tłusty dzieciak odszedł, nie dziękując, we wskazanym kierunku. Rakowata istota odczekała w milczeniu, póki nie zniknął jej z oczu.

— Będzie bitwa — rzekła do kobiety, której twarz pokrywały fosforyzujące punkciki.

Kobieta skinęła głową i nachyliła się ku istocie.

— I co o tym myślisz? — spytała współczującym tonem.

Stwór zamrugał, po czym zaczął opowiadać.

* * *

Ford explorer Towna został wyposażony w GPS, mały ekranik odbierający sygnały z satelitów i pokazujący dokładne położenie samochodu. Kiedy jednak Town wjechał na wiejskie drogi na południe od Blacksburga, i tak natychmiast zabłądził. Tutejsze szosy miały niewiele wspólnego z plątaniną linii na wyświetlanej mapie. W końcu zatrzymał wóz na wiejskiej dróżce, spuścił szybę i poprosił grubą białą kobietę, ciągniętą na smyczy przez wilczarza, o wskazanie drogi na

farmę Jesion.

Kobieta skinęła głową, wskazała ręką, powiedziała coś. Nie zrozumiał ani słowa, podziękował jednak serdecznie, zamknął okno-i odjechał we wskazanym kierunku.

Jechał tak następnych czterdzieści minut, pokonując kolejne wiejskie drogi. Żadna z nich nie była tą, której szukał. Town przygryzł dolną wargę.

— Za stary jestem na to wszystko — rzeki, napawając się dźwięczącym w jego głosie stylowym znużeniem.

Zbliżał się do pięćdziesiątki. Większość życia spędził, pracując dla rządowej agencji, posługującej się w nazwie wyłącznie inicjałami. To, czy kilkanaście lat temu porzucił posadę na rzecz sektora prywatnego, pozostawało kwestią otwartą. Czasami myślał tak, czasami inaczej. A zresztą tylko zwykli frajerzy mogli sądzić, że istnieje jakakolwiek różnica.

Już miał zrezygnować z poszukiwań, gdy pokonał kolejne wzgórze i ujrzał wypisaną ręcznie tabliczkę na bramie. Tak jak go uprzedzano, napis był prosty: JESION. Town zatrzymał wóz, wyskoczył na drogę, odkręcił kawałek drutu przytrzymujący bramę, z powrotem usiadł za kierownicą i ruszył naprzód.

Zupełnie jak gotowanie żaby, pomyślał. Wkładamy żabę do wody i odkręcamy gaz. Nim żaba się zorientuje, że coś się dzieje, już jest ugotowana. Świat, w którym pracował, był zbyt niezwykły, pod nogami nie czuł pewnego gruntu. Woda w garnku bulgotała gwałtownie.

Gdy został przeniesiony do agencji, wszystko wydawało się takie proste, teraz zaś było… nie złożone, uznał, po prostu dziwaczne. O drugiej nad ranem siedział w gabinecie pana Worlda, słuchając instrukcji.

— Zrozumiałeś? — spytał pan World, wręczając mu nóż w pochwie z czarnej skóry. — Wytnij mi kij. Nie musi być dłuższy niż pół metra.

— Zrozumiałem — odparł. A potem spytał: — Czemu mam to robić?

— Bo ci kazałem — odparł stanowczo pan World. — Znajdź drzewo, załatw to. Spotkamy się w Chattanooga. Nie trać czasu.

— A co z tym dupkiem?

— Z Cieniem? Jeśli się spotkacie, unikaj go. Nie waż się go tknąć, w ogóle go nie zaczepiaj. Nie chcę, żebyś zrobił z niego męczennika. W obecnym planie gry nie ma miejsca dla męczenników. — I wtedy pan World uśmiechnął się pokrytymi bliznami ustami. Pan Town zauważył kilkakrotnie, że jego szef ma dziwne poczucie humoru, choćby ta zabawa w szofera w Kansas.

— Ale…

— Nie chcemy żadnych męczenników, Town.

Town skinął głową, wziął nóż w pochwie i stłumił w sobie ogarniającą go wściekłość.

Nienawiść, jaką żywił do Cienia, stała się częścią jego istoty. Zasypiając, widział poważną twarz tamtego, uśmiech nie będący uśmiechem, który sprawiał, że Town miał ochotę rąbnąć go pięścią w brzuch. Nawet przez sen czuł, jak zaciskają mu się szczęki, napinają skronie, palą wątpia.

Przejechał fordem przez łąkę, mijając porzucone budynki farmy, pokonał kolejne wzniesienie i ujrzał drzewo. Zaparkował wóz nieco dalej i wyłączył silnik. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał szóstą trzydzieści osiem rano. Pan Town zostawił kluczyki w samochodzie i ruszył w stronę drzewa.

Było wielkie; zdawało się istnieć w swojej własnej skali. Nie potrafił określić, czy ma dwadzieścia, czy sto metrów wysokości. Jego kora połyskiwała szaro niczym szal z błyszczącego jedwabiu.

Tuż nad ziemią wisiał nagi mężczyzna przywiązany do pnia pajęczą plątaniną sznurów. U stóp drzewa leżało coś zawiniętego w prześcieradło. Mijając to coś, Town uświadomił sobie, co widzi. Pchnął nogą materiał. Z zawoju wyjrzała na niego zmasakrowana twarz Wednesdaya.

Dotarł do drzewa. Okrążył gruby pień, schodząc ze ślepych oczu farmy, rozpiął rozporek i odlał się wprost na korę. Potem zasunął zamek, wrócił do domu, znalazł rozkładaną drewnianą drabinę, zaniósł ją pod drzewo i starannie oparł o pień. Szybko wdrapał się na górę.

Cień wisiał bezwładnie, zawieszony na linach. Town zastanawiał się, czy tamten w ogóle żyje. Jego pierś nie wznosiła się ani nie opadała. Martwy albo prawie martwy. Nieistotne.

— Witaj, dupku — rzucił głośno Town. Cień ani drgnął.

Town dotarł do szczytu drabiny, wyciągnął nóż, znalazł niewielką gałąź odpowiadającą wymaganiom pana Worlda i zaczął piłować ją u podstawy. Przeciął do połowy, po czym odłamał ręką. Miała około siedemdziesięciu centymetrów długości.

Wsunął nóż do pochwy i ruszył po szczeblach w dół. Gdy znalazł się naprzeciwko Cienia, przystanął.

— Boże, jak ja cię nienawidzę — powiedział.

Pożałował, że nie może wyciągnąć spluwy i zastrzelić tamtego, wiedział jednak, że tego nie zrobi. Nagle dźgnął kijem przed siebie, w stronę wiszącego mężczyzny, w instynktownym geście, w którym zamknęła się cała frustracja i wściekłość Towna. Wyobraził sobie, że trzyma w ręku włócznię i wbijają we flaki Cienia.

— No dalej — rzucił. — Czas ucieka.

A potem pomyślał: Pierwsza oznaka obłędu. Zaczynam gadać do

siebie. Pokonał kilka szczebli i zeskoczył na ziemię. Spojrzał na trzymany w ręku kij i poczuł się nagle jak mały chłopiec uzbrojony w patyk, udający miecz lub włócznię. Mogłem odciąć kij z dowolnego drzewa, niekoniecznie z tego. Kto do diabła by się zorientował?

Pan World by się zorientował.

Odniósł drabinę na farmę. Wydało mu się, że kątem oka dostrzega jakiś ruch. Zajrzał przez okno do ciemnego pokoju, pełnego połamanych mebli, z tynkiem obłażącym ze ścian. Przez sekundę, w półśnie, wyobraził sobie, że w mrocznym salonie widzi trzy kobiety.

Jedna z nich robiła na drutach, druga siedziała bez ruchu, patrząc na niego, trzecia sprawiała wrażenie, że śpi. Spoglądająca na Towna kobieta uśmiechnęła się szeroko i uśmiech ów zdawał się dzielić jej twarz na dwoje, sięgając od ucha do ucha. Potem uniosła palec, dotknęła nim szyi i przesunęła powoli z jednej strony na drugą.

Miał wrażenie, że to właśnie ujrzał w ułamku sekundy w pustym pokoju. Jednak gdy ponownie zajrzał do środka, zobaczył tylko stare rozpadające się meble, upstrzone przez muchy obrazki i spróchniałe deski. W środku nie było nikogo.

Town przetarł oczy.

Wrócił do brązowego forda explorera i wsiadł do środka. Kij cisnął na biały skórzany fotel obok. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał szóstą trzydzieści siedem. Town zmarszczył brwi i spojrzał na własny zegarek, na którym mrugały cyfry: trzynasta pięćdziesiąt osiem.

No świetnie, pomyślał, siedziałem na tym drzewie albo osiem godzin, albo ujemną minutę. Tak właśnie pomyślał, ale w głębi ducha wierzył, że dziwnym przypadkiem oba czasomierze akurat się zepsuły.

Ciało Cienia na drzewie zaczęło krwawić. W jego boku otwarła się rana. Wypływająca z niej krew była gęsta, lepka i czarna jak syrop.

* * *

Chmury zasnuły szczyt Góry Czatów.

Wielkanoc siedziała w pewnym oddaleniu od reszty, u stóp góry. Patrzyła na słońce wschodzące nad wzgórzami. Jej lewy przegub otaczał wianuszek niebieskich tatuowanych niezapominajek. W roztargnieniu pocierała je prawym kciukiem.

Kolejna noc nadeszła i minęła, i nic się nie działo. Wciąż przybywali, pojedynczo i parami. Zeszłej nocy zjawiło się kilka istot z południowego zachodu. Między innymi dwaj mali chłopcy, każdy wzrostu jabłoni, i coś, co dostrzegła jedynie kątem oka, lecz co

wyglądało jak oddzielona od ciała głowa wielkości volkswagena garbusa. Przybysze znikneli wśród drzew u stóp góry.

Nikt im nie przeszkadzał. Nikt z zewnętrznego świata w ogóle ich nie dostrzegał. Wyobraziła sobie turystów w Skalnym Mieście, patrzących na nich przez lornetki na monety, spoglądających wprost na prowizoryczne obozowisko istot i ludzi u stóp góry i widzących jedynie drzewa, krzaki i skały.

Czuła woń dymu z ogniska. Chłodny poranny wiatr niósł zapach przypalonego bekonu. Z drugiej strony obozu ktoś zaczął grać na harmonijce. Wielkanoc uśmiechnęła się odruchowo i zadrżała. W plecaku miała książkę, czekała jednak, aż niebo pojaśnieje dostatecznie, by mogła dostrzec litery.

Na niebie, tuż pod chmurami, krążyły dwa punkciki, jeden mały, drugi większy. Kolejny powiew przyniósł falę deszczu, która musnęła jej twarz.

Z obozu wyłoniła się bosa dziewczyna. Ruszyła ku niej. Zatrzymała się pod drzewem, uniosła spódnicę i przykucnęła. Gdy skończyła, Wielkanoc wezwała ją gestem. Dziewczyna podeszła bliżej.

— Dzień dobry pani — rzekła. — Bitwa wkrótce się zacznie. — Koniuszkiem różowego języka oblizała szkarłatne wargi. Do ramienia miała przywiązane rzemieniem czarne wronie skrzydło, na łańcuszku wokół szyi wisiała wronia noga. Jej ręce pokrywały błękitne tatuaże — linie, wzory, skomplikowane węzły.

— Skąd wiesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— Jestem Macha, jedna z Morrigan. Gdy nadciąga wojna, czuję ją w powietrzu. Jestem boginią wojny i mówię, że jeszcze dziś poleje się krew.

— Ach tak — odparła Wielkanoc. — Skoro tak twierdzisz.

Cały czas obserwowała mniejszy punkcik na niebie, który zbliżał się ku nim, opadając jak kamień.

— A my staniemy do walki i zabijemy ich wszystkich — dodała dziewczyna. — Odetniemy im głowy jako trofea, a wrony rozdziobią ich oczy i trupy.

Punkcik zamienił się w ptaka, który rozkładając skrzydła opadał z porannym wiatrem.

Wielkanoc przechyliła głowę.

— To jakaś ukryta wiedza bogini wojny? — spytała. — Pewność, kto wygra, kto komu odrąbie głowę?

— Nie — przyznała dziewczyna. — Czuję bitwę, to wszystko. Ale przecież wygramy, prawda? Musimy. Widziałam, co zrobili z Wszechojcem, To proste, my albo oni.

— Tak — zgodziła się z nią Wielkanoc. — Chyba tak.

Dziewczyna uśmiechnęła się ponownie w półświetle i wróciła do

obozu. Wielkanoc dotknęła dłonią zielonego kiełka, sterczącego z ziemi niczym czubek sztyletu. Gdy go dotknęła, kiełek zaczął rosnąć, rozchylać się, unosić, zmieniać. Po chwili miała pod palcami zielony pąk tulipana. Gdy słońce wzejdzie wysoko, kwiat rozkwitnie.

Spojrzała na sokoła.

— Mogę w czymś pomóc? — spytała.

Sokół szybował jakieś pięć metrów nad głową Wielkanocy. Po chwili opadł ku niej i wylądował obok na ziemi. Spojrzał na nią obłąkanymi oczami.

— Witaj, słodziutki — rzekła. — No dalej, jak naprawdę wyglądasz?

Sokół niepewnie zbliżał się ku niej, podskakując, i nagle nie był już sokołem, tylko młodym mężczyzną. Młodzieniec spojrzał na nią i spuścił wzrok, patrząc w trawę.

— Ty? — spytał. Jego spojrzenie krążyło, obejmowało wszystko, trawę, niebo, krzaki. Ale nie ją.

— Ja — odparła. — Co ze mną?

— Ty. — Zatrzymał się. Najwyraźniej próbował pozbierać myśli, jego twarz wykrzywiała się dziwnie. Za długo pozostawał ptakiem, pomyślała Wielkanoc. Zapomniał jak być człowiekiem. Czekała cierpliwie. W końcu rzekł: — Pójdziesz ze mną?

— Może. Dokąd miałabym pójść?

— Człowiek na drzewie. Potrzebuje cię. Widmowa rana w jego boku. Najpierw płynęła krew, potem przestała. Chyba umarł.

— Zbliża się wojna. Nie mogę po prostu uciec.

Nagi młodzieniec milczał, przestępował tylko z nogi na nogę, jakby niepewny własnej wagi, przywykły do przebywania w powietrzu bądź na rozkołysanej gałęzi, nie na twardej ziemi.

— Jeśli odejdzie na zawsze, to będzie koniec.

— Ale bitwa…

— Jeśli go stracimy, nieważne kto wygra.

Wyglądał, jakby potrzebował koca, kubka słodkiej kawy i kogoś, kto zabierze go w miejsce, gdzie będzie mógł drżeć, bełkotać i dochodzić do siebie. Ręce przyciskał sztywno do boków.

— Gdzie on jest? W pobliżu?

Mężczyzna spojrzał na tulipan i potrząsnął głową.

— Bardzo daleko.

— No cóż — rzekła. — Potrzebują mnie tutaj. Nie mogę tak po prostu odejść. Zresztą, jak miałabym tam dotrzeć? Wiesz chyba, że nie potrafię fruwać jak ty.

— Nie — odparł Horus. — Nie potrafisz. — Potem z powagą uniósł wzrok i wskazał drugi punkcik krążący po niebie, opadający ku nim, rosnący w oczach. — Ale on potrafi.

* * *

Po kilku kolejnych godzinach bezsensownego krążenia w kółko Town znienawidził swój GPS niemal tak mocno jak Cienia. W tej nienawiści jednak brakowało pasji. Wcześniej sądził, że odnalezienie drogi na farmę do wielkiego srebrnego jesionu było czymś trudnym, lecz odjazd z farmy okazał się znacznie trudniejszy. Nieważne, w którą drogę skręcał, w którym jechał kierunku wąskimi wiejskimi szosami — krętymi drogami stanu Wirginia, które z pewnością były kiedyś szlakami wydeptanymi przez jelenie i krowy — w końcu i tak mijał farmę, na której bramie wypisano jedno słowo: JESION.

To szaleństwo, prawda? Wystarczyło po prostu wrócić tą samą drogą, skręcając w lewo za każdym razem, gdy skręcał w prawo, i w prawo, gdy wcześniej pojechał w lewo.

Tyle że to właśnie zrobił ostatnio i oto znów wrócił na farmę. Na niebie zbierały się ciężkie burzowe chmury, robiło się ciemno, jakby zapadała noc, choć był przecież poranek, a jego czekała jeszcze długa droga. W tym tempie nie dotrze do Chattanooga przed południem.

Na ekranie telefonu komórkowego pokazywał się wyłącznie napis „Brak zasięgu". Składana mapa w schowku na rękawiczki pokazywała główne drogi międzystanowe i prawdziwe autostrady. Według niej nie istniało nic więcej.

W pobliżu nie dostrzegł też nikogo, kogo mógłby zapytać. Domy stały daleko od szosy, nigdzie nie dostrzegł świateł. Teraz wskaźnik paliwa zbliżał się do zera. Town usłyszał w dali odległy grzmot, na szybie rozbryzgnęła się pierwsza kropla deszczu.

Kiedy więc ujrzał wędrującą poboczem kobietę, uśmiechnął się odruchowo.

— Dzięki Bogu — powiedział głośno, zatrzymując się obok niej. Spuścił szybę po stronie pasażera. — Proszę pani, przepraszam. Chyba zabłądziłem. Może mi pani wskazać, jak dojechać stąd na autostradę 81?

Spojrzała na niego przez otwarte okno.

— Wie pan, chyba nie potrafię tego wytłumaczyć, ale mogłabym pokazać, jeśli pan chce. — Była blada, miała długie ciemne włosy, obecnie mokre.

— Proszę wsiadać — rzekł Town bez chwili wahania. — Najpierw musimy kupić benzynę.

— Dzięki — rzekła. — Szukałam kogoś, kto by mnie podwiózł. — Otworzyła drzwi. Oczy miała zdumiewająco błękitne. — Tu na siedzeniu leży kij — powiedziała zaskoczona.

— Rzuć go do tyłu. Dokąd się wybierasz? — spytał. — Jeśli zdołasz doprowadzić mnie na stację benzynową i dalej, na autostradę,

zawiozę cię aż pod sam dom.

— Dziękuję — odparła. — Ale podejrzewam, że jadę dalej niż ty. Wystarczy, jeśli podrzucisz mnie na autostradę. Może tam złapię jakąś ciężarówkę. — Uśmiechnęła się, krzywo, z determinacją. I właśnie ów uśmiech ostatecznie go załatwił.

— Proszę pani — rzekł Town — z pewnością nadam się lepiej niż jakaś ciężarówka. — Czuł w powietrzu jej perfumy, ciężkie, upajające, słodkie, pachnące bzem i magnolią, nie przeszkadzały mu jednak.

— Jadę do Georgii — oznajmiła. — To daleko stąd.

— A ja do Chattanooga. Zabiorę cię, jak najdalej będę mógł.

— Mmm — odparła. — Jak się nazywasz?

— Mówią mi Mack — odparł pan Town. Gdy zagadywał kobiety w barach, czasami dodawał: „A ci, którzy znają mnie lepiej, nazywają mnie Wielki Mack". To jednak mogło zaczekać. Mieli przed sobą długą jazdę, wiele godzin, by poznać się lepiej. — A ty?

— Laura — odparła.

— Cóż, Lauro — rzekł. — Jestem pewien, że się zaprzyjaźnimy.

* * *

Tłusty dzieciak znalazł pana Worlda w Komnacie Tęczy — odgrodzonym murem fragmencie ścieżki o szklanych oknach zasłoniętych przezroczystym plastikiem, zielonym czerwonym i żółtym. Pan World krążył niecierpliwie od okna do okna, wyglądając na zmianę na złoty świat, czerwony świat, zielony świat. Włosy miał ognistorude, krótko przycięte, ubrany był w płaszcz nieprzemakalny Burberry.

Tłusty dzieciak odkaszlnął; pan World uniósł wzrok.

— Przepraszam, panie World.

— Tak? Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

Dzieciak czuł suchość w ustach, oblizał wargi.

— Wszystko załatwiłem. Nie mam jeszcze potwierdzenia śmigłowców.

— Helikoptery przybędą, gdy będziemy ich potrzebować.

— To dobrze — odparł tłuścioch. — Dobrze.

Stał tak, nie mówiąc ani słowa i nie odchodząc. Na jego czole widniał siniak.

Po chwili pan World przemówił:

— Chciałeś powiedzieć coś jeszcze?

Cisza. Chłopak przełknął ślinę. Skinął głową.

— Coś jeszcze — rzekł. — Tak.

— Poczułbyś się lepiej, rozmawiając o tym w cztery oczy?

Ponowne skinienie głowy.

Pan World przeszedł wraz z gościem do swego centrum operacyjnego — wilgotnej jaskini, ozdobionej dioramą przedstawiającą pijane skrzaty pędzące bimber. Tablica na zewnątrz informowała turystów o zamknięciu jaskini na czas remontu. Obaj mężczyźni usiedli na plastikowych krzesłach.

— W czym mogę pomóc? — spytał pan World.

— No, tak. Chodzi o dwie sprawy. Okay." Po pierwsze, na co czekamy? A po drugie, to trudniejsze. Proszę posłuchać. Mamy broń. Zgadza się? Przeważającą siłę ognia. Oni mają pieprzone miecze, noże, pieprzone młoty, kamienne siekiery, łyżki do opon. A my cholerne inteligentne bomby.

— Których nie będziemy używać — podkreślił jego rozmówca.

— Wiem o tym. Już pan to mówił, wiem. I w porządku. Ale proszę posłuchać, odkąd załatwiłem tę sukę w L.A., czułem… — Urwał i skrzywił się, jakby nie chciał mówić dalej.

— Czułeś niepokój?

— Tak. Zgadza się. Dobre słowo. Niepokój. Jak przystań dla niespokojnych nastolatków. Zabawne. O, tak.

— A co dokładnie cię niepokoi?

— No, będziemy walczyć i wygramy.

— I to wzbudza twój lęk? Mnie osobiście zdecydowanie cieszy ta wizja.

— Ale. Oni i tak wymrą. Są jak gołębie wędrowne i diabły tas — mańskie. Prawda? Kogo to obchodzi? W ten sposób dojdzie do rozlewu krwi.

— Ach tak. — Pan World skinął głową.

Przynajmniej chwytał. To dobrze.

— Proszę posłuchać — rzekł tłusty dzieciak — nie tylko ja tak myślę. Rozmawiałem z ekipą radia Modem. Wszyscy są za tym, by rozstrzygnąć sprawę pokojowo. Niematerialni woleliby, żeby wszystko załatwiła niewidzialna ręka rynku. Jestem tu. No wie pan. Głosem rozsądku.

— Istotnie. Na nieszczęście nie masz dostępu do pewnych informacji. — Pokryte bliznami wargi wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

Chłopak zamrugał.

— Panie World. Co się stało z pańskimi ustami?

World westchnął.

— Prawdę mówiąc — rzekł — ktoś kiedyś mi je zaszył. Dawno temu.

— Rany — rzucił tłuścioch. — Poważna sprawa. Omerta.

— Tak. Chcesz wiedzieć, na co czekamy? Czemu nie uderzyliśmy

zeszłej nocy?

Chłopak kiwnął głową. Pocił się, był to jednak zimny pot.

— Nie uderzyliśmy, bo czekam na kij.

— Kij?

— Zgadza się. Kij. A wiesz, co zamierzam z nim zrobić?

Tłuścioch pokręcił głową.

— W porządku. Poddaję się. Co?

— Mógłbym ci powiedzieć — rzekł z powagą World. — Ale wówczas musiałbym cię zabić. — Mrugnął. Panujące w jaskini napięcie gwałtownie opadło.

Tłusty dzieciak zaczął chichotać, cicho, gardłowo. Dźwięk wydostawał mu się z ust i z nosa.

— Okay — rzekł. — Cha, cha. Dobra. Cha. Chwytam. Planeta techno odebrała wiadomość. Jasno i wyraźnie. Nie ma więcej pytań.

Pan World pokręcił głową. Położył dłoń na ramieniu tłuściocha.

— Hej — rzucił. — Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Jasne.

— Cóż — mruknął pan World. — Ponieważ jesteśmy przyjaciółmi, oto odpowiedź: zamierzam wziąć ów patyk i gdy armie zbliżą się do siebie, cisnąć go ponad nimi. Kiedy go rzucę, kij zamieni się we włócznię, a gdy włócznia przeleci nad polem bitwy, zamierzam krzyknąć: „Bitwę tę poświęcam Odynowi".

— Słucham? Ale czemu?

— Chodzi o moc. — Pan World podrapał się po podbródku. — I pożywienie. Połączenie tych dwóch rzeczy. Widzisz, wynik bitwy nie ma znaczenia. Liczy się tylko chaos i rzeź.

— Nie łapię.

— Pozwól, że ci zademonstruję. Będzie o tak. Patrz. — Pan World wyjął z kieszeni płaszcza nóż myśliwski o drewnianym ostrzu i jednym płynnym ruchem wbił klingę w miękkie ciało pod brodą dzieciaka, mocno w górę, w mózg. — Śmierć tę poświęcam Odynowi — rzekł.

Na jego rękę pociekło coś, co tak naprawdę nie było krwią. W głębi czaszki, za oczami dzieciaka, rozległy się odgłosy iskrzenia. W powietrzu rozeszła się woń spalonej izolacji.

Ręka tłuściocha drgnęła spazmatycznie. Potem upadł na ziemię. Jego twarz zastygła w grymasie zdumienia i bólu.

— Spójrz tylko na niego — rzekł pan World miłym tonem. — Wygląda jakby właśnie zobaczył sekwencję zer i jedynek, zamieniającą się w stado wielobarwnych ptaków odlatujących w dal.

Pusty skalny korytarz nie odpowiedział.

Pan World zarzucił sobie trupa na ramię, jakby ten w ogóle nic nie ważył, otworzył dioramę i wrzucił zwłoki do środka, nakrywając je długim czarnym płaszczem. Pozbędzie się ich wieczorem, uznał i uśmiechnął się, rozciągając pokryte bliznami wargi. Ukrycie ciała na

polu bitewnym to łatwizna. Nikt niczego nie zauważy. Nikogo to nie obejdzie.

Przez jakiś czas w jaskini panowała cisza, a potem w mroku rozległo się chrząkniecie i niski głos, nie należący do pana Worlda, powiedział:

— Dobry początek.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Próbowali powstrzymać żołnierzy, tamci jednak wystrzelili i zabili ich obu. Piosenka zatem mówi nieprawdę w części o więzieniu, ale wzmianka o nim znalazła się tam z powodu poezji. W poezji nie zawsze przedstawia się rzeczy takimi, jakimi były naprawdę. Poezja nie jest prawdą. W wierszu nie ma na nią dość miejsca.

— komentarz pieśniarza do „Ballady o Samie Bassie”

Skarbnica folkloru amerykańskiego

Nic z tego nie może dziać się naprawdę. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, możesz uważać wszystko za jedną wielką przenośnię. Ostatecznie religie to z definicji przenośnie: bóg jest tylko snem, nadzieją, kobietą, uosobieniem ironii, ojcem, miastem, domem o wielu pokojach, zegarmistrzem, który zgubił swój najcenniejszy chronometr na pustyni, kimś, kto cię kocha — a może nawet, mimo dowodów świadczących przeciw temu, istotą niebiańską, której zależy tylko na tym, by twoja drużyna piłkarska, armia, firma, bądź małżeństwo kwitły, prosperowały i zwyciężały wszelkie przeszkody.

Religie to miejsca, w których stajemy i działamy i z których oglądamy nasz świat.

Zatem nic z tego nie dzieje się na prawdę. Podobne rzeczy są niemożliwe, ani jedno słowo nie odpowiada prawdzie. Niemniej jednak oto, co zdarzyło się dalej:

U stóp Góry Czatów mężczyźni i kobiety zgromadzili się w deszczu wokół niewielkiego ogniska. Stali pod zapewniającymi kiepską ochronę drzewami i się sprzeczali.

Pani Kali, o skórze czarnej jak atrament i białych ostrych zębach, powiedziała:

— Już czas.

Anansi — srebrne włosy, cytrynowożółte rękawiczki — potrząsnął głową.

— Możemy zaczekać. A póki możemy, powinniśmy czekać.

W tłumie rozszedł się pomruk.

— Nie, słuchajcie. On ma rację — wtrącił stary człowiek o stalowoszarych włosach, Czemobog. W dłoni trzymał niewielki młot, opierając jego koniec o ramię. — Mają lepszą pozycję. Pogoda jest przeciwko nam. Rozpoczęcie walki teraz to szaleństwo.

Coś, co wyglądało trochę jak wilk, a trochę bardziej jak człowiek, chrząknęło i splunęło na ziemię.

— A kiedy będzie lepsza pora do ataku, dieduszko? Czy mamy czekać, aż pogoda się poprawi? Wówczas będą się nas spodziewać. Uważam, że powinniśmy ruszać już teraz.

— Oddzielają nas od nich chmury — zauważył Isten Węgierski. Miał gęste czarne wąsy, wielki zakurzony czarny kapelusz i uśmiech człowieka zarabiającego na życie sprzedażą aluminiowych paneli, nowych dachów i rynien emerytom, człowieka, który zawsze opuszcza miasto, gdy tylko rozliczy czeki, nieważne, czy skończy swą pracę, czy nie.

Mężczyzna w eleganckim garniturze, do tej pory milczący, złożył ręce, wstąpił w krąg światła, po czym jasno i zwięźle wyłożył swe zdanie. Zebrani wokół zaczęli kiwać głowami i szeptać na znak zgody.

Nagle rozległ się głos jednej z trzech kobiet-wojowniczek tworzących w sumie Morrigan. Kobiety stały tak blisko wśród cieni, że stały się jednością, plątaniną pokrytych błękitnymi tatuażami kończyn i ozdób z wronich skrzydeł.

— Nieważne, czy to dobra, czy zła pora. To właściwa pora. Oni nas zabijają. Lepiej zginąć razem w walce jak bogowie, niż umierać pojedynczo, uciekając jak szczury z piwnicy.

Kolejny pomruk, tym razem jednogłośnej zgody. Wyraziła zdanie wszystkich. Nadeszła chwila.

— Pierwsza głowa należy do mnie — oznajmił bardzo wysoki Chińczyk, którego szyję okalał łańcuch maleńkich czaszek. Ruszył powoli w skupieniu w górę zbocza. O ramię oparł kij zakończony zakrzywionym ostrzem, srebrnym niczym księżyc.

* * *

Nawet nicość nie trwa wiecznie.

Być może przebywał tam, w nicości, dziesięć minut, może dziesięć tysięcy lat. Nie sprawiało to żadnej różnicy. Czas był czymś, czego już nie potrzebował.

Nie pamiętał swego prawdziwego imienia. Czuł się pusty i oczyszczony, w miejscu niepodobnym do innych miejsc.

Był pustką pozbawioną postaci.

Był niczym.

I w owej nicości rozległ się głos:

— Ho-hoka, kuzynie. Musimy pogadać.

Coś, co niegdyś było Cieniem, odezwało się cicho:

— Whiskey Jack?

— Tak — odparł Whiskey Jack w ciemności. — Trudno cię znaleźć po śmierci. Nie poszedłeś do żadnego z miejsc, które przyszły mi do głowy. Sprawdziłem wszystko, nim pomyślałem, by zajrzeć tutaj. Znalazłeś w końcu swoje plemię?

Cień przypomniał sobie mężczyznę i dziewczynę w dyskotece pod wirującą lustrzaną kulą.

— Chyba znalazłem rodzinę, ale nie plemię.

— Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

— Zostaw mnie. Dostałem to, czego pragnąłem. To już koniec.

— Przyjdą po ciebie — oznajmił Whiskey Jack. — Zamierzają cię ożywić.

— Ale ja już skończyłem — odparł Cień. — Wszystko skończone.

— Nie ma czegoś takiego jak koniec. Nigdy. Chodźmy do mnie. Napijesz się piwa?

Rzeczywiście miał ochotę na piwo.

— Jasne.

— Weź też jedno dla mnie. Za drzwiami stoi lodówka. — Whiskey Jack wskazał ręką. Byli w jego chacie.

Cień otworzył drzwi rękami, których jeszcze przed chwilą nie posiadał. Na zewnątrz stała przenośna plastikowa chłodziarka wypełniona kawałkami rzecznego lodu, w którym tkwił tuzin puszek budweisera. Wyciągnął dwie z nich, po czym usiadł w drzwiach, spoglądając na dolinę.

Znajdowali się na szczycie wzgórza w pobliżu wezbranego po roztopach wodospadu. Woda spadała w kilku kaskadach, może dwadzieścia metrów niżej, może trzydzieści. Słońce odbijało się od lodu pokrywającego drzewa wokół stawu w dole.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Cień.

— Tam gdzie zeszłym razem — odparł Whiskey Jack. — U mnie. Zamierzasz tak trzymać mojego buda, aż się ogrzeje?

Cień wstał i podał mu puszkę piwa.

— Ostatnim razem nie miałeś koło domu wodospadu — zauważył.

Whiskey Jack nie odpowiedział. Otworzył puszkę i jednym haustem opróżnił do połowy.

— Pamiętasz mojego siostrzeńca? Henry'ego Sójkę? Poetę? Zamienił swojego buicka na twojego Winnebago, pamiętasz?

— Jasne. Nie wiedziałem, że jest poetą.

Whiskey Jack uniósł głowę i spojrzał na niego z dumą.

— Najlepszym poetą w Ameryce — oznajmił.

Wysączył resztę piwa, beknął i wziął kolejną puszkę, podczas gdy Cień otworzył swoją. Obaj mężczyźni usiedli na dworze na kamieniu, wśród jasnozielonych paproci, grzejąc się w porannym słońcu. Patrzyli na spadającą wodę i pili piwo. Na ziemi, w miejscach gdzie zalegały cienie, wciąż leżał śnieg.

Ziemia była mokra i lepka.

— Henry chorował na cukrzycę — ciągnął Whiskey Jack. — To się zdarza. Zbyt często. Wasi ludzie przybyli do Ameryki, zabrali naszą trzcinę cukrową, ziemniaki i kukurydzę, a potem zaczęli nam sprzedawać chipsy i słodzony popcorn. I to my się pochorowaliśmy. — Z namysłem pociągnął łyk piwa. — Dostał kilka nagród za swoje wiersze. Pewni ludzie w Minnesocie nawet chcieli wydać jego zbiorek. Jechał tam właśnie sportowym wozem, by z nimi pomówić. Zamienił twojego Bago na żółtą miazgę. Lekarze powiedzieli, że zapadł w śpiączkę podczas jazdy, zjechał z drogi i zderzył się z drogowskazem. To do was podobne. Jesteście zbyt leniwi, by sprawdzać, gdzie jesteście, odczytywać wskazówki gór i obłoków. Wszędzie potrzebujecie drogowskazów. I tak Henry Sójka odszedł na zawsze. Dołączył do swego brata Wilka. Uznałem zatem, że nic mnie już tam nie trzyma. Wyjechałem na północ. Są tu niezłe ryby.

— Przykro mi z powodu twojego siostrzeńca.

— Mnie także. Teraz mieszkam na północy, daleko od chorób białego człowieka. Od dróg białego człowieka. Od jego drogowskazów. Żółtych samochodów. Słodzonego popcornu.

— I piwa białego człowieka?

Whiskey Jack spojrzał na puszkę.

— Kiedy w końcu poddacie się i odejdziecie, możecie zostawić nam browary Budweisera.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Cień. — Czy wciąż wiszę na drzewie? Nie żyję? Naprawdę jestem tutaj? Sądziłem, że to już koniec. Co jest prawdziwe?

— Tak — odparł Whiskey Jack.

— Tak? I to ma być odpowiedź?

— Bardzo dobra odpowiedź. W dodatku prawdziwa.

— Ty też jesteś bogiem? — spytał Cień.

Whiskey Jack pokręcił głową.

— Jestem bohaterem kulturowym — oznajmił. — Zajmujemy się tym samym gównem, co bogowie, ale częściej nam nie wychodzi i nikt nie oddaje nam czci. Opowiadają o nas historie. W niektórych wyglądamy kiepsko, w innych całkiem, całkiem.

— Rozumiem — rzekł Cień. I rzeczywiście mniej więcej rozumiał.

— Posłuchaj — dodał Whiskey Jack. — To nie jest dobry kraj dla bogów. Mój lud pojął to bardzo wcześnie. Istnieją duchy-stwór — cy,

które znalazły ziemię, stworzyły ją albo wysrały. Ale zastanów się, proszę. Kto miałby oddawać cześć Kojotowi, który kochał się z Samicą Jeżozwierza, po czym w jego penisie utkwiło więcej igieł niż w poduszeczce na szpilki? Kłócił się ze skałami i skały wygrywały.

Moi ludzie uznali więc, że może coś jednak się za tym kryje, jakiś stwórca, wielki duch, i dziękowali mu, bo zawsze lepiej jest podziękować. Nigdy jednak nie budowaliśmy kościołów. Nie potrzebowaliśmy ich; sama ziemia była naszym kościołem, naszą religią. Ziemia starsza i mądrzejsza niż ludzie, którzy po niej stąpali. Dawała nam łososie, kukurydzę, bizony i gołębie, dziki ryż i szczupaki. Melony, dynie i indyki. A my byliśmy dziećmi tej ziemi, tak jak jeżozwierz, skunks i sójka.

Dokończył drugie piwo i wskazał gestem rzekę u stóp wodospadu.

— Jeśli podążysz z biegiem rzeki, dotrzesz do jezior, wokół których rośnie dziki ryż. W odpowiednim czasie wypływasz z przyjacielem canoe, zbierasz dziki ryż, gotujesz go, przechowujesz, możesz na nim żyć bardzo długo. W różnych miejscach rośnie różna żywność. Dalej na południu znajdziesz drzewa cytrynowe, pomarańczowe i te maziste, zielone, wyglądają jak gruszki…

— Awokado.

— Awokado — zgodził się Whiskey Jack. — Właśnie. Tu nie rosną. To kraina dzikiego ryżu. Kraina łosi. Próbuję powiedzieć, że cała Ameryka jest taka. Nie jest to dobry kraj dla bogów, nie wyrastają tutaj. Są jak awokado próbujące rosnąć w krainie dzikiego ryżu.

— Może i nie wyrastają — Cień przypomniał sobie nagle — ale ruszają na wojnę.

Wtedy jeden jedyny raz usłyszał śmiech Whiskey Jacka. Przypominał on niemal warknięcie bez cienia rozbawienia.

— Hej, Cieniu — rzekł. — Gdyby wszyscy twoi przyjaciele skoczyli z mostu, czy skoczyłbyś za nimi?

— Może. — Cień czuł się dobrze. Nie sądził, by to był wyłącznie wpływ piwa. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak żywy, tak spokojny.

— To nie będzie wojna.

— A więc co?

Whiskey Jack zgniótł pustą puszkę w rękach, ściskając ją, póki zupełnie się nie rozpłaszczyła.

— Spójrz. — Wskazał palcami wodospad. Słońce wisiało wysoko na niebie, jego promienie przenikały przez pył wodny, rozsiewając w powietrzu maleńkie tęcze. Cień pomyślał, że to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek oglądał.

— To będzie krwawa łaźnia — oznajmił spokojnie Whiskey Jack.

I wtedy Cień zrozumiał. Ujrzał wszystko prosto, wyraźnie. Potrząsnął głową i zachichotał, znów poruszył głową i chichot

przeszedł w donośny śmiech.

— Wszystko w porządku?

— Tak, nic mi nie jest — odparł Cień. — Po prostu zobaczyłem ukrytych Indian. Nie wszystkich, ale przynajmniej część.

— Pewnie Ho Chunków. Oni nigdy nie potrafili się ukryć.

Whiskey Jack spojrzał na słońce.

— Czas wracać — uznał. I wstał.

— To dwuosobowe oszustwo — oznajmił Cień — a nie wojna, prawda?

Whiskey Jack poklepał go po ramieniu.

— Nie jesteś taki głupi.

Wrócili do jego chaty. Whiskey Jack otworzył drzwi. Cień zawahał się.

— Chciałbym móc z tobą zostać. To dobre miejsce.

— Jest wiele dobrych miejsc — odrzekł tamten. — W tym właśnie rzecz. Posłuchaj: Bogowie umierają, gdy zostają zapomniani. Ludzie także. Ale ziemia, ona zostaje. Dobre miejsca i złe. Ziemia nigdy nie odejdzie. Ja także.

Cień zamknął drzwi. Coś go przywoływało. Znów znalazł się sam w ciemności, lecz ciemność powoli jaśniała, coraz bardziej i bardziej, aż w końcu zapłonęła niczym słońce.

I wtedy zaczął się ból.

* * *

Wielkanoc wędrowała przez łąkę. W miejscach, których dotknęły jej stopy, rozkwitały wiosenne kwiaty.

Minęła miejsce, w którym dawno temu stała farma. Do dziś pozostały resztki kilku ścian, sterczące spomiędzy chaszczy i trawy niczym spróchniałe zęby. Z nieba padał lekki deszczyk, ciemne chmury wisiały nisko na niebie. Było zimno.

Nieco dalej rosło drzewo: wielkie, srebrzystoszare drzewo, na oko martwe, pozbawione liści. A przed drzewem, na trawie, leżały spłowiałe strzępki bezbarwnego materiału. Kobieta schyliła się, zatrzymała i podniosła coś brązowo-białego — ponadgryzany kawałek kości, który być może stanowił niegdyś część ludzkiej czaszki. Cisnęła go z powrotem na trawę.

A potem spojrzała na wiszącego na drzewie mężczyznę i uśmiechnęła się cierpko.

— Nadzy nie są wcale interesujący — rzekła. — Połowa zabawy to odpakowywanie. Tak jak z prezentami i jajkami.

Maszerujący obok niej mężczyzna o głowie sokoła spojrzał w dół na swojego penisa i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z faktu, że jest nagi.

— Mogę spojrzeć w słońce, nie mrugając — rzekł.

— To bardzo sprytna sztuczka — odparła Wielkanoc tonem dodającym otuchy. — A teraz zdejmijmy go stamtąd.

Mokre sznury trzymające Cienia już dawno sparciały i przegniły, toteż puściły z łatwością, gdy oboje szarpnęli jednocześnie. Ciało zsunęło się z pnia ku korzeniom. Złapali je, unieśli bez trudu, choć Cień był dużym mężczyzną, i złożyli na szarej łące.

Ciało na trawie było zimne, nie oddychało. Na jego boku widniała zaschnięta smuga krwi, jakby przebito go włócznią.

— Co teraz?

— Teraz — odparła — musimy go ogrzać. Wiesz, co trzeba zrobić.

— Wiem. Nie mogę.

— Jeśli nie chcesz pomóc, nie trzeba było mnie wzywać.

Wyciągnęła białą dłoń i dotknęła czarnych włosów Horusa, który zamrugał bystro, a potem zamigotał, niczym spowity w obłok rozgrzanego powietrza.

Spoglądające na nią oko sokoła lśniło pomarańczowym blaskiem, jakby w jego wnętrzu zapłonął ogień. Ogień, który już dawno wygasł.

Sokół wzleciał w powietrze i śmignął w górę, zataczając coraz szersze kręgi, okrążając miejsce wśród szarych chmur, w którym powinno świecić słońce. W miarę, jak wznosił się coraz wyżej, stawał się najpierw kropką, potem punkcikiem, by wreszcie zupełnie zniknąć z oczu i pozostać tylko wyobrażeniem ptaka. Po chwili chmury zaczęły rozwiewać się i parować, odsłaniając plamę błękitnego nieba, na którym świeciło słońce. Samotny jasny promień padający na łąkę był niezwykle piękny, po chwili jednak rozproszył się, gdy zniknęły kolejne obłoki. Wkrótce poranne słońce zalało swym blaskiem ziemię niczym w letnie południe, zmieniając parę wodną pozostałą po porannym deszczu we mgłę, a mgłę w nicość.

Złote promienie słońca skąpały leżące na łące ciało w swym blasku i cieple. Skóra trupa zaczęła nabierać odcienia różowości i ciepłego brązu.

Kobieta przesunęła lekko palcami prawej dłoni po piersi martwego mężczyzny. Wyobraziła sobie, że czuje w niej drżenie — coś, co nie było może biciem serca, ale jednak… Zatrzymała swą rękę tuż ponad jego sercem.

Pochyliła głowę, musnęła ustami wargi Cienia i odetchnęła powietrzem w jego płuca — łagodny wdech i wydech, a potem oddech przekształcił się w pocałunek. Jej pocałunek był lekki, delikatny, smakował wiosennym deszczem i polnymi kwiatami.

Z rany w boku znów popłynęła krew — szkarłatna krew, lśniąca

w słońcu niczym płynny rubin. A potem krwawienie ustało.

Wielkanoc ucałowała jego policzek i czoło.

— No już — powiedziała. — Czas wstawać. Zaczęło się. Nie chcesz tego przegapić.

Jego powieki zatrzepotały, a potem się uniosły. Spojrzał na nią oczami szarymi niczym zmierzch.

Uśmiechnęła się i cofnęła rękę.

— Przywołałaś mnie z powrotem — powiedział. Mówił wolno, jakby zapomniał angielskiego. W jego głosie dźwięczał ból i zdumienie.

— Tak.

— Ja już skończyłem. Zostałem osądzony. To był koniec, a ty mnie wezwałaś. Odważyłaś się.

— Przykro mi.

— Tak.

Powoli usiadł na ziemi. Skrzywił się i dotknął boku. Potem zerknął na nią zaskoczony: wyczuwał ciepłą krew, ale pod nią nie było rany.

Wyciągnął rękę. Wielkanoc objęła go i pomogła mu wstać. Powiódł wzrokiem po łące, jak gdyby próbował sobie przypomnieć nazwy rzeczy, na które patrzył: kwiatów wśród długich traw, ruin farmy, mgiełki jasnozielonych pąków, spowijającej gałęzie wielkiego srebrzystego drzewa.

— Pamiętasz? — spytała. — Pamiętasz, czego się dowiedziałeś?

— Straciłem moje imię i serce. A ty mnie tu sprowadziłaś.

— Przykro mi — powtórzyła. — Wkrótce zaczną walczyć. Starzy bogowie z nowymi.

— Chcesz, żebym dla was walczył? Marnujesz czas.

— Sprowadziłam cię tu, bo musiałam to zrobić. Teraz ty zrobisz to, co musisz. Twoja kolej. Ja już skończyłam.

Nagle uświadomiła sobie, że jest nagi, i zarumieniła się gwałtownie, po czym odwróciła wzrok.

* * *

Pośród deszczu i chmur, na zboczu góry, kamienistymi ścieżkami poruszały się cienie.

Białe lisy biegły naprzód w towarzystwie rudowłosych mężczyzn w zielonych kurtkach. Minotaur o byczej głowie wędrował obok żelaznego palca. Świnia, małpa i trupojad o ostrych zębach gramoliły się w górę w towarzystwie człowieka o błękitnej skórze, trzymającego

w dłoni płonący łuk, niedźwiedzia z kwiatami wplecionymi w futro i mężczyzny w złotej kolczudze, dzierżącego miecz z oczu.

Piękny Antinous, kochanek Hadriana, maszerował w górę na czele oddziału wymuskanych lalusiów o ramionach i klatkach piersiowych rozrosłych w idealne sterydowe kształty.

Szaroskóry mężczyzna o jednym cyklopowym oku — wielkim szmaragdzie o kaboszonowym szlifie — wędrował naprzód, prowadząc kilkunastu smagłych, przysadzistych ludzi o obojętnych twarzach, kanciastych niczym azteckie rzeźby: oni znali sekrety, które pochłonęła dżungla.

Snajper na szczycie wzgórza starannie wycelował w białego lisa i wystrzelił. Nastąpił głośny wybuch; w wilgotnym powietrzu rozeszła się woń kordytu i prochu. Na ziemi pozostał trup młodej Japonki z rozerwanym brzuchem i zakrwawioną twarzą. Powoli zaczął znikać i blednąc.

Armia nadal maszerowała w górę, na dwóch nogach, czterech, bądź w ogóle bez nóg.

* * *

Jazda przez góry stanu Tennessee okazała się niewiarygodnie piękna w chwilach, gdy burza cichła, i potwornie niebezpieczna w deszczu. Town i Laura cały czas rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali. Tak bardzo się cieszył, że ją spotkał. Przypominało to spotkanie starej przyjaciółki, bardzo bliskiej przyjaciółki, której nigdy nie poznał. Gadali o historii, filmach i muzyce. Laura okazała się jedyną znaną mu osobą, poza nim samym, która oglądała zagraniczny film (pan Town święcie wierzył, że hiszpański, podczas gdy Laura upierała się, że polski) z lat sześćdziesiątych, „Rękopis znaleziony w Saragossie” — a już zaczynał odnosić wrażenie, że wyhalucynował go sobie.

Gdy Laura wskazała palcem pierwszą stodołę z napisem ODWIEDŹ SKALNE MIASTO, Town zachichotał i przyznał, że tam właśnie się wybiera. Odparła, że to super, zawsze chciała zobaczyć podobne miejsce, ale nigdy nie miała czasu i później żałowała. Dlatego właśnie wyruszyła w drogę. Zapragnęła przygody.

Powiedziała mu, że pracuje w agencji turystycznej i jest w separacji z mężem. Przyznała, iż wątpi, by kiedykolwiek jeszcze się zeszli, i dodała, że to jej wina.

— Nie wierzę.

Westchnęła.

— To prawda, Mack. Nie jestem już kobietą, z którą się ożenił.

No cóż, odparł, ludzie się zmieniają, i zanim się obejrzał, zaczął opowiadać jej o wszystkim, co tylko mógł, ze swego życia, nawet o Woodym i Stonerze, o tym jak we trójkę byli niczym trzej muszkieterowie, a teraz obaj zginęli. Człowiek sądzi, że przywykł do tego w służbie rządowej, ale nie.

A ona wyciągnęła rękę — tak zimną, że podkręcił ogrzewanie — i mocno uścisnęła mu dłoń.

Na lunch zatrzymali się w kiepskiej japońskiej restauracji w ogarniętym burzą Knoxville. Town nie przejął się faktem, że jedzenie dostali późno, zupa miso było zimna, a sushi ciepłe.

Rozkoszował się jej towarzystwem, tym że wybrała się na poszukiwanie przygody.

— Cóż — wyznała mu Laura. — Czułam wstręt na myśl o zastoju. Gniłam w zamknięciu. Wyruszyłam zatem w drogę bez samochodu i kart kredytowych, polegając na uprzejmości nieznajomych.

— Nie boisz się? — spytał. — Mogłaś gdzieś utknąć, zabłądzić, głodować. Mógł cię ktoś napaść.

Pokręciła głową, po czym rzekła, uśmiechając się z wahaniem:

— Przecież spotkałam ciebie.

A jemu zabrakło słów.

Po skończonym posiłku pobiegli w deszczu do samochodu, trzymając nad głowami japońskie gazety. Cały czas śmieli się jak małe dzieci.

— Jak daleko mogę cię zabrać? — spytał, gdy siedzieli już w środku.

— Pojadę tam gdzie ty, Mack — odparła nieśmiało.

Ucieszył się, że nie użył tekstu z Wielkim Maćkiem. To nie była przygoda na jedną noc, pan Town wiedział o tym w głębi serca, i choć poszukiwanie jej zabrało mu pięćdziesiąt lat życia, w końcu znalazł — to ona, ta jedyna, szalona czarodziejska kobieta o długich ciemnych włosach.

Znalazł swą miłość.

— Posłuchaj — rzekł, gdy zbliżali się do Chattanoogi. Wycieraczki rozmazywały krople deszczu po szybie, przemieniając miasto w plamę szarości. — Co powiesz na to, żebym znalazł ci jakiś motel? Zapłacę. A gdy dostarczę już przesyłkę, moglibyśmy, no, na początek wziąć gorącą kąpiel. Rozgrzać cię.

— Brzmi cudownie — odparła Laura. — A co dostarczasz?

— Ten patyk — odparł i zachichotał. — Ten na tylnym siedzeniu.

— W porządku — ustąpiła. — Niech mi pan nie mówi, Panie Tajemniczy.

Oznajmił, że będzie najlepiej, jeśli zaczeka na niego na parkingu przy Skalnym Mieście. W zacinającym deszczu wjeżdżał zboczem Góry Czatów, ani razu nie przekraczając pięćdziesięciu kilometrów na

godzinę. Drogę oświetlały wyłącznie reflektory wozu.

Postawili samochód z tyłu parkingu. Pan Town wyłączył silnik.

— Hej, Mack. Zanim wysiądziesz, nie uściśniesz mnie? — spytała z uśmiechem Laura.

— Jasne, że tak — odparł pan Town.

Objął ją, a ona przywarła do niego. Tymczasem deszcz wystukiwał złożony rytm na dachu forda explorera. Pan Town czuł zapach jej włosów. Pod wonią perfum wyczuł inny, nieprzyjemny zapach. To pewnie pamiątka z podróży, pomyślał. Kąpiel naprawdę im się przyda. Ciekawe, czy gdzieś w Chattanooga zdoła dostać lawendowe szyszki kąpielowe, które uwielbiała jego pierwsza żona. Laura uniosła głowę, z roztargnieniem gładząc jego kark.

— Mack… tak się zastanawiam. Pewnie bardzo chciałbyś wiedzieć, co spotkało twoich przyjaciół, Woody'ego i Stone'a? Czyż nie?

— Tak, odparł pochylając się do pierwszego pocałunku. — Bardzo bym chciał.

A zatem mu pokazała.

* * *

Cień wędrował po łące, zataczając powoli kręgi wokół pnia drzewa. Stopniowo oddalał się coraz bardziej. Czasami przystawał, podnosząc coś z ziemi: kwiat, liść, kamyk, gałązkę, źdźbło trawy. Oglądał dokładnie swe znalezisko, zupełnie jakby całkowicie koncentrował się na gałązkowatości gałązki, liściowatości liścia.

Wielkanocy wyraz jego twarzy skojarzył się ze spojrzeniem niemowlęcia w okresie, gdy dziecko po raz pierwszy próbuje skupiać wzrok.

Nie odważyła się do niego odezwać. W tym momencie byłoby to istnym świętokradztwem. Obserwowała go, kompletnie wyczerpana, i rozmyślała.

Jakieś sześć metrów od podstawy drzewa Cień znalazł płócienną torbę, ukrytą w wysokiej trawie wśród martwych bluszczy. Podniósł ją, rozwiązał węzły na górze i otworzył.

Wyciągnięte ze środka ubranie należało do niego. Było stare, lecz wciąż dobre. Obrócił w dłoni buty, pogładził tkaninę koszuli, wełnę swetra, patrząc na nie jakby z odległości miliona lat.

Ubrał się, po kolei wkładając części garderoby.

Wsunął ręce do kieszeni i ze zdumieniem wyciągnął jedną dłoń, w której trzymał coś, co Wielkanocy wydało się biało-szarą kulką.

— Nie mam monet — rzekł; to były pierwsze słowa, jakie wypowiedział przez ostatnich kilka godzin.

— Nie mam monet? — powtórzyła jak echo Wielkanoc.

Pokręcił głową.

— Dzięki nim mogłem przynajmniej zająć czymś ręce. — Pochylił się, nakładając buty.

Gdy już się ubrał, wyglądał całkiem normalnie, choć ponuro. Wielkanoc zastanowiła się przelotnie, jak daleko odszedł i ile kosztował go powrót. Nie był pierwszą osobą, której powrót zapoczątkowała. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce owo odległe o miliony lat spojrzenie zniknie, a wspomnienia i marzenia przyniesione z drzewa zblakną w obliczu świata rzeczy dotykalnych. Tak było zawsze.

Poprowadziła go w głąb łąki. Przy drzewach czekał jej wierzchowiec.

— Obojga nas nie uniesie — oznajmiła. — Sama trafię do domu.

Cień skinął głową. Wyraźnie próbował coś sobie przypomnieć. W końcu otworzył usta i krzyknął radośnie, powitalnie.

Ptak gromu rozwarł okrutny dziób i odkrzyknął w odpowiedzi.

Z wyglądu bardzo przypominał kondora. Pióra miał czarne, o fioletowym pobłysku, szyję okoloną bielą, dziób czarny i złowieszczy: dziób ptaka drapieżnego, stworzony do rozrywania mięsa. Siedząc na ziemi ze złożonymi skrzydłami, wielkością dorównywał czarnemu niedźwiedziowi. Głową dosięgał twarzy Cienia.

— Sprowadziłem go tu — oznajmił z dumą Horus. — One żyją w górach.

Cień skinął głową.

— Kiedyś miałem sen o ptakach gromu. Najdziwniejszy sen, jaki pamiętam.

Ptak gromu otworzył dziób i wydał z siebie zaskakująco łagodny dźwięk. *Krauruu?*

— Ty też słyszałeś mój sen? — spytał Cień.

Wyciągnął rękę i pogładził delikatnie głowę ptaka. Ptak gromu przytulił się do niego niczym oswojony źrebak. Cień podrapał jego szyję i czubek głowy.

— Przyleciałaś tu na nim? — spytał Wielkanoc.

— Tak — odparła. — Ty możesz polecieć z powrotem. Jeśli ci pozwoli.

— Jak się na nim jeździ?

— To łatwe — wyjaśniła. — Trzeba tylko nie spaść. Przypomina jazdę na błyskawicy.

— Zobaczymy się tam?

Potrząsnęła głową.

— Ja już skończyłam, słonko — oznajmiła. — Leć tam, gdzie cię

potrzebują. Ja jestem zmęczona. Powodzenia.

Cień skinął głową.

— Whiskey Jack. Widziałem go. Już po śmierci. Przyszedł i znalazł mnie. Piliśmy razem piwo.

— Tak — rzekła. — Nie wątpię.

— Czy jeszcze kiedyś się spotkamy? — spytał.

Popatrzyła na niego oczami barwy zielonej dojrzewającej kukurydzy. Milczała. Wreszcie gwałtownie pokręciła głową.

— Wątpię.

Cień wdrapał się niezdarnie na grzbiet ptaka gromu. Czuł się jak mysz dosiadająca sokoła. W ustach wyczuwał posmak ozonu, ostry, błękitny, metaliczny. Coś trzasnęło. Ptak gromu rozłożył skrzydła i zaczął łopotać nimi, coraz mocniej.

Gdy ziemia została w dole, Cień przywarł mocniej do ptaka. Serce tłukło mu się w piersi niczym dzikie zwierzę w klatce.

Dokładnie przypominało to jazdę na błyskawicy.

* * *

Laura wzięła kij z tylnego siedzenia samochodu. Pozostawiła pana Towna za kierownicą forda explorera, wyszła z wozu i ruszyła w deszczu do Skalnego Miasta. Kasa była już zamknięta, drzwi do sklepu z pamiątkami nie, toteż weszła do środka, mijając słój landrynek i regał pełen budek dla ptaków z napisem ODWIEDŹ SKALNE MIASTO. Stamtąd droga wiodła do Ósmego Cudu Świata.

Nikt nie próbował jej zatrzymać, choć minęła po drodze w deszczu kilkanaście osób płci obojga. Wiele z nich sprawiało wrażenie nieco sztucznych, kilka wręcz przezroczystych. Przeszła po rozkołysanym moście linowym, minęła ogrody białych jeleni j przecisnęła się przez Kleszcze Tłuściocha, miejsce, w którym ścieżka biegła pomiędzy dwiema skalnymi ścianami.

W końcu przekroczyła łańcuch z napisem ostrzegającym, że ta część wystawy została zamknięta. Weszła do jaskini i ujrzała mężczyznę siedzącego na plastikowym krześle przed dioramą z pijanymi skrzatami. Mężczyzna czytał „Washington Post", przyświecając sobie małą elektryczną latarką. Na jej widok złożył gazetę i wsunął pod krzesło. Wstał. Wysoki mężczyzna o krótko przyciętych rudych włosach, w kosztownym płaszczu przeciwdeszczowym. Ukłonił się lekko.

— Zakładam, że pan Town nie żyje — rzekł. — Witaj, dostarczycielko włóczni.

— Dziękuję. Przykro mi z powodu Macka — odparła. — Byliście przyjaciółmi?

— Ależ nie. Jeśli chciał zachować pracę, powinien był utrzymać się przy życiu. Widzę, że przyniosłaś jego kij. — Zmierzył ją spojrzeniem oczu połyskujących niczym pomarańczowy żar umierającego ognia. — Obawiam się, że masz nade mną przewagę, pani. Tu, na szczycie wzgórza, nazywają mnie panem Werl — dem.

— Ja jestem żoną Cienia.

— Oczywiście. Urocza Laura. Powinienem był cię poznać. Kiedy siedzieliśmy w jednej celi, nad jego łóżkiem wisiało mnóstwo twoich zdjęć. Jeśli wybaczysz mi tę uwagę, wyglądasz piękniej, niż wedle wszystkich znaków na ziemi i niebie się spodziewałem. Czyż nie powinnaś znaleźć się nieco dalej na drodze rozkładu i zepsucia?

— Byłam już dalej — odparła z prostotą. — Lecz kobiety na farmie poczęstowały mnie wodą ze studni.

Uniósł brwi.

— Wodą ze studni Urd? Nie wierzę.

Wskazała palcem na siebie. Skórę miała bladą, oczodoły ciemne, poza tym jednak wyglądała na całą i zdrową. Jeśli istotnie była chodzącym trupem, to zmarłym bardzo niedawno.

— To nie potrwa długo — oznajmił pan World. — Norny dały ci jedynie skosztować przeszłości. Wkrótce ich dar rozpłynie się w teraźniejszości, a wówczas te śliczne błękitne oczęta obrócą się w czaszce i wypłyną po pięknych policzkach, które wtedy przestaną już być takie piękne. A przy okazji, masz mój kij. Zechcesz mi go oddać?

Wyciągnął z kieszeni paczkę lucky strike'ow, wyjął papierosa, zapalił go jednorazowym czarnym bikiem.

— Mogłabym dostać jednego? — poprosiła Laura.

— Jasne. Dam ci papierosa, jeśli ty dasz mi mój kij.

— Skoro go potrzebujesz, to z pewnością jest wart więcej niż papieros.

Milczał.

— Chcę odpowiedzi — dodała. — Pragnę wiedzieć.

Zapalił papierosa i wręczył go jej. Zaciągnęła się głęboko i zamrugała.

— Niemal czuję jego smak — rzekła. — Może naprawdę go czuję? — Uśmiechnęła się. — Mmm, nikotyna.

— Owszem — odparł. — Czemu poszłaś do kobiet na farmie?

— Cień mi kazał — wyjaśniła. — Powiedział, że mam je poprosić o łyk wody.

— Ciekawe, czy wiedział, co zdziała. Pewnie nie. Dobrze jednak, że wisi martwy na drzewie. Teraz przynajmniej wiem, gdzie go szukać. Zszedł ze sceny.

— Wystawiłeś mojego męża — oznajmiła. — Wy wszyscy go

wystawiliście. A on ma dobre serce. Słyszysz?

— Tak — odrzekł pan World. — Słyszę. Gdy skończymy z tym wszystkim, zaostrzę gałązkę jemioły, pójdę pod jesion i wbiję mu ją w oko. A teraz poproszę o kij.

— Do czego jest ci potrzebny?

— To pamiątka tego całego żałosnego zamieszania. Nie martw się, nie jemioła. — Błysnął zębami w uśmiechu. — Symbolizuje włócznię, a w tym okropnym świecie symbol sam staje się rzeczą.

Odgłosy z zewnątrz przybrały na sile.

— Po której stoisz stronie? — spytała.

— Tu nie chodzi o strony. Skoro jednak pytasz, stoję po stronie zwycięzcy. Jak zawsze.

Skinęła głową, nie wypuszczając kija.

Odwróciła się od niego, wyglądając przez wejście do jaskini. Daleko na skałach ujrzała coś, co świeciło i pulsowało. To coś owinęło się wokół chudego brodacza o fiołkowej twarzy, który zaczął je tłuc gumową wycieraczką, taką jaką ludzie zwykle rozmazują brud po szybie samochodu, który się zatrzymał na światłach. Rozległ się krzyk i obaj zniknęli.

— Zgoda, oddam ci kij — oznajmiła.

Tuż za sobą usłyszała głos pana Worlda.

— Grzeczna dziewczynka — rzekł ciepło tonem, który uderzył ją jako jednocześnie protekcjonalny i niezwykle męski. Poczuła dreszcz zgrozy.

Czekała u wylotu skalnej jaskini, póki nie usłyszała jego oddechu. Musiał zbliżyć się jeszcze bardziej. Tyle wiedziała.

* * *

Lot okazał się więcej niż podniecający, był wręcz elektryzujący.

Przemykali przez burzę jak zygzaki błyskawic, śmigając od chmury do chmury; poruszali się niczym huk gromu, kolejne porywy huraganu. Była to pasjonująca niewiarygodna wyprawa. Cień nie czuł strachu, jedynie moc burzy, niepowstrzymaną, wszechogarniającą moc i radość latania.

Wbił głęboko palce w pióra ptaka gromu, czując na skórze ukłucia prądu. Na jego dłoniach zatańczyły błękitne iskierki przywodzące na myśl maleńkie węże. Deszcz obmył mu twarz.

— To wspaniałe! — wrzasnął, przekrzykując burzę.

Ptak jakby go zrozumiał, zaczął wzlatywać wyżej. Każde uderzenie skrzydeł przypominało grzmot. Wzbijał się po spirali pośród

czarnych chmur.

— W moim śnie polowałem na ciebie — oznajmił Cień. Wiatr porywał jego słowa. — We śnie musiałem przynieść twoje piórko.

Tak. Głos zabrzmiał z oddali niczym trzeszcząca taśma w starym radiu. *Przychodzą do nas po pióra, by udowodnić, że są mężczyznami. Przychodzą też, by wyciąć nam z głów kamienie i podarować zmarłym nasze życie.*

Jego umysł wypełniła wizja: ptak gromu — Cień założył, że to samica, bo pióra miał brązowe, nie czarne — leżał martwy na zboczu góry. Obok niego stała kobieta. Rozłupywała właśnie czaszkę kawałkiem krzemienia. Potem zaczęła grzebać pośród mokrych strzępków kości i mózgu, aż w końcu znalazła gładki jasny kamień żółtopłowej barwy, w jego głębi połyskiwały opalizujące płomienie. Orli kamień, pomyślał Cień. Kobieta zamierzała zanieść go swemu maleńkiemu synowi, który nie żył już od ostatnich trzech nocy, a potem złożyć klejnot na zimnej piersi. Do następnego wschodu jej chłopiec będzie żywy, roześmiany, a kamień stanie się szary i zamglony niczym ptak, któremu go ukradła.

— Rozumiem — rzekł do ptaka.

Ptak odrzucił głowę i zakrakał. Jego głos przypominał huk gromu.

Świat pod nimi zostawał z tyłu, od jednego dziwnego snu do drugiego.

* * *

Laura mocniej chwyciła kij, czekając, by człowiek, znany jej wyłącznie jako pan World, zbliżył się dostatecznie. Nie widziała go, patrzyła w głąb burzy i dalej, ku widocznym w dole zielonym pagórkom.

W tym okropnym świecie, pomyślała, symbol sam staje się rzeczą. O tak.

Poczuła dłoń zaciskającą się powoli na jej prawym ramieniu.

Doskonale, pomyślała. Nie chce mnie przestraszyć. Boi się, że wyrzucę jego kij na zewnątrz, że runie gdzieś w dół zbocza i on nigdy go nie znajdzie.

Lekko się odchyliła, tak, że jej plecy dotknęły piersi mężczyzny, który objął ją lewą ręką w dziwnie intymnym geście. Dłoń trzymał otwartą tuż przed nią. Zacisnęła obie ręce na końcu kija, skupiła się, wypuszczając powietrze z płuc.

— Proszę o mój kij — rzekł wprost do jej ucha.

— Tak — odparła. — Jest twój. — A potem, nie wiedząc, czy to

cokolwiek znaczy, dodała: — Śmierć tę poświęcam Cieniowi. — I wbiła kij prosto w swą pierś, tuż pod mostkiem. Poczuła, jak porusza się i zmienia w jej dłoni, staje się włócznią.

Od chwili śmierci granica pomiędzy uczuciem a bólem całkowicie się zatarła. Laura czuła, jak grot włóczni przebija jej pierś i wychodzi przez plecy. Chwila oporu, pchnęła mocniej i grot wbił się w pana Worlda. Czuła ciepły oddech na zimnej skórze karku, gdy mężczyzna, ryknął z bólu i ze zdumienia, przeszyty włócznią.

Nie rozpoznała wymówionych przez niego słów i języka. Dalej napierała na drzewce, przebijając własne ciało i wbijając włócznię głębiej w niego.

Na jej plecy chlusnęła fontanna gorącej krwi.

— Suka — rzucił po angielsku. — Ty pieprzona suko.

W jego głosie usłyszała bulgot i domyśliła się, iż grot musiał przebić płuco. Pan World poruszał się, czy raczej próbował poruszyć, przy okazji kołysząc też nią. Byli ze sobą złączeni, nabici niczym dwie ryby na jedno ostrze. Teraz miał w ręku nóż; zaczął dźgać ją w piersi i brzuch, szaleńczo, na oślep, nie widząc, co robi.

Nie obchodziło jej to. Czymże są rany dla trupa?

Uderzyła mocno pięścią w przegub mężczyzny. Nóż poleciał na ziemię. Odkopnęła go. Teraz mężczyzna krzyczał i zawodził. Czuła pchnięcia. Rękami napierał na jej plecy, gorące łzy spływały na kark Laury. Krew zalewała jej plecy, ściekała po nogach.

— To musi wyglądać bardzo niestosownie — szepnęła głucho nie bez pewnego rozbawienia.

Poczuła, jak pan World chwieje się za nią. Także się zachwiała, poślizgnęła na krwi — jego krwi — tworzącej kałuże na kamieniach, i oboje runęli na ziemię.

* * *

Ptak gromu wylądował na parkingu Skalnego Miasta. Z nieba lały się strugi deszczu. Cień ledwie widział, co dzieje się kilka metrów dalej. Wypuścił pióra ptaka gromu i częściowo zsunął się, a częściowo spadł na mokry asfalt.

Zajaśniała błyskawica. Ptak zniknął.

Cień dźwignął się na nogi.

Parking był w trzech czwartych pusty. Cień ruszył w stronę wejścia, po drodze mijając brązowego forda explorera, zaparkowanego tuż przy murze. Było w nim coś niezwykle znajomego, toteż zerknął ciekawie i dostrzegł tkwiącego wewnątrz mężczyznę, leżącego na

kierownicy, jakby zasnął.

Cień otworzył drzwi od strony kierowcy.

Ostatnio widział pana Towna stojącego przed motelem w środku Ameryki. Teraz jego twarz miała zdziwiony wyraz. Kark został fachowo złamany. Cień dotknął jego twarzy. Była jeszcze ciepła.

W powietrzu poczuł zapach, słaby, niczym perfumy kogoś, kto wiele lat temu opuścił pokój, ale i tak rozpoznałby go wszędzie. Trzasnął drzwiami explorera i ruszył przez parking. Przez moment poczuł ból w boku, ostre przeszywające ukłucie. Trwało ono jednak tylko sekundę, a potem minęło.

Nikt nie sprzedawał biletów. Cień przeszedł przez budynek i znalazł się w ogrodach Skalnego Miasta.

Grzmot zakołysał gałęziami drzew i potrząsnął ogromnymi skałami. Deszcz padał nadal, ulewny, lodowaty. Było późne popołudnie, lecz na dworze panowały ciemności.

Nagle chmury przeszyła kolejna błyskawica. Cień zastanowił się przelotnie, czy to ptak gromu wraca do swych szczytów, czy jest to tylko wyładowanie atmosferyczne. A może, na pewnym poziomie, obie te rzeczy stanowią jedność?

I oczywiście tak było. W końcu przecież wszystko sprowadzało się do tego.

Gdzieś z dali dobiegł go męski głos. Jedyne słowo, jakie Cień rozpoznał, czy też zdawało mu się, że rozpoznał, brzmiało: „… Odynowi…”.

Cień pospiesznie przeciął dziedziniec Siedmiu Stanów. Po kamiennych płytach płynęła woda. Raz poślizgnął się na kamieniu. Szczyt góry otaczała gruba warstwa chmur; w mroku pośród burzy nie dostrzegał żadnych stanów.

Niczego nie słyszał. Całe to miejsce wyglądała na opuszczone.

Zawołał i wydawało mu się, że słyszy odpowiedź. Ruszył w stronę miejsca, z którego, jak sądził, dobiegała.

Nie dostrzegł nikogo, niczego. Jedynie łańcuch przegradzający wejście do jaskini.

Cień go przekroczył.

Rozejrzał się, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność.

Przebiegł go dreszcz.

W mroku za plecami usłyszał cichy głos:

— Ani razu mnie nie zawiodłeś.

Cień nie odwrócił głowy.

— Dziwne — rzekł. — Samego siebie zawodzę bez przerwy. Za każdym razem.

— Ależ nie. Zrobiłeś to, co miałeś zrobić, i jeszcze więcej. Przyciągnąłeś uwagę wszystkich, tak że nikt nie patrzył na rękę trzymającą monetę. Nazywamy to zmyłką. A ofiara złożona z syna ma

w sobie ogromną moc, aż nadto, by uruchomić lawinę. Prawdę mówiąc, jestem z ciebie dumny.

— Oszustwo — rzekł Cień. — Wszystko to było oszustwem, nieprawdą, stanowiło jedynie przygrywkę do masakry.

— Zgadza się — znów usłyszał dobiegający z cienia głos Wednesdaya. — To oszustwo. Ale też jedyna gra w mieście.

— Szukam Laury — oznajmił Cień. — I Lokiego. Gdzie są?

Odpowiedziała mu cisza. Poczuł na twarzy uderzenie deszczu. Gdzieś w pobliżu zagrzmiało. Wszedł głębiej do środka.

Loki Lie-Smith siedział na ziemi, oparty plecami o metalową klatkę. Wewnątrz pijane skrzaty krzątały się wokół destylarki. Okrywał go koc, spod którego wystawała jedynie twarz i ręce, białe i długie. Na krześle obok stała elektryczna lampa o niemal zupełnie wyczerpanych bateriach, rzucająca słabe żółte światło.

Wyglądał blado i niezdrowo.

Lecz jego oczy — w tych oczach wciąż płonął ogień. Patrzyły gniewnie na Cienia wędrującego w głąb jaskini. Gdy Cień znalazł się o kilka kroków od Lokiego, przystanął.

— Spóźniłeś się — głos tamtego zabrzmiał ochryple, jękliwie. — Cisnąłem już włócznię, poświęciłem bitwę. Zaczęło się.

— Nie gadaj — rzekł Cień.

— Nie gadam — odparł Loki. — Nieważne więc, co teraz zrobisz.

Cień zastanawiał się przez chwilę. W końcu rzekł:

— Włócznia, którą musiałeś cisnąć, by rozpocząć bitwę. Tak jak ta cała sprawa z Uppsalą. To bitwa, którą się karmicie. Mam rację?

Cisza. Słyszał oddech Lokiego, upiorny gulgot i poświsty.

— Domyśliłem się. No, mniej więcej. Nie jestem pewien, kiedy wszystko zgadłem. Może gdy wisiałem na drzewie? Może wcześniej? Zastanowiło mnie coś, co Wednesday powiedział w święta.

Loki patrzył na niego z ziemi. Milczał.

— To dwuosobowe oszustwo — ciągnął Cień. — Tak jak biskup z diamentowym naszyjnikiem i gliniarz, który go aresztuje, jak facet ze skrzypkami i ten, który chce je kupić. Dwóch mężczyzn, pozornie po przeciwnych stronach, grających w tę samą grę.

— To śmieszne — szepnął Loki.

— Czemu? Spodobało mi się to, co zrobiłeś w motelu. To było sprytne. Musiałeś się tam znaleźć, dopilnować, by wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Zobaczyłem cię, odgadłem nawet, kim jesteś, ale nie miałem pojęcia, że mam przed sobą ich pana Worlda.

Cień podniósł głos.

— Możesz już wyjść — rzucił w głąb jaskini. — Gdziekolwiek jesteś, pokaż się.

Wiatr zawył u wejścia groty, posyłając w ich stronę chmurę wodnego pyłu. Cień zadrżał.

— Mam dosyć robienia ze mnie frajera — ciągnął. — Pokaż się. Niech cię zobaczę.

Wśród cieni z tyłu jaskini coś się zmieniło, poruszyło się, zgęstniało.

— Zdecydowanie za dużo wiesz, mój chłopcze. — To był niski znajomy głos Wednesdaya.

— A zatem cię nie zabili.

— Ależ zabili — odparł Wednesday z cienia. — W przeciwnym razie nie udałoby się. — Jego głos był słaby — nie cichy — lecz miał w sobie coś, co Cieniowi skojarzyło się ze starym radiem, niedokładnie dostrojonym na odległą stację. — Gdybym nie umarł naprawdę, nigdy byśmy ich tu nie ściągnęli — mówił Wednesday. — Kali, Morrigan, pieprzonych Albańczyków i… Zresztą widziałeś ich wszystkich. To moja śmierć ich złączyła. Byłem owieczką złożoną w ofierze.

— Nie — odparł Cień. — Raczej przynętą.

Ulotny kształt wśród cieni zakołysał się i poruszył.

— Ależ nie. To by sugerowało, że zdradziłem starych bogów, przechodząc na stronę nowych, a my zrobiliśmy zgoła coś innego.

— Właśnie — wyszeptał Loki.

— Widzę — odrzekł Cień. — Nie zdradzaliście jednej strony, zdradziliście je obie.

— Chyba rzeczywiście — przyznał Wednesday, wyraźnie zadowolony z siebie.

— Pragnęliście masakry, ofiary z krwi. Krwi bogów.

Wiatr stawał się coraz silniejszy, zawodzenie u wylotu jaskini wzmagało się, przeradzało w upiorny wrzask olbrzymiej znękanej istoty.

— A czemu nie, do diabła? Od prawie tysiąca dwustu lat tkwię uwięziony w tym cholernym kraju. Rozrzedziła mi się krew, jestem głodny.

— A wy dwaj karmicie się śmiercią — dodał Cień.

Zdawało mu się, że widzi Wednesdaya, postać utkaną z ciemności, bardziej cielesną tylko wtedy, gdy Cień odwracał wzrok. Postrzegany kątem oka Wednesday nabierał kształtów.

— Karmię się śmiercią, która jest mi poświecona — odparł Wednesday.

— Tak jak moja śmierć na drzewie.

— To było coś wyjątkowego — przyznał tamten.

— A ty? Także żywisz się śmiercią? — spytał Cień, zerkając na Lokiego.

Loki ze znużeniem pokręcił głową.

— Nie, oczywiście, że nie. Ty żywisz się chaosem.

Na to słowo Loki uśmiechnął się przelotnie, z bólem. Pomarańczowe płomienie zatańczyły w jego oczach i zamigotały

niczym ognista koronka pod bladą skórą.

— Bez ciebie nic byśmy nie zdziałali — oznajmił Wednesday z kącika oka Cienia. — Byłem z tyloma kobietami…

— Potrzebowałeś syna — uzupełnił Cień.

Duch Wednesdaya skinął głową.

— Potrzebowałem ciebie, mój chłopcze. O tak. Mój własny syn. Wiedziałem, że zostałeś poczęty, lecz twoja matka wyjechała z kraju. Tak wiele czasu potrzebowaliśmy, by cię odnaleźć. A kiedy cię znaleźliśmy, siedziałeś w więzieniu. Musieliśmy sprawdzić, co w tobie tkwi. Jak pchnąć cię do działania. Kim jesteś. — Przez moment Loki uśmiechnął się z zadowoleniem. A ty miałeś żonę, do której mogłeś wrócić. Przeszkoda irytująca, lecz nie nie do pokonania.

— Nie nadawała się dla ciebie — szepnął Loki. — Lepiej ci bez niej.

— Gdyby tylko istniał inny sposób. — Wednesday westchnął.

Tym razem Cień wiedział dokładnie, co kryje się w tych słowach.

— I gdyby tylko miała dość — taktu — by pozostać martwą — wy-dyszał Loki. — Wood i Stone… to byli dobrzy ludzie… mieli pozwolić ci uciec… gdy pociąg przejedzie przez Dakotę…

— Gdzie ona jest? — wtrącił Cień.

Loki wyciągnął bladą rękę i wskazał tył jaskini.

— Poszła tamtędy — oznajmił, po czym bez ostrzeżenia runął naprzód. Jego ciało opadło na kamienne dno jaskini.

Cień ujrzał to, co dotąd skrywał koc: kałużę krwi, dziurę w plecach Lokiego, płowy płaszcz pokryty czarnymi plamami krwi.

— Co się stało? — spytał.

Loki nie odpowiedział.

Cień wątpił, by tamten zdołał jeszcze cokolwiek powiedzieć.

— Twoja żona, mój chłopcze — usłyszał odległy głos Wednesdaya. Jego postać rozmywała się, zanikała w eterze. — Lecz bitwa przywróci mu życie. I mnie także. Teraz jestem duchem, a on trupem, ale i tak wygraliśmy. Gra była oszukana.

— W oszukanej grze — odparł Cień, przypominając sobie dawne słowa — najłatwiej wygrać.

Nie usłyszał odpowiedzi. Nic nie poruszało się wśród cieni.

— Żegnaj — rzucił Cień. Po czym dodał: — Ojcze.

Jednakże w jaskini poza nim nie było już nikogo. Absolutnie nikogo.

Cień wrócił na dziedziniec Siedmiu Stanów i rozejrzał się. Słyszał jedynie łopot mokrych flag, szarpanych porywami burzy. Na chwiejnej tysiąctonowej skale nie roiło się od ludzi zbrojnych w miecze, na linowym moście nie czekali obrońcy. Był sam.

Niczego nie widział. Całe to miejsce było puste. Opuszczone pole bitwy.

Nie, nie puste. Nie do końca.

Znajdował się w Skalnym Mieście, od tysięcy lat otaczanym czcią, podziwianym. W dzisiejszych czasach miliony turystów krążących po ogrodach i pokonujących rozkołysany linowy most dają ten sam efekt, co woda obracająca milion młynków modlitewnych. W tym miejscu rzeczywistość była wyjątkowo ulotna i Cień wiedział, gdzie musi toczyć się bitwa.

Ruszył naprzód, przypominając sobie, co czuł na karuzeli; próbował poczuć to znowu…

Pamiętał, jak skręca Winnebago pod kątem prostym do wszystkiego. Próbował uchwycić to uczucie…

I wtedy, łatwo i szybko, stało się.

Zupełnie jakby przebił się przez cienką błonę, z głębokiej wody wynurzył na powietrze. Jednym krokiem opuścił turystyczną ścieżkę na zboczu góry i znalazł się…

W prawdziwym miejscu. Był Na Tyłach.

Wciąż znajdował się na szczycie góry, przynajmniej to się nie zmieniło. Ale ten szczyt był czymś znacznie większym, prawdziwą kwintesencją szczytu, sercem prawdziwego świata. W porównaniu z nim Góra Czatów pozostawiona po drugiej stronie przypominała zaledwie dekorację, papierowy model widziany w telewizorze — wizerunek, nie prawdziwą górę.

Ta natomiast była prawdziwa.

Skalne ściany tworzyły naturalny amfiteatr. Kamienne ścieżki, kręte naturalne mosty, łączyły skały plątaniną rodem z rysunków Eschera.

A niebo…

Niebo było ciemne. Rozjaśnione, podobnie jak świat, w dole ognistą zielonobiałą wstęgą światła, jaśniejszą niż słońce, przecinającą szaleńczym zygzakiem niebo od krańca do krańca, niczym białe rozdarcie w ciemnej pokrywie.

Cień uświadomił sobie, że to błyskawica, zastygła w trwającej wieki chwili. Jej światło było surowe i niemiłosierne. Pozbawiało kolorów twarze, oczy zmieniało w ciemne otwory.

Nadeszła chwila burzy.

Zmieniały się paradygmaty. Czuł to. Stary świat, świat nieskończonych przestrzeni, niewyczerpanych zasobów i przyszłości stanął naprzeciw czegoś innego — sieci energii, opinii, konfliktów.

Ludzie wierzą, pomyślał Cień. Tak już z nimi jest. Wierzą. A potem nie biorą odpowiedzialności za to, w co wierzą. Przywołują kolejne istoty i nie ufają swoim tworom. To ludzie zaludniają ciemność duchami, bogami, elektronami, opowieściami. Ludzie wyobrażają sobie i wierzą, i owa wiara, twarda, niezmienna jak skała, ma moc stwórczą.

Szczyt góry był ich areną. Cień dostrzegł to natychmiast. Zobaczył też ich samych, gotowych do boju.

Byli zbyt wielcy. Wszystko było zbyt wielkie w tym miejscu.

Widział starych bogów, bogów o skórze brązowej niczym grzyby, różowej jak kurze mięso, żółtej żółcią jesiennych liści. Niektórzy byli szaleni, inni nie. Rozpoznał ich, już ich spotkał — ich bądź im podobnych. Widział ifryty i skrzaty, olbrzymów i krasnale, kobietę z mrocznej sypialni na Rhode Island o wijących się zielonych wężach zamiast włosów. Dostrzegł Mamę-ji z karuzeli — na rękach miała krew, na twarzy uśmiech. Znał ich wszystkich.

Rozpoznał także nowych bogów.

Oto niewątpliwie baron kolejowy, w staroświeckim garniturze, z kieszonkowym zegarkiem z dewizką. Najlepsze czasy miał już wyraźnie za sobą. Jego czołem wstrząsał tik.

Oto wielcy szarzy bogowie samolotów, spadkobiercy marzeń o lotach w powietrzu.

Przybyli też bogowie samochodów: grupa potężnych poważnych bóstw. Ich skórzane rękawiczki i chromowane zęby lśniły od krwi, krwi ludzkich ofiar, składanych na skalę niespotykaną od czasów Azteków. Nawet oni wydawali się niespokojni. Światy się zmieniają.

Inni mieli twarze mgliste i fosforyzujące, połyskiwali łagodnie, jakby istnieli we własnym świetle.

Cień litował się nad nimi wszystkimi.

Nowi bogowie mieli w sobie arogancję. Wyczuł to natychmiast. Wyczuł też jednak strach.

Obawiali się, że jeśli nie dotrzymają kroku zmieniającemu się światu, nie odmienia go i nie odbudują na swe podobieństwo, ich czas wkrótce minie.

Obie strony odważnie stawiały czoło przeciwnikom. Dla każdej z nich przeciwnicy byli demonami, potworami, potępionymi.

Cień zauważył, że doszło już do pierwszych potyczek. Na skałach widział krew.

Obecnie szykowali się do głównej bitwy, prawdziwej wojny. Teraz albo nigdy, pomyślał. Jeśli pierwszy nie wykona ruchu, będzie za późno.

W Ameryce wszystko trwa wiecznie, odezwał się głos w głębi jego głowy. *Lata pięćdziesiąte trwały tysiąc lat. Masz cały czas tego świata.*

Cień ruszył naprzód. Nieco chwiejnym spacerowym krokiem przeszedł na środek areny.

Czuł na sobie ich spojrzenia. Spojrzenia oczu i istot nie mających oczu. Zadrżał.

Świetnie sobie radzisz, pocieszył go głos bawołu.

Jasne, pomyślał Cień. Dziś rano wróciłem z martwych. Po tym wszystko to już łatwizna.

— Wiecie — powiedział na głos spokojnym rozluźnionym tonem — to nie jest wojna. To nigdy nie miała być wojna. I jeśli ktokolwiek z was sądzi inaczej, sam siebie okłamuje. — Z obu stron dobiegły go niechętne pomruki. Nikogo nie przekonał.

— Walczymy o przetrwanie — zagrzmiał minotaur z jednej strony areny.

— Walczymy o nasze istnienie — odkrzyknęły usta kolumny lśniącego dymu z drugiej.

— To nie jest dobry kraj dla bogów — powiedział Cień. Jako otwarcie nie dorównywało to Przyjaciołom, Rodakom, Rzymianom, ale musiało wystarczyć. — Prawdopodobnie wszyscy już się o tym przekonaliście. Starzy bogowie zostają zapomniani, nowi równie szybko rodzą się, jak i odchodzą, zastąpieni kolejnymi. Żyjecie w zapomnieniu, boicie się, że wkrótce staniecie się przestarzali. A może po prostu męczy was egzystencja zależna od kaprysu ludzi?

Pomruki ucichły. Powiedział coś, z czym wszyscy się zgadzali. Teraz, gdy już go słuchali, musiał opowiedzieć im pewną historię.

— Był sobie bóg, który przybył tu z odległego kraju i którego moc i wpływy malały w miarę, jak coraz rzadziej w niego wierzono. Moc swą czerpał z ofiar i śmierci, a zwłaszcza z wojny. Poświęcano mu śmierć wojowników padłych w boju — w starym kraju były to całe bitwy. Czerpał z nich moc i siły.

Teraz jednak był stary, dorabiał na życie jako oszust, współpracując z innym bogiem ze swego panteonu, bogiem kłamstw i chaosu. Razem nabierali naiwnych, wykorzystywali ludzką głupotę.

Aż w końcu kiedyś — może pięćdziesiąt lat temu, może sto — opracowali plan stworzenia zapasów mocy, do których mogliby sięgnąć obaj. Coś, co sprawiłoby, że staliby się potężniejsi niż kiedykolwiek. A cóż nadawałoby się do tego lepiej niż pole bitewne, pełne martwych bogów? Ich gra nosiła nazwę „Stańmy po przeciwnych stronach".

Rozumiecie?

Bitwa, na którą się stawiliście, nie ma znaczenia. Dla niego nie liczą się wygrani ani przegrani. Chodzi tylko o to, by możliwie wielu z was zginęło. Każda śmierć w bitwie dodaje mu sił, każdy z was, umierając, karmi go i odżywia. Teraz rozumiecie?

Na arenie rozległ się nowy dźwięk: trzask czegoś wielkiego, zajmującego się ogniem. Cień podążył wzrokiem za tym odgłosem i ujrzał olbrzymiego mężczyznę o ciemnej skórze barwy mahoniu i o nagiej piersi. Mężczyzna miał na głowie cylinder, w ustach cygaro. Przemawiał głosem głębokim jak grób.

— No dobrze — rzekł baron Samedi. — Ale Odyn. On umarł podczas rokowań. Ci skurwysyni go zabili. Umarł. Znam się na śmierci. Nikt mnie nie oszuka, jeśli chodzi o śmierć.

— Oczywiście — odparł Cień. — Musiał naprawdę umrzeć. Poświęcił swe fizyczne ciało, by wywołać wojnę. Po bitwie stałby się potężniejszy niż kiedykolwiek.

— Kim jesteś?! — zawołał ktoś stojący dalej.

— Jestem… Byłem… Jestem jego synem.

Jeden z nowych bogów — sądząc po jego uśmiechu i migotaniu, Cień podejrzewał, że to bóg narkotyków — odezwał się cicho:

— Ale pan World mówił…

— Pan World nigdy nie istniał. Nie było kogoś takiego. To jeszcze jeden z was, próbujący pożywić się stworzonym przez siebie chaosem.

Uwierzyli mu. Dostrzegł ból w ich oczach.

Powoli pokręcił głową.

— Wiecie — rzekł — chyba wolę być człowiekiem niż bogiem. My nie potrzebujemy, by ktokolwiek w nas wierzył. Tak czy owak żyjemy. To wszystko.

Na szczycie góry zapadła cisza, a potem z wszechogarniającym hukiem zastygła na niebie błyskawica uderzyła w wierzchołek. Arena pociemniała.

W ciemności wiele z obecnych bóstw lśniło własnym blaskiem.

Cień był ciekaw, czy zaczną się z nim spierać, atakować, próbować go zabić. Czekał na jakąkolwiek reakcję.

Nagle uświadomił sobie, że światła gasną. Bogowie opuszczali to miejsce. Najpierw pojedynczo, potem dziesiątkami, wreszcie setkami.

Pająk wielkości rottweilera podbiegł ku niemu ciężko na siedmiu nogach. Jego oczy zebrane w grona połyskiwały lekko. Cień nie cofnął się, choć zrobiło mu się niedobrze.

Gdy pająk zbliżył się dostatecznie, przemówił głosem pana Nancy'ego.

— Dobra robota. Jestem z ciebie dumny. Świetnie się spisałeś, mały.

— Dziękuję — odparł Cień.

— Musimy zabrać cię z powrotem. Zbyt długi pobyt w tym miejscu namiesza ci w głowie.

Jedna z brązowych pajęczych nóg spoczęła na ramieniu Cienia…

* * *

…i pan Nancy zakasłał na Dziedzińcu Siedmiu Stanów. Prawą rękę trzymał na ramieniu Cienia. Deszcz ustał. Lewą dłoń Nancy przyciskał do boku, jakby coś go bolało. Cień spytał, czy wszystko w porządku.

— Jestem twardy jak stal — odparł pan Nancy. — Twardszy. — Nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Wyglądał na cierpiącego starca.

Wokół siebie Cień dostrzegł dziesiątki osób, stojących, siedzących na ziemi, na kamiennych ławkach. Niektóre sprawiały wrażenie ciężko rannych. Nagle usłyszał zbliżający się z południa łoskot na niebie. Spojrzał na pana Nancy'ego.

— Helikoptery?

Tamten skinął głową.

— Nie przejmuj się. Nie ma czym. Po prostu posprzątają ten bałagan i odlecą.

Cień wiedział, że chce zobaczyć jeden z fragmentów bałaganu, zanim i on zostanie sprzątnięty. Od siwowłosego mężczyzny, który wyglądał jak emerytowany spiker telewizyjny, pożyczył latarkę i rozpoczął poszukiwania.

Znalazł Laurę leżącą w bocznej jaskini obok dioramy przedstawiającej krasnoludki w kopalni rodem z „Królewny Śnieżki". Kamienie pod nią lepiły się od krwi. Leżała na boku, w miejscu, gdzie musiał odrzucić ją Loki, gdy wyciągnął włócznię z nich obojga.

Jedną rękę przyciskała do piersi. Wyglądała okropnie krucho. Sprawiała wrażenie martwej, ale Cień niemal już do tego przywykł.

Przykucnął obok niej, dotknął ręką policzka, wymówił głośno jej imię. Otworzyła oczy, uniosła głowę i odwróciła ją, patrząc wprost na niego.

— Witaj, piesku — powiedziała słabym głosem.

— Cześć, Lauro. Co się tu stało?

— Nic. Zwykła rzecz. Wygrali?

— Powstrzymałem bitwę, którą próbowali wywołać.

— Mój sprytny piesek — mruknęła. — Ten człowiek, pan World, mówił, że zamierza wbić ci w oko patyk. Nie spodobał mi się.

— Nie żyje. Zabiłaś go, słonko.

Skinęła głową.

— To dobrze.

Jej powieki opadły. Ręka Cienia odnalazła zimną dłoń Laury. Ujął ją mocno. Po jakimś czasie znów otworzyła oczy.

— Czy dowiedziałeś się, jak przywrócić mi życie? — spytała.

— Chyba tak — odparł. — Znam co najmniej jeden sposób.

— To dobrze. — Ścisnęła mu dłoń lodowatą ręką. — A drugie wyjście? Co z nim?

— Drugie wyjście?

— Tak — szepnęła. — Chyba zasłużyłam sobie na nie.

— Nie chcę tego robić.

Milczała. Po prostu czekała.

— Zgoda — rzekł w końcu Cień. Uwolnił dłoń i uniósł ją do jej szyi.

— Mój mąż. — Westchnęła z dumą.

— Kocham cię, słonko — powiedział Cień.

— Kocham cię, piesku — szepnęła.

Zacisnął palce wokół złotej monety wiszącej na jej szyi. Szarpnął mocno i łańcuszek puścił. Potem Cień ujął złotą monetę pomiędzy dwa palce, dmuchnął na nią i otworzył dłoń.

Moneta zniknęła.

Jej oczy pozostały otwarte, nie poruszały się jednak.

Pochylił się i ucałował ją łagodnie w zimny policzek. Nie zareagowała, wcale zresztą tego nie oczekiwał. Potem wstał i wyszedł z jaskini, spoglądając w noc.

Burza minęła. Powietrze było rześkie, czyste, nowe.

Wiedział, że jutro będzie piękny dzień.

CZĘŚĆ CZWARTA
COŚ, CO MARTWI SKRYWAJĄ STALE PRZED ŻYWYMI

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Opowieść opisuje się najlepiej, opowiadając ją. Rozumiecie? Opisując daną historię sobie samemu bądź światu, tak naprawdę opowiada sieją od nowa. Oto prawdziwa równowaga, prawdziwy sen. Im wierniejsza mapa, tym bardziej przypomina teren. Najwierniejsza mapa sama stałaby się terenem, który przedstawia. W ten sposób stałaby się idealnie wiernie i całkowicie bezużyteczna.

Opowieść to mapa, która stalą się terenem.

Musicie o tym pamiętać.

— z notatników pana Ibisa

Siedzieli w volkswagenie busie, jadąc na Florydę autostradą I-75. Jechali tak od świtu — Cień za kierownicą, pan Nancy obok niego. Od czasu do czasu Nancy z bolesnym wyrazem twarzy proponował, że się zamienią. Cień zawsze odmawiał.

— Jesteś szczęśliwy? — spytał nagle pan Nancy. Obserwował go uważnie przez kilkanaście godzin. Gdy Cień zerkał w prawo, widział wlepione w siebie spojrzenie brązowych oczu barwy ziemi.

— Raczej nie — odparł Cień. — Ale też jeszcze nie umarłem.

— Słucham?

— „Nie nazywaj człowieka szczęśliwym, póki wciąż jeszcze żyje”. Herodot.

Pan Nancy uniósł siwe brwi.

— Ja jeszcze nie umarłem, a jestem szczęśliwy jak norka. Głównie dlatego, że wciąż żyję.

— Herodotowi nie chodziło o to, że martwi są szczęśliwi — wyjaśnił Cień. — Tylko że nie można osądzać czyjegoś życia, póki się ono nie skończy.

— Ja nawet wtedy nie osądzam — mruknął pan Nancy. — A co do szczęścia, istnieje wiele różnych odmian szczęścia, tak jak wiele różnych odmian śmierci. Ja tam biorę wszystko, co mi wpadnie w ręce.

Cień zmienił temat.

— Te helikoptery — rzekł — które zabrały ciała i rannych. Co z

nimi? Kto je przysłał? Skąd się wzięły?

— Nie powinieneś się nad tym zastanawiać. Są jak Walkirie albo sępy. Zjawiają się, bo muszą.

— Skoro tak twierdzisz.

— Ktoś zadba o rannych i martwych. Jeśli chcesz znać moje zdanie, stary Jacquel przez następny miesiąc będzie miał pełne ręce roboty. Powiedz mi coś, Cieniu, mój chłopcze.

— Dobrze.

— Czy dzięki temu wszystkiemu nauczyłeś się czegoś nowego?

Cień wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Większość z tego, czego dowiedziałem się na drzewie, zdążyłem już zapomnieć. Poznałem trochę ludzi, ale niczego już nie jestem pewien. To jak jeden ze snów, które zmieniają się nieustannie. Ich fragmenty pozostają w człowieku na zawsze i pewne rzeczy po prostu wiemy, bo je przeżyliśmy. Gdy jednak zaczynamy szukać szczegółów, wymykają się nam.

— Tak. — Pan Nancy westchnął, a potem przyznał niechętnie: — Nie jesteś taki głupi.

— Może nie — zgodził się Cień. — Żałuję jednak, że nie zatrzymałem więcej rzeczy, które od chwili, gdy wyszedłem z więzienia, przeciekły mi między palcami. Tak wiele mi dano, a ja wszystko straciłem.

— Może — odparł tamten — zatrzymałeś więcej, niż sądzisz.

— Nie — uciął Cień.

Przekroczyli granicę stanu i Cień ujrzał pierwszą w życiu palmę. Zastanawiał się, czy zasadzono ją w tym miejscu specjalnie, aby było wiadomo, że jest się na Florydzie.

Pan Nancy zaczął chrapać. Cień zerknął na niego. Starzec wciąż wyglądał szaro, niezdrowo. Oddychał z trudem. Cień nie po raz pierwszy pomyślał z troską, że może Nancy został ranny w pierś czy płuco podczas walki. Starzec nie pozwolił się zbadać lekarzowi.

Floryda okazała się dłuższa, niż Cień przypuszczał, i dopiero wieczorem zaparkowali przed małym jednopiętrowym drewnianym domem z zamkniętymi okiennicami, na przedmieściach Fort Pierce. Nancy, który pilotował go przez ostatnich pięć mil, zaprosił Cienia na noc.

— Mogę zanocować w motelu.

— Owszem, możesz, ale wtedy mnie urazisz. Rzecz jasna nie powiem ani słowa, będę jednak głęboko zraniony — odparł pan Nancy. — Lepiej więc zostań tutaj, a ja pościelę ci na kanapie.

Pan Nancy rozsunął ciężkie przeciwburzowe okiennice i otworzył szeroko okno. W domu pachniało pleśnią i wilgocią, a także lekką słodyczą, jakby nawiedziły go duchy dawno zmarłych ciastek.

Cień niechętnie zgodził się zostać na noc. Z jeszcze większą

niechęcią towarzyszył panu Nancy'emu do baru na końcu ulicy, na jednego późnego drinka. W końcu dom i tak musiał się przewietrzyć.

— Widziałeś Czernoboga? — spytał Nancy, gdy maszerowali razem, oddychając ciężkim powietrzem Florydy. Roiło się w nim od bzyczących żuków. Cała ziemia zdawała się poruszać — to setki owadów pełzały na niej we wszystkie strony. Pan Nancy zapalił cygaretkę, zaczął kasłać i się krztusić, ale palił dalej.

— Gdy wyszedłem z jaskini, już go nie było.

— Zapewne wrócił do domu. Wiesz, że będzie na ciebie czeka?.

— Wiem.

W milczeniu doszli do celu. Bar nie był zbyt imponujący, lecz przynajmniej otwarty.

— Ja stawiam pierwszą kolejkę — oznajmił pan Nancy.

— Przypominam, że przyszliśmy na jedno piwo — wtrącił Cień.

— Co z tobą? — spytał pan Nancy. — Skąpisz?

Pan Nancy kupił pierwsze piwa, Cień drugie dwa. Patrzył ze zgrozą na swego towarzysza, który namówił barmana do włączenia maszyny do karaoke, a potem zawstydzony i zafascynowany słuchał starca przebijającego się przez „What's New Pussycat" i zawodzącego poruszającą melodyjną wersję „The Way You Look Tonight". Nancy miał świetny głos. Pod koniec gromadka ostatnich gości podziękowała mu gorącymi oklaskami.

Gdy wrócił do siedzącego przy barze Cienia, wyglądał lepiej. Białka jego oczu pojaśniały, szara bladość skóry zniknęła.

— Twoja kolej — rzekł.

— Kategorycznie nie — odparł Cień.

Pan Nancy jednak zamówił następne piwa i wręczył Cieniowi kilka poplamionych odbitek piosenek, z których mógł wybierać.

— Lepiej, żebyś znał tekst na pamięć.

— To wcale nie jest śmieszne.

Świat wokół niego zaczynał kołysać się lekko, Cień nie potrafił zebrać dość energii, by się kłócić, a później Nancy wybrał już akompaniament do „Don't Let Me Be Misunderstood" i zaczął popychać — dosłownie popychać — swego towarzysza na małą zaimprowizowaną estradę w kącie baru.

Cień ujął w dłoń mikrofon, traktując go jak jadowitego węża, a potem zaczął się podkład, toteż wychrypiał początkowe „Kochanie…". Nikt w niego niczym nie rzucał. Czuł się świetnie. „Rozumiesz mnie teraz?". Głos miał ochrypły, lecz melodyjny, a chrypka znakomicie pasowała do tej piosenki. „Czasami bywam nieco zły, lecz wiedz, że nikt nie jest do końca aniołem".

Gdy wracali piechotą do domu w gorącą florydzką noc, wciąż śpiewał. Stary i młody mężczyzna szli obok siebie chwiejnym krokiem, weseli i szczęśliwi.

— I ciągle tylko żywię się nadzieją — zaśpiewał krabom, pająkom i żukom palmowym, jaszczurkom i nocy. — O Boże, niech mnie źle nie zrozumieją.

Pan Nancy odprowadził go na kanapę, znacznie mniejszą niż Cień, który postanowił przespać się na podłodze. Nim jednak skończył podejmować decyzję, zdążył już zasnąć, półsiedząc, półleżąc na maleńkiej kanapce.

Z początku nie śnił, otaczała go jedynie przytulna ciemność. A potem ujrzał ogień i ruszył ku niemu.

— Dobrze się spisałeś — szepnął człowiek-bawół, nie poruszając ustami.

— Sam nie wiem, co zrobiłem — odparł Cień.

— Zaprowadziłeś pokój — stwierdził człowiek-bawół. — Przejąłeś nasze słowa i uczyniłeś z nich własne. Oni nigdy nie rozumieli, że są tutaj — oni sami, a także ludzie, którzy oddają im cześć — bo to nam odpowiada. Możemy jednak zmienić zdanie i może zmienimy.

— Czy ty jesteś bogiem? — spytał Cień.

Człowiek-bawół potrząsnął głową. Przez moment Cieniowi wydało się, że tamten się śmieje.

— Ja jestem ziemią — odparł.

Jeśli nawet we śnie zdarzyło się coś jeszcze, Cień już tego nie pamiętał.

Usłyszał skwierczenie. Bolała go głowa, wokół oczu czuł nieznośne pulsowanie.

Pan Nancy szykował już śniadanie: wysoki stos naleśników, skwierczący bekon, idealnie usmażone jajka i kawę. Wyglądał jak okaz zdrowia.

— Boli mnie głowa — powiedział Cień.

— Zjesz porządne śniadanie i poczujesz się zupełnie jak nowo narodzony.

— Nie potrzebuję nowych narodzin, wystarczy mi nowa głowa — mruknął Cień.

— Jedz — polecił pan Nancy.

Cień zjadł.

— Jak się teraz czujesz?

— Wciąż boli mnie głowa, tyle że teraz mam w żołądku posiłek i chyba zaraz zwymiotuję.

— Chodź ze mną.

Obok pokrytej afrykańską kapą kanapy stał kufer z ciemnego drewna, przypominający mniejszą wersję pirackiej skrzyni. Pan Nancy przekręcił klucz w kłódce i uniósł wieko. Wewnątrz leżały pudła. Nancy zaczął w nich grzebać.

— To starożytny afrykański lek ziołowy — oznajmił. — Zrobiony z mielonej kory brzozowej i tym podobnych.

— Jak aspiryna?

— Właśnie — rzekł pan Nancy. — Dokładnie tak. — Wyciągnął z dna kufra olbrzymią butlę aspiryny. Odkręcił i wytrząsnął na dłoń dwie białe pastylki. — Proszę.

— Niezły kufer — zauważył Cień. Wziął gorzkie pigułki, przełknął i popił szklanką wody.

— Dostałem od syna — wyjaśnił pan Nancy. — To dobry chłopiec. Nie widuję go tak często, jak bym chciał.

— Brakuje mi Wednesdaya — powiedział Cień. — Mimo tego, co zrobił. Cały czas mam wrażenie, że zaraz go zobaczę. Kiedy jednak unoszę wzrok, jego tam nie ma. — Nadal wpatrywał się w piracki kufer, próbując przypomnieć sobie, z czym mu się kojarzy.

„Zapomnisz wiele rzeczy. Nie zapomnij tej jednej". Kto to powiedział?

— Brak ci go? Po tym co z tobą zrobił? Co zrobił z nami wszystkimi?

— Tak — mruknął Cień. — Chyba tak. Myślisz, że on wróci?

— Myślę — powiedział pan Nancy — że zawsze, gdy dwóch mężczyzn spiknie się, by sprzedać trzeciemu warte dwadzieścia dolarów skrzypce za dziesięć tysięcy, będzie przy tym obecny duchem.

— Tak, ale…

— Powinniśmy wracać do kuchni. — Twarz pana Nancy'ego przybrała kamienny wyraz. — Garnki same się nie pozmywają.

Pan Nancy umył garnki i talerze, Cień wytarł je i odstawił na miejsce. W trakcie tych wszystkich czynności ból głowy zaczął słabnąć. Wrócili do salonu.

Cień znów wbił wzrok w stary kufer, próbując przywołać wspomnienia.

— Co się stanie, jeśli nie pojadę do Czernoboga? — spytał.

— W końcu go spotkasz — odparł beznamiętne pan Nancy. — Może on cię znajdzie? Albo sprowadzi do siebie. Lecz tak czy inaczej spotkacie się.

Cień przytaknął. Kawałki układanki zaczynały wskakiwać na miejsce. Sen na drzewie.

— Hej — rzucił. — Czy istnieje bóg z głową słonia?

— Ganesza? To bóg hinduski. Usuwa przeszkody, ułatwia podróże. I całkiem nieźle gotuje.

Cień uniósł wzrok.

— W kufrze, powiedział. Wiedziałem, że to ważne, ale nie miałem pojęcia dlaczego. Sądziłem, że może chodzi o jakiś stary kufer, ale nie, prawda?

Pan Nancy zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia.

— Jest w kufrze — powtórzył Cień. Wiedział, że to prawda. Nie

miał pojęcia dlaczego, nie do końca. Ale był tego pewien. Zerwał się z miejsca.

— Muszę jechać — oznajmił. — Przykro mi.

Pan Nancy uniósł brwi.

— Skąd ten pośpiech? — spytał.

— Stąd — odparł z prostotą Cień — że lód już topnieje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

jest
wiosna
i
koziostopy
człowiek balon gwiżdże
w dal
i
w przód

— e.e. cummings

Około ósmej trzydzieści rano Cień wyjechał z lasu wypożyczonym samochodem, pokonał zbocze z prędkością poniżej sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i przekroczył granicę miasta Lakeside trzy tygodnie po tym, gdy, jak sądził, opuścił je na zawsze.

Jadąc przez miasto, ze zdumieniem odkrył, jak niewiele się zmieniło w ciągu ostatnich kilku tygodni, które dla niego znaczyły całe życie. Zaparkował w połowie dróżki wiodącej do jeziora. Wysiadł z samochodu.

Na zamarzniętym jeziorze nie dostrzegł już wędkarskich szałasów, śniegołazów, ludzi siedzących przy przeręblach z linką i kartonem piwa. Jezioro było ciemne, nie pokrywała go olśniewająco biała warstwa śniegu. Tu i ówdzie na powierzchni lodu lśniły migotliwym blaskiem kałuże. Woda pod spodem była czarna, a sam lód tak przejrzysty, że dawało się dostrzec skrytą w głębi czerń. Pod szarym niebem zlodowaciałe jezioro było czarne i puste.

Prawie puste.

Na lodzie pozostał jeden samochód, zaparkowany niemal pod mostem. Każdy, kto przejeżdżał przez miasto, nawet w przelocie, musiał go zobaczyć. Brudnozielony samochód z tych, które ludzie porzucają na parkingach. Nie miał silnika. Stanowił symbol zagłady — czekał, aż lód zmięknie i osłabnie do tego stopnia, by jezioro pochłonęło go na zawsze.

Krótką dróżkę wiodącą na brzeg przegradzał łańcuch. Tabliczka zabraniała wstępu ludziom i pojazdom. CIENKI LÓD, głosił napis. Pod nim ręcznie wymalowana seria skreślonych piktogramów: ZAKAZ WSTĘPU SAMOCHODÓW, PIESZYCH, POJAZDÓW ŚNIEŻNYCH. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Cień zignorował ostrzeżenia i zsunął się z brzegu. Było ślisko.

Śnieg stopniał, przemieniając ziemię pod jego stopami w błoto. Brązowa trawa prawie nie zapewniała tarcia. Powoli zjechał do jeziora i wszedł ostrożnie na krótki drewniany pomost, z niego zaś na lód.

Warstewka wody na lodzie, ślad po stopniałym śniegu, okazała się głębsza, niż można by sądzić, a sam lód, pokryty wodą, gładszy i bardziej śliski niż na jakimkolwiek lodowisku. Po każdym kolejnym kroku Cień musiał walczyć, by zachować równowagę. Z pluskiem maszerował w lodowatej wodzie, która sięgała mu aż do sznurówek i przedostawała się do butów. Miejsca, których dotknęła, traciły czucie. I gdy tak wędrował przez zamarznięte jezioro, nagle odniósł wrażenie, jakby oglądał samego siebie na ekranie kinowym — oto film, którego jest bohaterem, może detektywem.

Ruszył w stronę gruchota, boleśnie świadom, że lód jest już za słaby, a woda pod spodem tak zimna, jak tylko może być, nim zamarznie. Cały czas szedł naprzód, ślizgał się, podjeżdżał na butach. Kilka razy upadł.

Mijał puste butelki po piwie i puszki, śmieci zaścielające lód, a także okrągłe przeręble, wycięte w warstwie lodu przez wędkarzy, otwory, które już nie zamarzły. Każdy z nich wypełniała czarna woda.

Gruchot stał dalej, niż można by sądzić, patrząc nań. Cień usłyszał dobiegający z południa donośny trzask, niczym łamanego kija. Potem nadszedł odgłos niskich wibracji, jakby ktoś trącił strunę basową długości jeziora. Lód zaczął pękać i jęczeć niczym stare drzwi, protestujące, że się je otwiera. Cień szedł naprzód, łapiąc równowagę.

To samobójstwo, szepnął głos rozsądku w jego umyśle. *Nie możesz sobie odpuścić?*

— Nie — powiedział głośno. — Muszę wiedzieć.

Dotarł do gruchota i gdy tylko się zbliżył, zrozumiał, że ma rację. Wóz otaczała dziwna atmosfera; słaby odrażający smród budził niesmak w głębi gardła. Cień okrążył samochód, zaglądając do środka. Siedzenia były podarte i poplamione, wóz bez wątpienia pusty. Sprawdził drzwi. Zamknięte. Sprawdził kufer. Także zamknięty. Pożałował, że nie zabrał ze sobą łomu.

Zacisnął okrytą rękawiczką dłoń w pięść. Policzył do trzech i rąbnął nią mocno w szybę bocznego okna.

Ręka go zabolała, a okno pozostało nietknięte.

Zastanawiał się, czy się nie rozpędzić i nie rzucić biegiem — był pewien, że zdoła wkopać do środka okno, jeśli wcześniej nie poślizgnie się i nie upadnie na mokrym lodzie. Lecz ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zbytnie poruszenie gruchota. Wówczas pękłby lód pod jego kołami.

Spojrzał na samochód. Potem sięgnął po antenę — teoretycznie powinna składać się i rozciągać, ale teraz była zardzewiała, rozłożona dziesięć lat wcześniej — i po kilku ruchach odłamał ją u podstawy.

Ujął w palce cieńszy koniec — kiedyś zakończony metalową gałką, która jednak zaginęła w pomroce dziejów — i wygiął go, tworząc zaimprowizowany haczyk.

Wepchnął rozłożoną metalową antenę pomiędzy gumę i szklaną krawędź okna, głęboko w mechanizm drzwi. Zaczął w nim grzebać, kręcić, poruszać, popychać antenę, póki haczyk nie chwycił czegoś, a wtedy pociągnął.

Poczuł, jak zaimprowizowany hak zsuwa się z zamka.

Cień westchnął. Ponownie wbił go głęboko, wolniej, ostrożniej. Wyobrażał sobie lód jęczący pod stopami, pod ciężarem ciała. Powoli… i…

Miał. Pociągnął antenę i zamek przednich drzwi zaskoczył z trzaskiem. Cień wyciągnął dłoń w rękawiczce, ujął klamkę, nacisnął przycisk, pociągnął. Drzwi się nie otwarły.

Zacięły się, pomyślał. Zamarzły. To wszystko.

Szarpnął mocniej, ślizgając się na lodzie, i nagle drzwi gruchota otwarły się gwałtownie, rozsypując wokół odłamki lodu.

Wewnątrz samochodu smród był znacznie gorszy — ciężka dławiąca woń choroby i zgnilizny. Cieniowi zrobiło się niedobrze.

Sięgnął pod deskę rozdzielczą, znalazł czarną plastikową rączkę otwierającą bagażnik i pociągnął mocno.

Gdzieś z tyłu rozległ się szczęk zwolnionego zatrzasku.

Cień przeszedł po lodzie, ślizgając się i bryzgając wodą. Jedną ręką przytrzymywał się wozu.

Jest w kufrze, pomyślał.

Klapa uchyliła się na parę centymetrów. Chwycił ją i pociągnął mocno.

Smród był paskudny, ale mogło być znacznie gorzej — dno wypełniała parucentymetrowa warstwa na wpół stopionego lodu. W kufrze tkwiła dziewczyna. Miała na sobie szkarłatny kombinezon narciarski, obecnie poplamiony, długie mysie włosy i zamknięte usta, toteż Cień nie widział niebieskich klamer na zębach, wiedział jednak, że tam są. Mróz powstrzymał rozkład, sprawił, że pozostała świeża, jak przechowywana w chłodni.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wyglądała, jakby płakała w chwili, gdy spotkała ją śmierć. Łzy zamarznięte na policzkach wciąż się nie roztopiły.

— Cały czas tu byłaś — powiedział Cień do ciała Alison McGovern. — Widział cię każdy, kto przejeżdżał po tym moście. Podobnie każdy przejeżdżający przez miasto. Wędkarze mijali cię co dzień i nikt nic nie wiedział.

W tym momencie uświadomił sobie, że to niemądre. Ktoś wiedział. Ktoś ją tu włożył.

Sięgnął do kufra, by sprawdzić, czy zdoła ją wyciągnąć.

Pochylając się, odruchowo oparł się o samochód. Może to przesądziło sprawę.

Lód pod przednimi kołami pękł nagle. Być może sprawił to Cień, może nie. Przód samochodu osunął się kilkadziesiąt centymetrów w głąb ciemnych wód jeziora. Przez otwarte drzwi woda wlewała się do środka, opływała kostki Cienia, choć fragment lodu, na którym stał, wciąż jeszcze się trzymał. Cień rozejrzał się szybko, szukając drogi ucieczki. Lód pochylił się niebezpiecznie, ciskając go o samochód i martwą dziewczynę w kufrze. Tył samochodu pojechał naprzód i Cień runął wraz z nim w zimną wodę. Była dziewiąta dziesięć dwudziestego trzeciego marca.

Nim się zanurzył, głęboko zaczerpnął powietrza i zamknął oczy, lecz chłód uderzył go niczym ściana, pozbawiając tchu.

Pociągnięty przez samochód poleciał w dół, w zamuloną lodowatą toń.

Był teraz pod wodą, w dole, w ciemności i zimnie, ściągany na dno przez ubranie, rękawice, buty, uwięziony w fałdach płaszcza, który stał się grubszy i cięższy niż kiedykolwiek.

Wciąż spadał. Próbował odepchnąć się od samochodu, jednak wrak ciągnął go za sobą. A potem rozległ się łoskot, który Cień usłyszał całym swym ciałem, nie uszami. Poczuł szarpnięcie w lewej stopie wokół kostki. Stopa przekręciła się i uwięzia pod samochodem, który osiadł na dnie jeziora. Cień poczuł nagłą panikę.

Otworzył oczy.

Wiedział, że w dole jest ciemno. Logicznie rzecz biorąc, nie powinien nic widzieć, widział jednak, dostrzegał wszystko. Widział białą twarz Alison McGovern, patrzącą na niego z otwartego kufra. I inne samochody — gruchoty z minionych lat, przerdzewiałe bryły tkwiące w ciemności, na wpół pogrzebane w mule. A wcześniej, pomyślał Cień, nim nastały samochody? Co wówczas wywlekano na jezioro?

W kufrze każdego z nich, wiedział to bez cienia wątpliwości, tkwiło martwe dziecko. Były ich dziesiątki… każdy z kolei stał na lodzie na oczach świata, całą mroźną zimę. I każdy, z nadejściem wiosny, osuwał się w zimną wodę.

Tu właśnie spoczywali: Lemmi Hautala i Jessie Lovat, Sandy Olsen, Jo Ming, Sarah Lindquist i cała reszta. W dole, w chłodzie i ciszy…

Szarpnął nogę. Utknęła na dobre, a nacisk na płuca stawał się nie do zniesienia. W uszach czuł ostry przeszywający ból. Powoli wypuścił powietrze; bąbelki zatańczyły mu wokół twarzy.

Już niedługo, pomyślał. Niedługo będę musiał odetchnąć. Albo się uduszę.

Pochylił się, obiema rękami chwycił zderzak gruchota i pchnął,

napierając na niego z całych sił. Nic się nie stało.

To tylko pusta karoseria, powiedział do siebie. Wyjęli silnik, najcięższą część samochodu. Dasz radę. Pchaj dalej.

Popchnął.

Powoli, śmiertelnie powoli, ułamek centymetra za ułamkiem, samochód zaczął przesuwać się naprzód w mule. Cień wyrwał nogę z błota, odepchnął się i próbował wypłynąć na powierzchnię. Nawet nie drgnął. Płaszcz, powiedział do siebie. To płaszcz zaczepił się albo gdzieś utknął. Zsunął go z ramion i zaczął grzebać zmartwiałymi palcami przy zamarzniętym zamku. Potem szarpnął oburącz. Poczuł jak materiał ustępuje i rozdziera się. Pospiesznie uwolnił się z jego objęć i popłynął w górę, byle dalej od samochodu.

Czuł, że płynie, nie wyczuwał jednak góry ani dołu. Dusił się. Ból w piersi i w głowie był nieznośny i Cień wiedział, że będzie musiał odetchnąć, wciągnąć w płuca lodowatą wodę i umrze. W tym momencie jego głowa uderzyła w coś twardego.

Lód. Napierał na lód skuwający jezioro. Zaczął tłuc go pięściami, lecz w jego ramionach nie pozostało już ani trochę siły. Nie miał się czego przytrzymać, czego pchnąć. Świat rozpływał się, pochłonięty przez lodowatą ciemność głębin jeziora. Został tylko chłód.

To śmieszne, pomyślał. Nagle przypomniał sobie stary film z Tonym Curtisem, który oglądał jako dziecko. Powinien przekręcić się na plecy, pchnąć lód w górę, przycisnąć do niego twarz i znaleźć powietrze. Wtedy znów mógłby odetchnąć; gdzieś tu musi być powietrze. Ale tylko unosił się w wodzie i zamarzał. Nie mógł już poruszyć żadnym mięśniem, nawet gdyby zależało od tego jego życie. A zależało.

Chłód stał się znośny, zamienił się w ciepło i Cień pomyślał: Umieram. Tym razem poczuł gniew, głęboką wściekłość. Podsycił w sobie ów gniew i ból i zamachnął się, zbierając siły, zmuszając do wysiłku mięśnie, które nigdy już nie miały się poruszyć.

Pchnął ręką, poczuł, jak ociera się o krawędź lodu i wysuwa nad niego. Zaczął macać w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu. Nagle czyjaś dłoń chwyciła jego rękę i pociągnęła.

Głową uderzył o lód, jego twarz tarła o spodnią stronę kry. A potem głowa wynurzyła się i ujrzał, że wypływa przez niewielki otwór. Przez chwilę wyłącznie oddychał, pozwalając, by czarna woda z jeziora wypływała mu z nosa i ust. Gwałtownie mrugał, dostrzegając jedynie oślepiające światło dnia i rozmazane kształty. Ktoś go ciągnął, siłą wywlekał z wody, powtarzając, że zamarznie na śmierć; „więc dalej stary, odepchnij się". Cień napiął mięśnie i otrząsnął się niczym foka wychodząca na brzeg. Drżał cały i kasłał donośnie.

Chwytał głębokie hausty powietrza, wyciągnięty na trzeszczącym lodzie. Wiedział, że lód nie wytrzyma długo, lecz ta świadomość

niczego nie zmieniała. Myśli z trudem pojawiały się w głowie, słodkie, lepkie jak syrop.

— Zostaw mnie — próbował powiedzieć. — Nic mi nie będzie. — Słowa rozpływały się w ustach, wszystko zwalniało tempo.

Musi po prostu chwilę odpocząć, to wszystko. Odpocząć i już. Potem wstanie i ruszy dalej. Nie może przecież leżeć tu wiecznie.

Nagły ruch; woda chlusnęła mu na twarz. Ktoś uniósł jego głowę. Cień poczuł, że wloką go po lodzie, na plecach po śliskiej nawierzchni. Chciał zaprotestować, wyjaśnić, że musi tylko chwilkę odpocząć, może się zdrzemnąć — czy to tak wiele? — i będzie jak nowo narodzony. Niech tylko dadzą mu spokój.

Nie wierzył, że zasnął, nagle jednak znalazł się na rozległej równinie. Przed sobą ujrzał mężczyznę o głowie i ramionach bawołu, kobietę o głowie olbrzymiego kondora oraz Whiskey Jacka, stojącego pomiędzy nimi. Jack patrzył na niego ze smutkiem, potrząsając głową.

Potem odwrócił się i odszedł od Cienia. Człowiek-bawół dotrzymywał mu kroku. Kobieta-ptak gromu także odeszła. Po kilku krokach pochyliła się, odepchnęła od ziemi i poszybowała w niebo.

Cienia ogarnęło poczucie niepowetowanej straty. Chciał ich zawołać, błagać, by wrócili, by go nie porzucali, lecz wszystko traciło postać i kształt: zniknęli, równiny także. Ogarnęła go pustka.

* * *

Ból, przeszywający ból — zupełnie jakby każda komórka ciała, każdy nerw topniał, budził się i informował o swej obecności pieczeniem i kłuciem.

Czyjaś dłoń podtrzymywała mu głowę z tyłu za włosy, druga trzymała pod brodą. Otworzył oczy, spodziewając się, że trafił do szpitala.

Był bosy. Miał na sobie dżinsy, lecz od pasa w górę był nagi. W powietrzu unosiła się para. Na ścianie naprzeciwko widział lusterko do golenia, niewielką umywalkę i błękitną szczoteczkę w poplamionej pastą szklance.

Jego umysł powoli przetrawiał informacje, fragment po fragmencie.

Piekły go palce u rąk i nóg.

Zaczął jęczeć z bólu.

— Spokojnie, Mike. Spokojnie — usłyszał znajomy głos.

— Co? — spytał Cień, czy raczej spróbował spytać. — Co się dzieje? — Nawet w jego uszach zabrzmiało to dziwnie obco.

Leżał w wannie, w gorącej wodzie. Przynajmniej zdawało mu się, że jest gorąca, choć nie był pewien. Sięgała mu do szyi.

— Najgłupszą rzeczą, jaką można zrobić z człowiekiem zamarzającym na śmierć jest posadzenie go przed ogniem. Druga najgłupsza rzecz to owinąć go kocami, zwłaszcza jeśli ma na sobie zimne mokre ubranie. Koce świetnie izolują — utrzymują zimno. Trzecią najgłupszą rzeczą — to moje prywatne zdanie — jest wypompowanie jego krwi, ogrzanie jej i wstrzyknięcie z powrotem. Tak właśnie w dzisiejszych czasach postępują lekarze. Skomplikowane, kosztowne, głupie. — Głos dobiegał z góry i z tyłu.

— Najszybsza, najlepsza metoda była od setek lat stosowana przez marynarzy, gdy któryś z nich wypadł za burtę. Trzeba wsadzić delikwenta do gorącej wody. Niezbyt gorącej, po prostu gorącej. Dla twojej wiadomości, kiedy znalazłem cię na lodzie, praktycznie rzecz biorąc, byłeś martwy. Jak się teraz czujesz, Houdini?

— Boli — odparł Cień. — Wszystko mnie boli. Uratowałeś mi życie.

— Chyba rzeczywiście. Dasz radę sam utrzymać głowę nad powierzchnią?

— Może.

— Puszczę cię. Jeśli zaczniesz tonąć, znów cię wyciągnę.

Ręce zwolniły uchwyt.

Cień poczuł, że osuwa się naprzód. Wyciągnął ręce, oparł je na krawędzi wanny i odchylił się w tył. Łazienka była mała, wanna metalowa, poplamiona, poobijana.

Tuż przed nim pojawił się stary, zatroskany mężczyzna.

— Czujesz się lepiej? — spytał Hinzelmann. — Leż spokojnie, odpoczywaj. Rozgrzałem już pokój. Powiedz, kiedy będziesz gotów. Mam dla ciebie szlafrok, dżinsy wrzucę do suszarki razem z resztą rzeczy. Co ty na to, Mike?

— Nie tak się nazywam.

— Skoro tak twierdzisz. — Stara pomarszczona twarz przybrała zakłopotany wyraz.

Cień stracił poczucie czasu. Leżał w wannie, póki pieczenie nie ustało i palce u rąk i nóg nie zaczęły się poruszać bez bólu. Hinzelmann pomógł mu wstać, wypuścił ciepłą wodę. Cień przysiadł na krawędzi wanny. Starzec pomógł mu ściągnąć dżinsy.

Bez specjalnego trudu owinął się zdecydowanie za ciasnym frotowym szlafrokiem i wsparty na ramieniu starca przeszedł do pokoju. Tam opadł ciężko na starą kanapę. Był zmęczony i słaby, wyczerpany, ale żywy. Na kominku płonęły drwa. Ze ścian spoglądały sennie jelenie głowy ze zdziwionymi minami, przysypane kurzem. O miejsce walczyły z nimi duże zakonserwowane ryby.

Hinzelmann zniknął z dżinsami Cienia. W sąsiednim

pomieszczeniu wypełnionym szumem suszarki zapadła krótka cisza, potem dźwięk powrócił. Starzec zjawił się z parującym kubkiem.

— Kawa — oznajmił. — Środek stymulujący. Dolałem też odrobinę sznapsa. Odrobinę. Tak właśnie postępowaliśmy w dawnych czasach. Lekarz by tego nie pochwalił.

Cień ujął kawę obiema rękami. Na kubku widniała podobizna komara i hasło: ODDAJ KREW — ODWIEDŹ WISCONSIN.

— Dzięki — rzekł.

— Od czego są przyjaciele — odparł Hinzelmann. — Któregoś dnia może ty ocalisz mi życie. Na razie nie ma za co.

Cień pociągnął łyk.

— Sądziłem, że nie żyję.

— Miałeś szczęście. Stałem na moście. Już wcześniej stwierdziłem, że dziś nadejdzie wielki dzień; w moim wieku czuje się takie sprawy. Stałem tam z zegarkiem kieszonkowym i zobaczyłem, jak wychodzisz na jezioro. Krzyczałem, wygląda jednak na to, że mnie nie usłyszałeś. Widziałem tonący samochód i to, jak pociąga cię za sobą. Sądziłem, że już cię straciliśmy. Wybiegłem na lód. Naprawdę mnie przeraziłeś. Tkwiłeś pod wodą prawie dwie minuty. A potem zobaczyłem twoją rękę przebijającą się w miejscu, gdzie zniknął wóz — zupełnie jakbym ujrzał ducha… — Urwał. — Obaj mieliśmy cholerne szczęście, że lód wytrzymał nasz ciężar, kiedy wlokłem cię do brzegu.

Cień skinął głową.

— Dobrze się spisałeś — powiedział i chochlikowatą twarz Hinzelmanna rozjaśnił promienny uśmiech.

Gdzieś w głębi domu Cień usłyszał trzaśniecie drzwi. Pociągnął łyk kawy. Teraz, gdy był już w stanie myśleć jasno, zaczął zadawać sobie pytania.

Zastanawiał się, jakim cudem starzec dwa razy niższy i trzy razy lżejszy od niego, zdołał przeciągnąć go nieprzytomnego po lodzie i wciągnąć na brzeg do samochodu. Zastanawiał się, jak Hinzelmannowi udało się wnieść go do domu i wanny.

Gospodarz podszedł do ognia, wziął szczypce i starannie włożył w płomienie długi kawał drewna.

— Chcesz wiedzieć, co robiłem na lodzie?

Tamten wzruszył ramionami.

— Nie moja sprawa.

— Wiesz, czego nie rozumiem? — zaczął Cień. Zawahał się, porządkując myśli. — Nie rozumiem, czemu mnie uratowałeś.

— Cóż — odrzekł Hinzelmann — tak mnie wychowano. Jeśli widzimy kogoś w kłopocie…

— Nie — przerwał mu Cień. — Nie to miałem na myśli. Bo przecież zabiłeś wszystkie te dzieci. Każdej zimy. Tylko ja się

domyśliłem. Musiałeś widzieć, jak otwieram bagażnik. Czemu nie pozwoliłeś mi utonąć?

Hinzelmann przekrzywił głowę. Z namysłem podrapał się po nosie, zakołysał w przód i w tył.

— No cóż — rzekł. — Dobre pytanie. Chyba dlatego, że byłem komuś winien przysługę. A ja zawsze spłacam długi.

— Wednesdayowi?

— Zgadza się.

— Miał powody, by mnie ukryć właśnie w Lakeside, prawda? Myślał, że nikt nie zdoła mnie tu znaleźć.

Hinzelmann milczał. Zdjął ze ściany ciężki czarny pogrzebacz i zaczął trącać nim drwa, wysyłając w powietrze obłok dymu i pomarańczowych iskierek.

— To mój dom — rzekł nadąsany. — Dobre miasto.

Cień skończył kawę. Odstawił kubek na podłogę. Nawet ten ruch okazał się wyczerpujący.

— Od dawna tu mieszkasz?

— Od dość dawna.

— I to ty zbudowałeś jezioro?

Hinzelmann spojrzał na niego zaskoczony.

— Tak. Zbudowałem jezioro. Gdy się tu zjawiłem, też je tak nazywali, ale było to tylko źródło, mała sadzawka, strumyczek — zawiesił głos. — Wiedziałem, że w tym kraju nasi źle sobie radzą. Ta ziemia ich niszczy. Nie chciałem zostać zniszczony. Zawarłem zatem układ — dałem im jezioro i dostatek…

— kosztowało ich to tylko życie jednego dziecka każdej zimy.

— To dobre dzieciaki. — Hinzelmann powoli pokręcił starą głową. — Wszystkie były dobre. Wybieram tylko te, które lubię. Oprócz Charliego Nelligana. To dopiero łobuziak. W którym to roku było? 1924? 1925? O tak, zgadza się.

— Ludzie z miasta — rzekł Cień. — Mabel. Marguerite. Chad Mulligan. Czy oni wiedzą?

Hinzelmann nie odpowiedział. Wyciągnął z ognia pogrzebacz: pierwszych dziesięć centymetrów lśniło matowym pomarańczem. Cień wiedział, że uchwyt pogrzebacza musi być zbyt gorący, by dało się go dotknąć, nie przeszkadzało to jednak Hinzelmannowi, który ponownie poruszył palenisko. Włożył pogrzebacz z powrotem do ognia, czubkiem naprzód, i tak zostawił. W końcu rzekł:

— Wiedzą, że mieszkają w dobrym miejscu, podczas gdy inne miasta i miasteczka tego okręgu, więcej, tej części stanu, rozpadają się i niszczeją. Oni o tym wiedzą.

— I to twoja sprawka?

— To miasto — rzekł Hinzelmann. — Dbam o nie. Nie dzieje się tu nic, czego bym nie chciał. Rozumiesz? Nie przychodzi nikt, kogo

nie chciałbym wpuścić. Dlatego właśnie ojciec cię tu przysłał. Nie chciał, żebyś krążył po świecie, zwracając na siebie uwagę. To wszystko.

— A ty go zdradziłeś.

— Nie zrobiłem niczego takiego. To on był oszustem. Ja zawsze spłacam długi.

— Nie wierzę ci — rzekł Cień.

Hinzelmann sprawiał wrażenie urażonego. Jedną ręką szarpnął kosmyk białych włosów u skroni.

— Ja dotrzymuję słowa.

— Nie. Nie dotrzymujesz. Najpierw Laura. Oznajmiła, że coś ją tu przyzywało. A co powiesz na zbieg okoliczności, który sprawił, że tego samego wieczoru zjawiły się tu Sam Czarna Wrona i Audrey Burton? Chyba przestałem wierzyć w przypadki.

Sam Czarna Wrona i Audrey Burton. Dwie osoby, które wiedziały, kim jestem naprawdę, i zdawały sobie sprawę z tego, że ktoś mnie szuka. Gdyby jedna zawiodła, w odwodzie trzymałeś drugą. A co, gdyby i to nic nie dało? Kto jeszcze wybierał się do Lakeside, Hinzelmannie? Mój dawny dyrektor więzienia nabrał ochoty na ryby? Matka Laury? — Cień odkrył ze zdziwieniem, że jest wściekły. — Chciałeś pozbyć się mnie ze swego miasta. Ale wolałeś się do tego nie przyznawać Wednesdayowi.

W blasku ognia Hinzelmann bardziej przypominał gargulca niż chochlika.

— To dobre miasto — powtórzył. Bez uśmiechu wyglądał upiornie, jak trup. — Przyciągnąłbyś zbyt wiele uwagi. To niedobre dla miasta.

— Trzeba było zostawić mnie tam, na lodzie — odparł Cień. — Powinieneś był zostawić mnie w jeziorze. Otworzyłem kufer gruchota. W tej chwili Alison tkwi tam jeszcze przymarznieta, ale lód stopnieje i jej ciało wypłynie na powierzchnię. Wtedy zejdą na dno i zaczną szukać. Znajdą twoją kolekcję dzieci. Przypuszczam, że część ciał nieźle się zachowała.

Hinzelmann schylił się i podniósł pogrzebacz. Nie udawał już nawet, że grzebie w ogniu. Trzymał go jak miecz albo pałkę. Rozżarzony niemal do białości czubek kreślił w powietrzu skomplikowane wzory, zostawiając za sobą smużkę dymu. Cień doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że jest niemal nagi, wciąż zmęczony, niezgrabny i raczej niezdolny do obrony.

— Chcesz mnie zabić? — rzekł. — Proszę bardzo. Zrób to. I tak jestem już martwy. Wiem, że to miasto należy do ciebie. To twój własny mały świat. Ale jeśli sądzisz, że nikt nie będzie mnie szukał, to żyjesz marzeniami. To koniec, Hinzelmannie. Tak czy inaczej, to koniec.

Hinzelmann dźwignął się z miejsca, podpierając się pogrzebaczem niczym laską. W miejscach, gdzie rozżarzony koniuszek dotknął dywanu, pojawiały się dymiące dziury. Spojrzał na Cienia. W jego jasnoniebieskich oczach błyszczały łzy.

— Kocham to miasto — powiedział. — Uwielbiam być poczciwym staruszkiem, opowiadać historie, jeździć Tessie i łowić ryby w przerębli. Pamiętasz, co ci mówiłem? Po całym dniu przynosisz do domu nie ryby, lecz spokój umysłu.

Wyciągnął pogrzebacz w stronę Cienia. Nawet z odległości kilkudziesięciu centymetrów Cień czuł bijące zeń gorąco.

— Mogłem cię zabić — dodał Hinzelmann. — Mogłem to załatwić. Robiłem tak już wcześniej. Ojciec Chada Mulligana też się domyślił. Załatwiłem go i mogę załatwić ciebie.

— Możliwe — odparł Cień. — Ale jak długo to potrwa, Hinzelmannie. Rok? Dziesięć lat? Teraz mają już komputery. Nie są głupi. Dostrzegą w końcu prawidłowość. Co roku znika jedno dziecko. Prędzej czy później zaczną węszyć, tak jak zaczną szukać mnie. Powiedz mi, ile masz lat? — Zacisnął palce na poduszce kanapy, gotów osłonić nią głowę. To osłabiłoby pierwszy cios.

Twarz Hinzelmanna nie wyrażała niczego.

— Oddawali mi dzieci w ofierze, nim jeszcze Rzymianie zjawili się w Czarnym Lesie — odparł. — Zanim zostałem koboldem, byłem bogiem.

— Może czas coś zmienić? — Cień nie miał pojęcia, co to jest kobold.

Hinzelmann spojrzał na niego, potem obrócił się i wsunął czubek pogrzebacza w żar.

— To nie takie proste. Czemu sądzisz, że mógłbym opuścić to miasto, nawet gdybym chciał? Jestem jego częścią. Zmusisz mnie do odejścia, Cieniu? Jesteś gotów mnie zabić, abym mógł odejść?

Cień spuścił wzrok. Dywan wciąż jeszcze dymił, połyskiwały w nim iskierki. Hinzelmann podążył za nim spojrzeniem i przydeptał tlące się kawałki, obracając stopę. W umyśle Cienia pojawił się nieproszony obraz: dzieci, ponad setka dzieci wpatrzonych w niego ślepymi jak kość oczami. Ich włosy unosiły się powoli wokół twarzy niczym gałązki wodorostów. Wszystkie patrzyły na niego z wyrzutem.

Wiedział, że sprawia im zawód. Tyle że nie miał pojęcia, co robić.

— Nie mogę cię zabić — rzekł. — Uratowałeś mi życie. — Potrząsnął głową. Czuł się okropnie, pod każdym możliwym względem. Nie był już bohaterem ani detektywem — jedynie pieprzonym sprzedawczykiem, grożącym surowo palcem ciemności, po czym odwracającym się do niej plecami.

— Chcesz poznać pewien sekret? — spytał Hinzelmann.

— Jasne. — Cień czuł, jak ściska mu się serce. Miał już dosyć

sekretów.

— Patrz.

W miejscu, gdzie stał Hinzelmann, pojawiło się dziecko, chłopiec, liczący sobie najwyżej pięć lat. Włosy miał długie, ciemnobrązowe. Był całkowicie nagi poza rzemiennym wytartym pasem wokół szyi. Przebijały go dwa miecze, jeden przez pierś, drugi wbity w ramię i wychodzący z ciała pod klatką piersiową. Z ran nieustannie spływała krew, tworząc kałuże na ziemi. Miecze wyglądały na niewiarygodnie stare.

Chłopczyk spojrzał na Cienia oczami kryjącymi w sobie wyłącznie ból.

A Cień pomyślał: Oczywiście. To świetny sposób stworzenia plemiennego boga, równie dobry jak każdy inny. Nikt nie musiał mu nic mówić; Cień po prostu wiedział.

Trzeba wziąć dziecko i wychować je w ciemności, nie pozwalając, by kogokolwiek widziało czy dotykało. Karmi się je dobrze, lepiej niż inne dzieci w wiosce, a potem, po upływie pięciu zim, w najdłuższą noc, wyciąga się przerażone dziecko z chaty, stawia w kręgu ognisk i przebija ostrzami z żelaza i brązu. Potem trzeba uwędzić drobne ciałko w dymie węgla drzewnego, wysuszyć je dokładnie, owinąć futrami i nosić ze sobą od obozu do obozu, głęboko w Czarnym Lesie, składając mu ofiary z dzieci i zwierząt, by przynosiło szczęście plemieniu. Gdy w końcu rozleci się ze starości, kruche kości umieszcza się w skrzynce i oddaje jej cześć. Aż pewnego dnia kości zaginą, zostaną zapomniane. Plemiona czczące boga-dziecko w skrzynce wymrą, a bóg, szczęście wioski, pozostanie w pamięci jedynie jako duch bądź skrzat, kobold.

Ciekawe, który z nich przybył do północnego Wisconsin sto pięćdziesiąt lat temu. W czyjej głowie żył wówczas Hinzelmann? Drwala? A może kartografa?

A potem krwawiące dziecko zniknęło, podobnie krew. Pozostał jedynie starzec o puszystych siwych włosach i chochlikowym uśmiechu. Rękawy wciąż ociekały mu wodą po kąpieli, która ocaliła życie Cienia.

— Hinzelmann? — powiedział ktoś z drzwi pokoju.

Starzec odwrócił się. Podobnie Cień.

— Przyszedłem ci powiedzieć — oznajmił Chad Mulligan wyraźnie napiętym głosem — że gruchot wpadł pod lód. Zauważyłem to po drodze. Pomyślałem, że dam ci znać, gdybyś sam nie zauważył.

W ręku trzymał wycelowany w ziemię pistolet.

— Witaj, Chad — rzekł Cień.

— Cześć, stary — odparł Chad. — Przysłali mi wiadomość, że umarłeś w więzieniu. Atak serca.

— Co ty powiesz? Wygląda na to, że ciągle gdzieś umieram.

— Zjawił się tu — wtrącił Hinzelmann. — Groził mi.

— Nie — odparł Chad Mulligan. — Nie groził. Jestem tu od dziesięciu minut, Hinzelmannie. Słyszałem wszystko, co powiedziałeś. O moim ojcu, o jeziorze. — Postąpił kilka kroków naprzód, nie podnosząc broni. — Jezu, Hinzelmannie. Nie da się przejechać przez to miasto i nie dostrzec pieprzonego jeziora. Leży pośrodku wszystkiego. I co mam teraz zrobić, do diabła?

— Musisz go aresztować. Powiedział, że mnie zabije — wtrącił Hinzelmann, przerażony starzec w zakurzonym pokoju. — Chad, cieszę się, że tu jesteś.

— Nie — odparł Chad Mulligan. — Wcale się nie cieszysz.

Hinzelmann westchnął. Pochylił się z pozorną rezygnacją i wyciągnął pogrzebacz. Jego czubek płonął jaskrawym blaskiem.

— Odłóż to, Hinzelmann. Odłóż powoli. I trzymaj ręce tak, żebym je widział. Odwróć się, stań twarzą do ściany.

Przez twarz starca przemknął wyraz absolutnego strachu. Cień pożałowałby go, przypomniał sobie jednak zamarznięte łzy na policzkach Alison McGovern. Hinzelmann nie poruszył się. Nie odłożył pogrzebacza. Nie odwrócił się twarzą do ściany. Cień już miał sięgnąć ku niemu, spróbować odebrać mu rozpalony pogrzebacz, gdy starzec cisnął nim w Mulligana.

Rzut był słaby i niezbyt celny — jakby Hinzelmann uczynił to bez przekonania. Już rzucając, pospieszył w stronę drzwi.

Pogrzebacz odbił się od lewej ręki Mulligana.

Odgłos wystrzału w ciasnym pokoju starca zabrzmiał ogłuszająco.

Jeden strzał w głowę. I nic więcej.

— Lepiej się ubierz — rzucił Mulligan martwym tępym głosem.

Cień skinął głową. Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, otworzył drzwi suszarki i wyciągnął ubranie. Dżinsy były wciąż wilgotne, włożył je jednak. Kiedy wrócił do pokoju, ubrany — poza płaszczem tkwiącym gdzieś głęboko w zamarzającym mule jeziora i butami, których nie zdołał znaleźć — Mulligan wyciągnął już z kominka kilka płonących szczap.

— Kiepski to dzień, gdy gliniarz musi uciec się do podpalenia, by zatrzeć ślady morderstwa — mruknął Mulligan i spojrzał na Cienia. — Będziesz potrzebował butów — dodał.

— Nie wiem, gdzie je schował — odparł Cień.

— Cholera. Przykro mi, Hinzelmann. — Mulligan podniósł starca za kołnierz i sprzączkę paska, rozhuśtał i rzucił twarzą w ogień. Białe włosy stanęły w płomieniach. Pokój wypełnił swąd palonego ciała.

— To nie było morderstwo, tylko samoobrona — przypomniał Cień.

— Wiem, co zrobiłem — odparł stanowczo Mulligan i zajął się rozrzuconymi po pokoju dymiącymi szczapami. Jedną z nich wsunął

pod kanapę, wziął stary numer „Nowin z Lakeside", podarł i rzucił zgniecione kartki na płonący kawałek drewna. Papier zbrązowiał i stanął w ogniu. — Na zewnątrz — polecił Chad Mulligan.

Po drodze otworzył okna i zwolnił zatrzask przednich drzwi, tak by zamknęły się za nimi.

Cień podążył za policjantem do radiowozu. Mulligan otworzył przed nim drzwi. Cień wsiadł do środka i wytarł stopy o dywanik. Potem włożył niemal zupełnie suche skarpety.

— Kupimy ci buty u Henningsa — powiedział policjant.

— Ile słyszałeś? — spytał Cień.

— Dostatecznie dużo — odparł Mulligan. — Za dużo — dodał.

W milczeniu jechali do sklepu. Gdy tam dotarli, szef policji spytał:

— Jaki nosisz rozmiar?

Cień mu powiedział.

Mulligan zniknął w sklepie i powrócił z parą grubych wełnianych skarpet i skórzanych roboczych butów.

— Tylko to mieli w twoim rozmiarze. Chyba że wolisz kalosze. Uznałem, że pewnie nie.

Cień włożył skarpety i buty. Pasowały.

— Dzięki — rzekł.

— Masz wóz? — spytał Mulligan.

— Zaparkowany na drodze do jeziora. Obok mostu.

Mulligan uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

— Co się stało z Audrey? — spytał Cień.

— W dzień po tym, jak cię zabrali, oznajmiła, że lubi mnie jako przyjaciela, ale nigdy by nam nie wyszło, bo jesteśmy rodziną, i wróciła do Eagle Point. Złamała mi pieprzone serce.

— Logiczne — mruknął Cień. — To nic osobistego. Po prostu Hinzelmann już jej nie potrzebował.

Minęli dom Hinzelmanna. Z komina unosił się gęsty pióropusz białego dymu.

— Zjawiła się tu tylko dlatego, że jej potrzebował. Pomogła mu się mnie pozbyć. Przyciągałem uwagę, której nie chciał.

— Sądziłem, że mnie polubiła.

Zatrzymali się obok wynajętego samochodu.

— Co teraz zrobisz? — spytał Cień.

— Nie wiem — odparł Mulligan. Jego zwykle surowa twarz po raz pierwszy od wydarzeń w pokoju Hinzelmanna zaczynała nabierać życia. Jednocześnie stawała się coraz bardziej zatroskana. — Myślę, że mam kilka opcji. Mogę… — Wyprostował dwa palce niczym lufy, wsunął do ust i wyjął. — Wsadzę sobie kulkę w mózg. Albo odczekam kilka dni, póki lód nie zejdzie, przywiążę do nogi kawał betonu i skoczę z mostu. Albo pigułki. Co mi tam, może po prostu pojadę do lasu i tam je zażyję. Nie chcę, by jeden z moich musiał po mnie

sprzątać. Zostawmy to władzom okręgowym. — Westchnął i potrząsnął głową.

— Nie zabiłeś Hinzelmanna, Chad. On umarł już bardzo dawno temu, bardzo daleko stąd.

— Dzięki, że to mówisz, Mike. Ale nie, zabiłem go. Z zimną krwią zastrzeliłem człowieka i zatarłem ślady. Jeśli mnie spytasz, czemu to zrobiłem, to tak naprawdę, do diabła, nie potrafię powiedzieć.

Cień wyciągnął rękę i dotknął lekko ramienia swego towarzysza.

— Hinzelmann władał tym miastem. Nie sądzę, byś miał wybór, jeśli chodzi o to, co się tam stało. Myślę, że sam cię sprowadził. Chciał, że abyś usłyszał to, co usłyszałeś. Wrobił cię. Tylko w ten sposób mógł odejść.

Mulligan nadal patrzył przed siebie z nieszczęśliwą miną. Cień widział, że szef policji w ogóle go nie słucha. Zabił Hinzelmanna, zbudował mu stos, a teraz posłuszny ostatniemu życzeniu władcy zamierzał popełnić samobójstwo.

Cień zamknął oczy, przypominając sobie miejsce w głowie, do którego się udał, gdy Wednesday kazał mu przywołać śnieg; miejsce napierające na inne umysły. Uśmiechnął się, choć nie czuł radości, i rzekł:

— Chad. Zostaw to. — W umyśle tamtego dostrzegł chmurę, ciężki, ciemny obłok. Cień niemal go widział. Skupiwszy się, wyobraził sobie, że chmura rozwiewa się, rozpływa niczym poranna mgła. — Chad — powiedział ostro, próbując przeniknąć chmurę. — Teraz to miasto się zmieni. Nie będzie jedynym kwitnącym miastem w regionie dotkniętym recesją. Upodobni się do reszty świata. Czekają was kłopoty, bezrobotni, szaleńcy, przestępstwa, mnóstwo złych rzeczy. Ludzie będą potrzebowali doświadczonego szefa policji. To miasto cię potrzebuje. — Po czym dodał: — Marguerite cię potrzebuje.

Coś poruszyło się w burzowych chmurach wypełniających głowę Mulligana i Cień poczuł zmianę. W tym momencie pchnął, wyobrażając sobie spracowane brązowe ręce Marguerite Olsen, jej ciemne oczy i długie, bardzo długie czarne włosy. Wyobraził sobie, jak przechyla głowę i uśmiecha się krzywo, z rozbawieniem.

— Ona na ciebie czeka — oznajmił Cień i wiedział, że mówi prawdę.

— Margie? — spytał Chad Mulligan.

I w tym momencie, choć Cień nie miał pojęcia, jak tego dokonał, i wątpił, by zdołał uczynić to ponownie, sięgnął w głąb umysłu Chada Mulligana i z niewiarygodną łatwością usunął z niego wydarzenia tego popołudnia, równie obojętnie i precyzyjnie, jak kruk wydziobujący oko martwego zwierzęcia.

Zmarszczki na czole Chada wygładziły się. Policjant zamrugał sennie.

— Idź do Margie — polecił Cień. — Milo cię było poznać, Chad. Dbaj o siebie.

— Jasne — ziewnął Chad Mulligan.

W policyjnym radiu coś zatrzeszczało. Chad sięgnął po mikrofon. Cień wysiadł z radiowozu.

Przeszedł powoli do swego wynajętego samochodu. Pośrodku miasta widział szarą płaszczyznę jeziora. Pomyślał o martwych dzieciach czekających na dnie.

Wkrótce Alison wypłynie na powierzchnię…

Przejeżdżając koło mieszkania Hinzelmanna, dostrzegł, że pióropusz dymu zniknął zastąpiony morzem płomieni. Usłyszał jęk syreny.

Jechał na południe, w stronę autostrady 51. Na ostatnie spotkanie. Przedtem jednak, pomyślał, wpadnie do Madison, aby pożegnać jeszcze kogoś.

* * *

Najbardziej ze wszystkiego Samantha Czarna Wrona lubiła zamykać nocą Kafejkę. Działało to na nią uspokajająco; miała wrażenie, że przywraca porządek światu. Wkładała w odtwarzacz płytę Indigo Girls i kończyła swe obowiązki we własnym tempie, na swój własny sposób. Najpierw czyściła ekspres do kawy. Potem obchodziła cały lokal, sprawdzając, czy wszystkie filiżanki i talerze trafiły z powrotem do kuchni, a gazety, pod koniec dnia zawsze rozrzucone po Kafejce, leżą w równym stosiku przy drzwiach frontowych, gotowe do recyklingu.

Samantha uwielbiała Kafejkę: długą serię pomieszczeń, pełnych kanap, foteli i niskich stolików, na ulicy znanej z książkowych antykwariatów. Nakryła resztki sernika i schowała na noc do wielkiej lodówki. Potem ścierką zgarnęła z lady okruchy. Lubiła być sama.

Ciche pukanie w okno gwałtownie przywołało ją do rzeczywistości. Podeszła do drzwi i wpuściła do środka kobietę mniej więcej w jej wieku, o splecionych w warkoczyki purpurowych włosach. Dziewczyna nazywała się Natalie.

— Witaj — rzuciła Natalie. Wspięła się na palce i ucałowała Sam w miejsce pomiędzy policzkiem a kącikiem ust. Taki pocałunek bywa bardzo znaczący.

— Skończyłaś?

— Prawie.

— Chcesz obejrzeć film?

— Jasne. Z rozkoszą. Zostało mi jeszcze jakieś pięć minut. Może poczytaj sobie „Onion”?

— Widziałam już ten numer. — Natalie przysiadła na krześle niedaleko drzwi. Zaczęła grzebać w stosie odłożonych gazet, póki nie znalazła czegoś ciekawego, i pogrążyła się w lekturze. Tymczasem Sam schowała do woreczka resztę pieniędzy z kasy i umieściła w sejfie.

Sypiały ze sobą od tygodnia. Sam zastanawiała się, czy to już to, miłość, na którą czekała całe życie. Powtarzała sobie, że to jedynie związki chemiczne w mózgu i feromony sprawiają, że czuje się szczęśliwa, kiedy widzi Natalie, i może istotnie tak było. Wiedziała jednak, że uśmiecha się na jej widok i że kiedy są razem, czuje się radosna i swobodna.

— W tej gazecie — oznajmiła Natalie — jest kolejny z tych artykułów. Czy Ameryka się zmienia?

— A zmienia się?

— Tego nie piszą. Może, ale nie wiedzą jak, nie wiedzą czemu i może w ogóle to się nie dzieje.

Sam uśmiechnęła się szeroko.

— No to mamy wszystkie możliwe opcje, prawda?

— Najwyraźniej. — Natalie zmarszczyła brwi i wróciła do lektury.

Sam przepłukała ściereczkę i złożyła ją.

— Chodzi o to, że mimo wszystkiego, co robi rząd, i tak dalej, nagle poczuliśmy się dobrze. Może to po prostu wiosna? Zima była długa i osobiście cieszę się, że minęła.

— Ja też. — Chwila ciszy. — Piszą tutaj, że mnóstwo ludzi miało ostatnio dziwaczne sny. Ja nie miewam dziwacznych snów. Nie dziwaczniejsze niż normalnie.

Sam rozejrzała się, sprawdzając, czy o czymś zapomniała. Nie. Dobra robota. Zdjęła fartuch, powiesiła go w kuchni i zaczęła gasić światła.

— Ja miałam ostatnio dziwaczne sny — powiedziała. — Tak dziwne, że zaczęłam je zapisywać. Notuję wszystko, gdy tylko się obudzę. Ale kiedy to później czytam, nic nie ma sensu.

Włożyła płaszcz i tanie rękawiczki.

— Zajmowałam się kiedyś snami — powiedziała Natalie. Natalie zajmowała się kiedyś wieloma rzeczami, od dziwacznych technik samoobrony i duchowości indiańskiej po feng shui i taniec nowoczesny. — Opowiedz mi o nich. Powiem ci, co znaczą.

— Zgoda. — Sam otworzyła drzwi i zgasiła ostatnią lampę. Wypuściła Natalie na ulicę i starannie zamknęła za sobą na klucz drzwi Kafejki. — Czasami śniłam o ludziach spadających z nieba. Nieraz jestem pod ziemią i rozmawiam z kobietą o głowie bawołu. A czasami śni mi się facet, którego w zeszłym miesiącu pocałowałam w

barze.

Natalie prychnęła.

— Coś, o czym powinnam wiedzieć?

— Może. Ale to nie to, co myślisz. To był pocałunek na odpieprz.

— Mówiłaś mu, żeby się odpieprzył?

— Nie. Mówiłam wszystkim innym, że mogą się od nas odpieprzyć. Chyba trzeba to było zobaczyć, żeby zrozumieć.

Natalie maszerowała chodnikiem, stukając obcasami. Sam dreptała obok niej.

— Mój samochód należy do niego — dodała.

— Ten fioletowy potwór, który trzymasz u siostry?

— Tak.

— Co się z nim stało? Czemu nie chce odebrać wozu?

— Nie wiem. Może siedzi w więzieniu. Może nie żyje.

— Nie żyje?

— Chyba tak. — Sam zawahała się. — Kilka tygodni temu byłam pewna, że umarł. Telepatia czy coś takiego. Zupełnie jakbym wiedziała. Ale potem zaczęłam myśleć, że może jednak żyje. Sama nie wiem. Chyba nie jestem zbyt dobrą telepatką.

— Na jak długo zamierzasz zatrzymać jego wóz?

— Póki ktoś się po niego nie zgłosi. Myślę, że tego by chciał.

Natalie zerknęła na Sam, odwróciła wzrok i popatrzyła ponownie.

— Skąd je wzięłaś? — spytała.

— Co?

— Kwiaty. Te, które trzymasz, Sam. Skąd je wzięłaś? Miałaś je już, gdy wychodziłyśmy z Kafejki?

— Nie zauważyłam. — Sam spuściła wzrok i uśmiechnęła się szeroko. — Jesteś taka słodka. Powinnam była podziękować, kiedy mi je wręczyłaś. Są śliczne. Strasznie dziękuję, ale czy czerwone nie byłyby odpowiedniejsze?

W rękach trzymała róże, ich łodyżki były owinięte papierem. Sześć róż, białych.

— Ja ci ich nie dałam. — Natalie zacisnęła usta.

Żadna z nich nie odezwała się już ani słowem, póki nie dotarły do kina.

Gdy tego wieczoru wróciła do domu, Sam wstawiła róże do zaimprowizowanego flakonu. Później odlała je w brązie i zachowała dla siebie opowieść o tym, skąd je wzięła, choć pewnego wieczoru, po pijaku, opowiedziała historię widmowych róż Caroline, następczyni Natalie. Caroline zgodziła się, że to naprawdę niesamowita, odlotowa historia, i w głębi duszy nie uwierzyła w ani jedno słowo, więc wszystko było w porządku.

* * *

Cień zaparkował obok budki telefonicznej. Zadzwonił na informacje, podano mu numer.

„Nie", usłyszał. „Nie ma jej. Prawdopodobnie wciąż jeszcze jest w Kafejce".

Po drodze do Kafejki zatrzymał się i kupił kwiaty.

Znalazł kawiarnię, przeszedł przez jezdnię, stanął w drzwiach antykwariatu i czekał.

Lokal zamykano o ósmej. Dziesięć po ósmej Cień ujrzał Sam Czarną Wronę wychodzącą z Kafejki w towarzystwie drobniejszej kobiety, której splecione w warkoczyki włosy miały niezwykły odcień czerwieni. Dziewczyny mocno trzymały się za ręce, jak gdyby sam ten gest mógł odgrodzić je od świata. Rozmawiały — czy raczej Sam mówiła, podczas gdy jej przyjaciółka słuchała. Cień zastanawiał się, o czym mówi dziewczyna. Cały czas się uśmiechała.

Kobiety przeszły przez ulicę, mijając miejsce, w którym czekał. Dziewczyna z warkoczykami przeszła krok od niego. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej, a jednak go nie dostrzegły.

Patrzył, jak odchodzą ulicą, i poczuł nagłe ukłucie, jakby ktoś trącił w jego sercu strunę.

To był naprawdę niezły pocałunek, lecz Sam nigdy nie spojrzała na niego tak, jak patrzyła na dziewczynę z warkoczykami. I nigdy nie spojrzy.

— Och, do diabła. Przynajmniej zawsze będziemy mieli Peru — mruknął pod nosem, gdy oddalała się od niego. — I El Paso. To też na zawsze nam zostanie.

Potem pobiegł za nią, wsunął kwiaty w ręce Sam i odbiegł, by nie mogła ich oddać.

Wdrapał się na wzgórze, z powrotem do samochodu i podążył za drogowskazami do Chicago. Cały czas jechał z dozwoloną maksymalną szybkością.

Miał do zrobienia jeszcze tylko jedną rzecz.

I wcale mu się nie spieszyło.

* * *

Noc spędził w Motelu 6. Gdy rano wstał, zorientował się, że ubranie wciąż pachnie mułem z dna jeziora, ale i tak je włożył. Uznał, że już wkrótce nie będzie go potrzebował.

Zapłacił rachunek i podjechał pod znajomą kamienicę. Znalazł ją bez trudu. Była mniejsza, niż ją zapamiętał.

Spokojnie wszedł po schodach — nie szybko, to oznaczałoby, że spieszy mu się do własnej śmierci, i nie wolno, bo to sugerowałoby lęk. Ktoś tu posprzątał, czarne worki ze śmieciami zniknęły. Powietrze pachniało chlorem i środkami czyszczącymi, nie gnijącymi warzywami.

Czerwone drzwi na szczycie schodów stały otworem, wokół wisiała woń starych posiłków. Cień zawahał się i nacisnął dzwonek.

— Idę! — usłyszał kobiecy głos. Z kuchni wynurzyła się drobna jak krasnoludek i oślepiająco jasnowłosa Zoria Utriennaja. Ruszyła ku niemu, wycierając ręce w fartuch. Cień uświadomił sobie, że kobieta wygląda jakoś inaczej, sprawia wrażenie szczęśliwej; policzki miała uróżowione, jej stare oczy lśniły. Na jego widok szeroko otworzyła usta. — Cień! — wykrzyknęła. — Wróciłeś do nas? — Pospieszyła ku niemu, wyciągając ręce. Schylił się i objął ją, a ona ucałowała go w policzek. — Jak dobrze cię widzieć! — dodała. — A teraz musisz odejść.

Cień przestąpił próg mieszkania. Wszystkie drzwi (oprócz, co go nie zdziwiło, drzwi Zorii Połunocznej) stały otworem. Wszystkie okna także były pootwierane. W korytarzu czuł lekki wietrzyk.

— Wiosenne porządki — domyślił się.

— Spodziewamy się gościa — odparła Zoria Utriennaja. — Teraz musisz już iść, ale najpierw napijesz się kawy?

— Przyszedłem do Czernoboga — oznajmił Cień. — Już czas.

Zoria Utriennaja gwałtownie pokręciła głową.

— Nie, nie — zaprotestowała. — Nie chcesz się z nim widzieć. To niedobry pomysł.

— Wiem — odparł Cień. — Ale nauczyłem się czegoś o bogach. Jeśli zawrze się z nimi układ, należy go dotrzymać. Oni mogą łamać wszelkie reguły, my nie. Nawet gdybym próbował stąd wyjść, moje stopy przyniosłyby mnie tu z powrotem.

Zoria wysunęła dolną wargę.

— Prawda. Ale dzisiaj idź. Wróć jutro. Już go nie będzie.

— Kto to? — usłyszał kobiecy głos w głębi korytarza. — Zorio Utriennaja, z kim rozmawiasz? Wiesz, że sama nie dam rady obrócić materaca.

Cień ruszył w głąb korytarza.

— Dzień dobry, Zorio Wieczemaja. Może ja pomogę?

Kobieta w pokoju pisnęła zaskoczona i upuściła róg materaca.

Całą sypialnię pokrywała gruba warstwa kurzu — każdą powierzchnię, drewno i szkło. Jego drobinki wirowały i tańczyły w promieniach światła wpadających przez otwarte okno. Od czasu do czasu unosił je mocniejszy powiew. Pożółkłe firanki łopotały leniwie.

Cień pamiętał ten pokój. Tu właśnie nocował Wednesday. W pokoju Bieleboga.

Zoria Wieczemaja spojrzała na niego niepewnie.

— Materac — oznajmiła. — Trzeba go obrócić.

— Nie ma sprawy. — Cień chwycił materac, podniósł go z łatwością i odwrócił.

Łóżko było stare, drewniane. Wypchany pierzem materac ważył tyle, co dorosły człowiek. Kiedy opadł, w powietrze wzbiła się chmura kurzu.

— Po co przyszedłeś? — spytała Zoria Wieczemaja, bynajmniej nie przyjaznym tonem.

— Przyszedłem — odparł Cień — ponieważ w grudniu pewien młody człowiek grał w warcaby ze starym bogiem i przegrał.

Stara kobieta o upiętych w ciasny kok siwych włosach ściągnęła wargi.

— Wróć jutro — poleciła.

— Nie mogę — odparł z prostotą.

— To twój pogrzeb. A teraz idź, usiądź. Zoria Utriennaja przyniesie ci kawę. Czernobog wkrótce wróci.

Cień przeszedł do salonu, który wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał, choć okno było otwarte. Szary kot spał na poręczy kanapy. Gdy Cień wszedł do środka, kot otworzył jedno oko, po czym znudzony znów zasnął.

Tu właśnie grał w warcaby z Czernobogiem; tu postawił własne życie, by namówić starca do udziału w ostatnim przeklętym oszustwie Wednesdaya. Przez otwarte okno wpadało świeże powietrze, przeganiając zaduch.

W salonie zjawiła się Zoria Utriennaja, dźwigająca czerwoną drewnianą tacę z małą emaliowaną filiżanką pełną czarnej parującej kawy i talerzykiem niewielkich czekoladowych ciasteczek. Ustawiła ją przed nim na stole.

— Widziałem się jeszcze raz z Zoria Połunoczną — powiedział Cień. — Przybyła do mnie pod światem. Dała mi księżyc, by oświetlał drogę. I coś ode mnie wzięła, ale nie pamiętam co.

— Ona cię lubi — oznajmiła Zoria Utriennaja. — Tak wiele śni. Strzeże nas wszystkich. Jest bardzo odważna.

— Gdzie się podziewa Czernobog?

— Twierdzi, że wiosenne porządki go irytują. Wychodzi po gazetę, siedzi w parku, kupuje papierosy. Może w ogóle dziś nie wróci. Nie musisz czekać. Idź i przyjdź jutro.

— Zaczekam — odparł Cień.

Żadna magia nie zmuszała go do tego. Doskonale o tym wiedział. Sprawiał to on sam. Była to ostatnia rzecz, która musiała się wydarzyć, i jeśli istotnie stanie się ostatnią w jego życiu, cóż, przybył

tu z własnej woli. Koniec z obowiązkami, tajemnicami, duchami.

Pociągnął łyk gorącej kawy, czarnej i słodkiej, dokładnie takiej, jaką pamiętał.

Nagle usłyszał dobiegający z korytarza męski głos. Wyprostował się. Z radością stwierdził, że nie drży mu ręka. Drzwi się otwarły.

— Cień?

— Cześć — odparł Cień. Nie wstawał.

Czernobog przekroczył próg. W ręku trzymał złożony numer „Chicago Sun-Times"; odłożył go na stolik. Przez chwilę patrzył na Cienia, po czym z wahaniem wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

— Przybyłem — oznajmił Cień. — Nasza umowa. Ty dotrzymałeś warunków. Kolej na mnie.

Czernobog skinął głową i uniósł brwi. Słońce połyskiwało w siwych włosach i wąsach, sprawiając, że wydawały się niemal złociste.

— To… — Zmarszczył czoło. — To nie… — Urwał. — Może powinieneś odejść. To niedobry moment.

— Zaczekam — odrzekł Cień. — Jestem gotów.

Czernobog westchnął.

— Bardzo głupi z ciebie chłopiec. Wiesz o tym?

— Chyba wiem.

— Głupi chłopiec. Tam na szczycie zrobiłeś coś bardzo dobrego.

— Tylko to, co musiałem.

— Możliwe.

Czernobog podszedł do starego drewnianego kredensu, schylił się i wyciągnął spod niego walizeczkę. Otworzył zatrzaski, które odskoczyły z donośnym trzaskiem. Uniósł wieko. Wyjął ze środka młot i zamachnął się na próbę. Młot przypominał zmniejszoną kopię młota kowalskiego. Drewniany trzonek pokrywały ciemne plamy.

Potem wstał.

— Jestem ci tyle winien. Więcej, niż przypuszczasz. Dzięki tobie wszystko się zmieniło. Nadeszła wiosna. Prawdziwa wiosna.

— Wiem, co zrobiłem — odparł Cień. — Nie miałem wielkiego wyboru.

Czernobog kiwnął głową. Jego oczy miały wyraz, jakiego Cień nigdy wcześniej nie widział.

— Opowiadałem ci kiedyś o moim bracie?

— O Bielebogu? — Cień przeszedł na środek oproszonego popiołem dywanu. Ukląkł. — Mówiłeś, że bardzo dawno go nie widziałeś.

— Tak — odparł starzec, unosząc młot. — To była długa zima. Bardzo długa. Ale teraz dobiega końca. — Powoli pokręcił głową, jakby coś sobie przypominał, i rzekł: — Zamknij oczy.

Cień zamknął oczy i uniósł głowę. Czekał.

Młot był zimny, lodowato zimny. Musnął jego czoło delikatnie jak

pocałunek.

— Buch! Proszę — rzucił Czernobog. — Załatwione.

Jego twarz rozjaśnił niezwykły uśmiech: wesoły promienny uśmiech, pogodny jak słońce w letni dzień. Starzec wrócił do walizeczki, schował młot, zamknął wieko i wepchnął wszystko pod kredens.

— Czernobog? — spytał Cień. — Ty jesteś Czernobog?

— Tak. Dzisiaj jeszcze tak — odparł starzec. — Jutro będzie już tylko Bielebog, ale dziś to wciąż Czernobog.

— A zatem czemu? Czemu mnie nie zabiłeś, skoro miałeś szansę?

Stary człowiek wyjął z kieszeni papierosa bez filtra. Z kominka wziął wielkie pudełko zapałek i zapalił papierosa. Na chwilę pogrążył się w myślach.

— Ponieważ — odparł w końcu — istnieje coś takiego jak krew. Ale istnieje też wdzięczność. A to była naprawdę długa zima.

Cień wstał. Szybkim gestem otrzepał zakurzone kolana dżinsów.

— Dzięki — rzekł.

— Bardzo proszę — odparł starzec. — Następnym razem, kiedy zachce ci się zagrać w warcaby, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Tym razem gram białymi.

— Dziękuję. Może nawet przyjdę — mruknął Cień. — Ale nieprędko.

Spojrzał wprost w wesołe oczy rozmówcy, zastanawiając się, czy zawsze miały tak intensywnie błękitną barwę. Uścisnęli sobie dłonie. Żaden z nich nie odezwał się więcej.

W drodze do wyjścia Cień ucałował policzek Zorii Utriennej i dłoń Zorii Wieczernej. Potem zbiegł po schodach, przeskakując stopnie.

POST SCRIPTUM

Reykjavik, stolica Islandii, to dziwne miasto, nawet dla tych, którzy oglądali już wiele dziwnych miast. Można go nazwać miastem wulkanicznym — ogrzewające domy ciepło pochodzi z głębin ziemi.

Rzecz jasna przyjeżdżają tu turyści, ale nie tak wielu, jak można by oczekiwać, nawet na początku czerwca. Słońce świeci wówczas jasno, tak jak świeciło od tygodni; nad ranem na parę godzin przygasa i pomiędzy drugą i trzecią znów wstaje wśród mgły, zaczynając kolejny dzień.

Tego ranka wysoki turysta zwiedził pieszo większą część Reykjaviku, słuchając toczonych wokół rozmów w języku, który przez ostatni tysiąc lat niemal się nie zmienił. Miejscowi potrafili czytać starożytne sagi z równą łatwością, jak zwykłe gazety. Tutejsze poczucie ciągłości historii przerażało go, a jednocześnie dodawało rozpaczliwej otuchy. Był bardzo zmęczony: niekończący się dzień sprawił, że praktycznie nie spał i całą beznocną noc przesiedział w pokoju hotelowym, czytając na zmianę przewodnik i „Czarny dom", powieść, kupioną niedawno na lotnisku, choć nie potrafiłby już powiedzieć, na którym. Czasami wyglądał przez okno.

W końcu zegar i słońce zgodnie ogłosiły nadejście ranka.

W jednym z wielu sklepików Cień kupił tabliczkę czekolady i ruszył naprzód, bez celu. Od czasu do czasu coś przypominało mu o wulkanicznej naturze Islandii: skręcał za róg i przez moment czuł w powietrzu woń siarki. Nie przywodziła mu jednak na myśl Hadesu, lecz zgniłe jaja.

Wiele kobiet, które mijał na ulicach, było bardzo pięknych: szczupłych i bladych, takich, za jakimi przepadał Wednesday. Cień zastanawiał się, co mogło pociągać Wednesdaya w jego matce, pięknej, ale zupełnie do nich niepodobnej.

On sam uśmiechał się do ładnych kobiet, bo czuł się przy nich przyjemnie męsko. Uśmiechał się też do innych — w końcu świetnie się bawił.

Nie był pewien, kiedy się zorientował, że ktoś go obserwuje. W trakcie spacerów po Reykjaviku poczuł nagle, że śledzą go czyjeś oczy. Od czasu do czasu obracał się gwałtownie, próbując dostrzec swojego prześladowcę, patrzył też w szyby wystaw, na odbicie ulic. Nie ujrzał jednak nikogo niezwykłego, nikogo, kto zwracałby na niego uwagę.

Wszedł do niewielkiej restauracji, gdzie zjadł wędzonego maskonura, maliny, arktycznego pstrąga i gotowane ziemniaki. Popił wszystko coca-colą, smakującą słodziej i ciężej niż ta w Stanach.

Gdy kelner przyniósł rachunek, spytał:

— Przepraszam, pan jest Amerykaninem?

— Tak.

— A zatem szczęśliwego Czwartego Lipca! — Kelner sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

Cień nie zdawał sobie wcześniej sprawy z tego, że jest już czwarty. Dzień Niepodległości. O tak, podobała mu się idea niepodległości. Zostawił na stole pieniądze wraz z napiwkiem i wyszedł na zewnątrz. Znad Atlantyku wiał chłodny wietrzyk. Cień zapiął płaszcz.

Usiadł na trawiastym zboczu wzgórza, spoglądając na otaczające go miasto. Pewnego dnia będę musiał wrócić do domu, pomyślał, a wcześniej stworzyć dom, do którego mógłbym wracać. Zastanawiał się, czy dom to coś, w co po jakimś czasie zamienia się dane miejsce, czy też coś, co znajdujemy w końcu, gdy dostatecznie długo do niego dążymy.

Na zboczu pojawił się starszy mężczyzna. Maszerował ku niemu. Miał na sobie ciemnoszary płaszcz, postrzępiony u dołu, jakby oglądał wiele podróży, a także szerokoskrzydły niebieski kapelusz z piórkiem mewy wetkniętym za wstążkę pod zawadiackim kątem. Wygląda jak starzejący się hipis, pomyślał Cień. Albo od dawna emerytowany kowboj. Mężczyzna był niewiarygodnie wysoki.

Przykucnął obok Cienia na wzgórzu i pozdrowił go krótkim skinieniem głowy. Jedno oko przesłaniała mu czarna opaska, jak u pirata, szczękę porastała nastroszona bródka. Cień zastanowił się przelotnie, czy tamten zaraz poprosi o papierosa.

— Hvernig gengur? Manst pu eftir mer? — odezwał się starszy mężczyzna.

— Przepraszam — odparł Cień. — Nie mówię po islandzku. — A potem dodał z wahaniem, cytując zdanie, którego nauczył się z rozmówek w świetle wczesnego poranka: — Eg yala bara ensku. Mówię tylko po angielsku. — I dodał: — Amerykanin.

Starszy człowiek powoli skinął głową.

— Moi ludzie dawno temu popłynęli stąd do Ameryki. Dotarli tam i wrócili na Islandię. Mówili, że to dobre miejsce dla ludzi, ale złe dla bogów. A bez bogów czuli się zbyt… samotni. Mówił płynnie po angielsku, lecz przerwy i rytm zdań brzmiały osobliwie.

Cień przyjrzał mu się. Z bliska mężczyzna wydawał się starszy niż to w ogóle możliwe. Jego skórę pokrywały zmarszczki i szczeliny, niczym pęknięcia w granicie.

— Ja cię znam, chłopcze — oznajmił starzec.

— Tak?

— Ty i ja podążaliśmy tą samą ścieżką. Ja także dziewięć dni wisiałem na drzewie — ofiara z samego siebie. Jestem władcą Asów, bogiem szubienic.

— Jesteś Odynem — powiedział Cień.

Mężczyzna przytaknął z namysłem, jakby ważył w myślach to imię.

— Różnie mnie nazywają, ale owszem, jestem Odynem, synem Bora.

— Widziałem twoją śmierć — rzekł Cień. — Czuwałem nad twym ciałem. Próbowałeś tak wiele zniszczyć po to, by zyskać moc. Tak wiele byłeś gotów poświęcić dla siebie. Ty to zrobiłeś.

— Nie.

— Zrobił to Wednesday. Był tobą.

— On był mną, owszem. Ale ja nie jestem nim. — Mężczyzna podrapał się po nosie. Piórko mewy zadrżało. — Wrócisz? — spytał Władca Szubienic. — Do Ameryki?

— Nie mam do czego wracać. — Mówiąc to, Cień zorientował się, że kłamie.

— Sporo tam na ciebie czeka — powiedział starzec. — Ale poczeka, nie ucieknie.

Obok nich przeleciał biały motyl, trzepocząc skrzydełkami. Cień milczał. Miał dosyć bogów i ich tajemnic, dosyć na kilka żywotów. Postanowił, że wsiądzie do autobusu na lotnisko, zmieni rezerwację i poleci dokądś, gdzie nigdy jeszcze nie był. Cały czas będzie w ruchu.

— Hej — rzekł głośno — mam coś dla ciebie. — Sięgnął do kieszeni, ukrywając w dłoni drobny przedmiot. — Wyciągnij rękę — polecił.

Odyn spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy, po czym wzruszył ramionami i wyciągnął prawą rękę dłonią do dołu. Cień chwycił ją i obrócił.

Otworzył własne ręce, pokazując je kolejno, demonstrując, że są puste. Potem wepchnął szklane oko w skórzastą dłoń starca i zostawił je tam.

— Jak to zrobiłeś?

— Czary — odparł Cień.

Starzec zaśmiał się radośnie i klasnął. Obejrzał oko, trzymając je między kciukiem i palcem wskazującym, skinął głową, jakby wiedział dokładnie, czym jest, i ukrył w skórzanej sakiewce wiszącej u pasa.

— Takk kaerlega. Zaopiekuję się tym.

— Bardzo proszę. — Cień wstał, otrzepując spodnie z trawy.

— Jeszcze raz. — Pan Asgardu wyniośle skinął głową. Jego głos brzmiał głęboko, rozkazująco.

— Ech, wy — westchnął Cień — nigdy nie macie dosyć. Tej sztuczki nauczyłem się od kogoś, kto już nie żyje.

Sięgnął w pustkę i wyjął z powietrza złotą monetę. To była zupełnie zwyczajna złota moneta, nie potrafiła przywracać życia umarłym ani leczyć chorych, ale istniała naprawdę.

— I to już wszystko — oznajmił, pokazując ją pomiędzy

palcami. — Nie napisała nic więcej.

Jednym pstryknięciem wyrzucił monetę w powietrze. Zawirowała w górze, połyskując w blasku słońca, i zawisła tak na tle letniego nieba, jakby nigdy nie miała spaść. Może istotnie nie spadła. Cień nie czekał, by się przekonać. Odszedł, nie oglądając się za siebie.

PODZIĘKOWANIE

To była długa książka i długa podróż, i muszę podziękować za nią wielu ludziom.

Pani Hawley użyczyła mi swojego domu na Florydzie, w zamian miałem tylko płoszyć sępy. Wypożyczyła mi także swój irlandzki dom, w którym kończyłem książkę, i ostrzegła, bym nie płoszył duchów. Dziękuję jej i panu Hawleyowi za ich przyjaźń i szczodrość. Jonathan i Jane zostawili mi swój dom i łoże, a ja musiałem tylko od czasu do czasu wyłowić z basenu dla jaszczurek dziwaczne florydzkie zwierzę. Jestem im wszystkim bardzo wdzięczny.

Dań Johnson, lekarz medycyny, udzielał mi wszystkich niezbędnych informacji medycznych, wskazywał niezamierzone anglicyzmy (wszyscy inni też to robili), odpowiadał na najdziwniejsze pytania i pewnego lipcowego dnia urządził mi nawet wycieczkę po północnym Wisconsin małym samolotem. Oprócz kierowania moim życiem, gdy ja pisałem książkę, moja asystentka, bajeczna Lorraine Garland, niezwykle fachowo odnajdywała mi liczbę mieszkańców kolejnych małych amerykańskich miasteczek. Wciąż nie jestem pewny, jak jej się to udało. (Należy do zespołu zwanego The Flash Girls; zróbcie jej przyjemność i kupcie ich nową płytę *Play Each Morning, Wild Queen)*. Terry Pratchett pomógł mi rozwiązać problem fabularny w pociągu do Gothenburga. Eric Edelman odpowiadał na pytania dyplomatyczne. Anna Sunshine Ison zdobyła całe mnóstwo informacji na temat obozów internowania dla Japończyków na zachodnim wybrzeżu; informacje te poczekają na następną książkę, bo do tej jakoś nie pasowały. Najlepszy cytat z dialogów w epilogu pochodzi od Gene'a Wolfe'a, dziękuję mu za to. Sierżant Kathy Ertz odpowiadała cierpliwie na nawet najdziwniejsze pytania dotyczące procedur policyjnych, a zastępca szeryfa Marshall Multhauf zabrał mnie na przejażdżkę. Pete Clark z wyrozumiałością i rozbawieniem odpowiadał na wyjątkowo osobiste pytania, Dale Robertson udzielał konsultacji z zakresu hydrologii. Byłem wdzięczny za komentarze doktora Jima Millera, dotyczące ludzi, języka i ryb, a także za pomoc lingwistyczną Margret Rodas. Jamy Ian Swiss dopilnował, by sztuczki z monetami pozostały prawdziwą magią. Wszelkie błędy pojawiające się w książce pochodzą ode mnie, nie od nich.

Wielu dobrych ludzi przeczytało rękopis i podzieliło się ze mną cennymi uwagami, poprawkami, słowami zachęty i informacjami. Jestem zwłaszcza wdzięczny Colinowi Greenlandowi i Susannie Clarke, Johnowi Clute i Samuelowi R. Delany'emu. Chciałbym też podziękować Owlowi Goingbackowi (który naprawdę ma najbardziej odlotowe nazwisko świata), Iselin Rosjo Evensen, Peterowi Straubowi,

Jonathanowi Carrollowi, Kelli Bickman, Diannie Graf, Lenny'emu Henry'emu, Pete'owi Atkinsowi, Amy Horsting, Chrisowi Ewenowi, Tellerowi, Kelly Link, Barb Gilly, Willowi Shetterly'owi, Connie Zastoupil, Rantzowi Hoseleyowi, Dianie Schutz, Steve'owi Brustowi, Kelly Sue DeConnick, Roz Kaveney, łanowi McDowellowi, Karen Berger, Wendy Japhet, Terje Nordberg, Gwendzie Bond, Therese Littleton, Lou Aronice, Hyowi Benderowi, Markowi Askwithowi, Alanowi Moore (który pożyczył mi „Litvinoff's Book") i prawdziwemu Joe Sandersowi. Dziękuję też Rebecce Wilson, a także Stacy Weiss za jej uwagi. Po przeczytaniu pierwszego szkicu Diana Wynne Jones ostrzegła mnie, co to za książka i jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa. Jak dotąd nie pomyliła się ani razu.

Chciałbym, żeby profesor Frank McConnell wciąż był z nami. Myślę, że spodobałaby mu się ta powieść.

Kiedy skończyłem pierwszą wersję, uświadomiłem sobie, że kilka innych osób poruszało już przede mną podobne tematy: zwłaszcza mój ulubiony niemodny autor, James Branch Cabell; nieżyjący już Roger *Żelazny* i oczywiście jedyny w swoim rodzaju Harlan Ellison, którego zbiór opowiadań *Deathbird Stories* odcisnął się piętnem gdzieś w głębi mojego umysłu, kiedy jeszcze byłem w wieku, gdy książka potrafi odmienić człowieka na zawsze.

Niespecjalnie pojmuję, po co miałbym pozostawiać listę utworów muzycznych, których słuchałem, pisząc książkę, a było ich naprawdę mnóstwo. Niemniej jednak, bez *Dream Cafe* Grega Browna i *69 Love Songs* Magnetic Fields byłaby to zupełnie inna powieść. Dzięki zatem, Greg i Stephin. Uważam też, że powinienem poinformować was, iż muzyki z Domu na Skale można wysłuchać na taśmie bądź CD i obejmuje to maszynę Mikado oraz Największą Karuzelę Świata. Zupełnie nie przypomina to niczego, co mieliście okazję słyszeć, co nie znaczy, że jest od tego lepsze. Oto adres: The House on the Rock, Spring Green, WI 53588 USA, telefon (608) 935-3639.

Moi agenci — Merrilee Heifetz z Writers House, Jon Levin i Erin Culley La Chapelle z CAA — stali się dla mnie idealną próbną publicznością i filarami mądrości.

Wiele osób, które czekały na rzeczy obiecane, gdy tylko skończę, okazało zdumiewającą cierpliwość. Chciałbym podziękować miłym ludziom z wytwórni Wamer Brothers (zwłaszcza Kevinowi McCormickowi i Lorenzo di Bonaventurze), w Village Roadshow, w Sunbow i w Miramaxie; a także Shelly Bond, która zniosła naprawdę wiele.

Dwoje ludzi, bez których…: Jennifer Hershey z Harper Collinsa w Stanach i Doug Young z Hodder Headline w Anglii. Mam szczęście do redaktorów, a to dwoje najlepszych redaktorów, jakich zdarzyło mi się spotkać. Do tego oboje są cierpliwymi, spokojnymi i głęboko stoickimi

ludźmi, zwłaszcza w obliczu upływających ekspresowo terminów, mijających nas niczym suche liście unoszone porywistym wiatrem.

Potem, w Headline pojawił się Bili Massey, który spojrzał na książkę sokolim redaktorskim okiem. Kelly Notaras przeprowadziła ją przez produkcję z wdziękiem i zapałem.

I w końcu chciałbym podziękować mojej rodzinie, Mike'owi, Mary, Holly i Maddy, najcierpliwszym ludziom ze wszystkich, ludziom, którzy mnie kochają i przez długi czas podczas pisania tej książki znosili moje wyjazdy, kiedy pisałem i odnajdywałem Amerykę — która, jak się okazało, gdy w końcu ją znalazłem, cały czas leżała właśnie w Ameryce.

Neil Gaiman
Okolice Kinsale, okręg Cork
15 stycznia 2001

SŁOWO OD TŁUMACZA

Neil Gaiman lubi zabawy słowem. Czasami sięgają one poziomu, na którym próby przełożenia tak, by nie zatracić wielości znaczeń, dawałyby efekt sztuczny, jeśli nie wręcz komiczny. Z drugiej zaś strony szkoda byłoby, gdyby czytelnikowi umknęła gra skojarzeń. Zdecydowałam się więc wyjaśnić znaczenie trzech istotnych dla akcji Amerykańskich bogów nazwisk — dopiero tutaj, gdyż wszelkie przypisy w tekście psułyby zabawę z odkrywania akcji. Oto i one:

Wednesday — dosłownie oznacza środę, który to dzień wywodzi swą angielską nazwę od imienia boga Wotana, czyli Odyna właśnie. Nota bene Wednesday na samym początku wspomina, że w zasadzie mógłby nazwać się Czwartkiem — czwartek to z kolei dzień Thora.

Lyesmith — czyli Lie-smith, kowal kłamstw. Loki w mitologii nordyckiej jest mistrzem kłamstwa.

Mike Ainsel — aluzja do szkockiej legendy o chłopczyku i wróżce imieniem Ainsel (co oznacza Own Self, czyli Ja sam). Chłopczyk poznawszy wróżkę przedstawił jej się jako My Ainsel; kiedy później w zabawie niechcący zrobił jej krzywdę, matka wróżki zrozumiała, że jej dziecko zraniło się samo. Kiedy zatem Wednesday nazywa Cienia Samym Sobą…